



Emocje  
Namiętność  
Pasja miłości

KIEDY ZEMSTA PRZESŁANIA ŚWIAT

TANYA VALKO

# ARABSKA WENDETA

Prószyński i S-ka

TANYA VALKO  
ARABSKA WENDETA

Prószyński i S-ka



## PRZEDMOWA

Moi Drodzy,

*Arabska wendeta* miała być ostatnią powieścią z *Arabskiej i Azjatyckiej sagi*, cyklu opowiadającego o losach kobiet z szalonej i niezwyklej rodziny Salimich – protoplastki Doroty, pięknej Marysi vel Miriam i zbłąkanej owieczki Darii vel Darin. Jednak w wyniku wielu przeprowadzonych ankiet i burzliwych dyskusji moi kochani fani zdecydowali, że mam kontynuować pisanie sagi, bo bez moich bohaterek i ich rodzin nie wyobrażają sobie życia. Cieszy mnie to ogromnie, bowiem jestem do nich tak samo, albo nawet bardziej, przywiązana. Żyję z nimi nie dwa–trzy dni w roku, bo tyle potrzeba zwykle na przeczytanie każdej z moich książek – towarzyszę im przez kilka miesięcy, gdy przelewam myśli na papier, a i później cały czas o nich dumam i pamiętam, kiedy fabuła kolejnego tomu kształtuje się w mojej głowie. Aktualnie mam pomysł na co najmniej trzy powieści, które powstaną w niedalekiej przyszłości.

*Arabska wendeta* kończy wątek zniechęconego przez wszystkich dżihadysty Jasema Alzaniego, który pojawił się w *Arabskiej krucjacie*. Ale czy tylko on kieruje się starą biblijną, a także koraniczną zasadą: Oko za oko, ząb za ząb? Czy chęć zemsty nie tkwi w każdym z nas i przy złych wiatrach nie bierze góry nad uczciwością i chęcią spokojnego, prawego życia? Kiedy zostaniemy zranieni, czy nie mamy ochoty na rewanż? Czy wystarczy nam przeklećcie kogoś: „Niech ci w piętę pójdzie” albo „Niech twoje dzieci odpłacą ci pięknym za nadobne”? W przypadku moich orientalnych bohaterów taki łagodny odwet nie jest możliwy. Choć zasada wendety prawie nigdzie na świecie nie jest już przestrzegana, w krajach arabskich nadal możemy się z nią spotkać. Jasem Alzani, choćby nie chciał, musi się odegrać za zdradę, a przede wszystkim za odbicie mu żony. Największą winą za wszystkie swoje nieszczęścia obciąża księcia Anwara al-Sauda. Ten nowoczesny Saudyjczyk daje swojemu wrogowi szansę na szczęśliwe życie, radość i odejście z tego świata, kiedy wybije jego czas. Jasem próbuje, ale nic nie da mu takiej przyjemności i satysfakcji jak wyrównanie rachunków.

Daria Salimi vel Darin Alzani vel al-Saud jest godną przedstawicielką swojej nacji. Z ojca Libijczyka i matki Polki wyrosła kobieta o zdecydowanie arabskich genach. W *Arabskiej wendecie* będzie szukała zemsty na zabójcy swojego ukochanego księcia i pierwszego dobrego człowieka, z którym się związała. Zostawi za sobą praworządny świat, przyjmie na barki niesłuszne oskarżenie o zabójstwo męża, porzuci kochającą rodzinę i uwielbianego synka Ahmeda. Pomsta za zmarnowane lata i krzywdy – nie tylko jej, ale setek czy tysięcy ofiar terrorysty Jasema – stanie się celem jej życia. Nieważne, czy przeżyje, czy zostanie zabita, uwięziona i torturowana, musi dokonać zemsty.

Pandemia COVID-19 ogarnia też arabski świat. Czy koronawirus zaatakuje członków rodziny Salimich, tego dowiedzie się już niedługo. A może ta siła wyższa dokona wendety na ich wrogach, ale też zabierze im tych, których kochają?

W powieści, którą trzymacie w rękach, występują także partnerzy kobiet z rodu Salimich, mąż Doroty, uroczy i nowoczesny doktor Aszraf al-Rida, któremu spada na głowę ogromny problem z nieoczekiwane rozprzestrzeniającą się w Arabii Saudyjskiej pandemią, Hamid Binladen, który pomimo nowego związku z Marokanką Salmą i życia w poligamii nadal opiekuje się Marysią i dba o bezpieczeństwo jej rodziny, oraz beztronski i uważający się za bezkarnego mściciel Jasem Alzani, którego dni są policzone.

Do głosu dochodzi też młoda generacja – niezwykle piękna wnuczka Doroty Nadia oraz

jej przyjaciółka, księżniczka Wafa al-Saud. Dziewczęta przeżywają pierwsze młodzieńcze miłości, są częściej ranione przez życie niż głaskane po głowach. Dzięki swojej nowej sympatii Saszy Cohenowi, amerykańskiemu Żydowi polskiego pochodzenia, Nadia podejmuje pierwszą poważną decyzję i planuje swoją przyszłość. Wafa zaś, doświadczywszy najgorszego ze strony najbardziej kochanych przez nią mężczyzn, powoli staje na nogi i poznaje człowieka, który zostaje jej przyjacielem.

W tej części sagi znajdziecie także kontynuację wątku saudyjskich księżniczek, trzech córek świętej pamięci króla Abdullaha, który z wyjątkowym okrucieństwem przez długie lata przetrzymywał je w złotej klatce. Czy uda im się z niej wydostać? Czy spotkają się z poszukującą ich przez całe lata matką?

Pamiętacie jeszcze księżniczkę Lamię z *Arabskiej księżniczki*, która bez pamięci kochała się w młodym Hamidzie Binladiem? Jej tragiczne i intrygujące losy być może odmienią się na ciut lepsze.

W *Arabskiej wendecie* zabiorę moich czytelników w szeroki świat. Oprócz znanych z poprzednich moich książek Libii i Arabii Saudyjskiej pokażę Wam włoską wyspę Lampedusa, na której lądują uchodźcy z Afryki, razem udamy się też do Mediolanu, na Gran Canarię i do mojego ulubionego kurortu San Agustin. Potem zahaczmy o Egipt, by ostatecznie wraz z Jassem Alzanim i jego nową rodziną odkrywać cienie i uroki Maroka. Zafunduję Wam nawet niemożliwą do odbycia w obecnych pandemicznych czasach wycieczkę po marokańskiej, algierskiej i libijskiej Saharze.

Czytając *Arabską wendetę*, zetkniecie się z postaciami historycznymi i publicznymi, których losy i charaktery modyfikuję na potrzeby literackiej fikcji. Niektórych moich bohaterów sadzam na wysokich stołkach i nadaję im książęce tytuły lub wysokie stanowiska, choć są postaciami całkowicie przeze mnie wymyślonymi, a wydarzenia z ich życia powstały w mojej wyobraźni. Mam nadzieję, że niczyich uczuć tym nie urażę. Prawdziwe biogramy znanych polityków i władców znajdziecie w dodatkach na końcu książki w indeksie nazwisk.

Liczę, że po samej przedmowie jesteście na tyle zainteresowani, że nie oderwiecie się od *Arabskiej wendety* aż do ostatniej strony.

1 Vel (łacina) – lub, albo, raczej; często stosowane pomiędzy nazwiskami, co oznacza, że dana osoba znana była pod dwoma nazwiskami lub przezwiskami.

*Jeśli niczego z siebie się nie daje,*

*to jest się większym żebrakiem niż ci,*

*co siedzą w pyle ulic z wyciągniętą ręką.*

*Człowiek bez serca jest najbiedniejszy*

*pod słońcem.*

Wszystkie postaci występujące w powieści i przedstawione wydarzenia są fikcyjne. Losy osób publicznych lub postaci historycznych zostały zbeletryzowane na potrzeby fabuły.

## PROLOG

Wparapetówce u książęcej pary, jaśnie wielmożnych Darin i Anwara al-Saudów, w nowo wybudowanym przez nich pałacu na obrzeżach Rijadu, stolicy Królestwa Arabii Saudyjskiej, bierze udział co najmniej tysiąc osób. Zarówno w domu, jak i w ogrodach są ponad dwie setki służby, kelnerów i kelnerek, barmanów, kucharzy i kuchcików oraz pomagierów, a dwa razy tyle ochrony, bo to przecież nie byle jakie party, lecz impreza zrzeszająca najważniejszych ludzi w Królestwie, prawie cały saudyjski establishment, korpus dyplomatyczny, funkcjonariuszy Royal Secret Service<sup>2</sup> oraz GID<sup>3</sup>, nie wspominając o członkach rodziny królewskiej.

Książę przeczesuje gości wzrokiem i zauważa każdego, tylko nie swoją ukochaną. *Gdzież ona jest? Gdzie się podziała?*, denerwuje się już trochę. Miała być w krwistoczerwonej długiej do ziemi sukni z głębokim dekoltem. Takiego ciucha raczej by nie przeoczył! Poza tym Daria, jego Darin, ma niesamowitą zdolność wtapiania się w tłum. Czyżby to znaczyło, że niczym szczególnym się nie wyróżnia? Czy rudowłosą Nadię, słowiańską blond piękność, błękitnooką Dorotę lub arabską Miriam, o palącym wzroku, topiącą serca swymi czarnymi jak węgle oczyma, można by przeoczyć?

To właśnie one – najbliższa rodzina księżnej – stanęły w pierwszym rządzie, tuż przed podium. Anwar patrzy na swoją teściową, wciąż atrakcyjną, szczupłą i zgrabną Dorotę, której towarzyszy obecny mąż, Saudyjczyk, doktor i zarazem minister zdrowia. Książę może tylko mieć nadzieję, że jego młoda żonka nie odziedziczyła temperamentu po mamusi, która jednego męża Libijczyka pochowała, ponoć nawet zabiła, z drugim, Polakiem, się rozwiodła, a ilu kochanków i absztyfikantów przeszło przez jej łóżko, to jeden Bóg wie. Bo nie wie tego na pewno jej aktualny mąż Aszraf al-Rida. Zresztą chyba zupełnie go to nie obchodzi, bo wygląda na zadowolonego i szczęśliwego mężczyznę. Zaraz obok nich ledwo trzymający się na nogach staruszek Muhammad al-Rida, długoletni szef saudyjskiego wywiadu. Ścisza pod rękę najcudowniejszy kwiat młodzieży saudyjskiej, dziewczynę tak piękną, że aż wzroku od niej nie można oderwać. Widać w niej podobieństwo do Doroty, lecz Nadia Binladen ma oczy nie jak babcia, błękitne niczym niebo, lecz chabrowe jak najlepszy cejloński szafir, zaś falujące włosy wyglądają jak świeżo muśnięte pędzlem Tycjana. Rodzice tej gwiazdy są nieopodal, Marysia vel Miriam, o urodzie i kształtach rajskiej hurysy<sup>4</sup>, i ojciec, Hamid Binladen, wojujący z międzynarodowym terroryzmem najlepszy saudyjski szpieg, który w czarnym smokingu wygląda na amanta filmowego w sile wieku i rozkwicie formy. Wigoru mu chyba nie brakuje, bo po jego drugiej ręce stoi druga żona, Marokanka Salma, również niczego sobie kobietka, przyjaciółka jego pierwszej wybranki serca.

Wszyscy szanowni goście zaczynają się niecierpliwić. Jak długo można zwlekać z oficjalną inauguracją? Piękny Ahmed, syn obecnej księżnej i jej niechlubnego byłego męża, dżihadysty, Jasema Alzaniego jest już w ramionach swego ojczyma. Kiedy razem pojawiają się na mównicy, następuje to, czego nawet najwięksi pesymiści się nie spodziewali. Szczelna jak mur ochrona nie jest w stanie nikogo przed tym ustrzec. W jednej chwili kończy się to, co dopiero się zaczęło. Gaśnie życie w młodym, dobrym człowieku, cudownym zakochanym mężu i niedoszłym, choć na pewno idealnym ojcu. Kula wymierzona prosto w serce wielkiego jak tur mężczyzny odbiera mu to, co najcenniejsze. Z tą chwilą świat wielu osób zebranych w tym elitarnym towarzystwie upada albo zmienia się nieodwracalnie. Wszystko idzie w niepamięć. Nikną miłość, pasja, stabilizacja i spokój, beztraska i równowaga. Ład i bezpieczeństwo odchodzą w zapomnienie. Osoby z najbliższego otoczenia księżnej Darii przypuszczają, czyja to

sprawka. Kto stoi za tak haniebną zbrodnią.

Jasem Alzani vel *dżihadi*<sup>5</sup> John vel John Smith vel Sean O’Sullivan vel Muhamad Arabi Muntasir nie zapomniał o swojej żonie, z którą nigdy dobrowolnie się nie rozwiódł, ale został rozwiedziony. Dzisiaj postanawia postawić ją do pionu i odebrać saudyjskiemu księciu to, co należy do niego. Daria, omotana przez mężczyznę za młodu, do dziś nie potrafi wypłatać się z toksycznego uzależnienia. Nie zna już człowieka, który stoi przy niej, w drzwiach dla służby, prowadzących do kuchni i na zaplecze pałacu. Nie zna tej twarzy, ale miażdżący uścisk dłoni i spojrzenie mówią jej wszystko. To jej zmora, ten, który potrafi z niej wydobyć najgorsze instynkty.

W chaosie i panice, które wybuchły, gdy zastrzelony przez snajpera księżę upadł na podłogę, nieszczęsna matka widzi skrywaną pieczołowicie niespodziankę, jaką szykował dla niej ukochany mąż. Wbija wzrok w swojego umiłowanego syneczka, który dzisiaj miał dołączyć do ich szczęśliwego stadła. Ale to marzenie się nie spełni. Daria nawet nie może podbiec i wziąć dziecka w ramiona. Nie wolno jej się choćby do niego zbliżyć, bo z miejsca zostanie schwyta i uwięziona przez saudyjskie władze, które z dużą przyjemnością zasądzą jej najwyższy wymiar kary. Za dwie zbrodnie popełnione w Królestwie, z czego jedna na członku rodziny królewskiej. Z dziecinną łatwością udowodnią jej współudział w tym mordzie, bo Jasem nie jest dobrym wujkiem i pozostawił na wyciągnięcie ręki dla śledczych liczne dowody jej winy. Pół Polka, pół Libijka Daria Nowicka vel Darin al-Saud do świata prawa i sprawiedliwości już nigdy nie będzie mogła powrócić. Zostanie niechybnie okrzyknięta odpowiedzialną za swoje i nie swoje grzechy. Raz na zawsze wykreślona z praworządnego społeczeństwa.

– Idziemy – syczy przez zęby ten, który ostatecznie przeciąga ją na stronę zła i występku.  
– Już! – Popędza. – *Jalla!*<sup>6</sup>

Dawni małżonkowie wybiegają tylnym wyjściem prosto na parking, gdzie czeka na nich porsche taycan turbo w zabójczym stalowozielonym kolorze. Daria narzuca *abaję*<sup>7</sup> i *hidżab*<sup>8</sup>, kelner zaś zamienia uniform na tradycyjną saudyjską *tobę*<sup>9</sup>, a głowę nakrywa kraciatą *ghutrą*<sup>10</sup>. Teraz wyglądają jak stuprocentowi obywatele tej ziemi.

Kobieta wskakuje za kierownicę.

– Droga na Mekkę – informuje mężczyzna, zapinając pas przy kubelkowym fotelu pasażera.

– Jasne. – Daria wie, gdzie ma jechać, bo ćwiczy tę trasę od miesiąca. Odkąd dostała takie polecenie i satelitarną mapę od swojego pana i władcy. Zna każdy kamień, każdą nierówność asfaltu.

Nie wiadomo, gdzie Daria nauczyła się tak perfekcyjnie prowadzić wyścigowe auto, a może po prostu teraz już nie zależy jej na życiu tak jak jeszcze tydzień temu? Bez strachu dociska gaz do dechy. Prowadzi jak zawodowy kierowca w wyścigu Gran Turismo. Pruje ponad dwieście na godzinę, spychając wszystkich użytkowników drogi na boki. Kierowcy, widząc numer jeden na rejestracji, od razu wiedzą, że auto należy do samej wierchuszki rodziny królewskiej, zjeżdżają więc lękliwie na pobocze. Kobieta opuszcza miasto i wjeżdża między góry. Wokół jest tak pięknie, lecz ani ona, ani jej kierowca tego nie zauważają. Gwałtownie skręca z autostrady na boczną szutrową drogę. Tam czeka już na nich wielkie amerykańskie auto z napędem na cztery koła. Porzucają wyścigowe porsche i przesiadają się. Wóz rusza. Po niespełna pięciu minutach karkołomnego rajdu po bezdrożach zatrzymują się pod uschniętym, karłowatym drzewem oliwki. Tuż obok stoi helikopter w krwistoczerwonym kolorze. Arabska zakwefiona kobieta i mężczyzna w białej jak śnieg sukni wsiadają na pokład śmigłowca. Maszyna z głośnym hukiem wirników wzbija się w powietrze.



Hamid wybiega z pałacu zamordowanego księcia. Za nim jego najbliżsi współpracownicy z *secret service*. Na końcu truchta stary Al-Rida. On z takimi akcjami już nie raz miał do czynienia. *Zabić skurwysyna!*, powtarza w myślach jak mantrę. *Zabić!*

Mężczyźni wskakują do podstawionego wojskowego samochodu.

– Czym się stąd wydostali?

– Porsche – odpowiada funkcjonariusz, śledzący przestępczą parę na ekranie swojego laptopa.

– Idioci! Tego auta raczej nie da się zakamuflować. – As saudyjskiego wywiadu czuje jakiś szwindel.

– Jadą jak na wyścigach. Już są na wylocie z Rijadu. Droga na Mekkę.

– Nie złapiemy ich! Uciekną?

– Szlag by to trafił!

– Nie złapiemy ich żywych – stwierdza doświadczony starzec.

Mężczyźni się denerwują. Obserwują nagrywaną przez wojskowego drona scenę. Zielone auto – porzucone przy głównej drodze – aż bije po oczach.

– Czy oni bawią się z nami w podchody? – Nikt nie może uwierzyć w takie niedociągnięcia profesjonalisty Jasema. Za dobrze go znają.

– Myślę, że tak – potakuje z niesmakiem mundurowy.

– Zbiegowie wsiadają do śmigłowca.

– Czerwony? Głośny? Zwykły? Jak zabawka? – oburzają się zawodowcy.

– Zestrzelimy? – Mężczyzna, który trzyma w ręku wojskowe walkie-talkie, zadaje kluczowe pytanie.

– Nie możemy ryzykować, ale... – Hamid się waha, nie chce zabijać przypadkowych niewinnych osób. – Wolałbym tego drania dostać żywego. Ją także...

– Zestrzelić! – *szabbani*11 Muhammad al-Rida wydaje rozkaz. – Natychmiast!

Czerwony piękny helikopter rozlatuje się na kawałki, kiedy uderza w niego zdalnie sterowana rakietą. Potem zapada cisza. Wszystko jest skąpane we wczesnym bliskowschodnim zmierzchu. Płomienie dogasają w poświacie zachodzącego szkarłatnego słońca.

2 Royal Secret Service (angielski) – Królewskie Tajne Służby.

3 GID (General Intelligence Directorate) – Centralny Oddział Wywiadowczy, główna agencja wywiadowcza w Arabii Saudyjskiej.

4 Hurysa (arabski) – dosł. wolna; ta, która ma czarne oczy. To wiecznie młode i piękne dziewczę w koranicznym raju, kobiety idealne, duchowo i cieleśnie nieskazitelne, które stanowią jedną z nagród dla zbawionych wiernych. Każdy muzułmanin w ogrodzie *Dżenna* może mieć 72 hurysy.

5 *Dżihadi* (arabski) – przymiotnik od słowa *dżihad* – zwolennik *dżihadu*, *dżihadysta*.

6 *Jalla* (arabski) – pierwotnie: zawołanie na wielbłądy; kolokwialnie: ruchy, chodź, wychodź, w drogę.

7 *Abaja* (arabski) – wierzchnie tradycyjne okrycie w krajach muzułmańskich; szeroki, luźny płaszcz noszony przez kobiety i mężczyzn.

8 *Hidżab* (arabski) – noszona przez muzułmańskie kobiety kwadratowa chusta, zakrywająca włosy, uszy i szyję; może być kolorowa.

9 *Toba* (*thoba*) (arabski) – rodzaj długiej do ziemi męskiej koszuli, z tradycyjnym kołnierzykiem.

10 *Ghutra* (arabski) – chusta na głowę dla mężczyzn, biała, w biało-czerwoną lub biało-czarną kratę.

11 *Szabbani* (arabski, dialekt) – starzec, staruszek.

## **DROGA UCHODŹCY**

## WYSPA NIEDUŻA LAMPEDUSA

Fałszywy wygnaniec, pseudobanita przebył długą drogę, by dojść do zdezelowanego kutra, przewożącego uchodźców z wybrzeży Libii do Włoch. Urodzony w Damaszku w Syrii z arabskiej matki, genialnej i sławnej diwy operowej, i ojca Brytyjczyka, dorastał w Londynie jako zwykły chłopak, nie sprawiając swojemu tacie zbytnich kłopotów. Później krok po kroku zbliżał się do wodopoju, fundamentalistycznego źródła, którym jest dżihad<sup>12</sup>. Zanim jednak to nastąpiło, dobrze się bawił i hulał ze swoim rówieśnikiem, saudyjskim księciem Anwarem al-Saudem oraz starszym kolegą, petrodolarowym księciem Sajfem al-Islam Kaddafim<sup>13</sup>. Synem tego Kaddafiego, samego pułkownika Muammara<sup>14</sup>. Nieopatrznie, czystym zrzędzeniem losu, poznał dilerę narkotyków, świetnie zakamuflowanego fundamentalistę Moe z Pakistanu – to on poprowadził go za rękę w stronę zła i śmierci, a z czasem uczeń przerósł mistrza. Potem już wszystko potoczyło się skokowo, bo dżihadystyczną karierę robi się szybko i przeważnie trwa ona krótko. Jeden lub dwa sezony. Jasem jest w tym względnie wyjątkiem. Zresztą nie tylko w tym. Jego droga do kalifatu w Syrii była długa, bo wiodła przez Azję i Europę, przez Królestwo Arabii Saudyjskiej, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Indie, Egipt oraz Francję i Hiszpanię. Na drodze napotykał różnych ludzi, setki, tysiące osób. Niektóre pozostawiały w jego duszy ślad, inne przewijały się jak cienie, zresztą sam je do krainy cieni wyprowadzał. Pół Syryjczyk, pół Brytyjczyk doskonale pamięta dwóch brytyjskich dziennikarzy, których ściał maczetą, robiąc z tego medialny szum, bo nagranie umieszczono na YouTube i widział je cały oburzony świat. Tak samo nie zapomni jordańskiego pilota, którego likwidację zaplanował tak, jakby układał choreografię do spektaklu teatralnego. To był teatr! Była to poniekąd sztuka jednego aktora, a sam główny bohater zachował się jak artysta najwyższej klasy. Kiedy już całe jego ciało objęły płomienie, wstał i wykonał dwa ostatnie kroki ku wieczności. Potem jego ziemską powłoka się rozsypała, pozostały po niej proch i pył, a płonąca czaszka potoczyła się po dnie klatki, w której był uwięziony. W Palmirze dżihadysta<sup>15</sup> też dał niezły popis. Nie pamięta wszystkich czterystu osób, na które wydał wtedy wyrok śmierci, ale jednego indonezyjsko-saudyjskiego lekarza na pewno. Skrócił go o głowę w starożytnym teatrum na oczach wiwatującego tłumu fanatyków. Lekarz bez granic zakończył tam w tragiczny sposób swoją ziemską wędrówkę. Wybitny zbrodniarz zagwarantował też ciekawe życie wybrance swojego serca, kobiecie, w której na swój chory sposób się zakochał, pół Polce, pół Libijce, Darii Nowickiej. Zupełnie nieświadomą dziewczynę pociągnął za sobą przez pół świata, by ostatecznie zniewolić w kalifacie i osiąść z nią w stolicy pseudo-Państwa Islamskiego<sup>16</sup> w Rakce. Po upadku sztucznego, złego tworu ruszyli przed siebie, zacierając ślady i ukrywając swoją tożsamość. Kobieta, najpierw zakochana, a potem zniewolona *sabija*<sup>17</sup>, szła za swym mężem przez Liban, Katar do Arabii Saudyjskiej, by stamtąd przenieść się do Libii. W końcu wydawało się, że została raz na zawsze uwolniona od potwora, który gnębił ją latami, bowiem został on schwytyany i osadzony w Abu Salim, więzieniu o zastrzonym rygorze. Wyglądało na to, że najbardziej poszukiwany w ostatnim dziesięcioleciu terrorysta, który ma na swoim sumieniu zamachy zarówno w Europie, jak i Afryce Północnej oraz Azji, błyskotliwą karierę w kalifacie, zostanie na dobre odizolowany od praworządnego świata. Ale to byłoby zbyt proste, zbyt optymistyczne zakończenie.

Dzisiaj Jasem Alzani, więzienny zbieg, jako biedny uchodźca udaje się do Włoch na przeciążonej łodzi rybackiej, która wyrusza z libijskiej miejscowości Zuara nad Morzem Śródziemnym, i ma w planie dobić do portu na włoskiej wyspie Lampedusa. Wprawdzie

aktualnie Włosi wybiórczo wpuszczają nowych przybyszy, lecz ta jednostka jest dobrze opłacona i wiezie samych libijskich dysydentów, a nie imigrantów z Czarnej Afryki. Nie ma na niej ani jednej czarnej twarzy, a spośród wszystkich pasażerów wyróżnia się blond ślicznotka Judith, która staje się symboliczną przewodniczką Beatrycze swojego męża, sprytnego głupka Libijczyka Abdula oraz dżihadysty Jasema Alzaniego. Abdul, pomimo młodego wieku – bo ma niespełna dwadzieścia pięć lat – również sporo przeżył. Wysłany przez rodzinę do kalifatu za swoją wściekłą na cały świat, fundamentalistyczną siostrą, działającą tam w brygadzie Al-Chansa<sup>18</sup>, wrócił po latach do domu bez siostry, która zginęła, w swoim i milionów innych fundamentalistów przekonaniu, za właściwą sprawę. Przywiózł natomiast żonę, piękną Amerykankę, którą uratował, zasłaniając ją własną piersią przed plutonem egzekucyjnym. Dziewczyna ta, nie wiadomo, czy tak głupia, czy naiwna, dała się zagnać losowi do ogarniętej wojną Syrii, by w obozie dla uchodźców w Aleppo pomagać pokrzywdzonym kobietom i dzieciom. Potem sama padła ofiarą gwałtu i przemocy, a teraz na libijskim kutrze siedzi razem z tymi, których było jej tak żal. Staje się jednym z milionów banitów tułających się aktualnie po świecie i szukających dla siebie miejsca. Judith pozostała Amerykanką tylko z wyglądu, bo duszę ma już arabską, a paszport wystawiony na skonwertowaną muzułmankę o imieniu Jasmin, Libijkę, żonę Libijczyka.

– Nie za dużo nas tutaj napakowali? – martwi się Jasem, rozglądając się po przerażonych twarzach towarzyszy niedoli. – Ta łódź jest zanurzona aż po burtę, woda przelewa się już przez pokład. Najmniejszy sztorm i idziemy na dno.

– Nie strasz, proszę. – Zatrwożona Judith aż szczęka zębami, a rozglądając się dookoła i widząc zapłakane libijskie kobiety, tułące do siebie pochlipujące dzieci, wpada w jeszcze większą panikę. – Przecież nie braliby nas na pewną śmierć. Codziennie tego typu łodzie przepływają Morze Śródziemne.

– Nie sądzę, żeby takie wraki dały radę. Wybrałeś chyba najtańszego przewoźnika, ty idioto! – Denerwuje się pół-Syryjczyk i strzela w łeb swojego kompana. – Dostałeś dość pieniędzy od moich popleczników, żeby kupić bilet na pierwszą klasę na włoskim promie. Co zrobiłeś z kasą, baranie?!

– Będziemy potrzebowali jeszcze paru groszy na zagospodarowanie się na miejscu, no nie? – broni się Abdul, który po prawdzie połowę gotówki zostawił rodzicom na dostatnie życie i opiekę nad Nazimem, synem jego i Judith. – Trzeba było mówić, że od razu pójdziesz do banku i wypłacisz obiecany mi milion. – Kpi bezczelnie, już nic a nic nie bojąc się niegdyś groźnego dżihadysty. – Wtedy nie musiałbym oszczędzać.

– Pożyjemy, zobaczymy – kwituje Jasem. – Jeśli przeżyjemy.

Judith chwyta pod ramię swojego męża i wbija mu paznokcie w skórę, bo zaraz po odbiciu od wybrzeża pojawia się długa fala. Mała, przepełniona łajba raz jest na jej szczycie, by po chwili w zawrotnym tempie ześlizgnąć się jak po zjeżdżalni na dół. Spanikowani ludzie zaczynają krzyczeć. Wrażliwe kobiety i dzieci takiej huśtawki nie wytrzymują i wyrzucają z kurczących się żołądków resztki niestrawionego jedzenia. Na siebie, na sąsiadów i na pokład, który robi się jeszcze bardziej śliski. Kiedy słońce skrywa się za horyzontem i świat ogarnia całkowita ciemność, na kutrze słychać coraz głośniejsze zawodzenie. Bałwany morskie przewalają się przez burtę, a że pompy na tym złomie nie działają, nabiera on coraz więcej wody. Już nikt nie może wejść do znajdującej się pod pokładem toalety czy kantyny, bo wody jest po kolana. Jej poziom podnosi się sukcesywnie.

– Jeszcze trochę... Byle do świtu... Byle do rana... *Wallahi*<sup>19</sup> – szepczą pasażerowie, którym udawało się przez długie lata zachować życie w niebezpiecznej Libii, a teraz najprawdopodobniej tak tragicznie tracą je na środku nieprzyjaznego Morza Śródziemnego.

Upragniony świt rzuca światło na małą łupinę, która powoli zbliża się do europejskiego brzegu. Ludzie wstrzymują oddech. *Uda się, łudzą się. Musi się udać. Już tyle przeszliśmy.* Po kolejnych godzinach, które teraz są jeszcze tragiczniejsze, bo pasażerowie są wystawieni na palące promienie słońca i skwar, a żadnego zadaszenia czy wody pitnej oczywiście nie ma, na horyzoncie pojawia się duża stalowa łódź straży przybrzeżnej. Organizatorzy, podług ludzkiej hieny, obiecali biednym uchodźcom łatwą przeprawę i życzliwą gościnę, ale jedno i drugie to wierutne kłamstwo.

– Wpływacie na przybrzeżne wody Republiki Włoch – oznajmia ktoś po arabsku przez megafon. – Opuściliście wody międzynarodowe. Macie natychmiast zawrócić.

Bosman, niczym się nie przejmując, pruje dalej, jakby chciał staranować swoją przerdzewiałą łupinę włoską rządową jednostkę pływającą.

– Macie natychmiast zawrócić! Nie wpłyniecie do portu! – wydziera się twardy włoski funkcjonariusz, a pasażerowie są teraz jeszcze bardziej przerażeni niż na początku swej drogi, bo wiedzą, że kuter trasy powrotnej nie przetrzyma. Oni też nie. – Jesteście tu nielegalnie! Zawrócić!

Straż przybrzeża zastawia im drogę i łódka staje w poprzek fali, która niebezpiecznie przelewa się przez pokład, przy okazji zmywając z niego wymiociny i fekalia. Łódź coraz mocniej kolebie się z boku na bok. Fala moczy pasażerów, którzy w rytm napływających wód przesuwają się to w jedną, to w drugą stronę. Matki kurczowo trzymają w objęciach niemowlęta i małe dzieciaczki, ojcowie chwytają za ramiona, kark lub ubranie starszych. Nastolatki, zazwyczaj dumni i buńczuczni, teraz jawnie płaczą, a katar spływa im do ust i na brody. Nikt już nie wierzy w ocalenie. Bosman rzuca kotwicę.

– *Ja said!*20 – Jeden odważny Libijczyk w średnim wieku wstaje, trzymając się metalowego takielunku. – *Mister!* – krzyczy, machając rękami. – Błagam! Tutaj są kobiety i dzieci! Litości!

Nikt z włoskiej jednostki pływającej nie ma jednak ochoty wdawać się w negocjacje i po osadzeniu w miejscu kutra odpływają, zostawiając libijską łódź na pastwę losu i żywiołów. Nie obchodzą ich kolejni banici. Mają dość tych, którzy już do nich przybyli i zrównują ich ukochany kraj z ziemią. A Lampedusa całkiem przez nich ginie.

– Wody! Jeść! Pić! – rozlegają się pojedyncze głosy, lecz nie zdławi to niezłomności posłusznych rządowi żołnierzy Republiki. – Na Boga!

Na ich tragiczne słowa reagują tylko siły przyrody, chcąc, widać, zmieść z powierzchni globu hańbę i zakałę ludzkości. Ni stąd, ni zowąd na błękitnym niebie pojawia się czarna deszczowa chmura, która rośnie w zastraszającym tempie. Morskie wody zaczynają chaotycznie bulgotać i przelewać się to w tę, to w drugą stronę. Po podniesieniu kotwicy prądy ciągną mały kuter jak zabaweczkę na sznurku, przegrzany silnik dławi się parokrotnie i gaśnie. Nikt z feralnych pasażerów już ani piśnie. Wszyscy wstrzymują oddech. Czekają na najgorsze. Na śmierć w czarnych odmętach. Kolejna wysoka fala podchodzi pod burtę, uderza w nią z hukiem, po czym wzbija się nad głowami uchodźców i smaga ich jak pejcem po twarzach. Potem zapada martwa cisza. Każdy oddala się myślą od miejsca tragedii i prawdopodobnego pochówku. Jedni wspominają rodziny zostawione w Libii, inni – zabitych podczas arabskiej wiosny, ktoś cicho przeklina, że nie zrealizował biznesowych planów, a dziewczyna żałuje, że nie dała się pocałować chłopakowi na pożegnanie. Dzieci beztrósco tulą do piersi misie, lalki i samochodziki i uśmiechają się, rozbawione bujaniem, bo kiedy już oswoiły się z morzem, wydaje im się, że są w wesołym miasteczku. I woda taka fajna, chłodna... Po chwili spokoju z wiszącej tuż nad ich głowami chmury nieoczekiwanie uderza grad. Tylko tu i teraz – i tylko w nieszczęsnych libijskich uchodźców – wałą twarde kulki lodu, bo aż po horyzont nieboskłon jest błękitny,

a słońce lśni na delikatnych falach. Kara boska dotyka tylko ich, przeklętych. Wysoki na trzy metry grzywacz czesze stłoczonych na pokładzie nieszczęśników. Pod wpływem ogromnej siły przyrody ręce trzymające liny i takielunek ślizgają się i wypuszczają ostatnią deskę ratunku. Najślabi wpadają w morze przy pierwszym uderzeniu.

– Gdzie łódź ratunkowa?! Ponton?! Masz przynajmniej koła ratunkowe?! – Jasem wydziera się do bosmana, ale ten tylko patrzy na niego z rozbawieniem i pogardą. – Ci ludzie w większości nie potrafią pływać!

– Ja też nie! – Abdul dołącza do krzyków. – Ratunku!

– *Aiuto!* Wracajcie! – Hurma ludzi krzyczy w kierunku jeszcze widocznych na horyzoncie Włochów. – Pomocy!

Ktoś na pokładzie kutra straży przybrzeżnej jednak zauważa tragiczną sytuację Libijczyków. Jednostka zawraca i nabiera tempa. Libijska łódź rybacka tonie.

– Moja córeczka... Gdzie jest moja córeczka? – Libijka siedząca obok Jasema bezradnie rozgląda się dookoła. – Tylko przecierałam oczy... Słona woda... Na Boga! Muna! Dzieciątko moje!

Starsze dzieci i dorośli, których zmiotła fala, usiłują utrzymać się na nagle uspokojonej powierzchni morza, rzucając się chaotycznie i bijąc bezładnie rękami o wodę. Ktoś z obsługi odnajduje trzy stare zdezelowane koła ratunkowe i rzuca je tonącemu. Pół-Syryjczyk widzi w sporej odległości od ich łodzi dryfujące kolorowe ciuszki, spod których widać jedynie śniada pulchna rączka i mała nieobuta stópka. Dziewczynka nie porusza się, a złośliwy prąd oddala ją od jej bliskich w zastraszającym tempie. Matka odnajduje wzrokiem swoją zgubę i oszalała z bólu wykrzykuje prośbę pod niebiosa:

– *Wallahi!* Pomóż! Boże wszechmogący!

– Muna! Córeczko kochana! – Ojciec przestępuje z nogi na nogę, trzymając za rękę przestraszonego pięciolatka. Mężczyzna zapewne nie umie pływać, a jego utonięcie nie pomoże żonie ani synowi w obcym – teraz widzą, jak bardzo nieprzychylnym – świecie.

Jasem długo się nie zastanawia. Nie zastanawia się w ogóle. Zrzuca obuwie, ściąga mokrą kurtkę, czapkę z daszkiem praska na pokład. Staje na koszu dziobowym, składa ręce nad głową i skacze. Straż przybrzeżna jest już niedaleko, prawie cała jej załoga ma teraz przytknięte do oczu lornetki. Dokładnie widzą, co się dzieje, i zdają sobie sprawę, że to oni do tego dopuścili. Ale przecież muszą się trzymać rozkazów. Jakżeby inaczej? Pływak okazuje się znakomitym krawlistą. Podąża do celu w zawrotnym tempie, choć zdradliwy prąd, których tak wiele na Morzu Śródziemnym, odpycha go od ofiary. Ostatecznie chwytą dziewczynkę za bufoniastą stylonową sukieneczkę i wyciąga jej buzię nad wodę. Od razu stara się ją reanimować, bo nie ma czasu do stracenia. Jeśli będzie zwlekał nawet te parę minut, jakie zajmie mu powrót, dziecka nie da się już uratować. Stabilizuje się na plecach, wyprężony jak deska na wodzie, podnosi malutką niebogę, kładzie ją na swojej klatce piersiowej, brzuchem do dołu, a następnie delikatnie klepie po pleckach. Wydaje się, że echo uderzeń rozchodzi się nad taflą wody i niesie aż do uszu uchodźców, aż do nieczułych serc włoskich funkcjonariuszy. Wszyscy wstrzymują oddech. Potem Jasem wdmuchuje w małe płucka trochę powietrza. Jeszcze raz i jeszcze. Po długiej jak wieczność chwili mała kolorowa kulka w dłoniach ratownika ożywa, podryguje bezładnie, potem wymiotuje, kicha i prychnie mu prosto w twarz. Zadowolony mężczyzna, nie zważając na krzyki i wierzganie pulchnymi nóżkami, trzyma w stalowym uścisku uratowaną dziewczuszkę i stylem grzbietowym holuje ją w stronę łodzi, walcząc z czarnymi wodami, które ciągną go dalej i dalej na pełne morze. Straż przybrzeżna spuszcza pierwszą szalupę. Za nią drugą i trzecią. Kiedy Jasem, wyciągnięty z otchłani, dotyka wreszcie stopą suchych desek, z obu jednostek dochodzą do jego uszu radosne wiwaty.

Mała wyspa Lampedusa aż dusi się od uchodźców. Skrawek lądu o powierzchni dwudziestu kilometrów kwadratowych przyjął już setki tysięcy pozbawionych domu nieszczęśników. Znajduje się tu trzydzieści niewielkich fabryczek przetwórstwa rybnego i żadnego innego zakładu, który mógłby zaoferować pracę przybyłym biedakom. Wokół wyspy poławia się tuńczyki, sardynki i sardele. Uchodźcy, którzy tutaj zostają, zajmują się głównie najgorszymi pracami w przetwórstwie rybnym lub są zatrudniani do najcięższych albo najbardziej niewdzięcznych prac na statkach i kutrach zajmujących się połowami. Jasem ani nawet nierozgarnięty Abdul nie mają jednak ochoty się tym parać.

Lampedusa to dla większości przystanek w podróży. Wyspa leży na szlaku morskim, przez który do Europy docierają z Afryki ludzie w poszukiwaniu lepszego, dostatniego życia i godziwej pracy. W ostatnim dwudziestolecu wysepka stała się punktem tranzytowym dla ponad dwustu tysięcy imigrantów. Byli to głównie przybysze z Erytrei, Somalii, ale również z Libii, Afganistanu, Egiptu, Gambii, Mali, Pakistanu i Syrii. Teraz już nie tak łatwo wślizgnąć się do ziemskiego raju, do krajów Zachodu, które przez jednych muzułmanów są tak krytykowane i nienawidzone, ale przez większość – wymarzone i upragnione.

– Pana godność? – Jasemowi pierwsze wrażliwe pytanie zadaje funkcjonariusz biura emigracyjnego już w porcie. Zbieg jest na to przygotowany, tak jak prawie dwie setki uchodźców upchniętych w każdym zakamarku libijskiego kutra, któremu wbrew niesprzyjającym falom i niechęci gospodarzy udało się dzisiaj szczęśliwie dotrzeć do portu.

– Ahmed Salimi. – Przedstawia się spokojnym głosem i śmiać mu się chce, że taki przekręt wykonypował. Kazał sobie wyrobić fałszywe dokumenty na nazwisko teścia, którego nigdy nie miał okazji poznać, bo ponoć został zamordowany podczas arabskiej wiosny przez swoją polską żonę Dorotę, matkę jego połowicy. Morderstwo to nigdy nie zostało udowodnione ani nikt nie odnotował go w żadnych aktach. Takie czasy, taki kraj... Oryginalny Libijczyk, przystojny i śniady, z urody typowy Arab lub Latynos, dziś byłby sześćdziesięcioletkiem o czarnych, nieco przyprószonych siwizną włosach i ciemnych jak noc oczach. Przekręt Jasema jest możliwy tylko dlatego, że przed dwa tysiące jedenastym rokiem w Libii nie stosowano żadnej biometrii, nie było serwerów do przechowywania elektronicznych zdjęć, nie wspominając o liniach papilarnych. Do tego większość personalnych dokumentów bądź to uległa zniszczeniu podczas licznych bombardowań, kiedy zdobywano i odbijano urzędy, bądź, nie wiadomo czemu, palono je na potęgę, jakby sami Libijczycy chcieli ukryć przed światem i przyszłymi pokoleniami swoich obywateli i ich tożsamość. Podczas rewolucji kraj pograżył się w chaosie i nieszczęściu i taki stan rzeczy trwa do dziś. Tak więc Ahmed Salimi równie dobrze może być mężczyzną trzydziestoparoletnim o jasnej karnacji, jasnych oczach i krętych ryżych włosach. W wydziale paszportowym za odpowiednią kasę nieodpowiedzialni i bezmyślni libijscy urzędnicy wydaliby taki paszport może i dla psa.

– Narodowość?

– Libijczyk.

– Urodzony?

– Trypolis, Libia.

– Zawód?

– Doktor informatyki. – *Przynajmniej to się zgadza*, pokpiwa w duchu pół-Syryjczyk.

– Może się gdzieś przydasz w Europie. – Sympatyczny mundurowy, widząc wykształconego człowieka, który stanowi niezaprzeczalny wyjątek wśród aktualnych uchodźców, poklepuje nieszczęśnika po ramieniu, miło się uśmiechając. – Może będę ci mógł



pomóc. W Mediolanie moja rodzina prowadzi biznes. – Chce wesprzeć poczciwego człowieka, bo przecież Jasem potrafi na takiego wyglądać, zmieniając twarz i maniery jak kameleon. Dzisiaj jest niezaprzeczalną gwiazdą, bo jako jeden jedyny rzucił się na ratunek małej dziewczynce porwanej przez morskie odmęty. O niczym innym się tu nie mówi i jeszcze długo ta historia pozostanie na językach tej małej społeczności.

– Dziękuję, panie. – Usłużnie pochyla głowę dumny dżihadysta. – Byłbym bardzo zobowiązany, bo nie wiem nawet, jak te parę nocy tutaj wytrzymam.

– Masz jakąś rodzinę czy jesteś sam? – Włoch odciąga Jasema na bok, na co Abdul i Judith sztywnieją z przerażenia, lecz kompan uspokaja ich wzrokiem.

– Niestety, całą najbliższą rodzinę straciłem podczas arabskiej wiosny i bombardowań, a ostatnio nawet moja młoda żona odeszła. Ostatni syn... – Perfekcyjny aktor zawiesza głos i wyciera niewidoczną łzę manszetem koszuli. – Ahmed, mój imiennik... – Chlipie żałośnie, całkowicie już rozbrajając dobrodusznego urzędnika. – Allah zabrał go do siebie, choć miał niespełna trzy lata.

– Jutro o dziesiątej rano po ciebie przyjadę. Bądź gotów – postanawia dobroczyńca.

– Jutro? – Jasem jest zawiedziony, bo wie, że na Lampedusie imigranci są lokowani w małym, przeludnionym ośrodku dla uchodźców, ostro krytykowanym za brak nawet podstawowych standardów higieny.

– Jedną noc jakoś przeżyjesz – tłumaczy Włoch. – Tylko pamiętaj, żeby wszystkie cenne rzeczy mieć ciągle na oku, a najlepiej przy sobie.

– Cóż ja tam mam, panie. – Dżihadysta znów bierze faceta na litość, licząc, że ten zaprosi go do swojego domu. – Jedyne krwawiące serce.

Mężczyzna jednak nie reaguje na żalosne słowa, bo takich przypadków ma na pęczki. Jego serce już dawno przestało krwawić, inaczej nie mógłby tutaj pracować. Musiał się uodpornić na ludzkie nieszczęście, tak jak lekarz na śmierć. Zresztą śmierci też już się naoglądał, zwłaszcza kiedy tak jak dziś zatrzymywali pontony czy zdezelowane statki na pełnym morzu, nie chcąc wpuścić kolejnych uchodźców do Europy. Niechciani przybysze pod palącymi promieniami słońca w szczycie lata, bez wody i jedzenia, padali jak muchy. Niektórzy desperaci skakali do wody, a nie umiając dobrze pływać, topili się na potęgę. Najbardziej wstrząsający był przypadek dziewczynki, która wypadła za burtę. Nikt z pasażerów tego nie zauważył, a jej matka już nie żyła, gdyż zmarła w wyniku udaru słonecznego. Zwłoki dziecka po dwóch dniach perfidny prąd przyniósł na wybrzeże Lampedusy. Trzylatka była ładnym, zadbanym dzieckiem, ubrana w porządne kolorowe ciuszki, jakby szła na kinderbal. We włosach miała różowe kokardki. Fotografie małego ciała obiegły wtedy cały świat, portale społecznościowe grzmiały słowami krytyki. Czy krytykowano Włochów? Sporadycznie. Hejt dotyczył głównie uchodźców, podłe i wulgarne inwektywy padały pod ich adresem. „Jedna gęba mniej na europejskim garnuszku” – to było najłagodniejsze stwierdzenie. „Mała terrorystka jest już w raju”; „Precz ze szczeniętami kalifatu”; „Bambusy do Afryki”; „Wypierdalać!”. Po tym wypadku Włochom na chwilę zrobiło się trochę głupio i czasowo zrezygnowali z procedury odsyłania statków, które do Libii wrócić nie mogły, więc cumowały na pełnym morzu, często tracąc połowę pasażerów. Po tym wydarzeniu wielu funkcjonariuszy na Lampedusie zmieniło pracę, sporo wyjechało na kontynent, a drugie tyle zrezygnowało z wątpliwej kariery mundurowego. Giuseppe jest jednak twardym gościem, ma na utrzymaniu dużą rodzinę, a jeszcze liczniejsza jej gałąź żyje rozrzucona po centralnych Włoszech. Już dawno temu zrozumiał, że w znakomitej większości uciekinierzy nie są żadnymi bandytami czy terrorystami, ale biedakami pokrzywdzonymi przez los i trzeba im pomóc. Można też na tym nieźle skorzystać, bo bez szemrania wezmą każdą pracę za najlichsze wynagrodzenie. Takich wyrobników w Europie ze świecą szukać. Bez legalnych umów, bez

należnego ubezpieczenia, bez normowanego czasu pracy. Toż to zastrzyk dla podupadającej włoskiej gospodarki, a nie nóż w plecy. Jeśli będzie się tę masę ludzką i siłę roboczą przetrzymywało w przeludnionych obozach, to i owszem, może zrobić się niebezpiecznie, zacząć się burzyć, a z nudów i bezsilności mogą zwrócić myśli ku ortodoksyjnemu islamowi. Jednak wystarczy dać im byle jaki ciepły kąpiel, trochę niewyszukanego papu i już będą zadowoleni. Najważniejsza jest nadzieja, której oni potrzebują jak powietrza, oraz wolność i poczucie bezpieczeństwa, którego u siebie w ojczyźnie nie mają od lat. Bez tego każdym człowiekiem może zawładnąć ciemność.

– Macie papierek? – Sprawdza Jasem, kiedy wszyscy kompani znów są razem.

– Skierowanie do ośrodka. Ponoć to blisko stąd, ale nie jestem zbyt dobrej myśli. – Abdul z niepokojem rozgląda się dookoła, bo jako człowiek ze wsi nie lubi tłumów i wśród mas czuje się zagubiony.

– Damy radę – pociesza żona, wspierająco biorąc go pod ramię. – O czym rozmawiałeś z tym gościem?

– Możliwe, że już jutro stąd wyjedziemy – przekazuje dobre wieści Jasem. – Prywatnie – dodaje konspiracyjnie, mrugając przy tym znacząco okiem.

– Byłoby cudownie! – cieszy się Judith. – Czyli ominie całą procedurę? Żadnych, wspólnych z tysiącami nam podobnych, promów do dużego, ale i tak przeludnionego centrum kraju, żadnych ośrodków dla azylantów na stałym lądzie. Na wyspie nie ma już miejsca, ale tak naprawdę całe Włochy mają nas dość.

– Mój miły oficer daje nam inną szansę. Nie trafimy do żadnego zawieszono ośrodka, ale do jego rodziny w Mediolanie.

– Super! Wspaniale! – Młodzi skaczą z radości.

Jasem doskonale zdaje sobie sprawę, że to przekręt i nie ma czym się radować, jednak nie chce od razu wylewać kubła zimnej wody na ich głowy.

– Zobaczymy jutro – mówi tylko. – We trójkę na pewno nie zginiemy, a dzisiejszą noc musimy jakoś przetrwać. Trzymajmy się razem.

– Oczywiście!

– Przecież ty, panie, jesteś naszym prywatnym bankiem i wekslem na przyszłość. – Czasami Abdul wykazuje się niezwykłym rozsądkiem. – Nie spuścimy cię z oka.

– A na dokładkę od dzisiaj sławnym herosem. – Kobieta inaczej na to patrzy, zwłaszcza gdy widzi zaciekawiony, ale i pełen podziwu wzrok co drugiego przechodnia koncentrujący się na ich kompanie.

Następnego dnia urzędnik się nie pojawia. Trójka współników trochę się niepokoi, ale to w końcu sobota, więc może facet odpoczywa. Potem nastaje niedziela i już nikt nie interesuje się niczym innym, jak tylko nieoczekiwaną wizytą papieża, który w swojej pierwszej podróży zagranicznej przybywa na małą Lampedusę, by oddać hołd dwudziestu tysiącom imigrantów, którzy utonęli w okolicznych wodach. Wczoraj mogło się to przydarzyć kolejnym dwustu.

– Idziemy? – proponuje niezdecydowanie Jasem. Cały budynek pustoszeje. Wszyscy uchodźcy w nabożnym skupieniu udają się na stadion, gdzie ma być celebrowana msza święta. – Dowiemy się może czegoś ciekawego – jednak nakłania.

– To nie moja religia. – Abdul nie jest zainteresowany.

– Co ci szkodzi? – Judith wspiera lidera grupy. – To nie tyle modły, ile manifestacja polityczna. Cholernie mocne wsparcie dla takich jak my.

Jasem zastanawia się, jak w miarę mądra dziewczyna mogła się związać z takim idiotą,

i dochodzi do jednego narzucającego się wniosku – facet musi mieć niespożytą potencję i dogadzać jej w łóżku.

Na wstępie homilii papież Franciszek opłakuje tych, którzy zginęli w drodze do Włoch, i apeluje o pomoc dla nadal przybywających imigrantów. Wszyscy z ponurą miną i smutkiem kiwają głowami. Ci, co stoją najbliżej libijskich uciekinierów, co rusz pokazują sobie Jasema, czy to wzrokiem, brodą czy wręcz palcem. Kiedy podnosi na nich wzrok, rozpogadzają się i promiennie uśmiechają do swojego bohatera. Dzisiaj jest na ustach i w sercu każdego. Nie chcą już słuchać o biedakach banitach, ale o odważnych ludziach. Uchodźcy bardziej od wody i jada, do których nie przykładają większego znaczenia, potrzebują herosa i lidera. Gdyby Jasem teraz, tutaj, na włoskiej Lampedusie, będąc w glorii i chwale, zechciał pociągnąć tych ludzi za sobą, nikt by mu się nie oparł. Wszyscy by za nim poszli.

– Imigranci zginęli w morzu. Płynęli na łodziach, które zamiast prowadzić po drodze nadziei, przyniosły im śmierć – mówi podniosłym głosem papież, wznosząc ręce do Boga, który słyszy, a nie grzmi. – Ginią niewinne dzieci i nastolatki! To straszne! Ogromny ból nie tylko dla rodziców, ale dla Pana Boga. Dla nas, jego pasterzy... – Teatralnie zawiesza głos, przerywa i daje słuchaczom chwilę na zastanowienie się nad jego ważkimi słowami. – Poczułem, że muszę przyjechać tutaj, by się modlić, by dokonać gestu solidarności, lecz również, by rozbudzić sumienia wszystkich, by to, co się wydarzyło, już się nie powtórzyło – dodaje, machając karcąco wskazującym palcem.

– Amen – rozlega się jeden za drugim głos w tłumie.

– *Amin* – potwierdzają muzułmanie.

– *As salamu alejkum*<sup>22</sup> – Franciszek w ich języku pozdrawia muzułmańskich imigrantów.

– Życzę wam, kochani bracia, w związku z rozpoczynającym się ramadanem, obfitych owoców duchowych.

– *Wa alejkum as-salam*<sup>23</sup>. *Szukran dżazilan*<sup>24</sup> – odpowiadają zbiorowo. – *Szukran, ja ustaz!*<sup>25</sup>

– Kościół jest blisko was w poszukiwaniu bardziej godnego życia dla was i waszych rodzin – zapewnia.

Mężczyźni, kobiety i dzieci chłoną każde słowo głowy Kościoła katolickiego, bo to papież teraz swymi słowami i autorytetem daje im ufność, że dobra przyszłość stanie się ich udziałem.

– Przybyłem na wyspę, by wstrząsnąć sumieniami wszystkich i nakłonić do zmiany postawy wobec dramatu imigracji. Dość już tej globalnej obojętności! – wykrzykuje Franciszek, co spotyka się z gromkimi brawami.

– Alleluja! *Amin!* Brawo! – tłum krzyczy coraz głośniejsze, euforia rośnie.

– *Sah!*<sup>26</sup> – dołączają ci, którym tekst tłumaczą znający język sąsiedzi. – *Sah!*

– Nasi bracia i siostry starali się uciec od trudnych sytuacji, z miejsc nie do życia i groźących śmiercią, hańbą i potępieniem, od okrucieństwa jarzma i wojny, by znaleźć trochę spokoju i pokoju. – Teraz głos zabiera chrześcijański biskup o arabskim pochodzeniu, jakich niemało w Syrii, Iraku, Libii i Palestynie. – Ofiary wojny i przemocy szukały lepszego miejsca dla siebie i dla swoich rodzin, ale znalazły tutaj śmierć.

Zapada cisza jak makiem zasiał, co jest wręcz niewyobrażalne przy wielotysięcznym tłumie. Wszyscy spuszcza wzrok i popadają w zadumę. Wspominają tych, co odeszli, których bezpowrotnie stracili. Ani nie będą mogli pójść na ich grób, ani spotkać się z rodziną i powspominać zmarłych, gdyż bardzo często nie mają już żadnych bliskich bądź pozostali oni daleko stąd.

– Ileż razy ci, którzy poszukują jedynie bezpiecznej krainy, nie znajdują zrozumienia,

gościny, solidarności – kontynuuje smutno chrześcijanin. – Proszę o przebaczenie w imieniu tych, którzy tej gościny wam odmówili. – Ksiądz specjalnie robi dramatyczną przerwę na zadumę. – I byście wy udzielili jej w dwójnasób za tych, których już między nami nie ma. – Swe słowa kieruje do lokalnych mieszkańców, którym wstyd się robi za wszystkich.

– Prosimy Pana o łaskę płaczu nad naszą obojętnością, nad okrucieństwem, które jest na świecie, w nas, także w tych, którzy podejmują decyzje prowadzące do ludzkich dramatów – głosi papież. – Kto płakał za tych ludzi na łodziach, za młode matki z dziećmi? – zadaje retoryczne pytanie głosem drżącym ze wzruszenia. – Kto jest odpowiedzialny za krew naszych braci i siostr? Nikt! Wszyscy tak odpowiadamy. Ja nie, ja nie mam z tym nic wspólnego, to inni, na pewno nie ja. – Macha rękami, jakby się bronił. – Gdzie wasza braterska odpowiedzialność? Niestety, kultura dobrobytu odbiera wrażliwość na wołanie o pomoc i prowadzi do tego, że ludzie przyzwyczajają się do cierpienia innych.

Zebrani na stadionie wierni i słuchacze patrzą w dwojaki sposób: muzułmanie, Arabowie i Afrykanie – złym i karcącym okiem, chrześcijanie, w większości Włosi, ze wstydem i pokorą swój wzrok opuszczają.

Papież Franciszek kończy homilię słowami:

– Prośmy Boga o odpuszczenie grzechu obojętności wobec braci i siostr. Prośmy o darowanie winy wszystkim, którzy się od nich odwrócili, zamknęli w swoim złotym kokonie, wywołującym znieczulicę społeczną. Szczególnie prośmy o przebaczenie tych, którzy swymi nieludzkimi uchwałami i rezolucjami na poziomie światowym stworzyli precedensy prowadzące do nieszczęścia bliźniego.

Jasem, jak i tysiące innych uchodźców, słucha słów papieża uważnie, a po ostatnich przejściach oraz pod wpływem zmiennych i najczęściej nieszczęśliwych kolei losu aż zbiera mu się na płacz.

– Gdybym nie był muzułmaninem, kochałbym tego człowieka całym sercem – stwierdza terrorysta, któremu po pobycie w więzieniu Abu Salim w Libii nagle mięknie serce. – Tak dobrze wyraża się o uchodźcach. Coś niesamowitego! Ujął wszystko w tak piękne i szczerze słowa, że na pewno dotrze do milionów serc. – Abdul spoziera na swego kompana z niedowierzaniem i podejrzliwością. – Niech nas przygarniają, niech otworzą przed nami swoje domy... – Zamyśla się. – I swoje kiesy – dorzuca, bo w oczach młodego džihadysty widzi zaskoczenie i przyganę.

– To rozumiem. – Z przekąsem uśmiecha się Abdul.

– Ale tych chrześcijan opierdolił – dodaje Jasem, ostatecznie otrzepując się z sentymentów. – To mi się podoba. Może zacznę chodzić do kościoła? – zarykuje się ze śmiechu.

Judith nie zważa na przekomarzanie się mężczyzn, bo jest wniebowzięta wymową kazania. Całą sobą chłoneła każde słowo papieża. *Długo już nam ona nie posłuży*, dochodzi do wniosku Jasem. *Przypomni sobie, jak było cudownie na tym zgnitym Zachodzie, i wysra się na nas*, wnioskuje, prawdopodobnie słusznie. *Trzeba ją jak najszybciej wykorzystać, a potem... No, wiadomo*. Jego oczy znów przybierają kamienny, lisi wyraz, kiedy taksuje piękną, młodą kobietę od stóp do głów. *Może się jeszcze coś uda z tego kwiatuszka uszczknąć?*, przechodzi przez myśl wygłodniałemu samcowi, który w więzieniu, gdzie notorycznie był torturowany, nie cierpiał zbytnio z powodu braku kobiet, lecz teraz jego libido zaczyna o sobie przypominać. Zawsze przecież miał wielkie potrzeby i niespożyte siły.

– Dzisiaj jeszcze prześpimy się w tej wylegarni zarazy, wszy i szczurów, ale jutro trzeba zacząć działać – decyduje lider grupy. – Nie możemy dać się zamknąć w żadnym ośrodku dla azylantów, a o kartę uchodźcy nie tak łatwo. Prześwietlają człowieka, a ja nie chciałbym, żeby grzebali mi w mojej biometrii.

Uchodźcy nie są trzymani pod kluczem, bo przecież z małej wyspy i tak nikt niepostrzeżenie się nie wydostanie. Jedyna droga do świata wiedzie przez port albo lotnisko, które znajdują się w południowej części wyspy. Po mszy przy pięknej pogodzie to tam udaje się trójka współników. Cały czas wypatrują funkcjonariusza, który obiecał Jasemowi pomoc, ale nigdzie na niego nie natrafiają. Za to każdy mijany uchodźca kłania się Jasemowi i jego kompanii, ściska dłoń i wymienia grzeczności. Jasem nie szukał takiej sławy, absolutnie nie jest mu potrzebna, ale jego impulsywne działanie doprowadziło do takiej sytuacji i nic na to nie poradzi. Pozostaje jak najszybciej stąd wiać. Lokalni mieszkańcy wioski patrzą zaś na nich z lękiem i niepewnością. Przybysze bowiem nie prezentują się zbyt okazale, wręcz wyglądają na meneli, bo nie dość, że starali się sprawiać wrażenie typowych banitów w zwykłych, byle jakich ubraniach i zdeptanych klapkach, to teraz jeszcze są zwyczajnie brudni i zapoceni, gdyż nie widzieli wody i mydła od trzech dni. Ciągnie się za nimi welon przykrego smrodu, bo na wejście do wspólnej łazienki w ośrodku nie potrafili się zdecydować.

Kupują jedzenie na wynos w lokalnej nadmorskiej knajpce i idą na skaliste wybrzeże, gdzie smażoną rybę i frytki jedzą palcami, zapijając lodowatą colą i rozkoszując się słoneczną aurą i nadmorską bryzą. Moczą nogi w zimnej morskiej wodzie, przemywają ręce i szyje. Nie gadają za dużo, bo każdy z nich ma swoje zmartwienia. Co dalej? Jak się stąd wydostać? Wizja obiecanego młodej parze przez Jasema miliona, czy nawet pół miliona, zaczyna się oddalać. Co będzie, kiedy utkną tutaj lub w innym, jeszcze lepiej strzeżonym miejscu na dłużej? Co będą robić? Jak i z czego żyć? Jedynie Abdul nie zaprzęta sobie głowy zbyt długimi dywagacjami, bo jak dzieciak zaczyna gonić mewy i rybitwy spacerujące po plaży. Judith patrzy na dorosłego głupka maślanym wzrokiem, a Jasem widzi, że z ich strony żadnego wsparcia nie może się spodziewać. I tak Libijczyk dokonał prawie niemożliwego. Że temu idiotcie udało się zorganizować ucieczkę terrorysty z więzienia albo raczej nie zepsuć tego, co ktoś mądrzejszy od niego zaplanował, to istny cud.

W poniedziałek z samego rana z nowymi siłami i wiarą w przyszłość niezrażona trójka udaje się do portu, tam gdzie spotkali mundurowego, który zaoferował pomoc ich liderowi. Są odświeżeni, a ich jeszcze wilgotne ubrania pachną płynem do płukania Cocolino, które Judith udało się dostać w jednym z opustoszałych sklepików. Włoch jest w swoim biurze. Kiedy ich widzi, wygląda, jakby chciał uciec, lecz poczucie winy osadza go w miejscu.

– Witaj, panie. – Jasem pokornie pochyla głowę, choć nie przychodzi mu to łatwo, bo takiego nic niewartego niewiernego, a na domiar złego – niesłownego gnojka z chęcią by rozmazał na ścianie. – Czekałem na ciebie przedwczoraj i wczoraj...

– W sobotę mam wolne, a w niedzielę chodzi się do kościoła – odburkuje niezadowolony tubylec.

– Wiem, też byłem na wczorajszej modlitwie. – Pół-Syryjczyk szokuje rozmówcę, który od razu mięknie. – Sam papież Franciszek nawoływał do pomocy i otwarcia serca dla nas. Słuchałeś go? – Gra na czulej strunie chrześcijanina.

– Oczywiście. Każdy słuchał.

– To jak będzie z tą twoją pomocą? Wyciągniesz do mnie rękę? Do swojego bliźniego?

– Ale widzę tu jeszcze dodatkowe osoby. – Włoch pokazuje brodą na Abdula i Judith.

– To mój jedyny kuzyn z żoną – tłumaczy Jasem niezdecydowanemu celnikowi, który nie jest zadowolony, że z jednej owieczki nagle zrobiły mu się trzy. – Wiele razem przeszliśmy. – *Szczególnie w kalifacie i Libii, podśmiechuje się w duszy.*

– No ja rozumiem, ale...

– Nie mogę rozdzielić się z ostatnim członkiem rodziny, jaki pozostał przy życiu. Pomóż, bracie. – Robi zrozpaczoną minę i wie już, że po wczorajszej papieskiej agitacji Włocha ma kupionego.

Jasem nadal musi się trzymać z Abdulem, choć nie da się z niego wykrzesać nobliwej osoby i w każdym stroju będzie wyglądał jak prostak. Judith zaś wadzi dżihadyście, bo zwraca uwagę każdego swoją niezwykłą urodą i powabem. Nie ma jednak co z nimi zrobić, a że nadal ich potrzebuje, załatwia im papiery przesiedleńcze u zde gustowanego poplecznika. Krewniak z Lampedusy poręcza za doktora nauk informatycznych Ahmeda Salimiego, więc jego swojak z Mediolanu nie chce zawieść, zwłaszcza po ostatniej homilii papieża Franciszka. Obecnie każdy Włoch, który przecież uwielbia i słucha głowy Kościoła, jakby sam Pan Bóg do niego przemawiał, stara się zmienić swoje nastawienie do niechcianych gości.

– Co twój kuzyn umie? – Mario, bogaty pociotek wyspiarza, od razu się denerwuje i podnosi głos. – Jakie ma wykształcenie? Co mógłby u mnie zrobić? Zna włoski? Angielski? – Mediolańczyk wywraca oczami, bo widzi, że jego krewniak, dziesiąta woda po kisielu, w swoim zawodzie już się wypalił, za dużo widział i nie odsiewa ziarna od plew. I takie właśnie plewy mu teraz podrzucił.

– Panie, to dobry człowiek. Ciężko pracował, żebym ja mógł się uczyć – zmyśla na poczekaniu Jasem. – Sam wiesz, jak to bywa... – Wymownie zawiesza głos.

– No tak... – Rozmówca czuje się głupio, ale nie ma pomysłu, jak pomóc tym ludziom.

– Oni we dwójkę mogliby pracować w jakiejś knajpie. – Podrzuca koncept pół-Syryjczyk, którego mózg potrafi wymyślić multum projektów na każdą okazję. – On, biedaczek, na kuchni czy nawet na zmywaku, a Jasmin, jego żona, jako kelnerka.

– A skąd ona w ogóle do was? – Pracodawca zaczyna się robić podejrzliwy, bo ta trójca stanowi totalną ludzką mieszankę różnych genów. Jasem wygląda na Europejczyka z Wysp i wysławia się perfekcyjnym brytyjskim angielskim, dziewczoja jak rzepa, widać, że Amerykanka z typowymi wystającymi kośćmi policzkowymi, wysokim czołem i błękitnymi szeroko rozstawionymi oczami. Zaś młodzik to typowy Arab, może i przystojny, czarnowłosy i czarnooki, ale tępota aż bije z jego twarzy. – Jacy z was uchodźcy? Coś kręcicie!

Jasemowi skóra cierpnie, bo nie przewidział, że ani on, ani Judith do tej bajki nie pasują i Europejczycy, choć uważał ich za imbecyli, tego nie kupią. Aż mu się mózg gotuje, by uratować groźną sytuację, bo może się okazać, że udało mu się zwać z libijskich kazamatów, by w prostej linii trafić do tych europejskich. A tu już nikt mu nie pomoże i na pewno przerobią go na szmaty.

– Moja matka była Polką – konfabuluje szybko. – Ojciec, wyjątkowy drań, zabrał mnie od niej i przetrzymywał w Libii. Jednak nie namieszał mi w głowie islamem i Allahem – gada, co słuchacz chce usłyszeć. – Jako nastolatek zwałem od niego. Tak to bywa, panie. Bogu dzięki i najjaśniejszej Paniencie – udaje religijnego chrześcijanina – szkoły pokończyłem w Anglii, bo kochana mamusia wyszła za mąż za Brytyjczyka i ja, jako dorosły i oddany jej syn, mogłem już z własnej woli do niej dołączyć. Widać, geny nadwiślańskiej Marii były silniejsze niż pastucha Ahmeda. Jedynie imię i nazwisko mi po tym tytku pozostały.

Mediolańczyk słucha uważnie, a podejrzliwość z jego serca powoli pierzcha, bo przecież ileż takich mieszanych małżeństw było i u nich i kończyło się tak samo tragicznie. Zna te historie.

– A ona? – Chce jeszcze usłyszeć historyjkę o dziewczynie, która stoi zagubiona za plecami prowodyra i gryzie z nerwów wargi. Wie, że trzeba milczeć, bo najdrobniejsza wsypa

zakończy się dla tych pseudouchodźców tragicznie, a i ona może dostać dożywocie za pomoc już nie jednemu, ale dwóm terrorystom. – Przecież to nie Arabka. Nie Libijka.

– Zgadza się. Jesteś bardzo spostrzegawczy, panie. – Jasem potakuje z poważną miną. – Kolejna głupia gąska, która zakochała się w śniadym obrzezańcu. – Włoch kręci na boki głową w krytyce babskiej naiwności. – Wiesz, co zrobiła? Na arabskim weselu spaliła swój amerykański paszport i odcięła się całkiem od rodziny. Tak że teraz jest tylko i wyłącznie Libijką, choć wykształconą, z licencjatem i oczywiście biegle władającą angielskim.

– Znam też trochę włoski, hiszpański i ciut rosyjski – dorzuca skromnie kobieta. – Nie ma problemu z międzynarodowymi klientami w restauracji, a i mogę pomóc z dokumentami w biurze, jakby Jasem... – gryzie się w język – ...Ahmed sobie nie dawał rady.

– Niezła myśl – zgadza się Mario, mimowolnie rzucając okiem na dekolt Amerykanki.

– U niej to klienci najgorsze danie pochwalą i będą zamawiać i zamawiać – śmieje się spryciarz, od razu zauważając łakomy wzrok rozmówcy. – Rozum ma za nich dwoje. – Rozmowa się ociepla, a Abdul stoi jak na tureckim kazaniu, bo mało co ze skomplikowanej, prowadzonej po angielsku konwersacji rozumie.

– Ty, jako informatyk, znasz się na stronach internetowych i jakiejś tam sieci? Na reklamie internetowej też? – Włoch wprowadza ich do biura w piętrowym obskurnym baraku, mieszczącym się na dużym terenie na obrzeżach miasta. – Chcemy uruchomić catering. Ludzie teraz uwielbiają żreć z pudełek.

– Mój drogi! Pod moją ręką twoja firma rozkwitnie. – Jasem uśmiecha się od ucha do ucha, bo dajcie mu tylko komputer i internet, a od nowa zbuduje świat. Przecież kalifat tak długo przetrwał nie tyle dzięki głupim, naiwnym bojownikom, samobójcom, co szli na pewną śmierć, ile dzięki niemu i jemu podobnym inteligentom oraz finansom, którymi potrafił się dobrze zaopiekować.

– Mam duże mieszkanie, które zamieszkuje moi pracownicy, ale jest tam jeszcze jeden wolny pokój. – Mario jest szczęśliwy, bo wydaje mu się, że chwycił byka za rogi. – Bierzecie?

– Oczywiście. My nie jesteśmy wymagający. – Szef trzyosobowej bandy decyduje za wszystkich. – Jak zaczniemy zarabiać, to może coś sobie wynajmiemy.

– No to zgoda. Mój bratanek wprowadzi was we wszystko, a tych dwoje młodych zawiezie do mojej restauracji w centrum miasta. Niech się wdrażają.

– Świetnie. Dziękujemy. Bóg zapłać.

– Ty zaś nad komputerem siedziałbyś tutaj. Masz prawo jazdy?

– Mam. – Jasem kłamie jak z nut, choć nie ma zamiaru ani wyrabiać tutaj międzynarodowego na podstawie swojego arabskiego prawka, ani ponownie zdawać egzaminu. Postanawia być jak najdalej od baz danych osobowych, bo a nuż coś wyśledzą. Do Interpolu stąd bliżej niż z krajów arabskich.

– To weź tego luzaka. – Facet pokazuje na zrujnowanego małego fiacika 500, a obdarowany nie wybrzydza. Porsche jeszcze sobie kupi.

Grupa konspiratorów po ciężkim początku rozpoczyna nowe życie. Jednym przychodzi to łatwo, innym ciężiej, a najgorzej pastuchowi Abdulowi, który powinien był zostać w swoich ukochanych libijskich górach Gharianu i wypasać owce i kozy do końca życia. To jego przeznaczenie. On sam o niczym innym nie marzył, lecz wyjazd do kalifatu w Syrii namieszał mu w głowie, Judith to kontynuowała, a Jasem całkiem utrwalił. Teraz jednak nowoczesna para widzi, że niektórych drzew nie należy przesadzać.

Alzani błyskawicznie opanowuje i rozwija firmę Włocha, zdobywając dla niego setki

nowych klientów. Stronę internetową buduje nie trzy miesiące, ale ma ją już gotową w trzy tygodnie. Najwięcej problemów sprawia mu sam Mario, który mimo że ma dopiero piąty krzyżyk na karku, zupełnie nie zna współczesnych rozwiązań, przez co domenę oraz host kupuje, chodząc prawie codziennie do banku. Dlatego też znakomity doradca namawia go do założenia internetowego rachunku bankowego. Kiedy otrzymuje zgodę i wszystkie niezbędne dane Włocha, zaczyna działać pełną parą. Na razie szef się tym nie interesuje. Jasem powolutku przejmuje obowiązki księgowego, tłumacząc to tym, że każdego dnia trzeba sprawdzać wpływy i wydatki. Wszyscy się cieszą, bo w końcu coś w tej firmie jest pod kontrolą. Po chwili już wszystko jest pod nadzorem, ale... kryptoterrorysty.

Jasem błyskawicznie uruchamia sieć cateringu dietetycznego on-line, gdzie młodzi i starsi ludzie zamawiają zdrowe posiłki w pudełkach. Przelatuje mu przez głowę, że mogliby coś takiego sami otworzyć, ale... to nie dla niego. Mając pełny dostęp do niezłego internetu w biurze sporej firmy mediolańczyka i zaszyfrowane, ukryte własne subkonta pod płaszczykiem włoskiej firmy, może znowu rozwinąć skrzydła. Ani szef, ani żaden z pracowników nie są w stanie go skontrolować, a że nie ma zarzutów co do jego pracy i kompetencji, nikt nawet o tym nie pomyśli. Do czasu.

– Mój własny księgowy chciałby zobaczyć moje finanse. – Pewnego słonecznego dnia szef przekracza próg biura, które pomimo hossy nadal mieści się w blaszaku, bowiem to idealne miejsce do prania brudnych pieniędzy. – Ja również. Czemu nie otwiera się moje konto w aplikacji w telefonie? Twierdziłeś, że to ułatwia życie, a tymczasem w banku także nie chcą mnie obsłużyć. – Ma wyraźne pretensje.

– Księgowy jest jedynie twoim pracownikiem, więc dziwię się, że chciałbyś, by grzebał ci w twoim własnym portfelu. – Jasem ma gotową odpowiedź, bo jeśli potrafił z kalifatu wyprowadzić grube miliony na „zieloną trawkę”, to wydaje mu się, że taki włoski neptek w niczym mu nie zagraża.

– Byłem w moim banku i powiedzieli mi, że nie mam dostępu. – Takiej namolności sprytny złodziej się nie spodziewał, zwłaszcza że w kalifacie nie miał z tym do czynienia. Kalif Abu Bakr al-Bagdadi raczej do Szwajcarii nie mógł pojechać, by sprawdzić swoje zakamuflowane rachunki, musiał się opierać wyłącznie na słowach Jasema i drugiego specja od finansów, Junisa, z którym pół-Syryjczyk działał ręką w rękę.

– Takie poczyniłem zabezpieczenia – internauta gęsto się tłumaczy. – Nie chciałem działać w otwartej bazie danych, zajmując się przychodami tak dużego przedsiębiorstwa. Są konta prywatne i całkiem prywatne. Tak zwane zaszyfrowane. Jeśli nawet urząd skarbowy czy ministerstwo finansów będą chciały cię sprawdzić, to bank bez twojej zgody, haseł i PIN-ów oraz stu tysięcy podpisów nie będzie mógł udostępnić im twojego rachunku.

– Ciekawe...

– Wszystko masz na czysto? Ze wszystkiego rozliczasz się przed fiskusem?

Mario zaciska usta, bo oczywiście robi też lewiznę, a zatrudnienia tej trójcy i wielu innych pracowników nigdzie nie zgłasza.

– Cóż... niekoniecznie – przyznaje.

– Widzisz zatem, że lepiej mieć konto VIP27. Tylko dla wybranych.

– Ale ja nie znam haseł do mojego rachunku! – znów się oburza nadpobudliwy makaroniarz.

– Już znasz. – Jasem jest na to przygotowany – wręcza mężczyźnie zafoliowany mały żółty kartonik z numerkami, literkami i znakami specjalnymi.

– Nie mam karty płatniczej...

– Tylko dziady mają płatniczą. Ty masz kredytową. – Wkłada mu w rękę plastikowe



pieniądze, z których do tej pory sam bezkarnie korzystał, musząc utrzymać siebie i swoją kompanię. – Wydrukować ci saldo z ostatniego miesiąca?

– Oczywiście! – nadal burzy się właściciel, choć już powoli się uspokaja. – Dlaczego regularnie tego nie robisz?!

– Robię. – Haker podchodzi do metalowej szafy z kasą pancerną, otwiera ją szyfrowym zamkiem i wręcza Włochowi segregator z wydrukami z ostatniego półrocza. – To jest oficjalne, a to w czarnej teczce – lewe. Zgadza się?

– Zgadza. – Mario aż bierze głęboki wdech, bo nie ma pojęcia, skąd ten gość wszystko wie.

Po żywej acz owocnej konwersacji szef już doskonale wszystko rozumie i przyklaskuje pomysłowi. Pieniądze z dostaw gotowych dań do domów trafiają na konto, ale nikt nie wystawia za nie rachunków, hurtownia warzyw i owoców również należąca do firmy to wolna amerykanka, gdyż artykuły biorą często sprzedawcy uliczni, którzy z nikim się nie rozliczają, a zestawienia z rewelacyjnie prosperującej knajpy, którymi do tej pory zajmował się księgowy mediolańczyk, to każdego dnia góra pomiętych, poplamionych zamówień zapisanych na skrawkach papieru. Jasem zastanawia się, czy tutaj nikt nie wystawia i nie otrzymuje faktur, ale widać tak jest w tym kraju, gdzie najważniejsza jest dobra zabawa, italiańskie żarcie i hektolitry wina.

– Zwolnię mojego księgowego i całkiem przejmiesz te klocki, dobrze? – proponuje biznesmen.

Jasem odmawia, kręcąc głową, ale zaraz też tłumaczy:

– Jak go zwolnisz, to zaraz cię podkabluję do jakiegoś urzędu.

– Och! – Stracha się mediolańczyk. – Co robić zatem?

– Oto program komputerowy do prowadzenia twojej księgowości. – Informatyk wręcza pracodawcy przenośny dysk. – Ostatnie pół roku jest już wprowadzone.

Wdzięczny właściciel z uśmiechem od ucha do ucha i wyrazem wdzięczności kładzie dłoń na serce.

– Ratujesz mi życie! – oznajmia nadpobudliwy furiat, u którego droga od złości do radości jest bardzo krótka.

– Nie życie. Dupę – przyziemnie stwierdza Jasem. – Mogę przeszkolić twego buchaltera, jak obsługiwać to oprogramowanie.

– Wspaniale! Ale czy to nie nazbyt trudne dla niego?

– Nie sędzę. Teraz wszyscy w branży z tego korzystają.

– Jeśli tak mówisz.

– Ja będę mu podsyłał zestawienia i wybrane rachunki, a on będzie cię nadal oficjalnie z nich rozliczał. Kiedy gość chce mieć dostęp do twojego konta, to znaczy, że coś podejrzewa. Daj mu podwyżkę, to powinno osłabić jego zainteresowanie nie swoimi finansami. Wszystkie faktury będzie dostawał ode mnie wirtualnie, nic namacalnie. Niech nawet pracuje z domu. Ucieszy się.

– Świetny pomysł, bo coś mi się skarżył ostatnio na stan zdrowia. Ciągle się przeziębiał. Łapie grypę za grypą.

– No widzisz.

– Jak ja ci się odwdzięczę? – niewinnie pyta krwiopijca kapitalista.

– Dziesięć tysięcy euro. Przeleję sobie na moje konto, jeśli pozwolisz.

Mario przełyka ślinę na takie wieści, ale sam ubrał się w tę sytuację. Zupełnie mimowolnie wyznał obcemu facetowi, przybłądzie, uchodźcy, że posiada lewe dochody i okrada fiskus i instytucje socjalne. Teraz już nie ma wyjścia. Wychodzi z biura Jasema z podkulonym ogonem, a ten ma już w pełni wolną rękę.

Pół roku wystarczy, by Jasem odblokował swoje finanse, przetasował fundusze i stanął na nogi. Jedyne, co spędza mu sen z powiek, to brak czystych dokumentów. W Europie ich nie wyrobi. Tu i teraz każdy się boi, a jego kolesie fałszerze, których już niewiele pozostało, zamelinowali się w mniej kontrolowanych krajach. Z chęcią by tutaj pozostał, bo włoskie życie jest łatwe, komfortowe i wesołe, ale czuje, że jego droga uchodźcy jeszcze się nie zakończyła.

Judith pracuje w restauracji na terenie znanej ekskluzywnej galerii Wiktora Emanuela II w centrum Mediolanu, zwanej salonem mediolańczyków. Centrum handlowe mieści się w oszklonym dziewiętnastowiecznym pasażu neoklasycystycznym z ulokowanymi w czterokondygnacyjnej galerii butikami luksusowych marek, takich jak choćby Gucci, D&G, Swarovski czy YSL, oraz salonami mody Prady, Versace i Louisa Vuittona. To nie są już tylko domy mody, ale swoista galeria sztuki, w której każdy, nawet ten, kogo na te artykuły nie stać, czuje się wyjątkowo. Przepiękna galeria położona jest u stóp najwspanialszej katedry Mediolanu przy Piazza del Duomo. Codziennie przez jej wnętrza przewijają się tysiące turystów z całego świata, którzy na swoich listach *must see*<sup>28</sup> mają bezwarunkowo to miejsce. Mijają ociekające luksusem witryny największych domów mody, najwspanialszych twórców biżuterii oraz wyśmienitych restauracji, a między nimi słynną, otwartą w dziewiętnastym wieku Savini. Są tam też zwykłe bary i kawiarnie. Dodatkowo dla najbogatszych na najwyższym piętrze znajduje się hotel. Lokale pękają w szwach, bo każdy, nawet najbiedniejszy, chce się tu napić choćby kawy czy wody mineralnej, zrobić selfie i puścić taką focję w sieć portali społecznościowych. W części centralnej na posadzce pasażu widnieje herb rodziny sabaudzkiej – biały krzyż na czerwonym tle. Dookoła niego znajdują się herby czterech największych włoskich miast: byk Turynu, wilczyca Rzymu, lilia Florencji oraz czerwony krzyż na białym polu Mediolanu. Według legend na mozaice byka koniecznie trzeba się obrócić na pięcie, aby szczęście się do nas uśmiechnęło. Rodowici mediolańczycy zaś twierdzą, że to przydeptanie jąder tego biednego zwierzęcia sprzyja fortunie. Judith codziennie przed pracą z dużą przyjemnością wykonuje albo jeden, albo drugi rytuał. Abdul nie jest taki radosny i pełen optymizmu jak żona, więc tylko krzywo na nią patrzy i wbijając wzrok w ziemię, idzie do swoich zatłuszczonych garów.

Amerykanka wygląda tak, jakby ostatnie lata życia nie odcisnęły żadnego piętna na jej duszy, psychice ani zachowaniu. Wydaje się, że zapomniała o Rakce i kalifacie, o swoim zniewoleniu i wielokrotnych gwałtach, których się na niej dopuszczano, późniejszej skomplikowanej i niebezpiecznej ucieczce, skromnym, wręcz prymitywnym życiu w Libii, a przede wszystkim o miłości Abdula. Zupełnie jakby puściła w niepamięć wszystkie krzywdy, ale też wykreśliła z serca syna, Nazima, którego zostawili pod opieką dziadków w Al-Urban, rodzinnej wiosce Libijczyka. Wszystko to uleciało z jej pamięci. Teraz i tutaj czuje się, jakby przyjechała na letnie wakacje dorobić sobie do kieszonkowego. Jakby nigdy z tego cudownego, cywilizowanego świata nie wyjeżdżała. Stało się tak, jak przewidywał Jasem. Dwie totalne przeciwności mogą ze sobą współzystawać tylko w ekstremalnych warunkach, przy ograniczeniach i zniewoleniu. Wolny świat daje kobietom zbyt wiele swobody.

Judith, pracując w knajpce Mario, dla którego ten lokal, choć mały, i tak jest nie lada biznesowym sukcesem, bo mieści się w centrum miasta, w znanym, magicznym miejscu, poznaje coraz więcej wpływowych i bogatych osób, oczywiście w większości płci przeciwnej. Kiedy kończy pracę – około północy lub później, bo przecież mają otwarte do ostatniego klienta – nieraz idzie z kimś na drinka lub na spacer po mieście, które nigdy nie śpi. Zgodnie z jej umową z Jasemem codziennie zdaje relację bossowi ze swoich nowych kontaktów. To on przesiewa jej absztyfikantów i decyduje, z kim ślicznotka ma nawiązać bliższe relacje. Abdul wraca do domu

skuterem, kiedy kuchnia zamyka swoje podwoje, i od dwudziestej drugiej, jak grzeczny uczeń, grzeje już łóżko, grając w komputerowe gry. Młody mężczyzna jest wściekły, ale pozostała dwójka tłumaczy mu, że to koszty, które trzeba ponieść. Obiecują, że jak tylko się zagospodarują, Judith znów będzie jego i tylko jego, a on w końcu nie będzie musiał upodlać się przy zmywaku. Czystej krwi Libijczyk jest Beduinem z dziada pradziada i pasuje do Europy jak pięść do nosa. On pragnie szerokich przestrzeni, a nie wąskich uliczek zabytkowych miast, marzy o piachu pustyni i cieniu palm, słonecznym skwarze i nieskomplikowanym życiu. Technologia i luksus oraz liczne obostrzenia i prawa go deprymują. Jest załamany stanem rzeczy i niezrozumieniem najbliższych, więc zaczyna zadawać się z włoską hołotą, nawet czasami pić alkohol i ćpać, w czym coraz bardziej się zatracza. Kiedy pod wpływem używek traci kontrolę, staje się niebezpieczny i stanowi zagrożenie dla swoich współników.

– Miałeś mi dać milion dolarów, tak? – Zawsze po wypitce naciska Jasema i przypomina o niespłaconym długu.

– To nie takie proste dyskretnie wydobyć tyle kasy! – Lider nieraz musi na niego podnieść głos. – Spod ziemi jej nie wykopię!

– Rozlicz się, i to natychmiast, bo doniosę na ciebie do Interpolu albo gdzieś tam i będziesz się miał z pyszną – straszy totalny głupek.

– Zatem sam szykuj się na długoterminową odsiadkę, a może nawet na dożywocie – uprzedza pół-Syryjczyk, coraz częściej dopuszczając do siebie myśl, że chyba będzie musiał tego idiotę sprzątnąć. – Judith też tam pociągniesz. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Abdul zazwyczaj w takich momentach wygląda jak skarcony chłopiec – robi wielkie oczy, które błyskawicznie zachodzą łzami. Widać, że sytuacja go przerosła i zupełnie sobie z tym nie radzi. Jasem zawsze wychodził z założenia, że słabe ogniwo należy wyeliminować. Decyduje, że jeszcze jedna taka groźba, a młody wylądował w mediolańskim kanale Naviglio.

– Ogarnij się! – radzi, mierzwiąc skołunioną, zatłuszczoną fryzurę pogubionego młodzika. – Może zrobisz coś kreatywnego? Rusz głową, do cholery!

– Co niby miałbym zrobić? Iść do muzeum, do teatru? Nie znam odpowiednich ludzi, nie znam języka, nie znam tutejszego życia... – Abdul dalej się maże. – Obracam się wśród chuliganów i uchodźców. Same prymitywy – narzeka, bo rzeczywiście tutejsza klasa robotnicza to w większości wyjątkowe lumpy i recydywiści.

– Może zapiszesz się na fitness? To teraz takie modne.

Jak zawsze zupełnie przypadkowo Jasem wpada na genialny pomysł. Od tej pory młody każdą wolną chwilę spędza na siłowni, gdzie znajduje takich samych półgłówków jak on. Uszczęśliwieni mięśniacy podnoszą stukilogramowe ciężary, pierdzą przy tym i śmierzdzą, a także obleśnie jęczą, tym samym wyladowując swoje nagromadzone napięcia i frustracje. Efekty ćwiczeń bardzo szybko widać, co niezwykle podoba się płytkiej Amerykance. Znów krótkie noce młodych pełne są westchnień, ochów i achów. Jednak odroczenie wybuchu bomby zegarowej nie jest wieczne. Dlatego za wszelką cenę Jasem musi znaleźć drogę do swoich sprzymierzeńców, których jeszcze całkiem sporo pozostało w północnej Afryce.

– Jak ci się podoba? – Pewnego wieczoru, kiedy Judith nadal jest w pracy, a Jasem po obfitej kolacji na mieście delectuje się dobrym czerwonym winem na balkonie w wynajętym przez nich apartamencie, Abdul podsuwa mu pod nos czarno-białą fotkę. – Poznałem fajnych chłopaków na siłce. Dorabiają sobie pozowaniem do zdjęć. Myślisz, że nie rozgniewa to Allaha?

Były dżihadysta najpierw spogląda na naiwnego młokosa, a potem podnosi fotografię do światła i patrzy na nią okiem artysty. Musi przyznać, że w końcu jest coś, do czego ten chłopak

idealnie się nadaje. Ze zdjęcia spoziera na niego piękny, rewelacyjnie zbudowany śniady ogier, którego wielkie, czarne oczy goreją od zmysłowości, a wargi, ułożone w naturalnym, kokieteryjnym uśmiechu, odsłaniają białe jak perełki zęby. Ten model mógłby wszystko reklamować – od sportowych suplementów po kocia karmę. Kobiety, widząc to zdjęcie, kupiłyby byle co zapakowane w papierek z jego podobizną.

– Masz to w wersji elektronicznej?

– Pewnie.

– Puszczaleś gdzieś w sieć?

– Ponoć mi nie wolno...

– Moglibyśmy umieścić na stronie Mario ze zdrowym jedzeniem. Każdy kiep pomyśli, że jak będzie je żarł, to stanie się taki piękny – chichra inteligent, lecz zaraz pochmurnieje. – Albo lepiej nie.

– Dlaczego? – pyta Abdul.

– Wyjechałeś z Libii raczej nie jako turysta czy student – uświadamia go starszy poplecznik. – Na pożegnanie zabiliśmy dwóch funkcjonariuszy, a ty osobiście pomogłeś zwać najważniejszemu libijskiemu więźniowi ostatniego dziesięciolecia.

– Gdzie tam Libijczycy będą do Włoch zaglądać? – Lekceważy problem beztroski głupek.

– Do Mediolanu? Oni na pastwiskach siedzą i owce wypasają. – Kiedy tylko ociera się o wielki świat, wyraża się o swoich braciach z pogardą.

– Nie wiesz, że Libia była kiedyś kolonią włoską i nadal mają z tym krajem bliskie, wręcz rodzinne więzi? Także finansowe i prawne. Oni tutaj czują się jak w domu i przyjeżdżają jak po zboże. Zwłaszcza ich elity. Nie mówimy o kozojebcach, bo tacy nam nie zagrażają.

– Zawsze musisz mnie zdołować i usadzić w miejscu. Zablokować. Jak już coś mi się udaje, ty to niszczysz! – Abdul znów jest wściekły i całą swoją złość kieruje w stronę ciągle tej samej osoby. – Zabrałeś mi żonę, wolność, a teraz chcesz mnie pozbawić źródła całkiem niezłych dochodów.

– Dostałeś za to pieniądze?! – Jasem jest przerażony, bo czuje już na swoim karku karzącą rękę sprawiedliwości. – Ile?

– Za tę jedną focię tysiąka, ale za całą sesję mają mi dać dwadzieścia tysięcy euro! – dumnie wykrzykuje piękniś. – A jak się nadam na modela ciuchów, to nawet i sto tysięcy dadzą.

Jasem gwałtownie wstaje, idzie do swojego pokoju i wraca z plikiem pieniędzy. Macha nim przed nosem młodego, a temu z zachłanności aż oczy błyszczą.

– Sukcesywnie zbieram dla nas kasę. Na lepsze czasy, w lepszym, bezpiecznym miejscu – syczy dżihadysta przez zaciśnięte zęby. – Na podstawie jakiego dokumentu podpiszesz umowę? Jak otworzysz konto w banku? Będziesz dostawał przelewem pensję i zarejestrują cię w tutejszej ubezpieczalni? Jakim imieniem się przedstawisz?

– Abdul? – Matołek jest trochę zbity z pantafyku. – A jakim? Wszyscy wiedzą, że jestem Abdul, libijski uchodźca.

– Abdula Libijczyka mają już zapewne dokładnie odnotowanego, ale nie jako uchodźcę, tylko groźnego dżihadystę. Prawą rękę terrorysty. Mordercę. Gwarantuję ci, że twoja facjata razem z moją jest już na listach gończych. Mieliśmy cicho siedzieć i czekać na możliwość wyrobienia nowych, czystych paszportów. Również ty, nie tylko ja. Do tej pory nie musiałeś zmieniać rysów twarzy, ale jak ją rozpowszechnisz i rozreklamujesz, to będziesz miał tak samo przesrane jak ja.

– Nic o tym nie wiem. Mnie wrzuciliście na zmywak, żebyśmy chyba tam zgnił. Nikt ze mną o żadnym zagrożeniu i konieczności ukrywania się nie rozmawia. – Jasem musi przyznać młodemu rację, bo jeśli idzie o plany ich trójki, tylko dwójka jest wtajemniczona. – Ja tu zostaję.

Niech drukują moje zdjęcie. Trudno.

– Popierdoliło cię?! – Starszy trzaska po łbie zszokowanego młokosa. – Ty debilu! Przez ciebie nic innego nam nie pozostaje, jak tylko uciekać! Dokądkolwiek.

Pewnego wieczoru w knajpce Mario w galerii Wiktora Emanuela II pojawia się opasły i obmierzły, ale niezłe dziany biznesmen z Hiszpanii, a ściślej biorąc, z Gran Canarii. Tak głośno się zachowuje, tak się przechwala, że cała knajpa wie o jego bogactwie. Wtajemniczona w plan ewakuacji Judith od razu bierze go na widelec. Widząc maślany wzrok zalotnika, robi do niego seksowne miny i co chwilę podchodzi do jego stolika. Planuje oczarować go na tajemnej randce, by gościa oszalał na jej punkcie i zechciał zaprosić ją do swego kraju. Ją i jej dwóch współników. Nie wie, jak to rozegrać, ale przecież od tego jest Jasem. On na pewno ułoży scenariusz, który łyknie ich wybawiciel.

– *Hello!*29 – facet zagaja, kiedy jego towarzystwo rozchodzi się do domów, a on reguluje rachunek. – Napijesz się ze mną? – zwraca się obcesowo, choć zna już odpowiedź.

– Oczywiście. Ale nie tutaj.

– Chodźmy zatem na miasto. – Gruby i niski gość podnosi się z krzesła, przy czym bez pardonowo rozbiera wzrokiem młodą, piękną kelnerkę.

– Słyszałam, że jesteś z Gran Canarii? – Kobieta postanawia potwierdzić dane, żeby na darmo się nie trudziła.

– I owszem. Byłaś tam kiedyś?

– Nie, ale bardzo bym chciała. Kawał świata zwiedziłam, a taką piękną wyspę przegapiłam.

– Globtroterka z ciebie.

– Ano. Byłam w Azji, Afryce i na Bliskim Wschodzie. – Judith nie wdaje się w szczegóły.

– A to ciekawe.

– Działałam z ramienia instytucji charytatywnych. Byłam wolontariuszką – chwali się z dumą.

– To taka najtańsza forma zwiedzania świata. – Hiszpan z uroczego mena, który ją podrywał, przeistacza się w impertynenckiego gnojka. – Już taniej się nie da. Za totalną darmochę.

– Może i tak, jeśli nie liczysz pracy społeczników, która też ma jakiś materialny wymiar.

– Masz rację... Masz rację... – Na pojednanie obejmuje ją ramieniem i zaciąga do baru nad kanałem, gdyż w tej dzielnicy lokale nigdy się nie zamykają. Są czynne na pełny zegar.

– A co porabiasz na tej Gran Canarii? – podpytuje kobietka, zniesmaczona arogantem i marząca tylko o tym, żeby się od niego uwolnić. – Oprócz robienia wielkiej kasy? – Usiłuje miło się uśmiechnąć.

– Robię za bogacza. – Wątpliwy adonis ma już mocno w czubie, bo nie kontroluje ani swoich słów, ani ruchów, ciągle obmacując dziewczynę. – Mam parę magazynów, chłodni i szklarni.

– Super! To nie brakuje ci świeżych warzyw i owoców – żartuje znudzona Amerykanka.

– Czy ja ci wyglądam na wegetarianina? – Dowcipkuje spaślak, poklepując się po wielkim brzuszku.

– No... nie. A jak z siłą roboczą? – Judith szybko zmienia temat. – Teraz mało kto chce ciężko popierdalać – stwierdza kolokwialnie.

– U nas nie jest jeszcze tak źle, bo pracują tłumoki uchodźcy.

– Naprawdę?! – Judith aż rosna uszy, tylko jak sprzedać teraz ich trójkę temu krwio pijcy kapitaliście? – Nadają się?

– Lenie patentowane i na niczym się nie znają, ale jakoś to ciągnę i trzymam tych leniwych sukinsynów w ryzach.

– Znam człowieka, który nie patyczkuje się z takimi nierobami. – Judith kuje żelazo póki gorące, choć nie wie, czy gość jutro będzie pamiętał choć jedno słowo z ich rozmowy. – Dobry w tym jest.

Amerykance nie dopisuje dziś szczęście. Juan po wypiciu dwóch kolejnych głębszych traci siły i rezon. Bez uprzedzenia woła taksówkę i błyskawicznie się do niej pakuje.

– Dasz mi wizytówkę? – Kobieta nie odpuści, bo przecież na taką okazję czekali aż za długo. Ten facet musi ich stąd wyciągnąć.

– Trzymaj, kotku. Ale po co ci ona?

– Nagram ci dobrego nadzorcę do twoich latyfundiów. On ma rękę do ludzi i do interesów! – szybko chce przekazać jak najwięcej zachęcających informacji. – To też genialny informatyk, więc może skomputeryzować ci biura, magazyny, szklarnie i wszystko wprowadzić w sieć. Nawet twoim wyrobnikom wsadzi czipy w dupę.

Na tym kończy się rozmowa, bo Hiszpan, widząc, nie jest zainteresowany i zatrząskuje drzwiami tuż przed nosem dziewczyny, a taksiarz od razu rusza, gdyż boi się, że zawiany delikwent obrzyje mu samochód, i chce jak najszybciej dotrzeć do celu i się go pozbyć.

Gran Canaria to idealne miejsce dla trójki ukrywających się w Europie uciekinierów. Planują, że na wyspie uregulują swoje paszportowe sprawy i dopiero wtedy wrócą do szerokiego świata, w którym dobrze czuje się aktualnie nie tylko Amerykanka i pół-Brytyjczyk, ale także najbardziej im zagrażający, nieodpowiedzialny i głupi Abdul. Jasem uprzedza swojego dobrodzieja Mario, że prawdopodobnie niedługo będzie musiał opuścić Mediolan i zajmowane stanowisko, żeby ten czasami nie rozesłał za nim wici.

– Podniosę ci pensję. – Poniewczasie obiecuje wyzyskiwacz Mario. – Przepraszam, ale całkiem mi to umknęło.

– Tak?

– I załatwię wam samodzielne, dwu-... – Patrzy przymilnie na rozmówcę, oczekując, że ten wpadnie w euforię – ...no, może nawet trzypokojowe mieszkanie.

– Wspaniale.

– Zgadzasz się?

– No niech będzie.

Jasem nie wspomina kapitaliście, że w poprzednim zaoferowanym przez niego lokum spędzili tylko jedną noc i od razu uciekli. Pozostałych lokatorów to nie zmartwiło, bo nieoczekiwanie dostali więcej przestrzeni do życia, więc nawet nie zgłosili tego faktu swojemu szefowi. Jednej i drugiej stronie było to na rękę. Sprytna Judith odświeżyła swoje konta na portalach najmu krótko- i długoterminowego i załatwiła im całkiem niedrogi i sympatyczny apartamencik, w którym obecnie rezydują.

– A tak przy okazji, wystaw mi opinię o mojej dotychczasowej pracy. – Jasem wie, czego chce. – Żeby już coś miał w garści, kiedy ci się odwidzi.

– Nie odwidzi!

– Napisz mi ocenę. – Terrorysta po raz pierwszy spoziera na Włocha swoim prawdziwym, martwym, zimnym i bezwzględny wzrokiem.

Tego aż dreszcz przelatuje i już nie oponuje, równocześnie zastanawiając się, czy to

rzeczywiście taki dobry pomysł i bezpieczny biznes wyzyskiwać tych biedaków, płacąc im za dobrą pracę poniżej najniższej krajowej, bo przecież tak naprawdę człowiek nie wie, z kim ma do czynienia.

– Podbij mi też kartę uchodźcy, żeby mnie albo mojego kuzyna z ulicy nie zgarnęli i nie zamknęli w ośrodku czy w obozie, bo wtedy wiele pożytku z nas nie będziesz miał.

Jasem zdaje sobie sprawę, że o status uchodźcy nikt w ich imieniu nie wystąpił. Oni sami zresztą też nie. Zatem o zgodzie na pobyt stały nie mają co marzyć. Oznacza to, że na terenie Włoch przebywają na podstawie niewiele wartego papierka z odprawy na Lampedusie. W paszportach nie mają wizy i są tutaj poniekąd bezprawnie. Zatem przy jakiegokolwiek odprawie przy wylocie sprawa wyjdzie na jaw i jeśli trafią na służbistę, to najprawdopodobniej wylądują w więzieniu. Potem sprawy potoczą się już błyskawicznie. Jeśli ktokolwiek sięgnie do bazy danych, wszystkich ich czeka długoterminowa odsiadka. Mają to jak w banku. Szwajcarskim banku.

– Judith też potrzebuje świadectwa pracy – kontynuuje terrorysta, używając już prawdziwego imienia dziewczyny, bo teraz nikt inaczej jej nie nazywa.

– Też jako uchodźca? – Mario zaczyna się denerwować.

– Nie, jako rezydent w twoim wspaniałym kraju. Musi tu jakoś legalnie funkcjonować, nawet z amerykańskim obywatelstwem.

Pracodawcy powoli zaczyna to wszystko śmierdzieć. Postanawia spełnić ostatnią prośbę swojego chyba najwartościowszego pracownika, a później powoli wycofać się z tego układu.

Trójca kamratów szykuje się do kolejnej rejterady. Jasem wymyśla najbardziej prawdopodobny scenariusz, a Judith okazuje się nie tak naiwną dziewczyną, na jaką wygląda. Nadal ma ze sobą swój amerykański paszport, który jest ważny przez kolejne dwa lata. Lider oddycha z ulgą, bo na tym dokumencie mogą jeszcze daleko pojechać. Judith otwiera rachunek bankowy, na który stopniowo, operując drobnymi kwotami, przelewają jednak spore sumy. Dla biznesmena z Gran Canarii Juana będą rodzeństwem – on z ojca Libijczyka, a ona z Amerykanina ze wspólną naiwną polską mamą. Tym razem Abdul ma grać rolę kuzyna tej dwójcy, bowiem wiadomo, że polecą tam tylko dlatego, iż Amerykanka wpadła w oko rozpustnemu Hiszpanowi. Na miejscu postanawiają tę poplątaną intrygę jakoś wyprostować.

12 *Dżihad* (arabski) – pierwotnie oznaczał walkę w imię propagowania islamu poprzez akcję zbrojną, nawracanie niewiernych, pokojowe działania oraz wewnętrzne zmagania wyznawcy; często rozumiany tylko jako święta wojna. Dla fundamentalistów jest to szósty filar islamu i obowiązek każdego muzułmanina.

13 Zob. indeks nazwisk.

14 Zob. indeks nazwisk.

15 *Dżihadysta* (arabski) – zwolennik dżihadu. Ma za zadanie unicestwienie wszystkich innowierców na kuli ziemskiej.

16 *Państwo Islamskie* – 2006–2013 *Islamskie Państwo w Iraku*, 2013–2015 *Islamskie Państwo w Iraku i Lewancie* – salaficka organizacja terrorystyczna oraz samozwańczy kalifat ogłoszony w 2014 roku na terytorium państwowym Iraku i Syrii. Rozbity w 2017 roku.

17 *Sabija* (arabski) – niewolnica, branka.

18 *Brygada Al-Chansa* – złożona wyłącznie z kobiet policja obyczajowa we współczesnym kalifacie na terenie Syrii i Iraku, istniejąca od 2014 do 2017 roku.

19 *Wallahi* (arabski) – Na Boga! Na Allaha!

20 *Ja said* (arabski) – Panie, O panie! (wołacz).

21 *Aiuto* (włoski) – Pomocy.

22 *As-salamu alejkum* – Pokój z tobą (z wami); Dzień dobry, witaj.

- 23 *Wa alejkum as-salam* – Z tobą także (pokój); odpowiedź na powitanie.
- 24 *Szukran dżazilan* (arabski) – Bardzo dziękuję.
- 25 *Ja ustaz* (arabski) – Profesorze; nauczycielu (wołacz); *Ustaz* w przenośni oznacza kogoś mądrego, wykształconego, jest wyrazem szacunku.
- 26 *Sah* (arabski) – racja, zgoda.
- 27 VIP (Very Important Person) (angielski) – bardzo ważna osobistość.
- 28 *Must see* (angielski) – musisz zobaczyć.
- 29 *Hello* (angielski) – cześć.



## RAJSKA GRAN CANARIA

Jasem spotyka się z Hiszpanem Juanem. Błyskawicznie się dogadują, zwłaszcza że uciekinier ma całkiem mocne papiery oraz opinię i świadectwo pracy od włoskiego chlebodawcy, który nie chce go wręcz wypuścić. Kanaryjczyk ma swoje priorytety – jeździ po Europie, by wyławić tanią i naiwną siłę roboczą do swoich arealów, bo ostatnimi czasy strumień emigrantów z krajów Czarnej Afryki zdecydowanie przystopował.

Po dwóch miesiącach przygotowań i urabiania nowego bossa Jasem, Abdul i Judith z duszą na ramieniu z Mediolanu lecą na Gran Canarię czarterowym samolotem. Odprawiają się na małym podmiejskim lotnisku przeznaczonym tylko dla tanich linii lotniczych i zorganizowanych wycieczek. Panowie są ubrani schludnie – Jasem elegancko jak handlowiec w delegacji, zaś Abdul w modnych džinsach, obciśniętym na mięśniach podkoszulku i rozpiętej skórzanej kurtce. Wygląda słodko, jak ciacho z rozkładówek dla pań. Każda mijająca go dziewczyna czy kobieta zwraca na niego uwagę i mięknie w kolanach. Judith zaś wkłada dziś koszulkę z jeszcze większym dekoltem. Dobrze czy nie, to się okaże. Jak na razie jedynie jej mąż nie jest z tego zadowolony i jak ją widzi, od razu wygłasza pod nosem cytat z Koranu:

– „Powiedz wierzącym kobietom, żeby spuszczały skromnie swoje spojrzenia i strzegły swojej czystości; i żeby pokazywały jedynie te ozdoby, które są widoczne na zewnątrz; i żeby narzucały zasłony na piersi, i pokazywały swoje ozdoby jedynie swoim mężom lub ojcom, albo ojcom swoich mężów, albo swoim synom lub synom swoich mężów, albo swoim braciom (...) spośród mężczyzn, którzy nie są owładnięci pożądaniem cielesnym; albo też chłopcom, którzy nie poznali nagości kobiet. I niech one nie stąpają tak, aby było wiadomo, jakie ukrywają ozdoby”<sup>30</sup>.

– Pierdol się – odpyskowuje Judith. – To już nie kalifat w Syrii ani twoja zapyziała Libia.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale!

Po odprawie bagażu przechodzą do okienka odprawy paszportowej. Pierwsza Amerykanka, która ma oryginalny dokument, a w nim wiele knotów, które zapewne zostaną zauważone.

– Była pani w Syrii? – od razu wybucha funkcjonariusz. – W dwa tysiące czternastym?! – Podnosi głos i wytrzeszcza na dziewczynę zszokowane oczy.

– Tak. – Kobieta jest przygotowana na poruszanie tej i wielu innych kwestii, bo wałkowali temat z Jasmem długimi wieczorami. – Pojechałam tam jako wolontariuszka, aby opiekować się kobietami i dziećmi w obozie dla uchodźców. To było jeszcze przed wojną. Kiedy zaczęło się robić niebezpiecznie, ewakuowano nas.

– A jak dostała się pani do Italii? – Trochę uspokojony, służbista odpuszcza temat, bo historia opowiedziana przez turystkę w sumie jest wiarygodna.

– Jak to jak? – Dziewczyna udaje głupią.

– Nie ma w pani paszporcie żadnego stempla potwierdzającego wjazd. – Podenerwowany macha jej przed nosem dokumentem.

– Niemożliwe! Co za niedopatrzienie! – Amerykanka szczerze się oburza, a jej biust faluje w rytm okrzyków. – Rozmawiałam z urzędnikiem kontroli paszportowej tak jak teraz z panem. Zeznałam jak na spowiedzi, że jadę pozwiedzać i może trochę u was popracuję. Proszę, oto moje świadectwo pracy. Nawet założyłam rachunek bankowy, więc...

– Nie rozumiem. – Mundurowemu wstyd za kolegę po fachu, ale on sam z trudem

koncentruje się na obowiązkach, mając przed sobą taką roznegliżowaną ślicznotkę.

– Czy widzi pan we mnie osobę pracującą na czarno? Uchodźcę?! Terrorystkę?! – coraz odważniej naskakuje młoda, bo wiadomo, że najlepszą obroną jest atak. – Dzisiaj z Włoch udaję się na Gran Canarię. Muszę odpocząć. – Ciężko wzdycha, bo z tych nerwów aż jej się w głowie kręci.

– Tak... Właściwie... No i właśnie...

Waląc pieczętkę jak na pocztce, funkcjonariusz rzuca jeszcze okiem na dziewczynę, której dobrze z oczu patrzy, po czym przyciska guzik, by wypuścić ją w świat.

– A pan co? – rzuca się teraz do Jasema.

– Jadę służbowo. Wysyła mnie mój pracodawca i poniekąd wspólnik. Na pewno dobry przyjaciel. Muszę uregulować sprawy dostaw świeżej żywności do naszych restauracji i firmy cateringowej. – Wyciąga zgrabnie sfałszowane przez siebie zaświadczenie i druk delegacji.

– Znów nie ma pieczętki wjazdu! Co za plaga! Ja to muszę zgłosić!

– To już nie mój problem i absolutnie nie moja wina.

– Dobra, idź pan.

Abdul zaś ustawia się w kolejce do funkcjonariuszki, która gdy tylko podnosi swój znudzony wzrok, nie jest już w stanie go od niego oderwać. Nie patrzy na strony w paszporcie, nie kartkuje go, jedynie trzęsącymi się palcami znajduje wolną i tam przybija zgodę na wyjazd.

Banici słusznie szerokim łukiem omijają punkty z automatyczną odprawą, gdzie skanuje się paszport, linie papilarne i robi zdjęcie. Lepiej było poczekać w kolejce na manualną obsługę wśród nieprzebranego tłumu emerytów, rodzin z licznym potomstwem oraz sporadycznych obywateli spoza Unii Europejskiej. Cieszy ich brak skrupulatności i niechlujstwo Włochów, którzy dziennie przepuszczają setki tysięcy turystów, nie dociekając *who is who*<sup>31</sup>.

Podczas lądowania dziwi ich widok przez iluminator, gdyż zamiast samych złocistych plaż i rzędów palm reklamujących Gran Canarię jako centrum turystyki, przed ich oczami pojawiają się jedynie baraki magazynów, setki wielkich szklarni i skaliste równiny. Na lotnisku czeka już na nich firmowy pick-up. Jadą przez obcy kraj z duszą na ramieniu. Jasem żałuje, że nie ma już tak jak kiedyś rozbudowanej siatki dżihadystów. Teraz wszyscy jakby zapadli się pod ziemię. Nie ma z kim się skontaktować i od kogo czegokolwiek dowiedzieć, chociażby żeby zweryfikować informacje dotyczące biznesu nieznanego Hiszpana. Postanawia odkopać swoich zastrachanych byłych koleśki już na miejscu. Jeśli się nie uda, będzie musiał zadać się ze zwykłym światkiem przestępczym, żeby wyprowadzić sprawy swoje i swoich ludzi na prostą.

Uciekinierzy sądzą, że złapali następnego naiwniaka, który wspomaga uchodźców, choć na pewno też ich wykorzystuje. Najważniejsze dla nich, że mają obiecaną pracę w ogromnym przemyśle warzywno-owocowym. Obawy Jasema co do nowego pracodawcy i miejsca pracy sprawdzają się. Ze słów Juana wynikało, że robota będzie lekka, a okazuje się, że razem z imigrantami z Czarnej Afryki mają harować w szklarniach na obrzeżach Las Palmas po dziesięć albo i więcej godzin dziennie. Już na pierwszy rzut oka widzą, że warunki są tragiczne, zarówno te pracownicze, jak i bytowe. Nawet w biurach, znów znajdujących się w barakach, nie ma klimatyzacji. Przybyli nie chcą wiedzieć, jak będzie wyglądało ich nowe lokum. Teraz już spodziewają się najgorszego.

– Nie podoba się, to spierdalać! – Hiszpan okazuje się chamem i typowym łowcą taniej siły roboczej. Przy tutejszej śmiertelności i obecnym spowolnionym napływie czarnych wyrobników rąk do pracy nie starcza, ale nie jest tak przyciśnięty do muru, żeby walczyć o to dziwne trio. Widzi, że tym razem źle trafił, choć nie spodziewa się jeszcze, jak bardzo źle.

– Nie dotarło do ciebie, że jestem doktorem informatyki – wścieka się oszukany Jasem. – Miałem u ciebie pracować w biurze. Takie były ustalenia.

– Możesz sobie być nawet doktorem ginekologiem – kpi krwio pijca, nie zdając sobie sprawy, co robi i do kogo pyskuje. – Na razie stwierdzam z całą pewnością, że jesteś alfonsem. Stręczycielem! – podnosi głos. – W każdej chwili mogę zgłosić to na policji, a wtedy będziesz się miał z pyszna, gnojku. Wy wszyscy! – Pokazuje palcem, lustrując od stóp do głów tę dziwną, wielobarwną kompanię.

– Po coś nas tu sprowadził? – spokojniej już docieka Jasem. – Czy sądzisz, że będziemy obkopywać twoje grządki?

– Nie, ja będę obkopywał grządkę tej dziewczyny, którą mi wystawiłeś. – Potwierdza się, że bezmyślny Juan jest psem na baby i robi wszystko, by zaliczyć upatrzoną spódniczkę. – Jak będziecie chcieli tu zostać, będziecie musieli poddać się rygorom i dla mnie pracować.

– Za ile? – ciekawi się lider, bo wie, że przez chwilę muszą zagrać w tej farsie.

– Trzysta euro tygodniowo – od niechcenia oznajmia boss, po czym zbiera się do wyjścia.

– Jak sądzisz, ile kosztowały te buty? – Całkiem opanowany pół-Syryjczyk wskazuje wzrokiem na swoje skórzane, włoskie obuwie.

– A co mnie to obchodzi? Wy potrzebujecie przykrywkę, ja tej dupy. Sprawa jasna, no nie? Dzisiaj wieczorem podeślę po nią samochód – oświadcza boss głosem nieznoszącym sprzeciwu.

– Dzisiaj jest zmęczona – protestuje odpowiedzialny za grupę mężczyzn. – Za trzy dni będzie gotowa.

Juan ciężko wzdycha, patrzy jeszcze twardo w oczy pyskacza, a że nie widzi w nich oporu czy drwiny, przystaje na propozycję.

Po ostrzeżeniach Hiszpana nikt już mu się nie sprzeciwia i nie dyskutuje. Na razie nowi wyrobownicy zgadzają się na wszystko i zostają przekazani w łapy kapo, zarządzającego materiałem ludzkim, pracującym w potwornych warunkach na dobrobyt Hiszpana.

– *Hola!*<sup>32</sup> – Zwraca się do nich śniady mężczyzna, obserwując z dużym rozbawieniem i jeszcze większym zdziwieniem trójkę wymuskanych i wystrojonych jak stróż w Boże Ciało przyjaciół.

– *Buenos dias*<sup>33</sup> – odpowiadają zgodnie, tachając swoje ciężkie walizki.

– Co wy tu, do kurwy nędzy, robicie? – Facet nie wytrzymuje i zaraz chce wszystko wysondować.

– Miałem pracować w biurze jako informatyk – tłumaczy Jasem, bo wie, że w błyskawicznym tempie musi zdobyć tu nowych popleczników. Widzi, że z dżihadystami szybko kontaktu nie nawiąże, więc czas się zaprzyjaźnić z szarą strefą Gran Canarii. – Sądziłem, że dostanę tu wilgę, a moi krewniacy na spokojnie znajdą jakąś godziwą pracę.

– A ona co umie? – Kapo aż się oblizuje na widok krągłego biustu Judith.

– Moja siostra jest Amerykanką – groźnie burczy przyszywany brat.

– Uważaj, koleś, bo nasz szef to pies na baby. Jak dotąd testował wszystkie czekoladki przed przyjęciem do pracy, ale jak podsuniesz mu pod nos taki waniliowy kasek, to na pewno też nie odmówi.

– Nic mu nie podsuwam.

– Ale też nie możesz mu się postawić. Wiele dziewcząt z randek z Don Juanem nigdy nie wróciło...

– I wy to tolerujecie? Ty jesteś ręką w rękę z nim czy z tymi ludźmi? – Pokazuje na mijające ich ludzkie cienie, które idąc na lunch, poruszają się jak zombi.

– Jestem z tymi, którzy płacą. – Facet odkrywa karty. – Nazywają mnie Pepe.

– Dobrze, kolego. Podprowadź samochód i wskaż nam godziwe miejsce do spania, żebyśmy w tym waszym kanaryjskim rajku od razu syfa, HIV czy dżumy nie złapali. – Jasem

wręcza zachłannemu facetowi banknot o nominale stu euro.

Kapo to sprytny gość i dla forsy zrobi wszystko, więc z chęcią obsłuży tych niepasujących do tego miejsca rezydentów i wyciągnie od nich tyle kasy, ile tylko się da. Podstawia zatem brudny stary samochód, zaprasza do środka i rusza drogą.

– Powiedział, żebym was tu umieścił. – Wskazuje na mijaną rudere. – Tutaj na powierzchni trzydziestu pięciu metrów kwadratowych mieszka ponad dwadzieścia osób. Chcecie do nich dołączyć? – zadaje kąśliwe pytanie, perfidnie uśmiechając się od ucha do ucha.

– Jakos nie za bardzo.

– Zatem zamieszkacie w tym baraku. – Zatrzymują się przed budynekciem w kształcie klocka, postawionym z pustaków z piaskowca. Widać, że nie został on jeszcze ukończony. Nie ma okien ani drzwi, wybite dziury na klimatyzatory zięją pustką, na dachu zaś sterczą zbrojenia. – Obrócy praw człowieka się nami zainteresowali, wlepili zbójecką karę za nieludzkie warunki i kazali polepszyć byt tych czarnuchów, którzy i tak w ciągu miesiąca zajebią ten lokal tak jak poprzedni.

– Potrzebujemy jakichś sprzętów. – Trójca wchodzi do środka i brnie wśród worów, paczek i kubłów z materiałami budowlanymi, drewnianych szalunków oraz zwyczajnych śmieci. Od razu kierują się betonowymi schodami na piętro. – Zajmiemy ten lokal. – Lider akceptuje ponaddwudziestometrowe pomieszczenie z surowym betonem zamiast podłóg i ścian.

– Do wieczora umyślni przywiozą wam sienniki i co tam jeszcze potrzeba. Jednak nie spodziewajcie się luksusów. – Na pożegnanie kapo wyciąga rękę po dodatkową forszę. Kiedy dostaje stówkę, aż unosi brwi ze zdziwienia. Transakcja kończy się na pięciuset euro.

Trójca uciekinierów pozostaje sama. Jasem i Judith mają marsowe miny, zaś Abdul jest rozbawiony jak dziecko.

– Tośmy się ubrali – stwierdza po chwili Jasem.

– My?! – wykrzykuje Libijczyk, który aż pęka ze śmiechu. – To wy wszystko zaplanowaliście. Co do joty. Ze mną nikt niczego nie konsultował, bo przecież jestem skończonym idiotą. – Poważnieje gwałtownie, a niebezpieczne ogniki pojawiają się w jego czarnych oczach.

– Daj spokój... – Amerykanka zaczyna cicho płakać.

– Mogliśmy żyć jak ludzie, a teraz jesteśmy traktowani jak bydło.

– Jest, jak jest – enigmatycznie podsumowuje Jasem. – Trzeba zmienić ciuchy i iść na rekonesans. Nie ma co się mazać ani wściekać. Mamy trzy dni, żeby stąd spierdolić. Ot co!

Zmienia garnitur na letnie, bawełniane ciuchy, skórzane buty odstawia w kącie i nakłada adidasy, bierze nakrycie głowy, po czym zostawia załamana parę samej sobie.

Kiedy wychodzi na zewnątrz, upał uderza go jak obuchem. Dookoła nie widać nic oprócz upraw i szklarni. Zmierza drogą, którą tutaj przyjechali. Koło zamieszkałej przez robotników ruiny spostrzega parę osób. Sporo z nich wygląda jak zagłodzone szkielety, choć może to nałogi i przywieziony z głębokiej Afryki HIV tak rujnują ich zdrowie, a fizyczna, ciężka robota dodatkowo ich wykańcza. Nie chce mu się wierzyć, że we współczesnym świecie istnieją takie obozy niewolniczej pracy. A Europa zajada się świeżymi warzywami i soczystymi owocami z Hiszpanii, nie zdając sobie sprawy, że wyrosły one dzięki pracy rąk tak nielubianych i niechcianych uchodźców, że zostały użyżnione ich potem i krwią.

– Witaj, panie. – Podchodzi do niego uśmiechnięty Afrykanin o miłej powierzchowności. – Czegoś szukasz?

– Tak. Wczorajszego dnia – żartuje Jasem. – I sensu.

– Ssensu to tutaj brak, ale lepiej chodź ze mną i usiądź w cieniu, bo za chwilę dostaniesz udaru.

Idą szutrową, kamienistą drogą jeszcze z dobre piętnaście minut, aż trafiają na miejsce stanowiące oazę wśród tych odludzi. Rośnie tam nawet parę smukłych palm, a niedaleko nich ktoś ustawił zadaszenie, pod którym znajdują się ławy i długie stoły.

– *Hola!* – Na spotkanie przybyłym wychodzi długonoga piękna Afrykanka. – Jak się masz?

– Jak widać. – Pół-Syryjczyk już prawie bez życia klapie na najbliższe siedzisko. – Co tutaj porabiasz?

– A co ty porabiasz w takim miejscu? – Czarnulka wybucha ciepłym, głębokim śmiechem, a siedzący do-okoła niej pobratymcy ze zdziwienia tylko kiwiają na boki głowami i podśmiechują się pod nosem.

– Nie wiem, droga pani.

– Wyglądasz tak, jak mówili. Na faceta, który przyjechał tu na inspekcję z jakiejś organizacji. Twój koleś to ponoć chodzący model, a dziewczyna pomyliła lokale.

– Jakie lokale? – Jasem z rozbawieniem słucha opisu swojej kompanii i widzi, jak szybko plotka się niesie.

– Tutaj nie mamy domów uciech, znajdzie tylko jednego klienta, ale dość wymagającego – ostrzega poważnie kobieta. – Ten chory jebaka po zużyciu materiału często wyrzuca go na śmietnik. Jego prawa ręka, Pepe, wszystko po nim posprząta.

– Właśnie teraz ma posprzątać nasze lokum...

– Tak?! Zabierze naszym biednym ludziom rzeczy, by oddać je wam. – Zaczyna się denerwować.

– Nie wiedziałem, że tak to działa. Dałem mu pięćset euro – tłumaczy się oskarżany. – W takim razie wy mi pomóżcie. Muszę tu jakiś czas pokiblować.

– Jaki czas?

– Niedługo. Nie chciałbym, by moja siostra najpierw została użyźniona przez zboczeńca Juana, a zaraz potem by użyźniła glebę w waszych szklarniach. Z kim uczciwie mogę się dogadać? – Wyciąga portfel, a zebrani patrzą z pożądaniem na wypychający go gruby plik banknotów.

– Nie afiszuj się tak z forszą, bo cię zarzną pierwszej nocy. – Zakrywa pularę ręką. – Zjedliście, to do roboty! – wykrzykuje do grupy przy sąsiednim stole. – No już!

Kiedy około dziesięciu obdartusów ze zwieszonymi na kwintę nosami odchodzi, pozostaje tylko paru dobrze prezentujących się i zdrowo wyglądających mężczyzn.

– To moi bracia. Pomogą wam – oznajmia kobieta, która, widać, całą tą bandą rządzi, a ci tutaj wskoczyliby za nią w ogień. – Nie daj się zabić, panie. – Wręcza Jasemowi schłodzoną, pokrytą szronem butelkę piwa.

– Załatwcie mi zatem w pierwszej kolejności maczetę, kozik i coś małego do strzelania. I dwie karty SIM.

Jasemowi piękna Eve od razu przypada do gustu, choć zauważa mały złoty krzyżyk na jej szyi. Lecz nie szuka teraz uległej mużulmańskiej niewiasty pokroju arabskiej żony, bo znajduje się w innym miejscu i innych czasach. Aktualnie potrzebuje kobiecego sprytu, inteligencji i przebiegłości. Jego męska naiwność zaprowadziła go do przedmurza piekieł. Pół-Syryjczyk żyjący długie lata w arabskich stronach zagubił się w Europie.

Ciemnoskóra jest niezwykłą kobietą, nadzwyczaj wysoką, bo wzrostu prawie postawnego Jasema. Ma twarz modelki, ciało twarde, jakby codziennie ćwiczyła na siłowni, zaś grację lamparta. Kiedy idzie, to jakby płynęła, jakby nie dotykała ziemi swoimi dużymi stopami

w plastikowych klapkach. Z urodzenia jest Czadyjką, lecz do piętnastego roku życia mieszkała w Nigerii, gdzie rodzice wyemigrowali w poszukiwaniu lepszego bytu i bezpieczeństwa, nie mogąc już znieść ciągłych ataków libijskiego wojska i nalotów lotnictwa Muammara Kaddafiego. Jednak po latach względnego szczęścia, zakończonego tragedią, dziewczyna już sama, przepływając się w bród przez Jezioro Czadyjskie, powróciła do ojczyzny i jedynej rodziny, jaka jej pozostała po rzeziach Boko Haram<sup>34</sup>. Okazało się, że z prymitywną babką nie da się wytrzymać, i kiedy tylko nadarzyła się ku temu okazja, dwudziestoletnia Eve wraz z paroma towarzyszami wyruszyła przez zieloną granicę do tak znieawidzonej przez Czadyjczyków Libii. Kraj Kaddafiego to dla większości z nich jedynie obszar tranzytowy, droga ku wolności i demokracji, z której słynie Europa. Dali się nabrać, tak jak miliony przed nimi i setki tysięcy po nich, bo ta demokracja nie jest przeznaczona dla mieszkańców Czarnej Afryki. Na nich czekają odrzucenie i zasilek, a na szczęściarzy – ciężka praca i wyzysk. Wylądowali we Włoszech, by po niedługim czasie dać się złapać na haczyk Hiszpana Juana, obiecującego im gruszki na wierzbie na słonecznej Gran Canarii. I tak zatoczyli krąg. Wyszli z piasków i ugorów pustyni, by wylądować rzut beretem od niej, bo tylko kawałek Oceanu Atlantyckiego dzieli ich od Sahary Zachodniej. Może dlatego w ruchach Eve czai się lampart, jakby ciągle była gotowa do ucieczki, a w oczach kryją się nieufność i asekuracja. Jednak serce kobiety pozostało czułe i ciągle tęskni za tym jedynym, który ją pokocha i wyciągnie z marazmu i tragicznej egzystencji. Teraz zaś odnosi przemożne wrażenie, że ten wymarzony mężczyzna właśnie stanął na jej drodze.

Po męczącym i stresującym dniu późnym popołudniem Jasem znów pojawia się w progach czarnulki.

– Mogę napić się z tobą herbaty? – Od razu zmierza w kierunku kobiety, która, widząc, zajmuje się tutaj gotowaniem, sprzątaniem i utrzymaniem domu uchodźców w jakim takim porządku i ładu. – Poczęstujesz mnie?

– Oczywiście. – Kiedy się uśmiecha, staje się jeszcze piękniejsza, wręcz olśniewająca. – Usiądź, panie. – Podstawia jedyne tutaj, rozchwierutane krzesło, a potem zmiata ręką kurz i okruchy jedzenia ze stołu, taksując przy tym przybysza od stóp do głów.

– Który z tych facetów jest twój? – Jasem od razu chce wiedzieć, na czym stoi. – Którego będę musiał zabić? – zadaje straszne pytanie, jednak kobieta odczytuje to jako żart i zaśmiewa się do rozpuku.

– Jestem sama sobie panią – ripostuje spokojnym, lekko zachrypniętym głosem. – Obejdzie się bez ofiar.

– To się cieszę.

W krajach o gorącym klimacie, szczególnie w Afryce, ludzie mają równie gorące serca i nieposkromione chucie. Zadowolony z odpowiedzi mężczyzna, który kobiety nie miał od wieków, nie rusza się z oferowanego mu miejsca aż do północy. Przez cały czas obserwuje czarną niewiastę, która nie przestaje się krzątać. Robi to wszystko z taką gracją, jakby grała w teatrze cieni, a nie ciężko pracowała w palących promieniach słońca, skwarze i upale oraz żarze z paleniska. Zanim zasiądą do jedzenia, robotnicy spłukują tylko dłonie, czasami też poleją sobie wodą ze szlauchu szyję. Tylko niektórzy zajmują miejsca przy stołach, w większości rozsiadają się na matach, wyciągając brudne, pokaleczone ręce po plastikowe miski z aromatycznym afrykańskim jadłem. Abdul i Judith przychodzą na wieczorny posiłek ostatni. Ledwo idą. Ciągną się noga za nogą. Patrzą na Jasema spode łba, bo to był jego pomysł, żeby opuścić Włochy, gdzie już jako tako się urządzili. To on ciągle naciskał, by udać się w nieznaną. Dziwią się jego naiwności i zaufaniu do nieznanych ludzi oraz pyszałkowatemu mniemaniu, że każdego owinie sobie dookoła palca. Kiedy jest dobrze, tych dwoje narzeka i chce mieć jeszcze

lepiej, a kiedy źle – całkowitą winą obarczają innych. Tak postępują ludzie bez kręgosłupa, bez charakteru, o psychice miękkiej jak plastelina. Jasem rzuca na nich okiem i ma wielką ochotę zostawić tę parkę nieudaczników samym sobie. Zaczynają mu ciążyć jak kula u nogi. Abdul ze swoim obecnym narcyzmem i głupotą, Judith atrakcyjnym wyglądem, a we dwójkę z ciągłymi, nieustającymi pretensjami. Jednak nadal ich potrzebuje, a szczególnie Amerykanki z jej czystym paszportem i pieniędzmi, które przelał na jej włoskie konto.

– Mamy spać na tych betonach? – pyta protegowana terrorysty. – W tym baraku? Tam jest gorzej jak w domu uchodźców na Lampedusie! – wykrzykuje drżącym głosem.

– Lampedusa? – Ktoś z zebranych zna tę nazwę i już marszczy brew, nie dowierzając, że ta lala zalicza się do uchodźców.

– Słuchajcie! Jaśnie panienska do nas dołączyła! – Gulgocze ze śmiechu inny robotnik, mężczyzna o dużej nadwadze i jeszcze większym poczuciu humoru. – Ze dwora jakiegoś przyleciała, jak sikoreczka – kontynuuje kpinki. – Rączki ma do haftu i gry na fortepianie, a nie do roboty.

– Co ty tu w ogóle robisz? – nagabuje kolejny. – Amerykanka wśród uchodźców z Czarnego Łądu?

– Chcesz zabrać innym pracę?!

Głosy niezadowolenia zaczynają się podnosić, a Judith nie wie, co ma odpowiedzieć, gdyż znów wychodzi na to, że ona nie jest z tej bajki, a jedyne, co umie, to wsypywać Libijczyka i pół-Syryjczyka.

– Na głupotę nie ma rady – mocnym głosem przerywa kpinki Jasem, bo chcąc nie chcąc, musi bronić członków swojej bandy, gdyż wpadka któregoś grozi ich całkowitym zdemaskowaniem. Ich tożsamość, choć też w mocno okrojonej wersji, mają znać tylko Eve i jej pięciu krewniaków. Wersje ich życiorysów sypią się Jasemowi jak z rękawa. – Tak to jest, kiedy dziewczucha rozłoży nogi przed facetem – wskazuje brodą na mieszaną parę – który tak jej zagra, że tych nóżek już nie chce złożyć. Nie myśli, że to inna religia, inny kraj, przekleństwo...

Afrykanie nie komentują, bo nigdy o kontaktach damsko-męskich nie rozmawiają, a ich córki dowiadują się o swojej seksualności w dniu pierwszej miesiączki i w noc poślubną.

– Arabowie to mają ponoć do kolan. – Jednak każdy facet lubi poświntuszyć, więc pierwszy odważny wyrwa się, rozładowując napiętą atmosferę.

– A wy? Do kostek? – Jasem robi duże oczy, a potem już wszyscy rechoczą.

– Piwa się napijemy? – Inny biedak, który nie ma na nic, ale na używki zawsze znajdzie, przynosi wiadro z chłodzącymi się browarami. – Palisz jointy35?

– Pewnie, dawajcie. Jutro ja kupię.

– A ty kto? Bo też raczej nie czarny? – po paru łykach alkoholu i paru sztachach śmielej rzucają kolejne pytania. – Arab? Nieee – sami sobie odpowiadają.

– Kolonizacja trochę nas odbarwiła – ponownie żartuje Jasem, ciągle mając się jednak na baczności. – Przez nasze ziemie przeszli najpierw starożytni Grecy i Rzymianie, potem, już w czasach nowożytnych, Turcy, a na koniec użyźnili nasze kobiety Brytyjczycy czy Francuzi. Teraz już nie ma jednego klasycznego typu Araba. Pozostali jedynie na dawnych rycinach i malowidłach. Tacy jak ja żyją ludnie w całej Syrii, Iraku, a i w Libii też się trafi.

Grupa duma, bo rozjaśnić ich afrykańską skórę nie jest łatwo, a w sumie bardzo by tego chcieli. Może wtedy łatwiej by im było na świecie? Jasem na chwilę odchodzi, by po minucie wrócić z pięćdziesięcioma euro w garści.

– Wyrzucicie kąt dla tej młodej parki? – Zanim kończy, pieniądze znikają w ręce najszybszego. – Pepe do tej pory nie przyniósł ani materaców, ani niczego innego – skarży się na złodzieja, którego oni doskonale znają, więc tylko ironiczny uśmiech zrozumienia wykwita na

ich ustach.

– A ty gdzie będziesz spał? – sonduje Eve, patrząc na przystojnego przybysza wielkimi, sarnimi oczami.

– U ciebie, moja droga.

Nikt się nie odzywa. Nikt nie neguje, nie krytykuje, nie wtrąca się. Czarnulka kokieteryjnie spoziera w nieodgadnioną, bladą twarz przybysza. Czy taka ma być jej dola? Czy całe życie uciekała, by wpaść w ramiona tego człowieka? Nie znajduje odpowiedzi na te i na wiele innych pytań. Po prostu podąża ścieżką, którą wyznaczył jej los.

W maleńkim domku Eve, byłej stróżowce, a może składziku, jest czysto i przytulnie, choć odgłosy nocy wdzierają się tam bez pardonu, gdyż ściany są cienkie, a we framugi okienne nie wstawiono szyb. Na parapecie siedzi duży samiec cykady, który zaprasza samicę do kopulacji, na pełny regulator chrzęszcząc swoim pancerzem. Komary bzyczą wokół uszu, a gałęzie palm skrzypią i szumią, muskane podmuchami wiatru.

– Dziwnie jakoś masz tam, na dole... – Zmęczony wielo-godzinny seks, Jasem w blasku słabej nocnej lampki spoziera w twarz swojej nowej kochanki. – Czy Afrykanki mają inną waginę?

Mężczyzna przez długą chwilę nie doczeka się odpowiedzi, więc kładzie się na plecach i przymyka oczy.

– Wiele z nas tak ma, albo jeszcze gorzej. – Po dłuższym namyśle odzywa się Eve. – U mnie nawet nie zanosilo się na to okaleczenie, bo miałam mądrego i wyedukowanego ojca oraz cudowną mamę. Jednak... Boko Haram... Napaść... Jezioro Czad... Babka... – mówi chaotycznie, bo chciałaby w końcu komuś wyjawic swój sekret, ale słowa z trudem przechodzą jej przez gardło. – Jestem ofiarą nie tylko gwałtu terrorystów, ale też starej afrykańskiej tradycji. Jest ona chyba gorsza od pierwszej zbrodni, bo trwała, a dopuściła się jej niby kochająca mnie babka. Tobie nie było w łóżku przyjemnie? – Denerwuje się. – Ja ciągle cierpię z powodu obrzezania, nie mówiąc o pozbawieniu mnie przyjemności z seksu i błogosławieństwa macierzyństwa.

Mężczyzna nie przerywa jej, nie docieka, nawet nie spojrzy na kochankę, która zapewne jest zawstydzona swoją szczerością. Relaksuje go i wycisza jej monotony, zachrypnięty głos, którego chce słuchać i słuchać bez końca.

– Gwałtu po kobiecie nie widać – dodaje Eve. – Nie ma go wypisanego na czole, lecz obrzezanie jest widoczne między udami niewiasty do końca jej życia.

Po tych słowach zapada cisza, a Afrykanka powraca myślami do odległych czasów dzieciństwa i burzliwej młodości.

– Tylko kobieta bez łechtaczki jest krystalicznie czysta i tylko taka znajdzie dobrego męża! – Stara babka i jej koleżanki: akuszerki oraz ludowe znachorki, prały małym afrykańskim panienkom mózgi przez długi czas. – Jeśli ci jej nie obetną, ten potwór będzie rosnać, aż stanie się długi jak męski penis.

– Och! – Dziewczynki z zawstydzienia zasłaniały oczy, otwierały buzie lub chwytaly się za ręce. Nie mieściło im się w głowie, że staruszka gada takie rzeczy i używa takich słów.

– Nie chcę być facetem! – wykrzyknęła pierwsza odważna.

– Nie chcę mieć siusiaka.

– Fuj! Obrzydlistwo!



Wszystkie były zszokowane taką perspektywą, a durne staruchy pracowały nad pokoleniami im podobnych, niedouczonej i łatwowiernych nieszczęśnic. Do dziś setki, tysiące małych dziewczuszek i trochę większych pannać co roku muszą się poddać barbarzyńskiemu rytuałowi inicjacji. Choć po prawdzie jest to rytuał okaleczenia. W dużych miastach może jeszcze udaje się tego uniknąć, ale na wsiach o to trudno. Całe wiejskie społeczności czuwają, aby trzpiotki przed krwawym rytuałem przejścia nie rozpoczęły życia seksualnego. Kiedy już zostaną zaszyte, przyszły mąż ma pewność, że dostaje nietkniętą narzeczoną.

Zapewne Eve sama z siebie poddałaby się temu inwazyjnemu aktowi już wtedy. Gdyby ktoś jej nie oświecił, cierpiałaby od dziecka, a może zmarła podczas zabiegu lub tuż po nim. Dobrze, że miała rozsądnych rodziców. Bo choć presja społeczna jest ogromna, nie wszystkie rodziny wierzą w te opowieści o czystości.

– Nie daj się namówić babce na obrzezanie, proszę cię. – Wykształcony, oczywiście na miarę warunków, tata składał ręce jak do modlitwy. – Uczennice, które zostają poddane krwawej inicjacji, często nie wracają już do szkoły – tłumaczył. – A ty przecież lubisz szkołę, prawda?

– Tak, *baba*36. I jestem bardzo dobrą uczennicą. – Eve przymilała się do ojca, choć czuła się rozdarta. Z jednej strony babka z jej strachami, a z drugiej – czyste sale szkolne, zeszyty i kredki, które tak uwielbiała.

– Chcesz wyjść za mąż już teraz? – groził ojciec. – Nie jesteś na to za mała?

– Nie chcę! Nie chcę żadnego męża! – Eve machała rękami i wykrzywiała twarz w obrzydzeniu.

– Widzisz, dziewczynki po obrzezaniu uważa się za gotowe do małżeństwa. Po tym akcie już tylko czekają, aż rodziny znajdą im odpowiedniego mężczyznę. A potem rodzą dziecko za dzieckiem.

– Oj, nie! *Baba!* Ja chcę się uczyć! Może zostanę pielęgniarką albo nauczycielką. – Młoda miała ambitne plany.

– To dobrze. Zatem pamiętaj, jak babka albo te jej koleżaneczki, stare więdźmy, po ciebie przyjdą, uciekaj do chrześcijańskiej misji, kościoła, kliniki albo katolickiej szkoły.

– Dobrze. Ale jak oni mi pomogą? – Dziewuszka nie wierzyła, by jakiś ksiądz mógł ją wyrwać ze szponów staruchy, która we wsi cieszyła się ogromnym poważaniem, choć bardziej wzbudzała lęk, bo ludzie wierzyli jeszcze w uroki, które ta czarownica mogłaby na nich rzucić.

– Córeczko, pod opieką duchownych, policjantów oraz aktywistek walczących o prawa kobiet będziesz bezpieczna.

– Mogę zabrać parę koleżanek? – Eve, nieświadoma powagi sytuacji, nadal traktowała to wszystko jak zabawę w chowanego.

– Oczywiście, będzie ci raźniej.

W końcu nastał ten wyjątkowy dzień, kiedy z publicznej przestrzeni ich wioski nagle zniknęło około dwustu dziewczynek i nastoletnich dziewcząt. Ostrzeżona przez ojca mądrała pobiegła z młodszą o rok siostrą i kilkoma kumpelkami we wskazanym kierunku. Wybrały szpital, bo tam już każda z nich była, a do kościoła, jako muzulmanki, trochę bały się wchodzić. Jednak kiedy nic się nie działo, po paru godzinach Eve się znudziła i postanowiła sprawdzić, co w trawie piszczy. Najciszej jak umiała podkrađła się pod chatę babci, znajdującą się na obrzeżach ich sporej wioski. Ze środka dochodziły piski i krzyki. Przeraziło ją to, ale ciekawość wzięła górę nad strachem. Podeszła na palcach, doskonale wiedząc, gdzie w gliniance jest szczelina, przez którą już nie raz podglądała staruchę. To wtedy przekonała się na własne oczy, na czym polega ich wspaniała tradycja.

Szamanekę wspierały młode kobiety – niegdyś również okaleczone, a teraz pomagające w ten sam okrutny sposób skrzywdzić własne córki. Trzy dziewczynki z rodziny Eve czekały

w sieni; zadowolone, objadały się cukierkami i ciastkami, zapijając je landrynkową oranżadą. To była ta marchewka – nagroda, która miała im osłodzić cierpienie. Zachowywały się, jakby nic nie słyszały i nie miały pojęcia, co się dzieje za brudną zasłoną. Były szczęśliwe, a ich buzie się śmiały, bo takiej uczyty nie miały jeszcze nigdy dotąd. A ta, co krzyczała, to zapewne jakieś strachajło. Zresztą po krótkiej chwili zwierzęcy wrzask i spazmatyczny płacz ustały, co tylko potwierdziło ich teorię.

Eve zmieniła miejsce, chcąc się przekonać, która tak się kompromituje. Kiedy przytknęła oko do dziury, dech jej zapało. Nie mogła uwierzyć w to, co widzi. Babka trzymała w ręce zakrwawiony kawałek szkła, a obok leżała tępą brzytwa. Kobieta była umazana aż po łokcie posoką, która strumieniem wypływała z nieprzytomnej już siedmiolatki. Po chwili brudną, rzadko mytą dłoń z długimi pazurami podniosła dużą igłę krawiecką z nawleczoną na nią dratwą i zaczęła zaszywać krocze okaleczonej. Matka dziewczynki zaciskała zęby i jak w amoku kiwała głową. Na koniec przestępczyni wzięła jakieś liście, które położyła na żywej ranie, obróciła swoją pacjentkę na bok i związała jej nogi.

– Wynieście na tyły chałupy. Tam już jest przygotowane legowisko dla tych małych krzykaczek. – Zadowolona ze swojej roboty znachorka uśmiechnęła się, wytarła dłonie w poplamioną szeroką spódnicę i rozkazała: – I dawać mi tu następną. Jeszcze dużo pracy przed nami.

Eve, bojąc się przyłapania, puściła się biegiem przed siebie. Wpadła do szpitala, ale nie zastała w nim już ani jednej swojej kompanki. Mały lazaret świecił pustkami. Nie było nawet recepcjonistki, pielęgniarki ani lekarza. Poczuli się zagubiona. Gdzie ma się udać? Co ze sobą zrobić?

– *Baba...* – szeptała z przerażeniem. – *Baba, ratuj...*

– Ludzie, pomóżcie! – Nagle do szpitala wpadł ksiądz, którego wielokrotnie widywała na targu czy ruchliwych ulicach, które dziś były niczym wymarłe. – Mam pierwszą ofiarę! – Trzymał przed sobą niewielkie zawiniątko, małą osobkę zasłoniętą kolorowym brudnym pledem. Wystawały spod niego tylko stópki ozute w barwne sandały z kokardką, po których strumyczkiem płynęła żywoczerwona krew, kapiąc na szpitalne lastriko.

– Szykujemy salę na więcej takich przypadków. W tym roku będziemy mieć urodzaj. – Lokalny lekarz w rozwianym białym fartuchu, narzuconym na przeпоcony podkoszulek, wyrósł jak spod ziemi.

– Co ty tu robisz? – Do Eve podeszła nowoczesna rodaczka ubrana w obcisłą suknię i z odsłoniętymi hebanowymi włosami, zwiniętymi w gruby kok na karku.

– Nic, proszę pani. Byłam tu z koleżankami. Siedziałyśmy sobie w poczekalni... – Dziewczynka zaczęła się gęsto tłumaczyć, nie mogąc oderwać wzroku od czerwonych plam na podłodze. – To ja już pójdę, bo jakoś nie widzę moich przyjaciółek.

– Nigdzie nie chodź! Broń cię Panie Boże! – wybuchnęła czadyjska ginekolożka. – Nie wychodź stąd i przez tydzień. Ci kretyni nie odpuszczą. Zachowują się jak dzikie zwierzęta, kiedy pocują krew.

– Tutaj jesteś! – Do budynku nieoczekiwanie wbiegła matka małej uciekiniarki. – Podstępem zabrali twoją siostrę i koleżanki. – Płakała rzewnymi łzami. – Gdzieżeś ty się podziewała?

– Ja... przepraszam...

– Ależ za co? Uratowałaś się! W końcu kogoś posłuchałaś. – Odetchnęła z ulgą.

– Tata mówił...

– Czy tylko jeden ojciec w tej wiosce ma mózg?! – Lekarka nie była w stanie pojąć tej sytuacji, a żona – zamiast dumy z męża – czuła wstyd, bo to jej rodzicielka okaleczała

największą liczbę dziewczynek we wsi. I robiła to od lat.

– Widziałam, co robi babka. – Eve zebrało się na płacz. – Ona coś tam wycina... chyba tego rosnącego penisa? – Na te słowa wszystkie otaczające ją kobiety przygryzły wargi, z niedowierzaniem kręcąc głowami. – Potem dźgała Munę taką wielką igłą, jakby cerowała buty.

– Mnie ta wiedźma zszywała kolcem akacji – wyznała wzburzona matka. – Siedź tu i nie ruszaj się. Zaoszczędzisz sobie bólu. A wiedz, że nie jest on jednorazowy. To okaleczenie zostaje na całe przekłete życie.

– W kobiecej muszelce pozostaje tylko niewielki otwór na mocz i krew menstruacyjną, zazwyczaj o przekroju ołówka – wykształcona pielęgniarka tłumaczyła małej dziewczynce, która takie słowa słyszała po raz pierwszy, bo temat seksualności stanowił w ich społeczeństwie tabu. – W wyniku tego inwazyjnego zabiegu zostaje zaburzone miesiączkowanie czy chociażby oddawanie moczu, które trwa w nieskończoność i zazwyczaj towarzyszy temu okrutne cierpienie. W rezultacie w wielu przypadkach dochodzi do powstania stanów zapalnych jajowodów i pęcherza – zwróciła się do córki jak córka zawstydzonej matki. – Nie wspominając już o niebezpieczeństwie zakażenia tężcem, posocznicą czy wirusem HIV.

– Ty też tak masz, mamo? – sondowała przerażona córka, a ta niemo potwierdziła. – Babcia ci to zrobiła? Twoja mama?!

– Nie ma co narzekać. Ja i tak mam szczęście. – Afrykanka ośmieliła się po raz pierwszy w życiu otwarcie poruszyć ten temat, choć bardzo ją to peszyło. – Moja siostra skończyła gorzej.

– Miałaś siostrę? – zdziwiła się Eve. – Myślałam, że tylko braci.

– W domu się o tym nie wspomina, ale moja matka już dawno powinna siedzieć w więzieniu. Na sumieniu ma nie tylko swoją córkę, ale także dziesiątki dziewcząt, które bezpośrednio czy pośrednio wyprowadziła na tamten świat. Nieraz się zastanawiałam, czy nie złożyć zeznań...

– Proszę to zrobić! Absolutnie! – Nowoczesna ginekolożka pragnęła wesprzeć zahukaną wieśniaczkę, lecz kiedy spojrzała w jej wystraszone oczy, od razu zrozumiała, że nic z tego nie będzie. Nikt nie zatrzyma haniebnego procederu.

– Co z cicią? – Mała ciekawska tymczasem nie odpuszczała, bo bardzo ją frapował ten temat.

– Jakoś dawała sobie radę z tym całym bólem i ciągłymi chorobami, tak jak i my wszystkie. Ale do czasu... – Zamilkła, a słuchaczki już wiedziały, że ciąg dalszy będzie katastrofalny. – Zmarła, niestety. – Na tym skończyła się relacja przeznaczona dla uszu siedmiolatki. – Czy moja córka może tutaj zostać? – zapytała kobieta na odchodnym.

Pielęgniarka bez słowa wzięła dziewczynkę pod swoje skrzydełka. Ukryła ją w gabinecie lekarskim, jednak zaraz potem dogoniła jej matkę, chcąc poznać przyczynę rodzinnego dramatu.

– Co się stało z twoją siostrą? Jak doszło do jej zgonu?

– Niestety przyszło zaraz po ślubie. – Okaleczona ściszyła głos, by mimo wszystko prawda nie dotarła do jej niewinnej pierworodnej, która dzisiaj i tak za dużo naoglądała się okropieństw. – Takie „zapieczętowane” panny młode bardzo często są brutalnie otwierane przez nowo poślubionych małżonków. Zdarza się, że młoda żonka w noc poślubną wykrwawi się na śmierć, bo mężulek, który nie potrafi dokonać penetracji, bierze nóż i po prostu rozcina swą kobietę. Właśnie to jej się przytrafiło. Kiedy w końcu wezwaliśmy lekarza, było już za późno. Nie zdołał jej uratować...

– Współczuję pani i pani rodzinie. To wielkie nieszczęście, choć sami kręcicie na siebie bat.

– Cóż, my, muzułmanie, mówimy: *insz Allah*<sup>37</sup>, a chrześcijanie, że Bóg tak chciał. Koniec kropka.

- Ale trzeba z tym walczyć!
- Walczyć? Pani żartuje!

Dla ludzi pokroju matki Eve czy jej ojca walka była niemożliwa, wręcz niewyobrażalna. I to pod żadną postacią, tak jakby byli urodzonymi pacyfistami. Jak umieli, unikali przemocy, żyli w zgodzie z naturą i byli dobrymi muzułmanami. Może dlatego opuścili swoją wioskę, gdzie groźba obrzezania ich pozostałych córek była bardzo realna. Na prowincji nie udało się tego uniknąć, nie dałoby się okłamać babki, która wydawała się głównodowodzącą i generałem całej tradycyjnej lokalnej społeczności. Byli szczęśliwi w Czadzie, rzadko czegoś im brakowało, ale do Nigerii powędrowali za dobrobytem i szerszym światem. Rodziców według Eve popchnęły do tego kroku pycha i zachłanność. Ojciec gdzieś wyczytał i nasłuchał się głupot od kolegów, że ten kraj jest największą potęgą gospodarczą Afryki, bo ma ogromne zasoby ropy naftowej. Jednak nie doczytał, że Nigerię do głębi zżera korupcja i osłabia bezczelna oraz bezkarna grabież państwowego mienia. Na tym gruncie powstała Boko Haram, najgroźniejsza i najpodlejsza organizacja terrorystyczna współczesnych czasów, porównywana z Państwem Islamskim, choć aktualnie twierdzi się, że są bardziej okrutni i mają na sumieniu więcej ofiar od swojego arabskiego pierwowzoru. Od początku żerowali na oburzeniu społecznym i na rozczarowaniu rządowymi oszustwami, więc wystarczyło rozpropagować na pozór antykolonialne i antyzachodnie hasła wśród tych, którzy nie mieli dostępu do dóbr tego bogatego kraju. Pierwotnie agitowano najmniej rozgarniętych – sporo ich było, bo ludność, nieuczęszczająca do szkoły, biła rekordy pod względem analfabetyzmu. Jednak z czasem w ich szeregi wstępowały zarówno niepiśmienni i żebracy, jak studenci szkół koranicznych, którzy wnieśli chyba najwięcej złego, mianowicie uduchowanie. Kiedy zaczęły ich wspierać państwa Zatoki Perskiej – w tym saudyjscy wahabici<sup>38</sup>, a potem Bractwo Muzułmańskie<sup>39</sup> i kalifat – stali się niezwyciężeni. Pod wpływem religijnych ideałów i lokalnych dewotów zaczęli głosić powrót do bezwarunkowej nabożności. Każdy, kto nie wyznawał radykalnej wersji islamu, traktowany był jak niewierny i razem z niewierzącymi, ale też wyznawcami innych religii, takich jak chrześcijaństwo, stawał się celem prześladowań. Na tej podstawie i z tym argumentem w rękę zabili tysiące niewinnych osób. Mordowali kobiety i dzieci. Cywilów. Nie oszczędzali nikogo ani niczego. Wybuchwały samochody pułapki, samobójcy wysadzali się w zamachach – czy to w publicznych autobusach, szkołach, meczetach czy na ulicznych targach, mordowano przy użyciu broni białej, noży, maczet i kindżałów bądź maszynowej. Kałasznikowy były dosłownie wszędzie. W zajętych przez terrorystów miejscowościach dokonywano samosądów, w wyniku których odbywały się chłosty, publiczne egzekucje i kamienowania. Zbrodniarze wykorzystywali dzieci – zarówno chłopców, jak i dziewczynki – do samobójczych zamachów. W Syrii nazywano takie maluchy szczeniętami kalifatu, a w afrykańskich realiach wołano na nich „tygrysiątka Afryki”.

Czadyjska rodzina, chcąc ratować swoje córki przed kalectwem, w Nigerii nie tylko dziewczynki skazała na jeszcze gorszy los. Zamieszkali w sporej miejscowości, gdzie po jednej stronie asfaltowej głównej drogi stał meczet, a po drugiej kościół. Dzieci muzułmańskie bawiły się z chrześcijańskimi, a rodzice robili ze sobą interesy i nawet się przyjaźnili. Wszyscy żyli w zgodzie. Nie było karczemnych burd ani groźnych bijatyk. Ludzie umierali z przyczyn naturalnych. Nikt nie dokonywał rytualnego obrzezania dziewczynek, a jeśli już, robiono to sporadycznie i w wielkiej tajemnicy. Areszt świecił pustkami, czasami tylko był zaludniany przez drobnych kieszonkowców, przyjezdnych złodziejasków lub zbyt agresywnych po alkoholu mężczyzn. Służył bardziej jako izba wytrzeźwień niż jednostka penitencjarna. Do czasu... Bo przyszedł moment, kiedy cały otaczający ich świat runął, a wszystkie wartości się

zdezaktualizowały.

Wydarzyło się to w piątek, dzień wyróżniający się spośród innych dni tygodnia, bo święty dla muzułmanów i targowy dla wszystkich mieszkańców miasteczka. Ludzie zbierali się wtedy – niektórzy w miejscu religijnego kultu, a potem już wszyscy na zatłoczonym placu. Pogaduszkom, kpinkom, zalotom nie było końca. Boko Haram uwielbiała przeprowadzać swoje akcje w momencie, kiedy ludzie byli szczęśliwi, rozleniwieni, zrelaksowani, a uśmiech nie schodził im z twarzy. Jej członkowie skutecznie im ten uśmiech zdzierali. Czasami wraz ze skórą.

– Co się dzieje? – Pierwsza zaniepokoiła się Eve; już nie raz słyszała serie wystrzałów z broni maszynowej, ale nigdy tak blisko. – Czyżby nadeszła nasza kolej? – Przerazona popatrzyła na matkę, która nie była w stanie jej uspokoić, bo sama drżała na myśl, że groźby mogłyby się spełnić.

– Moja koleżanka katoliczka ostrzegęła, że Boko Haram jest tuż-tuż – do rozmowy włączyła się młodsza siostra. – Wczoraj wyjechali. Mówiłam wam, że trzeba uciekać! – nieoczekiwanie wykrzyknęła i zaraz załała się łzami.

– Gdzie *baba*? *Baba*?! – Gromadka rodzeństwa, z których najmłodsze ciągle wisiało na maminych plecach, wpadła w panikę. – Gdzie tata? – Matka była tak zastrachana, że ani nie potrafiła wydusić z siebie słowa, ani podjąć żadnej decyzji. – Mamo!

– Zbierzmy do tobołków trochę najpotrzebniejszych rzeczy i uciekajmy. – Najstarsza wzięła sprawy w swoje ręce.

– *Baba* jest w meczecie. Jak go złapią, to na pewno zabiją – matka w końcu bez ogródek wyjaśniła swoim małym dzieciom. – Ponoć mordują wszystkich mężczyzn, którzy do nich nie dołączą. A on nie dołączy. – Buchnęła rykiem i zamiast zbierać nogi za pas, poddała się rozpacz.

– Natychmiast uciekajmy! – Najstarsza latorośl, chcąc zmotywować zagubioną rodzinę, zaczęła biegać po domu i zbierać najpotrzebniejsze rzeczy. Kolejne strzały rozległy się już dwa domostwa dalej. – No już, ruszcie się!

Nikt z rodziny jednak nawet nie drgnął. Ogłupiała matka siedziała na macie w saloniku ich przytulnego małego domku, tuląc najmłodszą trójcę. Zamiast rzucić się do ucieczki, dała synkowi piersi. Nastoletnie siostry stały i patrzyły na tę tragiczną scenę. Oczyma wyobraźni widziały już ich śmierć.

Potem wypadki potoczyły się bardzo szybko. Bojownicy Boko Haram szli od domu do domu, wywlekając z nich bezbronne kobiety i dzieci, na pannice zaś patrzyli jak na smakowitą spyrkę i od razu było wiadomo, co z nimi zrobią. Wszyscy wiedzieli, jak ci zwyrodnialcy traktują dziewczynki, dziewczęta i młode kobiety. Szacowali je jak sztuki bydła, a potem brali jak swoje w celach prokreacji i ekspansji.

– Biegiem! Ruchy! Na *majdan*!40 – darli się jak obłąkani. – Ruszać się!

Niektórzy fundamentaliści mieli na sobie stroje podobne do tych, jakie nosili *dżihadyści* w Państwie Islamskim. Spodnie we wzór *moro*, czarne kurty i czarne turbany na głowach. Widać było, że to żołnierze. Inni, a była ich większość, to zwykłe, żądne krwi pastuchy, ubrani w *galabije*41 i zawinięci w jakieś brudne szmaty, które pełniły uniwersalną funkcję koca, szala czy nakrycia głowy. Ci byli najbardziej wygłodniali kobiet, a zaraz potem mord. Chcieli się zasłużyć, by też dostać nowe ciuchy, niewolnicę i jakąś zatęchłą norę, która i tak będzie lepsza od ich dotychczasowej lepianki. Wtedy Eve była jeszcze muzułmanką, Chadidżą, modliła się pięć razy dziennie, przestrzegęła postu i marzyła o pielgrzymce do świętej Mekki. Lecz kiedy na jej oczach zaczęła się rzeź, zwątpiła we wszystko. Doszła do wniosku, że jedynie wredny, podły i sadystyczny Bóg może pozwolić na to, by takie okrucieństwa spotkały jego wierne duszyczki. W tym momencie Bóg, który pozwala na coś takiego, przestał być jej panem.

– Nie ma Boga prócz Allaha... – recytowała cały czas *szahadę*<sup>42</sup>. – I Allaha też nie ma – skwitowała na koniec.

Cała wieś, gnana jak bydło, została zgromadzona w jednym miejscu – na małym zakurzonym placu przy meczecie. Ci odważni, którzy szukali ratunku w ucieczce, byli z łatwością wyłuskiwani spośród krzaków, dołów i zakamarków, a potem na miejscu zabijani. Oprawcy od razu przeprowadzili selekcję. Atrakcyjne dla nich dziewczynki i młode panny ustawiali z jednej strony, dojrzałe kobiety z małymi dziećmi i starców z drugiej, a pomiędzy nimi w pyłe i kurz zebrali nielicznych mężczyzn. Klęczeli oni z rękoma skrępowanymi powrozem na plecach. Wszyscy zawodzili, rozpaczali, płakali i krzyczeli. Było głośno jak w ulu.

– Cisza! Cisza! – Oprawcy darli się w stronę tłumu, ale bez skutku. – Cicho siedźcie, przekłęci niewierni! – Pierwsza seria z karabinu poszła w kierunku matek z dziećmi. Głosy ustały jak nożem uciął, jedynie śmiertelnie ranne jęczały i charczały, lecz zaraz też umilkły, dorżnięte kozikami. – Będzie cicho? – Z obłędem na twarzy sondował lokalny dowódca bojówki Boko Haram, obrzydliwy zakapior, potężny mężczyzna ze śladami po ospie na policzkach i czole. – Jak nie będziecie się słuchać, to wszyscy tak skończycie.

Zabicie niestawiających oporu niewiast wyjątkowemu krwiopijcy widać nie dało wystarczającej satysfakcji. Zbliżył się zatem do szeregu klęczących mężczyzn. Świdrował ich złym, opętanym wzrokiem, a oni spuszczały głowy i ze strachu trzęśli się jak osiki. Wiedzieli, że wyrok na nich już zapadł i śmierć jest nieunikniona. Niektórzy płakali rzewnymi łzami, inni w panice popuszczali mocz. Nieliczni, ci dzielni, mieli ściśnięte szczęki i dumnie podniesione czoła. Do tych wyjątków zaliczał się *baba*. Eve w duchu błagała ojca, by się pokłonił, by okazał pokorę, ale nic z tego. Przeciwnie – jeszcze siłował się wzrokiem z dowódcą.

– Takiś dumny? – prychnął zdenerwowany jego pychą kat. – Ty niewierny psie! – Zdzielił go kolbą karabinu przez głowę, lecz silny *baba* tylko się zachwiał i nadal trzymał pion.

– Nie jestem niewiernym – odezwał się donośnie. – Nauczam w szkółce koranicznej i jestem prawowiernym muzułmaninem. A te oszczerstwa możecie wśród głupców szerzyć!

Mężczyzna może myślał, że gdy się postawi, śmierć przyjdzie szybko i bezboleśnie, bo bojownicy Boko Haram znani byli z braku opanowania. Jakże straszliwie się pomylił! Groźny dowódca podszedł do niego na wyciągnięcie ręki, chwycił skrępowanego za potylicę, rzucił na ziemię i wcisnął jego twarz w piach. Ojciec dusił się i krztusił od pyłu, lecz tkwił jak w potrzasku. Zaraz przyskoczyło do nich dwóch młodych terrorystów, by pomóc przytrzymać wijącego się skazańca. Wtedy głównodowodzący z szalonym, bestialskim uśmiechem na ustach wyciągnął zza pasa spory komandoski nóż i zabrał się za piłowanie. Zamiast poderżnąć mężczyźnie miękkie gardło, ciął od tyłu. Teraz hardy ojciec darł się już wniebogłosy. Trwało całą wieczność, zanim stracił przytomność. Jego kochająca żona otrzepała się z małych dzieci jak z ulęgałek i odruchowo rzuciła w kierunku męża. Maluchy, wrzeszcząc, potruchały za nią. Z drugiej strony biegła na ratunek młodsza siostra. Najstarsza stała jak zamurowana. Doskonale wiedziała, co stanie się za chwilę. Jedna krótka seria z karabinu przeszła jej rodzicielkę i rodzeństwo, a pojedyncza kula, która wypadła z lufy jak korek z szampana, zatrzymała w miejscu czternastoletnią siostrzyczkę. Eve zgięła się w pół z żalnym jękiem, który wyrwał się z jej gardła.

– Ma patrzeć! – Przywódca przechodził wszelkie granice bestialstwa. – Patrzy! – groźnie powtórzył.

Usłuchała bez słowa sprzeciwu. Chciała żyć. Bała się śmierci, a takiej, jaką zadawano tu i teraz, najbardziej.

Morderca piłował twarde kręgosłup mężczyzny tuż przy potylicy, następnie przez długie dwadzieścia minut ciął mięśnie i żyły. Aż się zasapał. Krew zabryzgała mu spodnie, był w niej aż

po łokcie. Kiedy wytrysnęła z aorty, zalała jego pochyloną twarz. Już nikt nie płakał, nikt nie krzyczał. Wszyscy znali swoje przeznaczenie. Są byłem, byłem prowadzonym na rzeź. Brygada Boko Haram rozprawiła się z wioską i jej mieszkańcami błyskawicznie. Wyczerpujący pokaz był tylko jeden. Potem już nie zwlekali – szybko zabili z broni maszynowej nieprzydatnych, słabych jeńców, a mężczyznom kazali wykopać rowy, w których na koniec sami wylądowali. Dziewczęta spędzono do kościoła, skąd zabierali je okupanci do swoich – nie swoich domów. Napiwszy się krwi ofiar, teraz pragnęli nurzać się w krwi dziewiczej. Eve wpadła w łapska dowódcy. Tego się zresztą spodziewała. Tak jak haniebnie i barbarzyńsko postąpił z jej ojcem, tak samo potraktował ją. Tuż za progiem dotkliwie ją pobił, ale tak, by nie straciła przytomności. Potem ją zgwałcił. Raz, drugi i trzeci. W jej własnym domu, który zaanektował, w łóżku jej rodziców. Notorycznie, każdego dnia i każdej nocy, brał ją siłą przez następne długie trzy miesiące. Nieszczęsna sierota się nie broniła. Nie płakała, nie narzekała. Przestała się odzywać. Ustawicznie spuszczała wzrok, by nikt z najeźdźców nie zauważył nienawiści płonącej w jej oku.

Kiedy już pogodziła się z myślą, że jej przeznaczeniem jest bycie niewolnicą do końca życia i rodzenie dzieci zbrodniarza, pewnego niczym niewyróżniającego się upalnego letniego popołudnia, idąc do studni na tyłach domu, usłyszała znajome wołanie:

– Hej! Hej!

– Kto tam? – Z trwogą podeszła do ogrodzenia. – To ty...

– Przyjaciółko! Pomyślałam o tobie! – Szkolna koleżanka dyszała, jakby właśnie przebiegła maraton. – Uciekamy! Dołączysz do nas?

– Ale z czym? Jak? Dokąd? – Eve zarzuciła bratnią duszę pytaniami. – Zabiją nas przecież! – podsumowała zrozpaczona.

– Tutaj też czeka nas śmierć. Idziesz tak jak stoisz albo w ogóle.

– Idę. – Podjęła życiową decyzję.

Bieganie nigdy nie sprawiało jej kłopotów, nawet w spódnicy do ziemi była szybsza od starszych od siebie chłopców. Jej długie nogi poruszały się jakby same. Potrafiła w naturalny sposób kontrolować oddech i nie wykonywać zbędnych ruchów, żeby się nie zmęczyć. Cztery dziewczyny mknęły przed siebie. Żadna z nich nie miała pewności, czy pędzą w dobrym kierunku, ale wszystkie wiedziały, że droga wiodąca w lewo za wioską prowadzi nad jezioro. Na wielkim wysychającym jeziorze Czad znajdują się liczne brody, którymi można przejść na drugą stronę suchą stopą. Żadna z nich nie umiała pływać. Były murzyńskimi dziewczętami, mużułmankami, nigdy nie uczęszczały na lekcje wuefu, bo było im to zakazane. Mężczyźni rządzący ich światem uważali, że na takich zajęciach dziewczyna może stracić cnotę, a to byłoby gorsze od śmierci. Sporo panienek było obrzezanych i w ich przypadku pęknięcie krocza było całkiem realne. Czternasto- i piętnastolatki, ofiary wojny i gwałtu, młode sieroty zupełnie nie zaplanowały swojej ucieczki. Nie miały nic do jedzenia, ani kropli wody, ubrań czy nawet potarganego koca, by nakryć się zimną nocą. Nie miały też dobrego obuwia na taką wędrówkę, a jedynie gumowe klapki, które zresztą błyskawicznie zgubiły lub rozerwały. Biegły zatem na bosaka, kalecząc stopy o twarde korzenie, kolce kaktusów i agaw, porzucone szkło czy metalowe pręty. Nie patrzyły pod nogi. Nie omijały niczego. Dlatego już po jednym dniu nie nadawały się do dalszej drogi. Wiedziały jednak, że nie ma dla nich powrotu, więc zaciskając zęby i w ciszy roniąc łzy, gnały ostatkiem sił, zostawiając za sobą krwawy ślad.

W końcu ich oczom ukazały się nieprzebrane wody – wymarzone jezioro, które okazało się zbawieniem i przekleństwem zarazem. Ochłodziło ich rozpalone stopy i płonące twarze. Nierozsądnie weszły do wody aż po szyję. Zaraz też dwie straciły grunt pod nogami i poszły na dno. Wchłonęły je muł i żwir, pociągnęły za sobą prądy. Przy życiu pozostały jedynie Eve i mało

jej znana dziewczyna. Teraz już ostrożnie, krok za kroczkiem, badały dno akwenu. Ostatecznie przeprowadził je młody rybak, który pojawił się nie wiadomo skąd.

Kiedy już znalazły się w Czadzie, Eve bez słowa porzuciła swoją towarzyszkę i udała się do wuja, który mieszkał nieopodal brzegu. Okazało się, że był tu nadal.

– Co z tobą? Gdzie rodzice? Jak to: Boko Haram? Jak to: zabili?! – To wszystko nie chciało mu się pomieścić w głowie. – A ty jakim cudem żyjesz?! – naciskał oskarżycielskim tonem, a gdy nie doczekał się odpowiedzi, zrozumiał. Mężczyźnie źle patrzyło z oczu, tak jakby znienawidził dziewczynę za to, że stała się ofiarą.

Dla każdego człowieka gwałt jest zbrodnią, poniżeniem, ale dla muzułmańskiej dziewczynki jest niewybaczalną hańbą. To straszny wstyd. Miała dopiero piętnaście lat! Wtedy po raz pierwszy ucieszyła się, że jej rodzice nie żyją. Biedny ojciec... Matka... Tak jej strzegła, tak dbała o czystość córek. Nie było już najbliższej rodziny, która by ją odtrąciła, ale ta dalsza też nie miała ochoty się z nią zadawać. Dziewczynka tylko czekała, aż wyrzucą ją na ulicę. A może zabiją? Brzydzili się nią. Litościwie rzucili jej materac w stajence dla bydła, a jeść dawali w blaszanej misce z dala od siebie, jak psu. Tak jakby miała HIV. Jakby była zadzumiona. Z tego okresu pozostała w niej, głęboko skrywana, nienawiść do ludzi i świata, a także poczucie niesprawiedliwości, które wypalało jej duszę przez długie lata. Jedyne instynkt samozachowawczy dodawał jej sił. To wtedy zdecydowała się na podróż do babki. Chcąc ukryć gwałt, w wyniku którego straciła cnotę, sama błagała staruchę, by ta ją zaszyła. Brzemię tej głupiej, nierozważnej i nieodpowiedzialnej decyzji przyjdzie jej nosić już do końca życia.

– Dlaczego nie masz dzieci? – będą pytać niewtajemniczeni.

Odpowiedź zawsze będzie brzmiała tak samo:

– Nie mam męża i nie mam dzieci. Nigdy nie będę wieść normalnego życia.

Teraz te złowróżbne słowa znów wybrzmiewają w głowie Afrykanki. Słyszy je, kiedy obserwuje swojego kochanka. Na jego widok serce jej topnieje. Znów jest tamtą niewinną dziewczyną, która wierzy, że los jeszcze się do niej uśmiechnie. Jeszcze będzie szczęśliwa.

Jasem gwałtownie budzi się z płytkiej drzemki. W ciemności wytrzeszcza oczy. Nie wie, gdzie się znajduje, jest przerażony. Obraca się na bok, dziko charcząc, i tuż przed sobą widzi piękne czarne i smutne zwierciadła duszy swej nowej niewiasty. Uspokaja się powoli pod wpływem dotyku jej ciepłej dłoni na swoim policzku i długiego, namiętnego pocałunku.

– Coś mówiłaś? – zagaduje, kiedy już wyzwała usta od jej dużych, mięsistych warg.

– Nie, nic takiego.

– Narzekałaś, że zostałam obrzezana, przez co jesteś wiecznie nieusatisfakcjonowana seksualnie. – Jasem figlarnie puszcza do niej oczko. – Ze mną? Pierwsze słyszę.

– Nie samą łechtaczką człowiek żyje – dołącza do kpinek Eve. – Z tobą byłam ukontentowana jak nigdy w życiu.

To były ostatnie słowa, które para wymienia tej nocy. Później już tylko badają uszkodzony hymen kobiety i obrzezany napletek mężczyzny, który nie wygląda na Araba, a Żydem z pewnością nie jest. Noc otacza ich ciepłym kokonem, a milczenie daje więcej bliskości niż wzburzona mowa.

Abdul i Judith pierwszą noc w nowym miejscu drzemią na siedząco w zaoferowanym im domu. Pepe oczywiście niczego dla nich nie kupił, więc pięćset euro zwyczajnie ukradł, a jedynie lokalni wyrobnicy trochę zamietli ich kwaterę, kupili pieczywo tostowe i dżem oraz pożyczyli



używany, brudny siennik, na który młodzi nawet nie chcieli spojrzeć. Wydawało im się, że materac aż się rusza od buszujących w nim owadów i insektów. Pomimo że budynek jest nowy, a nawet jeszcze niewykończony, po podłodze co chwilę przebiegają szczury i myszy, a i karaluchów nie brakuje. Mrówki także utworzyły tu swoje własne trakty. Idąc do prowizorycznej toalety, gdzie jest jedynie szlauch i dziura w ziemi, trudno nie nadepnąć na poruszającą się ścieżkę. Kuchnia – lub raczej kąt, który spełnia jej funkcję – jest zaanektowana przez małe żyjątka. Walczą o marne resztki jedzenia i wodę kapiącą z rur, które nie zostały zamknięte kranami, a jedynie zaślepkami. W stropach i na tarasie także toczy się życie, bo ciągle coś tam chrobocze i zgrzyta. Może to jedynie przyjazne człowiekowi cykady, gekony czy nocne ptaki, ale nieznanne dźwięki na pewno nie przyczyniają się do głębokiego snu.

– Ruchy! Ruchy! – O szóstej rano pojawia się kapo Pepe i zagania sunących nogą za nogą ludzi do pracy. – Cóż to za dziwny nowy narybek nam się trafił? – wrzeszczy wściekle, widząc obrotnego Jasema wychodzącego z domku Eve. Dwójki przybyłych z nim młodych nigdzie nie widzi. – Dostaliśmy tu wrażliwych estetów, a może raczej zwyczajnych nierobów. Ja im będę płacił za pracę, którą wy wykonujecie, a oni nawet palcem nie kiwną. – Wrogo nastawia do przybyszy pozostałych uchodźców. W końcu jedzie pod barak i wywleka stamtąd połamaną od niewygód parę. – Do roboty, dranie!

Pepe przy pasie ma przypięty pejcz i Jasem zastanawia się, czy czasami go używa. Jeśli spróbuje go uderzyć, to choćby cały plan miał wziąć w łeb, dumny dżihadysta nie podaruje takiej zniewagi. Zabije gnoja bez chwili namysłu i najmniejszych wątpliwości.

– Co robimy, panie? – Abdul czuje pismo nosem i wie już, że należy stąd natychmiast zwiewać. – Nie damy się zagnać do fizycznej roboty. Harować w polu to ja mogłem w Libii. Zrób coś! – Podnosi głos, bo patentowany arabski leń jest przerażony perspektywą ciężkiej pracy. – Miał być milion dolarów, no, choćby pół, a jest tylko poniewierka.

– Nic się nie bój – uspokaja go Jasem. – Musimy tu wytrzymać trzy dni, maksymalnie tydzień. Potem się ogarniemy i tyle nas będą widzieli.

– Pocieszyłeś mnie, choć nadal czarno to widzę. – Chłopak wzdycha z ulgą. – A co z moją kasą? Nadal nie masz dostępu do swoich kont? – Nic nie wie o posunięciach współników, bo para sprytnych konspiratorów nie wtajemniczyła go w kwestię włoskiego konta Amerykanki i niemałych pieniędzy, które mają do dyspozycji.

– Tutaj, między kapustą a bakłazanami, mam znaleźć twoje zielone? – podśmiechuje się kompan, bo namolność i głupota chłopaka nie znajdują granic.

– Wiadomo, że nie. Ale w Mediolanie też się ponoć nie dało. I tak w kole dupy! – złości się młody, bo ma już po dziurki w nosie towarzystwa Jasema, który kiedyś był panem, wszechwładnym wodzem i wydawało się, że może góry przenosić, a teraz stał się zwyczajnym gołodupcem i gołosłownym słabeuszem. – Chcesz mnie trzymać przy sobie aż do śmierci? Zakochałeś się w nas czy jak?

– Wszystko nie idzie tak szybko, jak byśmy chcieli. – Pół-Syryjczyk nie jest zadowolony z pyskowania młodziaka, ale nie daje się sprowokować. – Musisz uzbroić się w cierpliwość.

Jasem nie ma ochoty uszczuplać swoich zasobów nie tylko o milion dolarów czy pół, ale nawet o kilkaset tysięcy. Woli je zainwestować, niż wyrzucić w błoto, dając je w zachłanne łapska tępego chłopaka. Przewiduje bowiem, że ten przepuści kasę z szybkością światła, a potem oczywiście będzie chciał więcej i więcej. A jak nie dostanie, to może swojego byłego szefa szantażować czy nawet z czystej bezmyślności wsypać. Ukrywający się terrorysta dopiero teraz widzi – i docenia – jak ważna jest asysta Judith. W ich obecnej sytuacji Amerykanka to prawdziwy skarb. Nie dość, że ma czyste papiery, to jeszcze hamuje bezmyślne poczynania swojego męża.

– Mamy święty weekend! – ogłasza Eve w sobotę przy śniadaniu, na którym są tylko trzej nowi uchodźcy z Libii oraz jej paczka. W soboty i niedziele kobieta ma wolne, tak jak większość fizycznych, choć niektórzy, łasi na pieniądze, pracują i siedem dni w tygodniu. – Co powiecie na wycieczkę? – zagaduje nowicjuszy, bo jej brygada właśnie w ten sposób spędza wolny czas.

– Świetnie! Z miłą chęcią! – Jasem cieszy się na jakąś odmianę, bo ma ochotę wymknąć się z tego odludnego miejsca i poznać okolicę. Nie planuje tutaj dłużej pozostać, więc czas najwyższy udać się na rekonesans.

– W krzyżu mnie łupie, ale okej. – Abdul też chce się wyrwać z matni.

– A ja nie mam ochoty nigdzie się włóczyć – rozżalonym głosem oznajmia Judith. – Jestem obolała, śmierząca i połamana. W dupie mam zwiedzanie! Może planujecie pójść do muzeum, co? – Rozgoryczona, aż zalewa się łzami.

– Kochana! Zostań u mnie w domu i odpocznij – proponuje natychmiast Eve. – Weź długą kąpiel, na tyłach jest łazienka z balią, a ja przyszykuję ci relaksujące olejki. Wszystko będzie dobrze. – Bierze młodą kobietę pod ramię i prowadzi do siebie.

Wielonarodowościowa kolorowa kompania najpierw udaje się piechotą do głównej drogi, by tam złapać nowoczesny, klimatyzowany autobus i komfortowo dojechać do kurortu San Agustin, który według opinii bywalców jest wspaniałą turystyczną miejscowością. Tam też mieszkają ich krajanie Afrykanie, z którymi utrzymują kontakt.

– Pamiętaj, że tu rządzi czarna mafia. – Krewniak kochanki uchyla rąbka tajemniczy poliszyneła. – Jeśli chcielibyśmy cokolwiek zrobić w tym mieście, trzeba im będzie płacić. Za wszystko biorą haracz. Ja na to nie mam kasy, dlatego siedzę na wsi.

– Kristoff, nie bądź głupcem. Spójrz na mnie. – Jasem uśmiecha się chytrze. – Czy sądzisz, że ja komuś choćby centa zapłacę za nic? Już niedługo to nam będą przynosić w zębach forsy i dla nas pracować.

– Skoro tak twierdzisz... – Mężczyźnie nie chce się w to wierzyć, ale nie ma zamiaru zrażać nowego sprzymierzeńca. Nic o nim nie wie, jednak czuje, że ten wyblakły farbowany Arab wiele może.

Kiedy spacerują długą promenadą, co chwilę napotyka ich handlarzy, Czadyjczyków lub Nigeryjczyków. Okazuje się, że wielotysięczna nacja z Czarnego Łądu zalała całą Gran Canary, w szczególności plaże i kurorty, gdzie oferują naiwnym turystom dosłownie wszystko, począwszy od ludowej sztuki, afrykańskich obrazów i rzeźb, byle jakich majtek i staników oraz kostiumów kąpielowych prosto z Chin, na podróbkach markowych torebek i butów skończywszy.

– Chodźmy coś zjeść – proponuje Jasem, któremu coraz bardziej się podoba ta wyspa. – Nasza kucharka świetnie gotuje – przy tych słowach obejmuje swą metresę ramieniem – ale miałbym ochotę na inne smaki.

Zatrzymują się przed dużą restauracją znajdującą się nad samym brzegiem oceanu, oferującą owoce morza, lokalną paellę i sangrię oraz multum hiszpańskich tapas. Wszystkim aż ślinka napływa do ust, ale czarni kompani, nie wiedząc czemu, stoją w pewnej odległości, zbici w gromadkę, i nie zbliżają się do wejścia. Kelner mierzy ich nieprzychylnym wzrokiem, choć każdy z nich jest dziś schludnie i w miarę elegancko ubrany. Kobieta zamieniła plastikowe klapki na espadryle, a podkoszulek i długą spódnicę na gumce na wzorzystą wiskozową sukienkę do kolan. Delikatnie się też umalowała, pociągając oczy tylko czarną kredką, a namiętne, duże usta błyszczątkiem, zaś włosy, zaplecione w setki warkoczyków, spięła na czubku głowy w duży kok, co podkreśla jej długą szyję, delikatnie zarysowaną szczękę oraz regularny profil. Wygląda olśniewająco, ale nadal pozostaje hebanową pięknnością. Takich pań w lokalach przeznaczonych

dla zagranicznych turystów z grubym portfelem raczej się nie gości.

– Stolik dla siedmiu osób – zgłasza zapotrzebowanie Jasem.

Garson nie odpowiada, tylko wlepia gały w białego mężczyznę w eleganckich firmowych letnich ciuchach, jego koleś Araba o wygładzie modela oraz stojących nieopodal reprezentantów Afryki. Jeśli raz się zgodzi, żeby takie barachło weszło do jego restauracji, już się od nich nie opędzi.

– Widzę, że masz prawie całą knajpę pustą, więc nad czym się zastanawiasz? – Jasem, nie czekając na zaproszenie, łapie swą czarnulkę w pasie, a jej ziomków zagania jak stadko gęsi.

Abdul pędzi do najlepszego stolika z rewelacyjnym widokiem na wybrzeże, o które rozbijają się spienione fale.

Kelner nie wie, jak ma wyrzucić nieproszonych gości. Siedzący przy kilku stolikach turyści różnej maści z niesmakiem marszczą twarze, choć sami zbyt wiele sobą nie reprezentują. Paru z nich to zwykli plecakowicze, którzy nie śmierdzą groszem i zamawiają tylko najtańsze dania.

– Czasy apartheidu<sup>43</sup> dawno minęły – głośno komentuje zachowanie obecnych Jasem. – Prosimy o menu. Czytać już się nauczyliśmy.

Obsługa szepcze między sobą, zastanawiając się, czy nie wezwać policji, jednak nie wiedzą pod jakim pretekstem. Goście są spokojni i nie robią żadnej burdy. Tutejsi czarni przeważnie handlują na ulicy lub działają w szarej strefie – parają się prostytutką, handlem narkotykami, przemytem i innymi przestępczymi dziedzinami, ale tych trudno o cokolwiek oskarżyć. Właściciela kusi, by ich wylegitymować lub zapytać o środki, z których pokryją rachunek, lecz mógłby za to zostać oskarżony o rasizm, bo przecież białym, śniadym czy beżowym turystom, gejom i lesbijkom, dla których Wyspy Kanaryjskie są tęczowym rajem, nie każe okazywać paszportu czy kart kredytowych przed złożeniem zamówienia. Wszyscy znaleźli się w patowej sytuacji, co nie przeszkadza mieszanej kolorowej grupie świetnie się bawić. Faceci zamawiają piwo za piwem, a Eve opróżnia dzbanek słodkiej sangrii, przegryzając procentowy napój nasączonymi w alkoholu owocami. Koniec końców zostają obsłużeni i po chwili stół ugina się od znakomitego lokalnego jadła.

– Ja też umiem przyrządzić paellę. I tortillę – wyznaje uśmiechnięta Czadyjka. – Ale czy warto się tak męczyć dla setki głodomorów? Trzeba myśleć logicznie.

– Masz rację. Już niedługo będziesz gotować tylko dla nas – oświadcza lider grupy. – Bardzo niedługo.

– Świetnie. A dokładnie kiedy? Za rok, dwa? – docieka kobieta zachrypniętym, miękkim głosem.

– Masz status uchodźcy? – Jasem zwraca się do każdego z mężczyzn po kolei, na co ci z zapalem potakują głowami.

– Tak, oczywiście. Czego jak czego, ale tych spraw Juan pilnuje. Wszystko jest na legalu – odpowiadają zgodnie.

– Ja mam nawet kartę stałego pobytu, bo już dziesięć lat tu gniję – dopowiada Kristoff, najbardziej ogarnięty z całej bandy. – Żonę i córeczkę straciłem przy przeprawie przez Morze Śródziemne. A drugą kobietę i dwójkę dzieci tutaj – zwierza się ze łzami w oczach. – Umarły na samym początku z głodu i od zarazy. Jakaś cholerna grypa wtedy panowała. Ptasia czy inna... Panienko Przenajświętsza! Jak z tym żyć? A wracać nie mam gdzie i po co. Odłożyłem marne parę tysięcy euro, wstyd z takimi pieniędzmi się pokazywać w domu. Oni tam, w Czadzie, myślą, że ja tutaj milionerem jestem.

– I będziesz, bracie. – Jasem patrzy wymownie prosto w oczy mężczyzny, a Abdul w ciszy konstatuje, że jemu też obiecywał miliony, lecz teraz się nie odzywa, żeby nie zrazić

nowych współników. – Musisz tylko zmienić szefa.

– Panie, dla ciebie wszystko – deklaruje Kristoff, który widzi w nowym kamracie szansę na lepsze jutro.

Jasem ma sporo gotówki, którą jeszcze w Mediolanie ukrył dosłownie wszędzie: w podeszwach butów, pod podszewką marynarek i kurtek, w zakamarkach teczek, torby podróźnej, nawet w stelażach walizki. Teraz więc wyciąga wypchany portfel i woła kelnera. Ten dziękuje Bogu, że jeszcze bardziej się nie zbłąźnił, i pokornie pochyla głowę, widząc napiwek w wysokości pięćdziesięciu euro. Następnie zaprasza szczodrych klientów, by ponownie odwiedzili ich skromne progi, bo takich panów to ze świecą szukać. Rzadko który Europejczyk zostawia za jedno posiedzenie trzysta euro, lecz ci nie oszczędzali sobie na niczym, a na deser zamiast ciasta zamówili najdroższe whisky i brandy.

Zanim Jasem się orientuje, ma wokół siebie wiernych popleczników. Wszyscy mają czyste papiery, a to dla niego jest najważniejsze. Każdy ma tu lepsze lub gorsze układy. Przy pomocy Eve i paru jej rodaków z Czadu trójka uciekinierów całkiem nieźle adaptuje się w hiszpańskim, początkowo nieprzychylnym otoczeniu i tak jak obiecał ich lider, w ciągu tygodnia opuszczają niegościnne progi kanaryjskich latyfundiów, by przenieść się do wynajętych on-line apartamentów w San Agustin, które Jasemowi bardzo przypadło do gustu. Ma tam już swoją ulubioną knajpę z uszłą obsługą, a także długi deptak do joggingu. Abdul wypatrył też parę niezłych siłowni, więc w jednym temacie mężczyźni są zgodni – to dobre miejsce do życia.

– Czas się rozejrzeć za jakimś stałym lokum – ogłasza po tygodniu sponsor grupy. – Za tym wielopiętrowym hotelem na wzgórzu budują ładne kameralne osiedle. Skontaktowałem się już z deweloperem. Na jutro mamy umówione spotkanie.

Wszyscy już wiedzą, jak Jasem działa i jak przyjdzie im żyć. On wydaje rozkazy, oni muszą ich słuchać. Czasami mogą spróbować zabrać głos, ale lepiej, by tego nie robili. Tylko w wyjątkowych sytuacjach jest to dopuszczalne.

Jasem jedzie na rozmowę wraz z Judith, bo to na nią zostanie zapisana nieruchomości w ramach spłacenia Abdula. Bierze też ze sobą Eve i Kristoffa, którzy pełnią funkcję tłumaczy. Okazuje się jednak, że zarówno w biurze dewelopera, jak i u notariusza wszyscy znają angielski, choć wszystkie dokumenty oczywiście są po hiszpańsku.

– Kiedy dokładnie osiedle stanie? – Pół-Syryjczyk chce poznać konkrety.

– Do pół roku powinny być odbiory.

– Za miesiąc nasz dom ma być gotowy, drogi panie – nie prosi, nie negocjuje, ale oznajmia. – Pod klucz.

– No nie wiem, czy to możliwe... – burmuszy się niezadowolony facet, ale po namyśle dodaje: – Będą dodatkowe koszty.

– Pan określi wysokość tych kosztów, a my uregulujemy rachunek.

– Czy coś jeszcze? Jakies specjalne życzenia? – Sprzedawca jest zdziwiony takim aroganckim sposobem prowadzenia negocjacji i postanawia tego kupca nieźle oskubać.

– Panie ustalą detale dotyczące wyposażenia. – Jasem wskazuje na zadowoloną z wyróżnienia Afrykankę i naburmuszoną Judith, która zostaje zrównana w prawach z czarnulką. – My dogadamy sprawy finansowe.

– W przypadku pozytywnej decyzji o zakupie i rezerwacji konkretnej nieruchomości niezbędne jest przystąpienie do złożenia dokumentów w celu wyrobienia numeru N.I.E. – Leniwy konsultant, któremu chyba przeszkadzili w sjeście, wygląda, jakby wcale nie cieszyło go dobitnie targu, i z dużą satysfakcją nakreśla przybyłym trudności, choć jeśli idzie o uzyskanie tego

numeru, nie może konfabulować. – Jest to prosta i nieskomplikowana procedura. To osobisty identyfikator nadawany obcokrajowcom, także rezydentom, prowadzącym transakcje finansowe w Hiszpanii. Pod tym numerem będą państwo zarejestrowani w tutejszej instytucji podatkowej. Jest on także niezbędny do uzyskania prawa własności nieruchomości, do opłaty podatków, zawarcia umów o dostawę prądu i wody, zakupu i rejestracji samochodu czy nawet zawarcia umowy o pracę. O numer identyfikacyjny można się ubiegać w oddziale dla obcokrajowców placówki policyjnej *policía nacional* u nas, w San Agustin. Nigdzie nie trzeba jeździć.

– To świetnie! – wołają zgodnie imigranci, choć nie spodziewają się, żeby wszystko udało się załatwić tak sprawnie i szybko, jak by tego chcieli. Poza tym słowo „policja” wywołuje dreszcz na plecach Jasema i Judith. I tylko para Czadyjczyków nawet nie mrugnie, bo przecież oni mają czyste sumienie i mogą spać spokojnie.

– W celu otrzymania numeru N.I.E. – kontynuuje rutynowe wyjaśnianie sprzedawca – należy przedstawić jedynie ważny paszport. To dotyczy nie-Europejczyków, bo członkowie Unii Europejskiej mogą wylegitymować się dowodem osobistym. Do tego kserokopie tego dokumentu, dwa aktualne zdjęcia legitymacyjne, wypełniony wniosek, który można ściągnąć przez internet lub otrzymać w urzędzie. Należy również podać cel uzyskania tego dokumentu, czyli w państwa przypadku kupno domu. Będzie jak znalazł, jeśli zechcecie otworzyć własną działalność gospodarczą.

– Ja już mam taki numer – dumnie informuje Eve.

Amerykanka, która znowu poczuła się od niej gorsza, taksuje ją wrogim wzrokiem.

– A ja będę mieć za tydzień – wypala butnie.

– Droga pani, nawet szybciej – wtrąca handlowiec. – Okres oczekiwania na wydanie dokumentu wynosi maksymalnie trzydzieści dni w zależności od liczby złożonych wniosków w danej miejscowości, ale najczęściej otrzymuje się go w trzy dni robocze.

– Dużo za to trzeba zapłacić? – indaguje jankeska.

– Skąd! Jedyne dziesięć euro. Jak chcecie, możecie wynająć firmę, która pomoże wam w sprawnym i bezstresowym załatwieniu wszystkich formalności.

– Ja i Kristoff pomożemy – uspokaja Eve. – Nie jesteśmy analfabetami.

– Hiszpański też znacie? – Judith myśli, że w końcu przyłapie na czymś głupią kucharkę.

– Oczywiście. Jak myślisz, po co Hmeda nas tu zaciągnął? – mówi zdrobniale o swoim kochanku, który tu i teraz występuje pod imieniem Ahmeda, tym samym dając do zrozumienia, w jak bliskiej są zażyłości.

– Może wezmę dwa domki obok siebie? Jeden dla jednej pięknej pani, a drugi dla drugiej pięknej pani. – Hojny Jasem usiłuje pogodzić kobiety, bo wie, że wojowniczkę w spódnicy bywają gorsze od facetów.

– To może trzeci dla siebie? – Handlowiec robi sobie kpinki, bo obawia się, że ten klient to jednak tylko zgrywus, który przyszedł pogadać i posiedzieć w klimatyzowanym pomieszczeniu, napić się kawy czy herbaty i nażreć firmowych ciasteczek. Ta grupa według niego zdecydowanie nie kwalifikuje się jako potencjalny kupiec. A co dopiero mówić o zakupie dwóch domów.

– Ja jeszcze nie wiem, gdzie chciałbym dłużej posiedzieć, a dwie nieruchomości na Gran Canarii całkowicie wystarczą. Zawsze ktoś mnie przygarnie na nocleg, prawda? – Jasem spoziera na niewiasty, a te już zgodnie rozpromieniają się w uśmiechu. – Proszę szykować umowę przedwstępną i określić wysokość zaliczki. Eve i Kristoff, sprawdźcie tekst, zanim zaniesiecie ją do naszego prawnika. A ty, Judith, podpisz się w dobrej rubryce – żartuje.

Udobruchana kobieta już tylko żartobliwie smyrza go po głowie. Do tej pory nikt nie kupował jej domu, nikt nie dawał takiej kasy i nikt nie gwarantował życia w takim rajskim,

cudownym miejscu. Chwilowe niepowodzenia nikną z pamięci pozytywnie nastawionej dziewczyny. Obie kobiety – biała jak mleko i czarna jak smoła – wprost promienieją szczęściem i nie mają ochoty tego zepsuć. A zszokowana mina sprzedawcy tylko podtrzymuje ich dobry humor.

Czas leci wesołej ferajnie jak zwariowany. Afrykanie żyją w strachu ze swoich szybko topniejących oszczędności, nie będąc pewnymi jutra, a trójca uciekinierów wydaje pieniądze z zasobów Jasema. Zanim się obejrzel, już wchodzi do swoich domów. Wszyscy są przeszczęśliwi, bo w życiu nie mieli takiego lokum, i tylko pół-Syryjczyk stwierdza, że to dziadowskie klocki, fatalnie wykończone, z ubogim, najtańszym wyposażeniem. Nawet w Rakce jego dom był pałacem, bo przecież zajął rezydencję jednego z prominentów w rządzie Baszszara Asada, których albo zabili, albo stamtąd wygnali. A willa na ekskluzywnym osiedlu w Dosze, stolicy Kataru, z której Daria swoją kobiecą ręką zrobiła przytulne gniazdko? To była drogocenna bombonierka, z regionalnymi rzeźbami i obrazami, perskimi dywanami na marmurowych podłogach i najlepszymi meblami z litego drewna. Pamięć podsuwa mu też wspomnienia rezydencji w górach Gharianu, którą dzielił z Dżamilą, swoją ostatnią żoną, Libijką. To dopiero była chata! Wszystko pamiętało jeszcze czasy króla Idrisa<sup>44</sup>, a zagraniczne wyposażenie zostało sprowadzone z przedwojennych Włoch czy z Wielkiej Brytanii. Dla Jasema – człowieka o artystycznej, wrażliwej duszy – takie detale są ważne. Ale dla jego obecnej kompanii, płytkiej amerykańskiej bidulki bez krzty smaku, Abdula, który pół życia wypasał kozy i mieszkał wraz z nimi, oraz kobiety z murzyńskiej chaty, aktualne lokum jest szczytem marzeń. Nie wspominając o kamratakach Afrykanach, którzy swoje dni przebidowali w lepiankach i szałasach czy ruinie na plantacji, więc teraz czują się jak na pańskich salonach. Co rusz ogarniają go wspomnienia dawnych dobrych dni, lecz żeby te wróciły, musi zacząć działać.

Judith i Abdul oraz Jasem i Eve zamieszkują w jednej willi, zaś ich czarnoskórzy sprzymierzeńcy w drugiej. Nie wiadomo skąd i jak, Afrykanie ściągają do siebie swoje kobiety, a wraz z nimi z dziesięcioro dzieci. Trudno nawet je policzyć, bo są w ciągłym ruchu. Jest u nich wiecznie głośno i coraz bardziej brudno. Czadyjka nie gotuje w lokum eleganckich cudzoziemców, a jedynie je sprząta, zaś całodzienne wyżywienie przygotowuje w afrykańskiej kwaterze. Amerykanka i Libijczyk całkowicie rezygnują ze wspólnego wyżywienia, gdyż mając możliwość spożywania aromatycznych hiszpańskich dań, nigdy nie wybiorą transsaharyjskiej brei. Jasem od czasu do czasu wpada na obiad, ale głównie po to, żeby się napić z mężczyznami i wyciągnąć od nich niezbędne dla siebie informacje. On wciąż planuje, główka nie przestaje mu pracować.

– Podaj mi adres Pepe, bo chyba nie mieszka wśród wyrobników? W mieście? Jakim? W domu? Mieszkaniu? Ma żonę i dzieci? Partnerkę? – magluje Kristoffa, do którego ma największe zaufanie, a także Antona, drugiego ogarniętego faceta.

– Po co ci te informacje, panie?

– Ja stawiam pytania, wy odpowiadacie – burczy ostrzegawczo.

– Nie ma żony. O dzieciach nic mi nie wiadomo – zaczyna referować Czadyjczyk, choć boi się, że informacje są zbierane w wiadomym celu. Wendety. Jego chrześcijańskie dobre serce tego nie pojmuje i uważa za średniowieczny zwyczaj, ale ten farbowany Arab zemstę ma wypisaną na twarzy. – Na terenie posiadłości ma taką małą hacjendę. Często zostaje tam na noc, zwłaszcza jak sobie popije, a że pije codziennie, i to w dużych ilościach, to przeważnie można go tam zastać.

– Czy właściciel odwiedza go czasem? – kontynuuje śledztwo Jasem.

– Juan z nikim się nie spoufala, nikomu nie dowierza. Jakies tam zaufanie do swego nadzorcy moze i ma, ale towarzyskich kontaktów raczej nie utrzymują.

– Też ma ranczo gdzieś w pobliżu czy żyje w mieście?

– On to dopiero ma domek! – włącza się inny Czadyjczyk. – Istna rezydencja! Wygląda jak te w Hollywood.

– Naprawdę? A konkretnie gdzie?

– W głębi ładu, na odludziu. Żaden z robotników nigdy tam nie był. Tylko Pepe, bo on stręczy szefowi dziewczyny. Jedna z nich opowiadała mi o tej hacjendzie. Potem zniknęła... – Mężczyzna zwiesza głowę, gryząc wargi.

– To była twoja kobieta? – Jasem domyśla się prawdy.

– Panie, więcej takich było. Nie ona jedna! – wtrąca Kristoff. – Dlatego ostrzegałem was, jeśli idzie o Judith.

– Daj powiedzieć koledze. – Pół-Syryjczyk uciska konformistę, bo widzi, że znalazł kogoś, kto pała nienawiścią do człowieka, którego życie postanowił zdmuchnąć jak świeczkę.

– To była moja żona – odpowiada Afrykanin, po czym gwałtownie wstaje i znika we wnętrzu domu.

W ogrodzie pozostają tylko Jasem, Kristoff i Anton. Można powiedzieć, że samo kierownictwo.

– To dobrze, że mówicie mi o wszystkim. Nie robicie tajemnic. Dziękuję, bracia. – Jasem poklepuje towarzyszy po plecach, widząc, że absolutnie nie będzie mógł zaangażować w swoją tutejszą przestępczą działalność ani jednego, ani drugiego. To prawi ludzie. Ale tacy też są mu potrzebni.

– Nie ma za co. Zawsze jesteśmy do twojej dyspozycji i służymy, czym tylko się da.

– Przede mną nie wolno wam niczego ukrywać, a o mnie na zewnątrz tego domu nie należy puszczać pary z pyska. – Ustala twarde reguły, które oni bezkrytycznie akceptują. – Absolutnie! Zrozumiano?

– Tak, oczywiście!

– Się rozumie, panie!

Mężczyźni w milczeniu siorbią piwo z butelek i głęboko zaciągają się papierosami.

– Jaki masz fach w rękę? – Ni z tego, ni z owego dżihadysta znów bierze ich na spytki.

– Jestem budowlańcem – dumnie oznajmia Kristoff, a Jasem, podążając za stereotypem, wyobraża sobie, że pewnie klecił lepianki w afrykańskim buszu.

– Rozpoczniesz działalność remontowo-budowlaną – oznajmia ni z tego, ni z owego, a facet ze zdziwienia aż wytrzeszcza na niego czarne oczyska. – A ty, Anton?

– Jestem mechanikiem samochodowym. Potrafię naprawić największą ruinę – chwali się drugi, licząc na dobrodziejstwo ich filantropa.

– Dobra. Otworzymy warsztat samochodowy, a przy nim małą wypożyczalnię aut. Turyści każdego dnia potrzebują ich tysiące. Judith będzie to nadzorować.

– Firmy też lepiej założyć na białą kobietę – przyznaje Kristoff. – Do czarnucha nikt nie przyjdzie, jedynie inne czarnuchy, ale na nich nie zarobimy. – Kiedy biedak staje się kapitalistą, od razu zwycięża w nim rasista i za nic ma swoich braci. Jasem tego nie komentuje, bo mu w to graj.

– Pozostali coś potrafią? – interesuje się, nie spodziewając się żadnych niespodzianek.

– Panie, to dobrzy ludzie! – wykrzykuje Anton, obawiając się, że sponsor będzie chciał odesłać do obozu pracy ich kumów. – Potrafią uprawiać ziemię. Największy ugór. Zrobią z tych naszych ogródków prawdziwe cuda. Mogą też wynajmować się jako organizatorzy zieleni. Pozwól im zostać, panie...

– O to mi chodziło. Potrzebuję kogoś, kto zadba o moje uprawy i rozwinie mój – samozwańczy szef dobitnie podkreśla to słowo – biznes warzywno-owocowy. Ja zajmę się stroną prawną i promocją.

Wszyscy oddychają z ulgą, włącznie z Jasemem. Jego plan realizuje się co do joty.

Pół-Syryjczyk błyskawicznie zakupuje grunt pod miastem, zamawia chłodnicze hale i na początek każe postawić dwie szklarnie. Judith, jako najinteligentniejsza z jego podopiecznych, zostaje mianowana menedżerem i zarządcą majątku. Abdul ma za zadanie jej nie przeszkadzać, uczyć się języka oraz służyć za kierowcę i pomagiera. Może chodzić na siłownię, ale na razie nie wolno mu udzielać się w przemyśle reklamowo-modelingowym. Musi poczekać na nowe, czyste dokumenty, których tu jednak lepiej nie wyrabiać. Lokalni fałszerze są kiepscy, a zadawanie się z tutejszą mafią – niebezpieczne. Kiedy znajdą haczyk na pseudouchodźców i zorientują się, z kim mają do czynienia, niechybnie to wykorzystają. Jasem w pojedynkę nie da rady z nimi walczyć ani usunąć przeciwników. Ale dwóm kanaryjskim parszywcom nie odpuści.

Pepe jak co wieczór jest bardzo zmęczony. Nie wiadomo, czy z powodu ciężkiej pracy nadzorcy, wydzierania się i złości, czy ciągłego popijania. Od południa schładza się piwem, do lunchu wlewa w siebie dzban sangrii, która jednak nie wietrzeje wraz z sjestą, a wieczorem wszystko to doprawia stołowym czerwonym winem. Jedzenia też sobie nie odmawia. Codziennie w jego gospodarstwie sprząta i gotuje jakaś Afrykanka, spośród tych paru, które tu pozostały i nadal pracują. Pepe zdaje sobie sprawę, że bez swojej gosposi by nie przeżył, więc jest dla niej wyjątkowo miły, a jej mężczyznę oszczędza w pracy, co rusz przyznając mu jakieś premie, które Juan bez słowa zatwierdza.

Jasem najpierw jedzie do pijaka, bo wie, że z nim pójdzie mu szybko i łatwo. Bierze ze sobą swojego nowego kompana, Andreasa. Tylko jego sercem targają żywe uczucia, on jeden nie jest potulnym bydłem prowadzonym na rzeź, za jakie Jasem uważa jego towarzyszy, wyrobników z farmy. Dzień za dniem, rok za rokiem poddają się wszystkim nakazom i rozkazom, dają się wyzyskiwać i gnębić, a nawet bić. Żaden nigdy się nie postawił. Okazuje się, że dotąd Andreas nie znalazł nikogo, kto miałby odwagę i z kim mógłby dokonać zemsty za swoją żonę i dziesiątki innych zgwałconych czy zaginionych kobiet. Sam był zbyt słaby. Mocną miał tylko nienawiść w sercu. Ten człowiek potrzebuje przywódcy, lidera, który go poprowadzi. I kogoś takiego właśnie znalazł.

– Trzeba zaparkować w pewnej odległości, w mroku, żeby nikt nie widział wozu. – Przyjeżdżają na miejsce jednym z pierwszych aut z wypożyczalni Judith, oczywiście bez numerów rejestracyjnych i logo firmy.

– Poprowadzę cię, panie – oferuje tubylec. – Wiem, jak jechać. Znam tu każdy kamień.

Mężczyźni są ubrani w maskujące stroje – czarne luźne portki, podkoszulki i miękkie bawełniane bluzy z kapturem. Jasem dodatkowo nasuwa głęboko na czoło kaszkiet. Afrykanina w ciemnym stroju prawie nie widać, tylko błyszczą białka jego wielkich rozbieganych ślepi. Idą jak po sznurku. Kiedy stają przed tylnym wejściem domostwa, rozglądają się. Dookoła panuje cisza jak makiem zasiał. Wchodzą do środka jak do siebie. W całej hacjendzie nie ma nikogo z wyjątkiem gospodarza, którego chrapanie roznosi się echem po wszystkich pomieszczeniach. Wchodzą do sypialni. Andreas bezszelestnie jak pantera podkrada się do wielkiego łóża, na którym leży pijak. W ręku trzyma krótki kindżał. Chce poderżnąć swojemu ciemniejszy gardło we śnie.

– Zaczekaj! – wstrzymuje go Jasem, na co kompan zamiera w bezruchu.

– Obudzimy go – szepcze wystraszony.



– I o to chodzi. Niech wie, kto go wysłał na tamten świat.

Nigeryjczyk, który ukrywa się podobnie jak Jasem, to w rzeczywistości fanatyczny muzułmanin Mohamed. On także ma doświadczenie w mordowaniu. Umie i lubi to robić, lecz po upadku Boko Haram tak jak setki tysięcy innych dżihadystów stał się ściganą i tępioną zwierzyną. Dlatego zaszył się tutaj, na kanaryjskiej prowincji, i cicho siedział. Teraz jednak czuje, jak życie do niego wraca, krew żywiej krąży w żyłach, a tętno chce rozsadzić mu skronie. To kocha, to uwielbia, do tego stworzył go Allah.

– *Allahu akbar!*<sup>45</sup> – mimowolnie wygłasza formułę.

– *Allahu akbar, ja achi!*<sup>46</sup> – Jasem potwierdza swoją przynależność do przestępczej islamistycznej grupy.

Kiedy Pepe otwiera kaprawę i zapuchnięte od alkoholu oczy, widzi nad sobą dwa cienie. Nic z tego nie rozumie. Jeden ma białą jak mleko twarz, kędzierzawe, ryże włosy i stalowe oczy, a drugi wygląda jak hebanowa statuetka, z szerokim nosem, wielkimi mięsistymi wargami i czarnym jak noc spojrzeniem.

– *Allahu akbar!* – wypowiadają dwie zjawy z teatralnym patosem, a sekundę później głowa Hiszpana zostaje oddzielona od reszty ciała maczetą, którą trzyma Jasem. Krew bluzga z szyi mężczyzny na wszystkie strony.

Afrykanin – w szale zabijania – tnie swoim kozikiem poruszającą się jeszcze klatkę piersiową ofiary. Dla niego to zdecydowanie za szybka śmierć, to nie kara, lecz zbawienie dla takiego drania nadzorcy i sutenera. Do tej pory życzył mu nowotworu złośliwego, by ten umierał miesiącami, by konał nawet i rok w straszliwych męczarniach, żeby morfina nie działała, a w szpitalu brakło respiratorów. A teraz ten sadystyczny skurwiel ekspresowo znalazł się na tamtym świecie. To Andreeasa vel Mohameda absolutnie nie satysfakcjonuje.

– Panie, dasz mi z Juanem dłużej porozmawiać? – prosi swojego nowego bossa.

– W porządku. Ale teraz dokładnie tu posprzątaj. Ja posiedzę sobie na ganku i napiję się piwka. Piękną mamy noc – stwierdza zadowolony Jasem.

Potem rozgrzani już mściciele jadą do zбочzonego amanta. Na miejscu Nigeryjczyk sam na sam zabawia się z gwałcicielem. Śmiertelny spektakl trwa kilka ładnych godzin. Pół-Syryjczyk obserwuje jego poszczególne akty, wyraźnie zadowolony z poczynań swego podopiecznego. Metaliczny odór krwi przyjemnie łaskocze jego nozdrza, serce żwawo bije, a naturalne uczucie mdłości pobudza trawienie. Po wszystkim jadą na obfity posiłek do nadmorskiej restauracji. Nie rozmawiają. Każdy pławi się we własnym spełnieniu.

Jasem i Eve zajmują w nowym domu całe piętro, mają więc sporo przestrzeni tylko dla siebie. Kobieta czuje się tam zagubiona, bo nigdy nie mieszkała w tak luksusowym i przestronnym lokum. W dzieciństwie na mniejszym metrażu żyła z całą swoją rodziną: matką, ojcem i czworgiem rodzeństwa, a później na Gran Canarii miała do dyspozycji małą chatkę, z której była zadowolona i dumna, bo to i tak było ogromne wyróżnienie. Teraz dosłownie gubi się w wielkiej, siedemnastometrowej sypialni z łazienką, garderobą i dużym balkonem, a do pozostałych pomieszczeń w ogóle nie wchodzi. Do jednego nawet jej nie wolno, gdyż Jasem od razu go zaanektował dla siebie i zamknął na klucz. Znowu ma swój kąt, gdzie ponownie może być sobą. Kolejny raz kolekcjonuje akcesoria, o posiadanie których nikt, a tym bardziej jego nowa nałożnica, by go nie posądzała. Ma już ostrą jak brzytwa maczetę, koziki i kindżały, a także komandoski nóż. Kupił też za pośrednictwem Andreeasa całkiem nowego glocka i kałasznikowa. Oprócz tych narzędzi zbrodni posiada Koran, świętą księgę, którą interpretuje tylko w jeden sposób, jako instruktaż wskazujący, jak i komu zadawać ból i odbierać życie. Rozczytuje się

we fragmentach ulubionych przez swoich niegdysiejszych braci dżihadystów: „Zapłatą dla tych, którzy zwalczają Boga i Jego Posłańca i starają się szerzyć zepsucie na ziemi, będzie tylko to, iż będą oni zabici lub ukrzyżowani albo też obetnie im się rękę i nogę naprzemianlegle, albo też zostaną wypędzeni z kraju. Oni doznają hańby na tym świecie i kary bolesnej w życiu ostatecznym<sup>47</sup>”. Niektórych <sup>sur</sup>48 nie musi nawet czytać, bo ledwo zobaczy pierwsze słowo, resztę mówi już z pamięci. Żeby znów powrócić do swoich zwyczajów, modlitwy i recytacji, zakupił galabiję, chustę i niezbędną do modłów *sadżdżadę*<sup>49</sup>. W swoim pokoju spędza teraz większość czasu, bo ma tam też biuro z najnowocześniejszym komputerem i szybkim bezprzewodowym internetem. Trzyma tam również wypasione komórki i telefon satelitarny. Odblokowuje dawne kontakty, choć dużo z nich już nie pozostało. Wielu byłych dżihadystów nie chce mieć z nim nic wspólnego. Myślą już tylko o uratowaniu własnej skóry.

Fundamentalista łamie restrykcyjne zasady islamu, z upodobaniem pije alkohol, a nawet spożywa śmierzącą wieprzowinę, lecz jest to rozgrzeszone, gdyż dla wyższych celów i zmylenia przeciwnika nawet najgorliwszy muzułmanin może się tego dopuścić. Dla swojego zdrowia psychicznego i fizycznego Jasem wykorzystuje grzeszny związek z Czadyjką, która kocha go całym sercem, nie wiedząc, z kim tak naprawdę ma do czynienia. Kobieta bezwiednie popada w coraz większe tarapaty, uzależniając się od zbrodniarza i terrorysty, tak jak niegdyś jej poprzedniczka pół Polka, pół Libijka Daria Salimi. Krok po kroku staje się kolejną *sabiją* Jasema. Znajduje w nim opokę i to uczucie, na które czekała całe życie. Wielbi go wręcz jak pana i władcę i wszystko z jego strony znosi, nie wiedząc, że kaprysy jej mężczyzny to dopiero wierzchołek góry lodowej, na którą przyjdzie jej się wspiąć.

– Panie mój, jakąż jestem z tobą szczęśliwa – wyznaje pewnego wieczoru, kiedy leżą w łóżku w ich wielkiej sypialni, zmęczeni parogodzinnym seksem. – Jednak pewne sprawy aż spać mi nie dają.

– Jakie to sprawy? Potrzebujesz czegoś? – Jasema zawsze denerwowała roszczeniowość ludzi, szczególnie kobiet, a tym bardziej takich nic niewartych ładacznic, za jaką uważa zgwałconą Afrykanke. – Chcesz nową sukienkę?

– Nie, skądże... – Eve nieoczekiwanie poważnieje. Podnosi się z legowiska i opiera na łokciu. Jej obfite piersi pomimo swojego ciężaru nadal sterczą do przodu jak dwa okrągłutkie melony. – Tak się zastanawiam, że przyjechaliście do Gran Canarii jako uchodźcy, zatrudniliście się jako wyrobownicy we współczesnym obozie pracy, a potem nagle kupujesz dwa domy. Jakoś mi to nie gra...

– Co ci nie gra?! – Mężczyzna gwałtownie siada i surowo taksuje swoją piękność. Nie jest zadowolony z tematu rozmowy. – Nie podoba ci się nasza rezydencja? Czy twoi czarni swojacy są niezadowoleni ze swojego lokum? Za mało przestrzeni do zajebania?! – Coraz bardziej podnosi głos.

– Ależ nie... – Przerażona gwałtowną reakcją, kochanka cuka się i duka. – Nie o to chodzi... – Nigdy jeszcze nie widziała swojego mena tak rozeźlonego. Nigdy jeszcze na nią nie krzyczał, więc od razu łzy napływają jej do oczu. – Tylko trochę mi nie pasuje...

– Co ci nie pasuje?! – Jasem chwytą ją za szczupłe ramię i ściska boleśnie.

– Skąd masz tyle kasy? – wyrzuca z siebie ucziwa kobieta. – Wydajesz pół miliona na nieruchomości, a wcześniej robiłeś za biedaka z Libii. Każdemu opowiadasz co innego. To wszystko się kupy nie trzyma.

– Czyżbyś chciała się czegoś więcej o mnie dowiedzieć? – szepcze zjadliwie terrorysta, zastanawiając się, czy jego nowy i jedyny tutaj prawdziwy poplecznik Andreas ciała swojej ziomalki również się pozbędzie.

– Ponoć nasz zarządca Pepe i właściciel majątku Juan zniknęli w niejasnych

okolicznościach. – Nieświadoma wiszącej nad nią groźby kobieta peroruje dalej, jakby ją opętało, zupełnie nie odczytując sygnałów i nie wiedząc, kiedy należy się zamknąć. – W ich domach znaleziono tylko ślady krwi, ale nie ma ciał.

– Chcesz poszukać ich ciał? – ironizuje Jasem. – Chcesz się zabawić w policyjną aktywistkę?

– Nie...

– A może chcesz wylądować tam, gdzie oni, i użyźnić pola kabaczków i bakłazanów?

– Że jak...? Co ty mówisz, panie?! – dosłownie piszczy przez ściśnięte ze strachu gardło.

Na tym kończy się jałowa dyskusja, z której metresa dowiaduje się aż nazbyt wiele o wybranku swojego serca. Jej ogromne oczy robią się jeszcze większe, a serce bije jak młotem.

– Panie, przepraszam... – kaja się poniewczasie. – Nie chciałam... Wybacz mi moją głupią babską ciekawość.

Jasem jednak nie potrafi zapanować nad nerwami. Musi ukarać tę niewierną sukę, która afiszuje się krzyżykiem na szyi i swoją wiarą. *Wallahi! Śmierć! Śmierć podłej szarmucie!*, szumi mu w uszach i tłucze się po głowie. Już on nauczy ją rozumu! Będzie karzącą ręką Allaha!

Pierwszy, delikatny cios jest jakby od niechcenia. Uderzenie wymierza w piękną twarz hebanowej boginki, na co od razu puszcza się jej krew z nosa. Z odrzutu wali potylicą o drewniane wezgi łóżka i pulsujący ból ogarnia całą jej czaszkę. Zrozpaczona, wygina usta w podkówkę i w milczeniu zalewa się łzami. Sadysta jednak na tym nie poprzestaje. Tłucze ją, gdzie popadnie. W dekolt, w obfite piersi, brzuch i łono. Kobieta zwija się w kłębek. Odslonięte szczupłe plecy idą na drugi rzut. Na ramiona, krzyże i nerki oraz uda z głuchym dźwiękiem spadają kolejne razy. Po paru minutach jest obtłuczona jak jabłko. Wszystko to dzieje się w ciszy – ani on nie krzyczy, ani ona nie lamentuje. Kobieta się nie broni, nie zasłania, nie atakuje. Jest workiem treningowym dla rozwścieczonego mężczyzny. Może dlatego po chwili dżihadysta męczy się, a złość z niego wyparowuje. W końcu gdzie znajdzie taką posłuszną i pokorną niewolnicę? Nawet jego arabska żona Darin tak kornie się mu nie poddawała. Nie wspominając o Dżamili, która była krnąbrną babą, ale dla wyższych celów musiał to cierpliwie znosić. Zimnym wzrokiem patrzy na swoją ofiarę, całą w sińcach i krwi. Nie jest mu jej żal. O nie! Czuje wręcz satysfakcję z dobrze wypełnionego obowiązku. Dochodzi do ostatecznego wniosku, że jego naczynie do odspermiania jeszcze mu się przyda. Decyduje zatem, że zachowa Eve przy życiu.

– Masz tu pozostać, w tym pokoju, dopóki nie doprowadzisz się do porządku – zarządza, a poszkodowana, która ledwo słyszy jego słowa, tylko niemo potakuje. – Dość włóczenia się po chałupach. Nie jesteś już sprzątaczką czy kucharką. Słyszysz?

– Tak... – ledwie chrypi skatowana kobieta. – Tak, panie...

– Masz się nie ruszać z tego pokoju do odwołania.

– Oczywiście.

Eve i jej kochanek, terrorysta Jasem Alzani vel Ahmed Salimi wkraczają w nowy etap swojego związku. On wie, czego chce, a ona teraz już może się spodziewać, czego się od niej oczekuje.

– Idziemy do przodu – wyznaje pewnego wieczoru Jasem swoim najbliższym kompanom Abdulowi i Judith, którzy wiedzą o nim prawie wszystko, czyli zdecydowanie za dużo. – Zaczynamy nowe życie. Wy na razie tutaj, a ja jeszcze trochę się rozejrzę po świecie.

– Jak to? Dokąd się wybierasz? – niepokoje się ledwo zadomowiona w Hiszpanii kobieta.

– My już nigdzie byśmy nie chcieli się ruszać. – Abdul postanawia tym razem stanąć

okoniem. – Ja mam tu fajny fitness, myślę o otwarciu własnego, Judith świetnie się sprawdza jako menedżerka, żyje nam się spokojnie i tego właśnie chcemy. Brakuje nam tylko syna, ale to też jakoś załatwimy. W przyszłości... – Zawiesza głos i zamyśla się, bo jak dotąd ani on, ani jego żona nie mają pojęcia, jak mogliby tego dokonać. A temat rozłąki z pierworodnym coraz częściej wraca do nich, zaś tęsknota zalewa ich serca.

– Nigdzie was już nie będę ciągał – obiecuje lider. – Nie martwcie się. Macie dom, dobrze prosperujące firmy, tylko Abdul nadal nie ma odpowiednich dokumentów. Załatwię ci je i podeślę lub sam przywiozę. Zobaczy się.

– Dziękuję! – Libijczyk oddycha z ulgą.

– Chciałeś kasę do ręki, ale tak chyba jest lepiej, co? – Jasem uśmiecha się jak dobry wujaszek.

– Masz rację.

– A co z Eve? – Judith ocenia sytuację z kobiecego punktu widzenia, bo ten dom nie będzie całkiem ich, kiedy zostanie tu kochanica ich lidera.

– Albo po nią przyjadę, albo wyślę umyślnego. Nic się nie bójcie. Do pół roku wszystko się wyjaśni. Na chwilę obecną ani ja, ani Abdul nie jesteśmy bezpieczni i tym teraz należy się zająć.

– No tak. Nie możecie normalnie żyć i rozwinąć skrzydeł – zgadza się Amerykanka. – Nawet na Gran Canarii. Choć stąd do stolicy kraju jest daleko, to służby wywiadowcze nie śpią.

– Z paszportem Ahmeda Salimiego czuję się tak, jakby skóra się na mnie paliła – nieoczekiwanie wyznaje swoje lęki twardy terrorysta.

– Jedź zatem i wracaj zdrowo. – Abdul poklepuje swojego towarzysza, z którym wiele przeszedł, a jeszcze więcej dla niego zaryzykował, stawiając swoje życie na szali. Na tej samej, na której po drugiej stronie było pół miliona dolarów, które już dostał. Jest zadowolony.

Jasem musi udać się tam, gdzie panują samowola i bezprawie, a większość ciemnych sprawek pozostaje w ukryciu. Takim miejscem nadal pozostają kraje arabskie. Po sąsiedzku postanawia wpaść na chwilę do Maroka, by odwiedzić swoich braci salafitów<sup>50</sup>.

30 Koran, sura XXIV, wers 31, tłum. J. Bielawski, PIW, Warszawa 1986 (wszystkie cytaty pochodzą z tego wydania).

31 *Who is who* (angielski) – kto jest kim.

32 *Hola* (hiszpański) – Cześć.

33 *Buenos dias* (hiszpański) – Dzień dobry.

34 Boko Haram – jedna z najbardziej okrutnych organizacji terrorystycznych na świecie. Na jej czele stoi Abubakar Shekau. Sekta walczy o utworzenie w Nigerii kalifatu, współpracuje z Al-Kaidą oraz Państwem Islamskim. Boko Haram zamordowała więcej ludzi niż PI (więcej informacji – dodatki).

35 *Joint* (amerykański) – slangowy termin używany do określania wyrobu przypominającego wyglądem papierosa, wypełnionego suszem z marihuaną, zwykle pomieszaną z tytoniem. Czasami marihuanę zastępuje się haszyszem.

36 *Baba* (arabski) – tata, tatuś, papa.

37 *Insz Allah* (arabski) – Jak Bóg zechce; jak Bóg da.

38 Wahabita (arabski) – kierujący się ideami wahabizmu; *wahabizm* (arabski) – islamski ruch religijny i polityczny powstały w XVIII w. na terenie Arabii. Jest określany jako ultrakonserwatywny, surowy, fundamentalistyczny czy purytański.

39 Bractwo Muzułmańskie – egipska organizacja terrorystyczna.

40 *Majdan* (arabski) – plac.

41 *Galabija/dżalabija* (arabski) – męski lub damski strój w formie długiej sukni/płaszczka

z rozcięciem pod szyją.

42 *Shahada* (arabski) – muzułmańskie wyznanie wiary będące jednym z pięciu filarów islamu. *Aszshahadu la ilaha illa'llah, Muhammad rasulu'llah – Zaświadczam, że nie ma Boga prócz Allaha, a Muhammad jest jego prorokiem.* Słowa wyznania wiary znajdują się w każdej muzułmańskiej modlitwie i stanowią podstawowy dogmat wiary.

43 Apartheid – totalitarna ideologia głosząca konieczność osobnego rozwoju społeczności różnych ras, a także bazujący na tej teorii system polityczny panujący w Republice Południowej Afryki do połowy lat 90. XX wieku, oparty na segregacji rasowej.

44 Zob. indeks nazwisk.

45 *Allahu akbar!* (arabski) – Allah jest największy! Bóg jest wielki! Zwrot ten stanowi muzułmańskie wyznanie wiary. Powtarzany w wielu codziennych sytuacjach życiowych, a przez dżihadystów i fundamentalistów przy wszystkich zbrodniczych czynach.

46 *Ja achi* (arabski) – Mój bracie (wołacz).

47 Koran, sura V, wers 33.

48 *Sura* (arabski) – nazwa rozdziału Koranu, który składa się z 114 sur.

49 *Sadżdżada* (arabski) – dywanik modlitewny.

50 Salafita (arabski) to zwolennik *salafizmu* – ruchu reformatorskiego i religijno-politycznego w łonie islamu sunnickiego, postulującego odrodzenie islamu przez powrót do jego pierwotnych źródeł, czyli religii przodków. Fundamentalisci aktywnie działający na terenie Maroka, ale też w Europie (głównie w Niemczech).

## MEKKA W MAROKU

W Maroku Jasem nie będzie się ukrywał po osadach czy w górach Atlasu, w prymitywnych warunkach, w jakichś koczowniczych berberyjskich schroniskach wśród dzikich i nieprzewidywalnych ludzi. Wychodzi z założenia, że najciemniej jest pod latarnią, i dlatego udaje się do swojego brata w dżihadzie, dobrze znanego sobie inteligenta, byłego księgowego kalifatu Junisa Uzijada, który spadł miękko na cztery łapy w medynie<sup>51</sup> w Marrakeszu.

– *As-salamu alejkum* – udawany turysta wita się ciepłym głosem, a mężczyzna w recepcji w najbardziej znanym w mieście i najwyżej ocenianym na Trip Advisorze hotelu *Riad52* Taib stoi naprzeciwko niego ze spanikowaną miną, jakby zobaczył ducha. Przewierca oczami Jasema od stóp do głów.

– *Alejkum as-salam* – odpowiada w końcu, wyciągając dłoń i oglądając palce i paznokcie przybysza, jakby zaraz miał mu zrobić manikiur.

– Nasza *dżenna*<sup>53</sup> – dżihadysta, cedząc słowa, wypowiada hasło – jest wieczna, dlatego my do niej nie będziemy się spieszyć. – Wyglądający na Europejczyka czy Amerykanina turysta kontynuuje po arabsku: – Szesnaście, trzydzieści dwa, dwadzieścia, cztery zera, cztery jedynki, dwanaście, sześćdziesiąt – podaje numer rachunku bankowego, który razem z Junisem okradli. Rachunku bankowego kalifatu. Uśmiecha się przebiegle i figlarnie podnosi jedną brew.

– Jasem, przyprawisz mnie o zawał serca, *ja sadiqi*<sup>54</sup>. – Marokańczyk wychodzi zza kontuaru i bierze swojego druha w ramiona. – Kto tak perfekcyjnie zrobił ci bużkę? – pyta szeptem, prowadząc przyjaciela pod ramię do zarezerwowanego lokum.

– Był taki jeden, rzeczywiście geniusz. Palestyńczyk. Kiedy kalifat padł, miał pełne ręce roboty w Damaszku.

– Och, ty draniu! To ty już z Syrii wyjeżdżałeś na całkiem nowych, czystych papierach, a do tego z nowym pyskiem! Szczęściarz z ciebie!

Właściciel oferuje swemu byłemu kamratowi najlepszy apartament królewski, który składa się z obszernego salonu z miejscem do pracy w półokrągłym wykuszu, ponaddwudziestopięciometrowej sypialni z kącikiem wypoczynkowym na drobną przekąskę, kawę i herbatę oraz ogromnego pokoju kąpielowego z wanną z hydromasażem, prysznicem typu walk-in z deszczownicą, dwiema umywalkami osadzonymi w antycznej toalecie z marmurowym blatem oraz miejscem relaksu z sofą i dwoma fotelami. Toaleta i bidet są oddzielone od przybytku cienką gipsową przegrodą oraz zamknięte szklanymi drzwiami z lustrzanym pokryciem. Wszystkie ściany i podłogi w tym prywatnym SPA & wellness wyłożono oczywiście najlepszym marmurem.

*Ależ by się tutaj Darin podobało*, niespodziewanie przechodzi przez myśl Jasemowi i sam się dziwi, czemu nie wspomniał o dzierlatce libijskiej Dżamili, która w jego obronie straciła życie, ani o Eve i jej sterczących młodych piersiach, lecz właśnie o niewiernej mu i zdradliwej, a jednak najukochańszej ze swoich żon, Darin Salimi, pół Libijce, pół Polce.

Jasem decyduje się ściągnąć swoją gorącą metresę do Marrakeszu. Ma ona umilić mu okres oczekiwania na dokonanie zemsty na tych wszystkich, którzy go zdradzili. A lista jest długa, więc i czasu będzie potrzebował sporo. Dżihadysta wie, że może to trwać miesiące, a nawet lata, więc potrzebuje towarzystwa, by nie zwariować w samotności. Sporadyczne

wypadły do Tangeru na dziwki i narkotyczne noce nie koją jego nerwów. Jako znakomity obserwator i psycholog wie, że ten przejściowy etap w swoim życiu musi wypełnić normalnymi zajęciami i rutyną

Czadyjka przylatuje do swojego ukochanego po trzech miesiącach. Nie wracają ani słowem do tego, co wydarzyło się przed wyjazdem kochanka, tak jakby nic się nie stało. Zakochana wprost emanuje szczęściem. Nawet jeśli jest trochę rozczarowana, głęboko to ukrywa. Jest tak bezkonfliktową osobą i daje mężczyźnie tyle radości, że ten przygarnia ją z powrotem, choć traktuje trochę jak bezdomnego kundla. Dżihadysta wie, że jak coś pójdzie nie tak, niepotrzebny bagaż się wyrzuci czy wręcz zlikwiduje. Jest mu to obojętne. Na razie upalne marokańskie noce z młodą kochanką są jeszcze bardziej gorące.

– Mów mi Jasem – wrywa mu się w zapale i ekstazie, kiedy o dziwo, całkowicie traci nad sobą kontrolę. – Słyszysz? – Wczepia palce w gęste, splecione w warkoczyki włosy kochanki, które są śliskie od olejków i cudnie pachną Orientem. Dzisiaj nozdrza mężczyzny łaskocze mocny aromat dzikiej róży.

– Tak, panie mój... – Kobieta ledwo łapie oddech, leżąc na plecach i w niewyobrażalnym bólu oddając swoje zniszczone źródło mężczyźnie swojego życia. – Tak, Jasemie...

– Tylko w domu! Tylko tu! Tylko teraz! – charczy jej prosto w ucho, a ona oczywiście nie neguje i o nic nie pyta. Już nie chce niczego dociekać.

Adorator, którego prężne ciało Afrykanki doprowadza do orgiastycznego szaleństwa, spoziera w jej oczy, w których maluje się czarna otchłań. Wyziera z nich jakby ciągła zaduma. Ich przenikliwa czerń pali go płomieniem, ogarnia ogniem jego skórę, ciało, kości, by wedrzeć się aż do mózgu. Jednak do serca nie dociera, bo jest to najtwardszy organ w ciele dżihadysty. Gdy Eve jest już bliska spełnienia, zwierciadła jej duszy zachodzą łzami, tak jakby piekielna czeluść podeszła wodą. Po chwili wielkimi jak groch kroplami spływają po skroniach i uderzają o poduszkę. Skrzywdzona za młodu niewiasta nigdy nie sądziła, że będzie w stanie doznać cielesnej rozkoszy, lecz ten człowiek, jej wybawiciel, oferuje jej upojenie większe od przewidywalnego, przerastające jej wyobrażenia. Dlatego też zrobi dla niego wszystko, będzie uszczęśliwiać go z całych swoich sił, oddała mu bowiem nie tylko ciało, ale też duszę. A swoje straszliwe podejrzenia i słuszne przypuszczenia odsuwa od siebie jak najdalej. Przecież zawsze jest coś za coś.

– Zaokrągliłaś się – w końcu zauważa mężczyzna. – Czy to na hiszpańskiej węglowodanowej diecie tak ci brzuch urósł?

– Nie, kochany... – Serce kobiety trzepocze i znów trwoga chwyta ją za gardło. – Jestem w ciąży – wyznaje niepewnie.

Jasem nie wie, czy ma się cieszyć czy smucić, bo kolejne obciążenie nie jest mu do niczego potrzebne. Dlatego też milczy długą chwilę, a przyszła matka wie, że teraz waży się jej i jej dziecka być albo nie być.

– Jeśli chcesz, mogę usunąć ciążę – proponuje. – Wiele razy już roniłam, więc...

– Czy to nie za późno na skrobankę?

– Trochę późno...

– Który to miesiąc?

– Czwartą. Ale nic się nie martw, tutaj na pewno znajdzie się jakaś akuszerka...

– Mało ci było znachorek w życiu?! – wybucha mężczyzna, bo dla muzułmanina aborcja jest niedopuszczalna. Doskonale pamięta słowa prezydenta Algierii Huari Bumedięna: „To brzuchy naszych muzułmańskich kobiet przyniosą nam zwycięstwo”. – Nie należy decydować o niczym życiu i śmierci. My nie jesteśmy od tego. To Allah podejmuje decyzje.

Zamiast się cieszyć lub złościć, Jasem całkiem na zimno podchodzi do sytuacji. Kobieta

rani jego brak empatii, lecz wychodzi z założenia, że należy się radować tym, co daje jej los. Zupełnie nieoczekiwanie dostała tak wiele, więc pragnienie, by było idealnie, zakrawałoby na grzech. Ten mężczyzna nie skacze pod sufit z radości, ale jej nie zabrania się cieszyć, więc błogie szczęście zalewa jej poranione serce. Może urodzić dziecko, a to jest dla niej najważniejsze.

Pewnego popołudnia, kiedy siedzą na tarasie *riadu* i rozkoszują się słońcem, spokojem i dobrą kawą, Jasem postanawia pociągnąć swoją kobietę za język:

– Czemu nosisz krzyżyk? Na pewno byłaś muzułmanką – mówi to całkiem zwyczajnie i bez pretensji, choć apostaci są dla niego zaprzańcami i uważa, że należy takich wyplenić z powierzchni ziemi.

– Urodziłam się muzułmanką, w tej wierze wzrastałam. Ale po przejściach z Boko Haram odeszłam od Allaha – beztrąsko odpowiada Eve, bo nie wie przecież, z kim ma do czynienia, i myśli, że jej kochanek jest zwyczajnym nadpobudliwym arabskim samcem. – Te dranie też w niego wierzyli i mordowali w jego imieniu.

Jasem słucha jej spokojniutko. Już raz swoją złość na niej wyładował i na razie nie chce mu się tego powtarzać. Ma zamiar tylko poznać jej drogę do apostazji.

– To Czad nie jest muzułmański? – dziwi się jednak, gdyż interesuje się wszystkim po trochu i ma świetne rozeznanie w sytuacji geopolitycznej świata.

– Kochany! Republika Czadu jest krajem świeckim, w którym nie ma określonej religii państwowej. Panuje tam wolność wyznania, choć rząd ogranicza działalność niektórych grup religijnych. Jednocześnie pośrednio wspiera islam, na przykład organizując pielgrzymki do Mekki. Kto nie chciałby się przelecieć do świętego miasta i na dokładkę zostać *hadżem*?<sup>55</sup> – ironicznie podśmiechuje się kobietka. – Chrześcijaństwo u nas pojawiło się już w dziewiętnastym wieku za czasów podboju kolonialnego. Misje protestanckie miały duży wpływ na rozwój mojego kraju dzięki budowie szpitali, szkół i osiedli mieszkaniowych na długo przed podobnymi inwestycjami francuskich kolonizatorów.

– Wiesz, ludzie zmieniają wiarę i udają, że wierzą w coś innego, żeby polepszyć swój byt lub zwyczajnie przeżyć. – Ortodoks nienawidzi takich całym sercem, ale będąc inteligentnym człowiekiem, zdaje sobie sprawę, że konwertytów na islam w kalifacie było bez liku. Oni wcale nie wierzyli w Allaha, ale udawali, chcąc wieść takie a nie inne życie. Przeważnie chcieli bezkarnie mordować i gwałcić, za co w ich chrześcijańskich krajach ścigałoby ich surowe prawo.

– Masz rację. W Libii było od groma Filipińczyków chrześcijan, a ponoć w Arabii Saudyjskiej ich bracia udawali wyznawców islamu – wzdycha ciężko Afrykanka, bo taka farbowana wiara jej także nie odpowiada. – Sami mi się tym chwalili. Ja stałam się katoliczką i dosłownie zakochałam się w Biblii. To taka dobra, bezkrwawa religia, pełna miłości, współczucia i miłosierdzia. Kościół Świętego Franciszka w Trypolisie przygarnął nas, uchodźców z Czadu, jak matka, a misjonarze to najlepsi ludzie pod słońcem – wyznaje z zachwytem i widać, że się nie zgrywa i głęboko wierzy w Boga, Jezusa i Najświętszą Panienkę.

– Dobrze, że się w tym odnalazłaś – podsumowuje džihadysta. – Papież na Lampedusie też miał niezłą mówkę. Aż się płakać chciało.

– Sam widzisz! – Eve się raduje, że jej mężczyzna uczestniczył w eucharystii. *Może jeszcze da się go sprowadzić na uczciwą drogę?*, liczy na cud wierząca kobieta. – Zapytałam *saida*<sup>56</sup> Junisa, czy w Maroku mogę mieć z tego powodu problemy, a on powiedział, że żadnych, więc chodzę nawet do kościoła.

– Aha, to dobrze – reasumuje spryciarz, stwierdzając, że to również dla niego idealna przykrywka i sposób na okazanie, jakim jest tolerancyjnym człowiekiem.



– Jakże mnie to uszczęśliwia! – wykrzykuje impulsywnie chrześcijanka. Dawno nie wyglądała na tak zadowoloną i odstresowaną. Dosłownie kwitnie.

– Co byś zatem powiedziała na chrześcijański ślub w kościele? – poddaje pomysł Jasem, uśmiechając się szelmowsko.

– Panie mój! Królu mój! – Brzemienna nic więcej nie jest w stanie powiedzieć, a jedynie składa ręce jak do modlitwy na swoich sprężystych, obfitych piersiach i patrzy na swojego wybranka jak na Pana Boga.

Jemu w to graj i ni stąd, ni zowąd dochodzi do wniosku, że dużo przyjemniej jest bawić się w Najwyższego na pogodnie, niż odbierając życie.

Pomocny kompan Jasema, podstarzały emerytowany fundamentalista Marokańczyk Junis bezproblemowo załatwia wszystkie formalności potrzebne mieszanej parze. Tam, gdzie musi, składa poplamioną i pomiętą fotokopię paszportu towarzysza, który nadal ma bardzo gorące papiery. Procedury idą na konto Czadyjki, bowiem ma ona ważną kartę uchodźcy, a nawet zezwolenie na pobyt stały w Hiszpanii. Dlatego to na nią otwierają mały hotelik *riad* w centrum Marrakeszu. Para musi zachować pozory zwykłych obywateli, żeby Jasem znów mógł sięgnąć do swojego źródła i prac potężne kalifackie pieniądze, które udało mu się zdefraudować, kiedy już *idée fixe* legła w gruzach i nikt nie był w stanie go sprawdzić ani oskarżyć o milionowe złodziejstwo. Jego przyjaciel robił to samo, więc teraz znów działają ręka w rękę.

Nieoczekiwanie zarabiają na swym niewielkim biznesie duże pieniądze. Dzieje się tak dlatego, że Jasem ma głowę do interesów, a i Maroko, jako jeden z nielicznych arabskich krajów w północnej Afryce, charakteryzuje się pewną stabilizacją, rozwojem gospodarczym, niewielką ilością działań terrorystycznych i aktów przemocy. Kiedy turyści z całego świata zamiast do niebezpiecznych dzisiaj Egiptu czy Tunezji przyjeżdżają tutaj, nakręcają przemysł tego kraju, który aktualnie przeżywa gospodarczy boom. Dużą popularnością w Marrakeszu cieszy się Café Zaitun, które *džihadysta* przejmuje od dobrego, spokojnego obywatela, przekonując go do sprzedaży lokalu samochodem pułapką, który wybuchła prosto przed jego domem. Od tego czasu Jasem wraz ze swoją kobietą, której brzuch rośnie jak na drożdżach, przesiadują w *medinie*, przy starym placu Dżamia al-Fena we własnej już restauracji. Niedaleko *majdanu* znajduje się meczet Ben Youssef z wielką *medresą*<sup>57</sup>, w dawnych czasach skupiającą nawet trzystu pięćdziesięciu uczniów, a po drugiej stronie ulicy mieści się chrześcijańska Parafia Świętych Męczenników. *Kościół szahidów*<sup>58</sup>, myśli Jasem, uznając to za niezły paradoks, ale i dobry znak. To właśnie tam odbywa się skromna uroczystość zaślubin niezwyklej pary – białego mężczyzny legitymującego się paszportem Araba, niepraktykującego muzułmanina, oraz czarnej brzemiennej pięknej kobiety, całym sercem i duszą chrześcijanki. Świadcami są siostra zakonna i młody europejski misjonarz. W ławach dla gości siedzi tylko jeden człowiek, były księgowy kalifatu Junis.

Kościół katolicki dopuszcza możliwość małżeństw mieszanych wyznaniowo. W tym celu katolik musi uzyskać dyspensę od swojego biskupa, co Eve przyszło nadspodziewanie łatwo. Warunkiem przyjęcia takiego ślubu jest również oświadczenie katolika, że nie przejdzie na inną wiarę i przyrzeka, że po chrześcijańsku wychowa i ochrzci swoje dzieci. Jasem, jako strona niewierząca, zobowiązał się, że nie będzie w tym przeszkadzać swojej przyszłej żonie. Wszystko przebiega po myśli fundamentalisty, który zgodnie z Koranem, *hadisami*<sup>59</sup> i *fatwami*<sup>60</sup> ma prawo kłamać i oszukiwać nawet w obliczu Boga, a tym bardziej obcego Boga. Allah na pewno mu wybaczy, bo robi to w wyższym celu, podążając ścieżką *džihadu*.

– Wiesz, byłam dziś w kościele z ciastem dla naszych świadków oraz małymi

prezencikami, żeby im podziękować. – Młoda żonka przybiega do ich komfortowego apartamentu w *riadzie* Junisa i pada zmęczona na sofę, ocierając pot z czoła. – Nie ma ich! – Ledwo dyszy, ale jeszcze udało jej się przekazać przerażającą informację. – Ksiądz proboszcz, który udzielał nam ślubu, jak mnie zobaczył, to omal nie zemdłał.

– Nie dziwię mu się – pogodnie odpowiada Jasem. – Wyglądasz, jakbyś miała zaraz rodzić. Powinnaś była pognać na porodówkę, a nie do kościoła! – Wybuchła śmiechem na swój dowcip.

– Nic nie chciał mi powiedzieć, a tylko oganiał się ode mnie jak od natrętnej muchy – trochę wyrównawszy oddech, kobieta z rozżaleniem zdaje relację. – Co się stało? Czułam się intruzem w mojej własnej świątyni – żali się jak dziecko.

– Kochana, posłuchaj. – Mąż przysiada koło niej i czule bierze za rękę, zdając sobie sprawę, że musi roztrzęsioną katoliczkę uspokoić i nakierować na dobre tory. – Teraz twoim kościołem powinien stać się dom – poucza ciepło, na co nerwy uchodzą z niej jak kamfora. – Jesteśmy rodziną, niedługo przyjdzie na świat nasze dziecko i dobrze by było, żebyś wyszykowała nam rodzinne gniazdko. Skupmy się na tym, dobrze?

Zaślepią kobieta oczywiście przyznaje mężowi rację i postanawia odpuścić sobie na jakiś czas wizyty w świątyni. Rzeczywiście aktualnie mają ważniejsze rzeczy na głowie.

Jasem wraz z Junisem załatwiają wszystkie przykre sprawy tak sprawnie i bezboleśnie jak kiedyś w Rakce. Łatwowierną i słabą jak mucha zakonną siostrzyczką oraz zniewieściałym francuskim misjonarzem zajęli się młodzi i żądni krwi krewniacy marokańskiego fundamentalisty. Wychowywał ich od dziecka na dobrych ortodoksyjnych muzułmanów, a kiedy jako młodzieńców zapoznał z ogarniającym Maroko jak zaraza salafizmem, podążają już za nim jak wierne psy i wykonują każde polecenie wujaszka. Załatwienie służebników Bożych było dla nich jak bułka z masłem, a radości mieli co niemiara, bo czuli się, jakby byli w kalifacie, do którego ze względu na młody wiek nie mieli szans dołączyć. Mężczyznę z dużą przyjemnością posiekali maczetami, a mniszkę, po uprzednim zgwałceniu, jako nieczystą niewiastę – ukamienowali. Ich szczątki pochłonęła Sahara, która na swych ogromnych przestrzeniach ukryje każdy grzech i każdą niegodziwość. Później, kiedy męczący, pełen wrażeń dzień chylił się już ku zachodowi, obmyli zakrwawione ręce i podłę, pełne nienawiści twarze, przebrali się w rytualne szaty, rozścielili modlitewne dywaniki i pokłonili się swemu Bogu, któremu, według nich, swoim zbrodniczym czynem sprawili niewypowiedzianą radość. Za to zapewne Allah wynagrodzi ich w rajy wiecznymi dziewicami, czarnookimi hurysami. Nigdy nie przeczytali w swej świętej księdze Koranie fragmentu, który głosi: „Nie będziecie przelewać krwi! (...) A zapłatą dla tych spośród was, którzy to czynią, będzie hańba w życiu tego świata, a w Dniu Zmartwychwstania będą skierowani ku najstraszniejszej karze<sup>61</sup>”.

Zgodnie z obietnicą szczęśliwego rodzinnego życia Jasem kupuje dla siebie, swojej żony i mającego się narodzić dziecka elegancki, wielki dom w ekskluzywnej dzielnicy miasta przy bulwarze Muhammada VI62. Zatrudniają służbę i żyją jak przykładna bogata familia. Przyszli rodzice wspólnie urządzają pokój dla swojej córeczki. Ojciec nie oszczędza na niczym i wniebowzięta Eve znów uważa się za w czepku urodzoną. Zdążyła niemal zapomnieć o jednorazowym incydencie, lecz podświadomie nadal ma go z tyłu głowy. Już nigdy-przenigdy nie ośmieli się zadawać swemu dobrodziejowi drażliwych pytań ani brać pod lupę jego dotychczasowych kolei losu. Jest, jak jest, a że jest wspaniale, kobieta chwyta każdy dzień i cieszy się każdą chwilą. Teraz najbardziej boi się porodu, bo wie, jakie to ryzykowne – zarówno dla obrzezanej kobiety, jak i dla noworodka.

– Boże wszechmogący! – Pewnego słonecznego dnia brzemienna z trudem przemierzająca taras chwyta się za wielki brzuch. – Rodzę! – krzyczy, kiedy w kolorowe lastriko z głośnym chluśnięciem uderzają wody płodowe.

Jasem akurat jest w mieście, zajmuje się swoimi biznesami, a może spotyka ze znajomymi – żona tego nie wie, bo przecież o nic go nie pyta. Mężczyzna przeważnie wychodzi rano i wraca późnym popołudniem lub wieczorem. Taki jest styl życia arabskich mężczyzn i koniec kropka. Co miałby robić w domu z kobietą przy nadziei, która wygląda, jakby połknęła nie melona, lecz ogromnego dziesięciokilogramowego arbuza? Dlatego też Eve postanawia nie psuć dnia ukochanemu. Od wieków Afrykanki same rodziły i same dawały sobie radę. Obecność facetów podczas porodu to współczesny, według Czadyjki wyjątkowo głupi wymysł.

– Wołaj... Wołaj... Transport! – charczy do przerażonej filipińskiej służki, która z głupkowato rozdziawioną gębą gapi się na swoją zgiętą w pół panią. – Natychmiast! – Chwyta ze stołu porcelanową paterę, na której leżą różne słodkości, i rzuca nią w durną dziewczuchę.

– Biegnę! – Ta dopiero wtedy rusza się i sięga po telefon.

Brzemienna, stojąc przed domem w parzących promieniach słońca, widzi jedynie zatrzymującą się przy chodniku taksówkę. Wytrzeszcza oczy na swoją pomoc, a ta tylko potwierdza i pokazuje jej brodą na auto.

– Do szpitala Hôpital Privé de Marrakech – mówi rodząca, z trudem gramoląc się do środka niewielkiego peugeot.

– Pobrudzi mi tapicerkę. – Taksówkarz nie jest zadowolony z takiej klientki. – Mogła sobie wezwać ambulans – narzeka, nie ruszając z miejsca. – A w ogóle to nie szpital dla służby i uchodźców. Tam trzeba słono zapłacić albo mieć wysokie ubezpieczenie – tłumaczy beczelnie, bo obawia się, że na tym celu ich trasa się nie skończy i niechybnie kobieta urodzi mu dziecko w aucie.

– Widzisz te kolczyki, psie? – Łagodna jak baranek Eve potrafi być wulgarna i agresywna. – Widzisz te pierścienie?! – Pokazuje najpierw na swoje uszy, a potem wyciąga przed siebie trzęsące się dłonie. – Nie wiem, czemu moja gosposia nie wezwała karetki, ale teraz już nie mam ani czasu, ani siły zmieniać środka transportu. Ruszaj, ty synu osła! – wyzywa Araba, a ten tylko zaciska zęby i jedzie na złamanie karku.

– Witamy, pani Salimi. – Położne i pielęgniarki przyjmują brzemienną jak królową, bo jej dobry mąż opłacił swojej ukochanej poród w warunkach VIP.

Ma ona do dyspozycji oddzielną salę, wyposażoną we wszystkie nowinki techniki niezbędne do odbioru porodu, a przede wszystkim – w tym wypadku – do utrzymania matki i noworodka przy życiu. Nie jest to bowiem zwykłe powicie dziecka, gdyż kobieta jest przecież po obrzezaniu i jedynie opieka wykwalifikowanych lekarzy położników może pomóc im przeżyć. Wszystkich wykształconych Arabów gorszy proceder okaleczania żeńskich narządów płciowych, choć w Maroku również przez długie lata obowiązywał zwyczaj obrzezania dziewczynek. Obecny król jednak surowo tego zakazał pod groźbą więzienia i grzywny. Możliwe, że nie obyłyby się nawet bez batów, które również wycofano jako środek dyscyplinujący.

– Rozmawialiśmy już na ten temat. – Miła ginekolożka pochyła się nad kobietą przeżywającą katusze. – Jeśli do pół godziny nie uda się pani urodzić, czego w pani przypadku nie polecam, decydujemy się na cesarskie cięcie.

Przyszła matka tylko zaciska zęby i negująco kręci głową. Chce okazać się wartościową, stuprocentową kobietą i wydać dziecko na świat siłami natury.

– Dajcie mi szansę... – chrypi przez wyschnięte gardło.

– Przecież tłumaczyłam, że prawdopodobieństwo, iż noworodek będzie wymagał

natychmiastowej reanimacji na skutek niedotlenienia, jest ogromne, prawie stuprocentowe. Nie wiadomo też, czy uda się go uratować. Jeżeli za długo będziemy czekać... – Nie chce straszyć rodzącej, ale jej obowiązkiem jest wyjawić całą prawdę, więc informuje: – Często w podobnych do pani okolicznościach przychodzi na świat martwy płód lub dziecko umiera wkrótce po narodzeniu. Poród naturalny będzie długi i nieziemsko trudny, a i śmiertelność niedoszłych matek jest wysoka. W najlepszym wypadku pęknie pani aż po szyję! – Denerwując się, dość drastycznie ostrzega, bo nie zauważa zrozumienia czy lęku u rodzącej, a tylko ośli upór i zaciętość. – Dziecko udusi się w tym wąskim ujściu, chyba że rozetniemy panią aż do pośladka. Ale to też może nie pomóc.

Medycza nie dziwi się teraz, że afrykańskie dziewczynki tak bezwolnie dają się uszkadzać. Według niej zasadniczym powodem jest ich bezgraniczna głupota. Brzemienna chce poświęcić i siebie, i dziecko, żeby coś sobie udowodnić. Tylko co? Wykształcona kobieta ostatecznie podejmuje decyzję. Najwyżej potem podadzą ją do sądu, lecz ona ma argumenty czarno na białym. Przez zaszytą na okrętkę pochwę główka żadnego noworodka się nie przecisnie. A nacięcie czy przecięcie przy takim parciu i naprężeniu skóry jest nadzwyczaj niebezpieczne, gdyż krocze kobiety może spruć się jak stare prześcieradło. Postanawia poczekać, aż pierwsze bóle parte i skurcze zelżeją, i działać zgodnie z zasadami medycyny oraz procedurą ratowania życia.

– Cesarskie cięcie – ogłasza do interkomu. – Natychmiast. Proszę przygotować salę.

Eve tylko otwiera usta, ale nie ma już z kim dyskutować, bo lekarka, nie czekając na jej zgodę, idzie przygotować się do zabiegu. Pielęgniarki i asystentki zakładają pacjentce kroplówkę, ściągają i chowają w zapieczętowanym woreczku ciężką, drogą biżuterię, odkażają brzuch, nakrywają septycznym prześcieradłem, po czym biegiem puszczają się na blok operacyjny.

– Nie! Ja nie chcę! – wydziera się Afrykanka. – Nie życzę sobie! – mówi jak wielka pani, lecz nikt nie zważa na jej słowa.

– Nie gadać! Oddychać głęboko!

Podają jej narkozę i rodząca słabnie w mgnieniu oka.

– Ty głupia krowo! – kobiety z personelu medycznego pod nosem klną na durną bogatą nuworyszkę i wyjątkowego prymitywa.

Jasem, choć może, nie uczestniczy w porodzie. Sala porodowa to nie miejsce dla prawowiernego muzułmanina. Skutecznie zaczyna sobie przypominać arkana islamu, w które kiedyś tak głęboko wierzył. Krótki okres normalności minął jak z bicza trząśł i teraz znów krok po kroku męczyzna zbliża się do granicy fundamentalizmu. Jest jeszcze na etapie dwubiegunowym, chciałby raz tak, a raz tak, ale droga prowadząca do upadku jest zawsze krótsza.

Czeka zatem na swoją żonę w szpitalnym apartamencie, który wynajął. Lokal składa się z saloniku i sali dla położnicy z dzieckiem oraz oczywiście z dużej łazienki. Wszystko jest perfekcyjnie wyposażone, a że młodzi rodzice spodziewali się dziewczynki, dostali pokój w kolorze różowym. Ściany pomalowano na łososiowo, mebelki, łóżeczko oraz pościel zdobią różane wzory, zaś dekoracje są cyklamenowe. Do pokoju dostarczono też świeże cięte kwiaty – same róże. Ojciec siedzi przy łóżku zmęczonej kobiety i bacznie ją obserwuje. Przebieg zabiegu okazał się prawidłowy, o dziwo, obyło się bez komplikacji i teraz nic już nie zagraża życiu matki i córki. Położnica po przebudzeniu patrzy z niepokojem na swojego męża, bo nie ma pojęcia, jak ten zareaguje na dziecko. Może być bardzo dobrze, ale może też być tragicznie. Wie, że arabscy mężczyźni pragną ponad wszystko syna, a ona obdarza go dziewczynką. I choć Jasem znał płeć

dziecka, Eve ma wątpliwości, co będzie dalej. Czy pokocha małą, czy przynajmniej polubi, czy oszczędzi? Aktualnie kobieta jest ostrożna, jeśli idzie o jego uczucia. Obawia się jednak najgorszego i – jak to matka w połogu – popada w niemą rozpacz.

Mała śliczna dziewczynka śpi w ramionach matki. Stanowią piękny, ale i zadziwiający obrazek. Eve ma hebanowe włosy, rozsypane teraz tysiącem warkoczyków na poduszce, a skórę ciemnobrązową, jej córeczka zaś ma bujną czuprynę, a delikatne jasnorude fale układają się dookoła jej miniaturowej buzi, tworząc cudną aureolę. Karnację ma jak cappuccino, gdzieś gdzieś całkiem białą jak pianka, a w innych miejscach brązową jak kawa. Jasem nie wie, że pigmentacja skóry będzie się zmieniać i wraz z upływem czasu przybierze kolor właściwy, ale jedno jest pewne: córka nigdy nie będzie czarna. Liczko małej jest tak słodkie i śliczne, że ani matka, ani ojciec nie mogą od niej oderwać wzroku. Wszystko ma perfekcyjne, począwszy od małego, zgrabnego noska ojca, poprzez wysokie czoło mamy, na cieniutkich brewkach jak skrzydła motyla kończąc. Kiedy otwiera swoje malutkie ślepka, widać jasne oczy, najpierw trochę zagubione, nieprzytomne, a po chwili skoncentrowane na jednym punkcie. Na terroryście, który jest jej ojcem. Usteczka ruszają się, ale nie układają do płaczu, lecz jakby do pierwszego, nieśmiałego, krzywego uśmiechu. Jasem przybliży rękę w jej kierunku i daje córce palec. Ta chwyta i nie chce już puścić. Uścisk noworodka, który dopiero od paru godzin jest na tym świecie, jest nad podziw silny. To już ostatecznie decyduje o tym, że Jasem, chcąc nie chcąc, zakochuje się w córce i patrzy na nią wielkimi maślanymi oczami.

– Jak damy jej na imię? – Na pięknym licu matki maluje się błogie szczęście, bo w tej chwili wszystkie jej obawy i lęki pierzchają.

– A jak byś chciała? – Jasem pozostawia decyzję kobiecie, choć w pierwszym odruchu chciałby dać swojej córeczce na imię Darin. Jednak obawia się, że przez to mógłby ją znienawidzić, tak jak swoją była żoną, a do tej kruszynki serce aż mu się wyrывa.

– Podobałoby ci się Julia?

– Piękne – przyznaje. – Zatem, Julio, witaj w naszym życiu i na tym świecie.

Najdelikatniej jak umie, bierze córkę na ręce i obracając się do Eve plecami, szepcze jej do ucha *szahadę*:

– Nie ma Boga prócz Allaha...

Jest zadowolony. Od tej chwili Julia jest prawowierną muzułmanką.

51 *Medina* (arabski) – miasto; stare miasto.

52 *Riad* (arabski) – dosł. gościna; hotel, pensjonat.

53 *Dżenna* (arabski) – dosłownie: ogród; raj.

54 *Ja sadiqi* (arabski) – Mój przyjacielu! (wołacz).

55 *Hadżdż*, *hadż* (arabski) – pielgrzymka do świątyni Al-Kaba w Mekce; *hadż* – pielgrzym; *hadża* – kobieta pielgrzym (więcej zob. słownik).

56 *Said* (arabski) – pan.

57 *Medresa* lub *madrasa* (arabski) – szkoła; teologiczna szkoła muzułmańska, początkowo mieszcząca się przy meczecie, w której nauczano Koranu, prawa muzułmańskiego oraz języka arabskiego. Później miejsca te uzyskały pewną samodzielność i zaczęto wykładać w nich także nauki ścisłe.

58 *Szahid* (arabski) – męczennik.

59 *Hadis* (arabski) – opowieść przytaczająca wypowiedź proroka Muhammada, jego czyn lub milczącą aprobatę.

60 *Fatwa* (arabski) – opinia teologa muzułmańskiego mająca charakter zalecenia; ma znaczenie też jako klątwa, nakaz czy wypowiedzenie świętej wojny; fatwę wydaje się również wyroki skazujące, np. wyrok śmierci.

61 Koran, sura IV, wers 84–85.

62 Zob. indeks nazwisk.

## **ZNÓW PRZY STERACH**

## BRACIA SALAFICI

Z Gran Canarii do kiesy Alzaniego spływają niemałe pieniądze z prosperującej farmy, gdzie zarządzająca majątkiem Judith z pracujących w szklarniach uchodźców z Afryki wyciska siódme poty. Zarabiać w Hiszpanii, a wydawać w Maroku to niezła strategia, dlatego państwo Salimi opływają w dostatki. Mężczyzna nie musi nawet ruszać swoich żelaznych zasobów, które przeznacza oczywiście na realizację nikczemnego celu. Cokolwiek by robił i jak bardzo nie wydawałby się szczęśliwy, ciągle w podświadomości dręczy go pragnienie zemsty, którą sobie obiecał. Czy wytrwa w tym przyrzeczeniu? Czy będzie mu się chciało zostawić wszystko, spokojne i dostatnie życie, kochającą piękną żonę i uroczą córeczkę, żeby ryzykować głowę dla wendety?

Na razie, dla rozgrzewki, postanawia dołączyć do salafickiego Islamskiego Ruchu Sprawiedliwość i Miłosierdzie, który nie został w Maroku zdelegalizowany, ale jest ledwo akceptowany przez władze i rząd. Związek ten ma coraz więcej zwolenników, szczególnie spośród tych, którzy uratowali się z pożogi ISIS63 i kalifatu i teraz szukają dobrego miejsca na kamuflaż i dalsze działanie. Wśród starych miast Maroka, szczególnie w tradycyjnej, a zarazem turystycznej *medinie* w Marrakeszu czy w szpanerskim, ciągle będącym na haju Tangerze, oddziałów tej organizacji jest co niemiara i niepostrzeżenie dla władz szybko zwiększają liczbę swoich członków.

Jasem postanawia nie angażować się osobiście w organizację jakichkolwiek zamachów. To teraz nie jego bajka i nie jego cyrk. Dżihad może poczekać, tak jak i raj. Aktualnie myśli tylko o wendecie. To jego cel numer jeden.

Pół-Syryjczyk i Marokańczyk Junis wypracowują swoją rutynę: zawsze po salafickim mityngu analizują jego przebieg i dyskutują w restauracji Jasema na placu Dżamia al-Fena. Zwłaszcza że spotkania salafitów odbywają się na starym mieście. Wieczorami jest tam najprzyjemniej i najciekawiej. Emerytowany dżihadysta i terrorysta na urlopie rozkoszują się wieczornym chłodem i urokiem tego miejsca. Obserwują pokazy kuglarzy i zaklinaczy węży, którzy dwoją się i troją, by dostać za swoje występy jakiś pieniądz od turystów, którzy licznie odwiedzają ich kraj. W końcu Marrakesz to stara stolica Maroka, a ten właśnie plac wraz z otaczającymi go starożytnymi budynkami został wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

– Ci młodzi są niepoprawni – stwierdza Jasem po jednym ze spotkań organizacji. – Tak napaleni, że nie potrzebują kamizelek samobójcy. Sami stanowią bombę zegarową z opóźnionym zapłonem.

– Tacy jak my w młodości – usprawiedliwia swoich rodaków Junis.

– Jakos nie pamiętam ciebie walczącego z maczetą w dłoni, prędzej z wydrukami komputerowymi.

– Ja zaś pamiętam ciebie. – Stary uśmiecha się kpiarsko i porozumiewawczo mruga okiem. – Z licznych pokazów twojej siły, bezkarności i niezależności. Pół świata nadal ogląda filmy w internecie i Bogu dzięki, że zmieniłeś głowę, bo długo byśmy tak w publicznym miejscu nie posiedzieli. Z twoją sławą!

– Młodość, głupota, pycha... – wspomina z niezadowoloną miną Jasem. – Nie powinienem był się afiszować, ale kto mógł przewidzieć, że wszystko tak się skończy.

– Przewidujący – chichra dowcipniś. – Teraz czasy całkiem się zmieniły i trzeba się do tego dostosować. Nie są potrzebne żadne ataki terrorystyczne, zamachy ani durni *szahidzi*.



– Zgadzą się – przyznaje mu rację bojownik. – Bez terrorystycznych działań dżihad też ma się świetnie. Już od paru ładnych lat kwitnie w Europie, siedlisku zgnilizny. A jednak... – zamyśla się, bo nadal lubi pomachać maczetą – ...najlepiej by było, gdyby jednym ramieniem walki był dżihad zbrojny, a drugim genetyczny. Wtedy podbój byłby jeszcze szybszy.

– Sam sobie zaprzeczasz. Z jednej strony dobrze ci się żyje, więc nie chcesz już walki, a z drugiej nadal jesteś żądny krwi. – Tak szczerze z Jasemem nikt nigdy nie rozmawiał, ale przywilej bycia przyjacielem upoważnia do tego Junisa. – Już nie potrzeba zbrojnego dżihadu! Należy o tym zapomnieć. Na cholere nam to? – Konformista się denerwuje, bo Jasem jednak na zawsze pozostanie zwolennikiem przemocy. Tak jak siostrzeńcy Marokańczyka i tysiące innych głupców na całym świecie.

– Masz rację. – Jasem przełyka krytykę i reprimendę jak kwaśny owoc.

– *Sadiqi*<sup>64</sup>, islam praktycznie podbił już pół świata, nie oddając ani jednego strzału i nie obcinając jednej zawszonej głowy. – Junis nabiera werwy, wyłuszcza kamratowi sedno sprawy. – Muzułmanie mnożą się jak króliki, gdy tymczasem Europa starzeje się i powolutku umiera. Jednak spadkobierców starej kultury nie chce albo już nie może rodzić. Coraz więcej dzieci w niemieckich czy francuskich szkołach wyznaje islam. Coraz częściej oprócz lekcji religii, na które przychodzi ksiądz lub siostra zakonna, prowadzone są zajęcia przez muźmańskich *ulemów*<sup>65</sup>. Są takie placówki edukacyjne, gdzie chrześcijańskie lekcje, głoszące Biblię jako świętą księgę, nie znajdują chętnych, zaś klasy, gdzie odbywają się zajęcia traktujące o jedynej świętej księdze, Koranie, są przepełnione. Ha! – wykrzykuje dumnie i na potwierdzenie rąbie dłonią w blat stolika, który klei się od rozlanej słodkiej herbaty i kawy oraz resztek jedzenia.

– To cieszy wszystkich umiarkowanych wyznawców islamu, tych, którzy w tej religii odnajdują pokój. – Jasem pogardliwie wydyma wargi, bo choć nie ma ochoty angażować się w akty przemocy tutaj i teraz, to jednak na zawsze pozostanie zwolennikiem terroru. – Raduje ciebie i tobie podobnych.

– Zaś dla bojowników wszystko to mało, bo oczywiście chcą przejść do historii jako *szahidzi* i umrzeć w imię prawdy. – Junis wypowiada słowa ze zjadliwą ironią, co świadczy o tym, że jest temu całkowicie przeciwny. – Tych jednak jest już coraz mniej. Czy chce ci się jeszcze walczyć, czy pragniesz krwi i ścinania głów niewiernym? – Śmiało sobie poczyna, balansując na granicy życia i śmierci, jakby zapomniawszy, że zbrodniarze, a zwłaszcza seryjni i przede wszystkim ludobójcy, nie odmieniają ot tak serca i nie prostują skrzywionego charakteru. Żądza mordu pozostaje w nich na zawsze.

– Niekoniecznie, ale niektórzy muszą zostać ukarani – szczerze odpowiada pół-Syryjczyk. – Aktualnie pragnę czegoś innego.

– Czego?

– Tylko jednego. Zemsty.

Panowie milkną na chwilę, a Junis zastanawia się, kto jest na liście jego kolegi.

– Chcę wendety – powtarza Jasem. – I to niekoniecznie na niewiernych.

Mężczyzna nadal planuje swój odwet na tych, którzy według niego go zdradzili. Dla pomsty zrobi wszystko, pokona każdy ból, zdecyduje się na każde wyrzeczenie. Przejdzie suchą stopą nawet przez takie straszne miejsce kaźni, jak libijskie więzienie o zaostrzonym rygorze zwane Abu Salim.

Terrorystyci jednak nie śpią. Nie chcą zrezygnować z czynnej działalności, choć zarówno Junis, jak i Jasem ich odmawiają, przekonując, że teraz nadszedł czas na inną walkę. Tę bezkrwawą. Na opanowanie wszystkich dziedzin życia i przejęcie sterów rządów w białych rękawiczkach. Jednak dla fundamentalistów o wąskim światopoglądzie takich jak salafici

przemoc i szerzenie terroru jest najlepszą formą walki.

– Kto chce pójść ścieżką dżihadu? Kto chce zostać *szahidem*? – sprawdza dumny z siebie, szalony imam, nad którym już wiszą wyroki za działalność wywrotową, ale do tej pory udaje mu się ukrywać i unikać wymiaru sprawiedliwości.

– Ja to zrobię! – Na tajnym zebraniu w podziemiach starego meczetu wyrywa się pierwszy ochotnik.

– Ja! Ja! Ja!

Aktywistów jest bez liku. Każdy chce zostać męczennikiem, każdy chce już teraz, za młodu, pójść do raju i pieprzyć siedemdziesiąt dwie hurysy, wieczne dziewice.

– Ajmanie, masz jakiś pomysł? – Imam wybiera swego pupila i najwierniejszego ideom salafizmu rodaka.

– Już mam zrobione...

– Co?! Jak to? – rozlegają się zdziwione głosy.

– Mam zrobione dwie bomby – chwali się młody mężczyzna w nieświeżej *galabii* i zdeptanych gumowych klapkach.

– Bravo! Hura! *Allahu akbar!* – Wszyscy się cieszą.

– Jak je zrobiłeś? – interesuje się niegłupi imam. – Przecież nie jesteś saperem. W wojsku też nie byłeś.

– Wszystko można znaleźć w tym grzesznym internecie. – Konstruktor jest dumny jak paw. – Ściągnąłem instrukcje i zrobiłem.

– Gdzie je podłożymy?

– Na placu Dżamia al-Fena, oczywiście.

Towarzystwo jest zgodne co do lokalizacji, tylko Jasemowi i Junisowi włosy dęba stają. Przecież Junis tam mieszka i ma hotel, a Jasem własną restaurację.

– A konkretnie? – docieka podstarzały Marokańczyk, który nie reaguje tak radośnie i żywiołowo, jak reszta zebranych. – U mnie w hotelu?

– Nie, skądże!

– W restauracji naszego towarzysza z Syrii? Znanego na cały świat dżihadysty? – naciska.

– Myślałem o Café Zaitun... – przyznaje już z mniejszym przekonaniem Ajdan.

– Czyś ty zgłupiał? – Jasem musi walczyć o swoje, choć absolutnie nie może ujawnić, że prywatnie jest dla niego ważniejsza od misji. – W takiej podrzędnej kafeterii? Czemu nie w restauracji Argana? Przecież to wielki trzypiętrowy lokal, akcja będzie miała szerszy wydźwięk! Poza tym która knajpa widnieje w rankingu Trip Advisor? Zaitun czy Argana? – Dżihadysta kuje żelazo, póki gorące.

– A skąd mamy to wiedzieć?

– Jeśli nasz konstruktor korzystał z internetu, by stworzyć bomby, to powinien być jeszcze się zorientować, gdzie jest najwięcej turystów.

– Na placu Dżamia al-Fena – wyrywa się jakiś wyjątkowy głupek.

– A konkretnie? Cały plac zaminujesz? – kpi dżihadysta.

– No... nie.

– Zatem podłożymy ładunki w restauracji Argana – decyduje imam. – Przy butlach z gazem, których używają, by gotować dla niewiernych. Jednak na wszelki wypadek oraz by wydźwięk zdarzenia był jeszcze szerszy, nałożysz kamizelkę.

– Oczywiście! – potakuje przeszcześliwy przyszły męczennik. – Dziękuję za wyróżnienie!

– Pomoże ci jeszcze z pięciu... nie, sześciu najszczerzych wyznawców. Żeby wszystko było na tip-top – informuje decydent z uśmiechem, tak jakby fundował tym młodym ludziom

wyjście do centrum rozrywki lub do pubu.

Jasem i Junis znów idą obgadać sprawy do knajpy należącej do pół-Syryjczyka, którą dzisiaj udało się uratować, ale nie wiadomo na jak długo. Rozsiadają się przy swoim ulubionym stoliku z dobrym widokiem na cały plac.

*Nieźły pomysł z atakiem w tym miejscu*, podsumowuje w duchu Jasem, patrząc na rześcicie oświetloną, pełną turystów restaurację Argana znajdującą się po drugiej stronie placu. *Idealna lokalizacja. Usłyszą o tym na całym świecie. Internet będzie pękał w szwach od reportaży i wywiadów. A i spektakularną liczbę niewiernych da się zlikwidować za jednym zamachem.*

– *Mezze66* i butelkową colę proszę – zamawia to co zawsze. – A ty? – zagaduje towarzysza.

– Do jedzenia to samo, ale zamiast coli herbatę. – Junis ciepło spoziera na młodego, pięknego jak z żurnala kelnera, ubranego w zmiętą, przepoconą białą koszulę i czarne wytarte portki. Na stopach ma schodzone, stare zakurzone buty. A jednak ewidentnie wzbudza zachwyt emeryta.

– Zauważyłem, że nigdy nie pijesz nic z butelki – zagaduje Jasem, chcąc na chwilę odłożyć poważną rozmowę. – Dlaczego?

– Wiesz, salafici to specyficzny fundamentalistyczny ruch. – Marokańczyk uśmiecha się figlarnie. – Nie taki jak dżihadyzm. Mamy mnóstwo zwyczajów, a jeszcze więcej przesądów i zabobonów, które mogą wydać się cudaczne, ale czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci. Przywykłem do nich i już tak mi zostało.

– Dlatego nie zamawiasz coli ani fanty w butelce? Przecież możesz sobie przelać do szklanki. – Jasem chichra kpiarsko. – Piwo i anyżówkę ciągniesz jak ta lala, a je też leje się z flaszki, a nie ze słoika.

– Taki mały absurd, prawda? Jednak picie to nie wszystkie hecne przesady, kochany. Nie możemy jeść ślimaków, ale szarańczę już owszem, bo przed wiekami pierwsi muzułmanie właśnie szarańczą żywili się na pustyni. Na weselach nie wolno nam grać tradycyjnej, nieislamskiej muzyki, nawet marokańskiej. Trochę jak w kalifacie, gdzie wesela wyglądały jak stypy, bo nie wolno było ani grać, ani słuchać muzy. To wbrew arabskiej kulturze, ale co zrobisz. – Junisa nie cieszy ta sytuacja, bo jest pogodnym, imprezowym człowiekiem i sam uwielbia tańczyć *depkę67*, co zresztą wielokrotnie czyni przy różnych okazjach. – Szczególnie ciekawa jest teoria, że każdy czarny pies to diabeł.

– Nie jest to takie odległe od islamu, bo wszyscy muzułmanie nienawidzą i boją się psów. W końcu jeden ugryzł proroka Muhammada.

– Kobiety uważamy za odpowiedzialne za sprowadzanie mężczyzn na złą drogę.

– To się zgadza – potakuje Jasem, który jest znawcą Koranu.

– Gdy same wychodzą z domu, towarzyszy im szatan.

– To dobre uzasadnienie. Dlatego trzymaliśmy te gęsi w kalifacie pod kluczem. Nie potrzebowaliśmy *szejtana68* spacerującego po ulicach Rakki.

– Niewiasty mają stanowić większość w piekle – ciągnie Junis.

– Tak właśnie. Wszystko się zgadza i nie jest to żadna herezja, *ja sadiqi*. – Kompan pocieszająco poklepuje go po plecach. – Nie żaden *jazydyzm69*, który tępił w kalifacie. To nieco zmodyfikowane nasze prawo *szariat70*, ot co!

– Masz rację. Według radykalnych salafitów, czyli w sumie fundamentalistów, złodziejom należy obcinać ręce, cudzołożników kamienować, a w czasie choroby kobiety badać przez ubranie i wyłącznie w obecności innych członków rodziny.

– *Sah!* – Jasem ma pogodną twarz, bo szykuje się już, by zadać drażliwe pytanie, i chce usnąć czujność rozmówcy. – Ty masz żonę? – wypala nieoczekiwanie.

- Nie. A co? – Marokańczyk od razu błędnie i zamiera, skupiając wzrok na Jasemie.
- A miałaś kiedyś?
- Nie. O co ci chodzi?
- Nie pamiętam, żebyś w kalifacie chodził na zwiady i używał sobie z jezydkami – przypomina sobie pół-Syryjczyk. – Nie użyźniałeś żadnej *sabiji*.
- Miałem uczestniczyć w gwałtach, żeby złapać syfa, a w najlepszym wypadku mendy? – Mężczyzna aż się otrzępuje, nie wiadomo, czy na myśl o zakażeniu czy o dziewczętach. – Jezydki to biedne owieczki i cholerne brudaski. A głupie, że świat i ludzie!
- Nie potrzebowaliśmy inteligentek do konwersacji. Potrzebowaliśmy baby z dziurką i tyle. – Dżihadysta ukazuje swoje wulgarne oblicze. – Dla niektórych było to o niebo lepsze niż kozia dupa.
- No właśnie.
- Rozumiem, że preferujesz profesorki i jajogłowe panie w łóżku?
- Junis milczy, bo już wie, że został zdemaskowany. *Do licha ciężkiego*, klnie w duchu. *Tyle lat udawało mi się tajniaczyć, a teraz ten skurwiel mnie zdekonspiruje! Wszystko przez tego pięknego Ibrahima.*
- Ciągle tylko siedziałeś z kalifem Abu Bakrem al-Bagdadim<sup>71</sup> i studiowaliście finansowe raporty – wspomina Jasem.
- Kalifat istniał tak długo nie dzięki gwałcicielom i innym oszołomom, ale dzięki finansom i wojsku.
- Dobrze, że byłem także cybernetycznym żołnierzem, bo inaczej musiałbym się obrazić – stwierdza już bez uśmiechu, a jego zimne oczy palą teraz kurczącego się w sobie starego człowieczka. – Skąd znałeś Abu Bakra? – Jasem porusza kolejną niewygodną kwestię, bo teraz przed oczami staje mu jak żywy tłusty kalif czule trzymający za rękę swojego zaufanego księgowego. Dochodzi do niego, że nie był to dotyk wdzięczności, ale coś zupełnie innego.
- Z Uniwersytetu Bagdadzkiego – szczerze odpowiada przesłuchiwany. – On studiował teologię, a ja bankowość i finanse. Zaprzyjaźniliśmy się, choć trochę nie po drodze było mi z dżihadem i fundamentalizmem – mówi jak na spowiedzi, bo stwierdza, że niech się dzieje wola boska.
- Pchałeś się do Bagdadu taki kawał świata? W Rabacie nie mieliście uczelni?
- Kochany! Uniwersytet Bagdadzki istniał, kiedy u nas jedynie wypasano kozy i owce, a w Europie dzikusy goniły z włóczniecami za niedźwiedziami. To kolebka kultury i sztuki. Nie tylko muzułmańskiej, ale światowej!
- Masz rację. Więc kalif ściągnął cię do kalifatu osobiście?
- Tak.
- Długo cię musiał namawiać?
- Nie za bardzo. Jestem chłopakiem z biednej marokańskiej wsi, więc obietnica ogromnej kasy była wystarczająco kusząca.
- Racja. Poza tym bardzo się lubiliście...
- Jasem uśmiecha się chytrze, a Junis już nie komentuje. Siedzą przez chwilę w milczeniu, każdy rozmyślając o czymś innym. Marokańczyk wspomina Abu Bakra, kiedy ten był młody, szczupły, piękny i kreatywny, a pół-Syryjczyk swoją młodość w Londynie, gdzie nie stronił od dziwek, alkoholu i prochów.
- Zastanówmy się, jak uchronić nasze dobra materialne w tym konsumpcyjnym świecie. – Zmienia temat, bo dowiedział się już, czego chciał. Nie ma zamiaru stawiać pod pręgierzem kolegi geja. Stwierdza, że pomimo wszystko całkiem go lubi.
- Trzeba będzie coś wymyślić. – Napiętnowany wreszcie oddycha z ulgą.

– Zamknąć restaurację?  
– Nie, myślę, że zrobimy tygodniową dezynfekcję i dezynsekcję. Tak u ciebie, jak i u mnie.

– Ty to masz łeb jak sklep. Nie dziwię się, że kalif dałby wszystko, żebyś tylko przy nim był. – Jasem puszcza oczko, a potem już razem się śmieją – jeden beztrzesko, drugi trochę mniej.

– Mógłbyś, mój młodszy kolego, zainwestować w mopy i środki czystości, bo niedługo twój lokal szczury zjedzą – dogryza Junis. – Jak tak dalej pójdzie, to turystów zaczniesz zakażać tyfusem lub inną brzuszczą zarazą. A kelnerów powinieneś schludnie ubrać. To wszystko biedaki z prowincji i nie stać ich na nowe ciuchy czy uniformy.

– Może mam się jeszcze za nich myć?

– Nie, ale jakąś łazienkę i szatnię mógłbyś im zapewnić. Słyszałeś o prawach pracowników?

– Dobra, dobra. Masz rację. Odwszę tych brudasów. – Pedant stwierdza, że rzeczywiście umknęła mu ta sprawa. – Szczególnie Ibrahima, ale wtedy możesz mieć liczniejszą konkurencję – kończy i wybucha wulgarnym śmiechem.

Przebiegły Jasem ma teraz Junisa w garści. Obyczajowość marokańska niewiele się różni od obowiązującej w całym arabskim świecie. Gej w rodzinie to prawie taka sama hańba jak córka bez wianka czy – nie daj Bóg – prostytutka. Kara wszędzie jest podobna: albo zbrodnia honorowa, albo rządowy wyrok. Pederasta w każdym wypadku jest pozbawiany nie tyle jąder, ile życia.

Zamach przy placu Dżamia al-Fena w Marrakeszu został perfekcyjnie zaplanowany. Termin wyznaczono na kwiecień, kiedy do Maroka przyjeżdża najwięcej turystów, gdyż nie jest tu jeszcze tak gorąco jak latem, ale już przyjemnie ciepło i można korzystać ze wszystkich atrakcji, jakie oferuje to afrykańskie królestwo. Co roku kraj ten gości miliony globtroterów, głównie z Francji, Hiszpanii i Wielkiej Brytanii. Nie brakuje też podróżników z innych krajów, w tym z Polski oraz coraz częściej z krajów Azji. Chińczycy i Japończycy są aktualnie największymi i najliczniejszymi obywatelami.

Ajdan zostaje odpowiednio ubrany i przygotowany do spełnienia swej misji. Od rana uczestniczy w modłach i słucha słów imama. To go uspokaja i przygotowuje do najgorszego, choć według niego i braci salafitów – najlepszego. Wszyscy nazywają ten dzień, dzień jego śmierci, radosnym weselem, gdyż narodzi się on ponownie w nowym, cudownym miejscu, w wymarzonym raju. Wizję *dżenny* stary agitator też ciągle odświeża przed nawiedzonym, biednym chłopakiem.

Cała siódemka ochotników idzie razem do restauracji Argana. Żeby nikt po drodze nie zwątpił, żeby nikt nie zrejterował. *Allahu akbar, Allahu akbar, Allahu akbar...*, powtarzają jak mantrę. W wejściu się rozdzielają. Terrorysta samobójca udaje się na piętro i siada przy stoliku. Wybiera miejsce najmniej okupowane, na samym środku tarasu, a nie jak wszyscy na obrzeżach, z widokiem na plac. Ma na sobie pas *shahida* ukryty pod szeroką bejsbolową bluzą. Organizatorzy kazali mu włożyć modne amerykańskie džinsy, adidas i bawełniane podkoszulki. Na głowę zaś nasunęli czapkę z daszkiem. Jest przeschczęśliwy, bo nigdy nie było go stać na takie ciuchy. Czuje się niezwykle wyróżniony, że w tym modnym stroju zawita do raju. Nie bierze pod uwagę faktu, że trochę się ten ubiór zniszczy, kiedy puści zawleczkę detonatora, którą teraz kurczowo ściska w dłoni.

Koledzy umieszczają ładunki w całym lokalu. Jeśli wszystkie wybuchną, będą mogli się poszczycić większym kraterem w ziemi niż ten, który powstał po wybuchu busa pułapki przed

pubem w miejscowości Kuta na Bali. Będą najlepsi z najgorszych pod słońcem. Szalony fundamentalista po chwili zamawia u kelnera sok pomarańczowy. Zdecydowany na śmierć nie rozumie, czemu poci się jak mysz. Nie ogarnia nie tyle przyspieszonego bicia podekscytowanego serca, ile duszącej arytmii. W gardle ma kulę, nie może oddychać. Ręce mu się trzęsą i musi już obiema podtrzymywać detonator. Chce się jeszcze trochę rozejrzeć. Chce poobserwować grzeszników, których dzisiaj tak surowo ukarze. Jak na przeklętych potępieńców ze zgnitego Zachodu mają jasne uśmiechnięte twarze, ufne i pogodne spojrzenia. Na pewno cieszą się, że deprawują prawowiernych muzułmanów, pokazując im wyuzdane stroje, gołe nogi, a kobiety obfite biusty. Zwłaszcza jedna, gardłowo śmiejąca się blondyna ma melony tak wielkie, że dla Ajdana to czysta pornografia. *Niewierni... Nieczyści... Grzesznicy...*, nakręca się. *Allahu akbar! Allahu...*

Nie kończy już wyznania wiary. Po eksplozji pozostaje po nim krwawa masa. Obrzydliwa plama. Głowa łąduje oddzielnie, gdyż korpus miażdży siła materiałów wybuchowych i robi z niego miąkką papkę. Twarz młodzika wyraża zdziwienie, niepewność, zaś w szybko zachodzących mgłą oczach maluje się przerażenie. Japończycy siedzący najbliżej terrorysty zostają unicestwieni tak brutalnie, że ciężko ich zidentyfikować. Podobnie Francuzi, których w Maroku zawsze jest pełno. Ci zajmowali stoliki najbliżej kuchni, gdzie eksplodowały butle z gazem i dwie skonstruowane przez pomyslowego salafitę bomby. Wszyscy, którzy wybrali ten taras i to piętro restauracji Argana na pogodną wakacyjną kolację w gronie przyjaciół lub rodziny, zostali zabici lub ranni. Budynek jednak się nie zawalił – jest solidny, wprawdzie postawiony przed wiekami, ale z mocnego, niemal niezniszczalnego kamienia. Dlatego pomimo rozmachu tego aktu terroru jest tylko jedenastu zabitych i dwudziestu pięciu rannych. Kolesie samobójcy uszli z życiem, bo żaden z nich nie miał ochoty być *shahidem*. Władze szybko wyłapują ich jak króliki. W końcu ujęto też i aresztowano imama, który odpowiada za tę i wiele wcześniejszych zbrodni.

Zaraz po ataku plac Dżamia al-Fena ogarnia chaos. Tłum krzyczy i piszczy z przestachu. Jasem i Junis siedzą w Café Zaitun i na zimno obserwują sytuację. Nie ruszają się z miejsca. Ani drgną. Dla nich to nie nowość, nic nadzwyczajnego. Nawet dla Junisa, który choć osobiście nie uczestniczył w zbrojnych akcjach w kalifacie, to przecież żył tam trzy długie lata, a takie akcje były na porządku dziennym. Szczególnie pod koniec było gorąco, kiedy zjednoczone siły zbrojne usiłowały wykurzyć fundamentalistów z ich stolicy. Restauracja Jasema na piętrze ma zabezpieczone szyby w oknach i poskładane stoliki. Wszędzie walają się pędzle, pojemniki z farbą i zaprawą murarską, gwoździe oraz płyny do dezynfekcji. Działa tylko kafeeteria, serwująca gościom siedzącym na parterze przy ledwie pięciu małych stoliczkach jedynie zimne i gorące napoje oraz słodkości z sąsiedniej cukierni.

Jasema ekscytuje bycie w centrum akcji. Policja nie będzie podejrzewać ani poszkodowanych i zagrożonych zagranicznych turystów, ani nieszczęsnych lokalnych bogaczy, którzy znaleźli się w pobliżu terrorystycznego ataku. Teraz Jasem i Junis, kryptodżihadysta i kryptosalafita, są ofiarami. Dlatego nie ukrywają się ani nie uciekają, przeciwnie – z chęcią udzielają odpowiedzi prowadzącym śledztwo. Jeden i drugi modlą się tylko, żeby czasami zbyt dokładnie nikt nie sprawdzał ich akt, bo a nuż jakiś kompromitujący lub raczej obciążający szczegół wyszedł-by na jaw.

63 ISIS – skrót od nazwy Islamic State of Iraq and Syria (Państwo Islamskie w Iraku i Syrii).

64 *Sadiq* (arabski) – przyjaciel; *sadiqi* (arabski) – mój przyjaciel.

65 *Ulem* (arabski) – muzułmański teolog i uczonec.

66 *Mezze* (arabski) – arabskie przystawki, składające się przeważnie z pasty humus i *baba*

*ghanusz*, oliwek, serka *lebneh*, pomidorów w oliwie i pity. W zależności od restauracji może być ich dużo więcej.

67 *Depka* (arabski) – arabski taniec mężczyzn przypominający deptanego.

68 *Szejtan* (arabski) – diabeł.

69 *Jazydyzm, jazydyzm* (perski) – bóg. Religia utworzona w XII w., wyznawana głównie przez Kurdów w Iraku, Iranie, Turcji, Syrii, Armenii, Gruzji oraz w Niemczech. Łączy elementy islamu, chrześcijaństwa nestoriańskiego, wierzeń indoirañskich, kurdyjskich oraz judaistycznych. Jej wyznawcy byli eksterminowani przez Państwo Islamskie.

70 *Szariat* (arabski) – dosłownie: droga prowadząca do wodopoju; surowe tradycyjne prawo kierujące życiem wyznawców islamu, które nie uznaje rozdziału życia świeckiego i religijnego. Podstawą jest ściśle stosowanie się do pięciu filarów islamu.

71 Zob. indeks nazwisk.

## CYBERNETYCZNA WŁADZA

Choć z trudem, Jasem znajduje pomagierów do realizacji swych planów. Sporo kontaktów do starych koleś, sprawdzonych dżihadystów, ma jeszcze w głowie, lecz większość z nich boi się nawet głośniej odetchnąć, więc na nich nie ma co liczyć. Jednakże każdego dnia poprzez salaficki Islamski Ruch Sprawiedliwość i Miłosierdzie zgłaszają się do niego ochotnicy, aktywnie działający lub ukrywający się jak szczury w Maroku. Są to ci, którzy nie mają zamiaru zostać *szahidami*, ale jeszcze chcą coś uszczknąć z fundamentalistycznego tortu i się wzbogacić. Najwięcej oczywiście jest typków nic niewartych i nic nieumiejących. Jasem przeprowadza dokładną selekcję, a niektórych opryszków nie chce nawet widzieć na oczy. Pomaga mu w tym jego przyjaciel Junis, który nie oferuje mu współpracy ze swoimi durnymi siostrzeńcami, którzy nadają się tylko i wyłącznie do mokrej roboty, o czym inteligentny facet doskonale wie. Wiadomość o nowym bogatym przywódcy i pracodawcy niesie się z ust do ust. Nikt nie ma pojęcia, gdzie rezyduje ani jak wygląda, ale wszyscy usiłują znaleźć sposób, by się do niego dostać i zaoferować mu swoje usługi. Każdy zwyrodnialec chciałby znów rozbłysnąć pod skrzydełkami czarnej flagi quasi-Państwa Islamskiego.

Jednym z nich jest Piotr, Polak, który dołączył do kalifatu w okresie jego rozkwitu, lecz z Jasemem, który zajmował wysokie stanowisko w hierarchii dżihadystów, nigdy osobiście się nie zetknął. Był zwykłym najemnikiem, pilotem bojowego helikoptera, wcześniej zdegradowanym i wyrzuconym z polskiego wojska. Często najmował się do nielegalnych akcji, najpierw służąc pułkownikowi Muammarowi Kaddafiemu podczas arabskiej wiosny i rewolucji w Libii, by później bezproblemowo zmienić wiarę i dołączyć do wojny w Syrii. Ponad latanie helikopterem przedkładał wszczynanie burd i niesubordynację, żądze zemsty za swój życiowy niefart i niemożność znalezienia swojego miejsca, pragnienie mordu, przemoc i gwałt. Wszystkie te zamiłowania znalazły ujście w Rakce, pękającej w szwach od wszelkiego typu morderców i gwałtocieli. To jednak musiało się zmienić, kiedy padł kalifat. Spośród setek innych kandydatów salafita Junis wyłuskuje Piotra i jako jedynemu podaje mu adres Jasema, który swoje fundamentalistyczne biuro ma w jego *riadzie*, z dala od żony i małej córeczki, które postanawia chronić.

– Co ty mi tu, kurwa, za cyrk robisz?! – Jasem wścieka się na przybysza, widząc zdziwiony wzrok starego *gafira*<sup>72</sup>, który przyprowadza do niego gościa, ubranego w typowy beduiński strój – szeroką, niechlujną i brudną galabiję, turban szczelnie zasłaniający głowę oraz plastikowe, dziadowskie zdeptane klapki. – Co to za przebieranki?

– *Ja said...* – jąka się farbowany Arab, widząc rozwścieczony wyraz jasnych, lodowatych oczu. – *Sorry*<sup>73</sup>.

– *Sukran džazilan.* – Jasem odsyła gestem służącego, dając mu pokaźny *bakszysz*<sup>74</sup>, a ten już o niczym innym nie myśli i niczego nie rozpamiętuje, gapiąc się na banknot o nominale stu dirhamów. – Chcesz mnie wsypać zaraz na początku naszej gównianej współpracy? – Gospodarz wścieka się już nie na żarty. – Jesteś kapusiem? Donosicielem?!

– Nie, panie. – Potężnie zbudowany Polak kuli się w sobie jak mały chłopiec. – Skądże.

– To ściągaj z siebie to gówno. Masz nosić się jak turysta, głupku!

– Ale ja nie jestem turystą – niemądrze dyskutuje niepokorny facet. – Jestem dżihadystą.

– Jesteś przegrany idiota! Dupkiem! Jesteś nikim! – Pół-Syryjczyk usiłuje nad sobą zapanować, ale przychodzi mu to z trudem. – Jeśli chcesz cokolwiek zarobić, żeby swoją fundamentalistyczną dupę osadzić gdzieś w bezpiecznym miejscu, to masz mnie słuchać! – Wali



młodego przez łeb z taką siłą, że zawój z jego głowy się zsuwa, ukazując jasne jak len włosy. – Rezygnować z takiej przykrywki to totalna głupota. – Pokazuje palcem na czuprynę młokosa. – Nie dziwię się, że nasze wspaniałe państwo w Syrii i Iraku upadło, skoro byli w nim tacy debile.

Słowianin ściąga z siebie suknię i pozostaje w samych pantalonach i brudnym, przepoconym pod pachami podkoszulku.

– Masz tańczyć, jak ci zagram. Już słyszałem o twojej niesubordynacji. – Jasem ustala warunki. – Nawet jak chcesz pierdnąć, to musisz mnie prosić o pozwolenie, rozumiano? – Rekrut potakuje głową, zagryzając wargi. – Jeden wybryk, jedno „ale” i jesteś skończony!

– Ja już jestem, kurwa, skończony – kwituje niepokorny.

– Jeśli nie pamiętasz, jak rządziło się w Rakce, to radzę ci sobie przypomnieć. Bez słowa robisz to, co ja ci każę. Jeśli nie, to wiesz, co cię czeka... – Jasem wymownie zawiesza głos i przejeżdża ręką w poprzek szyi. – I bez „kurwa”, człowieku. Umyj sobie swoją niewyparzoną pseudo-muzułmańską gębę. Nie będziesz mi tutaj bluzgał! To nie polski burdel!

– Przepraszam – kaja się Słowianin o niebieskich, naiwnych oczach dziecka i ciele zwalistym jak u niedźwiedzia.

– Jeśli przeszedłeś na islam, to uszanuj tę religię i nie rzucaj błotem – opowiada szariackie bzdury, choć sam klnie jak szewc i od jakiegoś czasu w ogóle nie stosuje się do chorego muzułmańskiego prawa rodem ze średniowiecza.

Żołdak mimochodem spoziera na otwartą butelkę whisky stojącą przy laptopie gospodarza, ale nie komentuje. Zdaje sobie przecież sprawę, że są równi i równiejsi, a ten facet chce go zwyczajnie zgnoić. Pamięta to doskonale z wojska. Jednak tym razem musi się ukorzyć, to może być jego ostatnia szansa, bo inaczej skończy jak wszyscy jego kolesie z kalifatu – trzy metry pod ziemią.

Polak ma jedną, najistotniejszą dla Alzaniego cechę i tylko dlatego Jasem zgodził się na to spotkanie – jest on genialnym informatykiem i hakerem, co mściciel postanawia niecznie wykorzystać.

– Siadaj i pokaż, co umiesz. Potrzebuję dostać się do wszystkich kamer przemysłowych w Rijadzie – wydaje polecenie.

– Wszystkich? – dziwi się młodzik.

– No, może nie dosłownie. Podam ci lokalizacje.

– Zabieram się do pracy, szefie. – Polak ledwie wbija się w obrotowy fotel przed biurkiem. – Tylko... co ja z tego będę miał? – pyta, bo to dla niego jest najistotniejsze.

– Przeżyjesz i będziesz się miał dobrze.

– Ale gdzie? Przecież nie tutaj, w tej zapyziałej Afryce. Mam dość tych pieprzonych, zacofanych krajów arabskich.

– Pod latarnią bywa najciemniej, głupku – kolokwialnie określa byłego wojaka, a temu z upokorzenia szczęki chodzą.

Jasem wie, że ten nadpobudliwy mięśniak jest niebezpieczny, i od razu postanawia sprawdzić jego wytrzymałość. Zastanowi się jeszcze, czy po wykonaniu usługi pozostawi gburę przy życiu. Przecież nikt po takim nie będzie płakał.

72 *Gafir* (arabski, dialekt) – stróż.

73 *Sorry* (angielski) – Przepraszam.

74 *Bakszysz* (arabski) – łapówka.

## INWIGILACJA

Witaj, przyjacielu. – Jasem, posiadając już pewną kryjówkę i nowoczesny sprzęt, wiernego jak pies pomocnika i nieograniczone środki finansowe, kontaktuje się z kolejnym sprzymierzeńcem.

Ta wtyczka jest wyjątkowo ważna, bo mężczyzna od lat pracuje w saudyjskim wywiadzie i posiada wystarczającą ilość tajnych informacji, żeby załatwić większość jego funkcjonariuszy i ugotować zniechęcony wahabicki rząd. Jasem podaje login, wbija kody, a następnie sobie tylko znany PIN, żeby człowiek po drugiej stronie linii zechciał rozmawiać z kimś, kto dzwoni z nieznanego numeru. Kiedy dopełnia procedury, Saudyjczykowi wyświetla się na ekranie jego komórki imię dzwoniącego. To wystarczy, by rozpocząć bezpieczną konwersację, oczywiście po uprzednim podłączeniu szyfratora.

– Jasem, druhu, ty żyjesz?! – cieszy się Abu Isa. – Słyszałem wprawdzie, że udało ci się uciec tym pastuchom Libijczykom, lecz później ślad po tobie zaginął. Aż dziw, że cię cichcem nie wykończyli w Abu Salim, co nie należałoby do rzadkości, albo nie wyrzucili z promu, którym zapewne zwiąłeś do Europy! Gdzie aktualnie przebywasz? – z czystej ciekawości inwigiluje.

– W pięknym miejscu – odpowiada enigmatycznie Jasem, bo już nikomu nie dowierza. – Mam się dobrze.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

– Nie dla mnie, dla dżihadu – podkreśla, bo pamięta, że koleś był mocno napalonym fundamentalistą i głęboko wierzącym wahabitą. – Chciałbym, żebyś namierzył księcia Anwara al-Sauda, mojego... – zawiesza głos – ...przyjaciela.

– Jest na swoim miejscu i ma się świetnie – ogłasza Abu Isa. – Po tym, jak porwał twoją żonę... – Z rozbawienia lekko drży mu głos.

– Gdzie ona? Z nim? Zaszyli się w jakimś ukrytym pałacu? – indaguje dżihadysta.

– Nie, księżę nadal mieszka sam w Rijadzie. O niej się u nas głośno nie mówi. To rodzinna sprawa, a dokładniej problem przeklętego królewskiego rodu Ibn Sauda. Wszyscy nabrali wody w usta. W sumie niech jego familia się z tym fantem buja.

– To i racja.

– Mam go zneutralizować?

– Nie. Jeszcze nie – postanawia mściciel. – Na to przyjdzie czas. Ale nie martw się, wcześniej czy później to nastąpi.

– Sprawdzić, co z nią zrobił? Słyszałem, że stawał przed komisją królewską, ale przyznam, że się tym zbytnio nie interesowałem.

– Oczywiście, sprawdź. Na razie podaj mi dokładny adres Anwara i jego plan dnia.

– Księżę leni się w naszym połączonym wywiadzie. Royal Secret Service<sup>75</sup> i zwykły *secret service*<sup>76</sup> tworzą aktualnie jedną instytucję, więc nawet czasami widuję go w pracy.

– Hamida Binladena też?

– Oczywiście. To nasz najlepszy szpieg i zarazem analityk, choć z analizą twoich danych poszło mu nie najlepiej – Abu Isa szydzi z wywiadowcy, bo takie krety jak on cały czas uniemożliwiały mu przeprowadzenie śledztwa, ukrywając lub fałszując dane o terroryście.

– Sprawdź, czy nadal mieszka w dzielnicy Mudżamma Nachil. Chcę znać rozkład dnia jego oraz jego żony Miriam. Potrzebuję też informacji o jego teściowej Dorocie. Całą rodzinę weź pod lupę. Dasz radę?

– Rozumie się.

– Potrzebuję też kodów dostępu do kamer w następujących miejscach... – Jasem wymienia ich bez liku. – Jeśli nie ma monitoringu, zamontujcie. – Już nie kryje się z wydawaniem rozkazów.

– Hm... To wymaga ogromnych nakładów gotówki. – Współpracownik jednak się opiera, nie ze względu na lojalność czy patriotyzm, lecz szeroki zasięg akcji, która może się wydać. W Królestwie Arabii Saudyjskiej o karę śmierci przecież nadal nie tak trudno, a za jego zdradziec-kie czyny nieubłagane by mu ją zasądono.

– Czy to twój numer rachunku bankowego? – Terrorysta podaje ciąg cyfr.

– Tak. Na Kajmanach... – Facetowi głos w gardle więźnie. – Ależ masz pamięć!

– Jeszcze mi nie szwankuje. Za dwa dni robocze znajdziesz na nim pół miliona dolarów. Na początek wystarczy?

– Wystarczy – potwierdza uspokojony dżihadysta, który niczego nie robi dla idei, a działa z czystej zachłanności i wyrachowania pod przykrywką głębokiej wiary i dewocji.

– Anwar regularnie jeździ do pałacu królewskiego w Dżeddzie – Abu Isa informuje zleceniodawcę po dwóch miesiącach. – Tam najprawdopodobniej w złotej klatce uwięzili twoją żonę Darin.

– Dobrze. Dzięki za wieści. – Serce Jasema krwawi za każdym razem, kiedy słyszy informacje o swojej dawnej ukochanej. Boli go w piersi na sam dźwięk jej imienia. Nie wie jednak, czy to z tęsknoty, czy z przemożnej chęci skręcenia jej karku.

– Czy jesteś gotowy?

Po ponad roku w końcu przychodzi istotna wiadomość z Arabii Saudyjskiej, bo informacje o tym, że Miriam zrobiła kurs ratownika medycznego w Polsce, matka sióstr wyszła ponownie za mąż za saudyjskiego doktora, a Hamid pracuje w wywiadzie jedynie jako analityk, nic a nic mściciela nie obchodzą. Dla niego ważne są jedynie wieści o człowieku, który porwał mu żonę, i o niej samej.

– Na co? – pyta przez ściśnięte podekscytowaniem gardło.

– Twoja żona opuściła złotą klatkę i poleciała odrzutowcem saudyjskiej rodziny królewskiej do Kairu.

Na to Jasem czekał już bardzo długo. Aż za długo, bo jego cierpliwość jest na wyczerpaniu, choć czasami us্পiona codziennością i miałkim, rodzinnym szczęściem, które jednak nie są w stanie przyćmić jego głównego życiowego celu.

– Po co?

– Anwar wystąpił do rodziny o zgodę na ślub z Darin. Nie zgodzili się, więc może chce go zawrzeć w innym kraju muzułmańskim. Byłoby to całkiem sprytnie posunięcie.

– Informuj mnie. Na bieżąco. Chcę znać każdy ich krok. Nawet jak mają spraczkę i chodzą do kibla po sto razy, muszę o tym wiedzieć. Co trzy godziny mam dostawać raporty. I wnioski, gdzie mogą się znaleźć za następne dwadzieścia cztery.

– Nie ma sprawy. A tak na marginesie, kooperuję z egipskim Bractwem Muzułmańskim. Mam tam całkiem niezłe przeszkoloną brygadę. – Abu Isa proponuje współpracę na jeszcze wyższym poziomie.

– Gotowi do działania? Odpowiednio wyposażeni?

– Człowieku, jestem profesjonalistą! – oburza się sprzedajny Saudyjczyk. – Tak jak i ty – kadzi swojemu sponsorowi, a Jasem spodziewa się teraz żądania jeszcze większej kasy.

– Dołączę do nich. – Wiedziony impulsem, bez zastanowienia podejmuje decyzję. – Liczę jednak, że to prawdziwi zawodowcy.

– Eksperci w swojej profesji.

Od tej chwili Jasema zalewa fala spływających co chwila nowych wiadomości. Poznaje przebiegły plan saudyjskiego księcia. Ogarnia go furia. To on ożenił się z Darin w Egipcie, w Hurghadzie, a ten książęcy dupek jedynie go naśladuje. Co za typ! Co za podstępna żmija! Alzani nie może spać ani jeść. Jest jak w gorączce, rozjuszony do granic możliwości. Teraz zabiłby kogokolwiek, kto wpadłby w jego łapska. Wie, że żeby nie skrzywdzić rodziny, powinien natychmiast wyjechać. Nie zazna spokoju, dopóki ta sprawa się nie zakończy. Dopóki on jej nie zakończy. Jest mu wszystko jedno, czy wpadnie w ręce egipskiej policji czy nawet międzynarodowych organów ścigania. Żądza zemsty ogarnia jego serce i zmysły, wypala duszę, trawi wnetrzości.

Gdy Jasem poznaje brygadę egipskich terrorystów, bynajmniej nie wpada w euforię. Nie ma do nich za grosz zaufania. Wyglądają mu na głupich chłopków ze wsi, którym słoma z butów wystaje. Żaden nic konkretnego nie umie, na niczym dobrze się nie zna, mają dwie lewe ręce do zwykłej roboty, a co dopiero mówić o skonstruowaniu porządnej bomby. Alzani wierzy, że tymi matołkami zarządza ktoś bardziej wykwalifikowany, kto nie chce ujawniać swojej tożsamości. On sam też ma pozostać incognito<sup>77</sup>, bowiem Bractwo Muzułmańskie chce planowany zamach przypisać sobie, a nie kalifackiemu dżihadyście. Zresztą Jasem dla własnego dobra nie powinien się afiszować. W końcu ma nadal tę samą twarz, którą poniewczasie rozpoznał Hamid Binladen w Rijadzie, tę znaną z plakatów i billboardów, kiedy startował w wyborach na prezydenta Libii. Jego fizis stanowi dla niego nie lada kłopot i jeśli chce wziąć wymarzony odwet, na razie musi działać z ukrycia. Jednak niecierpliwy Jasem nie może wytrzymać. Na suku<sup>78</sup> Chan al-Chalili kupuje perukę, sztuczne wąsy oraz uniform kelnera. Do tego byle jakie czarne plastikowe buty. Przed nikim się nie tłumacząc, przebiera się i wparowuje na główną salę restauracji w hotelu Kempinski. Wokół jest tłoczno, panuje niesamowity hałas. Wszystkie miejsca są zajęte, szpilki by nie wcisnął. Bogaci Egipcjanie i eleganccy cudzoziemcy świetnie się bawią i mają cudowne humory. Patrzy w ich przeważnie nalane, spocone twarze z nienawiścią, bo sam nie może być zadowolony. Z czego? Z tego, że jego żona ma tutaj wesele? Że jest piękna jak nigdy dotąd? Widzi rozanieloną Darin i serce mu się kraje. Ma ją na wyciągnięcie ręki. Czuje zapach jej potu zmieszany z nutą jakichś nowych, ekstrawaganckich perfum. Zapewne dostała je od swego aktualnego mężusia, niegdysiejszego grubasa, dawnego przyjaciela Jasema, a teraz jego największego antagonisty, Anwara al-Sauda. Ten przebiegły drań dziś wygląda jak śniady James Bond. Wyrok śmierci na niego, na szczwaną lisicę, niby-księżnę oraz ich dyplomatycznych przyjaciół został już wydany. Śmierć zdrajcom! *Wallahi!* Śmierć! Śmierć! Wendeta!, dudni Jasemowi w głowie. Serce bije mu jak młotem, podchodzi do gardła, a w szale wściekłości zaciska aż do bólu zęby i dłonie. Rzuciłby się na tę szczęśliwą parę nowożeńców i zabiłby ich gołymi rękami. Szarpałby pazurami na strzępy, gryzł i kopał. Kiedy przechodzi przez sąsiednią salę, jest tylko o krok od nich. Wystarczy, by stracił resztkę zdrowego rozsądku i cierpliwości. *A może tu i teraz zginąć razem z nimi?*, zastanawia się, kiedy widzi na twarzy byłej żony wypisaną miłość do innego. Nie chce mu się dłużej żyć. Zemsta się wypełni i co dalej? Jaki nowy cel wyznaczy sobie na resztę swych dni? Jakiś kalifat? Durne Państwo Islamskie? To już przerabiał, to już przeszłość. Nawet nie wspomni kochającej go Eve i słodkiej córeczki. W tej chwili nic, ale to nic dla niego nie znaczą. Egipcscy zamachowcy, którzy oczywiście rozpoznają go po oczach i kościach policzkowych, nie wiedzą, co robić. Przecież za chwilę odpalą

podłożone ładunki. Przecież za dwie minuty tego piętra już nie będzie. Czego ten facet tu szuka?! Decydują, że trzeba przestawić zapalniki, bo nie chcą z tak zaplanowanej trudnej akcji całkiem rezygnować. Są zagubieni, bo nikt nimi na miejscu nie dyryguje. Ich przywódca nie będzie ryzykował kariery i narażał życia dla byle jakiego aktu terroru. On to życie chce poświęcić polityce, kiedy zapanuje w ich kraju chaos i nikt nie będzie chciał zasiąść u steru rządów. Terrorysty są tylko narzędziem w jego ręku i liczą się tyle co zeszłoroczny śnieg. Jak ci tutaj bezsensownie zginą, ich miejsce zajmą następni i następni. A takich inteligentów, którzy potrafią porwać za sobą masy, jest niewiele.

Jasem wykonuje desperacki pierwszy krok w kierunku specjalnego VIP-owskiego saloniku. Już ma chwycić za ramię kobietę swego życia, lecz zanim którykolwiek z jego kompanów zdąży go powstrzymać, sam gwałtownie obraca się i wycofuje. Błyskawicznie odkłada kelnerską tacę na kontuar i kieruje się na zaplecze, by przejść przez kuchnię i ewakuacyjnymi schodami opuścić w pośpiechu hotel.

– Żegnaj, Darin – szepcze, połykając łzy. – Żegnaj, ukochana...

Ledwo wybiega na tyły hotelu, rozlega się huk. Nie są to jednak fajerwerki, jak sądzą niektórzy. Nie jest to dźwięk maszyn czy wystrzał opony ciężarówki. To detonacja, w wyniku której przez późnialskiego zleceńodawcę giną wszyscy wykonawcy zamachu. Jasem nie widzi samochodów odjeżdżających z podjazdu hotelu i nie zdaje sobie sprawy, że dzisiejszym niedoszłym ofiarom udaje się uniknąć śmierci. On sam maszeruje nad brzeg Nilu i bierze pierwszą lepszą *falukę*<sup>79</sup>. Byle dalej od miejsca, gdzie, jak sądzi, zginęła jego najlepsza arabska żona.

Jasem, kiedy dowiaduje się o marnych efektach akcji, jest wściekły, bo nienawidzi fuszerek, ale zarazem jakiś dziwny spokój i pogoda zalewają jego chorą duszę. W sumie go to cieszy. Nadal ma przed sobą cel, a piękna Darin nie została rozerwana na paskudne krwawe strzępy. Wciąż jest w grze, a zabawa w myśliwego i ofiarę najbardziej go ekscytuje. Sam nie wie, co by poczuł, gdyby tak nagle wszystko się skończyło.

Z brygadą Bractwa Muzułmańskiego Alzani jedzie w ślad za młodą parą do Luksoru. Tutaj przydaje mu się były żołnierz Piotr, który nieźle zarabiając przy swoim nowym sponsorze, poskramia nerwy i słucha go już bez mrugnięcia powieką. Pod świątynię Hatszepsut lecą wynajętym od egipskiego wojska helikopterem. Za sterami maszyny siedzi polski dżihadysta.

– Dzisiaj macie rozkaz nie zabijać ani księcia, ani księżnej, ambasadora, jego żony ani córek. – Kolejnym ofermom wydaje rozkaz sam *dżihadi* John. – Zrozumiano?!

– Jak to? – dziwi się egipski major, który chyba z nudów załatwił im maszynę i przy okazji wybrał się z nimi na tę wycieczkę. Jest wysokim rangą wojskowym w państwowej armii, ale przede wszystkim zwolennikiem fundamentalizmu i dżihadu. – Wczoraj by tak, a dzisiaj by tak? – krytykuje beczelnie, a Jasema krew chce zalać, bo nie może tego gbura nijak uciszyć.

– Doszedłem do wniosku, że byłaby to zbyt łagodna kara – uświadamia zebranych. – Niech się trochę zaniepokoją. Niech się przestraszą i przemyślą swoje czyny.

– Tak jest. – Teraz nawet trep rozumie perfidię zbrodniarza i serce mu rośnie, bo sam lubi wyrafinowane działania.

– „Życie za życie, oko za oko, nos za nos, ucho za ucho, ząb za ząb; a za rany obowiązuje prawo talionu<sup>80</sup>. Ale kto z ceny krwi uczyni jałmużnę, otrzyma przebaczenie”<sup>81</sup>. – Podły mściciel podpira się Koranem. – Jednak mnie w tym wypadku nie interesują krwawe

pieniądze<sup>82</sup>. Wcześniej czy później wyłupię im oczy i oderżnę nosy.

– *Sah* – potakują surowi wojacy, z szacunkiem chyląc czoło przed bezwzględny przywódcą. – *Sah. Sah* – bezmyślnie powtarzają za nim bojownicy w imię Allaha.

– To na kogo się tam zasadzimy? – interesuje się jeden z morderców. – Kogo można sprzątnąć?

– Jak zwykle. – Alzani śmieje się jak dobry wujaszek. – Turystów!

Terrorysty oddychają z ulgą. Zawsze to coś, choć nie tak wiele jak sprzątnięcie saudyjskiego księcia i dyplomaty. Tym razem nie mają szczęścia, ale że gość płaci grubą forszę, a ich naczelnik każe, zadowolą się małym sukcesem. Wszyscy są ubrani w czarne stroje jak klasyczni dżihadyści, wszyscy mają przy sobie najlepszą amerykańską broń. Każdy dostał glocka z tłumikiem, żeby na początku nie narobić hałasu i nie zaalarmować straży obiektu, lokalnej policji oraz prywatnej ochrony jaśnie pana. Karabiny maszynowe na wszelki wypadek mają przewieszane przez ramię. Są dużo lepiej wyszkoleni niż ochotnicy z Kairu. Tamci mieli tylko skręcić druciki i nacisnąć guzik, a ci tutaj to wyszkoleni zabójcy. Widać, że przyboczna gwardia majora. Sami wojskowi.

Piotr sadza maszynę w naturalnej kotlinie na tyłach rozległej świątyni i błyskawicznie ją podrywa. Nikt nic nie zauważa, nikt nic nie słyszy, bo to Black Hawk – bezgłośny śmigłowiec, których w armii egipskiej jest jak na lekarstwo. Terrorysty biegają na paluszkach niczym baletnicy. To strzelają w głowę, to w pierś niewinnych podróżników. Nie liczy się narodowość, rasa, kolor skóry czy wyznanie. Wszystkich traktują jak wrogów, wszystkich jak niewiernych. Ich dżihad już dawno został wypaczony przez tych, którzy mają gdzieś prawo szariatu i fundamentalistyczny islam, a jedynie uwielbiają siac zamęt i nurzać się w krwi. W ten pokretny sposób planują zdobyć władzę – przez kłamstwo, ból i płacz – nie zważając na cierpienie ludzi. Panowanie jest dla nich priorytetem.

Na koniec przedstawienia, którego głównymi widzami mają być Darin Salimi i Anwar al-Saud, Jasem maczetą ścina głowę małemu chłopczykowi. Jest on w tym samym wieku co synek jego i Darin, Ahmed, a nawet niezmiernie do niego podobny. Kat czuje wręcz orgiastyczną przyjemność. Nie dlatego, że chciałby śmierci swojego syna, ale że tak dotkliwie godzi w serce niewiernej mu żony. Jego była również zauważa w tym chłopcu zdumiewające, wręcz lustrzane odbicie swojego syneczka, którego straciła, i rozpacza nad tym obcym dzieckiem jak nad własnym. Zanim ochrona obiektu orientuje się w sytuacji, zanim pojawiają się policja i brygady antyterrorystyczne, Bracia Muzułmańscy z nowym idolem Jasemem Alzanim na czele znikają z miejsca zbrodni. Rozpływają się jak we mgle.

Po terrorystycznej akcji w Egipcie wszyscy jej uczestnicy spokojnie wracają do domów i swoich codziennych obowiązków, Jasem zaś do wielbiącej go rodziny i marokańskich przyjaciół. Znowu staje się zwykłym zjadaczem chleba.

– Twoja żona buduje pałac w Rijadzie. – Abu Isa dzwoni po jakimś czasie. – Czy coś z tym robimy?

– Musisz wytrzasnąć jakieś dojsie do niej. – Jasem oczywiście nie odpuści i tylko czeka na dogodną okazję, żeby kontynuować swoją wendetę, póki co bardziej psychiczne tortury.

– Otacza się samymi robotnikami i ich dziećmi oraz rodziną, ale ty chyba z jej krewniakami nie znalazłbyś wspólnego języka – ironizuje konfident.

– Robotnicy?

– Tak, działa jak jakaś jaśnie pani z organizacji charytatywnej. Chyba odnalazła się w roli księżnej. Pobudowała im hotele robotnicze, rozdaje jedzenie, karmi słodyczkami dzieciaki...

– Znajdź najodważniejszego chłopaczka i daj mu zwykłą komórkę. Bez internetu, bez bajerów. Taką do dzwonięcia. Nakarm łasucha, czym się da. Jutro o szesnastej niech przekaże ten telefon Darin.

– Jak się pani ma, księżno? – Jasem ciepło i perfidnie moduluje głos, z satysfakcją wyobrażając sobie przerażenie jego małej krnąbrnej żonki. – Nieźle ci idzie budowa twojego nowego domku.

– Tak... – duka spanikowana kobieta. Otwartymi ustami łapie powietrze jak ryba, bo od emocji robi jej się duszno. – Tak... – Usiłuje coś powiedzieć, ale nie jest w stanie.

– Co tak? Nic nie jest tak! – Jasem złości się w typowy dla niego sposób. – Wszystko jest do dupy! Wszystko jest nie tak!

– Więc o co chodzi? – Nie wie, co ma powiedzieć człowiekowi, który zmarnował jej życie.

– Łatwo ci przyszło ołanie naszego syna, a wyglądało, że przynajmniej jego bardzo kochasz...

Odtąd Alzani zaczyna dręczyć swoją byłą żonę, której sam z dobrej woli w życiu by rozwodu nie dał. To właśnie ona jest według niego tą jedną jedyną, tą, którą tak naprawdę kochał chorą miłością zbrodniarza, zbrojeńca i sadysty. Będzie ją tak długo nękał, aż osiągnie to, czego pragnie. A marzy jedynie o tym, by jego Darin wróciła. Nigdy z niej nie zrezygnuje. Nie będzie miał litości. Nie zostawi w spokoju ani jej, ani jej obecnego męża, saudyjskiego księcia, ani jej rodziny. Nie zdaje sobie sprawy, że nie działa z czystych pobudek i wielkiej miłości, bo Darii już dawno nie kocha, lecz dlatego, że pozbawiono go jego własności. Jego *sabiji*. Tego nie może podarować.

75 Royal Secret Service (angielski) – Królewskie Tajne Służby.

76 *Secret service* (angielski) – wywiad; agencja wywiadowcza.

77 *Incognito* (łacina) – tajnie, niejawnie, anonimowo, konspiracyjnie.

78 *Suk, suq* (arabski) – targ, market z różnorodnymi towarami.

79 *Faluka* – rodzaj tradycyjnej łodzi żaglowej używanej w szczególności na Nilu w Egipcie.

80 Prawo talionu, kara talionu (łac. *talio* – odwet) – historyczna zasada wyrażająca sprawiedliwość, według której każdy zostaje ukarany za swoje grzechy.

81 Koran, sura V, wers 45.

82 Krwawe pieniądze – odszkodowanie finansowe za spowodowanie śmierci.

**DOMENA KADDAFIEGO**



## DOKTOR ADAM

Jasem wie, że z obecną twarzą – tak dobrze zrobioną w Damaszku przez palestyńskiego doktora Amira, lecz teraz już znaną wszystkim międzynarodowym agencjom wywiadowczym – może być anonimowy przez chwilę gdzieś na peryferiach świata i kiedy nie wychyla się za daleko poza domowe pielesze. Jednak zanim wyruszy w swoje dawne rewiry, zanim wystartuje na Bliski Wschód i do Arabii Saudyjskiej, która ma jedną z najlepszych służb wywiadowczych i całkiem niezłe brygady antyterrorystyczne, szkolone po dziś dzień przez Amerykanów, nie chcąc zostać zatrzymanym na pierwszym lepszym lotnisku, musi znów zupełnie odmienić swoje oblicze, a dobry fałszerz będzie musiał mu wyrobić czyste, wręcz nieskazitelne dokumenty.

Pomimo pierwszego złego wrażenia po wspólnie przepracowanych miesiącach coraz bardziej zaprzyjaźnia się ze swoim najbliższym współpracownikiem Piotrem.

– Jeśli masz zamiar płatać się po świecie i koniec końców dotrzeć szczęśliwie do Arabii Saudyjskiej, musisz zmienić gębę i paszport – pewnego pięknego popołudnia, podczas nudnej już dla nich obserwacji poczyniła Darii i powiązanych z nią osób, szczerze doradza Słowianin. – W Arabii na lotniskach stosują całą tę cholerną elektronikę. Nie muszę ci przypominać o powszechnym dziś skanowaniu oczu, linii papilarnych, a także wpuszczaniu zdjęcia do bazy danych i wyszukiwarki. Interpol dość dobrze cię zna. Jesteś w ich bazie zaznaczony ptaszkiem. – Podśmiechuje się rubasznie. – Albo raczej wielkim ptakiem!

– Zgadza się – przyznaje Jasem. – Nadal szukam jakiegoś dobrego chirurga plastycznego, ale takiego jak w Syrii już nie znajdę.

– Muszę przyznać, niezłe cię odmienił. Na nagraniach z Palmiry i innych miejsc w kalifacie, które nadal krążą w sieci, za nic bym cię nie poznał. – Piotr posprawdzał trochę swojego szefa, który był i jest idolem dżihadystów, i to bardzo medialnym. Uwielbiał występy, szczególnie te dramatyczne jak obcinanie głów maczetą czy podpalenie żywcem pilota. – Ponoć Junis był w szoku.

– Tak, zabawną miał minę. – Zabójca życzliwie się podśmiechuje. – A jeśli idzie o filmy... cóż, dobrześmy je kręcili. – Jasem ciężko wzdycha, rozmarzając się. Nic a nic nie żałuje zwyrodniałych czynów i nie zamieniłby przestępczego, wykolejonego życia na żadne inne.

– Niezła robota. Ta dramaturgia, ta symbolika! – potakuje rozmówca, zaraz jednak wraca do tematu: – Nie chcesz do tego doktora jeszcze raz się udać? Albo można by go spróbować tutaj ściągnąć.

– Niestety. Taki mądry i wykształcony, a dał się zabić w zamachu w obozie dla uchodźców w Jordanii. Wielka strata!

– Zdarza się. Ale nie on jeden ma ten fach w ręku. Znam takiego medyka z Libii... – zaczyna nieśmiało Piotr, bo wie, że doradzanie Jasemowi bywa ryzykowne. To tak jakby człowiek pouczał tygrysa. – Też Polak, jak ja.

– Mów dalej – rozmówca jednak się interesuje. – W Libii? Czemuż ten kraj jak klątwa wisi nade mną i stale mnie do siebie ciągnie?

– Tak widać Bóg chce – stwierdza religijny rzezimieszek. – Mój znajomy doktorek w Centralnym Szpitalu w Trypolisie pracuje od trzydziestu czy czterdziestu lat.

– To ile ten staruszek ma wiosen na karku? – kpi zrezygnowany dżihadysta, kładąc od razu na medyku krzyżyk.

– Nie mam pojęcia, ale chyba ponad siedemdziesiątkę. Może osiemdziesiąt? Ale spec pierwszej wody!

– Nie żartuj sobie. Może dwadzieścia lat temu, ale przecież nie teraz.  
– Co rusz poprawiał gębę samego Muammara Kaddafiego, który ciągle chciał być młody i piękny, ale tak dogadzał sobie wszelkimi używkami, że było to wręcz niemożliwe. – Obyty Polak wspomina o powszechnie znanym problemie przywódcy Dżamahirijji<sup>83</sup> – uzależnieniu nie tylko od alkoholu, ale także od narkotyków.

– Ja nie chcę liftingu, ale gruntownej zmiany. To inna para kaloszy.

– Wykonywał też zabiegi, które czyniły z sobowtórów pułkownika osoby wręcz identyczne z oryginałem. Wierz mi, warto spróbować. Zasięgnąć konsultacji. To nic nie kosztuje.

– Kosztuje, mój ty młody naiwniaku. To koszt ogromnego ryzyka, które poniosę, znów pokazując się w tym kraju. Nie wiem, czy rozesłali za mną listy gończe, ale niecodziennie zwiewają im więźniowie z ponoć najlepiej strzeżonego więzienia. – Jasem ironicznie uśmiecha się pod nosem, a młody jeszcze bardziej podziwia swojego mistrza. – Możliwe, że wstydy się swojej porażki, bo ponieśli ją ze mną aż dwukrotnie: raz typując na kandydata na prezydenta tego zawszonego kraju, a drugi – dając mi zwiąć.

– Twoje życie jest niezwykle. Widać nie jest ci pisana śmierć w Libii, więc do trzech razy sztuka. – Słowianin jest zabobonny jak każdy Polak i Arab razem wzięci. – Przewieziemy cię taką drogą, że nikt nawet tego nie zauważy. Jestem niezły w te klocki. Logistyka to moja kolejna specjalność.

– Tylko jak taki stary dziadunio utrzyma skalpel w ręce? Co robi, żeby mu ta ręka nie zdrząła? – Nadal wątpi i opiera się potencjalny pacjent. – Nie, nie wierzę w cuda.

– Uwierz! Widziałem go w akcji. Mojemu kumplowi wyjął ze trzydzieści odłamków szkła nie tylko z policzków, czoła, nosa i brody, ale też z oczu. Po wypadku wyglądał jak szklany jeżozwierz.

– I co? Stracił wzrok?

– Absolutnie nie! Po dwóch tygodniach miał jeszcze sińce i obrzęki, ale po miesiącu był jak nowy.

– Tak czy siak, planowałem wybrać się do Libii, bo mam tam pewne niezłatwione sprawy. – Pół-Syryjczyk mimo wszystko zastanawia się nad propozycją. – Może to rzeczywiście palec boży... *Insz Allah* wszystko się uda, a jak nie, to *sza'a Allah*<sup>84</sup> – stwierdza ze stoickim spokojem.

– Spotkaj się z doktorem Adamem, a nie pożałujesz. Mam jego numer, więc mogę uzgodnić termin wizyty. Facet jest bez grosza i na starość nie ma gdzie się podziać, więc dalej siedzi w tym gównie i chyba już w nim umrze. Na pewno wolałby odwalić kitę w jakimś lepszym, ładniejszym miejscu.

– Zastanowię się. – Jasemowi główka pracuje na najwyższych obrotach, bo w sumie trochę już zgnuśniał w tym marokańskim rajku i jeśli nie ruszy się i nie zacznie działać teraz, to chyba już nigdy. Zaczęło mu tu być dobrze, przyzwyczał się do rodzinnej sielanki. – Polecę do Libii, jak tylko ponownie otworzą lotnisko w Trypolisie – decyduje ostatecznie. – Ma to ponoć nastąpić w najbliższych tygodniach.

Na razie postanawia zostawić w spokoju wystarczająco już zastraszoną Darię. Od afrykańskiego kraju bezprawia zamierza rozpocząć swój tour mściciela, bowiem podejrzewa, że pamięć Libijczyków jest krótka. Pyszalkowato – i niesłusznie – nadal gardzi tym narodem oraz jego wywiadem, choć przecież jeden z jego przedstawicieli załatwił go na cacy.

– To co? Umawiać ci wizytę? – upewnia się kolega.

– Dobra. Niech ci będzie.

– Tylko jakbym mógł coś doradzić... – Piotr niepewnie spoziera na swojego kompana, bo pomimo poufałości czuje przed nim strach, a także ogromny respekt. – Z łaski swojej nie czekaj

na samolot. Nie chcę tak szybko stracić dobrego szefa – pokpiwa.

– Na piechotę mam się tam dostać? – Jasemowi od razu groźnie patrzy z oczu, bo ktoś ośmiela się z nim dyskutować.

– Niekoniecznie. – Piotr z niejednego pieca chleb jadł, więc tym razem odważnie lekceważy niezadowolenie pracodawcy. – Zacząłbym wyprawę od Merzougi. To bardzo ciekawe miejsce na marokańskiej Saharze – zachęca i od razu oczami wyobraźni widzi gotową trasę.

Merzouga jest wioską leżącą pośród saharyjskich piasków, a co dla organizatora ryzykownej wyprawy najważniejsze, znajduje się jedyne pięćdziesiąt kilometrów od granicy z Algierią. Znana jest dzięki temu, że rozpościera się na skraju Erg Chebbi, długiego na pięćdziesiąt kilometrów pasa piaskowych czerwonych wydym, które gdzieś tam mają wysokość całkiem pokaźnych wzgórz, między którymi utworzyły się głębokie doliny i kotliny.

– Do Merzougi organizowanych jest multum wycieczek dla turystów z całego świata, którzy przyjeżdżają tam, by na wielbłądach udać się w głąb Sahary, gdzie nie widać nic poza piachem. – Piotr wyłuszcza swój plan podróży, który skrupulatnie przygotował dla Jasema.

– Mam być turystą? – Wymagający szef nie jest zadowolony.

– Tak właśnie. Wysłuchaj mnie do końca.

– Dobrze. Niech ci będzie. – Niechętny wyprawie, krytycznie podchodzi do projektu, choć przecież Polak ma rację: lepiej nie lecieć samolotem, bo na lotniskach przeważnie przeprowadzana jest bardzo szczegółowa kontrola, nawet tam, gdzie nie dysponują nowinkami techniki. A nuż jakiś służbista doczepi się do pseudo-Libijczyka, weźmie go na spytki i rewizję osobistą. Jego dokument nie jest najpewniejszy, a w Libii niezaprzeczalnie bardzo ryzykowny.

– Warto, żebyś na pustyni został na noc albo i dwie, podziwiał zachód i wschód słońca nad wydymami oraz gwiazdy nad Saharą.

– Denerwujesz mnie, wiesz?

Planista tylko niemo potakuje i wyłuszcza:

– Safari zwykle odbywa się wieczorem, kiedy jest nieco chłodniej, ale można też wybrać nocną wersję i przemierzać piaski w karawanie pod rozgwieżdżonym niebem. Większość turystów jest porażona i zachwycona pustką, ogromem przestrzeni i spokojem panującym na Saharze. Po prostu sika po nogach z ekscytacji. Ty będziesz jednym z nich.

– Świetnie. – Natchnione gadanie wojaka zaczyna Jasema bawić. – A przewodnicy?

– To okoliczni mieszkańcy, Berberowie. Im zależy tylko na kasie i dlatego wykorzystamy ich możliwości i zdolności bez zbędnego tłumaczenia i wdawania się w szczegóły. Oni w ogóle nie będą się interesować tobą ani celem twojej wyprawy. Tacy skryci ludzie.

– To mi odpowiada.

– Gdzie chcesz spędzić noc? Na pustyni w miasteczku namiotowym przygotowanym specjalnie dla hurmy turystów, gdzie przewodnicy cały czas się o nich troszczą i przygotowują atrakcje oraz wieczorny i poranny posiłek? – Gdy Jasem krzywi się z niechęcią, Piotr od razu podaje w wątpliwość inną ewentualność: – Myślę, że zatrzymanie się u lokalnej rodziny i zobaczenie, jak żyją Berberowie, również nie za bardzo cię interesuje? – Dżihadysta ostrzegawczo spoziera dowcipnisiowi w oczy i ten od razu poważnieje. – Dla ciebie, mój panie, wybrałem nocleg na pustyni w oddaleniu od ludzi, za który zapłacimy trochę więcej, ale warto.

– Samo podziwianie piasku i gwiazd już idzie mi na nerwy, a co dopiero hordy rozwrzeszczanych wycieczkowiczów.

– Jeden dzień wytrzymasz. Najpierw trasa komfortowym samochodem z napędem na cztery koła i klimatyzacją z Marrakeszu do wiochy Merzouga. Potem kolacja, tańce i śpiewy na

pustyni oraz wieczorna eskapada w karawanie. Trochę lokalnych atrakcji musisz zaliczyć, żeby wszyscy cię widzieli. I pokochali – podśmiechuje się Polak, gdyż sauté<sup>85</sup> Jasem nie wygląda na człowieka, którego dałoby się lubić. Kiedy się nie zgrywa, jest wręcz odpychający. – Następnego dnia już cię tam nie będzie. I szukaj wiatru w polu, a raczej na pustyni.

– Chcesz mnie wysłać na wycieczkę zorganizowaną, od której się odłączę? Sprytnie. – W końcu dżihadysta chwali chłopaka.

– Zgadza się. W ten sposób przy okazji wyczyścimy i zamkniemy konto Ahmeda Salimiego. To nic trudnego.

– Kontynuuj.

– W takich wyprawach uczestniczą różni ludzie i dla każdego przygotowują jakąś frajdę. Fani aktywnego wypoczynku mogą jeździć po wydmach na specjalnych nartach lub sandboardzie, bo aktualnie jest to jedna z bardziej ekscytujących saharijskich rozrywek. Jednak nie chcielibyśmy, żebyś złamał nogę...

– Ale mnie wkurwiasz! – Jasem dosłownie gotuje się z niecierpliwości.

– Merzouga – niezrażony ryzykant snuje wątek – mimo że leży na pustyni, jest świetnym miejscem nie tylko dla miłośników wielbłądów i narciarstwa, ale też dla obserwatorów ptaków. Wiosną, czyli właśnie teraz, powstaje tu sezonowe jezioro, nad które przylatują stada flamingów, a tysiące innych ptaków wędrownych zatrzymują się przy brzegu podczas migracji. Jezioro zatem przyciąga nie tylko fanów pływania, ale także ornitologów.

– I co mnie to obchodzi?! – Jasem, kiedy ogarnia go furia, traci zdrowy rozsądek i zdolność logicznego rozumowania. – Mam z lornetką obserwować jakieś ptaszydła? Czy moczyć dupę w wodzie? Na chuj mi to?!

– Na pustyni łatwo się zgubić, mój drogi. A jeśli jeszcze w okolicy jest tyle niebezpiecznych miejsc jak wydmy i ruchome piaski, *wadi*<sup>86</sup> z zapadającymi się gruntami, a na dokładkę całkiem głęboki zbiornik wodny, to samotnego, nieostrożnego wędrowca, kiedy się zawieruszy, trudno znaleźć. Poszukają może z dwa dni i odpuszczą, bo przecież Sahary nie będą przekopywać. Znikniesz jak igła w stogu siana.

– Potem ruszam w dalszą drogę, nieprawdaż?

– Zgadza się.

– Ty ponoć byłeś wojskowym, ale nie wiem, jak to możliwe, bo totalnie nie potrafisz zwięźle i jasno przedstawić sytuacji i strategii działania.

– Może dlatego wyrzucili mnie z armii? – żartuje Piotr, który igrając z życiem, usiłuje wypróbować swojego kompana. Na ile może sobie z nim pozwolić? Lekceważy, co się z nim stanie, kiedy przesadzi. Oto cała kawaleryjska polska głupia brawura.

– Z tego, co wiem, nie wylali cię za gadki szmatki – podsumowuje szef, patrząc ironicznie na rozmówcę. – Przejdziemy wreszcie do meritum czy dalej będziemy tak pierdolić o niczym?

– Już przebrnęliśmy przez najtrudniejsze, czyli oględne wprowadzenie cię w plan turystycznej wycieczki i twoje pozytywne nastawienie do asymilacji z przygłupiastymi globtroterami. – Piotr uśmiecha się słodko, a jego błękitne oczy aż lśnią zadowoleniem. – Potem to już *jalla* przez Saharę w Algierii, Tunezji aż do Ghadamesu w Libii. Na koniec lądujesz w Trypolisie. Nic prostszego.

– Ile czasu w sumie mi to zajmie?

– Nie licząc wycieczki, niespełna dwie doby. Jednak z przerwami na spanie i sranie – w Piotrze odzywa się rubaszny wojak – to po trzech dniach i prawie trzech tysiącach kilometrów wylądujesz w Szpitalu Centralnym w stolicy Libii. Z kraju do kraju będziesz przechodził przez zielone granice, choć w tym wypadku bardziej by pasowało powiedzieć „piaszczyste”.

Od wieków szmugluje się tamtędy wszystko, nie tylko ludzi, ale też broń, narkotyki i kradzione produkty jak samochody czy złoto. Jednego człowieka lokalni Berberowie i Tuaregowie przeprowadzą z palcem w dupie – kończy, zadowolony z siebie, bo widzi akceptację i zadowolenie swojego lidera.

– Idź kupić farbę do włosów w czarnym kolorze, tylko żeby była naturalna. – Kiedy termin wycieczki się zbliża, Jasem wydaje dziwne polecenie swojej żonie, która jak zawsze słucha uważnie i nie wyraża najmniejszego zdziwienia miną czy gestem. – Do tego specyfik do zrobienia trwałej. Tylko łagodny, do słabych włosów. Poza tym jakieś utrwalacze czy coś w tym stylu. Nie znam się.

– Komu będziemy robić tę trwałą i farbować włosy na czarno, bo chyba już nie mnie? – żartuje Eve, która hebanowe spiralki na głowie ma naturalnie darowane od Boga.

– Mnie. Zrobisz mi nową fryzurę.

– Aha. – Chciałaby zadać setkę pytań, ale jest już tak wychowana i wyszkolona przez swojego męża, że trzyma język za zębami. – Ja też nie mam o tym pojęcia – przyznaje się, bo gorsze od nieposłuszeństwa będzie niespełnienie oczekiwań mężczyzny. Jak każda spódniczka wie, że trwałą może spalić włosy i skórę, a kolor może się okazać inny od obiecywanego na opakowaniu. Jasem nie ma gęstej czupryny, a w porównaniu z szopą żony jego kłaczki są jak kaczki puch. – Może by wziąć jakąś profesjonalną fryzjerkę? Z chęcią przyjdzie do domu.

– Nie ma mowy! – wybucha impulsywny mężczyzna. – Ich wścibstwo i dochodzenie, czemu facet robi sobie babskie zabiegi, nie będzie dla mnie przyjemne. Chcesz, żeby uznały mnie za geja?! – Podaje durny argument, bo przecież jest mężem i ojcem i nikt w całym Maroku o takie preferencje seksualne by go nie podejrzewał.

– Znam pewną Nigeryjkę... Zapłata mi włosy, jest miła i niegadatiwa – mimo wszystko nieśmiało sugeruje Eve.

– Nie! Coś chyba powiedziałem?! – Jasem rąbie ręką w stół, aż podskakują ustawione na nim filiżanki i patera na owoce, z której wysypują się dojrzałe mandarynki, ułożone w zgrabny stosik.

Na tym kończy się dyskusja. Ostatecznie Afrykanka w tajemnicy pobiera błyskawiczną lekcję fryzjerstwa u koleżanki, tłumacząc się chęcią otworzenia zakładu i nawet proponując jej współpracę, z czego uboga kobieta ogromnie się cieszy. Po dwóch nasiadówkach pojętna uczennica jest gotowa. Powierzchną zmianę wyglądu pół Syryjczyka, pół Brytyjczyka, który wygląda na stuprocentowego europejskiego białasa, przeprowadzają w domu. Między ich nogami baraszkuje mała Julia, którą wszystko bawi, i co chwilę coś gaworzy do siebie, często wybuchając dziecięcym, niewinnym, perlistym śmiechem.

– *Baba gu-gu-gu* – gaworzy, stając przy fotelu i opierając się rączkami o uda ojca. – *Ja baba87...* – Spoziera mu figlarnie w oczy.

To pierwsze słowo, którego się nauczyła, fascynuje ją, a Jasema przyprawia o dreszcz. Nigdy nie był ze swoim dzieckiem tak blisko, nigdy żadne nie było tak bliskie jego sercu. Może troszkę darzył uczuciem Abdula, nieszczęsnego bliźniaka syjamskiego, połączonego ze zdrowym i silniejszym od niego Ahmedem, któremu udało się przeżyć. Jednak był on dla mężczyzny bardziej zakałą i wstydem, a połączonych braci traktował jak obrzydliwą i nieznośną, ciągle wyjąca poczwarę. Pokochał Abdula odrobinę tylko ze względu na to, że był skórą zdartą z niego. To tak, jakby się zakochał w swoim własnym odbiciu w krzywym zwierciadle. Malutka Julia jest zaś piękna jak laleczka, z proporcjonalnym ciałkiem, o oczach wykrojonych jak u matki, lecz jasnym kolorze jak u ojca. Jej miękkie pukle rudawych, falujących włosów co chwilę wymykają

się spod gumek i spinek, by wpadać jej do buzi i roześmianych ślepek. Rysy ma europejskie, a jedynie gładką skórę w kolorze mlecznej kawy. Ojciec zastanawia się nad tym, co będzie, kiedy ruszy w swoją stronę, gdy znów zacznie działalność terrorysty i mściciela. Postanawia tę dobrą kobietę i jej dziecko zabezpieczyć do końca życia. Teraz już nawet przez głowę mu nie przejdzie, że mógłby je usunąć z tego świata w jakikolwiek, nawet najbardziej według siebie humanitarny sposób. Prędkiej zabiłby Darin za jej niewierność, choć po pierwszych próbach też się do tego nie pali. Jednak złość, ból i głęboka uraza są jak drzazga, która tkwi w jego sercu i rani go przy każdym oddechu.

– I co myślisz? – Po trzech godzinach Eve podsuwa Jasemowi lustro, którego wcześniej nie chciał widzieć. – Jaki efekt?

Klient domorosłej fryzjerki i wizażystki najpierw patrzy na jej zadowoloną minę, a dopiero potem w zwierciadło.

– Nieźle ci poszło – przyznaje. – Powinnaś otworzyć salon.

Spoziera na niego całkiem odmieniony, przystojny mężczyzna o wyrazistych rysach. Jak to on, człowiek kameleon, znów jedynie za pomocą paru trików całkowicie się odmienił. Aktualnie czarne włosy o naturalnym połysku, skręcone w luźne spiralki, opadają mu za uszy, zaś wysokie czoło delikatnie zasłania grzywka nonszalancko zarzucona na jedną stronę. Kiedy zbiera kędziory i spina je luźno gumką na karku, widać bokobrody w stylu Elvise Presleya. Rzęsy zabarwione henną sięgają wyrównanych i przyczerzonych brwi. Oczy zaś – zazwyczaj wąskie, chytre lisie szparki – okazały się całkiem spore, kiedy podkreśliło się je tradycyjnym arabskim *kohlem*<sup>88</sup>. Teraz jest gotowy. Niczego się nie boi, nie ma chwili zwątpienia co do słuszności swojego działania. O zemście myślał w Abu Salim i to pomogło mu przetrwać. Wendeta napędzała go w drodze przez Lampedusę do Gran Canarii, a potem dalej aż tutaj, do Maroka. Teraz odpłacenie wrogom pięknym za nadobne wydaje mu się jedyną właściwą drogą. Miał chwile zwątpienia, momenty słabości, kiedy nieoczekiwanie ogarniało go błogie uczucie szczęścia, kiedy zamiast wściekłości i nienawiści czuł zadowolenie, ale teraz ze zwierciadła spoziera na niego człowiek zdecydowany i zdeterminowany, gotowy do wypełnienia misji.

– *Baba*. – Julia drapie mu się na kolana i małymi rączkami, ze zdziwieniem wymalowanym na ślicznej buzi, delikatnie gładzi go po ufarbowanych włosach. – *Uhibuke*<sup>89</sup>, *baba* – wyznaje, całując ojca w usta.

– Ahmed. – Abubakr, właściciel biura podróży i zarazem pilot wycieczki dla międzynarodowych turystów, Amerykanów i Latynosów, Niemców i Francuzów, wyszukuje wzrokiem człowieka, na którego czeka. Dostał za zabranie go tyle, ile zarabia przez cały długi rok na tym szemranym biznesie, więc bardzo mu zależy, by był zadowolony. – *Mister*<sup>90</sup> Ahmed! – powtarza nerwowo.

– *Present. I am here*<sup>91</sup>. – Ahmed Salimi vel Jasem Alzani występuje przed szereg.

– Pan ma wykupione warunki *exclusive*<sup>92</sup>, więc zapraszam do pierwszego wozu. – Mężczyzna pokazuje wielkiego czarnego GMC Sierra tylko i wyłącznie do dyspozycji Jasema.

Dżihadysta zastanawia się, czy Piotrek dobrze to wszystko wykoncypował. Czy nie lepiej byłoby wtopić się w tłum wycieczkowiczów, tak jak w masę uchodźców na kutrze z Libii do Włoch, gdzie przestępca i uciekinier nie wyróżniał się i zginął w otoczeniu zwykłych ludzi. Teraz żałuje, że dał Polakowi wolną rękę w przygotowaniu tej eskapady. Turyści, jak tylko słyszą o wyróżnieniu jednego z nich, od razu patrzą na niego spod oka i już go nie lubią.

Zajęcie miejsc w sześciu terenowych samochodach zajmuje mnóstwo czasu, choć grupa liczy nie więcej niż dwadzieścia osób. Koordynacja i logistyka są piętą achillesową Arabów.

Jasem patrzy z rozbawieniem na chaos, który panuje na zewnątrz wychłodzonego, pachnącego nowością wozu, jego oazy spokoju. Ludzie są upychani w mocno przechodzonych czterokołowcach marki Ford, a za chwilę wyciągani i wsadzani do innego pojazdu. Grupy przyjaciół to są rozdzielane, to łączone. Dzieci zaś gonią pomiędzy denerwującymi się dorosłymi jak szalone, co chwilę żądając to loda, to gazowanego napoju. Bagaże razem z pasażerami są przrzućane z jednego pick-upa do drugiego. Woda i prowiant, które organizatorzy powinni byli zamówić i zapakować przed pojawieniem się uczestników wycieczki, dopiero teraz są zwożone i ściągane z okolicznych sklepów. Przy tym wszystkim Marokańczycy drą się wniebogłose, krzyczą na siebie i rzucają wymyślnymi arabskimi przekleństwami. Wygląda, jakby zaraz miała wybuchnąć między nimi bójka, a zagranicznicy są coraz bardziej przerażeni i chcą jak najszybciej znaleźć się w autach lub nawet uciec gdzie pieprz rośnie.

Jasem dostaje butelkę oszronionej wody niegazowanej od kierowcy, który jest typowym Berberem, małomównym i konkretnym. Szofer nie dołącza do batalii toczącej się na zewnątrz, choć wyskakuje z klimatyzowanego wozu, przysiadając nieopodal na murku i na zimno obserwuje sytuację. Z uwielbieniem pali śmierdzącego papierosa i cała reszta go nie obchodzi. Kiedy wybija południe, Jasem zastanawia się, czy teraz ich kierowcy i przewodnicy czasami nie pójdą na zwyczajową modlitwę, ale ci już tak bardzo widać nie chcą przesadzać i szybko wsiadają do samochodów. Konwój prowadzi wóz turysty VIP. Jest to autko, którym można zdobyć wulkan, wjechać na zastygłą magmę i z niej zjechać. Do tych ekstremalnych celów musiało zostać odpowiednio podkreślone i stuningowane. Nie umywa się do niego pick-up ford raptor, a zwłaszcza jego starsze i wyeksploatowane modele, którymi jadą pozostali, gdyż wóz Jasema jest napędzany ponadsześciolitrowym silnikiem ośmiocylindrowym o mocy prawie czterystu koni mechanicznych. Napęd jest oczywiście przenoszony na wszystkie cztery koła, a automatyczna skrzynia biegów posiada dodatkowo biegi terenowe. Jest wielki i ciężki jak czołg, co widać po dwudziestocalowych felgach na oponach Goodrich, przeznaczonych do wymagającego terenu. Stylistyka nadwozia zdecydowanie przypomina monster trucki, a wszelkie możliwe elementy oświetleniowe dookoła samochodu wykonane są w technologii LED.

Pół-Syryjczyk jest typowym mężczyzną i cieszy się jak mały chłopiec z jazdy tą dziką, a jednocześnie nowoczesną bestią, która jeszcze pachnie fabryką. Dotyka obić drzwi, skórzanej kremowej tapicerki, bawi się regulacją klimatyzacji, dotyka włączników oświetlenia kabiny, by na koniec zanurzyć się w książce wozu. Obiecuje sobie, że jeśli wróci z tej ryzykownej wyprawy, zafunduje swej rodzinie takie cacko. Nie interesują go przepiękne krajobrazy, bo przecież pustyni naoglądał się już przez całe swoje życie. Od czasu do czasu zapada w płytką drzemkę, budząc się co chwilę, by sprawdzić położenie glocka w swoim podręcznym bagażu i ocenić sytuację. Kierowca i ochroniarz w jednej osobie nie kryguje się i starego, wysłużonego kałasznikowa oparł przed siedzeniem pasażera, a na nim na podporządku ma krótszą broń, dwa obrzyny domowej roboty oraz parę kindżałów i maczetę. Droga, która ma trwać długie dziewięć godzin, jest monotonna i wyczerpująca. Niezaprawieni w ekstremalnych warunkach turyści są zniesmaczeni, kiedy w połowie trasy zatrzymują się na posiłek w restauracji z blachy falistej, z zakurzoną tarasem i wyschniętym ogródkiem, położonej tuż przy szosie.

– Gdzie można się odświeżyć? – pyta korpulentna Amerykanka, która wygląda, jakby za chwilę miała dostać udaru, bo jej twarz jest krwistoczerwona, na skórę rąk i ramion wystąpiły bordowe plamy, a całe jej potężne cielsko spływa potem. – Jakże tu gorąco! – stwierdza oburzona.

– Proszę pani, wybrała się pani na wycieczkę na pustynię, to musi być gorąco. Już w kwietniu u nas jest tak jakby wasze lato – spokojnie tłumaczy pilot. – Zapraszam do łazienki. – Wskazuje jej betonową przybudówkę, z której na odległość czadzi zatęchłym moczem

i wyschniętym kałem.

Po ledwie dwóch minutach babka wytacza się stamtąd jeszcze bardziej spanikowana i spocona. Teraz już wygląda jak po udarze.

– Co to jest?! Jak pan śmie?! – drze się na całe gardło, a jej zawstydzony mąż i dwójka zde gustowanych nastoletnich dzieci nie wiedzą, co ze sobą począć, choć też nie wyglądają na zadowolonych. – W sraczu jest jedynie dziura w zafajdanych, cuchnących kaflach. Dookoła pełno wielkich jak palec, spasionych brązowych karaluchów... – Aż brakuje jej tchu i na chwilę cichnie. – Mają takie czułki... Długie czułki... A mrówki wielkości żuków! O taaakie wielkie. – Pokazuje na swoich upierścienionych i spuchniętych palcach. – Masakra jakaś!

– Susan, uspokój się. – Mąż podchodzi do wzburzonej żony, a reszta podróżników już nie ma ochoty skorzystać z tego tak sugestywnie opisanego przybytku. Jednak co począć, kiedy przez długie godziny piło się hektolitry wody? Teraz gdzieś trzeba ją wydać. – Kochanie, co zrobisz? To pustynia... – Amerykaniec usiłuje uspokoić nadpobudliwą połowicę.

– Mam gdzieś taką pustynię! Zapłaciliśmy jak za wołu za komfortowe warunki, a tutaj co?

W tej samej chwili młodzi uśmiechnięci kelnerzy zaczynają roznosić wodę z lodem w plastikowych dzbankach, pepsi i fantę w butelkach, a dookoła rozchodzi się cudowny aromat arabskich ziół i przypraw. Grill pracuje na pełnych obrotach, ale zanim będzie gotowy, na stół trafiają arabskie przystawki *mezze*. Organizator na szybkiego wysyła do łazienki dwóch chłopaków z kubłami, szmatami i chlorem – najlepszym i chyba jedynym środkiem dezynfekującym w tej strefie klimatycznej, i za chwilę inne turystki, nieśmiało, na palcach, wchodzi do toalety. Ostatecznie chrząną higienę, bo potrzeby fizjologiczne są silniejsze od uprzedzeń. Abubakr otwiera parę butelek piwa, którego na odludziu się nie uświadczy, więc facetom od razu śmieją się oczy.

Jedynie Amerykanin z dziećmi i nadpobudliwą żonką zmierza z powrotem do pick-upa. Postanawiają wrócić do miasta i cywilizacji. Nikt z grupy by po nich nie płakał, ale organizator chyba osiwiuje. Nie może puścić samochodu bez ochrony, a tej ma jak na lekarstwo, bo chłopaczków pod bronią można na palcach jednej ręki policzyć. Nie oddeleguje ich przecież z jedną rodziną! Zaczynają się burzliwe negocjacje. Marokańczyk kaja się i prawie bije czołem przed rozeźloną babą, a jej dzieci tylko z pogardą wydymają usta.

Jasem wie, że ma się odznaczać, być widoczny, więc postanawia dołączyć do rozgrywki lokalni kontra przyjezdni. Bierze z *coolboxa* dwa schłodzone małe heinekeny, po drodze zgarnia od kelnera tackę z *burikami*<sup>93</sup> i zmierza do kłócących się ludzi.

– *Hello! How are you?*<sup>94</sup> – wita się z brytyjskim przydechem, na co Marokańczykowi opada szczeka, bo w życiu nie słyszał, żeby Libijczyk tak dobrze znał angielski. – Po co te nerwy, kochani? – Najpierw daje speszonemu mężowi butelkę, potem zgłodniałym dzieciakom paszteciki, na które te od razu się rzucają, a na koniec ze skrywanym obrzydzeniem obejmuje silnym ramieniem korpulentną Susan. – Ostudźmy emocje, moi drodzy.

Trochę na siłę prowadzi ją do długiego stołu, gdzie towarzysze podróży przesuwają się, robiąc im miejsce. Dzieciaki siadają od razu z rówieśnikami i błyskawicznie nawiązują kontakt.

– Na pustyni nie będzie już tak źle – tłumaczy negocjator. – W nocy możecie nawet zmarznąć – żartuje sympatycznie.

Wszyscy oddychają z ulgą, bo nikomu niepotrzebna nerwowa atmosfera podczas wakacji, nawet jeśli warunki nie spełniają ich oczekiwań. Zaczyna się zwyczajowa rozmowa, każdy się przedstawia i mówi coś o sobie. Jasem oczywiście bryluje, ocieplając wzajemne stosunki.

Organizator, u którego Junis załatwił przewóz swojego przyjaciela, taksuje go teraz od stóp do głów, co oczywiście nie umyka uwagi Jasema. *Niestety, bez ofiar się nie obejdzie,*



kwituje dżihadysta, który nie lubi dociekliwych, i zaocznie wydaje wyrok na Marokańczyka. *Co to za Libijczyk? Jaki dysydent?*, dziwi się tymczasem biznesmen. *Jak członek Bractwa coś mówi, to powinno być prawdą, a to czysta ściema*, wątpi w sprzedaną mu historyjkę. *Powinienem był zażądać więcej pieniędzy*, pluje sobie w brodę chytrus.

– Jak będziecie potrzebowali tłumacza, walcie jak w dym. *Kein Problem*<sup>95</sup> – lider zwraca się do pary Niemców. – *Toi aussi*<sup>96</sup>. – Kłania się Francuzom.

Teraz już wszyscy go uwielbiają, postrzegając jako samotnego, szarmanckiego globtrotera z Wielkiej Brytanii. Nikt, ale to absolutnie nikt nie widzi w nim Araba, a tym bardziej wyznawcy islamu, bo facet pochłania jedną butelkę piwa za drugą, jakby pił wodę.

– Znacie dowcipy o Arabach? – kontynuuje przedstawienie Jasem.

– Mnóstwo! – rechoczą rubasznie.

– A ten? – Robi dramatyczną przerwę, by po chwili kontynuować: – Jedzie Arab na wielbłądzie, ciągnąc za sobą na sznurku całą na czarno odzianą niewiastę, która biegnie, prawie łamiąc sobie nogi. – Kobiety od razu robią krzywe miny na takie traktowanie słabej płci, ale mężczyźni chichrają, czekając na ciąg dalszy. – Turyści, którzy akurat tamtędy przejeżdżali, zatrzymują samochód i pytają: Panie, czemu tak pędzisz? Na co on odpowiada: Spiesz mi się. Żona jest ciężko chora i jak najszybciej musi dotrzeć do szpitala.

Jedni sikają ze śmiechu, inni chwytają się za głowy z niedowierzaniem. Wszyscy jednak doskonale się bawią. Tak naprawdę nic a nic ich nie obchodzi traktowanie kobiet przez ich muzułmańskich mężczyzn. Ich to nie dotyczy. Bardziej interesuje ich czystość sanitariatów czy jakość jedzenia, które teraz łąpczywie pochłaniają.

Kiedy po długich godzinach ostatecznie docierają na turystyczny kampus ulokowany wśród czerwonych wydm, wszyscy są już wypoczęci i pełni nowych sił. Wspomogli się drzemką, by teraz karawaną wyruszyć na oglądanie zachodu słońca. Zwierzęta już na nich czekają, pięknie przystrojone, napojone i nakarmione. Każdy dromader ma niezwykle, wielkie i wygodne orientalne siodło, zdobione haftowaną kapą i kolorowymi kutasami. Przewodnik, zapewne Berber, który zna tutaj każdą piędź piasku, jedzie pierwszy, a za nim podąża połączona luźno zwisającymi sznurkami kawalkada zwierząt, które majestatycznie stawiają nogę za nogą. Jasemowi nieoczekiwanie przebiega przez myśl wiersz, który kiedyś czytał i który idealnie oddaje tę chwilę:

Wielbłądy przed siebie suną,  
Horyzont za nimi daleko,  
Czy to piaszczystą doliną,  
Czy *wadi* – wyschniętą rzeką.  
Szelest ziarenek piasku  
Układa dywan jak fale,  
Gdy Allah da ci swą łaskę  
Dotrzesz do celu wytrwale<sup>97</sup>.

Turyści są wniebowzięci, zwłaszcza że widzą, iż tutaj już zadbano o ich wygodę. Miejsca noclegowe są przygotowane, a kolejne aromatyczne potrawy warzą się na ogniu. Wszyscy wydają ochy i achy, pokazując sobie cienie kładące się na diunach, pojedyncze wyschnięte krzaczki czy drzewka z paroma grubymi i soczystymi liśćmi oraz trawę wielbłądzą, zieleniejącą w zagłębieniach terenu. Kiedy docierają na najwyższy szczyt, jest tam już rozstawiony stół

z krzesłami, w przenośnych plastikowych lodówkach chłodzą się musujące wino Prosecco, piwo i inne napoje. Na przekąskę są arabskie chipsy, wykonane z cienkiego chlebka pita, smażonego na głębokiej oliwie i oprószonego mieszanką ziół *za'atar*<sup>98</sup>. Pierwsze co wszyscy rzucają się jak szaleni do robienia zdjęć i kręcenia filmików. Słońce w tym regionie świata bardzo szybko kończy swój bieg, a zachodzi nagle i nieoczekiwanie, wpadając jak czerwona kula za horyzont.

– Hmeda – Susan z plastikową szklanką pełną alkoholowego napoju podchodzi do Jasema – dziękuję ci, że przemówiłeś mi do rozsądku. – Patrzy na niego oczami pełnymi łez. – Teraz dopiero wiem, co bym straciła. Nie mówię o zrujnowanych wakacjach, ale o całym tym niezwykłym pięknie.

– Nie ma sprawy, kochana. – Jasem znów ją obejmuje, bo stara się być jak najbardziej familiarny. – Czułem, że ostatecznie będziesz zachwycona.

– Jesteś dobrym człowiekiem – podsumowuje nieznajomego, składając na jego ramieniu zroszoną skroń. – Bóg jest wielki – dorzuca bezwiednie. – Właśnie tutaj po raz pierwszy od niepamiętnych czasów czuję jego obecność.

*Allahu akbar*, potwierdza w duchu Jasem, również będąc pod wrażeniem urody otaczającego go wszechświata. *Allahu akbar...*

Następnego dnia już od świtu, kiedy słońce jeszcze tak nie praży, jedni zjeżdżają z wysokich wydm na specjalnie przystosowanych deskach, inni ścigają się quadami, a pozostali lenią się w łózkach lub godzinami pałaszują śniadanie, nie mogąc się nasycić lokalnymi wspaniałościami. Dorosłym najbardziej na kacu smakują *qahwa arabijja*<sup>99</sup> i *na'an szaj achdar*<sup>100</sup>. Turycy mają czas wolny tylko dla siebie, więc snują się po wydmach lub wybierają nad jezioro, w którym z ogromną przyjemnością pluskają się lub wypatrują niezwykłych ptaków. Każdy znajduje zajęcie dla siebie.

Koło południa obsługa zaprasza na lunch. Goście z chęcią sięgają po mięsne *kofty*<sup>101</sup>, *kubby*<sup>102</sup> i szawormy oraz marokański znakomity gulasz *tadżine*<sup>103</sup>. Dla wegetarian oczywiście także przygotowano specjały, a wśród nich znany na całym świecie *falafil* oraz *tabule*<sup>104</sup> z nieodzowną pastą humus i *baba ghanusz*<sup>105</sup>.

Nikt nie może znaleźć uroczego Brytyjczyka, który jako jedyny wybrał ekskluzywną opcję wycieczki z luksusowym transportem i samotnym noclegiem w sporym namiocie na środku pustyni. Jego pałatka stoi w uroczej niecce, nie tak daleko kampusu, lecz po człowieku nie ma śladu.

– Gdzie jest Hmeda? Gdzie ten Brytol? – Niepokoją się wszyscy jak jeden mąż.

– Może się utopił? – Pojawia się pierwsze podejrzenie.

– Może poszedł tam, gdzie nie wolno? Przewodnik ostrzegął, że ruchome piaski wielu już pochłoneły!

– Na Boga! Gdzie on?! – impulsywna Susan wykrzykuje wniebogłosy. – Jeszcze wczoraj tak miło z nim rozmawiałam!

Dopiero po jej głośnej, natarczywej interwencji Abubakr niechętnie sięga po telefon satelitarny i informuje policję o zaginięciu turysty. Konieczne będą śledztwo i akcja poszukiwawcza. Taka afera nie pomoże interesom Marokańczyka. Gromy spadną na jego głowę, bo nie potrafił upilnować zagranicznika. A przecież cudzoziemcy w jego biznesie są na wagę złota. Teraz już wie, dlaczego tyle mu zapłacono za udział wyjątkowo ważnego gościa w durnej wycieczce na Saharę, która Libijczyka w ogóle nie powinna interesować. Pluje sobie w brodę za własną naiwność i zachłanność. Planuje poruszyć ten temat na najbliższym spotkaniu Bractwa Muzułmańskiego. Tego się nie robi braciom salafitom. W swej naiwności nie przewiduje, że na

żadne spotkanie może już nie dotrzeć i nikomu żadnej skargi nie złożyć.

Jasem tak wczuwa się w sytuację, że wskakuje w buty turysty i w drodze do Libii pragnąłby jeszcze coś zobaczyć na swojej trasie. Pustynia wciąga wrażliwego człowieka, który od dziecka ma duszę artysty. Ogrom Sahary, jej niepowtarzalność i czar sprawiają, że inna jest tutaj skala doświadczanych przeżyć, inny wymiar przestrzeni i czasu. Kto szuka oczyszczenia lub boryka się z przeciwnościami losu, na jej bezkresach ma szansę zbliżyć się do Boga, poczuć jego obecność i potęgę, nauczyć się pokory w obliczu natury, poznać własną marność i znikomość. Jednak dżihadysta zdaje sobie sprawę, że takie zachowanie byłoby nierozsądne. Wycieczka przecież miała być jedynie przykrywką i tak musi pozostać. Na jego saharyjską wyprawę przyjdzie jeszcze czas. *Insz Allah.*

Samochód, do którego przed świtem wsiada Jasem, jest już mniej ekskluzywny niż oferowany mu podczas turystycznej wyprawy GMC, ale dzięki temu nie rzuca się w oczy. Maskę ma liczne wgniecenia, a lakier jest prawie całkiem starty, bo często smagany porywami pustynnego wiatru, który niesie piach i pył, działające jak papier ścierny. Jednak auto ma nowy silnik, zafundowany przez Jasema, który kierowca teraz odpracowuje, przewożąc swojego nietypowego klienta. Tak jak wspomniał Piotr, Berber nie jest dociekliwy i nie mówi nic oprócz zwyczajowego *as-salamu alejkum* i *kif halek*<sup>106</sup>. Mężczyzna jest długi jak tyczka, chudy jak szczapa, a jego smągła twarz z zapadniętymi policzkami nie ujawnia wieku. Może mieć zarówno czterdzieści, jak i sto lat. Jeden Allah wie.

Przemytnik wiezie swojego pasażera nie asfaltową, publiczną drogą z Merzougi do Fikik, typowego pustynnego miasta wybudowanego z kamienia i piaskowca, w którym znajdują się ufortyfikowane osiedla i pilnie strzeżony punkt graniczny, lecz wjeżdża na niedozorowane pustynne trakty i kieruje się do algierskiego Al-Abadila, typowej pięknej saharyjskiej osady. Tam zatrzymują się w tradycyjnym domu u rodziny Berbera. Jasem dostaje własny kąt, znajdujący się na dachu piętrowego budyneczku, który wydzielono, wieszając na sznurkach brudne płachty materiału, za łóżko zaś rzucono trzeszczący siennik, w którym więcej jest chyba wszy i pcheł niż siana. Kiedy tylko Jasem na nim siada, od razu czuje, że gryzą go insekty, i zaczyna się drapać. Ostatecznie decyduje się przespać z dala od legowiska, oparty plecami o nagrzaną słońcem jedyną tutaj ścianę. Tak jest dla niego bezpiecznie.

Po męczącej nocy wyruszają o piątej rano, gdyż przed nimi długa, ponadczternastogodzinna jazda po saharyjskich bezdrożach. Chcą jeszcze dziś dotrzeć do znajdującego się we wschodniej części Algierii Al-Wadi, dużego administracyjnego ośrodka liczącego prawie sto czterdzieści tysięcy mieszkańców. Jasem postanawia jak najszybciej pokonać nieznaną sobie kraj i przesmyknąć się przez obrzeża Tunezji, by dotrzeć do Libii, gdzie w Ghadamesie, mieście u zbiegu trzech granic, będzie już na niego czekał libijski przewodnik. Tam też ma się stawić jego prywatna gwardia, składająca się ze wspierających go już wcześniej w Libii dżihadystów, którym dobrze płacił, nieźle ich traktował i którzy wierzyli w słuszność jego działań i misję, którą razem mają do spełnienia. Teraz podróżnik zaciska tylko zęby i w milczeniu znosi niedogodności, nie chcąc zbędnych postojów i ograniczając się do południowej modlitwy szofera i dwóch szybkich zimnych posiłków. Sahara jest tak niesamowicie różnorodna, że raz grzęzną w sypkim piasku, żółtym, płowym, czerwonym, a nawet czarnym, wulkanicznym, by po chwili dziurawić koła na ostrych kamieniach. Nieoczekiwanie około stu kilometrów przed algiersko-tunezyjsko-libijską granicą w Ghadamesie Jasem każe kierowcy zjechać z traktu.

– Zrobimy małe ognisko. Ty możesz się pomodlić albo przespać. Postój dwugodzinny –

oznajmia, a w odpowiedzi doczekuje się tylko potwierdzającego skinienia głową.

Berber i w tym regionie zna każdą wydmnę, kamień, skałę i każdą dolinkę, więc kieruje się na pewniaka prosto przed siebie. Po dwóch godzinach spuszcza powietrze z kół do momentu, gdy sflaczałe opony uzyskują maksymalnie szeroki styk z podłożem, co znaczy, że piasek będzie miękki i auto musi się po nim ślizgać. Następnie robi parę skrętów w lewo, w prawo, by ostatecznie wylądować w zacisznej, schowanej przed oczami ciekawskich niecce, osłoniętej z trzech stron niewysokimi wydmami w kolorze beżu, które nieustannie się przesypują, wydając delikatny, acz uporczywy szum. W dolince jest tylko jedno całkiem spore, choć wyglądające na wyschnięte drzewo, pod którym parkują. Kierowca bez słowa zabiera się za rozpalenie ogniska, a Jasem sięga do swojego bagażu i zaczyna go segregować. Na bok idą markowe ciuchy i buty, firmowe przeciwsłoneczne okulary i kremy z filtrem. Skórzana torba zostaje zamieniona na szmacianą. Kiedy suche drzewa płoną jasnym ogniem, wrzuca do niego wszystkie przedmioty, które mogłyby go zdekonspirować. Jego szofer jest wściekły, bo przecież mógł mu je podarować. Nie wie, z kim ma do czynienia, choć spodziewa się, że to niezły opryszek i jakaś groźna persona. Wyznaje zasadę, że lepiej nie mówić, nie widzieć i nie słyszeć, dlatego spuszcza wzrok i trzyma buzię na kłódkę.

Kiedy w środku nocy przekraczają zieloną libijską granicę, tylko Berber widzi wszystko, co trzeba – każdy kamień, naturalny znak, drzewo czy krzak. Jasem, choć wyteża wzrok, nie dostrzega nic oprócz oświetlonych światłem księżyca niekończących się połąci piachu. Zupełnie dla niego nieoczekiwanie wpadają w ramiona popleczników dżihadysty. Marokański przewodnik jest już wolny. Jasem puszcza go swobodnie, bo mężczyzna wykazał się maksymalną dyskrecją i perfekcjonizmem.

Współpraca z kompanami jest prosta. Przybyły szef wydaje im dyspozycje, a oni bez słowa słuchają i wykonują polecenia. Część z nich pojedzie w góry Gharianu, by zbadać tamtejszy rewir i wszystko przygotować na przyjazd pana, a pozostali wyruszą z przywódcą do Trypolisu. Zanim to jednak nastąpi, spędzają noc na pustyni, śpiąc na materacach pod gołym niebem, które wisi jakby tuż nad ich głowami. Gwiazdy są na wyciągnięcie ręki. Przewodnik i szofer, a zarazem fundamentalista, libijski Tuareg przy akompaniamencie arabskiej lutni *ud* zawodzi żałosne pieśni, brzmiące całkiem jak amerykańskie country. Tą melodią kołysze twarde serca morderców do snu.

Przed wschodem słońca wszyscy bracia w dżihadzie zgodnie wstają, dokonują tradycyjnej ablucji<sup>107</sup> wodą lub symbolicznej – piaskiem, którego tutaj jest pod dostatkiem, a następnie udają się na pobliską wydmnę. Odnajdują kierunek na wschód, rozkładają modlitewne dywaniki *sadzżada* i zwracają twarze w stronę Mekki, by odmówić poranną modlitwę *fadžr*. Ich długo wyczekiwany lider, który cudem ocalał i wymknął się z więzienia, teraz wraca na ich łono. Wszyscy chcą podziękować za to Bogu. Jasem przykłada złożone ręce do policzków i donośnie nawołuje: *Allahu akbar, Allahu akbar, Allahu akbar*. Echo wypowiedzianych słów na tym pustkowiu niesie się aż po horyzont, a mężczyźni doznają religijnego uniesienia i ekstazy. Każdy z nich szepcze pod nosem słowa *Fatihy*, otwierającej sury z Koranu:

*Bi-ismi Allāhi Ar-Ra ḥ māni Ar-Ra ḥ ḥm...108*

W imię Boga Miłosiernego, Litościwego!

Chwała Bogu, Panu światów,

Miłosiernemu, Litościwemu,

Królowi Dnia Sądu.

Oto Ciebie czcimy i Ciebie prosimy o pomoc.

Prowadź nas drogą prostą,  
drogą tych, których obdarzyłeś dobrodziejstwami;  
nie zaś tych, na których jesteś zagniewany,  
i nie tych, którzy błędzą.

Teraz są gotowi do drogi. Podejmą krętą ścieżkę dżihadu przygotowani na wszystko – na życie w chwale, jak i śmierć w męczarniach. Aktualnie wierzą, że wszystkie plany zrealizują, a marzenia spełnią. Nieważne, dobre czy haniebne. Uważają, że ręka Allaha ich błogosławi, a oko Fatimy czuwa. Nie myślą nawet o tym, że ich czyny mogą się Bogu nie podobać. Przecież wierzą w niego, modlą się i wysławiają jego imię. *Allahu akbar*.

\*\*\*

Kiedy Jasem widzi zgrzybiałego Polaka, doktora Adama, stwierdza, że to zwykła strata czasu. Dziadunio ledwo powłóczy nogami i wygląda, jakby stał nad grobową deską. Świadczy o tym trupio blada, zapuchnięta twarz z fioletowymi worami pod oczami oraz mętny wzrok. Czerwonobordowy nos i trzęsące się ręce są niczym innym jak świadectwem zbyt częstego zagładania do kieliszka. To wszystko daje niezbyt dobre rekomendacje i raczej nie zachęca do położenia się pod skalpel doktora.

– Chodź, chłopcze. Pogadamy sobie przy napitku – od razu proponuje Jasemowi, a ten tylko wybałusza zimne oczy, taksując lekarza z pogardą. – Widzisz, w kraju prohibicji też się da. Polak potrafi! – z dumą chwali się łamaniem prawa, i to chyba wieloletnim.

Krok po kroczku dowlekają się w końcu do osiedla dla medyków, niegdyś sławnego na całą Libię i największego w tym kraju szpitala. Teraz miejsce to ziele pustkami, bo pracujący cudzoziemcy dawno zwiali z kraju ogarniętego rewolucją i wojną domową. Wygląda na to, że pozostał tu tylko zgrzybiały, zapijaczony Polaczek.

– Co to? – Gość, pokazując wzrokiem na brązowy apteczny flakon, który lekarz z wielką czułością obejmuje, taksuje przy okazji gospodarza, a także cały jego skromny dobytek w podłej willi z blachy falistej, gdzie ubóstwo i brud wyzierają z każdego kąta.

– Wino z libijskich winogron. Tylko pod miejscowością Bejda takie jeszcze rosną. Odmiana Malbec, która dotrwała do dziś od czasów króla Idrisa.

– Dziękuję. – Pół-Syryjczyka drażni woń kwasu, jaka wydobywa się z brudnego, wyszczerbionego szkła.

Nie czekając na gościa, Adam pierwszą szklankę wypija duszkiem, po czym bierze głębszy oddech. Zaraz sobie dolewa i z rozanieleniem wznosi toast:

– Na zdrowie, kochany. – Puka w szklankę gościa i zachęca go wzrokiem do spróbowania.

Jasem tylko moczy wargi i odstawia, z obrzydzeniem się otrzepując.

– Niezła siara, nieprawdaż? – Doktor staje się spokojniejszy, zmarszczki mu się wygładzają, twarz przyobleka rumieniec, a ręce przestają się trząść. Cała jego postać jak za dotknięciem czarodziejkiej różdżki zbiera się do życia.

– Więc jaką buźkę chcesz mieć? Jaka nacja? Chcesz być Arabem, Latynosem czy zwykłym białasem, jak teraz? Zapewne żadnych znaków szczególnych – wypowiada się profesjonalista, wybierając z pliku zapisanych kartek oraz medycznych wydruków jedną czystą. Znajduje ołówek i patrząc na Jasema, pewną ręką rysuje jego nową facjatę.

Terrorysta teraz dopiero docenia starca, lecz nadal zastanawia się, czy starczy mu gorzały na sali operacyjnej, by przeprowadzić wielogodzinny zabieg, bo na taki się zanosi.

– Południowoamerykańskie rysy byłyby czymś nowym – sugeruje.  
– Okej, niech będzie Latynos. Taki delikatny, tylko z brwi i kości policzkowych. Trochę poszerzę ci chrapki nosa, zrobię kłapciate uszy i większe zakola. Trzeba by też rąbnąć cię w jeden paluch u ręki, żeby uszkodzić linie papilarne. Może przypalimy żarem z papierosa albo zrobimy kratkę skalpelem? – Robi figlarną minę i zabiera się za uważną lustrację palców pacjenta. Widzi, że są już wystarczająco uszkodzone, a zerwane paznokcie nierówno odrastają i wrzynają się w okalającą je skórę. – O, widzę, że to już ci ktoś przede mną załatwił – kpi beztrzesko, jakby nie wiedział, z kim ma do czynienia, choć przecież musi się domyślać, bo nie jest głupi. – Przeszczepiłbym ci także włosy. Wzmocnimy aktualne piórka, żebyś miał burzę kłaków.

Kiedy kończy szkicować i plastycznie opisywać nową postać, Jasem jak na dłoni widzi zmiany, które dopiero mają się urzeczywistnić. Nie wierzy własnym oczom. Amir, Palestyńczyk, wydawał się znakomitym chirurgiem plastykiem, ale Adam, Polak, ma kawalerską fantazję i odwagę. I bez wątpienia wyobraźnię!

– Argentyno, moja kochana. Poczekaj na mnie jeszcze trochę. – Dżihadysta nie kryje się przed doktorem, podając cel swojej podróży. – A ty w którą stronę chciałbyś się udać? – docieka, bo przecież wie, że temu dziadkowi będzie musiał zapłacić krocie. Ale jeśli wszystko się powiedzie, jest skłonny go ozłocić.

– Buenos Aires nie byłoby w sumie złe – doktor popiera pomysł pacjenta. – To kraj, który przyjmie każdego degenerata, byleby miał wypchany portfel.

– Będziesz taki mieć.

– Na to liczę, mój dobroczyńco.

– Ile potrwa ta przemiana? – Jasem chce znać szczegóły, bo przecież wszystko swoim zwyczajem musi skrupulatnie zaplanować. – Od zabiegu, przez rekonwalescencję, do pełnego wyzdrowienia?

– Miesiąc daję ci na dojsie do siebie.

– Długo – stwierdza i niezbyt mu się to podoba. – Gdzie miałbym się kurować? W tym bajzlu? – Pokazuje na boki, dobitnie wybałuszając oczy.

– Kochanieńki, ja tutaj wszyściutko ogarnę. Umyślni posprzątają i przygotują ci elegancką salę jak w pięcio-gwiazdkowym prywatnym szpitalu – rubasznie żartuje. – Żadne zakażenie nie może się wdać, więc lokal musi być septyczny. I taki będzie.

– Trzymam cię za słowo.

– *Kelima kelima*<sup>109</sup> – dziadek przyrzeka po arabsku, bo przecież żyje w Libii ponad czterdzieści lat i wie, że tych słów tutaj nie można ani cofnąć, ani zlekceważyć. – Jednak musisz wiedzieć, że liczne dolegliwości typu migreny, krwawienie z nosa czy zawroty głowy mogą utrzymywać się nawet parę lat. To poważna ingerencja.

– Jestem na to przygotowany. Ta twarz też nie jest moja – szczerze wyznaje, ale temu facetowi ufa już w stu procentach.

– Przecież widzę. – Adam się podśmiechuje. – Miałeś zakażenie po zabiegu.

– Zgadza się.

– To co? Jutro o piątej rano zaczynamy *show*?<sup>110</sup> – znów żartuje, bo zna psychikę pacjentów i wie, że trzeba ich rozweselić i zbagatelizować nawet najbardziej niebezpieczny zabieg. – Dzisiaj idź na dobre żarcie, napij się coli lub piwa bezalkoholowego, wyruchaj jakąś Marokankę, a jutro w pełni sił stawiasz się u mnie.

– Czemu tak wcześniej?

– Raczej nie będę cię wpisywał do grafiku. Do siódmej, kiedy ktokolwiek ważny pojawi się w szpitalu, ty musisz już być w moim domu. Tutaj będzie twój OIOM<sup>111</sup>.

Doktor Adam dobrze zarządza zaliczką, którą otrzymuje od Jasema, swojego ostatniego pacjenta. W pierwszej kolejności wszystkie zagracające willę zżarte zębem czasu i pełne roztoczy meble zostają wywiezione na miejskie wysypisko. Teraz można przystąpić do działania. Lokal zostaje wymyty i zalany chlorem od sufitów po mysie dziury. Ściany są czyszczone szczotkami. Karaluchy i mrówki, które w Libii plenią się na potęgę dosłownie w każdym miejscu, wybija się ręcznie, a ich nory zasypuje trutką. Potargane firany w oknach i wiszące na jednym sznurku żaluzje lądują w koszu. Taki sam los spotyka zdeptane dywany i przepoconą, zużytą do imentu pościel, poszwy oraz poszewki. Ręczniki służą jako szmaty do sprzątania. Wszystkie sprzęty z kuchni, z wyjątkiem dobrze ukrytych butli z brązowego szkła z domowym winem, dostają sprzątające Afrykanki, ale nawet one tego nie chcą. Willa okazuje się całkiem obszerna, jasna i dla jednej osoby aż za duża. Składa się z trzech około dwudziestometrowych sypialni, łazienki, oddzielnej ubikacji, spiżarni z pralnią oraz widnej kuchni z jadalnią i wyjściem na mały kwadratowy tarasik połączony z niewielkim, zarośniętym chaszczami ogródkiem. W tym miejscu pole do działania ma stary cieć, który zna się z doktorem od lat i robi dla niego wszystko. To on z paroma młodszymi kolegami wynosi z kliniki niezbędny medyczny sprzęt. W Libii od wieków panuje nie tyle korupcja, ile zwyczajne złodziejstwo. W ten sposób powstaje wypisz wymaluj szpitalna sala, włącznie z elektrycznym łóżkiem i pełnym komputerowym monitoringiem, którego w klinice na oddziałach nie ma, bo nikt nie potrafił tego zamontować, uruchomić, a co gorsza – obsługiwać. Jednak Adam jest specjalistą najwyższej klasy. Leki, w tym antybiotyki i hormony, sterydy i sole mineralne, krew do transfuzji i inne specyfiki lądują w jego prywatnej nowej lodówce. Teraz czeka go najtrudniejsze zadanie. Potrzebuje dobrego anestezjologa, bo od niego zależy powodzenie operacji i to, czy pacjent przeżyje. Zna taką osobę, ale już ze dwadzieścia lat temu rozstał się z nią, wyzywając od kurew i złodziejek.

– Witaj, Lenoczka. – Speszony medyk staje na progu niedalekiej willi, należącej do dawnej długoletniej partnerki i kochanki. Kobieta porzuciła pijaka, zabierając mu niemały, zbierany w gotówce i złocie majątek, idiotycznie trzymany w domu w jednym z uniwersalnych brązowych słoików, które nadają się zarówno na przechowywanie płynów, jak i na skarbonkę. – Co tam u ciebie słychać? – zagaja, patrząc w dawniej błękitne i piękne, a dziś wyblakłe i kaprawe oczy swojej niegdysiejszej Dulcynei. – Pogadamy minutoczkę? – wprasza się, patrząc na nią błagalnie.

– Adam! – Niezadowolona od razu podnosi głos. – Jeśli znowu chcesz ode mnie wyciągnąć jakąś forszę na gorzałę, to już milion razy ci mówiłam, że nic z tego. Odpieprz się, chłopie! I to raz na zawsze!

– Nie tym razem, Lenoczka. – Mężczyzna, przygotowany na takie przyjęcie, niezwłocznie wyciąga z kieszeni plik szeleszczących argumentów w kolorze zielonym. – Jest poważny zabieg do wykonania. Obiecuję, że ostatni. Nasz pożegnalny.

Ukrainka otwiera na oścież drzwi.

Punkt piąta rano, tuż po wschodzie słońca, kiedy powietrze jest orzeźwiająco czyste, aura krystaliczna, a ptaki dopiero budzą się do życia i zaczynają swoje nieśmiałe trele, Jasem wchodzi do willi doktora Adama. Szybko rzuca okiem na lokum i uśmiecha się z zadowoleniem. W nozdrza bije zapach świeżości i woń dezynfektantów, którą przyćmiewa smród chloru. Jest usatysfakcjonowany. Jeszcze na chwilę zagląda do pokoju pacjenta, gdzie widzi nowe szpitalne łóżko, z którego jeszcze nie ściągnięto wszystkich folii, fotel na kółkach i medyczne szafki pełne

różnych specyfików. Komputery nad wezłowiec są już podłączone i tylko czekają, by pokazywać puls, ciśnienie i inne parametry życiowe.

Nie zwlekając, mężczyźni ruszają boczną ścieżką do wielkiej kliniki. Po drodze dołącza do nich starsza kobieta w stroju lekarskim i czepku chirurgicznym.

– Priwiet – wita się, nie zatrzymując się nawet na chwilę.

Ukrainka ze wzrokiem wbitym w szutrową ścieżkę idzie prosto przed siebie. Nie spogląda na pacjenta. Nie chce widzieć tego, któremu dzisiaj będą zmieniali twarz. Nie chce go zapamiętać. Doskonale wie, że jest to najbardziej intratna fucha w jej życiu, ale i najbardziej niebezpieczna.

Trójca niepostrzeżenie i bezgłośnie jak duchy przemierza szpitalne korytarze, o tej porze jeszcze ciche i zaciemnione. Po drodze doszłusowują do nich następne osoby. Instrumentariuszka, sanitariusz i młody libijski adept sztuki medycznej, który marzy tylko o tym, by uciec z tego przekłętą kraju. Teraz nadarza się ku temu sposobność, bo nieoczekiwanie dostaje fundusze na bilet lotniczy i skromny początek w Europie.

Jasem zostaje zostawiony w małej klitce, gdzie na haku wisi zielona, długa prawie do pół łydki koszula z rozcięciem na plecach, a na lastriko leżą materiałowe klapki. Na taborecie czeka czarna plastikowa torba na śmieci przeznaczona na jego osobiste rzeczy.

– Przebierz się. – Doktor Adam jest tutaj szefem i to on wydaje krótkie, rzeczowe polecenia. – Ciuchy do worka. Weź je, idąc na salę. Trafisz za światłem.

Pacjent wykonuje polecenia bez dyskusji i zbędnych pytań i już po minucie, mijając ciemne sale operacyjne, wchodzi do tej jaskrawo oświetlonej, gdzie niewielka grupa medyków uwija się już jak w ukropie.

– Wskakuj. – Pokazują mu metalowe łóżko, nad którym wiszą wielkie lampy. – Podciągaj kieckę.

Z jednej strony pielęgniarka, a z drugiej sanitariusz zabierają się za asekuracyjne bandażowanie jego nóg i rąk, by uchronić pacjenta przed urwaniem się skrzepu i udarem. W końcu będzie on pod parogodziną narkozą, a zabieg zanoszą na bardzo skomplikowany. Nie było też czasu na zrobienie jakichkolwiek badań, więc nikt, nawet prowadzący lekarz, nie wie, czy człowiek, który kładzie się pod jego skalpel, czasami nie cierpi na jakieś przewlekłe choroby. Mają tylko podaną przez samego zainteresowanego grupę krwi. Na sali jest zimno jak w prosektorium i po chwili Jasem jest tak wychłodzony, że zaczyna szczękać zębami. Dreszcze przechodzą przez całe jego ciało. Nikt jednak się nim nie przejmuje. Szaleńczo się spieszą, bo ryzyko przyłapania na nieplanowanym zabiegu dla wszystkich jest takie samo: w najlepszym wypadku więzienie, a dla operowanego już chyba tylko czapa. Medycy zdają sobie sprawę, że jeśli zmieniają komuś twarz w tajemnicy, to raczej nie jest on niewinnym człowiekiem. Wszyscy jednak podjęli ryzyko. Instrumentariuszka tuż przy głowie Jasema rozkłada akcesoria – małe lancety, większe skalpele i inne narzędzia tortur, które pacjent obserwuje z zaciekawieniem, ale i przerażeniem. Opanowują go jeszcze silniejsze drgawki, aż jego stopy uderzają o metalową ramę pryczy.

– Boimy się? – Adam w pełnym chirurgicznym stroju z podniesionymi rękami w silikonowych septycznych rękawiczkach staje przy łóżku. – My nie stosujemy uspokajającego głupiego Jasia, bo chcemy mieć kontakt z pacjentem do samego końca – dopiero teraz informuje.

– Narkozy też nie? – kpi Jasem.

– Bez obaw. Już Lena się tobą dobrze zajmie. Dostaniesz coś słabego, a jak będzie trzeba, to dołożymy. Nie chcemy cię otumanić na dwa dni, nieprawdaż?

Zanim pacjent zdąży odpowiedzieć, Ukrainka staje za jego głową. Dopiero teraz mierzy go zimnym wzrokiem.



– Dobranoć. – Jasem słyszy jej spokojny, flegmatyczny głos i po dwóch głębszych wdechach gazu anestetycznego przez specjalną maskę zapada się w czarną otchłań.

Pobudka nie jest przyjemna. Lampy już nie ogrzewają wyczerpanego operacją i utratą krwi ciała, które jakby nie należało do pacjenta. Zamarza teraz na kość na kolejnym metalowym łożu pod klimatyzacją pracującą na pełnych obrotach. Z paniką rzuca oczami na boki. Niewiele jednak widzi, bo lekarz pozostawił tylko wąskie szczeliny w bandażu, jednak konstatuje, że nie zna tej sali. Nigdy tutaj nie był. Nie jest to ani oddział operacyjny, ani willa doktora. Dookoła nie ma nikogo. Obok stoją jeszcze trzy inne łóżka. Puste.

Dopiero gdy Jasem wydaje z siebie cichy, żalony jęk, od razu pojawia się przy nim Adam.

– Jak tam? Boli coś? Nie odpowiadaj, broń cię Panie Boże! – Śmieje się, a z jego ust wydobywa się nie tyle welon alkoholu, ile zleżałego denaturatu. – Najpierw rusz delikatnie dłonią.

Jasem z trudem przenosi wzrok w dół i widzi, że jego ręce są zabandażowane. Posłusznie unosi palec.

– Stopą.

Robi, co każą.

– No, czyli wszystko gra! – cieszy się chirurg.

Z lekka już zawiany staruszek i silny jak tur sanitariusz z wielką ostrożnością, chroniąc tylko głowę pacjenta, przerzucają go jak worek kartofli na drugie, mniejsze łóżko na kółkach. Potem odpinają woreczki z solami mineralnymi, antybiotykiem i środkami przeciwbólowymi ze stojaka, kładą je obok Jasema i slalomem wiozą go pustymi korytarzami. Zanim wychodzą na główny hol, przykrywają go niemal po uszy, których i tak nie widać, bo są pod opatrunkami.

Terrorysta co chwilę zapada w narkotyczny sen. Nie jęczy, nie rusza się, prawie nie oddycha. Wie, że jak przejdzie przez tę część planu, to będzie prawie uratowany. Byleby nikt nie zainteresował się przewożonym kuracjuszem, byleby nikt nie zaczepił doktora, byleby nikogo nie było... Wizje nielegalnego, nigdzie niezarejestrowanego pacjenta są szalone, tak jak szalony był sam pomysł, by poddać się zmianie wyglądu w państwowym, największym szpitalu w samym centrum stolicy Libii, gdzie jego noga nigdy, ale to przenigdy ponownie nie powinna była stanąć.

Po dwóch tygodniach codziennych zabiegów pielęgnacyjnych i pierońskim bólu, tłumionym najpierw narkotykami, w tym czystą morfiną, a potem opioidowymi lekami, doktor ściąga ostatnie szwy i wyciąga sączki. Cały czas naciągniętą, delikatną skórę i blizny pielęgnuje przeciwzapalnymi maściami z kortyzolem. Pacjent nie chce spojrzeć w lustro, choć widzi po reakcji chirurga, że ten jest raczej zadowolony z rezultatów swojej pracy.

– Jeszcze ze dwa tygodnie i zmuszę cię, byś ocenił moją robotę.

– Okej, ale odstawiamy te otumaniające mnie piguły – postanawia rekonwalescent. – Za czternaście dni muszę być już na tyle sprawny, żebym o własnych siłach cię opuścił.

– O niczym bardziej nie marzę – dołącza do drwinek lekarz, który trochę obawia się reakcji nadpobudliwego rekonwalescenta, gdyż dla laika wczesny efekt zabiegu może wyglądać nie najlepiej. Skóra w wielu miejscach jest podbarwiona na różne odcienie fioletu i zieleni. Nigdzie jednak nie ma żółci, która świadczyłaby o prawidłowym przebiegu gojenia. Dlatego doktor zaczyna faszerować pacjenta dożylnie sterydami, by przyspieszyć proces zdrowienia i pobudzić organizm do bardziej wydajnej pracy. Daje to zdumiewające efekty.

W wyznaczonym terminie, kiedy na ganku w małym ogródku doktora siedzą niezbyt przyjaźnie usposobieni i groźnie wyglądający poplecznicy pacjenta, Jasem Alzani prosi o lustro. Długo się sobie przygląda, a jego oblicze nie wyraża żadnych emocji. Doktor Adam poci się jak mysz i mięknię mu kolana.

– Witaj, Gomezie Rodriguez. – Pół Syryjczyk, pół Brytyjczyk ostatecznie jest bardzo zadowolony, że zaryzykował.

Teraz jego wendeta staje się realna. Odchodzi w niepamięć zboleły, cierpiący chory słabeusz, a wraca – z nową twarzą i nowymi siłami – dawny podły morderca i złoczyńca. Dżihadysta wyrusza, by zrealizować swoją misję mściciela.

83 *Dżamahirijja* (arabski) – państwo ludu. Termin polityczny, neologizm stworzony przez Muammara Kaddafiego. Pełna nazwa to Wielka Arabska Libijska Dżamahirijja Ludowo-Socjalistyczna. Do czasu obalenia rządu Kaddafiego była to oficjalna nazwa państwa (więcej zob. słownik).

84 *Sza'a Allah* (arabski) – Allah tak chce.

85 *Sauté* – metoda przyrządzania potraw, w przenośni – naturalny.

86 *Wadi* (arabski) – koryto wyschniętej rzeki.

87 *Ja baba* (wołacz) – tato, papo.

88 *Kohl* (arabski) – barwnik do oczu na bazie mieszanki ziół. Nie tylko służy do upiększania, ale też działa leczniczo.

89 *Uhibuke* (arabski) – kocham cię.

90 *Mister* (angielski) – pan.

91 *Present. I am here* (angielski) – Obecny. Jestem tutaj.

92 *Exclusive* (angielski) – ekskluzywny, wyborowy.

93 *Burik, brik* (arabski) – paszteciki pieczone lub smażone, z mięsem, serem feta, szpinakiem lub warzywami.

94 *Hello! How are you?* (angielski) – Cześć! Jak się macie?

95 *Kein Problem* (niemiecki) – nie ma problemu, nie ma sprawy.

96 *Toi aussi* (francuski) – wy również.

97 Tanya Valko, *Sahara ocean ciszy*, Dialog, Warszawa 2007.

98 *Za'atar* (arabski) – mieszanka przypraw zawierająca sumak, prażone ziarna sezamu i zielone zioła (tymianek, majeranek, oregano). Używa się jej jako dodatku do marynat, sałatek oraz wielu dań.

99 *Qahwa arabijja* (arabski) – arabska kawa.

100 *Na'an szaj achdar* (arabski) – herbata zielona z miętą.

101 *Kofta* (arabski) – szaszłyk z mielonego mięsa.

102 *Kubba* (arabski) – kulki w kształcie cytryny nadziewane farszem mięsnym oklejone masą z kaszy.

103 *Tadžine* (arabski) – gulasz jagnięcy z dynią i ciecierzycą przygotowywany w specjalnym glinianym naczyniu.

104 *Tabule* (arabski) – sałatka z natki pietruszki, mięty i kuskusu lub kaszy bulgur z dużą ilością cytryny.

105 *Baba ghanusz* (arabski) – pasta z grillowanych bakłażanów z tahiną i oliwą.

106 *Kif halek?* (arabski) – Jak się masz?

107 *Ablucja* – rytualne obmycie ciała lub przedmiotów kultu.

108 Koran, sura I, wers 1–5.

109 *Kelima kelima* (arabski) – dosł. słowo jest słowem, słowo honoru.

110 *Show* (angielski) – przedstawienie.

111 OIOM – Oddział Intensywnej Opieki Medycznej, część szpitala, w której leczy się pacjentów znajdujących się w krytycznym stanie.

## W GÓRY, W GÓRY, MIŁY BRACIE

Jasem odciąga swojego lekarza na bok i wręcza mu cienką papierową teczkę na dokumenty.

– Co to, do kurwy nędzy?! – zbulwersowany Adam klnie siarczyście, gdyż spodziewał się przynajmniej opasłej koperty. Robi wielkie zdziwione oczy, a na policzki wykwita mu bordowy rumieniec.

– Nie wściekaj się, doktorku. – Pacjent uśmiecha się z przekąsem. – Masz tutaj wszystko, co ci się należy. Bilet lotniczy z Trypolisu do Aleksandrii w Egipcie. Te tanie linie latają prawie codziennie. Jutro też.

– Że jak? – Rozjuszony Polak aż zgrzyta zębami, bo przecież nie ryzykował życia, by dostać byle jaki bilet lotniczy do zapyziałego Egiptu.

– Z Aleksandrii przejedziesz wynajętym autem do Kairu, skąd wyruszysz do Ameryki Południowej. Tu są następne bilety.

– Co ty mi tu...

– Na tej karteczce – Jasem wciska mu w garść żółty samoprzylepny papierek – napisałem ci numer rachunku bankowego, PIN, hasło i wszystkie kody dostępu. Naucz się tego na pamięć. – *O ile coś będziesz w stanie zapamiętać, pijaku*, podsumowuje w duchu. – Na lotnisku w Buenos Aires będzie czekał na ciebie umyślny i zawiezie cię do twojego nowego domu. Spodoba ci się, obiecuję.

– Będzie na mnie czekał dom? – szepcze doktor łamiącym się głosem. – Naprawdę?

– Przecież sam nie będziesz się użerał z kupnem. Znasz hiszpański? – Polak tylko niemo zaprzecza z całkiem zgłupiałą miną. – Zatrudniłem do pomocy gospozię, która zamieszka u ciebie w służbówce. A jak chcesz zabrać tę Ukrainkę – Jasem mruga porozumiewawczo okiem – dorzucam ci jeszcze bilety otwarte. Podaj dowolne nazwisko albo oddaj je na lotnisku i weź pieniądze. A to na dobry początek i na drogę. – Ostatecznie wręcza Adamowi cienką kopertę, w której jest dziesięć tysięcy dolarów. – Więcej oficjalnie nie wwieziesz, ale na kanapki na lotniskach powinno wystarczyć.

– Panie! – Starzec traci cały rezon, a łzy płyną mu z oczu szerokimi strużkami. – Ratujesz mi, staremu pierdziuchowi, życie. Niech Bóg ma cię w swojej opiece. – Nie mówi „Niech cię Bóg błogosławi”, bo zdaje sobie sprawę, że facet nie jest chodzącym filantropem i dobrą duszyczką, a jemu jedynie uczciwie rewanżuje się za dobrze wykonaną usługę. Po koleśkach pacjenta dokładnie widać, czym się zajmują, więc Polak domyśla się, że jego dobroczyńca jest niezłym zbirem. Lecz teraz, na starość, kiedy opuścili go dawni przyjaciele i byli sponsorzy, a i rodzina całkiem go skreśliła, cieszy się, że znalazł się ktokolwiek, kto pomoże mu godnie dożyć końca swoich dni. Nawet jeśli jest to typ spod ciemnej gwiazdy.

Doktor Adam szykuje swojego pupilka – perełkę w karierze chirurga plastyka – w drogę, ostrzegając go przed zdrowotnymi niebezpieczeństwami. Ten jednak nie chce za bardzo słuchać, choć ledwo szwy się na nim zagoiły. Pragnie już gnać za swoim przeznaczeniem. Dużo ma do zrobienia. Wiele spraw zostało otwartych, wiele rachunków niespłaconych. A jeszcze więcej niewyrównanych krzywd.

Przede wszystkim Alzani postanawia rozprawić się z zakłamanym plemieniem Zintani. Bynajmniej nie dlatego, że więzili oni przez długie lata syna Muammara Kaddafiego, jego

kumpla z czasów młodości, lecz ponieważ później to Libijczyka wspierali, a kandydata na prezydenta w osobie Jasema zdradzili. Czyżby Sajf al-Islam Kaddafi więcej im zapłacił? Zapewne, bo to przekupne diabelskie nasienie. Choć sam Alzani przyjął nazwisko Muntasir, takie samo, jakie nosi matka przywódcy plemienia Mohameda ibn Mohameda Zintaniego, to nic nie pomogło i ostatecznie dali się wplątać w schwytanie i uwięzienie dżihadysty. Sam ich wódz uczestniczył w brawurowej akcji w hotelu Corinthia. Saudyjski książę Anwar al-Saud, organizator puczu, musiał mu nieźle posmarować. Dlatego też dotknięty do żywego terrorysta trzyma urazę głęboko w sercu i postanawia wykończyć przede wszystkim syna z nieprawego łoża Blanki Muntasir i jego nieliczną już rodzinę. A kogo jeszcze z klanu uda mu się przy okazji zabić, to już będzie zależeć od okoliczności. Jego ludzie donoszą, że Mohamed po śmierci dziedziczki Dżamili Muntasir zamieszkał w jej kolonialnej rezydencji w górach niedaleko miejscowości Gharian. Tam też się udaje.

Duże samochody terenowe, poobijane i przypominające ruiny, lecz każdy z nowym silnikiem, zdobywają stromy masyw górski, jadąc serpentyną zwaną bilfingerówką, która powstała za dobrych czasów Kaddafiego, wybudowana przez niezawodną niemiecką firmę. Widok z góry jest oszałamiający, lecz żaden z dżihadystów nie interesuje się panoramą. Każdy siedzi w milczeniu. Oczy mają puste, a dusze skażone. Kompania jest nieliczna, ale składa się z samych doborowych wojaków. Jest wśród nich Piotr, który postanowił dołączyć do swojego pracodawcy, bo Libię zna doskonale, a i ma tutaj co niemiara dawnych, ale nadal dobrych kontaktów. Pozostali to sami recydywiści, zaprawieni w bojach podczas libijskiej rewolucji i późniejszej wojny domowej. Teraz cieszą się na dobrze płatną fuzkę, bo walki w Libii trwają nadal, ale traktowane są już raczej hobbystycznie. Nikt nikomu nie płaci, ale ci, co lubią zabijać i niszczyć, dołączają do licznych kompanii zbirów i zwyrodnialców i sieją chaos.

Kawalkada aut przed miasteczkiem Gharian zjeżdża z asfaltowej dwupasmówki i kieruje się szutrową drogą w stronę odludnych latyfundiów. Widoczność na tym obszarze jest kiepska, zabudowań w ogóle nie widać, bo teren jest zarośnięty przez wysokie, stare drzewa eukaliptusowe, gdzieś tam pojawiają się palmy, zaś gaje oliwne ciągną się kilometrami. Po obu stronach traktu za naturalny żywopłot służą opuncje, powszechne w Libii kaktusowate krzewy, niektóre wysokie nawet na dwa metry. Za nimi przeważnie królują chaszczce. Jasem zna ten teren jak własną kieszeń, więc w odpowiednim momencie skręca w wąską piaszczystą dróżkę i sunie na niskim biegu przez górki i dolinki. Wjeżdża do nieruchomości od strony karawanseraju 112, który jego druga żona Libijka Dżamila Muntasir uważała za swoją dobrą kryjówkę i myślała, że jej mąż nie ma o jego istnieniu bladego pojęcia. Jakże się myliła w tym i wielu innych względach, co zresztą, biedaczka, przypłaciła życiem.

Zajazd jest piętrowy i niemal doszczętnie zrujnowany. Grupa przemyka cicho jak duchy po zmurszałych podłogach do ciemnych pomieszczeń we wnętrzu budynku, a stamtąd uszkodzonymi, wyszczerbionymi kamiennymi schodami na dach, gdzie pod wiatą nadal stoją rattanowe krzesła, mały stolik i kolonialna szafa. Jest też lodówka, gdyż ktoś kiedyś podłączył tutaj prąd. Mężczyźni niczego nie potrzebują, bo mają swoje własne *coolboxy* i niewielki generator prądu. Dzisiaj raczej lamp nie będą włączać, będzie im musiało wystarczyć naturalne oświetlenie. Księżyc w tym regionie świata jest bardzo jasny i jakby bliższy ziemi, więc stanowi dostateczną latarnię dla przyzwyczajonych do ciemności oczu.

Piotr błyskawicznie uruchamia drona, włącza laptopa i rozpoczyna monitoring.

– No i mamy rodzinę w komplecie – po niedługiej chwili informuje, a Jasem nie może uwierzyć własnemu szczęściu. – Nawet żonka Zintaniego przyjechała z miasta przed chwilą.

– Świetnie!

– Może dajmy jej czas, żeby ugotowała kolację, to będziemy mieć przy okazji domowy

ciepły posiłek.

– Niech ci będzie. – Jasem klepie po plecach bezwzględnego współnika, stwierdzając, że jest bardziej zdegenerowany i bezduszny niż on sam. Coraz bardziej lubi tego młokosa znad Wisły.

Po niespełna godzinie grupa zamaskowanych napastników zbliża się pod kolonialny dworek. Jego były właściciel rzuca szybko okiem na budowlę i konstatuje, że tak pięknie i zasobnie chyba od nowości nie wyglądała. Wyszkolony za granicą inżynier Mohamed Zintani doprowadził ten dom do stanu świetności. Jednak nie jest to jego majątek, nic mu się tutaj nie należy i Jasem postanawia mu to uświadomić.

Ośmiu rostrych żołdaków atakuje dom w nocy, z zaskoczenia. Bez jednego strzału wyłapują całą rodzinę zniechęconego antagonisty oraz pięciu jego dalekich krewniaków, którzy akurat przyjechali w odwiedziny. Jasem jest usatysfakcjonowany. Jednak nie chodzi mu tylko o zabicie przeciwników, lecz przede wszystkim o zdobycie informacji o następnych osobach z jego listy. Dlatego też agresorzy mają za zadanie „zaopiekować się” tą nieszczęsną rodziną przez jakiś czas, nie gwarantując im łatwej, szybkiej śmierci. Niczego nieświadomi i niewinni współplemieńcy Zintaniego, którzy znajdują się tutaj przypadkowo, idą pod miecz od razu. Nikomu do niczego nie są potrzebni.

– *As-salamu alejkum*. – Jasem, jedyny bez kominiarki, uśmiecha się od ucha do ucha, rozkoszując się zaskoczeniem Mohameda, który zupełnie nie wie, co się dzieje i co to za facet przed nim stoi. Sięga odruchowo po kałasznikowa, lecz przybysz odradza ruchem głowy i mówi zabawnie: – Nu, nu, nu.

Słyszając hałas, z kuchni wybiega przerażona żona górala, której na spotkanie wychodzi jeden z mężczyzn. Porywcza kobieta dzieli go przez łeb ociekającą jeszcze pomidorowym sosem gorącą chochlą. W odwecie żołdak uderza ją w twarz i kobiecina bez przytomności pada na ziemię.

– Co ty wyprawiasz? – Piotr, który skompletował ludzi i czuje się za ich czyny odpowiedzialny, wścieka się na impulsywnego koleś. – Zanieś ją do pokoju i ocuć!

Facet bez szemrania bierze pod pachy grubaskę i sapiąc, ciągnie ją do sąsiadującej z salonem komnaty.

Polski wojak wbiega na piętro, doskonale wiedząc, kto tam rezyduje. Wyemancypowana córka Zintaniego zajmuje apartamenty Dżamili, niegdysiejszej dziedziczki starego rodu Muntasir. Jasem, przywódca specgrupy, postanowił ukarać Lailę w szczególności, a zarazem tak typowy dla arabskiej nacji sposób – oczywiście przez gwałt i tym samym pohańbienie, co niesie ze sobą skalenie dobrego imienia nie tylko samej zgwałconej, ale także najbliższej rodziny, rodu czy wręcz całego plemienia. Ten średniowieczny zwyczaj nadal pokutuje w każdym kraju arabskim, nawet jeśli jego elity wypierają się tego. Tak jest, było i będzie. Wszyscy to wiedzą, a tym bardziej sami Arabowie. Lider nie zamierza jednak upokorzyć dziewczyny osobiście, lecz chce się wyręczyć swoimi pomocnikami, którym tylko w to graj.

Laila, widząc wielkiego jak szafa zbója o niebieskich oczach, wie już, że ma do czynienia nie z Libijczykiem, nie ze zwykłym lokalnym zabijaką czy włamywaczem, lecz z dżihadystą. Tacy zwyrodnialcy i zbrodniarze po konwersji na islam drzwiami i oknami walili z całego świata do pseudo-Państwa Islamskiego, gdzie bezkarnie mogli oddawać się swoim chorym przyjemnościom – zabijaniu i niewoleniu dziewczyn i kobiet. Młoda panna, pomimo że nie ma najmniejszych szans, postanawia się bronić i nie oddać bezwolnie. Piotr, widząc jej przerażenie, ale też zaciętość i nienawiść w oku, aż się cieszy, bo jest stworzony do walki, a wszelki opór stanowi dla niego dodatkową podniecie.

*Przepowiadałam, że on wróci. Toż to zapewne koleś tego zbója, męża głupiej Dżamili,*

peroruje Laila w duchu. *Ostrzegalam. A ten idiota, ojciec, zalozył jedynie kraty w oknach. Chyba tylko po to, zebym teraz nie mogła wyskoczyć i w ten sposób skrócić swojego cierpienia. Wallahi!* Młoda chwyta w ręce ciężkie krzesło, które ledwo podnosi, i sama z siebie śmieje się na tak bezsensowny atak. Z całej siły jednak rzuca nim w napastnika. Potem szybko sięga do górnej szuflady sekretarzyka, skąd wyjmuje starożytny piękny kindżał. Pomimo że wielokrotnie go ostrzyła, stara wyszczerbiona stal jest może dobra do rozcinania kopert, ale na pewno nie do samoobrony. Piotr wygłupia się przez chwilę, zgrabnie odskakując, by uniknąć nieudolnych pchnięć dziewczyny, lecz szybko mu się to nudzi. Chwyta ją za nadgarstki, wrywa antyk z ręki i popycha na łóżko. Podczas zmagania włosy dziewczyny wypadają spod klamry i czarnymi puklami zakrywają poduszkę. Jej kolorowa, arabska podomka podwija się nad kolana, odsłaniając zgrabne, szczupłe nogi. Z jej oczu w ciszy spływają rzęsiste łzy. Mężczyzna spodziewa się okrzyków rozpaczki, błagania, ale od dumnej ghariańskiej góralki się ich nie doczeka. Przyjmuje ona swój los w milczeniu i jedynie wbija w agresora i następujących po nim gwałcicieli swój pełen oskarżenia, zimny wzrok. Złoczyńców taki akt przemocy szczególnie nie bawi, robią to jedynie, by sobie ulżyć. Żadnej przyjemności im nie sprawia, kiedy napastowana nie wije się pod nimi i nie krzyczy, nie szlocha i nie skomle. Mają pod sobą jedynie cuchnący potem, a później także spermą kawałek zmaltretowanego ciała. Chcąc wywołać w niej typowe babskie odruchy, każdy przynajmniej raz uderza molestowaną w twarz, głowę, pierś lub miazdzy jej ramiona czy pośladki, jednak i to nie przynosi żadnych efektów. W łóżnicy panuje cisza, jedynie co jakiś czas dochodzi stamtąd sapanie i samczy jęk spełnienia. Kiedy już wszyscy, którzy chcieli, opróżnili nabrzmiałe jądra, co bardziej wygłodniali nawet dwa razy, zostawiają zgwałconą w spokoju. Pilnuje jej zaskoczony jej zachowaniem Piotr, który stwierdza, że Libijka ma twardego charakter, i nawet darzy ją jakimś specyficznym rodzajem szacunku.

Mohamed Zintani idzie na pierwszy ogień przesłuchań. Kiedy najemnicy zabawiają się z jego córką, torturują psychicznie jego żonę Hajat, bo jakoś nikt nie ma ochoty na zgwałcenie tłustej, dość obmierzłej babki, sam ich przywódca zajmuje się starym, zaprawionym w bojach mężczyzną. Wie, że nie będzie to łatwy orzech do zgryzienia.

– I co? Nie poznajesz mnie? – Jasem jest bardzo zadowolony. – Nie spodziewałeś się, że wrócę do tego popieprzonego kraju, co? Do waszej krainy mlekiem i miodem płynącej – ironizuje.

– Nie spodziewałem się takiej głupoty – stary ze zwieszoną głową mruczy pod nosem. Jest już trochę osłabiony ciosami najemnika, który służy liderowi za pomagiera, bo przecież on sam nie będzie sobie rąk brudzić byle gnojkiem. – Po co żeś tu przylazł? Życie ci niemiłe?

– Bardzo miłe, bardzo miłe. – Radość aż bije z oczu pół-Syryjczyka, który aktualnie wygląda jak mieszanka bladoliciego Europejczyka z Indianinem spod Machu Picchu. – Czyżbyś zapomniał o nakazie z Koranu, mój ty ignorancie?

– Cóż znowu? Pamiętam, nie zabijaj... – rzezi Mohamed, bo nie jest już młodym człowiekiem i czuje, że jego serce nie przetrzyma dzisiejszego wieczoru.

– Nasza święta księga naucza, by mścić się na naszych wrogach.

– Udało ci się umknąć z życiem, a ty zamiast się z tego cieszyć i wykorzystać ten dar od Boga, który ci się absolutnie nie należy, włazisz znów w gniazdo szerszeni, bo wendeta całkiem zaćmiła ci umysł. Co z ciebie za człowiek?!

– To nie tylko zwyczaj, to konieczność. To obowiązek każdego dobrego muzułmanina. – Jasem bredzi jak nawiedzony, bo jego psychika znów balansuje pomiędzy normalnością a psychozą. Zdecydowanie jest niestabilny, bipolarny, zwyczajnie nienormalny. Groźny szaleniec

na wolności zagraża nie tylko wybranym i wpisanym na jego listę śmierci, ale i całkiem przypadkowym osobom, które w złym dla siebie czasie i miejscu staną na jego drodze.

– Jesteś obłąkany – podsumowuje torturowany, wiedząc, że nie ma już szans na ocalenie nie tylko siebie, ale też swojej rodziny.

– Kiedy Musa Kusa<sup>113</sup> cię odwiedzi? – naciska dżihadysta. – Czy przyjeżdża tutaj regularnie? Co teraz robi? Gdzie mieszka? Czy dalej utrzymuje kontakt z saudyjskim księciem? Czy ty utrzymujesz? Ile wam zapłacił za obalenie i schwytanie mnie? – Magluje mężczyznę, a ten tylko patrzy na niego twardym wzrokiem i z pogardą wykrzywia twarz.

– Czyś ty oszalał, człowieku? – wtrąca góral, kiedy wzburzony Jasem bierze oddech. – Sądzisz, że coś ze mnie wyciągniesz? Przecież ja jestem z plemienia Zintani! – Jego pochodzenie wszystko wyjaśnia i wiadomo, że ni prośbą, ni groźbą mężczyzna nie zechce kooperować.

– Każdy pragnie żyć. – Jasem w sumie spodziewał się tego. – Zabawimy się z twoją córką i żoną. – Sądzi, że znalazł haczyk na ojca i męża. – Chcesz ich hańby?

– Już to zrobiliście. Trudno. Allah w *dżennie* im to wynagrodzi – pociesza się muzułmanin.

– Siedemdziesięcioma dwiema hurysami? – Dżihadysta wybucha wrednym śmiechem. – Nie sądziłem, że są lesbijkami – bluźni, szydząc z koranicznego obrazu rajy.

– Nie trudź się, Jasemie. – Mohameda to nie rusza. – Skończ tę żenadę. Idź w swoją stronę z tą nową gębą i szczeńnij w piekle. *Gehenna*<sup>114</sup> już na ciebie czeka.

– Powiedz przynajmniej, jak się ma wredny Sajf al-Islam? – Alzani chce uzyskać jakąkolwiek informację. – Jak aktualnie zabawia się wasz kandydat na prezydenta? Zawsze był pierwszy do imprezek i seksu. Nawet mojej żony sobie nie odpuścił.

– Twoja sprawa, twój wstyd. Mnie nic do tego. – Mężczyzna wzdycha ciężko, lecz tlen nie odżywia jego ciała i coraz bardziej brakuje mu tchu. – Nie trudź się już dłużej.

– Niech cię лихо porwie! – Jasem nie ma czasu na zmiękczenie twardego. Teraz już wie, że na szybkiego nic nie zyska. Jego ludzie będą musieli zacząć węszyć, chociaż każde dziecko w Libii wie, że młody Kaddafi jest mistrzem w ukrywaniu się i zacieraniu śladów. Ma to w końcu po swoim tatusiu pułkowniku.

Perfidny, zбочony zabójca na pocieszenie wymyśla genialny plan. Jeśli nie jest w stanie niczego wyciągnąć z twardego jak skała Libijczyka, to przynajmniej zemści się na nim duchowo. Kiedy ciało muzułmanina będzie zdekompletowane, a szczątki nie zostaną pochowane na cmentarzu z twarzą skierowaną w stronę Mekki, islamska dusza nigdy nie zazna spokoju, nigdy nie trafi do rajy i nie otrzyma zbawienia. Będzie skazana na wieczną tułaczkę. Jeden jedyny wyjątek od tej reguły stanowią *shahidzi*, samobójcy zamachowcy, których po wybuchu ładunku trudno by było zebrać w całości, lecz do takowych Mohamed Zintani bynajmniej się nie zalicza.

Taki los wiecznego tułacza sadysta chce zagwarantować swojej ledwo już żywej ofierze. Razem ze specami od tortur rozłupuje dłonie Zintaniego młotkiem, ścina mu opuszki palców u rąk, miażdży twarz, łamiąc nos, i wybija szczękę, a na koniec skalpuje włosy. Tę brudną robotę odwalają w służbówce. Znęcają się nad jeszcze żywym zezwłokiem, który wiję się i charczy, lecz żadnego logicznego dźwięku nie artykułuje. Kiedy, o dziwo, nadal jeszcze dycha, wyłupiają mu oczy. Na koniec, dla czystej przyjemności, uniesiony furią z powodu uporu delikwenta, Jasem rozplątuje mu brzuch i ciepłe, cuchnące kiszki wylewają się na podłogę. Odurzająco śmierdzą kwasem i pikantnym, przyprawionym ziołami jedzeniem. W pomieszczeniu unosi się smród czosnku i rozmarynu, pomieszany z fekaliami i sokami trawiennymi.

– Wynieść na dach karawanseraju i zostawić na słońcu. Niech skruszeje – wydaje polecenie, a dwóch jego ludzi ledwo trzyma treść żołądka za zębami. Jeśli teraz by zwymiotowali, prawdopodobnie podzieliliby los torturowanego. Słabi i wrażliwi do niczego



swemu przywódcy nie są potrzebni.

Laila najbardziej z całej tej rodziny działa na nerwy bezwzględnemu despotycznemu mężczyźnie. Dlaczego? Bo czuje w niej siłę i niezależność, a tych cech u kobiet nie znosi. Nie toleruje i basta. Teraz postanawia się nią sam zająć, dać jej nauczkę, bynajmniej nie gwałcąc, bo to zrobili już inni. Jasem Alzani, zboczony oprawca i profesjonalista, kiedy znów czuje słodki zapach krwi, którą ma na rękach, przypomina sobie to boskie uczucie, które ogarnia człowieka przy zabijaniu. Przy odbieraniu życia. Podczas bawienia się w Pana Boga.

– Gdzie jest Sajf al-Islam? – Tego musi się dowiedzieć, bo były przyjaciel jest na szczycie listy osób, na których chce dokonać zemsty.

– A skądże ja mogę to wiedzieć? – Dziewczyna patrzy na nieznanego faceta jak na zjawę i tylko domyśla się po jego głosie i spojrzeniu, z kim ma do czynienia. Wie, że nie tyle jej dni czy godziny, ile sekundy są już policzone. – Zapytajcie ojca – buńczucznie odpowiada.

– Niestety, ten stary śmierzdel nie chciał współpracować.

Po tych słowach córka już wie, że jej ukochany, choć naiwny i głupi tatko nie żyje.

– *Bi-ismi Allāhi Ar-Raḥmāni Ar-Raḥīm...* – zaczyna recytowanie *bismilli*<sup>115</sup> za jego zmaltretowaną, dobrą duszę.

– Chcesz, żeby teraz moi ludzie zajęli się twoją mamusią? – grozi terrorysta.

– Nie! – bezwiednie wykrzykuje dziewczyna, a łzy mimowolnie zbierają się w jej czarnych oczach. Doskonale wie, że są w sytuacji bez wyjścia i żadna jej odpowiedź – ta dumna czy ta pełna unżenia – ani mamie, ani jej nic a nic nie pomoże.

– Gadaj! – Jasem pochyla się nad nią i mocno chwyta ją pod brodę. – Już!

– Wiem jedynie, że chroni go cała armia lepiej od was wyszkolonych najemników. Nic mu nie zrobicie. Nie dostaniecie go w swoje ręce.

– To się jeszcze okaże, laluniu.

Obracając się na pięcie jak tancerz, wyćwiczonym, miękkim ruchem terrorysta wyciąga długą na ponad pięćdziesiąt centymetrów maczetę z pochwy i jakby od niechcenia obcina kobiecie głowę. Potem wywija jeszcze kółko stalowym ostrzem nad ciałem ofiary, a następnie wyciera narzędzie zbrodni w prześcieradło. Szkarłatna krew bryzga z szyi młódki na wszystkie strony, zalewając kolonialne łoże z baldachimem i koronkową zasłoną w kolorze é cru, pościel oraz piękne szafki nocne, a nawet stojącą dalej toaletkę. Jasem bierze głęboki wdech. Metaliczny zapach łaskocze jego zmysł powonienia, ale nie wywołuje odrazy, jak u każdego normalnego człowieka. Jemu szumi w głowie z upojenia, a serce przyspiesza, wlewając w jego członki nową energię i zapomnianą już żądzę mordy. *Pragnienie zabijania jest jak narkotyk*, przelatuje inteligentnemu mężczyźnie przez myśl. *Z tego nałogu też się nie wychodzi.*

Idzie zatem do nieszczęsnej matki i żony Hajat, która siedzi w fotelu w salonie i czeka na swoją kolej. Ofiara ma ręce przytwierdzone do podłokietników, przez jej klatkę piersiową i obfity biust oraz szyję przebiegają pasy srebrnej taśmy klejącej, trzymając nieszczęsną jak w kleszczach. Rzeźnik jednym szarpnięciem zrywa jej knebel z ust.

– Powiesz mi, gdzie jest młody Kaddafi? – pyta, choć zdaje sobie sprawę, że na tym froncie również nic nie wskóra.

Kobieta podnosi zmasakrowaną twarz i spoziera na niego spode łba. Przez chwilę zbiera w ustach ślinę z krwią, a potem pluje w twarz oprawcy.

– Bądź potępiony! – przeklina terrorystę.

Sekundę po tym spada i jej głowa.

– Posprzątać! – z przerażającym uśmiechem na ustach Jasem wykrzykuje do swoich podwładnych. – Zakopać te dwie grzesznice koło karawanseraju w ogrodzie! – wydaje rozkazy jak szczeknięcia. – Sześciu z was pozostanie tu tak długo, aż pojawi się Musa Kusa, a może

nawet sam Sajf al-Islam. Jak już ogarniecie ten bajzel, rozpuśćcie wici i dowiedzcie się, gdzie te skurwysyny się zaszyły. Natychmiast!

Karni mężczyźni błyskawicznie zabierają się do roboty. Piotr i jego lider nie są od sprzątanania, za to zabijanie mają we krwi, co łączy wszystkich zebranych w tej brygadzie łotrów. Nie zwlekając, rozpoczynają śledztwo na szerszą skalę. Mają układy i kontakty – i jeśli oni nie wyśledzą tych dwóch, to już nikt tego nie dokona.

112 Karawanseraj (arabski) – dom zajezdny dla karawan lub miejsce postoju karawany z pomieszczeniami dla podróżnych, niszami chroniącymi przed słońcem, magazynem do przechowania towarów, często o charakterze obronnym, budowany w krajach arabskich, Persji i Azji Środkowej.

113 Zob. indeks nazwisk.

114 *Gehenna* (arabski) – koraniczne piekło.

115 *Bismilla* (arabski) – krótka formuła modlitewna wypowiedana przez muzułmanów przy wielu ważnych okolicznościach, takich jak narodziny, śmierć czy ślub.

## UKOCHANY SYN

Tymczasowo Jasem lokuje się w kolonialnej willi, bo o dziwo, czuje do niej jakiś bliżej nieokreślony sentyment. Nieraz przebiega mu przez myśl, że gdyby nie sięgnął po najwyższy stołek w Libii – po fotel prezydenta, gdyby nie był taki pazerny, mógłby tutaj spokojnie żyć i zwyczajnie się tym życiem cieszyć. Nocami śni o czasach, kiedy byli tu jeszcze wszyscy razem: on, jako głowa domu i rodu Muntasir, z doskoku Sajf al-Islam, z którym tak wspaniale udawali nieznanomych, oraz pierwsza żona Jasema Darin, która jak nastolatka straciła głowę dla jego byłego kumpla i pieprzyła się z nim na potęgę pod bokiem męża. W jego nocnych marach pojawia się również libijska małżonka Dżamila Muntasir, od której przejął dobre, znane w Libii nazwisko. Czasami czuje jej gorący oddech na policzku i jeszcze gorętsze, wyuzdane pieszczoty. To była kochanka! Jak wulkan, jak lava, szalona i perwersyjna. Zupełnie nie jak Arabka, której od dziecka wpaja się skromność i wstyd. Gdyby zauważył, że w ostatecznej rozgrywce za Sajfa podstawiono sobowtóra, a oryginał skrzętnie ukryto, to może zorientowałby się na czas i uciekł. Może by zrezygnował. Wycofał się. Kiedy jednak takie dywagacje pojawiają się w jego głowie, sam szczerze przed sobą wyznaje, że nie. Nigdy nie zrezygnowałby ze swoich ambicji.

Pobyt w górach Gharianu nie służy Jasemowi. Ogarnia go zbyt dużo wspomnień, zbyt wiele myśli absorbuje. Staje się coraz bardziej nerwowy, bo nie może dać sobie rady z samym sobą. Zaczyna wątpić w słuszność nie tylko wendety, którą podjął, ale także całej swojej drogi życiowej. Chodzi między najemnikami jak gradowa chmura i każdy ustępuje mu z drogi. Jasem wie, że musi podjąć jakieś kroki, zacząć działać, bo za chwilę wpadnie w obłąd, a może nawet w depresję. Teraz coraz bardziej chciałby wrócić do Eve i malutkiej Julii. Zmaga się z tym pragnieniem każdego dnia i każdej samotnej nocy. *Odpuścić... Odpuścić...*, przelatuje mu przez głowę coraz częściej. *Przywiozę im piękne prezenty*, postanawia pewnego cudownego dnia, kiedy niebo jest niewyobrażalnie błękitne, a powietrze czyste jak kryształ. Ptaki świergocą, gałęzie drzew szumią, muskane podmuchami delikatnego wiatru, a ziemia, pieszczona promieniami słońca, wydaje odurzający zapach.

Jasem wybiera się na krótką przejażdżkę, zabierając ze sobą tylko Piotra, swoją prawą rękę. Jadą quadem, bo teren jest dziki i niedostępny. Daria i jej poplecniczka, stara Brytyjka Blanka Muntasir, myślały, że tylko one znają sekret jaskini z ukrytymi w niej skarbami. Nie zdawały sobie sprawy, że już wtedy były dokładnie śledzone i że ich pan i władca o każdym ich kroku był informowany. Dzisiaj Jasem po raz pierwszy postanawia osobiście udać się w opisywane mu po wielokroć miejsce. Mężczyźni podjeżdżają pod małe turkusowe jezioro.

– O ja pierdołę! – Piotr w typowy dla swej grupy społecznej sposób wyraża oczarowanie i emocje. – Ale tu pięknie!

– Nie powiem. Całkiem, całkiem. – Jasem nie chce się przyznać do zachwyty, bo musi być wyzuty z wszelkich tego typu uczuć. Inaczej okaże się słaby. – Siadaj na brzegu. Możesz pomoczyć sobie dupsko w wodzie.

– Dzięki. A ty gdzie się wybierasz?

– Nie bój się. Niedaleko. Będziesz mnie miał na oku. – Pokazuje na skałę znajdującą się po drugiej stronie akwenu.

Piotr zwilża w krystalicznie czystej wodzie ręce, by zaraz ściągnąć wojskowe buciory i wsadzić do niej zapocone stopy. Wzdycha z rozkoszą.

W tym czasie Jasem wchodzi na niewidoczną, zarośniętą chaszczami boczną ścieżkę prowadzącą dookoła jeziora i wspina się na niebezpiecznie śliskie, polewane niewidzialnymi

strumyczkami, okalające to miejsce skały. Wejście do jaskini jest zastawione wielkim głazem. Zostawiono tam jednak szczelinę, przez którą może przecisnąć się smukły człowiek. Mężczyzna wyciąga z kieszeni latarkę i sprawdza sporych rozmiarów pieczarę. Na skalnych półkach stoją gliniane dzbany z posegregowanymi monetami miedzianymi, srebrnymi i złotymi z okresu panowania w Libii Marka Aureliusza oraz z najstarszymi, nadgryzionymi przez ząb czasu monetami punickimi. W innej części ustawiono antyczne zbroje oparte o ściany, a w skrzyniach leżą miecze, kindżały i sztylety, począwszy od bardzo starych, metalowych i wyszczerbionych, przez nowsze z wysadzaną klejnotami rękojeścią, a skończywszy na krótkich arabskich ze srebra lub złota wsadzonych w pochwy na przepysznych pasach. Jako typowy mężczyzna od razu po nie sięga, mierzy w ręce i wyciera z kurzu. Bardzo mu się podobają. Tę część skarbu chce dla siebie. Starej, wartościowej biżuterii nie jest dużo, ale jest ona imponująca – ciężka i wręcz ocieka bogactwem. Typowe arabskie diademy i wisioły panny młodej, sięgające zazwyczaj aż do pasa, oraz bransolety na nadgarstki i kostki wykonano ze srebra lub złota. Oprócz tego znajdują się tutaj pudełka i puzderka, lusterka w różnorodnych oprawach oraz elementy damskiej toalety, takie jak szpilki czy grzebienie do włosów ze zdobieniami z półszlachetnych kamieni lub masy perłowej. Jest też ogromna ilość malachitowego rękodzieła, jak misy, dzbany, zastawa stołowa, nawet szachy czy ozdobne jaja. Męskich sygnetów jest cała skrzynia, ale są to raczej nowożytny wyroby, toporne, byle jakie i wykonane jak od siekiery. *Te główna zostawię* – odkrywca patrzy z obrzydzeniem na lokalną produkcję – *ale resztę zgarnę*, postanawia. *Błyskotki dla mej czarnulki i malutkiej kruszynki, a czego nie będzie chciała, to Junis opchnie w swoim sklepie, hotelu czy na suku. Jeszcze się na tym coś zarobi. A może ja jakiś sklep otworzę?*, zastanawia się, już całkiem mięknąc. Zachowuje się tak beztrąsko, jakby niedawno nie wymordował całej niewinnej rodziny, nie miał w ogrodzie gnijącego trupa, a trzy metry pod ziemią świeżych zwłok.

Kiedy pojawia się z pierwszą partią ciężkich, drogocennych towarów, Piotr nie może wyjść z zadziwienia.

– Dawaj! Trochę się obłowimy w antyki! – Jasem bierze kompana do spółki. – Tutaj, widać, nikomu to nie jest potrzebne, skoro zostawili to na takim odludziu. W jaskini już dość leżało. Do nikogo nie należy.

– Jak to do nikogo? – Polak aż wstrzymuje oddech na widok takich skarbów, bo od razu wyobraża sobie, że są warte miliony euro. – Należy do nas!

\*\*\*

– Musimy wrócić po naszego syna do Libii. – Pewnego razu do zaskoczonego Jasema dzwoni Abdul. – Inaczej Judith zwariuje.

– Czyś ty oszalał?! – zaskoczony zbieg aż wrzeszczy do słuchawki. – Niechybnie cię złapią, a ty, głupku, wyśpiewasz im wszystko na torturach. Nie przeżyłbyś nawet jednej setnej tego co ja. Jednej tysięcznej!

– Może i nie przeżyję, ale moja żona jest dla mnie najważniejsza. Ciągle płacze, ciągle rozpamiętuje, lamentuje...

– Rozumiem cię. Mój syn też pozostał w tym przeklętym kraju – dżihadysta próbuje uspokoić rozmówcę.

– No i? Możesz z tym dalej żyć? – płaczliwie kwęczy były morderca o czułym sercu.

– Tak się składa, że aktualnie jestem w Libii i odbiorę naszych synów osobiście – oznajmia Jasem, choć ten pomysł dopiero teraz narodził się w jego głowie. Jakimś bakiem sam z siebie w życiu by sobie głowy nie zawracał i nie ryzykował dla takiego życia, ale kiedy się dowiaduje, co się dzieje z jedną matką, stwierdza, że zapewne druga, jego żona, musi przeżywać to samo. *Wtedy Darin na pewno do mnie wróci*, przebiega mu przez myśl. *A jeśli nie, to*

*przynajmniej będzie tańczyć tak, jak jej zagram.*

Choć nie za bardzo ma rękę do dzieci, mało go one interesują i przeważnie idą mu na nerwy, postanawia dotrzymać słowa danego Abdulowi – zabrać jego syna od dziadków i przywieźć go do stęsknionych rodziców w Gran Canarii.

O zmierzchu sam jedzie starą ghariańską drogą na małym, lecz silnym i zażywym osiołku. Po raz pierwszy pokonuje tę trasę i dopiero teraz zauważa, jak jest tu pięknie. Ciągąca się kilometrami kamienista serpentyna wręcz oszałamia widokami i urodą natury. Nie dziwi się Darii, która tak uwielbiała tę karkołomną ścieżkę, odważnie pokonując ją dwukółką. Otaczający drogę piniowy las niesie chłód, ale przede wszystkim niesamowity aromat, oferując podróżnikowi darmowe naturalne inhalacje. Mężczyzna znów jest ubrany w arabski tradycyjny strój – pantalon, tunikę i turban. Swojej odmienionej twarzy pilnie strzeże, zasłaniając ją rąbkiem szala zarówno przed okiem ciekawskich, jak i od pyłu oraz wiatru, które mogą niekorzystnie wpłynąć na nadal gojące się rany i delikatną, naciągniętą skórę.

Podjeżdża pod farmę staruszków, którą w ciągu dwudziestu lat używalności potrafili doprowadzić do całkowitej ruiny. *Co za dziadowska, niechlujna nacja*, oburza się Jasem, patrząc na tynk odchodzący z murów domostwa, brudne zacieki ciągnące się na całej długości płaskiego dachu aż po podmurówkę, bramę wiszącą na jednym zawiasie oraz niegdyś bogaty, podarowany przez przywódcę kraju Muammara Kaddafiego park maszyn. Traktor Ferguson, pług, mały kombajn i inne sprzęty rolnicze zdezelowane stoją na sporym podwórzu. *Pole uprawne zapewne już dawno obumarło i zarosło krzakami*, podsumowuje, patrząc na głębinową studnię, z której odchodzą rury, kiedyś służące do melioracji, a dzisiaj skorodowane i ciekące. Wypływająca z nich źródłana woda razem z piachem i pyłem tworzy na podwórku breję, w której taplają się kaczki i z której piją zabiedzone, chude jak szczapy kozy i barany. *Nieroby!* Gardzi ludźmi, którzy marnują dobytek, nawet jeśli dostali go za darmo. Ich naiwny wódz myślał, że coś jeszcze z nich i z tej jałowej ziemi da się wykrzesać. *I ja chciałem takim nędznym narodem rządzić!*, aż się dziwi samemu sobie. *Dobrze się stało. Allah nade mną czuwał.*

Jako że wcześniej zaanonsował swoją wizytę, starzy rodzice Abdula czekają na niego.

– Nie oddamy dziecka *sabiji* – od razu informują i zasłaniają własną piersią wejście do pokoju wnuka. – To pierworodny naszego syna, nikt nam już z rodziny nie pozostał. Jak Abdul wróci do domu, do ojczyzny, to syn będzie na niego czekał.

– Nie wróci – oświadcza Jasem. – Jak się tu pojawi, to niechybnie czeka go śmierć.

– Nie szkodzi – mówi ojciec. – Śmierć *shahida* lepsza niż życie wygnańca.

– I męża niewiernej – dorzuca matka.

Stary i jego żona okazują się fundamentalistami z krwi i kości. Teraz Jasem już wie, kto ukształtował charakter młodego Libijczyka i jego siostry. Jednak nic go to nie obchodzi. Chce wziąć dziecko i koniec, a te dziady mu się sprzeciwiają. Zaczyna go to denerwować.

– Obiecałem Abdulowi, że przywiozę chłopaka. Macie go oddać, i to bez dyskusji. – Maca kindżał zatknęty za paskiem pod tuniką. – Dałem słowo, a słowo to rzecz święta.

– Nie ma mowy! – Dziad z uporem maniaka kręci głową.

– Siadaj, panie, boś strudzony. – Babka zaczyna się krzątać po salonie, gdyż gość w dom, Bóg w dom i nawet niechcianego przybysza trzeba czymś poczęstować. – Stary, daj panu lemoniady. – Chce załagodzić spór. Liczy, że jak ten dziwny przyjezdny o zupełnie niearabskich rysach, a perfekcyjnie władający ich językiem, się naje, to pójdzie po rozum do głowy i zrezygnuje ze swojego pomysłu. Widać wychodzi z założenia, że przez żołądek do serca, nie wiedząc, że gość zbyt miękkiego serca nie ma.

Jasem siada w kącie przeznaczonym do odpoczynku, który pełni chyba także funkcję sypialni i jadalni. Na ziemię rzucono tu parę cienkich piankowych materaców, których powleki

dawno już straciły jakikolwiek kolor i przypominają szmaty do podłogi z przyklejonymi resztkami jedzenia. Wielokrotnie były też zalewane słodkimi napojami, bo lepią się do ubrania i są wysiedziane do granic możliwości. Pod ścianą leży parę poduszek w podobnym stanie. Między nimi uwijają się wiecznie głodne wielkie mrówki oraz upasione karaluchy, które przy tej ilości odpadków znalazły tu swój raj i wylęgarnię. Po chwili do salonu wchodzi koza, którą stary dziad niechętnie przegania, a babka w ogóle nie zwraca na nią uwagi. Jasema nie dziwi już kozie i baranie bobki na zniszczonym lastriko, które teraz bardziej przypomina klepisko, bo do całego domowego brudu przez otwarte drzwi wiatr zawiewa do środka wszechobecny piach.

– Napij się, panie, herbaty. – Matka Abdula stawia parujący dzbanek na koślawym stolczku w kącie i wręcza gościowi niewielką czarkę z gorącym płynem. – Może zjesz coś, boś z drogi? – Rozpościera zwinięty w kącie dywan, kładzie na nim ceratę i zabiera się do serwowania poczęstunku.

– Masz rację, matko. Zmęczonym, a daleka droga powrotna przede mną. – Jasem używa gwary, żeby starcy poczuli się swojsko i spełnili w końcu jego żądanie. – Dlatego wezmę chłopaka i pojedę już.

– Nie, *ja said*. Tyś w ogóle jakiś nie z naszych. Nie wiem, z kim ten nasz głupek się zadaje, ale dziecko należy do rodziny, nosi moje nazwisko i nie oddam go. – Głowa rodu bije się po udach ściśniętymi w pięści dłońmi, a ogromna złość bije z jego oczu.

– Dlaczego? Miałyby dobrze w świecie. Pójdzie do szkół, na uniwersytet – jeszcze zachęca inteligent.

– Nie ma mowy! – wybucha stara, aż łapiąc się za siwą głowę, nakrytą brudną, postrzępioną chustą. – Szkoły tylko go wypaczą. Zmanierują. Odsuną od czystej wiary. Od Allaha i dżihadu!

– Nie damy Nazima i koniec! – Wygląda na to, że za chwilę zażywny Libijczyk rzuci się na nadzwyczaj spokojnego Jasema.

To ostatnie słowa, które wypowiada, a jego żona już nawet nie zdąży wziąć głębszego oddechu, bo Jasem jednym długim cięciem podrzyna gardło jednemu i drugiemu. Jak na zamówienie ustawili mu się w jednej linii.

– No i koniec gadania po próżnicy – chłodno podsumowuje, choć mocno mu już szli na nerwy.

Następnie idzie po Nazima, który przez cały ten czas siedział w swoim pokoju, jak zapewne przykazali mu dziadkowie. Widać to karny malec, bo nosa nawet nie wyściubił. Jasem ma przed sobą typowego arabskiego pastuszka, jak ze starej litografii. Chłopczyk nie ma butów i chyba rzadko je nosi, bo jego pięty są prawie czarne, a skóra gruba jak podeszwa. Pantalony i bluzę ma brudne i potargane, a ciało, sądząc po słodko-kwaśnym zapachu, niemyte chyba od miesięcy.

– Chodź no tu. Zabiorę cię do taty i mamy – obiecuje serdecznie terrorysta.

Mały jednak, widząc obcego, wrzeszczy, jakby go ze skóry obdzierali.

– Przestań! – woła Jasem. – Uspokój się!

Powoli zbliża się do chłopca, na co ten szaleńczo wierzga, kopiąc na prawo i lewo. Kiedy wyciąga rękę, malec rzuca się jak dzikie zwierzątko i z całej siły gryzie go w dłoń. Tak mocno wbija się zębami, że niechciany wybawiciel musi trzasnąć go w głowę, by rozluźnić uścisk młodej szczęki. Kilkulatek pada, uderzając skronią o jedyny mebel w pokoju – drewnianą nocną szafkę. Zamiera w bezruchu. Jego otwarte oczy najpierw wyrażają zdziwienie, by po krótkiej chwili zająć mgłą.

– Jasny gwint! – Jasem nie jest zadowolony, ale w sumie musi przyznać, że jeden problem ma z głowy. W ogóle nie zdawał sobie sprawy, jakie może mieć kłopoty, wioząc obcego

i w dodatku nieposłusznego bachora. Teraz dopiero zastanawia się, jak jego własny syn zareaguje na nieznaną sobie twarz. – Niech to diabli wezmą! – Stwierdza, że pod tym względem jego plan jest do bani. Trzeba było przyjechać po Ahmeda, kiedy jeszcze wyglądał jak Mohamed Arabi Muntasir. Czy malec nie zachowa się tak jak ten dzieciak? Niedługo się o tym przekona. Potrzebuje go jako karty przetargowej. Musi go okiełznać i stąd zabrać!

Wychodzi z farmy libijskich wieśniaków, zostawiając uchylone frontowe drzwi. Wie, że w okolicy jest wiele zgłodniałych dzikich psów, które na padlinę reagują jak wilki. Zanim ktokolwiek się zorientuje, skonsumują zaszlachtowane ciała. A dzieciaka zjedzą na deser.

– Witam, jaśnie pani *indżlizija*116. – Jasem staje w progu domu Blanki Muntasir, matki człowieka, którego nie tak dawno zamordował, i babki jego zabitej połowicy Dżamili. Brytyjka była także przyjaciółką jego pierwszej żony Darin, która tutaj, w Libii, znalazła w tej starej kobiecie swoją najlepszą powierniczkę. – Jak się pani ma, moja droga?

– Kim pan, do diaska, jest? Czego pan tutaj szuka? Amina! Muna! – nawołuje służące. – Mustafa! – krzyczy na ochroniarza.

– Obawiam się, że tam, gdzie poszli, twój wąty głosik nie sięgnie – kpi morderca.

– Czegoż chcesz? Pieniędzy? Biżuterii? Bierz wszystko!

– Gdzie jest Ahmed?

– Jaki Ahmed? – Blanka udaje Greka. – O kim ty mówisz, chłopcze? – Odnosi się do niego pełnym lekceważenia tonem, jak do czarnego niewolnika.

– O tym, którego powierzono twojej opiece. Nie wiem w ogóle dlaczego. Na jakiej podstawie?! – Jasem podnosi głos. – Tyś taką jego babką jak ja twoim dziadkiem!

– Ach! Pan pseudo-Mohamed Arabi pseudo-Muntasir! – Angielka już wie, z kim ma do czynienia, choć w życiu by go nie poznała. – Ale ci gębę przemacerowali. Funkiel nówka! – Pozwala sobie na szyderstwo, bo spodziewa się, że to jej ostatnie chwile. – Jedynie te zimne jak lód gały mogłyby cię zdradzić, ale kto by w nich czegoś szukał, kiedy cała reszta jest taka... – zamyśla się – ...odmienna od prototypu. – Na Boga! – Cyka językiem o podniebienie w iście arabski sposób, wyrażając nie wiadomo czy zachwyt, czy dezaprobatę.

– Gdzie mój syn Ahmed? Żyje?

– O, czyżby się pan terrorysta o kogoś martwił? Czyżby nawet kogoś kochał? Nie, niemożliwe. Musisz tego dzieciaczka potrzebować do swojego kolejnego pokrętnego planu. Ty skurwysynu!

Dżihadysta przyskakuje do staruszki i najdelikatniej jak potrafi packa ją w twarz. Nie ma zamiaru jej zabić. Jeszcze nie.

– Ostatni raz powtarzam: gdzie jest Ahmed? Gdzie mój syn?

– Już go zabrali. Ktoś cię ubiegł. – Kobieta rechocze zadowolona, a rozsypane białe włosy zasłaniają jej niegdyś piękną, a dziś pomarszczoną i zniszczoną twarz. – Mam nadzieję, że go nie znajdziesz. Nigdy! Niech cię piekło pochłonie! Niech...

Blanka Muntasir, która w Libii przeżyła ponad pół wieku, była tu szczęśliwa i nieszczęśliwa, śmiała się i płakała, znalazła miłość i cierpienie, jednak wiodła żywot pełen szaleńczych czynów i brawury, dziś umiera gwałtowną, ale jakże wyczekiwaną śmiercią. Cieszy się, że syn Darin Salimi został uratowany. Życzy mu, żeby nigdy nie trafił w ręce tego złoczyńcy, swego biologicznego ojca. Kiedy wydaje ostatnie tchnienie, jej lico się wygładza, a na ustach wykwita ostatni uśmiech. Uśmiech wiecznej satysfakcji.

116 *Indżlizija* (arabski) – Brytyjka, Angielka; brytyjska, angielska.

## ZEMSTA JEST SŁODKA

Jasem nie ma zamiaru siedzieć dłużej w górach Gharianu. Piękno przyrody, łagodny klimat, wspomnienia życia rodzinnego i dwóch jego arabskich żon rozmiękczają jego serce. Umysł podpowiada mu rozwiązania, których nigdy by się po sobie nie spodziewał. Nie myślał, że kiedyś zapragnie stabilizacji i egzystencji zwykłego człowieka. Teraz jest rozdarty między dawnym Jasemem Alzanim, terrorystą i dżihadystą, jego morderczymi skłonnościami i wiecznym uczuciem nienawiści do wszystkich i wszystkiego a nowym człowiekiem – ciepłym Latynosem, Gomezem Rodriguezem, szczęśliwym mężem i dumnym ojcem, biz-nesmenem, który nade wszystko lubi siedzieć w swojej restauracji Café Zaitun czy na tarasie willi w Marrakeszu i wygrzewać się na słońcu, słuchając ptaków, odgłosów miasta i szczebiotu swojej rosnącej jak na drożdżach córeczki Julii. I to drugie „ja” powoli zaczyna w nim zwyciężać.

Z nowymi dokumentami, nową tożsamością i twarzą prosto spod igły, a w zasadzie spod skalpela, bezpiecznie przylatuje do Agadiru, by potem błyskawicznie przejechać do Marrakeszu. Zatrzymuje się w *riadzie* u swojego przyjaciela Junisa. Ten znów wytrzeszcza na niego oczy i zapomina języka w gębie. Na krótko jednak.

– Jasem? Ty pieronie jeden! – woła w końcu. Patrzy z niedowierzaniem w roześmiane pyszałkowate ślepia, bo tylko one przypominają mu dawnego towarzysza. – Twój współnik, ten cały Peter, miał rację. A ty masz jaja jak balony. Ja bym się bał takiego gruntownego remontu. Przyjdzie mi zdechnąć z tą samą facjatą, z którą się urodziłem.

– Tyś się tak nie afiszował, spryciarzu. – Głos również należy do dawnego kumpla, więc Marokańczykowi puls powoli się uspokaja. – Takich gryzipiórków i biurw jak ty nikt nie znał, choć byliście w sumie najważniejsi. Ja miałem parcie na szkło, wprost pchałem się przed kamery, więc teraz muszę za to płacić.

– Papiery też masz nowe?

– Oczywiście. Mój polski współnik to załatwił. Teraz w Libii poznałem chyba dwie najważniejsze osoby w moim życiu: genialnego doktora chirurga i najlepszego na świecie fałszerza. Ale obu już tam nie ma.

– Sprzątnąłeś ich? – pyta wprost Junis, bo przecież znają się jak łyse konie.

– Nie, skądże! Jeden i drugi dostali bilet w jedną stronę...

– Do raju? – podśmiechuje się kompan, pamiętając twardą rękę i ostrą maczetę Jasema.

– Do ciepłych krajów.

– To gdzieś jeszcze może być cieplej niż u nas, w północnej Afryce?

– W Ameryce Południowej jest znacznie lepiej, bezpieczniej i sympatyczniej. – Jasem się zamyśla, a Marokańczyk od razu widzi, że dżihadysta odmienił nie tylko swoją twarz, ale również serce. Nie wie, czy całkiem, czy połowicznie, ale nie może się to dobrze skończyć ani dla niego, ani dla jego otoczenia. Tacy ludzie są w stanie pociągnąć za sobą innych, wkopać ich, zdemaskować.

– Co będzie z Eve? Z Julią? One czekają na ciebie i szaleńczo się niepokoją. Jeśli masz jechać do tej cudownej Ameryki, to proponuję od razu.

– Nie nakłaniaj mnie do niczego, mój kochanieńki. – Jasem impulsywnie chwytając rozmówcę za ramiona i mocno nim potrzepuje. – Nikt nie będzie rządził moim życiem. Mam tu jeszcze coś do zrobienia. A potem się pomyśli. Dziewczyny zaś wypróbują.

Junis nigdy nie był zwyrodnialcem, a jedynie na takich przymykał oko albo takimi się wysługiwał, sam był przede wszystkim chytrym facetem, który kocha zielone i za dużą forszę



może pracować dla każdego. Człowiek ten nie ma kręgosłupa moralnego, ale jakimiś prawami w swoim życiu się rządzi i wcale mu się nie podoba, że ten morderca chce przeprowadzać testy na niewinnej żonie i córce. Przebiega mu przez myśl, że może by je wywieźć w bezpieczne miejsce, ale szybko z tego pomysłu rezygnuje. Zawsze był tchórzem, a że Jasema boi się jak ognia, nie podejmie takiego ryzyka. Żadnego ryzyka.

– Będzie to bolesna próba? – z przerażeniem docieka.

– Jeśli nawet, to dla mnie. Nic się nie bój, koleżko.

Jeszcze tego samego popołudnia Alzani vel Rodriguez udaje się na plac Dżamia al-Fena i siada w swojej własnej, a zarazem ulubionej Café Zaitun. Nie lokuje się jednak na piętrze, skąd roztacza się rewelacyjny widok i ma się święty spokój, lecz zajmuje miejsce na parterze przy jednym ze stolików ustawionych przed lokalem na ulicy. Można tu zjeść nie tylko pyszne przekąski, ale całą gamę arabskich potraw oraz oczywiście popisowy marokański *tadżin*. Dzisiaj jednak nie przyszedł na posiłek. Wie, że na popołudniową arabską kawę prawie codziennie zachodzi tu jego żona. Kiedy byli jeszcze razem, musiałyby się naprawdę coś ważnego wydarzyć, żeby zrezygnowali ze swojego ulubionego rytuału. Tuż przed piątą widzi zgrabną, smukłą jak łania Afrykankę, idącą za rękę z równie śliczną dziewczynką, która z małego berbecia rośnie na piękną panienkę i elegantkę, o czym już świadczą jej ruchy. Matka i córka siadają przy stoliku obok. Jasem czuje, jak dławi go w gardle, a serce chce mu rozsadzić pierś. Eve nie zwraca na nic i na nikogo uwagi, bo tak została wychowana, w tradycyjnej muzułmańskiej czadyjskiej rodzinie. Jako uczciwa i ceniąca swą godność kobieta wbija wzrok w brudny blat stolika, po którym bezkarnie maszerują muchy, i czeka na kelnera, by cichym głosem złożyć zamówienie. Lecz Julia nie jest już taka jak jej rodzicielka. Żyje w innym świecie i w innych czasach. Jest wszystkiego ciekawa, ruchliwa, inteligentna i wszędobylska. Gdy mama przegląda jeszcze kartę, dziewczynka wstaje i bezceremonialnie przysiadła się do Jasema. Pilnie ogląda jego twarz. Ściąga cienkie, równiutkie jak ołówkiem nakreślone brewki, przygryza dolną wargę i nerwowo ścisną dłonie w pięści.

– Mamo, czemu nie siedzimy razem z tatą? – pyta pełnym pretensji, donośnym głosem.

– Gniewasz się na niego?

– Julia! – Afrykanka ledwo łapie dech i wytrzeszcza wielkie, czarne jak noc oczy. – Julia... Masz rację, córeczko. Witaj... – zawiesza głos, przysiadając się do obcego Latynosa, choć jego wejrzenie mówi jej i jej córce wystarczająco dużo.

– Gomez. – Jasem przedstawia się swojej żonie. – Gomez Rodriguez.

– Tatuś! – Mała szczebiotka zarzuca ukochanemu papie pulchne ramionka na szyję i całuje go w policzek.

– To co? – Mężczyźnie kamień spada z serca. – Zamawiamy to co zawsze?

Tak jak Jasem przewidywał, podstarzały i aktualnie sentymentalny Musa Kusa po dwóch tygodniach przyjeżdża do rezydencji Muntasirów. Nie lubi już tego miejsca, bo bez jego pupilki Dżamili dom stracił cały charakter, a wspomnienia ranią mu serce. Jednak kiedy jego poplecznik Mohamed Zintani ani żaden z jego ochroniarzy czy członków rodziny nie odpowiadają na telefony, musi sam sprawdzić, co jest grane.

Nie obawia się niczego, bo wywiad nie donosi o żadnych grupach terrorystycznych w tym regionie, a w najśmielszych fantazjach nie przypuszcza, że człowiek, który ma prawo nienawidzić go całym sercem, po ucieczce z więzienia zechce wrócić do Libii i działać na jej terenie. Niby po co? Po co podejmować takie lekkomyślne kroki? Nie ma tutaj nic do szukania, nikogo, kto chciałby go zobaczyć. Nie spodziewa się, żeby Jasem był na tyle uczuciowy, by

przybyć po syna. Zbyt duże niebezpieczeństwo wchodzić w paszczę lwa dla jednej małej duszyczki, kiedy dżihadysta może napłodzić jeszcze całą drużynę synów. Nawet arabska obsesyjna wendeta nie powinna go tutaj przyciągnąć. Musa Kusa nie spodziewa się ani takiej bezczelności, ani takiej brawury. Praktycznie prawie o nim zapomniał.

Pomimo niepokoju o plemiennego poplecznika Kusa cieszy się na wyjazd i złapanie oddechu, bo góry Gharianu zawsze dobrze na niego działały. Dziadek jest już bardzo zmęczony, a pomimo to ciągle przedłuża swoją aktywność zawodową, czekając na chwilę objęcia fotela prezydenckiego przez syna jego uwielbianego niegdyś wodza, Muammara Kaddafiego. Dał mu na to słowo i musi go dotrzymać. Jednak ten moment co rusz się oddala i nie wiadomo, czy w ogóle kiedykolwiek nastąpi.

Stary pracownik libijskiego wywiadu i wieloletni szpieg tak łatwo daje się podejść. Na starość całkiem zatracza zmysł obserwacji i lekceważy zasady bezpieczeństwa. Przyjeżdża tylko z jednym człowiekiem – z kierowcą, bez ochrony i kawalkady aut. Z jedną małą walizką. Bez broni! Ledwo wchodzi na frontowy ganek, trzymając się poręczy i ciężko dysząc. Szura butami, które nie chcą go już swobodnie nieść. Garbi się i pociąga nosem, bo ma chroniczny katar. Z oczu płyną mu starcze łzy. Mężczyzna skokowo się postarzał, bo jeszcze dwa lata temu trzymał wodze władzy w rękach, był sprawny, tak fizycznie, jak i umysłowo. Nikomu z oczekujących na niego groźnych najemników nie chce się wierzyć, że śmiały scenariusz ich lidera się spełnia.

– Witam. – Człowiek Jasema Alzaniego, obecnie jego prawa ręka, Polak Piotr prawie otwiera ramiona przed starcem i zaszczyca go uśmiechem od ucha do ucha. – Proszę się rozgościć. Czekaliśmy na pana.

Pod Musą Kusą uginają się kolana. Nie pyta, kto czeka i dlaczego. Domyśla się wszystkiego.

Piotr daje znać Jasemowi, który organizuje w Maroku swoje kolejne życie, że jego paczka dotarła na miejsce.

- Mamy ją otworzyć?
- Skądże! Nie zabierajcie mi tej przyjemności.
- Kiedy będziesz?
- Niedługo.

Człowiek o całkiem nowej twarzy, lecz starym grubym dossier117, Gomez Rodriguez wskakuje na miejsce swojego poprzednika *saida* Ahmeda Salimi jak gdyby nigdy nic. Tak sprytny osobnik, tak przebiegły, dokładny planista i genialny logistyk, inteligent o niezwyklej pamięci, haker i internauta, cybernetyczny żołnierz, nagle zupełnie lekceważy fakt, że nie jest jedyną osobą w tym wszechświecie i niejedyną w ruchliwym zatłoczonym mieście. Oprócz tysięcy turystów, interesujących się tylko przyziemnymi sprawami typu jedzenie, picie i zabytki, są tam także lokalni mieszkańcy, dla których od wieków największą przyjemnością stanowią plotki i ploteczki oraz obserwowanie sąsiadów.

Jasem zlecił zabójstwo organizatora jego saharyjskiej wycieczki, Abubakra, gdyż widział w jego oczach chytrość i zwątpienie. Ten spryciarz nie kupił bajeczki o libijskim dysydencie. Bał się, że Marokańczyk będzie dociekał, kto zacz, zycznie sprawdzać w urzędach jego imię i numer dokumentu, będzie drażył, czy rzeczywiście jest Libijczykiem. No i czemu przepadł bez wieści? I czy rzeczywiście zginął? Kiedy dojdą prawdy, to jak po nitce do kłębka dotrą do jego rodziny – do Eve i Julii, a tego aktualnie dobry tatuś najbardziej się obawiał. Jednak plan unieszkodliwienia Abubakra się nie powiódł, a dżihadysta zyskał w jego osobie groźnego wroga, który teraz nie chce jedynie rewanżu za kłopoty z policją i niezadowolone turystów, lecz pragnie krwawej

zemsty za usiłowanie zorganizowania mu przyspieszonego transferu do raju. Załatwienie go miało też chronić hotelarza Junisa, który był pośrednikiem w organizacji eskapady, a zarazem tajnym inicjatorem nieudanego zamachu. O osobistym zaangażowaniu Marokańczyka niedoszła ofiara nic nie wie.

– Twój koleś próbował mnie zabić! – Abubakr pojawia się po dwóch miesiącach na tajnym spotkaniu salafitów i pod koniec oko w oko atakuje Junisa. – Kim on jest, do diaska?! – Organizator wycieczek wygląda strasznie, głowę ma nadal w bandażach, a oblicze całe w nieciekawych kolorach, od zieleni po zgniłą żółć. – Czemuś mi go wrzepił? Czemu robisz to swojemu bratu w Allahu? Rodakowi? – naskakuje, kiedy już wszyscy rozchodzą się do domów, wymykając pojedynczo ze starej kamienicy.

– O co ci chodzi, *ja achi*? – Junis cofa się przed napierającym młodszym od niego człowiekiem. Czuje za plecami wsparcie swoich rosłych i smukłych jak sosny siostrzeńców.

– Nie udawaj. Nie rób ze mnie głupca. Wszystko wiem, a czego nie wiem, to się dowiem. Nie podaruję!

– Ale czego? – Atakowany idzie w zaparte, wyklinając, że jego krewniacy spartolili robotę.

– Krew za krew, bracie.

– Ale czyja? Ja nawet nie wiem, co ci się stało. I bardzo ci współczuję. – W typowo arabski sposób usiłuje odwrócić kota do góry ogonem.

– Twój koleś Ahmed Salimi, który nie zaginął, ale zwiął z mojej wycieczki, chciał mnie zabić – poszkodowany wyklada karty na stół. – Jestem o tym przekonany. A w ogóle to taki z niego Libijczyk jak z koziej dupy trąba! – Takich zarzutów właśnie obawiał się Jasem i dlatego kazał go raz na zawsze uciszyć.

– Człowieku, co ty bredzisz? Ahmed został uznany za zaginionego, nie ma faceta! Więc jakim cudem z zaświatów miałyby ci zrobić krzywdę? Sam go nie widziałem od czasów tamtej feralnej dla niego wyprawy.

– Taki biały Libijczyk? Nawijający po brytolsku? Znający bez liku języków? Pierwsze widzę! Chciał sobie wyczyścić papiery, ot co! Moim kosztem. Kosztem mojego biznesu. Gina mi turyści, nie potrafię ich upilnować, to teraz żaden cudzoziemiec nie chce ze mną na wycieczki jeździć. A w internecie dosłownie płaczą za tym oszustem. A może on sobie nową gębę zrobił? – Oskarżyciel jest blisko zarówno prawdy, jak i swojej śmierci.

– Że co?! – drze się wniebogłosy zaskoczony Junis. – Całkiem od rzeczy gadasz!

– Tak? Naprawdę? – charczy z ogromną satysfakcją. – Czemu żona tego twojego koleśia zaraz przyjęła pod dach innego gościa, który gospodarzy się w domu jak u siebie? A jej córka woła na niego „tata”?

Na te słowa Junis traci cały swój wigor i elokwencję. Dochodzi do wniosku, że Jasem przegiął, przesadził tym razem na całego. Jak można być takim nieostrożnym? Czyżby rutyna, pycha i brawura go zżarły?

– Cóż, czarnulka... – próbuje wybrnąć z sytuacji, bo w tej chwili ratuje skórę nie tylko Jasema, Eve i Julii, ale przede wszystkim swoją. – Wiesz, one mają ponoć wulkan między udami. Dlatego je tam zaszywają. Inaczej puszczałyby się z każdym i robiły to od dziecka.

Abubakr spoziera na byłego kuma spode łba. W tym, co mówi, jest sporo prawdy.

– Parę miesięcy już minęło, więc gorąca kobitka bierze, co jej los daje – kontynuuje stary, widząc, że obrał dobrą taktykę. – A dziecko, dziewczynka... – przerywa z dobrze udawaną pogardą. – Jak i matka. Małe, parszywe i plugawe nasienie. Przykleja się do każdego faceta. Może i za tobą *baba* by krzyczała – podśmiechuje się pod nosem.

– A czemu ten nowy cały czas nosi przeciwsłoneczne okulary? Oczu nie chce pokazać, bo

ich koloru się nie odmieni.

– Co ty za teorie spiskowe układasz? – Junisowi z nerwów dech zapiera, ale trzyma fason.

– Widać dobre, bo pocisz się jak mysz. – Rozmówca wszystko zauważa.

– I tu też jesteś w błędzie! – Gej zbiera ostatek sił na ripostę. – Powiem ci tylko na koniec, że to ponoć Latynos. Tacy tak mają. Chcą być moderni i noszą przeciwsłoneczne okulary nawet w nocy. Jak makaroniarze. Sam wiesz, bo takich też wozisz po pustyni. – Bierze nieco załagodzonego antagonistę pod ramię i obiecuje: – Ja ci będę podsyłał klientów. Tych, co się u mnie w hotelu zatrzymują. Nic się nie bój, bracie. Nie damy ci zginąć.

Kiedy Abubakr w końcu wychodzi ze spotkania, za nim podążają uzbrojeni po zęby młodzieńcy z jego rodziny, a za grupą jak cień skrada się czarny, chudy jak szkielet mężczyzna. Dzisiaj pierwszy raz był na potajemnym spotkaniu. *Imam*<sup>118</sup> przedstawił go jako Nigeryjczyka, głęboko wierzącego muzułmanina, który najpierw aktywnie działał w organizacji Boko Haram, głoszącej powrót do bezwarunkowej nabożności, która z biegiem czasu podporządkowała się ISIS, by ostatecznie zmienić nazwę na Państwo Islamskie w Afryce Zachodniej. Wszyscy zebrani salafici i Bracia Muzułmańscy pozornie otworzyli przed przybyłym serca i dusze i wzięli go w ramiona. Każdy zobowiązał się mu pomóc, ale ostatecznie nikt nie zaproponował mu ani noclegu, ani pracy. Arabowie są rasistami i ludność Czarnej Afryki traktują z pogardą. Dla czystej krwi potomków proroka Muhammada zawsze będą kastą niewolników.

– *Said* Abubakr! – nawołuje czarny. – *Ja said!*

– Czego? – Marokańczyk po nerwowej dyskusji ledwo trzyma się na nogach, bo w ogóle jeszcze nie powinien wstawać z łóżka.

– Wspominałeś coś o Afrykance o imieniu Eve?

– I co z tego? Nie rozmawiałem z tobą.

– Panie, ja znam tę *szarmutę*<sup>119</sup>. To żona mojego ojca, która uciekła od niego z Nigerii. Wtedy była dużo młodsza, ale poznałbym tę sukę na końcu świata i po stu latach.

Abubakr zatrzymuje się i patrzy z zaciekawieniem na Nigeryjczyka.

– Twierdzisz, że znasz tę gorącą kokotkę? – Uradowany aż przedłuża głoski. – No to zatańczy nam, jak jej zagramy, i może coś powie o swoim byłym i obecnym gachu. Jej latynoski facet aktualnie znów gdzieś pojechał, więc mamy pełne pole do popisu.

– Wiem, panie, bo ja od miesiąca już ją śledzę.

Abubakr wsiada do eleganckiego mercedesa, by udać się do swojej willi w ekskluzywnej dzielnicy miasta, tam gdzie są pola golfowe, parki i hotele.

– Kochaneczku – wuj zwraca się do bratanków. – Weźcie go na pakę. – Pokazuje palcem na nowego poplecznika.

– Dobrze, wuju.

– Jak dotrzemy do domu, dajcie mu miskę stawy i rzućcie siennik przy *gafirówce*<sup>120</sup>. Przez jakiś czas pomieszka u nas.

– Dobrze, wuju! – znów potwierdzają jednogłośnie jak w wojsku. – Tak jest!

– Jak cię zwą, chłopcze? – Zamykając drzwi swojego klimatyzowanego wozu, mężczyzna zwraca się do prawie czterdziestoletniego mężczyzny jak do siusiumajtka.

– Rafik, panie. Twój sługa.

\*\*\*

Sajf al-Islam Kaddafi bezczelnie rezyduje w samym centrum Trypolisu, w od zawsze ekskluzywnej dzielnicy Gargaresz, otoczony przez gwardię ludzi najwierniejszych jego ojcu i jemu samemu. Jako że teraz wszyscy rodowici trypolitańczycy chcą już, by przejął stery władzy w kraju ogarniętym niekończącą się wojną i chaosem i został jego prezydentem, nikt nie

spodziewa się, że ktokolwiek mógłby mu zaszkodzić czy zagrozić. Każdy dosłownie zasłoniłby go własną pierśią, bo obietnica spokoju, pokoju i stabilizacji jest kusząca, a realna wydaje się tylko pod jego rządami. Następca pułkownika stanowi ostatnią deskę ratunku dla kraju. Jednak już od lat w Libii nic nie działa tak, jak powinno. Ochroniarze są leniwi i niezaangażowani, a sam kandydat nieodpowiedzialny. Sajf jest cały czas pod wpływem, nadużywa zarówno alkoholu, jak i narkotyków, których w Libii nigdy nie brakowało i do dziś nie brakuje, więc nie za bardzo kontroluje sytuację i niczym się nie przejmuje. Co noc umyślni sprowadzają mu dziwki lub zwykłe biedne dziewczyny, które liczą na duże pieniądze albo awans społeczny przy prominentnym Libijczyku. Rajfurzy prześcigają się w usługach. Przyszły prezydent stacza się na dno, czekając na cofnięcie zarzutów Unii Europejskiej i oskarżenia o ludobójstwo. Tylko to blokuje go przed wzięciem oficjalnych sterów państwa w swoje ręce. Jednak jeśli sytuacja będzie się przedłużać, nie wiadomo, czy bez dobrych doradców, jakimi przeważnie otaczał się jego ojciec, będzie w stanie utrzymać jakikolwiek ster. Aktualnie rzadko kiedy udaje mu się utrzymać pion, a czasami nawet moc.

Brygada wyszkolonych zabójców likwiduje marną straż Sajfa al-Islam Kaddafiego bez najmniejszego problemu, hałasu i bez jednego strzału. Jasem wchodzi do zajmowanej przez byłego kołosa rezydencji jak do siebie do domu.

– *Ahlan wa sahlani*<sup>121</sup>, *ja sadiqi* – pozdrawia go od progu, a Sajf, choć człowieka nie zna, ten głos bardzo dobrze pamięta. I wie już, że właśnie kostucha się o niego upomniała. – *Kif halek? Kif sahha?*<sup>122</sup>

Jasem rozsiada się wygodnie, po czym odsyła ręką swoich najemników. Spogląda uważnie na Libijczyka i z satysfakcją stwierdza, że ten człowiek wygląda na jego ojca, a nie trochę tylko starszego kompana, z którym niegdyś w Londynie tak świetnie się bawił. Sajf zawsze miał skłonności do nadwagi, z którą wytrwale walczył, ale widać w jakimś momencie przestał. Na jego twarzy malują się wszystkie uzależnienia i cechy charakteru: alkohol i narkotyki oraz zawziętość i złośliwość. A do tego nieprzespane noce. Ciemno-fioletowe wory pod dawniej bystrymi i dużymi oczami sięgają policzków. Duże i namiętne, ładnie zarysowane usta zwężyły się o połowę, pewnie od notorycznego nerwowego zaciskania i przygryzania. Cerę ma niezdrowo bladą, gdzieś tam przyżółconą jak kość słoniowa. Zawsze na gładko wygoloną czaszka nie widziała golarki od tygodni, co daje żalony efekt. Słabe włosy sterczą na potylicy i za uszami, zaś łysina sięga już czubka głowy. Facet wygląda komicznie. Spory brzuch ewidentnie mu ciąży, bo kiedy próbuje usiąść, co chwilę opada na poduszki.

– Napijesz się? – pyta, gdyż w sumie co mu szkodzi gołnąć sobie jeszcze przed drogą na tamten świat. – Zawsze lubiłeś whisky. – Szczerzy zęby, lecz jego niegdysiejszy czarowny uśmiech zmienił się w paskudny grymas; równe, białe zęby stały się żółte od nikotyny i zaniedbania, z widocznymi ubytkami.

– Dobra, niech ci będzie. – Jasem spogląda na butelkę osiemnastoletniej Chivas Regal i nie widzi powodu, żeby sobie odmówić. – Gdzie masz szklanki? – Postanawia sam się obsłużyć.

– Tam. – Gospodarz pokazuje wzrokiem na serwantkę stojącą w kącie. – Lód?

– Nie żartuj. Za dobry trunek.

Panowie nie gadają po próżnicy, a tylko moczą wargi w aromatycznych procentach. Nikt z nich nie czuje skrępowania czy zażenowania. Wiedzą, na czym stoją, i żaden nie przekonuje drugiego, że jest inaczej.

– Dobrze, że Darin cię teraz nie widzi – zagaja zdradzony małżonek. – Chyba byłaby rozczarowana. Jeszcze zaczęłaby sobie wyrzucać romans z tobą – chichra kpiarsko.

– Owszem, stoczyłem się. Nie zaprzeczam. Zabija mnie oczekiwanie.

- Zawsze miałeś skłonności do używek.
- Zgadza się – spokojnie przyznaje Sajf. – Wyssałem to z mlekiem matki, a raczej tatuś przekazał mi w genach.
- Chyba nie doczekasz się tej dyspensy od Europy, co? – pyta retorycznie Jasem, bo przecież Sajf nie doczeka nawet jutra.
- Raczej nie. Zawzięte skurwysyny. Współ z Ameryką zniszczyli mój kraj, a ode mnie żądają czystych rączek.
- Tak działają. Wszystkie kraje arabskie się posypały. Patrz na Irak i Syrię.
- Cóż, jeśli Libijczykowi, Syryjczykowi i Irakijczykowi nie zależy na własnej ojczyźnie, to te demokratyczne głupki otwarły im drogę do Europy, o której mogli wcześniej tylko pomarzyć.
- Tak właśnie – potwierdza zadowolony z sytuacji dżihadysta. – Dobrze nam zrobili.
- Taki stan rzeczy długo nie potrwa. Nasza ludzkość się zbiesiła. – Sajf w pogardzie wydyma wargi. – Wszystko jest do bani. Każda idea, każda religia, a człowiek pozostał człowiekiem, neandertalczykiem, hieną i agresorem. Całość w końcu musi szlag trafić. Za długo i zbyt zaborczo działamy na tej naszej planecie.
- Jakaś katastroficzna ta twoja wizja – ironizuje zabójca, tłumacząc sobie pesymizm rozmówcy jego spodziewanym bliskim końcem.
- Przydałaby się jakaś plaga. – Z chytrym uśmiechem wyraża makabryczne życzenie Sajf, ożywiając tą myślą swoje sflaczałe ciało. Po chwili z błyszczącym okiem oznajmia: – Nie raz Europę dziesiątkowała zaraza.
- No tak... – Jasem nie ma zamiaru kontynuować tematu.
- Jakby teraz jakaś pandemia opanowała ziemię, może znów dałoby to ludzkości do myślenia.
- Na jaki temat?
- Tego, że życie jest najwyższym dobrem podarowanym nam przez Boga, że trzeba o nie dbać jak o bezcenny klejnot, nie wolno go bezmyślnie narażać ani odbierać – sobie czy innym. Mogłoby to być ostrzeżenie i przypomnienie zarazem, że nie jesteśmy wieczni i w każdej chwili nasza świeczka może zgasnąć.
- Sorki, *ja sadiqi*, ale żadnej plagi nie będzie. Mamy zbyt rozwinięte społeczeństwo, medycynę na najwyższym poziomie, a i obywateli mądrzejszych niż kiedykolwiek w historii świata. A jeśli idzie o odbieranie życia, to...
- Zrobię to sam, *ja sadiqi* – szybko odpowiada Sajf al-Islam Kaddafi. – Mój koniec świata nastąpi za chwilę. Żadnej pandemii nie doczekam.

\*\*\*

Po burzliwym spotkaniu Bractwa Muzułmańskiego i salafitów w Medynie Junis w towarzystwie swoich siostrzeńców szybko udaje się do domu i namyśla, co zrobić z Abubakrem, który nie tylko zagraża jego koleśowi z kalifatu, Jasemowi, ale przede wszystkim jemu samemu.

- Przynieść ci herbatę, wujku? – Krewniak jest jak zawsze usłużny, jednak nie nadaje się do normalnego życia, a tylko do rozboju i zabijania.
- Dobrze, choć wiesz, że nie nadrobisz tym swojej fuszerki. – Łagodnie karci go kochający wujaszek. – Czemuś nie wykonał roboty, którą ci zleciłem? Czemu ten typ jeszcze chodzi po ziemi i straszy porządnych ludzi?
- Byłem przekonany, że wszystko jest jak należy. Facet miał odstrzelone pół gęby i nie dawał znaku życia – tłumaczy się młody, żywo gestykulując. – Co miałem jeszcze zrobić?
- Dobić go, ty głupku! – Junis niezbyt mocno trzepie go w głowę, czując pod opuszkami

palców miękkie, falujące włosy.

Młody po chwili wraca na ganek z filiżanką gorącego aromatycznego naparu, a zapach mięty i kardamonu roznosi się w powietrzu. Usadwia się w bezpiecznej odległości od rąk wujka, po drugiej stronie stolika. Co chwilę prychnie siarczyście, a kropelki jego śliny i kataru lądują na stole, czarce z herbatą, paterze z owocami i ciastkami.

- Zasłaniaj japę – instruuje starszy, przecierając dłonią blat. – Wszystko mi tu zaplujesz.
- Przepraszam. – Chłopak osusza nos w dwa palce, które następnie wyciera o spodnie.
- Co ci jest? – Staruszek jednak troszczy się o podopiecznego.
- Przeziębłem się w ostatni dzień pobytu w Bolonii. Poszliśmy z chłopakami na mecz i tam co drugi tak prychnął.
- To może niebezpieczne? Jakaś grypa?
- Tak, bolońska – kpi chłopak. – Trochę mnie głowa boli i tyle. Nic takiego.
- Ale dasz radę z kolegami wziąć na obserwację tego gnojka, któregoś nie odstrzelili?
- Pewnie, wujaszku. Oczywiście. Muszę się przecież zrehabilitować, prawda? – Młodzian zrywa się na równe nogi, lecz zaraz chwytą się oparcia fotela, chcąc utrzymać równowagę, bo świat wiruje mu przed oczami. Jednak po krótkiej chwili przykre objawy mijają, więc pochyla się nad kochanym krewniakiem i na pożegnanie czule całuje go w czubek głowy.
- Jakiś rozgrzany jesteś. Pokaż no się. – Wuj kładzie mu dłoń na policzku, a potem dotyka czoła. – Masz gorączkę?
- Nie wiem. Nie mierzyłem. – Chłopak pociąga nosem. – Co ja, baba?
- Nie tylko baby chorują, a ty jesteś jak piec. Połóż się do łóżka, a zadanie zleć innym.
- Dobrze, dobrze – rzuca na odczepnego i szybkim krokiem kieruje się do wyjścia.

Mehmed nie wie, co mu dolega, bo nigdy w swoim dwudziestoletnim życiu nie chorował. Zawsze uchodził za okaz zdrowia i w rodzinie podawano go jako przykład. Od powrotu z Włoch jednak z godziny na godzinę czuje się coraz gorzej. Maszerując ze swoimi trzema kompanami przez rynek Dżamia al-Fena, ledwo dotrzymuje im kroku. Męczące kichanie nieoczekiwanie przeszło, ale teraz zaczął go dręczyć suchy kaszel. Chrząka więc i pokasłuje co chwila, czując, że coraz bardziej brak mu tchu.

Młodzi rzucają okiem na biuro podróży Hilal Tour należące do Abubakra, które pomimo wieczorowej pory nadal jest otwarte, a w środku zagraniczni turyści ostro negocjują ceny. Część zainteresowanych oczekuje na zewnątrz w pobliskiej restauracji, również należącej do biznesmena. Szczęściarza, który uszedł z życiem, nigdzie jednak nie widać; prawdopodobnie nadal jest na rekonwalescencji, a na spotkanie zagnała go złość i popędliwość. Chłopcy z chęcią siedliby w jednej z działających pełną parą kafeterii, napili się herbaty, zapalili sziszę, ale są karni i najpierw chcą jak najszybciej wykonać swoje zadanie. Wuj Mehmeda jako jeden z nielicznych prywaciarzy mieszka na starym mieście, bo ukochał sobie swój *riad* i tam zajmuje całe piętro. Większość ludzi interesu wyprowadziła się z nadgryzionych zębem czasu budynków, pozostawiając je zachwyconym turystom, i mieszka w nowoczesnych dzielnicach miasta. Najlepsza jest oczywiście ta przy bulwarze Muhammada VI, gdzie rezyduje zarówno Abubakr, jak i Jasem z rodziną. Ich nieruchomości są wystarczająco od siebie oddalone, by nie wchodzili sobie w drogę, ale i na tyle bliskie, by bezproblemowo mogli się obserwować.

Siostrzeniec Junisa oddycha z ulgą, dopiero kiedy pakują się jak śledzie do samochodu. Nie będą zdzierać butów podczas trzykilometrowej drogi ze ścisłego centrum na obrzeża miasta, gdzie znajdują się rezydencje.

- Ta gorąca Włoszka, którą zaliczyłeś ostatniej nocy, coś musiała ci sprzedać.

Młodzi, widząc kiepski stan kolegi i jego gorejącą twarz, robią sobie z niego kpinki.  
– Oby nie HIV! – Siedzący z Mehmedem biodro w biodro kumpel usiłuje się odsunąć.  
– Na to się nie kicha – charczy chory, krzywo się uśmiechając.  
– Ona ciągle wydmuchiwała katar do materiałowej, brudnej chusteczki.  
– Co za flejucha! – wspomina inny. – Aż dziwiłem się, że bierzesz taką zasmarkaną lalę.  
– Trzeba było sobie odpuścić. Co to u nas dziwki nie znajdziesz?  
– Pewnie, ale od razu po pieprzonku masz pewnego syfa albo kiłę. – Chłopaki wybuchają beztróskim, młodzieńczym śmiechem. – HIV w pakiecie też można trafić!  
– Przestańcie! – protestuje Mehmed. – Ona poszła ze mną, bo chciała. Bo jej się spodobałem. Za darmo. Nie będę płacił za seks. No chyba oszaleliście!

Młodzi zamyślają się, bo jak w każdym arabskim kraju nie tylko kobiety, ale także mężczyźni mają nieciekawą sytuację. Nie mogą umówić się z nowoczesną marokańską dziewczyną na randkę, nie mogą pojechać z sympatią na wycieczkę i zatrzymać się w hotelu, gdyż nawet w *riadzie* wuja wynajmujący pokój obywatele marokańscy muszą przedstawić akt ślubu. Nie spotkają się też w pubie, gdzie wpuszczani są tylko cudzoziemcy, którzy mogą pić piwo za piwem i wódkę za wódką. Marokańczykom tego robić nie wolno. Na dyskoteki, do ekskluzywnych hoteli, knajp z tańcem i alkoholem wchodzi tylko ci Arabowie, którzy tam pracują. Kelnerzy, sprzątacze, ale też fordanserzy, sutenerzy i męskie kurwy. Oni za takich nie chcą uchodzić, bo wtedy żadna marokańska dziewczyna z dobrego domu ich nie poślubi. By się zabawić, muszą jechać za granicę swojej pseudodemokratycznej i niby-nowoczesnej ojczyzny. Wiedzą, że to wszystko są pozory, które usiłuje stworzyć ich władca, król i przywódca Muhammad VII123, by otworzyć ich biedny kraj na turystykę i zagraniczny kapitał. I nawet mu się to udaje, choć młodzieńcy, będący w salafickim ugrupowaniu, widzieliby swoją ojczyznę w całkiem innej formie. Oni pragną czystości wiary, powrotu do źródeł, swoich kobiet na ulicach zakwefionych lub najlepiej siedzących w domach i spełniających każde ich pragnienie, nawet najbardziej wyuzdane. A tego, że zaliczają dziewczyny i kobiety na zgnitym Zachodzie, wcale nie uznają za grzech. Robią to dla zdrowia. Wszak prorok Muhammad przykazał muzułmańskiemu mężczyźnie, by ze względu na zdrowie do woli zaspokajał swoje potrzeby. Tak jest napisane w Koranie i basta.

Chłopcy parkują przed willą biznesmena i siedzą cierpliwie na czatach, odpalając papierosa od papierosa.

– Weź apap. – Jeden z kolegów przerywa ciszę i podsuwa zasmarkanemu lekarstwo. – Może ci pomoże.

– Masz tu witaminę C – wspiera go inny.

– A to na gardło. Ssij powoli.

Okazuje się, że pomimo brawury i narażania życia w terrorystycznych akcjach o to swoje życie bardzo dbają. To zresztą nakazuje im Koran.

– Popatrzcie, Abubakr zostaje sam. – Koleś przy oknie nagle sygnalizuje. – Jego pomagierzy gdzieś wyjeżdżają. Załatwmy go teraz i mamy problem z głowy.

– Najpierw pojedźmy za nimi. Ranny nam nie ucieknie – pada propozycja. – Jest z nimi ten chudy, nigeryjski łąęga ze spotkania. Ciekawy jestem, co on tutaj robi? Co im zaoferował?

– Kolejny nosiciel HIV – rzuca inny, robiąc skwaszoną, pogardliwą minę.

– Hej! Oni jadą do willi, którą wuj kupił dla swojego przyjaciela i jego hebanowej żonki.  
– Mehmed jest w szoku.

Kiedy jedna brygada młodych salafitów wkłada się na teren rezydencji Jasema, druga, odczekawszy chwilę, rusza za nią. Spokój okolicy zakłócają tylko cykady i szum wody z ogrodowych spryskiwaczy. Z odległości dochodzi wezwanie do modlitwy, głoszone przez



muezina z minaretów na starym mieście. Tutaj przybytków kultu nie ma zbyt wielu, to miejsce dla nowoczesnych mieszkańców – arabskich i zagranicznych. Dla bezpieczeństwa rezydentów wszystko jest pod kontrolą. Zainstalowano sporo kamer przemysłowych, a po ulicach spokojnym krokiem spaceruje straż miejska. Z rzadka przejeżdża tędy policja, bo to nie rewir dla przestępców. Każdy dom posiada swoją własną, prywatną ochronę, stróżów lub ciecików, więc można powiedzieć, że to jedna z najbezpieczniejszych i najspokojniejszych dzielnic miasta.

– Mamo! – Julia stoi przy drzwiach na taras, gotowa do wieczornej lekcji pływania, w kolorowym kostiumie kąpielowym z modnymi nadrukami z bajki *Frozen*. – Czy mamy nowego ogrodnika? – pyta, zaciekawiona.

– Nie, a czemu pytasz? – Błyskawicznie staje przy niej, by bronić córki jak lwica.

– To co ten pan u nas szuka? – Dziewuszka wskazuje palcem na tyczkowego Nigeryjczyka, który pali wzrokiem przerażoną Eve.

– Zwiewamy! – Kobieta chwyta córkę wpół i rusza przed siebie.

Nie zwleka ani sekundy. Decyzję podejmuje błyskawicznie. Kiedyś uratowała ją ucieczka, więc teraz również na to liczy. Jest szybka i ma idealne warunki do biegania. Jej bose stopy ślizgają się po lastriko, kiedy z córką pod pachą skacze na schody i po trzy stopnie wbiega na piętro. Potem z szybkością błyskawicy pokonuje jeszcze jedno. Wypada na do połowy zadaszony płaski dach z tarasem, na którym zawsze tak lubiła przesiadywać, by rozkoszować się widokiem na niedalekie pola golfowe i okoliczne zadbane ogrody. Wbiega za barową ladę, tam gdzie znajduje się minikącik kuchenny z lodówką, elektrycznym dzbankiem, ekspresem do kawy oraz szkłem. Biodrem przesuwając chłodziarkę, wchodzi za zasłonę, imitującą ażurową ściankę, otwiera zamek i wpada do wykonanego na zamówienie bezpiecznego pokoju. Gdy Jasem zarządził budowę tego pomieszczenia, uważała to za głupi pomysł i wyrzucone pieniądze, ale teraz widzi, jaki jej mąż jest przewidujący. Komórka o rozmiarach dwa na dwa metry ma wszystkie ściany betonowe i zbrojone, a przy tym ani jednego okna, jedynie mały, ukryty pod sufitem lufcik, wpuszczający do środka świeże powietrze. Wisi tu żarówka na drucie, słaba, ledwie czterdziestka, w ciemnym butelkowym kolorze. Pod jedną ze ścian stoi dyspenser wody, a tuż obok plastikowe pudła i pudełka z suchymi produktami – sucharkami, krakersami, paluszkami i ciastkami. Jest też parę konserw, w tym ulubiony przez Arabów szprot i tuńczyk, są oliwki w puszkach, oliwa i próżniowo pakowane suszone włoskie pomidory. W kącie stoi wiadro, obok zaś są szlauch i kratka na spust wody. Po drugiej stronie rzucono cienki materac, dwa pledy i poduszki. Eve nie świeci światła. W ręce trzyma swoją komórkę z zapaloną latarką. Wie, że ładowarkę też tu znajdzie.

– Spokojnie... – błaga wijącą się w histerii córkę. – Musimy siedzieć cicho jak myszki pod miotłą.

Kiedy tylko stawia małą na podłodze, ta od razu wykrzykuje:

– Co ty wyprawiasz?!

– Zamknij się! – W ciemności widać tylko białka wielkich przerażonych oczu matki i zwięzione, wściekłe jasne ślepka dziewczynki. – Nie rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Chcę pływać! To ty nie rozumiesz! – Dziecko znów pyskuje i drze się na pełny regulator. W dobrobycie i stabilizacji została rozpuszczona przez swoich kochających rodziców jak dziadowski bicz i teraz są tego efekty.

– Jeśli się nie uspokoisz, oni zrobią nam krzywdę! – Eve potrzepuje krnąbrną małą, chwytając ją dwiema rękami. Potem siada na betonie, opiera się o zimną ścianę i sadza sobie uparcuszkę na kolanach.

– Kto niby zrobi nam krzywdę? – szepcze pyskata trzylatka. – Ogródnik? – W jej głosie słychać kpinę i niedowierzanie. – Jest taki chudy, że podmuch wiatru go wywróci.

– Tacy chudzi i złyści bywają bardzo silni i straszliwie niebezpieczni. Szczególnie dla takich brzdylu jak ty. Wierz mi, są wystarczająco mocni, by zniewolić dziewczynkę i zrobić jej okrutną krzywdę.

– Ale ja chcę pływać! – Do Julii nic nie przemawia. – Chcę do basenu! Mamo!

W sercu uwielbiającej ją matki wzbiera złość, a jej spojrzenie staje się twarde jak stal.

– Uspokój się, do cholery – cedzi przez zęby.

Po krótkiej szamotaninie ustawia córkę plecami do siebie i zakrywa jej usta silną, dużą dłonią. Wydaje jej się, że słyszy kroki tuż za drzwiami. Szpary pod sufitem przepuszczają niewyraźne dźwięki. Do *safe room*124 dochodzi przytłumiona rozmowa:

– Była tu! – Czadyjka rozpoznaje nigeryjski akcent i jest jeszcze bardziej przerażona. Boko Haram ją znalazło! – Musiała się gdzieś schować!

– Ale jej nie ma. Nie będziemy tracić czasu. Faceta też nie ma, a to głównie o niego nam chodzi. Idziemy.

– Tak to zostawicie? Olejcie? Wasz wuj nie będzie zadowolony. Podpalmy przynajmniej dom.

– Stary! Tam jest kamera!

– Tutaj druga!

– Tam następna! *Wallahi!* – Ktoś ewidentnie panikuje. – Nagrali nas. Mają nas w garści!

– Spierdalaj, czarnuchu, do siebie, do buszu! – Teraz wściekają się na Afrykanina i zrzucają na niego całą winę, a on przecież jedynie do nich dołączył – pomysł rewanzu wyszedł od nich. – U siebie w domciu możesz się z małpami ścigać, po drzewach wspinać i palić lasy. Tam nikt nie zauważy ani twojej głupoty, ani twojej zbrodni. My stąd spadamy!

W tej samej chwili rozlegają się przytłumione strzały. Julia fika nogami, ale Eve wzmacnia chwyt i dodatkowo zatyka nos dziewczynki, przez który ta coraz głośniej furczy. Instykt samozachowawczy jest silniejszy od macierzyńskiej miłości. Poza bezpiecznym pokojem toczy się walka. Jej niewyraźne odgłosy docierają do środka.

A potem wszystko się uspokaja. W szparze pod sufitem siada cykada, która jako jedyna maści ciszę. Po długiej jak wieczność chwili rozlega się odgłos czegoś lekkiego i miękkiego spadającego na posadzkę. Małe ciało Julii wysuwa się z objęć matki i bez życia pada na podłogę. Potem słychać ciche kroki. Eve ostrożnie otwiera drzwi i spogląda na pobojowisko. Dookoła leżą ciała młodych arabskich mężczyzn i jednego Afrykańczyka. Zdaje sobie sprawę, że właśnie rozpoczął się jej kolejny maraton. Znowu musi uciekać. Widać takie jej przeznaczenie.

*Muszę dołączyć do swoich, postanawia. Oni nie pozwolą mnie skrzywdzić.*

Rusza przed siebie.

\*\*\*

Jasem wraca z Libii – ze swej trasy mściciela – całkiem zadowolony. Tylko jedno mu się nie udało – odzyskanie syna, którym prawdopodobnie ktoś już się wcześniej zaopiekował. O pierworodnym Abdula i Judith nawet nie myśli. Przesyła kompanowi nowy, czysty paszport i tłumaczy, że nikogo nie zastał w domu jego rodziców. Jego słowa zostają przyjęte bez komentarza, bo parę ogarnia szczęście, że teraz już mogą normalnie funkcjonować w praworządnym świecie.

Prosto z lotniska Alzani jedzie do domu, by zobaczyć się z Eve i Julią. Wie, że teraz będzie musiał podjąć kluczową decyzję. Pierwszy etap wendety ma za sobą. Czy na tym poprzestać? Czy odpuścić Darin i Anwarowi, zostawić ich w spokoju? W tym momencie ważą się ich losy, bo w zasadzie tylko oni pozostali na liście dżihadysty. Krewniaków swej żony pół-Arabki na dobrą sprawę ma gdzieś. Nie lubi ich, ale też nie żywi do nich jakiejś szczególnej

awersji. Mógłby im odpuścić.

Mężczyzna wchodzi do domu i rozgląda się dookoła. Aż dziw, że nikt nie wybiega mu na powitanie. Nietypowa cisza otula wnętrze. Widzi otwarte na oścież drzwi na taras, lecz w ogrodzie ani nad basenem nie ma żywej duszy. Gdy zauważa przewrócony herbaciany stolik i leżącą obok sziszę, błyskawicznie przyskakuje do schowka na broń, wyciąga glocka i maczetę. Na ugiętych nogach skrada się od ściany do ściany, bacznie obserwując teren. Wbiega na piętro – nikogo. Wspina się po schodach wyżej i wypada na dach. Zauważa ślady krwi na lastriko, lecz ofiar nigdzie nie widać. Nasłuchuje. Zza lady barowej dochodzi cichy śpiew. Dziewczęcy głosik nuci piosenki z bajek. *Julia!* Ojcu serce mięknie i od razu pędzi do bezpiecznego pokoju. Kiedy otwiera drzwi, córeczka rzuca się w jego ramiona z płaczem. Skowyczy jak małe dzikie zwierzątko. Trzyma tatę, dygocząc, i nie chce się od niego oderwać.

– *Baba...* – szlocha. – *Baba! Habibi!*125

– Co się stało? – Jasem ciągnie dziecko za język, jednocześnie na siłę odrywając je od siebie. – Gdzie mama?

– Nie wiem... Nie wiem... – Julia nie potrafi się uspokoić.

– Co tu się wydarzyło?

– *Ummi*126 nie chciała ze mną pływać w basenie. – Tylko tyle nadal obrażona dziewczynka zrozumiała z zaistniałej sytuacji. – Kazała biec... Kazała siedzieć cicho...

– I siedziałś?

– Nie.

– A co działo się dookoła?

– Zauważyłam tego nowego ogrodnika. Czarny jak mama...

Mężczyzna czuje, że grunt mu się pali pod nogami.

– Ile czasu tu siedzisz? – Przygląda się już nieco uspokojonej córce i odsuwa się od niej, bo śmierdzi fekaliami i zepsutym jedzeniem, które ma wszędzie – na rączkach, brzuszku, nawet w skołtunionych włosach.

– Długo, papku... Strasznie długo.

W głowie Jasema galopują myśli, ale jedno wie na pewno – musi opuścić to miejsce, i to jak najszybciej. Nie ma pojęcia, czy jego żona została porwana, zabita czy uciekła. Ale gdyby udało jej się zbiec, przecież zabrałaby ze sobą dziecko... To wszystko nie chce się ułożyć w logiczną całość.

Bierze córkę za rękę i niezwłocznie udaje się do Junisa, swojego jedyne pewnego poplecznika.

– Co się stało? – Marokańczyk, widząc gradową minę kumpla i brudną jak nieboskie stworzenie Julię, od razu się niepokoi. – Gdzie Eve?

– Nie wiem. Może ty mi powiesz? Co tu zaszło pod moją nieobecność, co? Myślałem, że będziesz chronił moje dziewczyny.

– Tak też było. – Marokańczyk wraca na sofę i szczelnie opatula się ciepłym pledem, choć w pomieszczeniu jest powyżej dwudziestu pięciu stopni. – Abubakr, którego kazałeś sprzątnąć, okazał się nieśmiertelnym sukinsynem – relacjonuje słabym głosem, podczas gdy Jasem rozsiada się wygodnie, nalewa sobie i małej wody z karafki i sięga po królewskie daktyle, które kuszą wyglądem i zapachem. – Za pierwszym razem moim siostrzeńcom się nie udało, ale za drugim rozwalili jego, jego ochronę i jakiegoś czarnucha, który się do nich przypałał. Ponoć Nigeryjczyk.

– Może Eve go znała?

– Przecież ona jest Czadyjką.

– Afrykanie przemieszczają się jak koczownicy. Nacje tasują się tam jak w czarnym

tyglu.

– Kto wie...

– Czemu dziecko było zamknięte nie wiadomo jak długo w bezpiecznym pokoju? – docieka oburzony ojciec. – Gdybym się nie pojawił, umarłaby z głodu i wycieńczenia!

– Moi chłopcy wszystko załatwili jak należy – upiera się Junis. – Ciała twoich antagonistów żrą skorpiony i żmije na pustyni. Skąd miałem wiedzieć, co się działo z twoimi babami? Przecież ani twoja piękna, ani ty nie spowiadacie mi się. Młodzi powiedzieli, że dom był pusty, to pomyślałem, że razem gdzieś wojażujecie.

– Czy twoi siostrzeńcy zabili moją żonę?! – Jasem przybliży krzesło do słabego starca i z powagą patrzy mu w oczy. – Przez przypadek, przy okazji?

– Skądże! Nie! Absolutnie nie! – Junis aż macha rękami. Nieoczekiwanie łapie zadyszkę, jakby miał astmę. Po chwili dusi go kaszel i znów pada na poduszki.

Żaden z nich nie zwraca uwagi na dziecko, które uważnie ich słucha i przygląda się im z zaciekawieniem, pochłaniając czerstwe, leżące na stole już parę dni arabskie ciastka.

– Mama była razem ze mną w tej klitce – nieoczekiwanie oznajmia smarkuła, gdy wściekły ojciec i ledwo zipiący wujek mierzą się wzrokiem. – Strzelali za ścianą na zewnątrz.

– I co robiła?

– Tak mocno mnie trzymała. – Pokazuje, oplatając się w pasie małymi ramionkami. – A ja przecież chciałam do basenu. Miałam pływać! Mama zatykała mi buzię, że aż bolało. Potem chwyciła za nosek. Nie mogłam oddychać, jak ty, wujku. Prawie mnie udusiła... A później już nic nie pamiętam. – Wygina usteczka w żalną podkówkę.

– Kochanie, idź do Muni, pewnie jest w kuchni. Niech cię wykąpie i da coś ciepłego do zjedzenia – proponuje Junis zaznajomionej z każdym w tym hotelu dziewczynce. – Kupi ci też jakieś nowe ciuszki. – Zauważa, że Jasem przyleciał do niego tak, jak stał. – A my tu z tą porozmawiamy, dobrze? – Wujek, choć widzi, że sytuacja jest nieciekawa, miło się uśmiecha, zachęcając dziecko.

– Spapraliście sprawę. Teraz mam spaloną metę w Maroku i zostałem z małym dzieckiem bez żony – peroruje zimnym głosem Alzani. – Co mam, do cholery, zrobić?!

– Z dzieckiem ci nie pomogę. Jestem starym kawalerem i nie nadaję się do opieki nad smarkatymi. – Junis zastanawia się przez chwilę, po czym wypala: – Przekaż ją do adopcji.

– Co?! – Jasem nie może uwierzyć własnym uszom.

– No tak. Taką małą ślicznotkę każdy weźmie, mimo że dziewczynka.

– Naprawdę nie mógłbyś jej na chwilę przygarnąć? – Ojciec nie chce oddać ukochanej córki w obce ręce za żadne skarby świata. – Weź ją na dwa tygodnie, maksymalnie miesiąc. Potem po nią wrócę. A jak nie wrócę, to... możesz z nią zrobić, co będziesz uważał za stosowne. – Słowa ranią mu nie tylko ściśnięte żalem gardło, ale przede wszystkim serce.

– Źle się ostatnio czuję – wyznaje stary. – Chyba sam widzisz.

– No właśnie widzę. Co ci jest?

– Mój durny siostrzeniec Mehmed, który jeździ do Włoch na panny jak po zboże, przywiózł tym razem nie rzeżączkę, ale jakiegoś innego bakcyła.

– Jakiego znowu bakcyła? Masz grypę, ot co. – Jasem podśmiechuje się z hipochondrii Junisa.

– Słyszałeś o Wuhan?

– Że co?

– Wuhan. Taka miejscowość w Chinach. Wybuchła tam epidemia, a teraz turyści jak wściekle psy rozwożą ją po całym świecie. U Italiańców odnotowują coraz więcej zachorowań. Tam również twierdzą, że to grypa, ale ja myślę, że jakaś gorsza plaga. W innych krajach też

ludzie padają jak muchy, więc to już chyba pandemia.

Jasemowi dreszcz strachu przebiega po plecach, bynajmniej nie dlatego, że boi się kataru, ale ponieważ takie właśnie były ostatnie słowa Sajfa al-Islam Kaddafiego. Pół-Syryjczyk jak każdy Arab jest przesądny i teraz lęka się, że jego przedśmiertne przepowiednie mogły być prorocze.

– Słyszałeś o grypie hiszpance? – ni z tego, ni z owego wypała Junis.

– Coś tam obilo mi się o uszy. Dawne dzieje.

– Człowieku, to do tej pory największa zaraza współczesnych czasów! Chcesz posłuchać czy się spieszysz? Chyba prześpisz się dzisiaj u mnie w *riadzie*, w swoim apartamencie, nieprawdaż?

– Tak. Oczywiście. Jutro ruszę dalej. Jeszcze zobaczymy, co z Julią. Pogadajmy sobie, może w międzyczasie jakieś dobre rozwiązanie wpadnie nam do głowy.

– Nalej sobie zatem whisky, zresztą i mnie kropelka nie zaszkodzi. Na odkażenie – usprawiedliwia się gospodarz, bo przecież obaj są wyznawcami fundamentalistycznego islamu, ale też każdy z nich dostosowuje wiarę do własnych potrzeb.

– Zaczęło się to w 1918 roku<sup>127</sup> – podejmuje opowieść ożywiony staruszek. – Równiutko na zakończenie pierwszej wojny światowej. Śmiercionośna grypa przetoczyła się przez cały świat, zbierając ogromne żniwo. Twierdzi się, że wywodziła się z Półwyspu Iberyjskiego, stąd jej nazwa, ale mało prawdopodobne, że kiedykolwiek dowiemy się, gdzie się ta zaraza faktycznie uległa.

– W zgnitej Europie na pewno. To zawsze było siedlisko zła. – Jasem pielęgnuje w sercu obsesyjną nienawiść do Starego Kontynentu.

– Są różne teorie – kontynuuje gawędziarz, choć co chwilę świszcze mu w płucach i musi złapać oddech. – Już w 1916 roku w obozie wojska brytyjskiego odnotowano kilka przypadków zachorowań. Najpierw wirus w miarę niegroźnie wędrował po Anglii, by dwa lata później, po tym jak został rozwieziony przez żołnierzy po całym świecie, uderzyć z pełną mocą. Inni doszukują się początków epidemii w północnych Chinach, gdzieś przy granicy z ówczesną Mandżurią, skąd już w czerwcu 1918 roku donoszono, że choroba przypominająca grypę zaatakowała około dwudziestu tysięcy osób.

– Wtedy w Chinach i teraz w Chinach? – dziwi się takiemu zbiegowi okoliczności przesądny słuchacz. – Ci Chińczycy to straszne gnoje! Smarkają i plują dookoła, aż rzygać się chce.

– Rzeczywiście są mało higieniczni. I zawsze było ich od groma. Mnożą się jak króliki. Bardziej niż my.

– Zgadza się. To co, Chinole sprzedali zarazę Hiszpanom?

– Niekoniecznie. Było jeszcze trzecie epicentrum, najsilniejsze w amerykańskim stanie Kansas, gdzie już w początkach ostatniego roku wojny zaobserwowano nowy, groźniejszy niż zwykle i wyjątkowo zaraźliwy typ grypy.

– Ciekawe... Rzeczywiście poszło to dość szeroko.

– Niezależnie od tego, gdzie dokładnie śmiercionośny wirus się pojawił, już pierwsza fala epidemii, która zaatakowała wiosną 1918 roku, objęła znaczną część świata. W marcu i kwietniu zaraza pojawiła się w Europie, następnie, w dużej mierze za sprawą wracających z frontu żołnierzy, przewędrowała do Azji i Afryki Północnej, by wreszcie w lipcu dotrzeć aż do Australii.

– Teraz nie mamy żołnierzy, więc może twoja katastroficzna wizja się nie spełni? – podkpiwa Jasem.

– Zamiast żołnierzy mamy turystów, mój kochany – z figlem w oku odpowiada Junis. –

Niektórzy są ciekawi świata, a inni włączają dupę dla seksturystyki, tak jak mój siostrzeniec. To jeszcze większa armia idiotów, którzy bez instynktu samozachowawczego wszędzie się wepchną i rozniosą każdą plagę. Wojaka możesz spacyfikować, ale z takim globtroterem już trudniej.

– I jak to się potoczyło te sto lat temu? – Zainteresowanie człowieka intelektu wzrasta, kiedy idée fixe okazuje się całkiem realna.

– Na tym etapie choroby w przeważającej większości wracali do zdrowia. Nie odnotowano jeszcze wówczas żadnych anomalii. Tylko niektórzy lekarze zauważyli, że wśród najbardziej narażonych na powikłania znaleźli się nie tylko ludzie bardzo młodzi i bardzo starzy, ale też ci w sile wieku, trzydziesto- i czterdziestolatki, którzy teoretycznie powinni mieć największą odporność.

– Więc co? Choroba po kilku tygodniach zniknęła tak nagle, jak się pojawiła, i uznano, że nie ma powodów do paniki? Przeszto myśleć o całej sprawie?

– Zgadza się! – Marokańczyk aż klaszcze w ręce. – O tym, jak wielki to był błąd, przekonano się jednak już wkrótce. Hiszpanka bowiem powróciła i w ciągu kilku kolejnych miesięcy zebrała żniwo, które naukowcy określają jako niemal apokaliptyczne.

– Tak to bywa, kiedy lekceważy się poważne sprawy. Ja też kiedyś zbagatelizowałem pewne drobne szczegóły i od lat muszę znosić reperkusje z tego powodu.

Mężczyźni milkną, każdy z nich zanurza się w swoich myślach. Dumają o perfidii losu i nieuchronności przeznaczenia.

– Od razu było wiadomo, że tym razem o łagodnym przebiegu grypy nie może być mowy – snuje wątek Junis.

– Jakie były jej objawy? Powiedz, żebym wiedział na przyszłość, kiedy znów na świat spadnie plaga, czy mam szykować sobie trumnę? – szydzi niedowiarek.

– Hiszpanka miała wyjątkowe symptomy u zarażonych. W poważnych przypadkach cierpieli na silne bóle głowy i ciała oraz gorączkę. Twarze chorych stawały się niebieskie lub czarne, co było oznaką sinicy. Podczas kaszlu odpluwali krwią, krwawili też z nosa.

– O cholera! Straszne... – Jasem jest pod wrażeniem i z obrzydzenia aż się marszczy.

– Śmierć następowała zwykle na skutek ataku bakterii na płuca, co sprawiało, że te niezbędne do życia organy zamieniały się w pojemniki na papkę, która po prostu topiła delikwenta. Nie było wtedy respiratorów ani żadnych tego typu urządzeń medycznych wspomagających pacjenta. U większości chorych inwazja trwała od dwóch do czterech dni.

– Krótko. Przynajmniej się nie męczyli. Każdy chciałby mieć taką śmierć. Albo jeszcze szybszą... – Myśli kategoriami żołnierza i człowieka, który doświadczył tortur, więc wie, co to powolne umieranie.

– Zgon mógł jednak także nastąpić nagle. Gadano o ludziach, którzy ni z tego, ni z owego upadali i umierali albo po rozpoznaniu choroby poddawali się jej w ciągu kilku godzin.

– Nie dali rady tych zakażonych odizolować?

– Fakt, totalnie to zaniedbano. Nieznana wówczas grypa była niezwykle zaraźliwa, z czego ówczesni albo nie zdawali sobie sprawy, albo zwyczajnie bagatelizowali ten fakt. W niektórych pułkach stacjonujących w Europie chorowało nawet dziewięćdziesiąt procent żołnierzy. Wcześniej wyzdrowieli, ale teraz, kiedy wirus zmutował, ich szanse były zdecydowanie mniejsze.

– Żeby wojsko przyczyniło się do rozprzestrzeniania epidemii, to już się w głowie nie chce pomieścić. Przecież mogli ich zamknąć w koszarach, spacyfikować, eksterminować... Wypalić napalmem! – Jasem ujawnia swoje niehumanitarne podejście, co Junisa tylko bawi.

– Napalmu jeszcze wtedy nie było – ripostuje trzeźwo. – A hiszpanka równie zaciekle atakowała ludność cywilną. Zwłaszcza że władze w obliczu epidemii popełniały nieraz wręcz

kardynalne błędy.

– Cóż, każdy rząd boi się krytyki i niezadowolenia obywateli.  
– Dlatego też na przykład w Filadelfii postanowiono nie odwoływać zaplanowanej na jesień 1918 roku parady. Mieszkańcy miasta, ogarnięci patriotycznym zapałem, stawili się tłumnie. Udział w pochodzie wzięło dwieście tysięcy ludzi, a już trzy dni później ponad tysiąc sześćset osób zgłosiło się do szpitali z objawami grypy. Kolejne doby zaczęły przynosić pierwsze ofiary śmiertelne. Teraz wirusa nic już nie mogło zatrzymać, nawet wprowadzony z opóźnieniem zakaz spluwania.

– Infekcja od jednej parady rozeszła się na miliony osób? Coś niesamowitego!

– Od jednej parady w Filadelfii, od jednego wiecu w Europie... i tak ruszyła fala. Najpierw zmarły dwieście pięćdziesiąt cztery osoby, następnego dnia ponad trzysta, zaś po tygodniu już czterysta duszyczek przeniosło się do Pana Boga. Liczba ofiar rosła w zatrważającym tempie. Wydawało się, że nie ma temu końca.

– Zapewne miasta nie były w stanie poradzić sobie z oszałamiającą liczbą zmarłych?

– Zgadza się. Zapas trumien szybko się skończył. Ciała owijano w prześcieradła...

– To tak jak u nas, muzułmanów – przerywa beztrosko Jasem.

– Tylko że wtedy zakażone ludzkie szczątki po prostu zostawiano tam, gdzie ktoś umarł, ponieważ instytucje publiczne sobie nie radziły. Miejskie kostnice miały przeważnie miejsca na dwadzieścia – trzydzieści ciał, a przechowywały nawet dwieście! Trupy przetrzymywano w domach, układano na gankach i podwórzach. Rodziny zmuszone były do kopania grobów dla swoich zmarłych, bo grabarze odmawiali zajmowania się rozkładającymi się zwłokami.

– Ludzka głupota i nieodpowiedzialność nie mają granic. W czasie epidemii iść na durną paradę, by potem odwalić kitę, to się w głowie nie chce pomieścić.

– Jak świat światem ci, którzy siedzą przy żłobie, boją się utraty stołków bardziej niż groźnej epidemii. Nie tylko filadelfijscy przywódcy zlekceważyli niebezpieczeństwo. W miarę jak choroba zataczała coraz szersze kręgi, także w innych miejscach na świecie wykazano się całkowitym brakiem wyobraźni. Władze Paryża postanowiły na przykład zamknąć szkoły, ale kawiarnie funkcjonowały jak dawniej. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Zmarło co najmniej cztery tysiące mieszkańców.

– Francuzi zawsze byli mało rygorystyczni i usłuchani.

– Nie tylko oni. Także w Wielkiej Brytanii panował raczej niefrasobliwy nastrój. Wyspiarski odpowiednik głównego inspektora sanitarnego niespecjalnie przejął się szalejącą epidemią. Radził wprawdzie swoim rodakom, by nosili maseczki, ale poza tym zachęcał jedynie, by dobrze jedli i pili około pół butelki lekkiego wina dziennie.

– Brytole i wino? Królowa matka sący każdego dnia co najmniej jeden dżin z tonikiem i chyba dobija już do setki. To jest metoda!

– Polityka władz, które nie chciały wywoływać paniki wśród i tak, ich zdaniem, zmęczonych wojną obywateli, oraz bezsilność lekarzy, którzy nie byli w stanie wypracować żadnego skutecznego remedium, miały katastrofalne skutki.

– No to hiszpanka zaszalała.

– Wbrew nazwie i źródle tej choroby najbardziej ucierpiały Indie – informuje znawca tematu. – Liczba ofiar sięgnęła aż dwudziestu milionów. Dla porównania w USA zmarło zaledwie sześćset siedemdziesiąt pięć tysięcy osób.

– Hindusów, tak jak Chińczyków, zawsze było dużo. Za dużo – ocenia rasista.

– Łącznie w ciągu sześciu najgorszych miesięcy, od jesieni 1918 do wiosny 1919 roku, zmarło ponad trzydzieści milionów ludzi. W czasie całej epidemii, szacuje się, około czterdziestu milionów. Niektórzy podają jeszcze większe liczby, twierdząc, że ofiar mogło być

od pięćdziesięciu do nawet stu milionów.

– To już są ilości – przyznaje Jasem, trochę znudzony przydługą opowieścią o zamierzczłych czasach, która nijak się ma do współczesności.

– Wiesz, co jest w tym wszystkim najzabawniejsze? Albo najtragiczniejsze? – pyta Marokańczyk, a gdy słuchacz niemo zaprzecza, wyjaśnia: – Już najmniejsza z tych liczb znacznie przekracza sumę ofiar całej trwającej cztery lata pierwszej wojny światowej. Fronty pochłonęły bowiem dwadzieścia czy dwadzieścia dwa miliony istnień.

– Ale zaraza w końcu minęła. Liczba mieszkańców Ziemi od tego czasu podwoiła się lub potroiła – zauważa trzeźwo Alzani.

– Na szczęście po przerażającym półroczu hiszpanka po raz kolejny ustąpiła. Trzecia fala, która nadeszła jeszcze w 1919 roku, była już znacznie słabsza. Świat mógł odetchnąć.

– No i dobrze. – Jasem, zmęczony dniem pełnym wrażeń, chce się już zbierać. – A ty nie czytaj tych bzdur w internecie, dziaduniu, bo tylko siebie i innych straszysz. – Pochyla się i poklepuje przyjaciela po ramieniu. – Weź aspirynę i porządnie się wyśpij.

– Dziękuję, że ze mną posiedziałeś. Od razu lepiej się czuję.

– To się cieszę.

– Myślę, że Julię powinieneś zabrać ze sobą albo od razu oddać ją w dobre ręce – sugeruje Junis.

– Chyba jednak pojedzie ze mną – impulsywnie decyduje ojciec, bo nikt nie będzie decydował o losach jego córki. Tylko on ma do tego prawo.

117 *Dossier* (francuski) – zbiór dokumentów i akt dotyczących jakiejś osoby lub sprawy; też: teczka zawierająca takie dokumenty i akta.

118 *Imam* (arabski) – w tradycyjnym znaczeniu słowem tym określa się osobę, która przewodniczy rytualnej modlitwie muzułmańskiej, czyli salatowi. W ogólności może to być osoba świecka bądź przełożony meczetu.

119 *Szarmuta* (arabski) – dziwka, prostytutka.

120 *Gafirówka* (arabski, dialekt, spolszczone) – od *gafir* (stróż) – stróżówka.

121 *Ahlan wa sahlán* (arabski) – Witam, cześć.

122 *Kif sahha?* (arabski) – Jak zdrowie?

123 Zob. indeks nazwisk.

124 *Safe room* (angielski) – bezpieczny pokój.

125 *Habibi* (arabski) – Mój kochany.

126 *Ummi* (arabski) – Moja mama.

127 Na podstawie: Jeremy Brown, *Grypa. Sto lat walki*, tłum. Joanna Gilewicz, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2019.



**KOCHANIE, WRÓCIŁEM**

## STARE RIJADZKIE KĄTY

Wnocy Jasema budzi sygnał ambulansu, który zatrzymuje się pod hotelem. Zastanawia się, co się dzieje, ale postanawia zostać w apartamencie. Przez okno widzi ratowników medycznych. Wyglądają jak kosmonauci – w przedziwnych, jaskrawych kombinezonach, hełmach i przezroczystych przyłbicach. Biegają z noszami na piętro zajmowane przez Junisa. Jasema to dziwi, bo przecież staruszek miał najwykleszą gripę, która raczej nie zagraża życiu. Jednak po chwili na noszach widzi znajome ciało przyjaciela. Choremu założono maskę tlenową, a do żyły w ręce podłączono wenflon. Oznacza to dla mściciela nie lada komplikację. Wprawdzie wieczorem spontanicznie zadeklarował, że córkę bierze ze sobą, jednak gdy przemyślał sprawę na spokojnie, zmienił zdanie. Ciągnąć małą do Królestwa Arabii Saudyjskiej, do którego się wybiera, by definitywnie zakończyć swą wendetę i wyrównać ostatnie rachunki, to duże ryzyko. *Psiakrew!*, denerwuje się. Przecież nie zostawi Julii u niestabilnego emocjonalnie i groźnego Piotra ani nie wyśle jej na Gran Canarię. W pierwszym przypadku byłby to dla dziewczynki pewny wyrok śmierci, bo Polak z takimi rozwydrzonymi bąkami się nie patyczkuje. Drugie rozwiązanie z kolei opóźni jego działania. Mała bezproblemowo może polecieć z ojcem, bo ma dokument wystawiony na jego aktualne nazwisko, na którym figuruje jako Julia Rodriguez, córka Gomeza, więc przy przekroczeniu granicy nic nie wzbudzałoby podejrzeń. Nawet to, że ma sніadą karnację i rysy zupełnie inne niż jej tata – widać takie geny. Lecz co z gówniarą zrobić, kiedy on będzie zajęty? Przecież planując jedną z największych zbrodni w Królestwie, nie może zwracać sobie głowy kapryсами upartej smarkuli. Dawno nic tak spektakularnego się u nich nie wydarzyło. Musi więc zwrócić się z nietypową prośbą do swego poplecznika, wahabity Abu Isy.

– Stary, potrzebuję osobliwego wsparcia podczas mojej akcji – zaczyna niepewnym głosem.

– Oczywiście! – Saudyjczyk, widząc szeroki zakres działań i brawurę swego kompana, zgadza się na wszystko.

– Według planu mam wylądować na lotnisku w Dzeddzie.

– Zgadza się.

– Tyle że będzie ze mną pewna mała osóbką, którą chciałbym na jakieś dwa tygodnie oddać w czyjeś dobre ręce.

– Przylatujesz z kochanką?! – Oburza się prawowierny muzułmanin, którego nie szokuje zbrodnia, lecz miłość. – U nas w kraju... – zaczyna perorę.

– Z moją córką – szybko przerywa mu Jasem. – Ma niespełna trzy lata.

Na łączach zapada cisza, bo tego współnik się nie spodziewał.

– Nie może zostać z matką?

– Nie.

– Dobrze. Nie ma problemu. Byleby nie wyglądała frywolnie i nie nosiła krzyżyka na łańcuszku.

– Wiem. Znam zasady. Zrewanżuję się rodzinie.

– Nie będziesz się nikomu rewanzował. Z wyjątkiem mnie – szorstko wyrokuje przebiegły chytrus, którego Jasem z miłą chęcią też by sprzątnął.

Zanim jednak wyjedzie z Marrakeszu, musi ustawić swoją krnąbrną córunię. Skończyły się bowiem czasy, kiedy dziecko wchodziło na głowę swoim tolerancyjnym rodzicom. Nie ma teraz matki, więc nie ma tej, która spajała i kształtowała ich małą rodzinę. Po zniknięciu Eve z Jasema nad wyraz szybko wyparowuje znaczna część uczuć do dziecka, za którym nie tak

dawno w ogień by skoczył. Teraz Julia przeważnie go denerwuje. Mała musi zacząć tańczyć tak, jak jej zagra, albo Jasem własnoręcznie – i ostatecznie – rozwiąże swój nieoczekiwany problem.

– *Baba*, co będzie z tym basenem? – marudzi Julia, gdy tylko ojciec się budzi.

Jasem patrzy na nią roziskrzonymi złością oczami.

– Ubieraj się. – Nie odpowiadając na pytanie, rzuca jej łaszki. – Umyj się, zjedz coś i w drogę.

– Do domu? Mama już na pewno na nas czeka. Będziemy pływać!

– Nie do domu. Domu już nie ma. Mamy też już nie ma. Jestem ja i tylko ja, i masz mnie słuchać.

– *Baba*... – od razu przechodzi do szantażu płaczem i zbiera się do ryku.

– Stul pysk, gówniaro! – Bezwzględny ojciec chwyta ją za bujne włosy, z łatwością przerzuca przez kolano, po czym jednym ruchem ściąga skórzany pasek u swoich spodni. Wykonuje pierwszy zamach, a kiedy mała nie cichnie i nie słabnie, tylko drąc się, wije jak piskorz, spada na nią kara chłosty. Plecki, pupa i uda trzylatki najpierw czerwienieją, potem robią się purpurowe ze śladami pasów, by na koniec podejść krwią. Po dziesiątym razie dziewczynka w końcu idzie po rozum do głowy i milknie. Nadwątlone, niespożyte siły słabną i dziecko bezwiednie zwisa przerzucone przez ojcowskie nogi. Jedynie cicho pochlipuje, a katar i ślina kapią z buzi na podłogę, po nóżkach zaś spływają strużki popuszczonego moczu.

– Odzywasz się, kiedy ja pozwolę – ojciec ustala nowe zasady, odrzucając zmaltretowaną córeczkę na sofę. – Nie dyrygujesz, bo te czasy już nieodwołalnie się skończyły. Robisz, co każę. Udajesz, że cię nie ma, bo mnie wkurwiasz i mi przeszkadzasz. A jak dalej będziesz taka wredna i uparta, to cię zabiję – oznajmia na koniec.

Julii oczka wychodzą z orbit, a serce trzepocze jak mały ptaszek zamknięty w klatce. Nie rozumie wszystkich tych groźnych, dorosłych słów ojca, nie wie, co się dzieje, i nie potrafi ogarnąć tego swoim szczenięcym rozumem, lecz podświadomie zdaje sobie sprawę, że jeśli nie będzie postępować zgodnie z zaleceniami, ten brutalny mężczyzna może znów zrobić jej krzywdę i zadać ból. Zwycięża w niej instynkt przetrwania. Z trudem zwleka się z barłogu i niezdarnie nakłada kolorowe ubranka. Ojciec szorstko przeciera jej poranione plecki mokrym ręcznikiem i zasypuje odkażającym proszkiem. Podsuwa pod nos ciastka, zabrane z apartamentu Junisa, i wciska w garść parę daktyli. Patrzy na dziecko martwym, zimnym wzrokiem. Następnie bierze w swoją mocną dłoń drobną rączkę Julii i wychodzą z apartamentu.

\*\*\*

Alzani pamięta wszystko, co Daria opowiadała mu o sobie i o swojej rodzinie. Zawsze twierdziła, że kobiety z rodu Salimich są przeklęte. Najpierw swobodnie snuła opowieści, myśląc, że ma do czynienia z Brytyjczykiem Johnem Smithem, potem – podczas ich wspaniałej trasy ku wolności i czystemu islamowi przez Damaszek, Palmirę aż do Rakki – całkowicie zamknęła się w sobie, lecz kiedy uciekli z jego wymarzonego Państwa Islamskiego i kalifatu, powoli znów zaczęła się otwierać. Najbardziej w Bejrucie, gdzie tak jej się podobało i liczyła jeszcze chyba, że ich związek będzie normalny, niewinny, jak miliony związków na całym świecie. Jasem nie może zaprzeczyć – jego też kusila taka perspektywa, ale później, w Dosze, stolicy Kataru, kiedy poznał prominentnych Libijczyków, drania Musę Kusę i jego poplecniczkę Dżamilę Muntasir, swoją przyszłą żonę i gorącą kochankę, w jego głowie narodził się plan powrotu do polityki i władzy w wielkim stylu. Zupełnie zrezygnował wtedy z pomysłu spędzenia reszty życia w spokoju. Zresztą nuda nigdy nie była dla niego. On zawsze sięgał gwiazd, zmierzał do najbardziej niedościgłych celów.

Teraz, gdy znów jeździ po Rijadzie, odnajduje stare kąty, a wspomnienia młódki Darii

zalewają mu serce. Nie może się doczekać spotkania po latach. Od momentu pierwszej randki z dziewczyny wyrosła atrakcyjna kobieta, która rozkwitła w Libii pod wpływem wielkiej miłości do Sajfa al-Islam Kaddafiego. Jak teraz wygląda, Alzani już wie, bo obserwuje ją od dłuższego czasu – na odległość przez kamery, ale też osobiście w hotelu Kempinski w Kairze, gdzie miał ją dosłownie na wyciągnięcie ręki. Pod świątynią Hatszepsut dał występ przeznaczony przede wszystkim dla jej oczu. Zastanawia się, jak wpłynęła na nią miłość księcia. Czy zrobiła się dumna i niedostępna jak typowa księżna, którą nieoczekiwanie się stała? Choć z ich rozmów i obserwacji Jasem wnioskuje, że dla niego i przy nim Darin zawsze będzie jego arabską żoną. Zawsze będzie mu posłuszna, a im więcej jej pan i władca posiada atutów, tym bardziej ją zdominuje. Teraz ma już prawie wszystkie argumenty po swojej stronie. Figury na szachownicy tak sprytnie ustawił, zastawiając pułapkę, że ta rozgrywka jest już niemal wygrana. Pozostały mu tylko szach i mat. Orientuje się, że jego kobieta nic nie wie o losach Ahmeda, więc przypuszcza, że jednak to nie książę Anwar go zabrał. Nie wie, kto ma dziecko, i w sumie jest mu to obojętne. Najważniejsze, że może je wykorzystać jako kolejną kartę przetargową. Kiedy nieszczęsna matka dowie się, że zamiast własnego syna dostanie pod opiekę jedynie murzyńską dziewczynkę, będzie za późno, by się wycofać. Zresztą ona i tak już nie ma takiej możliwości. Jasem znów ją zaszantażował, opanował, zdominował. Wszystkie ich rozmowy czy jej działania, które dokładnie rejestruje, by w końcu ujawnić jej współdziałanie w akcji, obciążają ją do tego stopnia, że już nigdy nie wywinie się sprawiedliwości. Pozostanie jej tylko bycie żoną swojego pierwszego męża. Dżihadysty i terrorysty.

*Ech, te baby, wzdycha zadowolony mężczyzna, bo wszystko układa się po jego myśli. Udają takie niepokorne, ale zawsze dadzą się omamić jakiemuś facetowi, bo mają takie miękkie, namiętne serduszka.* Siedząc w aucie, bacznie obserwuje dom Binladenów w Rijadzie. Wygląda jak wymarły, co Jasema nie tyle dziwi, ile niepokoi.

Potem jedzie na kampus przy Szpitalu Gwardii Narodowej. *Co za dziadostwo!*, podsumowuje. *W tej Saudii tylko piach i pył.* Chodzi po alejkach między domami, by po chwili przysiąść na ławce przed domem Polaków Krystyny i Andrzeja, tej samej, na której nie tak dawno siedziała Daria. Wydaje mu się, że czuje jeszcze jej obecność.

W pewnej chwili otwierają się drzwi willi, w której mieszka Dorota ze swoim mężem Aszrafem al-Ridą. Polka maszeruje żwawo w kierunku lazaretu i przyklejonego do niego budynku hospicjum. Przelotnie rzuca na niego okiem i mija obojętnie. Nie rozpoznaje go, a Jasemowi ta próba jest bardzo w smak. Jeśli ona go nie zdemaskuje, to już nikt. I o to chodzi!

Kiedy ponownie wraca pod dom Binladenów, bo tych drani przede wszystkim chciałby ukarać, zauważa młodych ludzi, którzy się przez niego przewijają. Kim są? Co tam robią? Adama rozpoznaje od razu – domyśla się, że to syn Doroty, bo skóra z niej zdarta. Nadia też się wyróżnia. Ale dwójka nastoletnich Saudyjczyków jest mu całkiem obca.

– To księżniczka Wafa al-Saud. Córnica naszego następcy tronu – objaśnia zdradziecki funkcjonariusz wywiadu.

– A ten drugi?

– Syn Walida bin Talala128. Gruba ryba.

– Niezłych popleczników ma teraz ta pieprzona rodzinka. Pomyślałby kto! Binladen!

– Owszem, wspięli się wysoko po szczeblach saudyjskiej drabiny. Ale im wyżej się siedzi, tym boleśniej czuje się upadek.

– Śledź jeszcze dokładniej dom, młodych, starą matkę i oczywiście Darię. Non stop. Za pomocą kamer i dronów. Chcę widzieć na nagraniach, jak będą spali i srali – stwierdza kolokwialnie Jasem, a mundurowy świetnie go rozumie. – Jasne?

– Jasne. *Sah.*

Terrorysta ma więcej szczęścia niż rozumu. Może załatwić Binladenów ich własnymi rękami, swoich przy tym nie brudząc. Przez przypadek – i dzięki niezdrawemu zainteresowaniu podglądaczy – Jasemowi udaje się zdobyć niezwykle materiał. Teraz ma w szachu nie tylko tę wredną lalę Miriam, nie tylko świętoszkowatego doktora o nieposzlakowanym życiorysie, ale także dumnego saudyjskiego szpiega. Jednak nie ma zamiaru ich szantażować. Chce ich ugotować.

W Królestwie Arabii Saudyjskiej pozamałżeńskie stosunki seksualne nadal są surowo zabronione i uważane za największą zbrodnię. A jeśli dopuszcza się ich niewierny z wahabicką muzułmanką, kochankom grozi najwyższy wymiar kary. To, że dziewczyna jest nieletnia, niczego nie zmienia. Nawet jeśli był to gwałt, nic biedulki nie uratuje. Niewiasta zawsze jest winna, bo prowokuje faceta, który rozum ma w kroczu. Honor saudyjskich mężczyzn nadal znajduje się między udami ich kobiet. Kara jest okrutna, rodem ze średniowiecza – śmierć przez ścięcie dla mężczyzny, a dla kobiety... czego tylko rodzina zapragnie.

– Załatw mi prywatny numer telefonu komórkowego waszego naczelnego księciunia – Jasem zwraca się do Abu Isy, a ten tylko podnosi ze zdziwienia brwi. – No co? Myślałeś, że ten filmik będziemy wykorzystywać tylko dla własnej uciechy?

– To trudna sprawa. Prywatny numer...

– Tak właśnie. Nie dasz rady? – Jasem błyskawicznie się wścieka.

Pomimo oporów dla chcącego nic trudnego i po niespełna jednym dniu nagranie trafia na smartfona Mustafy bin Salih<sup>129</sup>, ojca zgwałconej księżniczki Wafy al-Saud, która – o czym świadczy film – akurat nie była bez winy. Czarowała swojego adoratora i późniejszego gwałciciela, jak tylko się dało. Nieudolny striptiz czy arabskie tańce są doprawdy żenujące. Terrorysta, oglądając nagranie, zaśmiewa się z głupich dzieciaków, ale też bardzo go ono podnieca i wielokrotnie osiąga orgazm.

Na reakcję księcia koronnego nie musi długo czekać.

– *Wallahi!* – Ojciec wije się w odosobnieniu swojego gabinetu, w którym nie tak dawno siedziała jego pupilka, rozsądna i nad wyraz inteligentna córeczka Wafa. – *Wallahi!* – Przez chwilę żadne inne słowa nie przychodzą mu do głowy, ale zaraz przez wykrzywione wściekłością usta wylatuje pierwsze przekleństwo: – *Gahba!*<sup>130</sup> Jakże mnie oszukiwała, jak zwodziła! Co za hańba! Co za wstyd! – Reaguje typowo dla swojej nacji, nie litując się nad zgwałconą córką, lecz z góry potępiając jej zachowanie. – *Szarmuta!* Jej grzech zostanie w równie przebiegły sposób ukarany. Niech się łudzi, że nie ujrzy światła dziennego. Niech sobie jedzie z tymi swoimi poplecznikami, młodocianą kurwą Binladenówną i starą rajfurką Binladenową do Londynu. Nawet nie będę ich śledził. I tak wiem, gdzie się udadzą. Tę saudyjską ginekolożkę działającą bezkarnie na obczyźnie, paskudną lesbę, czas najwyższy sprzątnąć za odtwarzanie setek czy nawet tysięcy błon dziewiczych rozpustnych Arabek. A polski blondas, przeklęty adonis, gdziekolwiek by się nie zaszył, i tak wcześniej lub później wpadnie w moje ręce! Rozegram tę partię jak wyrafinowany gracz. Mnie takie gówno nie złamie! Co to to nie! – wykrzykuje jak opętany. – W końcu jestem saudyjskim następcą tronu. Przyszłym władcą Królestwa!

Ojciec planuje wszystko z wręcz obsesyjną przebiegłością. Choć kosztuje go to wiele nerwów i nieprzespanych nocy, podczas których snuje się jak duch po pałacowych komnatach i wyje jak wilk do księżyca, wstrzymuje się z wykonaniem zbrodni honorowej. Zresztą szybko stwierdza, że takowa w ogóle nie wchodzi w grę. Co to bowiem za kara, kiedy winnego błyskawicznie pozbawia się życia, a ten, którego czyn ugodził, splugawił i upodlił, pozostaje wśród żywych i musi cierpieć każdego dnia przez długie lata? Mustafa bin Salih postanawia

dokonać honorowej zemsty, a nie zbrodni – i tylko ta wizja dodaje mu sił i choć trochę poprawia nastrój.

\*\*\*

Żeby wzbudzić panikę w Darii, a szczególnie w jej rodzinie, aktywnie działający na terenie Arabii Saudyjskiej terrorysta przesyła nagranie gwałtu dokonanego na księżniczce Wafie również na komórkę swojej byłej żony. Wie, że podzieli się ona tą informacją z rodziną, i aż mu serce rośnie, kiedy myśli, jak zszokowani i spłoszeni będą ci ludzie. Jest też niezmiernie ciekaw, jakie kroki podejmą. Nie wie, jakie są teraz ich wzajemne stosunki – czy są skonsolidowani czy skłóceni, szczęśliwi czy nie. Wszystkiego nie można się domyślić ze zdalnej inwigilacji. Są rzeczy, których publicznie się nie ujawnia, są tajemnice głęboko ukryte i brudy zamiatane pod dywan. Zwłaszcza w krajach arabskich. Jednak Jasem bada każdy drobiazg, bo wie, że diabeł tkwi w szczegółach. Intryguje go, czemu dom Binladenów jest opustoszały, sprawdza też nowych przyjaciół rodziny, a szczególnie coraz częściej przewijającą się w ich otoczeniu marokańską lekarzkę Salmę. W końcu dowiaduje się, że Hamid wziął sobie drugą żonę. *Jak to?*, dziwi się. *Jak to się ma do wielkiej, ślepej miłości do Miriam i nowoczesnego podejścia do świata? Jak to się ma do przestrzegania międzynarodowego prawa? Ten nowoczesny Saud bigamistą?* Jasemowi coś tu nie pasuje, wewnętrznie zgrzyta. Z drugiej strony, cieszy go fakt rozbicia rodziny, bo to daje mu możliwość bezproblemowego owinięcia sobie byłej żony dookoła małego palca. Nikt jej nie wesprze, nikt nie przemówi do rozumu, a szczególnie nieznosząca go, aktualnie odrzucona przez męża Miriam, gdyż ma zapewne dość własnych problemów. Najłatwiejsza i najpewniejsza ofiara to samotna, spłoszona zwierzyzna. I właśnie taką sierotą wydaje się aktualnie Daria.

128 Zob. indeks nazwisk.

129 Postać Mustafy bin Saliha jest fikcyjna, a wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe. Biogram faktycznego księcia koronnego – zob. indeks nazwisk.

130 *Gahba* (arabski, dialekt) – kurwa.

## FASADOWE ZMIANY

Książę Mustafa bin Salih, znany powszechnie jako MBS, wcale nie jest tym, na kogo się kreuje. W gruncie rzeczy jest stereotypowym, tradycyjnym i zakłamanym Arabem. Wahabita z krwi i kości. Swoją nową *image* wykreował tylko po to, by zdobyć zagraniczne fundusze i międzynarodowe poparcie. Wsparcie naiwniaków, którzy wierzą w konieczność wprowadzenia demokracji w muzułmańskich krajach, nawet w takiej zacofanej, ortodoksyjnej Arabii Saudyjskiej.

Bliskowschodnia, gdzieś tam wolna prasa bierze saudyjskiego następcę tronu na języki. Śmierć jego ortodoksyjnej córki w islamskiej szkole dla dziewcząt dała wszystkim do myślenia. Skąd taka zacofana dziewczyna w wyzwolonym, nowoczesnym domu? Dlaczego nie chodziła do międzynarodowej czy zagranicznej szkoły, a wybrała wylęgarnię fundamentalistek. Zresztą sama na taką wyglądała. A może tatuś ją tam skierował? Nikt nie jest w stanie się tego dowiedzieć, bo przecież książę nie udziela wywiadów. On wydaje tylko oświadczenia i mówi to, co chce. A raczej to, co inni chcą usłyszeć. Druga córka nieoczekiwanie znika bez śladu z przestrzeni publicznej Królestwa. Czyżby dlatego, że zadawała się z innowiercami? Była wyemancypowana jak na saudyjskie warunki. Czyżby dopuściła się czegoś nieprzyzwoitego, za co *baba* musiał ją ukarać? A może uwięził ją w złotej klatce? Wielu mężczyzn z jego rodu czyniło tak z niepokornymi kobietami, czego najlepszym przykładem jest znany wszem wobec i ceniony na arenie międzynarodowej świętej pamięci król Abdullah. Temat zbrodni honorowej w końcu zostaje poruszony w niezależnym i niepoddającym się cenzurze magazynie „Al-Dżazira”. I to jest strzał w dziesiątkę, który pobudza wyobraźnię międzynarodowych mediów i organizacji praw człowieka. Dziennikarze śledczy obserwują każdy krok rodziny królewskiej, liczącej, było nie było, ponad dwadzieścia pięć tysięcy osób, i znajdują coraz więcej podłych czynów, których wyjaśnienia żądają w trybie pilnym lub wręcz natychmiastowym. Przy okazji zniknięcia nastoletniej księżniczki chcą rozwiązać więcej zagadkowych spraw. W końcu książę musi się zgodzić na wywiad. Na konferencji reporterzy poruszają mnóstwo bardzo niewygodnych spraw.

– Jasnie panie, co się dzieje z pana matką? – pierwszy uprzejmie zwraca się do MBS, który najchętniej wyrzuciłby ich wszystkich za drzwi, oblał wrzątkiem lub jak zarazę wypalił napalmem.

– Ponoć wyjechała do Stanów Zjednoczonych – odpowiada wielmoża bez wahania. – Nie jestem jej opiekunem i nie musi mi się z niczego spowiadać. To dorosła kobieta.

– Drobną szkopuł. – Dziennikarz szelmowsko się uśmiecha. – W ciągu ostatnich trzech miesięcy nie przekroczyła granicy kraju.

– Naprawdę? Cóż, proszę z tą kwestią zwrócić się do jej sekretarza. – Następca od razu wycofuje się rakiem i nerwowo cuka. – Ja mam ważniejsze sprawy na głowie niż pilnowanie bab... księżniczek – prostuje szybko – w mojej licznej rodzinie. – Złości się i odruchowo co chwilę poprawia zsuwającą się z głowy kraciatą chustę, co wygląda dość komicznie.

– Ostatnimi czasy ponoć nie wysunęła nawet czubka nosa poza Saudię – draży inny pismak.

– Skoro wiecie lepiej, to może mnie uświadomcie. – Książę nie jest w nastroju do konwersacji, a tym bardziej do podchwytliwych pytań. Czuje, że nie potrafi się na tyle skoncentrować, by samemu się nie wsypać.

– Gdzie zatem jest? Co z nią? Co się stało z księżną?! – rozlegają się podburzone głosy.

Następca tronu macha tylko ręką, wzywając rzecznika prasowego dworu, by ten gimnastykował się za niego, a sam, bez pożegnania, opuszcza salę konferencyjną.

Ojciec księcia koronnego, król Salih, który wierzył w potrzebę reform i złożył tę misję na barki młodszego syna, pomijając w sukcesji do tronu starszego, pupilka żony, przeliczył się sromotnie. On też ni z tego, ni z owego rozplywa się we mgle. Nie pojawia się ani na naradach, ani na posiedzeniach, nie wspominając o oficjalnych wizytach zagranicznych głów państw, które regularnie przewijają się przez saudyjskie roponośne piaski.

Dociekliwych – nie tylko dziennikarzy, ale też zwykłych obywateli Królestwa – męczy wiele wątpliwości. Czy saudyjski następca tronu jest wierny głośnym przekonaniom, czy jest prawdziwym reformatorem i modernistą, czy może tylko się zgrywa? Czy to jedynie fasada, a w środku jest zagorzałym wahabitą i tradycjonalistą? Czy mając tylko jedną żonę, kuzynkę Sarę, pozostaje jej wierny? Czy przynajmniej w stosunku do tej kobiety jest szczery? Czy ta miłość też jest udawana? Tego, wydawałoby się, nikt się nie dowie. Nikt przecież nie zajrzy do alkowy najważniejszych osób w państwie. Nikt z wyjątkiem terrorysty Jasema Alzaniego, który ma nieograniczone środki, żeby rozpocząć swoje prywatne śledztwo. Dżihadysta pamięta opowieści Abbasa, sprytnego organizatora książęcych imprez z Londynu, który chwalił się, że urządza wyuzdane party nawet dla najwyżej stojących w hierarchii królestwa jaśnie panów. Zatem Jasem zleca śledzenie Mustafy bin Saliha, chcąc i na niego mieć haka. Organizuje najwyższej klasy drony i płaci majątek za nagrania z satelity, który monitoruje królewski pałac znajdujący się na piaskach pustyni Rub al-Chali. Jako że tutaj każdego można kupić, nawet najbliższą ochronę i straż książęcą, zdobywa film z wnętrza namiotu, na którym nagrano, jak saudyjski reformator zabawia się z paniami lekkich obyczajów sprowadzonymi prosto z Paryża i upija do nieprzytomności zakazanym alkoholem, wzmacniając swoją ekstazę za pomocą zabronionych pod karą śmierci narkotyków. Perwersje, których się dopuszcza, są obrzydliwe i przekraczają wyobrażenie nawet najbardziej zboczonego wielbiciela pornografii. Teraz Jasem ma następcę tronu w garści. Zastanawia się tylko, jak wykorzystać tego niebezpiecznego asa w rękawie. Portale społecznościowe? Twitter? YouTube? Czemu nie... Na to jednak musi jeszcze chwilę poczekać. Niech ten ortodoks zrobi najpierw porządek z Binladenami i ich poplecznikami, a kiedy Jasem opuści już nieprzyjazne piaski Królestwa, niech się dzieje wola nieba. Niech wszystko się zawali, monarchia w końcu upadnie, do czego zmierzają od lat i Al-Kaida<sup>131</sup>, i Państwo Islamskie. Niech fundamentalistyczni imamowie na chwilę przejmą stery rządów w swoje ręce. Jednak kiedy kraj spłynie krwią i ogarnie go totalny chaos, on, wybawiciel narodu, powróci tu i obejmie władzę nad tymi pastuchami i ich czarnym złotem. Pycha i ambicja Jasema nie mają granic. Nie zostały utemperowane przez niepowodzenia, libijskie więzienie ani długotrwałe tortury. Długoterminowy, perfidny i szarlatański plan powstaje w jego chorej głowie. Przelana przez niego krew, którą się ostatnimi czasy zachłysnął, znów budzi w nim najgorsze instynkty. Mężczyzna ponownie tłamsi w sobie ludzkie uczucia. Staje się zwierzęciem, dziką bestią żądną mordu i władzy.

131 *Al-Kaida* (arabski) – dosł. baza; sunnicka organizacja terrorystyczna, początkowo miała się przeciwstawiać radzieckiej inwazji na Afganistan, z czasem przekształciła się w panislamskie ugrupowanie, którego głównym celem stało się zwalczanie wpływów Izraela, USA i szeroko pojętego Zachodu w krajach muzułmańskich.



## ARABSKA ŻONA

Jasem zmiękcza Darię stopniowo. Po pierwsze, nie chce jej przestraszyć, a po drugie, nie wie, jaka będzie jej reakcja na nieoczekiwany kontakt i ponowne pojawienie się w jej życiu niezbyt lubianego byłego męża. Może się przerazić, zacząć histeryzować albo popaść w depresję i całkowite zobojętnienie. Istnieje też ogromne niebezpieczeństwo, że wykorzysta swoją obecną pozycję – kochanki, nałożnicy i żony księcia Anwara al-Sauda – i pomoże mu schwytać poszukiwanego terrorystę Jasema, by ostatecznie usunąć go z tego świata. Ma przecież do pomocy jeszcze małżonka swojej siostry, niezgorszego wywiadowcę i szalonego bojownika z terroryzmem. Dlatego niegdysiejszy pan i władca przeklętej przez los i Mojry132 *sabiji* Darin musi ją najpierw sprawdzić i wybać. Co w jej naturze zwycięży? Dusza niewolnicy czy krnąbrnej, odważnej i walecznej Polki?

Po zeskanowaniu komputera Darii terrorysta ma jak na dłoni wszystkie dane dotyczące pałacu. Najbardziej zależało mu na planach budowy. Tego mu było trzeba. Teraz może już zacząć planować zamach na saudyjskiego księcia. A może przy okazji zahaczy paru prominentnych gości? Przez chwilę kusi go ta myśl, jednak jeśli chce, by wiadano, że celem ataku jest ta i tylko ta osoba, musi sobie odpuścić masówkę. Pragnie dać klarowny przekaz zarówno opinii publicznej, jak i krewniakom zabitego. Poza tym zdaje sobie sprawę, że jeśli na oczach Darii wymorduje całą jej rodzinę, krew z krwi, matkę, siostrę, siostrzenicę i siostrzeńca, była żona nic już dla niego nie robi. Odda się jedynie cierpieniu i rozpacz. Albo zwycięży w niej arabska natura i zechce się zemścić, co też nie byłoby wskazane. Z tych wszystkich względów Jasem decyduje się oddać tylko jeden strzał.

Mąż, który nie zna już za dobrze byłej połowicy, w całym swoim zadufaniu uważa, że za zabicie księcia – kochanego męża i cudownego kochanka, dobrego człowieka – kobieta nie będzie chciała wendety. Sądzi, że to on, Jasem, był i jest jej jedynym i najważniejszym życiowym partnerem. Nie zdaje sobie też sprawy z tego, że zmarnował jej życie, bo lepsze byłoby nudne i bezbarwne, jakie kiedyś wiodła – i chciała wieść ponownie u boku Anwara – niż pełne ekscytacji i przemocy, jakie jej zafundował.

Podczas tamtej pierwszej rozmowy Jasem uświadamia przerażoną byłą żonę, że jego lista mściciela jest długa. Podaje jej imiona śledzonych przez siebie osób. Oczywiście wymienia Hamida Binladena, siostrzenicę Nadię, siostrzeńca Adila i brata Adama. Zastraszona kobieta odnosi wrażenie, że macki Jasema Alzaniego zaciskają się wokół niej i jej najbliższych. Wie z doświadczenia, że jeśli będzie posłuszna, jest szansa na ocalenie. Czy uratuje wszystkich z długiej litanii zbrodniarza? Tylko przez chwilę przelatuje jej przez głowę myśl, żeby powiedzieć o tym księciu Anwarowi. Ale co będzie, gdy on osobiście zaangażuje się w usunięcie terrorysty? Kobieta wciąż pamięta, ile ofiar pociągnęła za sobą chęć wydostania jej przez rodzinę z kalifatu w Syrii. Hamida chce od tej sprawy odsunąć, bo przecież szwagieromalże nie stracił przez nią życia. Co zrobić, żeby uchronić najbliższych? Komu może powiedzieć o ponownym pojawieniu się w jej życiu Jasema? Tylko siostrze. Robi to oględnie, nie wykładając kawy na ławę, bo Marysia też zawsze była w gorącej wodzie kąpana i jeszcze gotowa zrobić jakieś głupstwo. Ta jednak ma swoje problemy, a przede wszystkim już nie do końca dowierza młodszej siostrze. Może też zwyczajnie nie chce ryzykować. Daria uważa, że każdy ma swój krzyż, który musi nieść. Wszyscy z jej otoczenia zachowują się beztrąsko, jakby po prostu

czekali na rozwój wypadków. Koniec końców, jest przekonana, że saudyjski czy międzynarodowy wywiad śledzi poszukiwanego dżihadystę i nie powinna go płoszyć. Odpowiedni ludzie ani chybi się nim zajmą.

Daria niemal od razu orientuje się, że terrorysta jakimś cudem wydostał się z więzienia Abu Salim i działa na wolności. Utwierdza się w tym przekonaniu po ataku pod starożytną świątynią Hatszepsut w Egipcie. Nie miała omamów. To nie były żadne zwidy. Widziała zimne, stalowe oczy mordercy, który odbierał życie niewinnym turystom. Były to igrzyska śmierci czy jej parada? A może manifestacja siły i bezkarności? Tam Jasem jasno dał jej do zrozumienia, że nikt go nie powstrzyma, żadne służby, żadna ochrona, czy to policyjna, dyplomatyczna czy książęca. Nie ma na niego mocnych. Tym bardziej po tym pokazie Daria nie ma zamiaru informować męża o swoich podejrzeniach. Niech trzyma się z dala od tego zbrodniarza.

– Nie bądź niegrzeczna, bo Ahmeda już w życiu na oczy nie zobaczysz. – Jasem wyciąga najcięższe działo – jej ukochanego synka – i tym ostatecznie trzyma w szachu biedną matkę. Osiąga swój cel.

\*\*\*

Daria żyje jak w amoku. W końcu nastaje ten szczęśliwy dzień, moment inauguracji wspaniałej książęcej rezydencji, uroczyste otwarcie ogromnego pałacu, który wymościła na szczęśliwe gniazdko dla siebie i ukochanego męża. Szóstym zmysłem przeczuwa, że to właśnie dzisiaj wydarzy się jakieś nieszczęście. Nie wie, co terrorysta szykuje, ale sama, chcąc kogoś dogłębnie skrzywdzić, wybrałaby taką spektakularną okazję. Anwar jest ostatnio zupełnie nieobecny duchem i Daria domyśla się, że jako wysoki funkcjonariusz *secret service* zabezpiecza organizację przyjęcia i to go tak trapi.

Nowożeńcy co noc kochają się z szaloną pasją i wielkim upodobaniem.

– Powiedz, Anwarze, co przede mną ukrywasz? – Zaniepokojona żona męczy księcia nieustannie. – Masz przede mną jakieś sekrety?

– Nie, skądże – odpowiada z zagadkowym wyrazem twarzy zakochany mąż. – Dlaczego?

– Bo masz taką minę...

– Jaką?

– Nieodgadnioną. Nie wiem, czy mam się cieszyć czy smucić?

– Czemu smucić? Czy ja jestem smutny? – Anwar wybucha głośnym zaraźliwym śmiechem.

– Ale z czymś się tajniczysz.

– Już niedługo zobaczysz, jaki ci prezent przyszykowałem – uchyla rąbka tajemnicy. – Chyba będziesz zadowolona.

– Pierścionek? Kolia? – Darii poprawia się humor. – Auto? Pałac?

– Jeszcze jeden pałac?

Chichrają teraz razem, tuląc się do siebie jak wygłodniali, wiecznie spragnieni seksu nastolatkwowie. Daria chciałaby opowiedzieć mężowi o swoich obawach, o tym, że Jasem się z nią kontaktował, o filmie, który jej wysłał, o groźbach... Ale przecież ten człowiek pracuje w jednym z najlepszych wywiadów świata, więc musi wiedzieć, że ścigany przez niego terrorysta zwiął z więzienia w Libii. Hamid Binladen zapewne też o tym wie. Czy coś z tym fantem robią? Czy zabezpieczają swoją rodzinę? Szukają dżihadysty listem gończym? Czy włączyli do akcji Interpol? Nic jej o tym nie wiadomo, bo przecież szpieg nie może zwierzać się żonie czy szwagierce ze swojej pracy. Dostałby za to prawdopodobnie kulkę w łeb. Na pewno monitorują ich kontakt i dzięki temu namierzą terrorystę raz a dobrze. Z Arabii Saudyjskiej ten rzezimieszek w życiu już się nie wymknie. Te myśli uspokajają roztrzęsioną kobietę. Musi być jakieś

wytłumaczenie gehenny, którą teraz przeżywa. Musi to mieć jakiś sens – dla niej ukryty, ale dla innych jasny i sprecyzowany.

W dniu inauguracji Daria budzi się z bólem głowy. Ma taką migrenę, że aż zbiera jej się na wymioty. *Zły znak*, stwierdza zabobonna kobieta, leżąc w łóżku z zamkniętymi oczami. *Jak ja przeżyję te wszystkie ekscytacje z pękającą czachą? Wallahi!* Ledwo wstaje, zaraz sięga po tabletkę. Męża nigdzie nie widać, bo oczywiście jest pochłonięty przygotowaniami do sensacyjnego, wielkiego wydarzenia, na które ma przybyć ponad tysiąc osób. Na pewno sprawdza ochronę i Gwardię Narodową. W końcu Anwar nie będzie jedynym księciem, który dziś zagości pod tym dachem. Daria znów popada w paranoiczny strach, aż szczeka zębami. Noga za nogą wlecze się do pokoju kąpielowego. Tam na sofie znajduje całkiem sporą papierową torbę. Jest do niej przypięta kartka z wydrukowanym tekstem: „Dla Ciebie, kochanie”. Już się cieszy, że to prezent od męża, lecz gdy sięga do środka, widzi strój kelnerki, perukę i telefon. Serce jej na chwilę staje. Nie może złapać oddechu. To on! Jej zmora! Prześladowca! Dopadł ją i dopadnie całą jej rodzinę! Włącza komórkę. Ma jedną wiadomość w poczcie głosowej.

– Dzisiaj jest nasz wspaniały dzień. Nasze wesele – oznajmia zadowolony Jasem, a Darii słowo „wesele” natychmiast kojarzy się z zamachem samobójczym, gdyż tak dżihadyści nazywają ten chory akt. – Ufam, że przecwicyłaś trasę na Mekkę, którą przesłałem ci na komputer. Od twoich umiejętności zależy nasze życie. Porsche już stoi zaparkowane na tyłach domu. Na samym początku imprezy wyjdź do gości prawie goła w tej kurewskiej, wyuzdanej czerwonej sukni, którą przygotował dla ciebie twój obmierzły bawół. – Słysząc furię w jego zjadliwym głosie. – O osiemnastej... Punkt osiemnasta – powtarza dobitnie – przebierz się w ciuchy, na które teraz patrzysz. Czekać na mnie przy wejściu na zaplecze i do kuchni. – Po parusekundowej pauzie kontynuuje: – Jeśli cię tam nie zastanę i jeśli nie pójdziesz ze mną, zostaniesz aresztowana przez saudyjskie władze, a ja wybije całą twoją rodzinę. Ładunki wybuchowe są podłożone na terenie pałacu i parku. Ani ich teraz nie znajdziesz, ani nie rozbroisz. Jeden fałszywy krok, jeden podejrzaný ruch albo nie daj Bóg informacja o odwołaniu imprezy – twoja rodzina ginie. Cała rodzina. Do zobaczenia, kochanie.

Zamachu musi dokonać wyborowy strzelec. Alzani służył o takim jeszcze w Państwie Islamskim. Służył w obozie wroga, ale jego sława nie znała granic. Dżihadyści bali się go jak ognia. Już jakiś czas temu Jasem nawiązał z kanadyjskim snajperem kontakt, bo tacy ludzie są na wagę złota i trzeba mieć ich na podorędziu. Mogą się kiedyś do czegoś przydać. Planista zawsze wyłuskiwał takie perełki spośród nic niewartej masy ludzkiej, wspierał, a potem wykorzystywał w odpowiedniej dla siebie chwili do karkołomnych, często samobójczych zadań. Zatem pomaga kolejnemu nieudacznikowi wtedy, kiedy armia go odrzuca, odpycha i degraduje za drobne wykroczenie. Za małą niesubordynację. Za to, że o mało nie zatłukł na śmierć żony, która okazała się byle dziwką i zdradzała go podczas jego służby dla kraju i dla świata na odległych piaszczykach Iraku i Syrii.

– Witaj, Rob. Jak zdrowie? – Alzani dzwoni do Ottawy, kiedy tylko rodzi się w jego głowie niezwykle, brawurowy plan. – Potrzebuję przysługi. Dla ciebie to małe piwo.

Daje wyborowemu strzelcowi szansę na ponowne stanie się stuprocentowym mężczyzną. Na rehabilitację we własnych oczach i na odbicie się od dna za ogromne wynagrodzenie, które po wykonaniu zadania ma otrzymać. Wtedy świat znów stanie przed mordercą otworem. Rozczarowanemu wojskowemu jest wszystko jedno, kogo zabije. Kiedy odbierało się życie tak, jakby zdmuchiwało się świeczkę, jedna ofiara więcej lub mniej nie robi na człowieku większego wrażenia. Rob nie przykłada wagi, czy zastrzeli księcia czy żebraka, zbrodniarza i dewianta czy

uczciwego człowieka, mężczyznę czy kobietę – najważniejsze, by sam wyszedł z tego cało, a potem gdziekolwiek stanął na nogi. Może zostać rolnikiem albo drwalem, kowalem, szewcem, sklepikarzem, inwestorem lub biznesmenem, chce tylko ponownie się narodzić. Lecz nie na ulicy, z kilkoma monetami przy duszy, nie w zawieszanej poczekalni dworcowej, noclegowni dla bezdomnych, w domu opieki czy na odwyku. Nie w areszcie czy więzieniu. Uważa, że stać go na więcej i więcej mu się od życia należy. Dlatego decyzję podejmuje w mgnieniu oka i nie ma żadnych wątpliwości.

Rob oddaje strzał z odległości trzech i pół kilometra z dachu sześciogwiazdkowego hotelu The Ritz-Carlton, znajdującego się na obrzeżach dzielnicy dyplomatycznej w Rijadzie, niedaleko od rezydencji księcia Anwara al-Sauda. Był kapral z kanadyjskiej jednostki komandosów już jeden taki genialny strzał wykonał i nie chybił podczas operacji przeprowadzonej w Iraku. Tak wtedy, jak i teraz użył amerykańskiego karabinka snajperskiego McMillan. Lata temu zastrzelił za trzecim razem jednego z bojowników dżihadystów atakujących irackie siły rządowe. Pocisk trafił w cel po ponad czterech sekundach lotu. Jasem już wtedy nie przegapił tego niezwykłego człowieka o sokolim wzroku i dzięki temu dziś może wcielić swój plan w życie. Znienawidzony książę ginie od pierwszego strzału. Wielki jak tur człowiek kończy swój niezwykły żywot w beznadziejny i bezsensowny sposób. Jedno, co osiągnął, to pierwszy odnalazł syna swojej ukochanej żony, by żył on bezpiecznie przy jej boku. Ale teraz staje się to niemożliwe, bowiem nierozsądna i zdominowana przez terrorystę Daria staje się współwinną popełnionej zbrodni.

Do Anwara w ostatnich przeblysłkach świadomości dociera fakt, że jego ukochana go zdradziła. Musiała działać razem z terrorystą i mordercą. Wybrała zło i przemoc zamiast szczęśliwego, dostatniego życia w świecie prawa i sprawiedliwości. Życia z nim. Jasem wygrał, zwyciężył po raz kolejny. Gasnącym spojrzeniem książę wyławia niewyraźną, choć dobrze sobie znaną postać, która stoi w korytarzu przy drzwiach na zapleczu. To ona. Darin. Ta, która wydała na niego wyrok, syna porzuciła, a siebie skazała na potępienie.

\*\*\*

Księżna Darin al-Saud jest niemyym świadkiem całego zajścia. Nic nie pomogło wzmocnienie ochrony i wezwanie na jej prośbę helikoptera monitorującego książęcy pałac i okolice. Nikt, ale to nikt nie spodziewał się, że zostanie oddany tylko jeden strzał. Z wielkiej odległości. Przez kolorowy witraż. To niewyobrażalne! Niewykonalne! A jednak... Dzisiaj nowy rekord snajperski zostaje ustanowiony.

*To taka niespodzianka!*, rozpacza Daria, widząc na ręku ukochanego swojego syna. *Ahmed! Syneczku! Ahmedzik!*, łka bezgłośnie. *Anwar, mój ty książę z bajki... Jak to możliwe?! Boże! Jestem przeklęta! Niech się pode mną rozstąpi ziemia! Niech mnie piekło pochłonie!* Jej dusza wyje, ale teraz już nikt nie zaradzi tragedii.

Zniewolona nieszczęśnica w stroju kelnerki stoi przy wejściu dla służby. Po chwili podchodzi do niej nieznajomy, którego rozpoznaje tylko po jego zimnym wejrzeniu, i bierze ją za rękę. Plan realizuje się w stu procentach. Kobieta, której na życiu już nie zależy, brawurowo prowadzi samochód, kierując się autostradą na Mekkę jak na komputerowej grze Gran Turismo. Nieszczęśni ochotnicy podmieniają parę zbiegów i oddają za nich życie, poświęcając się dla rodzin, które dostaną niebagatelny zastrzyk gotówki. Para spoconych z nerwów, śmierzdzących strachem fundamentalistów niezauważona przechodzi po karkach uciekinierów, którzy leżą na podłodze wielkiego terenowego wozu. Dublerzy wysiadają po odpowiedniej, widocznej jak na dłoni stronie auta i wsiadają do helikoptera, czerwonej zabaweczki, robiącej dużo hałasu. Tymczasem Alzani i Daria wyslizgują się z drugiej strony i błyskawicznie wczołgują do szerokiej rury kanalizacyjnej, która służy im jako tunel. Kiedy są w połowie drogi, słyszą nad sobą

ogłuszający huk. Przyspieszają. Po dwustu metrach wyczerpującego wysiłku, oblepieni piachem i mułem, wychodzą na światło dnia, by przesiąść się do wojskowego hummera. Kierowca rusza bez chwili zwłoki. Uciekinierzy zrzucają z siebie pobrudzone saudyjskie ubrania – czarną *abaję* i białą *tobę*. Jasem wkłada bawełniany garnitur od Armaniego, a Daria garsonkę od Chanel. Pobrudzone ręce i twarze przecierają mokrymi ręcznikami i chusteczkami higienicznymi. Widać po koordynacji, że cała akcja, włącznie z ucieczką, została przygotowana nad wyraz skrupulatnie. Zbiedzy nie zamieniają ze sobą ani słowa. Daria czuje się, jakby umarła, a Jasem pęka z dumy, lecz jeszcze się nie cieszy. Jest przesądny i świętować będzie dopiero u celu swojej podróży. Po niespełna półgodzinie hummer wjeżdża na teren aeroklubu należącego do księcia Walida bin Talala. Co za perfidia ze strony organizatora – albo kolejny prztyczek w nos dla rodziny królewskiej. Para przesiada się do małego, zgrabnego, ultralekkiego samolociku. Jasem oczywiście zna się na pilotażu. Teraz są już tylko we dwójkę, nadal jednak się nie odzywają. Do Dżeddy z Rijadu jest tysiąc trzysta kilometrów, więc niewielkie, ale nowoczesne cacuszko może pokonać ten dystans bez dodatkowego tankowania. Na małym prywatnym lotnisku pod stolicą Prowincji Zachodniej zostawiają maszynę, którą błyskawicznie ktoś podrywa do lotu. Po chwili znika ona na horyzoncie. Na zbiegów czeka już limuzyna, czarny mercedes maybach. Na siedzeniach pasażera leżą eleganckie skórzane podróżne torby oraz aktówka. W bagażniku są trzy duże walizki, wypakowane po brzegi najdroższymi ubraniami, butami i przyborami do higieny osobistej. Wszystko musi być prawdopodobne, nic nie może odstawać od normalności. Na fotelu leży też mały dziecięcy plecaczek zadrukowany obrazkami z bajek. Darii zapiera dech. Czyżby Jasemowi udało się zabrać Ahmeda? Czy spełni obietnicę i matka odzyska syna? Na samą myśl o tym zniszczona psychicznie kobieta dostaje palpacji. Krew uderza jej do głowy i cała oblewa się zimnym potem. Nie pyta jednak o nic. Nie odezwie się do tego drania. Nie chce nawet spojrzeć w tę jego nową, latynoską, paskudną gębę. Jakże ona go nienawidzi!

– Zabieramy małą czy zostaje? – pyta kierowca.

– Zabieramy – po dłuższej chwili odpowiada Jasem. – Jedźmy po nią.

Samochód wjeżdża do miasta, które swobodnie mógłby ominąć, udając się obwodnicą bezpośrednio na lotnisko. *Widać komuś na kimś zależy, że ryzykuje schwytanie i życie.* Teraz już Daria domyśla się, do kogo należy mały plecak. Najwyraźniej nie jest przeznaczony dla jej Ahmeda. Kobieta ma ochotę własnoręcznie udusić dziewczynkę, którą ten zabójca przedkłada ponad ich syna, ponad bezpieczeństwo i więzienie. Maybach zagłębia się w dzielnicę biedoty. Po chwili staje pod zrujnowaną kamienicą, oblepioną przez żebraków i hordę rozwrzeszczanych dzieci.

– Idź po nią. Ja tu nie wysiądę – oznajmia nagle zaniepokojony terrorysta.

– Bez ciebie ani rodzina jej nie wyda, ani mała nie pójdzie – logicznie tłumaczy Abu Isa.

– Nie ma rady. Albo idziemy razem, albo się zmywamy. Ja już więcej nie będę ryzykować! – ostrzega zdradziecki funkcjonariusz wywiadu, rzucając na boki nieprzyjemnym wzrokiem i chwytając za broń, tak jakby chciał ich zastrzelić.

– *Jalla!* – wykrzykuje Jasem, po czym zwraca się do Darii: – Chodź, bo samą cię tu zeżrą.

– Pokazuje wzrokiem na zagląające przez szyby dzieciaki w różnym wieku, począwszy od pięcioletnich siusiumajtków, a skończywszy na groźnych nastolatkach.

Wchodzą do zrujnowanej czynszówki i trzeszczącą, zdezelowaną windą jadą na piąte piętro. Gdy docierają pod właściwy adres, Jasem wali pięściami w drzwi.

– Gdzie dziecko?! – drze się tubalnym głosem Abu Isa, na którego widok tradycyjne ortodoksyjne saudyjskie kobiety wpadają w panikę i na gwałt zasłaniają swe biedne, wymizerowane twarze. – Dziewczynka gdzie?! – Dźga je lufą karabinu maszynowego i popycha kolbą. – Czy ja gadam po chińsku?!

– Mała jest, ale to czarcie nasienie! – Stara i najodważniejsza wychodzi przed szereg. – Nieobrzezana! I znalazłam u niej to! – Pokazuje z oburzeniem medalik z Matką Boską.

– Czy ja prosiłem o nawrócenie na islam czy o przechowanie dziecka? – Jasem najpierw rzuca rozwścieczonym okiem na kompana, a potem na kobiety.

– Nasz dom jest prawowitny, muzułmański, a teraz został skażony...

– Kiedy brałaś forszę, to nie była nieczysta, co?

Julia w całym tym zamieszaniu wyswobadza się z niewoli, w jakiej była przetrzymywana od rana do nocy w małym składziku na środki czyszczące, i wybiega na korytarz.

– *Baba!* – krzyczy do Jasema. – *Baba*, ratuj mnie!

Jej delikatna buźka jest brudna i poznaczona razami oraz zaschniętymi śladami łez. Na czole ma sińce i zadrapania, a chude rączki pokrywają krwawe wylewy. Widać była tu bita, wręcz katowana przez cały pobyt. Okrywa ją tylko potargana szmata, która nie może uchodzić ani za sukienkę, ani za tradycyjny płaszcz. Daria od razu orientuje się, kto zacz. Podobieństwo do zbrodniarza jest wręcz uderzające. Nie do jego obecnej facjaty, lecz tej oryginalnej, którą poznała lata temu i która na zawsze wryła się w jej pamięć. Choćby za wszelką cenę usiłował się zmienić, ona zawsze będzie widziała w nim dawnego sadystę i despotę, mordercę tysięcy niewinnych ludzi. Julia ma takie same kości policzkowe, prosty, wąski nos, zarys brody z seksownym dołeczkiem oraz kolor oczu. Nie ma znaczenia, że jej karnacja jest czekoladowa, a burza skołtunionych włosów gęsta i falująca. To skóra zdarta z Jasema, córka z krwi i kości.

– Umyj ją natychmiast – Alzani zwraca się do Darii.

Kobieta bierze małą za rączkę, a ta trzyma ją jak ostatnią deskę ratunku.

– Nie zostawiaj mnie, ciociu. – Julia klei się do nóg opiekunki. – Proszę cię... – Patrzy błagalnie na wybawicielkę.

– Nic się nie bój. – Kobieta nie czuje już żalu do dziec-ka, które niczemu nie jest winne, a zapewne jest kolejną ofiarą dżihadysty.

Kiedy znikają z oczu mężczyzn w łazience, ci wyciągają krótką broń z tłumikiem i wystrzelują opiekunki dziewczynki jak kaczki. Po pięciu minutach wychodzą z mieszkania. Mulatka jest już czysta i ubrana w świeże łaszki. Znow jest elegancką, rezolutną panią. Tylko że teraz na dodatek usłuchaną i pokorną. Wykonuje polecenia i ściśle trzyma się instrukcji. Rozmawiają ze sobą tylko po angielsku, a medalik z Matką Boską znow ląduje na szyi dziecka.

– Tak, mamusiu – szczebiocze według rozkazu. – Tak, tatusiu.

Limuzyna już bez przeszkód dojeżdża na Międzynarodowe Lotnisko Króla Abd al-Aziza ibn Sauda w Dżeddzie. Pasażerowie kierują się do poczekalni, a następnie do odprawy VIP.

\*\*\*

Daria, Julia i Jasem wchodzą specjalnym, oddzielnym wejściem do pierwszej klasy samolotu Saudi Arabian Airlines lecącego do Dubaju. Nikt ich nie sprawdza, nikt nie zagląda do ich bagaży, a paszporty zostają jedynie pobieżnie i jak najszybciej przekartkowane. Tych najbogatszych pasażerów się nie kontroluje. Kiedy za krótki lot płacą dziesięć tysięcy dolarów od łebka, obsługa stara się im czas uprzyjemnić, a nie komplikować. Poza tym w tej klasie podróżują przeważnie członkowie rodziny królewskiej, a także obłudnie bogaci arabscy biznesmeni i politycy. Wszyscy – bądź to z kieliszkiem najlepszego francuskiego szampana, który dla muzułmanów jest *haram*<sup>133</sup>, bądź ze szklanką soku pomarańczowego *halal*<sup>134</sup> w ręce – siedzą w wygodnych fotelach i rozkoszują się dostatnim życiem. Nieoczekiwanie jednak rozlega się piskliwy, zdenerwowany głos stewardesy, która niepewnie oznajmia:

– Szanowni państwo, przepraszamy za utrudnienia, ale w związku z najnowszymi rozporządzeniami Narodowego Centrum Zapobiegania i Zwalczenia Chorób Królestwa Arabii

Saudyjskiej również państwo musicie poddać się badaniu temperatury ciała. Bardzo przepraszamy za zaistniałą sytuację.

– Co? Co to ma znaczyć? – oburzają się nietykalni. – Jesteśmy jakimiś dziećmi czy co?

– Będą nam mierzyć gorączkę? Termometr do ust czy do pupy? – grzmią wielmożowie.

– Złożę skargę na linie lotnicze! – wyrывa się staruszek, który aż błyszczy od ciężkich złotych sygnetów, bransolet i naszyjnika. – Spóźnijcie się tylko minutę, to ja wam pokażę!

– Jestem udziałowcem tych linii. To granda! Łamanie praw obywatelskich! – opowiada bzdury inny bogacz.

Przerażona stewardesa biega pomiędzy fotelami, uspokajając rozeźlonych krezusów. Daria patrzy na Jasema, a ten tylko pogardliwie wydyma wargi i milczy jak zaklęty. Na policzkach ma niezdrowe rumieńce, ale kobieta tłumaczyła to sobie podnieceniem i upojeniem kolejną udaną misją. Jednak mężczyzna co chwilę pokasłuje i kicha w garść, obrzydliwie wycierając nos w co popadnie.

– Mamusiu, nie zostawisz mnie? – Julia jest zastrachana.

– Skądże. – Daria przykłada dziewczynce dłoń do czoła i uśmiecha się. – Nie masz gorączki, kochanie. Wszystko będzie dobrze.

Do pierwszej klasy wparowują medycy ubrani jak kosmonauci. Każdy ma biały silikonowy kombinezon, jednorazowe rękawiczki, maseczkę zasłaniającą usta i nos, gogle lub przyłbicę. Trzymają w rękach nowoczesne, bezdotykowe termometry, które przybliżają każdemu pasażerowi do czoła. Badani krzywią się, jakby dostali bolesny zastrzyk, a Daria patrzy na nich jak na galerię osobliwości.

– Pan pójdzie z nami – zwraca się do Jasema zamaskowany medyk. – Ma pan bardzo wysoką gorączkę.

– Co? Ja? Niemożliwe! – Jasem broni się, nie ruszając z miejsca.

– Czy ma pan bóle głowy, katar, kaszel? – egzaminuje badający.

– To nic takiego. Zwykła grypa. Zanim dolecę do Dubaju, będę zdrow.

– Niestety, nie wyleci pan dzisiaj z Arabii Saudyjskiej. Musimy pana zawieźć do szpitala i zrobić testy na COVID-19. Jeśli wyjdą negatywne, jutro złapie pan następny samolot. Ministerstwo zdrowia pokryje koszty biletu w tej samej klasie.

– Ale ja nie chcę jutro! – chory sprzeciwia się jak rozkapryszone dziecko.

– Bardzo mi przykro, ale takie mamy wytyczne.

Mężczyzna wyciąga rękę do Jasema, więc ten nie widzi sensu dalszego oporu. Wszystko tak dobrze zaplanował, wszystko przewidział... poza cholerną grypą. *To ten dziad Junis mnie zaraził*, przebiega mu przez myśl. *Co za gnojek!*

– Muszę na słowo do żony – zwleka jeszcze, obracając się do Darii. – Masz tutaj bilety na dalszą podróż. – Wciska jej teczkę w rękę. – Lećcie. Spotkamy się na miejscu.

– Argentyna? Buenos Aires? – Kobieta rzuca okiem na wydruki i dopiero teraz poznaje cel ich podróży. – Czyś ty oszalał?

– O co ci chodzi?

– Myślisz, że poszłam za tobą, by umościć ci gniazdko w kolejnym kraju? Żeby znów być twoją pieprzoną arabską żoną? Niewolnicą?

– A po co? Chcesz tu zostać, kochanie? – zjadliwie szepcze jej do ucha. – Wyrok na ciebie jest już wydany. – Uśmiecha się szelmowsko. – Proszę bardzo. Rób, jak chcesz.

– Jestem z tobą, by na własne oczy zobaczyć twoją śmierć, skurwysynu – syczy dawna ukochana. – Jeśli to ma nastąpić tutaj, niech tak będzie. Zostanę. Zaryzykuję własne życie, bo warto.

Takiego obrotu spraw Jasem się nie spodziewał. Wie jednak, że Darię na to stać. Potrafi

zabić, a już na pewno jego.

– Idę z mężem – oznajmia nieugięta i dumna księżna, wdowa po Anwarze al-Saudzie. –  
Będę mu towarzyszyć. Córka także.

132 Mojry (mitologia grecka) – trzy boginie przeznaczenia i losu.

133 *Haram* (arabski) – zakazane, grzeszne.

134 *Halal* (arabski) – dosł. to, co nakazane; dozwolone według muzułmańskiego prawa szariatu.



**KRAJ NIERZĄDEM STOI**

## SKONSOLIDOWANA RODZINA

Dorota i Marysia, kobiety z rodu Salimich, oraz ich krewniacy dopiero teraz przypominają sobie, w jakim kraju żyją. Długo nic się nie działo, czuli się bezpieczni i całkowicie zapomnieli, że Królestwo Arabii Saudyjskiej to monarchia absolutna i państwo autorytarne. Dyktatura rodziny królewskiej po raz kolejny sięga po wolność swoich obywateli pod płaszczykiem walki z terroryzmem i fundamentalizmem.

Wielonarodowościowa rodzina została bezpośrednio dotknięta przez terrorystyczny akt przemocy i teraz nie wie, jakie konsekwencje spadną za to na ich głowy. Jakie rachunki aktualnie nienawidzący ich, a nadal utrzymujący się przy władzy następcą tronu będzie chciał z nimi wyrównać? Czy czasami nie pomówi ich o współudział w zamordowaniu pocziwego księcia Anwara al-Sauda, męża zaginionej Darii? A może tylko obwini o nieszczęście, które dotknęło jego najstarszą córkę Wafę? Czy nie rozszerzy kręgu oskarżonych na niewinnego, dobrodusznego doktora Aszrafa, męża Doroty? Czy samej Doroty nie uzna za winną ze względu na to, że gwałcicielem księżniczki był jej syn Adam? Czy cała rodzina nie pójdzie siedzieć, gdyż Daria ewidentnie była uwikłana w zamach na księcia? Jeśli kobieta byłaby niewinna, przecież nie uciekałaby z miejsca zbrodni. Wszyscy trzęsą się z niepokoju i nie są pewni jutra.

Koncepcja obrony przed nieprzewidywalną królewską machiną wychodzi od Hamida Binladena. Poddaje on rodzinie pomysł zamieszkania razem w jego rezydencji na Mudżamma Nachil, którą gospodarz przerabia na fortecę. Ochrony i straży jest tam więcej niż domowników. Kursują pomiędzy dachem, ogrodem, basenem a parkingiem. Na zewnątrz posesji przy ulicy postawiono budkę, w której całą dobę siedzi strażnik, obserwując teren dookoła. Inni monitorują sytuację na ekranach, gdyż dookoła domu rozlokowano liczne kamery. Śledzą też wszystko w promieniu pięciu kilometrów dookoła posesji z dronów i przez satelitę. Broń jest w każdym pokoju, jedynie nieletni mają zakaz jej posiadania czy choćby dotykania.

W rezydencji zamieszkuje Dorota z mężem, Saudyjczykiem Aszrafem oraz wnukiem Ahmedem, którego cudem odzyskała i teraz nie odstępuje na krok. Niepokoi się o niego dniami i nocami, bo nie wiadomo, z której strony może przyjść zagrożenie. Czy jego biologiczny ojciec, terrorysta Jasem Alzani nie upomni się o dziecko? Czy saudyjskie władze nie zechcą go przesłuchać? Czy nie zabiorą go od rodziny i nie umieszczą w sierocińcu czy poprawczaku, kiedy dojdą do tego, kim są jego rodzice, przestępcy, odpowiedzialni za niejedną zbrodnię w Królestwie? Chłopczyk od czasu tragicznego incydentu w pałacu przeżywa traumę i do nikogo nie wypowiedział jeszcze ani jednego słowa. Nikt go zresztą do tego nie zmusza, nikt nie ciągnie za język. Wszyscy dają pięciolatкови czas, choć zdają sobie sprawę, że w normalnych warunkach zaprowadziliby go do dziecięcego psychologa. Lecz przy tylu tajemnicach, o których ten malec może mieć jakieś pojęcie, lepiej nie ryzykować. Ujawnienie faktów związanych z Darią Nowicką vel Salimi vel al-Saud, niechybnie powiązanych z Jasemem Alzanim, poszukiwanym międzynarodowym dżihadystą, mogłoby rzucić cień na całą Bogu ducha winną rodzinę.

Hamid ściąga do willi również swoją drugą żonę, Marokankę Salmę, z którą pierwsza wybranka jego serca Miriam odnowiła więzy przyjaźni i wygląda na to, że teraz świetnie się dogadują. Nadia i Adil Binladenowie na razie rezygnują z uczęszczania do szkoły i obiecują uczyć się w domu i sumiennie przygotowywać do egzaminów. Zresztą jak tak dalej pójdzie, to międzynarodowa placówka edukacyjna zostanie zamknięta, bo zagraniczni uczniowie razem z rodzicami, którzy pracowali na intratnych kontraktach, uciekają z Saudii jak szczury z tonącego

okrętu. Jeśli terrorystom udaje się zamach na członka rodu królewskiego, to żaden zwykły zjadacz chleba nie czuje się w tym kraju bezpiecznie. Wszyscy ekspaci<sup>135</sup> doskonale pamiętają – bądź to z retrospekcji, bądź z opowiadań – czasy, kiedy w Arabii codziennie wybuchała bomba, podłożona na osiedlu mieszkaniowym, w centrum handlowym bądź przez licznych zamachowców samobójców, którzy odpalali ładunki na sobie. Do aktów przemocy włączali się wtedy młodzi chłopcy, zainfekowani przez fundamentalistyczny islam. Wyglądało na to, że te straszne czasy odeszły raz na zawsze, lecz teraz istnieją obawy, że nadchodzi druga fala pożogi.

Marysia z Salmą jeżdżą na uniwersytet, gdzie nadal prowadzą kurs ratownictwa medycznego dla kobiet, lecz i tutaj jest coraz mniej słuchaczek. Popołudniami udają się do Szpitala Gwardii Narodowej, lecz o dziwo, pogotowie do pomocy poszkodowanym wyjeżdża sporadycznie, bo ludzie starają się jak najrzadziej wychodzić z domów. Ulice saudyjskich miast zięją pustkami. Do zwykłych wypadków nikt nikogo nie wzywa. Każdy się boi i nikt nie chce mieć do czynienia z obcymi, nieznanymi sobie ludźmi, bo a nuż okażą się sługusami władzy i zamiast do lecznicy zawiozą człowieka do więzienia. Czystki pałacowe przeprowadzane są po cichu, a po nich wzywany jest raczej koroner, by zapakować zwłoki i przybić pieczętkę potwierdzającą niewyjaśniony zgon, niż ratownicy medyczni.

Domem Binladenów zajmuje się długoletnia gosposia, a zarazem przyjaciółka rodziny, Fatima al-Harbi, która ze swoim mężem, Syryjczykiem Walidem oraz trzema córkami, marzącymi w obecnych warunkach już tylko o wyjeździe do Polski, mieszka nieopodal rezydencji państwa na osiedlu Las Palmeras.

Każdy z krewniaków myśli tylko o wyjeździe z tego kraju, ale nie Dorota i Aszraf. Oni tutaj zostaną i będą trwać na posterunku aż do powrotu tych, którzy wyruszą na tułaczkę po świecie, a nie znajdując szczęścia, wrócą niechybnie do domu.

Po niespełna tygodniu paniki, która ogarnęła towarzystwo zaraz po zamachu na Anwara i ucieczce Darii, atmosfera w willi zagęszcza się do tego stopnia, że Al-Ridowie z wnuczkiem Ahmedem opuszczają gościnne progi.

– Ja was wszystkich bardzo kocham, ale wołę już moją dziadowską – tu Dorota zawiesza głos i patrzy wymownie na Marysię – willę na szpitalnym kampusie niż te wasze luksusy w centrum miasta.

– Ależ mamuś! – Córka oburza się, bo przecież tak się starała polubownie załatwiać wszystkie sprawy i nie wchodzić matce w drogę. – Przecież się dogadujemy...

– Kochanie, wiem, że chcecie jak najlepiej, ale taki kołchoz nie jest dla mnie. Potrzebuję prywatności, zresztą wy też. Już wystarczy, że stanowicie poligamiczną zgraną i totalnie porąbaną rodzinę. Nie musisz sobie brać kolejnego strupa na głowę.

Salma, słysząc rozmowę dość głośno prowadzoną w salonie, składa usta w ciup i błyskawicznie kieruje się na piętro, gdzie teraz to ona z Hamidem zajmują małżeńską sypialnię.

– Po co jątrzysz, mamu? – Marysia ma wściekłość wypisaną na twarzy. – Staramy się żyć w zgodzie.

– No i świetnie. – Dorota ciska pioruny swymi błękitnymi jak bławatki oczami. – Stało się, jak się stało, teraz trzeba przełknąć tę żabę. Ale to nie moja żaba, nie mój cyrk i nie moje małpy. Ja się stąd zmywam. A ty pomyśl o rozwiązaniu tej patowej sytuacji. Masz zamiar siedzieć tutaj z nimi do usranej śmierci i opiekować się ich potomstwem? Nie uważasz, że ta Marokanka trochę się zaokrągliła? Czyżby tak służyła jej saudyjska kuchnia, czy raczej fiut twojego męża?

Matka już bardziej nie może dogryźć Marysi, więc bez dalszych zbędnych słów i nerwów pstryka lekceważąco palcami na służącego, który idzie po jej walizki.

– Własne dzieci powinnaś posłać do szkoły – rzuca jeszcze na odchodnym. – Jak nie tu,

w tym wahabickim bagienku, to za granicą. Na całym świecie są dobre pensje z internatem, nieprawdaż?

Potem słycać już tylko głośne trzaśnięcie wejściowymi drzwiami, aż kurz unosi się z pucowanej codziennie podłogi.

Marysia jest tak zdenerwowana, że aż szumi jej w głowie, ale w duchu dziękuje Bogu, że ma taką szczerą i prawdomówną rodzicielkę. Bo kto, jak nie ona, zawsze potrafi kopnąć ją w tyłek, jednocześnie motywując do działania. Tylko Dorota, przebojowa Polka z długim orientalnym stażem i wieloma traumami na karku, umie zatruć i uratować córcę życie.

\*\*\*

Muhammad al-Rida, były minister spraw wewnętrznych Arabii Saudyjskiej oraz długoletni szef *secret service*, który wychował i wyszkolił setki saudyjskich szpiegów, w tym Hamida Binladena, Kamilę Alsudi oraz poniekąd nawet samego księcia Anwara al-Sauda, umawia spotkanie z konsulem i oficerem łącznikowym w Ambasadzie RP w Rijadzie. Musi się spieszyć, póki jeszcze żaden wyrok nie został wydany, póki ma siły i koneksje, by pomóc swojej rodzinie, którą ogromnie kocha. Synową Dorotę od razu zaakceptował i uwielbia jak rodzoną córkę, więc również jej pierworodna, wnuki i wszyscy bliscy znaleźli miejsce w jego sercu.

Staruszek spodziewa się reakcji szokowej w placówce, bowiem on, będąc wyjątkową szyszką w Królestwie, nigdy, ale to przenigdy osobiście nie odwiedzał mało ważnych ambasad bloku postkomunistycznego, a jedynie przedstawicielstwa dyplomatyczne światowych mocarstw, takich jak Stany Zjednoczone, długoletniego poplecznika Arabii, oraz Rosja czy Iran, odwiecznych antagonistów, kierując się maksymą: „Przyjaciół trzymaj blisko, a wrogów jeszcze bliżej”. Polska, Czechy, Słowacja czy Węgry to dla niego i polityków w jego kraju mało znaczące państewka gdzieś tam, w Europie Wschodniej. Dopiero teraz, kiedy serce jego syna skierowało się w stronę Polki, dziadek zaczął interesować się jej ojczyzną i dzisiaj idzie do polskich dyplomatów prosić ich o przysługę.

– Witamy jaśnie pana. – Pierwszy wyskakuje przed szereg jego imiennik Muhammad, pakistański sekretarz, który zajmuje się sprawami wizowymi i tłumaczeniami na język arabski, lecz przede wszystkim jest wtyczką saudyjskiego wywiadu. Już od lat regularnie, co tydzień, składa wyczerpujące raporty o aktywności polskiej misji. – Zapraszamy. – Niepewnie wyciąga rękę i płaszczy się, patrząc poddańczym wzrokiem.

– Dżen dobry. – Al-Rida lekceważy wyrobnika i od razu przechodzi do sztucznie uśmiechniętego konsula, któremu z nerwów aż żyłka pulsuje na skroni. – Jak sze masz? – Saudyjczyk kaleczy polski, lecz posługując się językiem gospodarzy, okazuje im tym samym grzeczność i szacunek.

– Dziękuję, bardzo dobrze. – Mężczyzna chyli czoła. – Zapraszamy.

Ważny gość przechodzi bez kontroli przez służby bezpieczeństwa i powoli wspina się na piętro, łapiąc zadyszkę. *Nie najlepiej ze mną*, podsumowuje swoją kondycję. *Muszę się spieszyć z załatwieniem formalności*.

– Drogi panie, bez owijania w bawełnę... – Stary funkcjonariusz nie chce tracić czasu na konwenanse i pytania o zdrowie dzieci oraz żony. – Potrzebne mi są dwa polskie dokumenty podróży dla Marii Salimi i Ahmeda Salimi, jej syna – kłamie jak z nut.

– Maria jest polską obywatelką legitymującą się naszym paszportem. – Konsul jest przygotowany i akta rodziny ma w małym paluszku. – Traci on ważność za trzy miesiące, więc zrozumiałe jest wyrobienie nowego. Tu nie ma problemu. Ale Ahmed? – Mężczyzna uważnie patrzy na małe zdjęcie paszportowe pięciolatka, które Al-Rida położył na stole razem z wnioskiem o dokument.

Wtedy krokiem wojskowego do gabinetu wchodzi postawny Polak i na powitanie skłania głowę.

– Witam! Jak ten mały ma na imię? – Od razu przechodzi do sedna sprawy i przybliża zdjęcie do oczu, jakby miał kłopoty ze wzrokiem. – To ten chłopczyk, który był świadkiem zabójstwa księcia Anwara al-Sauda? Męża Polki, Darii Nowickiej?

Al-Rida, emerytowany wywiadowca, od razu rozpoznaje kolegę po fachu i zastanawia się, ile ten człowiek wie. Nie mówi nic, tylko kiwa głową i czeka na nowinki. Takich ludzi bowiem nie ciągnie się za język – powiedzą, co chcą i ile chcą. Przynajmniej zanim nie zaczną się ich torturować.

– Przejdźmy do mnie – proponuje oficer. – Nie mam w gabinecie kamer ani żadnych tego typu góvien. Pana proszę o pozostawienie u konsula swojej komórki. Nie pogniewasz się? – Zwraca się do kolegi, a ten tylko oddycha z ulgą, bo im mniej będzie wiedział w tej śmierdzącej materii, tym dla niego lepiej.

– Staszek Straszny jestem – przedstawia się oficer już w swoim przyciemnionym pokoju za zamkniętymi dźwięko-chłonnymi drzwiami. – Jak mogliście do tego dopuścić?! – huczy jak generał na polu walki na drobnego starowinę, a ten, znając wojskowy dryl, wcale się nie boi. Wie, że będzie głośno, ale szczerze.

– Do czego dopuścić? – próbuje jeszcze bardziej rozeźlić porywczego człowieka, bo może straci on nad sobą kontrolę i powie coś ważnego. – Taka zbrodnia jeszcze nigdy nie miała miejsca, nawet w naszym Królestwie. Nie można było tego przewidzieć.

– Co za bzdury pan opowiada?! Już niejednego księcia zabiliście albo usiłowaliście sprzątnąć. – Staszek chytrze się uśmiecha, nie kryjąc obeznania w temacie. – Parę ładnych lat temu przeprowadziliście upozorowany zamach na waszego niegdysiejszego następcę tronu, któremu oczywiście nic się nie stało. Wy za to dostaliście zielone światło do ścigania fundamentalistycznego pomiotła i czystek w kraju.

– Zgadza się – potwierdza Al-Rida, mając świadomość, że większość wywiadów o tym przekręcie wie.

– Ale coś takiego?! Anwar był jednym z waszych. Z wywiadu. Ludzie, jak mogliście go nie upilnować? – Oficer rąbie pięścią w stół, aż papiery i brudne szklanki podskakują. – Jak mogliście nie upilnować jego słabej żony? Durnej baby!

– Powinna być ochrona, pełna inwigilacja...

– Macie nagrania z kamer z oranżerii księżnej, gdzie przebywała większą część dnia przez ostatnie pół roku? – znów atakuje polski agent. – Nasze oficjalne pismo o udostępnienie nic nie dało. Ktoś sobie nim dupę podtarł.

– Taaaak... – Al-Rida zamyśla się głęboko, bo sam prosił o filmy, lecz też ich nie dostał. – Księżę ponoć żądał prywatności i tam akurat żadnego monitoringu nie było.

– Potomek Ibn Sauda nie był osobą prywatną! Był członkiem rodziny królewskiej, ale także agentem, do kurwy nędzy! – wrzeszczy oburzony Straszny. – Funkcjonariuszem służb państwowych!

Zapada cisza, a mężczyźni już wiedzą, że jest wielu odpowiedzialnych za tę zbrodnię. Nie tylko ten, kto pociągnął za spust. Czemu stary saudyjski szpieg nie zauważył luki w monitoringu? Czemu się tym nie zainteresował, nie zainterweniował? Nie przemówił młodemu żonkosiovi do rozumu, że kto jak kto, ale on i jego żona muszą być pilnowani i śledzeni przez własne służby na każdym kroku? Wszyscy najbliżsi i przyjaciele robili w majtki ze strachu po gwałcie Wafy i myśleli tylko o jej hymen i o uratowaniu własnej skóry. O swoich stołkach. O pozycji w państwie. Jeszcze przed zabójstwem Anwara Daria dostała nagranie, które zarejestrowało gwałt na księżniczce. Zatem ktoś śledził dom Binladenów, a jeśli ich, to czemu nie księcia? Za

dużo fuszerek, jak na oko emerytowanego szpiega. Kto tym wywiadowczym bajzlem teraz kieruje i czy w ogóle kieruje, czy może wykorzystuje go do własnych celów? Mężczyzna poluzowuje stójkę u śnieżnobiałej *toby* i ciężko oddycha.

– Napije się pan czegoś? – proponuje w końcu Straszny. – Kawy, herbaty, wody...

– Nie wzgardziłbym kieliszeczkim koniaczku – sugeruje Muhammad z figlarnym uśmiechem. – Czemu tak dokładnie śledzicie tę sprawę? – Po wzmocnieniu małym łyżkiem alkoholu kontynuuje. – Jak pan wspominał, już nie raz zdarzały się u nas zbrodnie, w tym manipulowane.

– To nas bezpośrednio dotyczy. Wręcz dotyka – poprawia się oficer. – Nasza obywatelka została żoną saudyjskiego księcia, i to nie jakiejś dziesiątej wody po kisielu, ale siostrzeńca księcia Najifa, z którym miałem przyjemność się spotkać. – Zaznacza swoją pozycję w hierarchii agentów. – Ten ślub spowodował wiele medialnego szumu. Teraz każda Polka, czy to bogata, czy biedna, wykształcona czy głupia jak but z lewej nogi, marzy, by zostać saudyjską, obleśnie bogatą księżniczką. Piszą o tej miłosnej historii artykuły w prasie, książki *non fiction*<sup>136</sup> lub zwyczajne czytała.

– No i? Co z tego?

– Daria Nowicka, obywatelka Polski, po zabójstwie męża zniknęła. Wszystko pięknie, wszystko ładnie. Lecz jeśli się okaże, że jest w saudyjskim więzieniu, przetrzymywana i torturowana, albo jeśli zostanie skazana na karę śmierci, co według waszego prawa należy jej się bezapelacyjnie, to my, polscy dyplomaci w Rijadzie, dostaniemy tak w dupę, że się zesramy – kwituje kolokwialnie. – Nie ma pan pojęcia...

– Mam. – Stary doskonale wie, o czym ten doświadczony attaché<sup>137</sup> mówi.

– Pojawia się pomówienia, że nie potrafiliśmy uchronić naszej rodaczki, na pewno niesłusznie oskarżonej i skazanej, cudownej jaśnie pani księżnej. Każda kobieta w Polsce się z nią utożsami. Będzie płacz i zgrzytanie zębów. Zaczną się krzyki i wrzaski, obrzucanie nas błotem, jeden wielki hejt. Pierwsze co, powiedzą, że pracujemy za pieniądze podatników i gówno robimy. Tu już nie chodzi o zwolnienie z pracy i odebranie paszportu dyplomatycznego, ale o pierdel za niedopełnienie służbowych obowiązków.

– No tak, w obecnych czasach media mają porażającą siłę.

– A media społecznościowe? Mój ty Boże! Czytał pan jej bloga? Miała także konto na Facebooku, Twitterze i Instagramie. Była bardzo aktywna.

– Nic o tym nie wiem. Sorki, ale babskie blogi naprawdę mnie nie interesują. Usiłowaliśmy z grupą rozsądnych Saudyjczyków zreformować nasz kraj, ale to nam chyba też nie wyjdzie – posępnie wyznaje Al-Rida. – Jednak z chęcią rzucę okiem na jej wpisy. Zapewne nasi z GID już to zrobili.

– Pewnie że zrobili! – Straszny jest strasznie wściekły. – Nie ma już żadnego konta. Polska księżniczka zniknęła nie tylko fizycznie z przestrzeni publicznej, ale też wirtualnie. A ostatnie wpisy dawały dużo do myślenia.

– Na przykład?

– Wszystko skopiowaliśmy, jakby ktoś zaufany chciał poczytać babskie ćmoje-boje. Możemy je panu udostępnić.

– A tak w dwóch słowach?

– Nigdy nie umieściła swojego zdjęcia. Sprytnie. Jednak fotografia pałacu i komnat wraz z ogrodem pojawiła się w ostatnim wpisie z informacją „To już dziś. Wielka inauguracja”.

– Ktoś zareagował?

– Tysiące ludzi, drogi panie. Miała aktywność na poziomie pięćdziesięciu tysięcy wyświetleń, a komentarzy prawie tysiąc! Oprócz durnych emotek i milion razy powtórnego:

„Gratuluję”, „Zazdroszczę” czy „Zazdraszczam”, był tekst od matki: „Trzymam kciuki” i od Marii: „Całym sercem Ciebie wspieram, Kochana”. Jeden – od kobiety, która nie jest członkiem rodziny – szczególnie nas zainteresował.

– Kto to taki? Normalnie się nazwała czy nadała sobie jakiś debilny pseudonim typu Czerwony Kapturek albo Filifionka.

– Dziwne, ale agentka użyła swojego imienia. Kamila...

– Alsudi?

– Zgadza się.

– Może ktoś się podszył?

– Nie sędzę.

– Co napisała?

– „Będę tam z tobą. Razem przez to przejdziemy. Nie bój się”.

– Niech to kule biją! – Teraz to staruszek wybucha. – Zupełnie odpuściliśmy sprawę naszej młodej, nieprzewidywalnej krewniaczki. Doszliśmy do wniosku, że wszystko tak znakomicie się układa, że nie będziemy wpięprzać się w jej życie z księciem, którego notabene bardzo lubiliśmy i uważaliśmy za przyjaciela. Założyliśmy, że nad całością przedsięwzięcia na pewno czuwają królewskie służby i ludzie z wywiadu.

– Współczuję.

– Czy ktoś z waszych był na tej ostatniej, pożegnalnej balandze księcia? – indaguje Al-Rida.

– Oczywiście! – Straszny dumnie wypina pierś. – Ambasador, konsul, ja, prawie cała placówka. Daria była fajną babką, nigdy nie przestała czuć się Polką. Jako że przyszedłem przed czasem, miałem okazję ją zobaczyć. Potem już się nie pojawiła, co wszyscy wiedzą. Widziałem strach, wręcz panikę w jej oczach, ale też ogromny żal. Tłumaczyłem sobie, że boi się spędu, dzikich tłumów i bardzo ważnych gości.

– Nakręciliście jakiś filmik? – docieka Saudyjczyk, podnosząc brew.

Oficer Straszny milczy. Analizuje, co mu grozi, gdy potwierdzi nielegalne nagranie, i jakie profity da mu szczerść. Ostatecznie decyduje się na prawdomówność. Mężczyźni omawiają każdy detal krótkich nagrań wykonanych telefonami. Wymieniają się również uwagami na temat niedoskonałości ochrony i straży.

– Ten mały to syn Darii, prawda? – pyta na koniec Polak, choć doskonale zna odpowiedź.

– Podobny do dziadka, wypisz wymaluj. – Kiedy Saudyjczyk robi wielkie oczy, dodaje: – Dziadka Libijczyka. Ahmeda Salimi.

– Ma pan rację. – Al-Rida nie będzie temu facetowi kłamał i żałuje, że nie ma takich ludzi u nich w biurze. Jedyнным godnym zaufania pozostał tam Hamid, który w sumie też już przeszedł na emeryturę, tylko wcześniejszą i dobrowolną.

– Macie jakiś fałszywy akt urodzenia?

– Nie.

– Dobrze by było, żeby zniknęły dokumenty medyczne ze Szpitala Gwardii Narodowej, po których można by dojść ojcostwa. Ahmed został tam poddany operacji rozdzielania ze swoim bratem, bliźniakiem syjamskim.

– Mój syn to załatwi. Jest tam lekarzem.

– Tak też myślałem, ale wolę już odpowiedzieć, żebyśmy się nie wpakowali w kolejne śmierdzące gówno. W ramach programu ochrony mały dostanie paszport jako syn Marii Salimi i Muhammada. U was, muzułmanów, Muhammadów jak psów, więc...

– Zgadzam się. Ahmed ibn Muhammad – Arab poprawia Słowianina, żeby wszystko było już perfekcyjnie.

– Czy wiecie, gdzie znajduje się teraz Daria? – oficer łącznikowy polskiego wywiadu naciska gościa.

– Niestety, nie. Na pewno nikt z rodziny nie ma zielonego pojęcia. A za GID już nie mogę ręczyć. – Staruszek zastanawia się chwilę i dodaje: – Wydano oświadczenie, że zginęła, bo znaleziono pukiel jej włosów i trochę rozlanej krwi na kamieniach. Rentgen uzębienia też to sugeruje, lecz co to za problem podmienić klisze. Jej śmierć byłaby zbyt prostym rozwiązaniem i jawną przesłanką dla zamknięcia oficjalnego śledztwa. Daria w tej całej grze jest tylko mało znaczącym pionkiem, który interesuje chyba tylko mnie, pana i jej rodzinę.

– Wiem o tym. Wszystkim chodzi o terrorystę Jasema Alzaniego, sławnego na cały świat dżihadystę, który zemścił się na Anwarze al-Saudzie za podebranie mu żony. Dla arabskiego faceta musi to być bardzo bolesny cios. Oko za oko... – Polak cytuje średniowieczną maksymę, która w pewnych regionach świata jest aktualna po dziś dzień. – Ja mam go w głębokim poważaniu, choć oczywiście życzę wszystkim ujęcia zbója. Jednak nie stanowi to dla mnie priorytetu.

– Cieszę się, że polubił pan córkę Doroty, mojej synowej, która aktualnie przechodzi istne piekło. Przypuszczam, że Daria się znajdzie, może zgłosi się do was, do ambasady. Wtedy wyciągniemy ją z tego bagna, w które na własne życzenie się wpakowała. Jeśli trzeba będzie po cichu ją stąd wywieźć, to ja i Hamid Binladen służymy pomocą. I nikt inny – dorzucam z naciskiem.

– Widzę, że wyciąga pan gorzkie, ale słuszne wnioski z zaistniałej kuriozalnej sytuacji i naszej rozmowy.

– Tak, młody człowieku. Teraz jestem już w stu procentach pewny, że mamy w naszym do tej pory wspaniałym saudyjskim *secret service* wtyczkę. To frustrujące.

– Póki jest pan u sterów, wierzę, że tę pluskwę rozgnieciecie. I to jak najszybciej. Jeśli wy dowiedziecie się czegoś o Darii... Byłbym zobowiązany.

– Bezzwłocznie. – Emeryt z całych sił ściska prawicę szczerego rozmówcy dwoma drobnymi rękami. – Bezzwłocznie pana poinformuję, kolego.

Dorota, pomimo że wyprowadza się od córki, bynajmniej nie chce z nią zerwać kontaktów. Po prostu tak nieziemsko żałuje pierworodnej, że nie jest w stanie być świadkiem jej codziennych cierpień. Zna Marysię i wie, że tylko udaje przyjazne nastawienie do Hamida i jego nowej żony. Nie można się przyjaźnić z byłym mężem, a tym bardziej z byłą przyjaciółką, która odbiła ci chłopca. Ten układ jest dla Doroty chory, lecz sama zmusza się do zaakceptowania obecności tych dwojga nawet we własnym domu. Jak bowiem ma zaprosić córkę i jej dzieci bez ich ojca? Jak odciąć się od lubianego i dobrego mężczyzny, który od lat usiłuje ich wszystkich chronić?

Marysia rzeczywiście jest już tak skołowana i zdołowana, że jej beznadziejna sytuacja wydaje się nie do rozwiązania. Nie mogąc znaleźć godnego, logicznego wyjścia, tkwi w miejscu. Nie ma pojęcia, co robić dalej. Wyjechać stąd? Ale dokąd? Sama?! Nie umie być sama. Zawsze dookoła niej byli bliscy – najpierw kochana ciotka Malika, a potem libijska babcia Nadia, której miejsce zajął Hamid. Hamid był z nią od zawsze, od jej wczesnej młodości aż do teraz. Nawet kiedy na chwilę się rozstali, wiedziała, że ten mężczyzna ją kocha. Nie tyle straszne jest to, że ktoś cię zdradzi czy porzuci, ile że przestaje cię kochać. Dojrzała już kobieta postanawia nie poddawać się depresji i raz jeszcze spokojnie przemyśleć swoje życie oraz podjąć ostateczną decyzję. Stwierdza, że dobrze jej zrobi wyjście na dwór, zaczerpnięcie świeżego powietrza i odrobina sportu. Dawno tego nie robiła, poddając się niezdrowej ambicji, która kierowała jej



krokami przez ostatnie lata i doprowadziła do upadku jej małżeństwa i rozpadu rodziny. Teraz, pomimo że nie jest już młodką, postanawia wziąć się w garść i po raz kolejny rozpocząć wszystko od nowa. Wspomina słowa przyjaciółki, emirackiej, nieżyjącej już funkcjonariuszki Aruby, która wyznawała zasadę, że w zdrowym ciele zdrowe cielę. Dlatego też nakłada sportowe ciuchy, adidas, włosy spina w kok i przykrywa kaszkietem, a następnie jedzie do *wadi* Hanifa, gdzie kiedyś tak lubiła spacerować i biegać. W dzielnicy dyplomatycznej może chodzić bez *abai*, którą tylko narzuca na siebie, opuszczając dom w centrum. Przepisy łagodzące saudyjski ortodoksyjny styl ubierania nadal dotyczą jedynie cudzoziemek i niemuzułmanek, a sytuacja lokalnych kobiet niewiele się zmieniła. Może pod tym względem, że mogą prowadzić samochód i więcej z nich ma prawo podjąć pracę. Marysia cieszy się jak dziecko, nie widząc za sobą samochodu z „aniołem stróżem”, pilnującym jej z polecenia Binladena, który zawsze za nią podąża. Parkuje niedaleko Tuwaiq Palace i od razu wskakuje na ścieżkę do joggingu. Na wiosnę – to znaczy pod koniec stycznia, w lutym i na początku marca – potrafi tu być naprawdę pięknie. Młoda zieleń jest aż seledynowa, drzewa pokrywa kwiecie, a ptaki szaleją z radości i pieją trele, że w końcu jest odpowiednia do życia temperatura. Nie za gorąco i nie za zimno. Słońce łagodnie przygrzewa, a niebo jest błękitne i bezchmurne. Niewytrenowana biegaczka boi się, czy da radę pokonać przynajmniej kilometr, lecz obiecuje sobie, że codziennie będzie wydłużać dystans. Pamięta, jak bardzo to kocha. Uprawianie sportu zawsze dawało jej satysfakcję, pewność siebie i wolność. Z małą butelką zimnej wody w ręce długimi, pewnymi krokami biegnie przed siebie. Zatrzymuje się po około dwóch kilometrach, mocno już spocona i zdyszana, lecz nadal w pełni sił, by spojrzeć w dół na długie na dwadzieścia pięć kilometrów, zielone o tej porze roku *wadi*. Pałac księżniczki Lamii stoi na swoim miejscu, choć nie wiadomo, kto jest teraz jego właścicielem. Znajac historię tej kobiety i wiedząc, jak tragicznie skończyła – obłana kwasem solnym i przetrzymywana w ubóstwie w hospicjum – Marysia nie czuje już do niej żalu. Ani za to, że była pierwszą miłością jej męża, ani za to, że usiłowała go jej odbić, ani za to, że wrobiła naiwną Marysię w finansowanie działalności terrorystycznej. Jednak nie tak łatwo matce zapomnieć, że ta diaboliczna porwała jej córkę i gdyby nie wręcz cudowny zbieg okoliczności, dziecka zapewne już by nie zobaczyła. *Najważniejsze, że wszystko dobrze się skończyło*, myśli pogodnie, ruszając dalej. *Afera z Hamidem też jakoś się rozwiąże*. Pociesza się, choć w głowie ma pustkę. *Na razie się dotleniam i relaksuję – na pomysły przyjdzie czas*.

Kiedy po kolejnej półgodzinie Marysia chce już zawrócić, zauważa samochód straży miejskiej jadący w jej kierunku. Nie czuje niepokoju, bo przecież od zawsze służby patrolowały te odludne tereny i dbały o bezpieczeństwo nie tyle saudyjskich obywateli, ile cudzoziemców i dyplomatów, którzy zamieszkują tę dzielnicę. Nieoczekiwanie SUV Toyoty staje w poprzek drogi, a z wnętrza wyskakują dwaj mężczyźni w mundurach z twarzami ukrytymi pod kominiarkami. Kobieta jest tak zszokowana, że nie daje rady nawet otworzyć ust, a co dopiero mówić o krzyku i wzywaniu pomocy. Wojskowi biorą ją pod pachy, wrzucają na tylne siedzenie jak szmacianą lalkę i kierowca rusza z kopyta. *Pobiją mnie?*, Marysia szybko analizuje sytuację. *Zgwałcą? Nie, za stara jestem*, uspokaja samą siebie. *Może chcą dać mi nauczkę, jak to już kiedyś bywało, żeby Arabki nie korzystały z przyjemności biegania i spacerowania w normalnych strojach*. Po chwili jednak jej serce przyspiesza w panicznym lęku. *A może mnie zabiją? Za Darię? Za Wafę?*

– Gdzie twoja siostra, Darin? – pada ostre jak szczenięcie pytanie z ust siedzącego na przednim siedzeniu mundurowego, który się nie maskuje. – Czy wiesz, gdzie jest księżna?

Teraz Marysia już rozumie, o co chodzi porywaczom.

– Nie mam pojęcia – grzecznie odpowiada, choć ze strachu głos jej się łamie. – Wiem tyle co wszyscy.

– Nie jesteś taka jak wszyscy. – Oficer patrzy na nią groźnie, a ona ma przemożne wrażenie, że skądś zna tego człowieka. – W rodzinie masz ministra sprawiedliwości i doradcę następcy tronu. Nie wspomnę, że są oni także pracownikami wywiadu, bo chyba ta informacja cię nie zaskoczy.

– Nikt z mojej rodziny nie widział Darii od czasu feralnego przyjęcia – ripostuje pewnie.

Wtedy, zupełnie nieoczekiwanie, dostaje ogłuszającą fangę prosto w nos. Słyszy chrupnięcie i czuje, jak ciepła krew zalewa jej usta, kapie po brodzie i spływa na dekolt. Chwyta się za twarz. Spina się w sobie, bo wie, że na tym się nie skończy.

– Oczywiście orientujesz się, synu świni, że jestem żoną wspomnianego przed chwilą ministra sprawiedliwości? – szepcze. – Chcesz z nim mieć na pieńku?

Facet musi przyznać, że ta arabska kobieta jest twarda, bo teraz nie widać już w jej oczach lęku czy błagania, a jedynie błyski wściekłości i furii.

– Ty już masz przechłapanie u księcia koronnego. Tego chyba nic nie przebiję. – Mundurowy ujawnia wiedzę, której raczej nie powinien posiadać.

– Daria zginęła w katastrofie helikoptera. – Marysia podaje oficjalną wersję wydarzeń, która została formalnie przyjęta przez władze, ale o dziwo, nie wydano jeszcze żadnego oświadczenia. – Nic więcej nie wiem.

– Czyżby? Wcześniej chodziliście na zakupy, kawki, rozbijałyście się samochodami po torze wyścigowym, a teraz nic? Zero relacji?

– Zza grobu ciężko jest złapać kontakt – kpi kobieta i nawet delikatnie się uśmiecha, na co reakcja oprawców jest błyskawiczna.

Siedzący obok niej facet chwyta ją za dłoń i wyłamuje kciuk. Nie sądziła, że można to tak łatwo zrobić. Dobry uchwyt i chrup! Potem drugi raz i mały palec też zwisa nie w tę stronę, co trzeba. Teraz Marysia już nie wytrzymuje i krzyczy wniebogłosy:

– Nic nie wiem! Nawet się z nią nie widziałam w dniu przyjęcia!

– Na pewno?

– Na pewno! Nie miałam z nią żadnej łączności. Ani osobiście, ani telefonicznie. Ani przed samą imprezą, ani po. Przysięgam!

– Jeśli kłamiesz... – Prowadzący nietypowe przesłuchanie pali ją groźnym wzrokiem i Marysia wie, że mężczyzna nie żartuje.

– Miałam inne ważne sprawy na głowie. Sam pan wspomniał, że mam na pieńku z kimś ważniejszym niż moja durna siostra.

– Pamiętaj! My tu jesteśmy i obserwujemy każdy twój krok. Jeśli coś ukrywasz...

Samochód, tak jak gwałtownie ruszył, tak gwałtownie się zatrzymuje. Dwóch wojskowych, którzy trzymali porwaną między sobą jak w kleszczach, wyciąga ją z kabiny. Jeden chwyta kobietę za nadgarstki, drugi za kostki u nóg, rozhuśtują jej smukłe ciało, a następnie zrzucają ze skały w głąb *wadi*. Ofiara, pamiętając jeszcze szkolenie Aruby i żołnierek Kurdyjek przed akcją w kalifacie, zwija się w kłębek, osłaniając udami brzuch, a ramionami głowę i twarz. Nie pomaga to ochronić łokci, kolan i ramion przed ostrymi krawędziami wapiennych gładów, lecz ratuje życie. Koniec końców, obtłuczona jak jabłko, zatrzymuje się na gęstych krzakach kolczastych opuncji i agaw. Lepsze to niż dalsze spadanie, które niechybnie zakończyłoby się śmiercią na którejś ze spiczastych grani.

Marysia nie zwleka, nie czeka ani chwili, bo wie, że jeśli straci w tym miejscu przytomność, nie przeżyje ani dnia, a tym bardziej nocy, kiedy sfory dzikich psów żerują na tym terenie pospołu z przychodzącymi z niedalekiej pustyni szakalami, hienami i lisami. Nie ma już wody, ale nadal posiada niewielką torebkę w pasie, w której znajdują się komórka i samochodowe kluczyki. Musi jednak najpierw wdrapać się na górę. Nie zważa na krew płynącą

z wielu miejsc jej uszkodzonego ciała, na igły agawy, które sterczą z jej odkrytych ramion, na otarte do kości golenie. Na czworakach, sapiąc i charcząc, pnie się krok za krokiem.

– Byle do przodu, do ścieżki, byle się stąd wydostać – powtarza sobie. Czemu tu są takie pustki? Nikt już nie spaceruje nad *wadi*? Nikt nie biega? – zastanawia się, bo przez całą drogę nie widziała żywej duszy. – Niech to szlag! Zadzwonię, ale najpierw muszę się zorientować, gdzie jestem, by podać punkt orientacyjny.

Ciągle rozmawia sama ze sobą, chcąc zachować trzeźwość umysłu i hart ducha. Nie wolno jej zacząć się użalać, płakać ani kwęczeć. Wie, że to by ją zabiło. Żadnych krzyków. Nie może też zadzwonić na policję. Ani do matki, która zaraz spanikuje. Aszrafa również nie chce po raz kolejny narażać. *Kto mi zostaje?* Uśmiecha się krzywo, sądząc, że tak mu najlepiej dogryzie. Nie zagwarantował jej bezpieczeństwa. Nie uchronił. Teraz w głowie mu jedynie nowa, atrakcyjna i ciepłutka żonka. I pieprzenie. I bzykanie. Pierdolenie bez końca. Marysia słyszy to każdej nocy, śpiąc w przyległym do ich sypialni pokoju gościnnym.

– Hamid... – Ledwo dobywa głos przez wyschnięte gardło. – Możesz po mnie przyjechać?

– Niby czemu? – Po stylu wypowiedzi i tembrze głosu słychać, że mężczyzna jest niezadowolony. – Nie masz samochodu? Nie ma taksówek w Rijadzie?

– W *wadi* Hanifa ciężko. Wprawdzie już jestem na górze, ale tam, gdzie mnie wrzucono, mogłabym jedynie skorzystać z dzikiego psaiego zaprzęgu.

– Co?! Co ty znowu kombinujesz?! Kto cię wrzucił? Dlaczego? Kiedy?

– Mam teraz z tobą konwersować, leżąc na kamienistej ścieżce ze złamanym nosem, wybitym kciukiem i broczącymi okaleczeniami na całym ciele? Mogę wezwać policję... – Marysia jest wściekła, że mąż tak oziębło reaguje i traktuje ją jak osobę, która wiecznie sprawia kłopoty i której chciałby się pozbyć.

– Jak cię znajdę? – cedzi Hamid przez zęby.

– Jestem przy czwartym rondzie. Blisko centrum odnowy dla kobiet Manahil. Odpoczywam sobie na szutrówce do biegania... Niebo nadal jest takie błękitne...

To ostatnie słowa kobiety przed utratą przytomności.

Marysię budzi ból przenikający całe jej ciało. Ledwie daje radę otworzyć zapuchnięte oczy. Nie wie, gdzie się znajduje, co się dzieje i dlaczego tak strasznie cierpi. Kiedy orientuje się, że leży w czyimś łóżku, w miękkiej pościeli, słyszy cichy, kojący głos męża:

– Spokojnie. Jesteś już bezpieczna.

– Hamid! – Odruchowo wyciąga do niego ramiona i zarzuca mu je na szyję, zalewając się łzami. – Kto to był? Dlaczego mi to zrobili? Czego tak naprawdę chcieli?

– Do tego jeszcze dojdziemy, ale teraz musimy cię opatrzyć. – Mężczyzna nie przytula jej, lecz sztywnieje w jej objęciach. – Nastawiłem ci już palce, zdezynfekowałem otarcia i skaleczenia. Pozwolisz spojrzeć na nos? Jeśli od razu nie wstawimy go na miejsce – żartuje, choć bez cienia uśmiechu – to nie obejdzie się bez zabiegu pod narkozą.

– Dobrze. Zrób to, tylko szybko.

Kobieta z trudem siada i wystawia zmasakrowaną twarz w stronę domorosłego medyka. Ten traktuje swoją pacjentkę bez żadnej taryfy ulgowej. Chwyta mocno już zapuchnięte nozdrza i gwałtownie szarpie. Chrupnięcie jest ciche i głuche, a krew w żywoczerwonym kolorze bucha przez dziurki. Znachor jest na to przygotowany – ma całą miskę lodu i teraz wykonuje kompres tamujący krwotok. Po chwili Marysia może już łatwiej oddychać. Zabieg się powiódł.

– Jak dasz radę stanąć na nogi, zawiozę cię do Aszrafa. Musi na ciebie spojrzeć

profesjonalny doktor.

– Gdzie my jesteśmy? – pomimo lekkiego otumanienia interesuje się poszkodowana. – Czyj to dom?

– Nasz... Mój i Salmy – poprawia się Hamid.

– Nie wynajęliście go?

– I owszem. Lokatorzy mają się wprowadzić dzisiaj wieczorem.

– To zmywajmy się. – Marysia siada na łóżku, ale zaraz pada na plecy, osłabiona. – Albo jeszcze chwilę...

Pomimo zmasakrowanej twarzy pół-Arabka nadal jest bardzo piękna. Tragicznie piękna. Jej bujne włosy rozsypały się na zakrwawionej poduszce, a cierpiąca twarz upodabnia ją do Świętej Madonny. Szczupłe ciało pozostało atrakcyjne, a długie nogi w obcisniętych legginsach są cudnie wyrzeźbione. Bez porównania jest bardziej fascynująca i seksowna od Marokanki Salmy. Hamid pochyla się nad byłą ukochaną i bierze w dwa palce kosmyk jej włosów.

– Posiwiłaś? – dziwi się. – Nie zauważyłem.

– Zaczesawałam pod spód. – Uśmiecha się słabo Marysia, obserwując miłość swojego życia spod na wpół przymkniętych powiek. – Muszę położyć farbę.

– Niekoniecznie. Takie pasemka chyba są w modzie.

Mężczyzna nieoczekiwanie dotyka jej policzka i delikatnie gładzi skórę wierzchem dłoni. Potem przesuwa opuszkami po namiętych ustach. Pali ją wzrokiem, a jego poważne oczy błyszczą jak dwie gorejące pochodnie. Przybliża swoją przystojną twarz do jej twarzy. Pierwszy pocałunek jest lekki jak muśnięcie wiatru. Jej wargi są gorące i spuchnięte. Nie odpowiadają. Drugi całus składa, długo dotykając jej skóry. Wdycha jej zapach, rozkoszuje się nim, a ją ogarnia ekstrawagancka woń saudyjskich perfum *oud*<sup>138</sup>. To jego bukiet, który zawsze doprowadzał ją do szaleństwa i orgiastycznego podniecenia. Nigdy żaden mężczyzna nie potrafił wykrzesać z niej takiego rozplócenia i uniesienia jak Hamid. W tym niezwykłym momencie zarówno kobieta, jak i mężczyzna nie zastanawiają się nad tym, co czynią. Czy kogoś zdradzają, czy ranią, jak to się skończy i czy za chwilę jacyś obcy ludzie nie wejdą do sypialni. Jest tylko tu i teraz, tak jak zawsze bywało w ich życiu. Miriam i Hamid, dwie idealne połówki jabłka, dwie dusze złączone w całość. To nie jest seks – to spełnienie, ofiarowanie drugiemu człowiekowi serca i życia. Ranna nie czuje już żadnego bólu, bo na jej cierpienia znalazło się najlepsze lekarstwo. Usta nie oddalają się od drugich ust, są jednym oddechem, jednym tchnieniem. Ciało przyklejone do siebie idealnie pasują. Jej spragniona vagina pije jego męskość pełnymi haustami. Kochanek daje kobiecie tymczasowy, ułudny raj. Po chwili jednak zauroczenie i ekstaza odpływają, wraca zaś rzeczywistość, smutna i tragiczna. Są rzeczy, których nie da się cofnąć.

– W którym miesiącu ciąży jest Salma? – pyta porzucona żona.

– W piątym – konkretnie odpowiada niedawny kochanek.

Teraz Marysia już wie, jaką decyzję podjąć. Dzisiejszy bieg po zdrowie zdrowia jej nie przyniósł, ale późniejsze dramatyczne wydarzenia wskazały jasną i uczciwą drogę. To, co jest nieuniknione i konieczne. Musi stąd odejść.

Po miłosnym incydencie i opuszczeniu willi na Diplomatic Quarter<sup>139</sup> Marysia i Hamid nie odzywają się do siebie, a jedynie porozumiewają monosylabami. Kobieta zabiera ze swojego domu na Mudżamma Nachil parę najpotrzebniejszych rzeczy i jedzie prosto do matki. Kochanek zawozi ją swoim samochodem. O dziwo, matka na jej widok nie wpada w panikę, nie krzyczy, nie wyrывa włosów z głowy ani nie zalewa się łzami. Działa trzeźwo i precyzyjnie. Takiej

Doroty ani zięć nie znał, ani Marysia nie pamięta. Teraz córka wie, że to właśnie na nią i tylko na nią może liczyć.

– Nie ma co się opierdalać, Marysiu – stwierdza Polka tego samego wieczoru. – Dzisiaj odpocznij, wyspij się, a jutro przechodzimy do czynów.

\*\*\*

– Witam. Przyszłam na pobranie odcisków linii papilarnych – w małej kamerze przy wejściu do Ambasady RP Binladenowa informuje Pakistańczyka, z którym już parokrotnie miała do czynienia i nigdy nie wywarł on na niej pozytywnego wrażenia. – Maria Salimi – przedstawia się, bowiem trudno ją zidentyfikować w zapiętej na ostatni guzik *abai* i *nikabie*140, do którego jeszcze dołożyła czarną siateczkę na oczy.

– Proszę zaczekać na zewnątrz. – Sekretarz pokazuje jej brudnym paluchem drzwi. – Zawołam eksperta ochrony.

*Nic się nie zmieniło*, podsumowuje petentka i komenderuje nieprzyjemnym tonem:

– Proszę poinformować o moim przybyciu oficera łącznikowego pana Straszego. Nigdzie nie wyjdę.

– *Wallahi!* Z panią to zawsze same kłopoty! Co za baba! – Nieuprzejmy sekretarz pozwala sobie na coraz więcej.

– Nie jestem jakąś tam babą, ale obywatelką Rzeczypospolitej Polskiej i jeśli zaraz nie wpuścisz mnie do środka, ty parszywy Pakolu141, to pęknię z wściekłości. – Marysia idzie na całość, co przynosi natychmiastowy efekt.

Pracownik ambasady naciska czerwony guzik pod blatem biurka i włącza alarm, uznając, że „pęknięcie” wiąże się z wysadzeniem i że ta szalona pyskaczka na pewno jest samobójczynią. Dosłownie po paru sekundach na podwórku pojawia się dwóch uzbrojonych ochroniarzy, a także radca polityczny i konsul. Marysia jednym ruchem rozpina *abaję*, żeby czasami jej nie zastrzelono, i zrywa zasłonę z twarzy. Teraz wszyscy widzą jej zmasakrowaną twarz, ręce w opatrunkach i sińce na odkrytych ramionach. Broni ani ładunków wybuchowych oczywiście nie ma.

– Pani Mario! – Zbulwersowany oficer prowadzi ją do środka, obejmując delikatnie w talii.

– Mam nadzieję, że to nie przemoc domowa? – upewnia się zdziwiony konsul.

– Osobiście wolałabym przemoc domową od pogawędki z przedstawicielami tutejszego wywiadu.

Już po chwili linie papilarne petentki zamieniają się w szalony wir cyfrowego zapisu i niewidoczny strumień elektronicznych danych natychmiast dociera do centrum personalizacji dokumentów w Warszawie. Paszport zostaje wystawiony w ciągu dziesięciu minut. Jeszcze tego samego dnia zostaje on przekazany firmie kurierskiej, za czterdzieści osiem godzin ma wylądować w Rijadzie, w polskiej ambasadzie, a następnie w rękach samej prześladowanej. Program ochrony obywatela działa w trybie ekspresowym.

– Jeśli mogę coś doradzić, to proponowałbym o Polskę tylko zahaczyć – poucza przyszłą uciekinierkę pocziwy Straszny. – Lepiej zaszyć się gdzieś na *kudy kinogoru*. – Figlarnie się uśmiecha.

– To znaczy?

– Tam, gdzie diabeł mówi „dobranoc”, albo tam, gdzie najmniej by się pani spodziewano.

– Nie znam takich miejsc, ale na pewno coś wymyślę. Dziękuję.

Polski funkcjonariusz z niepokojem patrzy na szczupłą, zdawałoby się słabą, kobietę. Uważa, że jest stracona.

\*\*\*

Młoda Binladenówna wytrzymuje w zamknięciu w domu niespełna dwa tygodnie. Wraca do szkoły w podskokach, bo wydaje jej się, że lepsze zagrożenie terrorystyczne i wszelkie inne niż domowe piekielko. Zgadza się z babcią w stu procentach, że ich sytuacja rodzinna jest nie do zniesienia. Po wejściu na szkolny kampus z przykrością rozgląda się po podwórku i kantine, wodzi osowiałym wzrokiem po swojej klasie, bo nie ma już tutaj ani ukochanej przyjaciółki, księżniczki Wafy, ani przebojowego rozrabiaki, księcia Safiego, a nawet brakuje jej młodocianego wujka Adasia, którego zawsze wszędzie było pełno. Jego blond czupryna i jasne spojrzenie wyróżniało się wśród uczniów o przeważnie niesłowiańskich rysach. Poza tym Nowicki był uderzająco pięknym chłopcem. Nadia znów jest sama jak palec, a swoją alienację odczuwa w dwójnasób, gdyż jeszcze nie tak dawno miała tu dobrych przyjaciół. *Muszę jak najszybciej zrobić maturę i stąd wyjechać*, obiecuje sobie i tylko to ją pociesza, bo najważniejsze w życiu to mieć cel. *Tak jak mówi babcia, trzeba stąd uciekać, albo na chwilę, albo na zawsze*. Dla dziewczyny Dorota staje się aktualnie jeszcze większą wyrocznią, bo na rodziców, pozostających w dziwnym związku, czy raczej w realnej separacji, nie ma już co liczyć.

Dziwi ją stosunek do niej innych uczniów. Nigdy nie była za bardzo lubiana czy rozchwytywana, ale teraz otaczają ją same wrogie twarze. Kiedy mówi komuś „cześć”, to ten albo nie odpowiada, albo burczy coś pod nosem. Wręcz namacalnie czuje oklejające ją nieprzyjazne spojrzenia i wszechobecną niechęć. Nawet nauczyciele na jej widok marszczą brwi i nosy, jakby coś im pod nimi śmierdziało.

– Czemu siedzisz sama? – W końcu ktoś zaczepia orientalno-słowiańską ślicznotkę, ale po zimnym przyjęciu nie sprawia jej to żadnej radości. – Chyba nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy. – Uczeń z ostatniej klasy, do której chodził Adam, bezpardonowo przysiadł się do samotnicy jedzącej lunch z pudełka w szkolnej kantine. – Sasza Cohen jestem. – Wyciąga rękę, a koleżanka z odpychającą miną niechętnie ją ścisła.

– *Ahlan wa sahlan* – wita go po arabsku, chcąc odstraszyć chłopaka, który nie wiadomo czego od niej chce.

Kawaler ma interesującą urodę, która jednak uprzedzonej dziewczyny nie powala na kolana. Jakby na niego spojrzeć przychylnym okiem, można by powiedzieć, że ze swoim smukłym i wysportowanym ciałem, burzą ciemnobrązowych falujących włosów i zielonymi jak wiosenna trawa oczyma jest niezłym ciachem. Nie wyróżnia się z tłumu ze względu na zwykły, skromny strój, spokojne i rozważne wejrzenie oraz poprawne maniery. Nigdy nie śmieje się wulgarnie czy głośno, nie krzyczy, nie wyzywa i oczywiście nie klnie. Tym samym wiadomo, że nie należał do rozbrykanej paczki Safiego i jego przydupasów. Chyba nawet nie był na sławnym disco zorganizowanym przez księcia w pałacu jego ojca Walida bin Talala, choć cała szkoła szumiała przed i po tym wydarzeniu przez długie tygodnie. Jest typem indywidualisty i ma tylko jednego kolegę w szkole – takiego samego kujona Mohameda al-Sauda, księcia królewskiego rodu. Plotka głosi, że jego ojciec rozwiódł się z matką Syryjką, więc zapewne w tym momencie skończyły się wszelkie profity, które mógłby młody dostawać. Nadia tyle wie o Saudyjczyku, bo wszyscy w szkole interesują się jaśnie paniczami, ale o pochodzeniu Saszy nie ma bladego pojęcia. *Chyba jest synem jakiegoś dyplomaty?*, zastanawia się teraz. *Zresztą, co mnie to obchodzi*. Szybko pochłania sałatkę i kawałek grillowanego kurczaka i już ma odejść, kiedy przysiadł się Saudyjczyk.

– *Hello*. Moha jestem. – Arab zwyczajem ortodoksyjnych muzułmanów nie wyciąga ręki do dziewczyny, za to czerwieni się aż po same uszy.

– Ty jesteś Nadia? – zagaja Sasza, który o dziewczynie chyba wie więcej niż ona sama. –

Binladenówna? – Dorzuca po polsku, chcąc ją choć trochę zainteresować swoją osobą.

– Gadasz po polsku? Jesteś z polskiej ambasady? – dziwi się młoda.

– Nie, z amerykańskiej. Nie wiesz, kto w naszej budzie skąd pochodzi i kim są jego starzy, czy tylko ja ci umknąłem w tłumie nijakich gości? – Sasza nie ma zadowolonej miny i w sumie pluje sobie w brodę, że dał się namówić kumplowi i zaczepił tę piękną dziewczynę, w której kocha się platonicznie od lat. *Nie dla psa kielbasa*, podsumowuje swój niefart, zbierając się do odejścia.

– Nie kolekcjonuję informacji o uczniach. – Nadii trochę żal zawiedzionego młokosa, a że zainteresował ją swoim perfekcyjnym polskim, chce się o nim czegoś dowiedzieć. – Nie mam pojęcia nawet o kolegach i koleżankach z mojej klasy, może wiem jedynie, że ta jest Chinką, a tamten Koreańczykiem. Ale to widać i bez śledztwa. Miałabym się zapoznawać z życiorysami uczniów, a może jeszcze nauczycieli i dyrektora? I chuj wie, kogo jeszcze – przeklina, przypominając sobie brzydkie słówka, które nadal potrafią wyrwać się jej babci.

– Tutaj każdy o każdym wszystko wie. Dlatego teraz tak cię traktują – tłumaczy Sasza naiwnej, nieznającej życia dziewczynie.

– No właśnie. Dlaczego? – pyta zaczepnie. – Co im takiego złego zrobiłam? Co im się wszystkim stało? Pojebało ich?! – dorzuca, wściekła.

– Wszyscy wiedzą, co zrobiła twoja ciotka, i to ich frustruje.

– A co zrobiła? Może mnie oświecisz, bo ani ja, ani moja rodzina nie znamy szczegółów. Zamordowano jej męża, a ona zniknęła. Ot co! Gdzie w tym jej czy moja wina?

– Wszystkie światowe media to ją oskarżają o to zabójstwo.

– Co?! Na jakiej podstawie?

– Na podstawie prawa handlu. Wiesz, ile odsłon mają zdjęcia przedstawiające zwłoki nieszczęsnego księcia? Ponoć jacyś internauci piszą już nawet grę komputerową, w której bohaterami będą księżna Darin i jej mąż Anwar. Akcja będzie polegała na gonitwie i polowaniu paskudnej baby na nieszczęsnego, zaszczutego Saudyjczyka. Pomysłodawcy zbiją na tym miliony.

– Niech to diabli! – Nadia ma łzy w oczach. Nie ogarnia swym młodym, uczciwym umysłem, jak można do tego stopnia żerować na ludzkim nieszczęściu. – Chyba jednak zacznę studiować życiorysy moich kolegów i pedagogów – postanawia z goryczą.

– Mogę ci coś o nich opowiedzieć. Takie informacje są ważne także dla bezpieczeństwa.

– Sasza pocieszająco poklepuje koleżankę po ręce, bo widzi, że jak się nie zgrywa, to dobra z niej dziewczyna.

– Wszyscy zachowują się tak nieprzyjaźnie ze strachu. Boją się mnie, może kolejnej morderczynie w rodzinie. – Nastolatka podśmiewa się buńczucznie. – A ty się boisz? – zwraca się po arabsku do księcia. – Też sprawdzasz ludzi? Masz swoją prywatną ochronę na terenie szkoły?

– Sasza zainteresował mnie kwestiami przetwarzania i wykorzystywania danych. Trochę w tym siedzimy. Ciekawi nas to. Algorytmy i takie tam pierdoły.

– Widzisz? – Amerykanin włada też arabskim, i to jak rodowity Arab. – Dobrze wiedzieć, z kim się człowiek zadaje. Twoja ciotka Daria nie wiedziała i proszę... – Rozkłada ręce i wymownie wydyma wargi. – Twój wujek Adam też dał dupy, biorąc sobie nieodpowiednią dupę. – Ścisza głos: – I teraz rozmył się w powietrzu.

– Ja bym się w życiu nie wpakował w romans z księżniczką – szepcze Moha. – Ni cholery. Ale może będąc półwahabita, wiem lepiej, czym to grozi. A w ogóle to Arabki mi się nie podobają.

Nadia, siedząca naprzeciwko nowych kumpli, przenosi zszokowane spojrzenie z jednego na drugiego i musi nad sobą panować, żeby za bardzo nie okazywać zdziwienia. *Skąd oni biorą*

te informacje? Jeśli taka gówniarzeria posiada tyle danych, to co dopiero saudyjskie służby? Wiedzą o nas i naszej rodzinie wszystko! Włosy stają jej dęba. Wszystkich nas, nawet przebiegłego ojca i doświadczonego dziadka Al-Ridę, zapuszczają i zjedzą na drugie śniadanie.

– Więc kimże ty jesteś? – cedzi przez zęby z jednej strony przestraszona, a z drugiej zaintrygowana nastolatka. – Typowym Amerykaninem nawijającym jak Polak i jak Arab? – kpi. – Kim jest twój ojciec? Matka, siostra, brat, swat, kuzyn, wujek? – Ironizuje, nie chcąc wyjść na głupią, zastrachaną gęś.

– Wszyscy to wiedzą. – Sasza śmieje się pogodnie, a do panienki nieoczekiwanie dociera, jakiego niezmiernie przystojniaka ma przed sobą. – Mój ojciec, emerytowany generał po Afganistanie, Dawid Cohen jest amerykańskim ambasadorem. – Na te wieści dziewczuszka aż otwiera buzię. – Matka to Ester Lewinsky. Jestem trzecim pokoleniem polskich emigrantów.

– Cohen to polskie nazwisko? – Na głos zastanawia się ni to Polka, ni Arabka, bo już dłużej nie ma ochoty udawać, że jej to nie interesuje. – Lewinsky brzmi trochę bardziej znajomo.

– Żadne dla Polaka nie brzmi za dobrze. – Nastolatek poważnieje. – Cohen i Levi to tak jak Kowalski i Nowak...

– Co? Nie słyszałam – przerywa mu dziewczyna. – Ale może za krótko przebywałam w Polsce? W sumie tylko podczas wakacji.

– To nazwiska polskich *Jehudi*<sup>142</sup> – uświadamia ją Moha, zabawnie ściągając wargi, bo widzi, że ci odlegli rodacy nie nadają na tych samych falach.

– To po hebrajsku też nawijasz? – Dziewczyny zupełnie nie zraża fakt, że chłopak jest Żydem. Bo niby dlaczego?

– Tak. I w jidysz.

– No i wszystko jasne! – podsumowuje polsko-arabska mieszanica, zadowolona, że przeznaczenie postawiło tych dwóch, Saudyjczyka i Żyda, na jej drodze. Pan Bóg jednak o niej nie zapomniał. – Stąd takiś mądry! – Z uśmiechem na pełnych ustach i promiennym czołem biegnie do klasy. Życie znowu rusza z kopyta.

Następnego dnia Nadia dostaje od swojego kolegi polsko-żydowskiego Amerykanina listę uczniów i nauczycieli z dokładnym opisem. Wymieniają się też numerami komórek i planują spotkanie po południu. Jednak gdzie w Saudii może się spotkać dwóch chłopaków, Saudyjczyk i Amerykanin, z niespokrewnioną z nimi, wyglądającą na Arabkę dziewczyną? Rozwiązanie podpowiada im młodzieńcza brawura. Koledzy okazują się kreatywnymi rozrabiakami, jednak nie w stylu głupiego Safiego, lecz na miarę wybitnie inteligentnych, dojrzałych i zaprawionych w boju krętaczy. Nie planują zresztą nic złego czy zdrożnego, nie w głowie im picie alkoholu, branie narkotyków ani seks. Oni po prostu chcą żyć jak zwyczajne nastolatki, o ile syn generała po traumie w afgańskim piekle oraz syn saudyjskiego księcia mogą być zwykłymi ludźmi. Nie wspominając o Nadii z jej pokrewną, wielonarodowościową rodziną, byłym wujkiem, terrorystą Jasemem Alzanim, współniczką dżihadysty, oskarżoną o zabójstwo męża, ciocią Darią, zagorzałym bojownikiem i przeciwnikiem fundamentalizmu oraz szpiegiem tatusiem i nieprzewidywalną mamą, która kiedyś nawet pojechała za siostrą do kalifatu. Dobrze, że dziewczyna nie wie za dużo o babci Dorocie, która jest jej opoką, bo całkiem by się załamała, mając świadomość, że jej ukochana starowinka własnoręcznie zabiła swego psycho-patycznego pierwszego męża, Libijczyka Ahmeda, nad urodą którego teraz tak się rozczula, widząc jego odbicie we własnym wnuku, jego imienniku.

– Możesz się gdzieś wyrwać czy musisz być w domu prosto po szkole? – dopytuje Sasza podczas lunchu, który jedzą we trójkę, nie przejmując się nadal ścigającymi ich wrogami



spojrzeniami.

– A wy?

– Żartujesz? Mój tata zwyczajnie nie ma dla mnie czasu, a mama o niczym innym nie myśli, tylko o przecenach, spotkaniach z kumami i SPA – ripostuje Polak.

– Moja mamusia jest rygorystyczną kobietą – wyznaje poważnie Moha, który swoją rodzicielkę wręcz uwielbia – ale przypomina sobie o mnie dopiero w porze kolacji. Potem znów ma swoje życie i niekończące się szpitalne dyżury, więc wyjąwszy te dwie godziny, jestem wolnym człowiekiem. Ojca brak.

– Rozwód? – Nadia chce potwierdzić dane.

– Aha – niechętnie przyznaje młody, jakby się wstydził tego, co teraz na całym świecie jest już powszechne.

– To i tak masz dobrze. Mój durny stary wziął sobie drugą żonę, na dokładkę przyjaciółkę pierwszej. – Dziewczyna w końcu postanawia wyrzucić z siebie swój żal. – Ponoć dwie byłe koleżaneczki nadal się przyjaźnią. Wyobrażacie to sobie?

– Iście po arabsku. – Młodzieńcy z dezaprobatą podśmiechują się pod nosem.

– Odnoszę wrażenie, że w moim rozbitym domu nikt nie zauważyłby mojego zniknięcia może nawet przez miesiąc. – Binladenówna oczywiście przesadza. Jest szczęśliwa, jak dawno nie była, bo czuje, że trafił swój na swego. Są trójką samotnych porzuconych dzieciaków. Cieszy się, że w końcu ma kumpli, a to w jej wieku jest ważniejsze nawet od miłości. – Czy wszyscy mają tak samo przesrane?

– Nie wiem. – Sasza wzrusza ramionami. – Ja nie narzekam. Wiodę swoje życie i nie jestem zagłaskiwany. Trzeba docenić, co się ma.

Nadia zatem odwołuje kierowcę, informując, że ma podwózkę i będzie później, czym nikt w domu i tak się nie interesuje. Po szkole przyjaciele wskazują do czarnej dużej toyoty z napędem na cztery koła należącej do Mohy i ruszają przed siebie. Dziewiętnastolatek prowadzi zupełnie nie jak Arab, nie jak Saudyjczyk, lecz raczej niczym europejski emeryt. Nadia podsumowuje, że dobrze go matka wychowała, ale też musiała trafić na właściwy materiał.

– Ty nie masz samochodu? – zdziwiona nowicjuszka zwraca się do Saszy. – Nie przyjeżdża po ciebie czarny mercedes z numerem 1CD143 i kierowcą w liberii? – Robi sobie kpinki z wysoko postawionego kolesia.

– Amerykanie nie jeżdżą tutaj na dyplomatycznych blachach. Ze względów bezpieczeństwa. Po co się afiszować? Używają najczęściej jakichś mało zwracających uwagę wozów, które mają zbrojone blachy i kuloodporne szyby. Takie małe bolidy. Mój stoi na parkingu u Sauda. – Chłopak pokazuje brodą na kolegę.

Okazuje się, że Moha jest dzielnym chłopcem, który nie załamał się po rozwodzie rodziców, przeciwnie – w bardzo zręczny sposób go wykorzystał. Z ojcowskich sporych alimentów zbiera pieniądze na swoją przyszłość, jest samodzielny i niezależny. Musiał szybciej dorosnąć, bo to on w wieku ośmiu lat został *mahramem*<sup>144</sup> trzydziestoletniej matki, wykształconej lekarki okulistki z dwoma specjalizacjami zrobionymi w Londynie, ratującej ludziom wzrok, a czasem nawet życie.

Młodzieź podjeżdża pod dwupiętrową willę w eleganckiej dzielnicy koło jednej z głównych rijadzkich ulic *szaria*<sup>145</sup> Olaja. Okazuje się, że całe drugie piętro należy do Mohy, zaś w piwnicy znajdują się kino domowe, siłownia i małe SPA z sauną i jacuzzi. Z okien salonu Nadia podziwia ulubione, a jednocześnie ciągle wyklinane przez siebie miasto, sześciopasmową szeroką ulicę, liczne sklepy i hotele, charakterystyczne wieże Fajsaliję i Mamlakę oraz codzienny wielkowiejski ruch.

– Widzę, że masz takie same mieszane uczucia jak ja. – Wrażliwy Moha od razu

wychwytuje nastrój dziewczyny. – Kochasz i nienawidzisz ten przeklęty Rijad, prawda?  
– A twoim ukochanym miastem jest...? – zwraca się do Saszy zdemaskowana panna. – Masz jakieś? Też jesteś zakochany w Oriencie i Bliskim Wschodzie? Rijad? Dubaj?  
– Tak jak wy jestem rozdarty – przyznaje młodzik. – Z jednej strony kocham miłością patrioty perłę europejskiej kultury, miasto moich przodków, Kraków...  
– To raczej nie na Bliskim Wschodzie – kpią kumple.  
– A w krajach Orientu to... Chciałbym mieszkać w... – Wstrzymuje się z odpowiedzią, bo nie wie jeszcze, ile tej dziewczynie można powiedzieć i czy w ogóle można jej zaufać.  
– No, mówże wreszcie! – Nadia jest jak jej babcia i mama – w gorącej wodzie kąpana. – Dawaj!  
– W Izraelu.  
– No tak. Wszystkich Żydów tam ciągnie.  
– Taka prawda. Naszą dwójkę też... – przyznaje w końcu Sasza.  
– Dwójkę? To... wy jesteście parą?! – Przygląda się teraz uważnie chłopakom. Zawiesza wzrok na Saudyjczyku i wyraża swoją opinię: – Masz takie piękne oczy, rzęsy czarne, długie i podkreśnione, lecz to typowe dla naszej nacji. Jednak patrzysz na świat takim powłóczyстым spojrzeniem. Masz takie miękkie, dziewczęce ruchy. I tak dobrze mnie rozumiesz... Jesteś pedałem?! – wybucha, zszokowana odkryciem.  
– To brzydkie słowo.  
– Tak, przepraszam, ale...  
– Jestem homoseksualistą. Owszem – odważnie przyznaje się ksiączę. – Ale jego proszę w to nie mieszać. – Pokazuje palcem na Saszę, który ma typowo męskie rysy i zachowanie. – On jest zatwardziałym hetero.  
– To dlaczego chcecie zamieszkać w Izraelu? Razem?  
– Bo jesteśmy Żydami, a to nasz *Erec Israel*?<sup>146</sup>  
– Co? – Dziewczyna robi wielkie oczy.  
– Ziemia Święta! – wykrzykują jeden przez drugiego. – Ziemia Obiecana!  
– Mohamedzie al-Saudzie, jesteś Arabem. Saudyjczykiem. Z dziada pradziada pieprzonym wahabitą. – Uświadamia błędzącego zszokowana słuchaczka.  
– Moja mama jest *mizrahi*<sup>147</sup> – wyjawia tajemnicę semita. – Jeśli powiesz to komuś, to nie tylko ja, ale i ona może w tym kraju stracić głowę. – Widząc brak zrozumienia w oczach nowej koleżanki, bąka: – Jest Żydówką z Syrii.  
– To w Syrii są Żydzi?  
– A gdzie ich nie ma? Mieszkają w Syrii, Iraku, Jemenie, Iranie, Kurdystanie, nawet w Gruzji. To taki rozproszony po świecie naród.  
– Twój ojciec Saudyczyk wiedział o pochodzeniu twojej mamy? Ślub wahabity z Żydówką to więcej niż mezalians! Arabia Saudyjska nie uznaje Państwa Izrael i nienawidzi Izraelczyków jak diabła wcielonego.  
– Wiem o tym. Dlatego mój ojciec wydał się mamie taki nadzwyczajny. Pokochała go całym sercem za to, że zaakceptował jej korzenie, że jest taki nowoczesny, nie zaściankowy. Zaś jego jej żydostwo, czy raczej ryzyko tego związku, tak jarało, że aż się z nią ożenił. Takie pogmatwane losy.  
– Życie nie jest proste – kwituje Sasza.  
– Zamknijmy lepiej ten temat raz na zawsze. – Pół Arab, pół Żyd nie ma ochoty dłużej pracować brudów swojej rodziny.  
– Reasumując – Amerykanin jednak nie odkrył przed Nadią jeszcze wszystkich kart – Moha jest gejem, ja hetero. Ja jestem Żydem czystej krwi, on mieszańcem. Tsiii... – Zabawnie

przytyka palec do ust, podkreślając po raz kolejny, że to tajemnica. – Ja i Moha po tej głównianej szkole w Rijadzie, przy poparciu mojego osobistego generała i jego tatunia księżcunia wstępujemy na West Point. Potem trzeba odbębnić pięć lat woja, ale to minie jak z bicza trzask. Następnie pójdziemy na szkolenie do Mosadu<sup>148</sup>, bo Izrael z Ameryką jest rączka w rączkę. Jak już będziemy dobrymi agentami, przyjmują nas na stałe. A że będziemy, to pewnik. Podziałamy dekadę czy dwie w terenie, a następnie przejdziemy na zasłużoną emeryturę. W Izraelu. Ja zainwestuję w jakiś kibuc<sup>149</sup>, bo te teraz na potęgę się prywatyzują, a Moha założy winnicę. Ot i wszystko. – Beztrosko uśmiecha się od ucha do ucha, przedstawiając w paru słowach ich plan na całe życie.

– Ty chcesz działać w wywiadzie czy armii izraelskiej i mordować Arabów?! – Nadia, która czuje się stuprocentową Arabką, oskarżycielsko pokazuje palcem na Saudyjczyka. – Swoich braci?! Chcesz pracować dla syjonistów?!

– Nie, moja droga. – Teraz widać pewność i zdeterminowanie w oczach pół-Saudyjczyka. – Będę zabijał terrorystów. Należy rozróżnić między zwykłymi muzułmanami a fanatykami i mordercami.

– Chcesz zabijać bezbronnych Palestyńczyków?

– Co ci ta propaganda z mózgiem zrobiła? Papka, no istna papka! – Zazwyczaj spokojny Moha w końcu wybucha. – My z Saszą chcemy być bojownikami walczącymi z fundamentalizmem. Na terenie Izraela i Autonomii Palestyńskiej trwa wojna. Wszyscy trąbili o kalifacie i pseudo-Państwie Islamskim, a przywykli do tego, co dzieje się od lat pod ich własnym nosem. Ludzie codziennie przeżywają tam piekło pod gradem kul i rakiet produkowanych właśnie przez Palestyńczyków. Nie wszystkich oczywiście! Robią to dżihadyści! – wykrzykuje chłopak. – Do tego nie wolno się przyzwyczaić. Nie wolno się uodpornić. I nie wolno lekceważyć!

– To ja was odwiedzę, jak już będziecie na emeryturze – żartuje Nadia, nie kontynuując burzliwej dyskusji.

Mała kobietka jest nieodrodną córką swego ojca analityka, choć też typową przedstawicielką wybuchowego, nieokiełznanego narodu. Bez namysłu atakuje prawych chłopaków, ale ma na tyle rozsądku, by kiedy minie furia, sprawdzić temat i dowiedzieć się więcej o tym regionie świata i palącym problemie.

Dom Mohy staje się teraz siedzibą bandy trojga. Małolata wie, że wyróżnia się z tłumu, więc postanawia ukryć swoje niezwykle walory i stać się przeciętnym człowiekiem. Najbezpieczniej i najwygodniej dla niej byłoby poza murami szkoły i domu udawać chłopaka. Tak też postanawia. Transformacja nie przebiega powoli i z rozmysłem, bo dziewczyna jest porywcza i jak mamusia robi wszystko w trybie „zaraz-teraz-natychmiast”. Od razu po pierwszym tajnym spotkaniu z nowymi kolegami udaje się na zakupy do centrum handlowego z przyjaciółką domu, gosposią Fatimą al-Harbi, która stała się powiernicą nie tylko Marysi, ale też Nadii. Kobieta ta do wszystkiego podchodzi ze spokojem i dystansem, jest zrównoważona w reakcjach i decyzjach, ciepła, uczynna i miła. Po prostu do rany przyłóż. Jest całkowitą przeciwnością matki i córki i może dlatego obie tak liczą się z jej zdaniem.

W czwartek zaraz po szkole dziewczyna całe popołudnie i wieczór spędza zamknięta w swoim apartamencie. Jediną osobą, która do niej zagląda, jest oczywiście Fatima.

– Zetniesz? – Nadia wręcza gosposi fryzjerskie nożyczki. – Nic się nie bój. Biorę za to pełną odpowiedzialność. Nie jestem jakąś zacofaną Arabką, która zapuszcza włosy całe życie i uważa, że są najcenniejszym skarbem, jaki posiada.

– Ja też nie. Zawsze pocieszałam córki, jak źle je fryzjerka ostrzygła, że to nie problem, bo włosy nie zęby, odrosną.

– Jesteś nowoczesna. Liznęłaś trochę Europy, więc mi pomóż.

– Ale ja nie mam pojęcia o fryzjerstwie. – Gosposia jednak próbuje unikać współodpowiedzialności.

– A ja o modnym uczesaniu. Utnij na wysokości uszu... Ale bez uszu. – Wybucho młodzieńczym śmiechem. – Tak jakoś... – Bierze nożyce i robi pierwsze, krzywe cięcie. Skręcony gruby pukiel o długości co najmniej pół metra ląduje na marmurowej posadzce.

– O mój Boże! – Fatima załamuje ręce, bo tu już nie chodzi o tradycję, ale o utratę cudnych, rudych kędziorów. – *Wallahi!* – Przytyka dłonie do ust, jakby za chwilę miała zalać się łzami.

– Będziesz kontynuować czy mam sobie sama zrobić fryzurę „w schody”? – szantażuje młoda.

– Nie! – Kobieta wyrywa narzędzie prawie zbrodni. – Szkoda takich pięknych włosów, panienko!

– Sama przed chwilę wspomniałaś, że przecież odrosną. – Dziewczyna szelmowsko mruga, a Fatima nie ma już siły walczyć z jej oślim uporem.

– Niech ci będzie, ale najpierw zmoć głowę. – Bierze sprawy w swoje ręce.

Okazuje się, że gosposia ma talent do wszystkiego. Jest znakomitą fryzjerką i wizażystką. Na nową, krótką fryzurkę, w której pięknej dziewczynie bardzo do twarzy, kładzie mocną, ale naturalną hebanową farbę. Następnie Nadia zakłada barwiące na czarno szkła kontaktowe, prawie zakrywające naturalny szafir jej tęczówek. Z trudem wciąga fitnessowy stanik, spłaszczający spory biust, i wkłada resztę sportowych, chłopięcych ubrań: dżinsy, T-shirt i szeroką popielatą bluzę. Do tego idealnie pasuje czapka z daszkiem z literami „NY”.

– Gotowe! – Z zadowoleniem ocenia przed lustrem swoją metamorfozę. – No to jutro na świątecznym obiadku u babci będzie jazda... – Podśmiechuje się pod nosem.

– Może być jeszcze większa? – Sceptycznie podchodzi do sytuacji rodziny przyjaciółka domu.

– Oj, może. Ty nas jeszcze nie znasz.

– Nadia! Ile mamy na ciebie czekać? – krzyczy Hamid z salonu. – Jaśnie księżniczka musi się szykować dziesięć godzin?

Nerwowo drepcze u podnóża schodów, a Salma, stojąca u jego boku, podsumowuje poniewczasie, że nieźle ubrała się w tę rodzinę, bo kiedy Marysia wyjedzie, na co się zanosi, to na nią spadnie obowiązek matkowania krnąbrnym małolatom. Tego się nie spodziewała i nie jest z tego powodu zadowolona.

Córka, dzisiaj wyglądająca jak nastoletni, smukły chłopak, przechodzi obok zbaraniałego ojca, owiewając go lekkim zapachem męskich perfum Boss. Ten taksuje ją, ale nie odzywa się ani słowem. *Niech jej matka i babka zrobią z tym porządek. Ja mam dość zmartwień na głowie,* podsumowuje egoistycznie, choć o pierworodną ciągle się zamartwia i co rusz wysyła za nią ochroniarzy, wybierając ich teraz spośród licznych członków rodziny Binladenów, bowiem do kolegów z wywiadu nie ma już za grosz zaufania.

Reakcja Adila i Salmy na zmianę wyglądu Nadii jest taka sama jak jej ojca. Nie odzywają się ani słowem. Dziewczyna czeka na komentarz babci i mamy. Jeśli i one się nie wypowiedzą, postanawia wyciąć jakiś taki numer, żeby w końcu sprowokować towarzystwo. Zachowanie najbliższych tłumaczy sobie obojętnością, co straszliwie ją przygnębia, bardziej nawet, niż gdyby

dostała burę.

– Ładnie ci w tym kolorze. – Już w progu Dorota ściąga bezpardonowo kaszkiet z głowy wnuczki i przytula ją mocno. – I jak cudnie pachniesz! Co to za perfumy? Mnie by też pasowały?

Podłotek ma łzy w oczach i znów podsumowuje, że ona jest babci, a nie obojętnych rodziców. Lecz kiedy wchodzi do salonu i widzi zapuchniętą, posiniaczoną i pociętą twarz swojej mamy, bez namysłu podbiega do niej i rzuca jej się w ramiona.

– Co ci? Mamuś! Kto...? Dlaczego...? – docieka urywanym głosem. – Połamali ci coś więcej? – Delikatnie dotyka zagipsowanej dłoni. – Uszkodzili narządy wewnętrzne?

– Jest w porządku. Na mnie wszystko szybko się goi. – Marysia pociesza córkę i pozostałych, bo Salma jest w takim szoku, że aż musi usiąść. – Chcieli się upewnić, czy Daria żyje i czy czasem się z nami nie skontaktowała. Jeśliby to zrobiła, to tylko ze mną.

– Kto ci to zrobił? Jacy oni? – naciska dociekliwa nastolatka.

– Dziadek i tata już to sprawdzają. Nic się nie martw. Znam gębę tego opryszka.

– Mamo... – Adil siada po drugiej stronie matki i niezdarnie obejmuje jej ramiona. Jest silny i misiowaty, z młodzieńczym zarostem, który z rzadka sypie mu się pod nosem. Widać, że przeżuwa coś w sobie, a potem ogłasza zdecydowanym głosem: – Powinnaś wyjechać. Wszyscy powinniśmy.

– Dzisiaj sobie to omówimy – potwierdza babcia. – Czekamy tylko na dziadunia Al-Ridę. Strasznie tę sytuację przeżywa, aż martwimy się o jego słabe serce.

– Ojca to dobiło – potwierdza Aszraf. – Macie ochotę na kieliszek przed, do czy po obiedzie? – Gospodarz chce jak najlepiej wywiązać się ze swojej roli.

– Pamiętajcie, jak ostatnio mama złapała fazę i piliśmy wódkę z biednym Anwarem? – nieoczekiwanie wyrywa się Marysia. – Ależ się chłop męczył i poświęcał! – Uśmiecha się melancholijnie, a zebranych z żalu wydłużają się twarze. Wszyscy lubili księcia, wręcz go pokochali. Wydawało im się, że nawet nieczuła Daria się w nim zadurzyła.

– Dlatego też postanowiłyśmy z Marysią, że dzisiaj nie wypijemy za niczyje powodzenie czy zdrowie – Dorota przynosi z kuchni tacę z kieliszkami wypełnionymi wódką wyborową – ale za dobrą miejscówkę Anwara w *dżennie*.

– *Bismillahi rahmani rahim* – mruczą Hamid i Aszraf.

– Za kogo te modły? – Na to wchodzi stary Muhammad. – Jakaś stypa? – pokpiwa.

– Za księcia Anwara al-Sauda. Najlepszego z wszystkich saudyjskich książąt.

– Oby Allah wynagrodził mu w rajku rzekami płynącymi dżinem z tonikiem i szampanem Veuve Clicquot oraz siedemdziesięcioma dwiema najpiękniejszymi hurysami – prosi Boga dziadunio.

– Wyjeżdżam w poniedziałek. – Marysia bierze na rozmowę na osobności syna i córkę. – Dostałam w ekspresie polski paszport ważny dziesięć lat i mogę spokojnie podróżować, dokąd zechcę. Jestem Marią Salimi, Polką, więc piętno Libii, Arabii Saudyjskiej i Binladenów zostawiam za sobą. Dokumenty rozwodowe z waszym ojcem podpiszę w dniu wylotu. Dłużej już nie będzie mi potrzebna jego protekcja.

– A co z nami? – Nadii aż głos się trzęsie. – Porzucasz nas?

– Nie, kochana, ale lepiej przez jakiś czas mi nie towarzyszyć. Czyha na mnie nie dość że książę koronny i następca tronu w jednej osobie, uważając mnie za rajfurkę, winną hańby jego córki, to jeszcze saudyjski wywiad w związku z przestępczym czynem mojej siostrzyczki.

– Dokąd pojedziesz?

– Nie mam pojęcia, gdzie ostatecznie wyląduję, ale najpierw lecę do Polski. Do mojej

babci, której ani nie znam, ani nawet nie pamiętam.

– To fajna babka – zapewnia Nadia.

– Kiedyś, jak włóczyliście się po świecie, babcia Dorcia wzięła nas do niej w odwiedzinę – potwierdza Adil z ciepłą nutą w głosie. – Bardzo elegancka starsza pani.

– W tamtym odległym czasie polska placówka dyplomatyczna współpracowała z saudyjskim wywiadem i waszym tatą i wydała wam paszporty w ramach programu ochrony świadków czy zagrożonego obywatela.

Matka wręcza dzieciom dokumenty, a młodzi gapią się jak sroka w gnat na swoje zdjęcia, ale nie swoje dane.

– Adrian Nowicki?

– Nadia Nowicka?

– Tak, kochani. Nie wiedzieliśmy, czy wrócimy z kalifatu, i przekazaliśmy waszej babci prawa rodzicielskie. Nigdy ich nie wycofaliśmy. W przyszłym tygodniu macie ustalone spotkanie u konsula, który uruchomi wydanie wam nowych, aktualnych dokumentów podróży.

– Ale ja nie chcę! – wykrzykuje Adil. – Jestem Saudyjczykiem, Arabem. Moim ojcem jest Hamid Binladen. Nie mam zamiaru się od tego odżegnywać!

– Nie musisz – uspokaja matka. – Ale jeśli musiałbyś zniknąć, to lepiej mieć dobry glejt w ręce.

– Co na to tata?

– Wie i zgadza się.

– A więc to nasza pożegnalna impreza?

Dzieci są zrozpaczone, a Marysi kroi się serce. Nie zasłużyła na taki los, na utratę wszystkich, których kocha, na wygnanie.

– Niestety. Lecz nie mówimy sobie „żegnaj”. Powiedzmy „do zobaczenia”. Bo na pewno się zobaczymy.

\*\*\*

Mając polski paszport w ręce, panna Nadia Nowicka widzi swoją przyszłość w jasnych barwach. *Tak jak powiedziała mama. Nie żegnamy się. Tylko na chwilę rozstajemy.* Podbudowuje się, bo teraz musi jeszcze wspierać swojego brata, któremu wydawało się, że na matce nic a nic mu nie zależy i nie jest mu do niczego potrzebna, a teraz, po jej wyjeździe, całkowicie się rozsypał.

*A może ja też poszłabym na ten West Point?*, przebiega jej przez głowę szalona myśl. *Nie miałabym nudnego życia.* Plan klaruje się w jej głowie dosłownie z dnia na dzień. Motto „Obowiązek. Honor. Ojczyzna” na razie jest jej obce – nie jest sumienna, a Stany Zjednoczone nie są jej ojczyzną, ale honor ma we krwi. Teraz już rozumie, czemu nowi koledzy codziennie spędzają w swojej prywatnej siłowni tyle godzin. W tej najbardziej znanej na świecie wojskowej akademii już lata temu przeforsowano zmiany w nauczaniu kultury fizycznej i rozszerzono program sportowy. Hasło „Każdy kadet sportowcem” stało się bardzo istotną częścią programu nauczania. Kiedy dziewczyna wyczytuje w internecie, że kobiety również mogą studiować w West Point, serce jej rośnie, a gdy widzi, że akademie corocznie przyjmuje od kilku do kilkunastu obcokrajowców, a łącznie skończyło ją już ponad trzystu pięćdziesięciu cudzoziemców, podejmuje decyzję. *Choćbym miała zdechnąć, zrobię z siebie sportowca,* obiecuje sobie, tak jak kiedyś jej matka pod okiem Aruby. Jest tak samo twarda i uparta, więc pomimo bólu mięśni i stawów ćwiczy, a nocami wkuwa wiedzę, bo przecież na taką uczelnię nie przyjmują miernot. Ona musi być najlepsza.

– Dzisiaj mamy podwózkę pod miasto. – Nadia chce już wskoczyć na bieżnię na siłce w willi Mohy, ale Sasza hamuje jej zapędy. – Zajęcia w terenie.

– Poza miasto jadę tylko z obstawą – ogłasza dziewczyna. – Mojej mamie ostatnio taki wpierdol spuścili w dzielnicy dyplomatycznej w samym Rijadzie, że ja bez broni i paru goryli się nie ruszę.

– Ciągłe masz ogon, moja panienko. – Moha uśmiecha się pogodnie.

– Co? Jak to? Skąd wiecie?

– Czy sądzisz, że twój tata puszczałby cię tak samopas? Ochrona wylegitymowała gościa obserwującego moją willę i zaprosiła na herbatę. Co będzie chłop o suchym pysku w nagrzanym samochodzie siedział – chichra Saudyjczyk. – Jest z Binladenów, więc teraz masz rodzinną obstawę.

– Ojciec ze mną nie rozmawia, nie zwraca na mnie uwagi, więc myślałam, że całkiem mnie olał... – Nadia nie kryje zdziwienia.

– Kobieto! Po ostatnich wydarzeniach on zapewne nie dość że walczy o swoje życie, bezpieczeństwo rodziny, to jeszcze usiłuje coś zrobić dla tego przekłętą kraju – oświeca ją zniesmaczony takim egoizmem Sasza. – Postaraj się go czasami zrozumieć. Nawet ja mojego wojskowego trepa akceptuję. Dorośli niejednokrotnie noszą niezły bagaż na plecach.

– To dokąd chcecie jechać? – zmienia temat zawstydzona krytykantka.

– Pustynia Rub al-Chali.

– Myślałam, że już nigdy tam się nie zapuszczę... – Radość z wyjazdu pryska jak mydlana bańka.

– Ze złymi wspomnieniami trzeba walczyć i je pokonać. Nie można się im poddać, bo może tak się zdarzyć w twoim życiu, że pół świata sobie zablokujesz i bojąc się wszystkiego, nie wyjdiesz z domu.

– Najpierw Safi, teraz ciotka Daria. Jak o tym zapomnieć? – rozczuła się wrażliwa panienska.

– Nie zapominaj, ale zaakceptuj. Pogódź się z tym. Co się stało, to się nie odstanie. Safi był bufonem i idiotą, hochsztaplerem, i jakby się tutaj nie zabił, przydarzyłoby się to zapewne gdzieś indziej. A z twoją ciotką to nie do końca jest wiadome...

– Co?! – oburza się Nadia. – Jak to?! Nikt mi nic nie mówi!

– Są pewne domysły, ale i tajemnice. Sprawę tę drążą nie tylko saudyjskie służby, ale też amerykańskie, polskie i Mosad.

– Mosad? Co Mosad ma do tego?! – Wybucha wściekła. – Ci Żydzi wszędzie się wpierdalają – dodaje niegrzecznie.

– Mają pewien malutki problemik. – Poirytowany takim podejściem Sasza zjadliwie się uśmiecha. – Palestyński. Hamas<sup>150</sup> czy zbrojne ramię Al-Fatahu<sup>151</sup> przyjmie każdego zbira, który nauczyły ich robić bardziej profesjonalne rakiety i bomby. A Jasem Alzani, były małżonek twojej ciciusi Darii, był swego czasu zarówno mistrzem w tym rzemiośle, jak i wirtualnym żołnierzem. Jakby nieoczekiwanie do nich dołączył, musielibyśmy chyba poszukać innej Ziemi Obiecanej. Teraz kapiszczi?<sup>152</sup> – żartuje, bo nie ma najmniejszego zamiaru naskakiwać na niczego nieświadomą dziewczynę.

– Przed wyjściem rzuć jeszcze okiem na ten filmik – prosi Moha. – Niewiele na nim widać, ale może coś ci wpadnie w oko. W końcu to twoja krewna.

– Bądź dzielna. – Sasza bierze Nadię za rękę, a małolata czuje mrowienie w palcach i aż traci dech. Jego chłodna dłoń o delikatnej skórze pali ją jak rozżarzone węgle.

Binladenówna siada na sofie naprzeciwko ogromnej plazmy, po obu stronach ma swoich

młodocianych kolegów. W drzwiach stają dwaj dorośli goście, jeden zapewne szpieg o nieodgadnionym pochodzeniu, a drugi, smukły i wysportowany, całkiem przystojny Saudyjczyk, to prawdopodobnie jej prywatny *bodyguard*<sup>153</sup>. Na ekranie pojawia się film bez fonii. Widać tylko rozmazane obrazy. Dziewczyna widzi całkowicie zakwefioną kobietę oraz saudyjskiego mężczyznę w białej *tobie* i charakterystycznej kraciastej biało-czerwonej chuście zasłaniającej mu prawie całą twarz. Widać tylko oczy, ale to Nadii wystarczy. Jego ślepie są czarne jak noc, wielkie i okrągłe jak spodki. Kobieta natomiast musi mieć pokaźny nos, na którym opiera się *nikab*, stercząc zabawnie. Jej obramowane *kohlem* oczy mają typowo arabski kształt i także są bardzo ciemne. Jakość filmu jest żadna, więcej tam pikseli niż czystego obrazu, i trwa zaledwie minutę. Postaci wysiadają z auta, wsiadają do czerwonego helikoptera, który po paru sekundach eksploduje w powietrzu. Potem mężczyźni wyłączają nagranie.

– Jest jakiś ciąg dalszy? – Młoda zgrywa odważną, bo czuje, że to będzie jej chrzest bojowy. Jeśli psychicznie wytrzyma nagranie z zabójstwa krewnej oraz późniejszą wizytę na miejscu zbrodni, to nada się do West Point, a potem może do jakiegoś wywiadu. Postanawia poddać się takiemu testowi.

– Tak, ale... – oponuje dorosły mężczyzna.

– Czy mój ojciec widział ten film? – pyta agresywnie Binladenówna, bo nagle dochodzi do niej smutna prawda, że jest wykorzystywana i podpuszczana. Wrywa dłoń z uścisku Saszy, a ten tylko ciężko wzdycha.

– Zapewne. Przez chwilę krążył po internecie, więc wszyscy zainteresowani, a tym bardziej pracownicy służb i rządu saudyjskiego, powinni go przestudiować kadr po kadrze.

– Czy uważacie, że to fair puszczać taki drastyczny materiał nieletniej, by wyciągnąć z niej informacje? Czy to dozwolone? Jestem tutaj bez prawnego opiekuna! – atakuje wściekła dziewczyna, a faceci dochodzą do wniosku, że nie jest taka głupia, na jaką wygląda.

– Jest tutaj twój *mahram* – spokojnie odparowuje nieznajomy w paramilitarnym stroju, a Nadia już wie, czemu wpuszczono jej ochroniarza do domu.

*Sprytnie*, myśli sobie. *Ale ja jestem jeszcze sprytniejsza.*

– To ani brat, ani swat. Nie znam gościa.

– Twój kuzyn... Twoja osobista obstawa.

– Nie pierdol mi tutaj! – wrzeszczy, nie bojąc się mięśniaka. Żałuje, że nabrała się na słodkie oczy polsko-amerykańskiego Żyda i teraz chce się wściec. – Jeśli chcecie, żebym na was nie doniosła, to proszę o kopię tego nagrania, którego zapewne w internecie już nie ma. Ciąg dalszy obejrzę z moim ojcem. Wnioski i spostrzeżenia przekażę temu zjadaczowi hamburgerów na piśmie. – Pokazuje brodą na speszzonego Saszę. – A teraz jedźmy w teren, koledzy. Ja z moją obstawą, a wy ze swoją.

Chwila wystarczy, by Nadia ochłonęła. Nie ma zamiaru działać impulsywnie, więc planuje nie puścić pary z ust, dopóki tego nie skonsultuje ze swoim tatą. Wysłała mu SMS: „Jadę na pustynię Rub al-Chali. Na miejsce katastrofy helikoptera z ciotką D. Jestem z Saszą Cohenem, Mohamedem al-Saudem, ich wojskowym ochroniarzem i idiotą, którego przydzieliliś mi do obstawy. Jakiś tam Binladen. Liczę, że to nie mój przyszły mąż!!!”. Ojciec błyskawicznie odpisuje: „Co ty wyprawiasz?! Chcesz się wpakować w kolejne gówno?! Wy, kobiety z rodu Salimich, zawsze potraficie się w coś wkopać!”. „Mam włączoną lokalizację, na miejscu połączę się z tobą i będziesz mógł słyszeć toczącą się rozmowę. Śledź nas z drona”. „Do cholery, Nadia □”. „Do zobaczenia, tatku □”, odpisuje dziewczyna, już całkiem spokojna ze świadomością, że ojciec na pewno będzie tuż obok.



Znalezienie się w miejscu, w którym mogła zginąć jej ciotka, jest dla Nadii ciężkim przeżyciem, choć coraz bardziej wątpi w śmierć Darii. Tak jak sobie obiecała, trzyma buzię na kłódkę. Niech się łudzą, że jest młodą głupią gąską i a nuż coś jej się wymsknie. Tak naprawdę czeka, aż oni się z czymś sypną. Samochody parkują pod tym samym niedużym drzewkiem, pod którym zatrzymał się SUV z Darin i jej byłym mężem Jasemem Alzanim. Ale czy na pewno? Już po rzuceniu okiem na film Nadia jest pewna, że kobieta, która wsiadła do śmigłowca, to nie jej ciotka. Dla młodej jest to ewidentna ściema i podpucha. *Szukaj wiatru w polu*, podsumowuje, zadowolona, choć zaraz chwyta ją za serce żal do ciotki i nienawiść do terrorysty. *Czemu się od niego ostatecznie nie uwolniłaś?*, rozmawia z Darią w myślach. *Czemu na niego nie doniosłaś? Nic nam nie powiedziałaś? Miałaś przecież siostrę, szwagra, mamę, przybranego dobrego tatę, Aszrafa, dziadunia Al-Ridę, który na wszystko znajdzie lekarstwo, no i mnie. Wszyscy byśmy ci pomogli... Ty kretynko!*

– Czego ode mnie oczekujecie? – Nonszalancko kręci się po pustynnym terenie, wściekle kopiąc kamyki na prawo i lewo. – Przecież tu już wszystko jest przeczesane. Piasek przesiany, głazy sfotografowane.

– Może coś wpadnie ci w oko – sugeruje Amerykanin. – Mogliśmy coś przeoczyć.

Od projekcji krótkiego, ale wstrząsającego nagrania ich wzajemne stosunki zdecydowanie oziębły. Nadia ani słowem nie odzywa się do szkolnych kolegów, którzy tak jej wcześniej imponowali, a do Saszy poczuła nawet miętę. Kuzyna Binladena traktuje jak powietrze, a rozmawia tylko z amerykańskim ni to agentem, ochroniarzem, ni to kierowcą. Po zakończeniu tego przedstawienia postanawia raz na zawsze zerwać z nimi wszystkimi kontakt.

– Kopsnij najpierw szluga – mówi do jankesa, który z upodobaniem zaciąga się papierosem.

– Twierdziłaś, że jesteś nieletnia, a nieletni raczej nie powinni palić. Nie będę dokładał się do twojego raka płuc.

– To się bujaj. – Młoda wyciąga z kieszeni śliczne pudełko w kolorowe kwiatuszki. Wyjmuje z paczki cienką, długą cygaretkę i zapala z wyzywającą miną. – Mam swoje, ale oszczędzam.

– Skąd te fajki? – Ochroniarz już jest przy niej. – Gdzie je kupiłaś? Skąd wzięłaś?

– Ciotka Daria mi dała. – Przestraszona gwałtowną reakcją, robi krok w tył. – Czasami razem podkurzałyśmy.

– Gdzie je kupowała?

– Nie mam pojęcia. Dostawy książęce? *Z duty free* 154 w Dubaju? A co?

Osilek tak na nią napiera swoim wielkim cielskiem, że dziewczyna, cofając się, traci równowagę i z impetem klapie pupą na pobliski wzgórek pokryty piaskiem i wyschniętą trawą. Nieoczekiwanie podłoże pęka, a ona z krzykiem wpada do szerokiej rury. Ręce i nogi sterczą jej do góry, a pośladki leżą na wilgotnej glinie. Średnica kanału jest wystarczająca, by taka szczupła dziewczyna swobodnie tam weszła. Ale skąd i po co na pustyni kanalizacja?

– Won! – wrzeszczy Binladenówna na towarzystwo usiłujące wyciągnąć ją z pułapki. – Idę pierwsza zobaczyć, dokąd mnie ten tunel zaprowadzi.

– Nie ma mowy! – Mięśniak chce ją wyciągnąć za fraki. – Zatrzesz ślady!

– Tknij mnie, a saudyjski wywiad rozmaże cię jak robaka. Nad nami lata dron i właśnie rejestruje, jak nagabujecie córkę obywatela saudyjskiego i ministra sprawiedliwości. – Nadia nabiera powietrza i kontynuuje oskarżenia: – Nielegalnie nakręciliście film z terrorystycznej akcji na terenie obcego państwa, czyli macie satelitę, który kontroluje saudyjskie suwerenne ziemie. – Nieletnia, ale wygadana i obyta dziewczyna zastrasza starszych od siebie. – Dla ambasadora USA tytuł *persona non grata* 155 i wylot stąd w trybie ekspresowym, a dla ciebie, wojaku,

saudyjski pierdel i tortury gwarantowane.

Mężczyźni gapią się jak głupki w lśniące słonecznym blaskiem niebo, wypatrując na nim drona.

– Jeden taki niedopałek znaleziono na trasie ucieczki pary terrorystów – usprawiedliwia się agresor.

– Gównu mnie to obchodzi – odpyskowuje nastolatka.

– Wszystko, co znajdziesz, ma trafić do tej torebeczki. – Poddaje się prawdopodobny inicjator wycieczki. – Nałóż rękawiczki.

– A nie mówiłem, że coś odkryjesz? – Sasza próbuje załagodzić sytuację.

Nadia już jednak go nie słyszy. Wślizguje się do tunelu z duszą na ramieniu. Po chwili znajduje pokryty mułem księżęcy sygnet ciotki Darii wepchnięty między kręgi kanalizacyjne. Po dwudziestu metrach, kiedy pot zalewa już jej plecy i twarz, z podobnej skrytki wyciąga piękne kolczyki z rubinami подарowane księżnej Darin przez księcia Anwara. *Widać była przekonana, że tata lub dziadek będą prowadzić śledztwo, podsumowuje. Zostawiła dla nich dowody, że żyje i że śmierć w helikopterze to mistyfikacja. Przede wszystkim to sygnał, że Jasem, ten skurwysyn, znów się wymknął sprawiedliwości.*

– Co tam? Słabo ci? – Facet krzyczy do rury, aż echo niesie. – Dasz radę?

– Oczywiście! – odkrzykuje konspiratorka, po czym chowa biżuterię nie do wręczonego jej woreczka z zipem, lecz do własnej kieszeni zamykanej na zamek. – Wyjdę po drugiej stronie. Niedługo. Muszę odpocząć.

– Dobra!

Obraca się na plecy i oświetla obłe ściany dookoła. Postanawia działać na zwłokę. Poczeka na odpowiedniego człowieka, który to dochodzenie powinien prowadzić.

– *Baba*, słyszałeś? – szepcze do telefonu.

– Tak – spokojnie odpowiada ojciec.

– Przez przypadek coś odkryłam.

– Zuch dziewczyna.

– Za ile będziesz?

– Mogę za minutę.

– To dobrze. *Ila liqa* '156.

135 Ekspat (angielski) – ekspatriant, emigrant. W Arabii Saudyjskiej i na Bliskim Wschodzie nazywa się tak cudzoziemców pracujących na kontraktach, czyli czasowych emigrantów.

136 *Non fiction* (angielski) – literatura faktu.

137 Attaché – funkcja dyplomatyczna.

138 *Oud* (arabski) – drewno agarowe, warte półtora raza tyle co złoto; olejek uzyskiwany z niego stosowany jest w krajach arabskich jako perfumy.

139 *Diplomatic Quarter* (angielski) – Dzielnica Dyplomatyczna; nazwa dzielnicy w Rijadzie; mieszkają tam głównie dyplomaci, znajdują się ambasady, konsulaty i rezydencje korpusu dyplomatycznego.

140 *Nikab* (arabski) – tradycyjna muzułmańska zasłona na twarz kobiety, odsłaniająca jedynie oczy, czasami kawałek czoła; używany głównie w Arabii Saudyjskiej i Jemenie oraz pseudo-Państwie Islamskim.

141 Pakol (slang) – Pakistańczyk, pejoratywnie.

142 *Jehudi* (arabski) – Żyd; (hebrajski) imię własne.

143 CD (*corps diplomatique* – francuski) – korpus dyplomatyczny; litery na tablicach rejestracyjnych mówiące o tym, że pojazd należy do placówki dyplomatycznej (ambasady lub

konsulatu). 1CD oznacza auto należące do ambasadora.

144 *Mahram* (arabski) – męski opiekun muzułmańskich kobiet; ojciec, brat, kuzyn, dziadek, także szwagier, ale też nieletni syn.

145 *Szaria* (arabski) – ulica; droga.

146 *Erec Israel* (hebrajski) – Ziemia (kraj) Izrael; nazwa ziemi, z którą Żydzi kojarzyli swoją przeszłość i kulturowe korzenie; termin biblijny; Ziemia Obiecana.

147 *Mizrahi* (hebrajski); Mizrachijczycy – określenie ludności żydowskiej zamieszkującej obszary państw arabskich położonych w Afryce Północnej, na Bliskim Wschodzie, w Azji Środkowej oraz na Kaukazie. Niekiedy określa się ich jako arabskich Żydów, gdyż oprócz wspólnej ziemi z Arabami łączy ich także język.

148 *Mosad* – Instytut do spraw Wywiadu i Zadań Specjalnych – izraelska agencja wywiadowcza odpowiedzialna m.in. za gromadzenie politycznych, technicznych, gospodarczych danych wywiadowczych poza granicami kraju; odpowiednik amerykańskiego CIA.

149 *Kibuc* (hebrajski) – spółdzielcze gospodarstwo rolne w Izraelu, w którym ziemia i środki produkcji były własnością wspólną. Odegrały znaczącą rolę przy tworzeniu Państwa Izrael i w narodowej gospodarce (więcej zob. słownik).

150 *Hamas* – polityczno-militarna fundamentalistyczna organizacja palestyńska (zob. dodatki).

151 *Al-Fatah* – największa świecka polityczno-wojskowa organizacja palestyńska, wchodząca w skład Organizacji Wyzwolenia Palestyny (zob. dodatki).

152 *Capisci* (włoski) – rozumieć; kapiszczi – slang młodzieżowy.

153 *Bodyguard* (angielski) – ochroniarz, ochrona osobista, straż.

154 *Duty free* (angielski) – sklep wolnocłowy.

155 *Persona non grata* (łacina) – intruz, osoba niepożądana; w dyplomacji termin oznaczający członka personelu dyplomatycznego lub konsularnego, który otrzymał nakaz natychmiastowego opuszczenia terytorium kraju, w którym przebywa.

156 *Ila liqa'* (arabski) – Do zobaczenia.

## SPRAWIEDLIWOŚĆ PO SAUDYJSKU

Hamid Binladen, były mąż Marii Salimi, pół Polki, pół Arabki, bojownik ze światowym terroryzmem, a zarazem krewniak najbardziej znanego terrorysty na świecie i przywódcy Al-Kaidy Osamy bin Ladena, przed złożeniem wypowiedzenia i ostatecznym opuszczeniem ukochanego, choć jednocześnie znienawidzonego Królestwa Arabii Saudyjskiej, postanawia załatwić parę spraw niecierpiących zwłoki. Jako pełniący funkcję ministra sprawiedliwości w rządzie faktycznie sprawującego władzę następcy tronu Mustafy bin Saliha pragnie postawić na nogi wymiar sprawiedliwości, a przynajmniej polepszyć sytuację uwięzionych czy bezprawnie izolowanych saudyjskich nieszczęsnych kobiet. Traktowanie niewiast w jego rodzimym kraju od dłuższego czasu spędza mu sen z powiek, a zmiany wprowadzone przez MBS są albo niewystarczające, albo jedynie teoretyczne. Wie, że nadal więzienia pełne są kobiecych aktywistek, feministek walczących ze średniowiecznym prawem szariatu, które wciąż obowiązuje w jego kraju. Obawia się, że te przeważnie wykształcone i dobrze urodzone panie są najgorzej traktowane w placówkach penitencjarnych. W Saudii złe warunki internowania to jednak najmniejszy problem, bo przede wszystkim należy piętnować zakłamanie sądów, niesprawiedliwe wyroki oraz ustawiczne stosowanie tortur. Wprawdzie na wieść o zarzutach stosowania przemocy wobec więźniów podczas jednego z wywiadów księżę koronny wydał oświadczenie, że islam zabrania tortur, prawo saudyjskie zabrania tortur, ludzkie sumienie zabrania tortur i on osobiście jest im przeciwny i zajmie się tą sprawą, jednak od tej wypowiedzi minęły dwa lata i jakoś nic w tym kierunku nie zrobił, a informacje o kaźniach w saudyjskich więzieniach obiegają świat. Jedyne co księżę uczynił, to po oskarżeniach Kanadyjczyków, którzy mają dwóch osadzonych w więzieniu o zaostrozonym rygorze w Dahban w Dżeddzie – porażanych tam prądem, poddanych karze chłosty oraz molestowanych seksualnie – z dnia na dzień wyrzucił ambasadora Kanady, zamknął ich placówkę w Rijadzie i odwołał saudyjską misję dyplomatyczną z Ottawy, a wszystkim stypendystom studiującym w tym kraju cofnął sponsoring i odesłał do domów ze skutkiem natychmiastowym. Tak to demokratycznie działa przyszły król, na którego wszyscy tak liczyli i w którego modernistyczne poglądy tak wielu uwierzyło. Hamid już ani jednemu jego słowu nie ufa, więc po cichu postanawia naprostować chory saudyjski wymiar sprawiedliwości. Będzie działał aż do swojego wyjazdu – albo raczej do uwięzienia. Trochę mu przykro ze względu na Salmę, która do takiego niebezpiecznego życia w ciągłym zagrożeniu się nie nadaje, bo to przecież nie bojownicza Marysia, ale postanawia na razie jej o tym nie wspominać. Niech żyje w błogiej nieświadomości i łudzi się, że praca jej męża polega na przekładaniu papierków i składaniu podpisów pod nic niewartymi dokumentami. Kiedyś nadejdzie czas na prawdomówność, lecz na pewno nie teraz, zwłaszcza że kobieta jest brzemienna.

Binladen postanawia swoją misję rozpocząć od wizytacji więzień, szczególnie oddziałów przeznaczonych dla płci pięknej. Zaczyna od Rijadu, gdzie według słów jego byłej żony Marysi panuje totalna degrengolada i gdzie była – lub nadal jest – bezprawnie przetrzymywana księżniczka Wafa al-Saud, nieletnia córka tego, który ponoć chce zreformować nieszczęsną Saudię.

– *As-salamu alejkum* – wita się z zaskoczoną dyrektorką więzienia, którą osobiście mianował miesiąc temu.

– *Wa alejkum as-salam* – odpowiada niepewnym głosem kobieta, której mięką kolana. – Nie spodziewaliśmy się pana... Nie zostaliśmy uprzedzeni.

– I co? Będę stał w progu, a pani teraz w ciągu godziny tu posprząta? – Hamid jest zbulwersowany, że osoba, na którą liczył, okazuje się niekompetentna jak wszyscy inni. – Nie poczęstuje mnie pani herbatą? A może potrzebuje pani *mahrama*, żeby ze mną rozmawiać?

– Zapraszam w moje skromne progi. – Latifa Budaja obraca się plecami do ministra i w asyście dwóch strażniczek wprowadza go do swojego gabinetu na piętrze budynku, omijając szerokim łukiem parter i piwnice, gdzie znajdują się cele i izolatki.

Wizytator szybko rejestruje, że dyrektorka umościła sobie tutaj przytulne gniazdko – z obrusikiem na stole oraz kwiatami i firankami w zakratowanych oknach. Na biurku stoją fotografie i dekoracje, nie ma zaś komputera, nie ma ani jednej kartki czy teczki.

– Poproszę wydrukować mi listę osadzonych z sądowymi wyrokami i bez wyroku, tych, których odsiadka już się zakończyła, a nadal tu przebywają, oraz matek z dziećmi. – Minister doskonale zna realia swej ojczyzny i wie, czego chce. Nigdzie na świecie nie ma takiej sytuacji, lecz w tym kraju przetrzymywanie niewinnych jest na porządku dziennym.

– Nie mam takiej bazy danych. – Kobieta, która odsłoniła już twarz, patrzy na swojego przełożonego pełnym urazy wzrokiem. Sięga do stojącej za jej plecami wysokiej metalowej szafy na dokumenty i ze złością wyciąga teczki, w większości stare i pożółkłe, po czym rzuca je na blat. – Są jedynie wersje papierowe.

– Nie zajęła się pani usystematyzowaniem danych, nie wprowadziła ich do komputera? A może nie ma pani komputera? – Hamid podnosi głos. – Wydawało mi się, że z elektroniką jest pani za pan brat – ironizuje.

– Zajęłoby mi to pół życia – odpyskowuje lekceważąca swoje obowiązki dyrektorka.

– A ja sądziłem, że mam do czynienia z aktywistką, feministką walczącą o prawa kobiet w naszym kraju.

– Bo tak jest. Sam pan wie...

– Nie! – huczy wizytator, aż echo niesie. – Jest pani zwykłą krzykaczką, która jedynie chce siać zamęt.

– I dlatego uwięził mnie pan tutaj? Tak się spodziewałam. Chciał mi pan zamknąć gębę.

– Pani jedynie potrafi dużo gadać, i to po próżnicy, bo kiedy dostała pani możliwość działania, zajmuje się podlewaniem roślin i szyciem zasłon. Nikt pani nie uwięził!

– Na pewno...

– Tak, na pewno. W każdej chwili może pani stąd wyjść i pojechać do domu brata, gdzie jest pani zameldowana. Jednak z wiadomych powodów woli pani przebywać tutaj, w swoim apartamencie. W końcu bez opiekuna. Jedyne, co pani potrafi, to udzielać się w internecie i pisać odważne, bulwersujące międzynarodową opinię społeczną artykuły, takie, które z chęcią przedrukowują zachodnie media. Dostała pani w Stanach nagrodę, ale za co? Co pani zrobiła dla potrzebujących kobiet? Za krytykanctwo zbiera pani statuetki. Żadna z pani działaczka, bo działać pani nie umie albo nie chce.

– Jak miałabym coś zmienić w tym bajzlu? – Kobieta rozkłada ręce.

– Czemu nie dostałem żadnego pisma? O dofinansowanie więzienia, modernizację czy o przeniesienie pani nieszczęsnych podopiecznych w inne, lepsze miejsce lub wręcz wypuszczenie ich na wolność?

Latifie wszystkie argumenty zostają wybite z ręki, nawet ten, że przez ministra sprawiedliwości perfidnie została internowana, który rozpowszechnia na wszystkich możliwych portalach społecznościowych. Zanośli się, że Amerykanie znów dadzą jej jakiś wawrzyn, a tu taka wpadka.

– Proszę rozkazać strażniczkom, by otworzyły cele, wyprowadziły więźniarki na korytarz i dziedziniec i tam podzieliły je na trzy grupy: z wyrokiem, bez wyroku i po odbyciu wyroku –

zarządza Hamid. – Sprawdzę sytuację za pół godziny.

Dyrektorka nie rusza się z miejsca. Patrzy z wściekłością na człowieka, który rujnuje jej życie, karierę i opinię saudyjskiej buntowniczką, feministycznej aktywistki.

– Na co pani czeka?! – wrzeszczy zbulwersowany Binladen, nie panując już nad emocjami. – Na oklaski? Dzisiaj ich pani nie dostanie! – kpi w żywe oczy, a pryncypałka więzienia czuje, że jeśli nie weźmie się do roboty, to rzeczywiście dołączy do nieszczęśniczek, które oplakuje w sieci.

Dwie godziny Hamid Binladen poświęca na inspekcję zaplecza więzienia. Przewija się przez kuchnię, której pod żadnym pozorem nie można tak nazwać, bo jest jedynie wylęgarnią szcurów i zarazków, kontroluje duże pomieszczenie, w którym powinna być świetlica, a jest jedynie stary, zdezelowany telewizor wraz z przestarzałym sprzętem stereo, sprawdza punkt medyczny z metalowym madejowym łóżem z pasami, na którym, zamiast leczyć, zapewne wymierzane są baty. Jest tutaj nawet sala, która chyba kiedyś miała służyć jako więzienny meczet, lecz i tu znajdują się jakieś nikomu do niczego nieprzydatne rupiecie, połamane prycze, krzesła i stoliki. Gdzie znajduje się punkt pomocy terapeutycznej oraz ten przeznaczony do resocjalizacji fundamentalistek, tego nikt nie wie. Wszystkie opowieści o nawracaniu w więzieniach tych, którzy zeszli na drogę dżihadu, występku i zła, to całkowita bujda. Po tej mało budującej wycieczce w końcu dociera na parter. Jak tylko otwierają się przed nim metalowe drzwi, uderza go jak obuchem potworny smród niemytych kobiecych ciał. Na wpół otwiera usta i oddycha przez szczelinę między zębami. Kręci mu się w głowie i zbiera na mdłości, ale całą siłą woli próbuje się opanować.

– To ten książę? – dochodzi do niego pierwszy szept.

– Coś ty, głupia. Książę już ziemię gryzie. Za dobry był.

– To zatem musi być minister... Binladen mu było...

– Binladen... Binladen... – rozchodzi się echem po korytarzu nazwisko przekazywane z ust do ust.

– Ale elegancki! Ale przystojny! – Baba zawsze pozostanie babą, nawet w najgorszych życiowych okolicznościach. – Jaką ma białą *tobę*! Aż w oczy bije. A widzicie te sygnety? Spinki! Brylantowe spinki! – Ochy i achy nie słabną, a mężczyźni zaraz robi się cieplej na sercu i trochę zapomina o potwornym zaduchu i unoszącym się odorze.

– Żona jasnie pana nie zapomniała aby o nas? – Pierwsza odważna występuje przed szereg i zbliża się do przystojniaka.

– Nie zapomniała – potwierdza Hamid z uśmiechem na ustach, na co prawie wszystkie oddają mu już serce. – Przecież była tutaj, prawda?

– Tak! Tak! – wykrzykują jedna przez drugą. – Piękna kobieta! Jak hurysa! Nie z tej ziemi!

– Powiedziała mi, w jakich koszmarnych warunkach żyjecie, dlatego postanowiłem się tym zająć.

– Brawo! Dziękujemy!

– Przede wszystkim mianowałem nowego dyrektora i przydzieliłem do pracy tutaj aktywistkę feministkę. – Na te słowa euforia przygasa, bo do tej pory jakoś nic się w ich sytuacji nie zmieniło. – Jest znana na całym świecie jako bojowniczką o wasze prawa. Jeśli nie została by naczelniczką więzienia, zapewne wylądowałyby między wami. – Hamid patrzy długo i wymownie na swoją protegowaną, a ona w końcu opuszcza dumny wzrok.

– Zapraszamy do nas! – podśmiewają się więźniarki.

– Może wtedy chciałoby jej się tłusty zad ruszyć i coś zrobić – potwierdzają opinię ministra.

– Z naszej perspektywy szybciej docierają do człowieka realia!  
– Proszę was, byście odsłoniły twarze, bo chciałbym wiedzieć, z kim rozmawiam – proponuje wizytator. – Jeśli któraś pani jest mocno wierząca, to nie nalegam, ale macie prawo nie zasłaniać waszych liczek – ogłasza nowinę, na co prawie wszystkie zdzierają z siebie czarne kwefy<sup>157</sup>. – Po moim wyjściu proszę zebrać wszystkie *abaje* i oddać do pralni – teraz Binladen zwraca się do dyrektorki. – Proszę też zakupić im nowe ubrania i nowe płaszcze. Obawiam się, że to, co noszą, do niczego już się nie nadaje.  
– Niby za co? – burczy niezadowolona szefowa.  
– Powinno starczyć na ten wydatek. – Hamid wyciąga portfel i wręcza jej plik banknotów. – Jutro mam nadzieję znaleźć na swoim biurku stos podań o dofinansowanie i dotację – zaznacza.  
– Jaśnie pan! Jaki hojny! Niech Bóg ma cię w swojej opiece! Niech ci Allah błogosławi!  
– rozlegają się okrzyki.  
– Panie, które zakończyły odbywanie kary, mają prawo wyjść na wolność. – Dobroczyńca komunikuje kolejną nowinę, ale o dziwo, kobiety się nie cieszą. – Co jest grane? Nie chcecie?  
– Chcemy, ale dokąd miałybyśmy pójść? Nie mamy dokąd.  
– Na wolność. – Dla niego jest to tak oczywiste i radosne, że nie może pojąć kwaśnych min.  
– Rodziny się nas wyrzekły albo nie mamy rodzin. Nie mamy *mahrama*. Nie mamy pracy. Nie mamy domów czy nawet nory, by w niej zamieszkać.  
Latifa wykrzywia twarz z satysfakcją. W tej chwili to ona może powiedzieć temu ważniakowi, że nie wie, na jakim świecie żyje.  
– Coś wymyślimy. – Sfrustrowany minister kończy audiencję. – Przeniesiemy was do domów opieki. Może tam będzie wam lepiej.  
Na odchodnym dyrektorka zjadliwie wygłasza przez zaciśnięte zęby:  
– W naszym cudownym kraju nie ma miejsc pracy dla niewykształconych kobiet. Widział pan w sklepach sprzątaczkę Saudyjki? Kasjerki? Sprzedawczynie pojawiają się sporadycznie w dużych centrach handlowych w wielkomiejskich aglomeracjach. Przeważnie jednak pracowników mamy z Azji, i to tylko mężczyzn. Od wieków na Bliskim Wschodzie arabskie kobiety usuwało się z przestrzeni publicznej i teraz jedno pańskie widzimisię tego nie zmieni. Te kobiety nie mają przyszłości, a w ich słowniku nie ma słowa „wolność”.  
– Od tego są domy opieki, Dar Alriaja i Dar Aldijafa – wpada na pomysł feminista. – Dla młodych, dla starszych i całkiem starych Saudyjek. Na chwilę obecną to jedyne wyjście dla penitencjariuszek, tych pokrzywdzonych i niewinnych oraz tych, które odbyły karę.  
– Niech pan najpierw zgłębi temat. Proszę w tych wspaniałych ośrodkach także zrobić niezapowiedziane wizytacje – proponuje z dużym ukontentowaniem aktywistka i inspektor już wie, czego może się tam spodziewać.  
– Sprawdź. Proszę jednak o jeszcze jedną informację.  
– Co znowu? – niegrzecznie odburkuje indagowana.  
– Jakiś czas temu była tutaj młoda kobieta, w zasadzie dziewczyna... – Hamid przechodzi do meritum sprawy, bo przecież głównie po to tutaj przyjechał. – Moja żona wspomniała o jej krzykach i zawrocie głowy.  
– Jak ja tutaj nastąpiłam, już nikogo takiego nie było.  
– Na pewno?  
– Po zamachu na księcia Anwara al-Sauda przywieziono taką jedną, ale nie młodką, może trzydziestolatkę. – Binladen uważnie słucha, bo Wafa nie jest jedyną, której szuka. – Była może z parę nocy, w izolatce, więc nawet jej nie widziałam. Miała przydzieloną obstawę z zewnątrz.

– Torturowano ją? – docieka przerażony Saudyjczyk, gdyż zaraz staje mu przed oczyma delikatna Daria, która pasowałaby do opisu.

– A jak pan myśli? Ponoć lepiej zna pan naszą ojczyznę, bo jest pan aktywnym działaczem. Niech pan sobie sam odpowie.

– Gdzie ją potem przewieziono? Czy może tutaj wykonano na niej karę śmierci?

– Nie, w czterech ścianach tego nie robią. Oni lubią show, więc mordują na placu Ścięć bądź na Diriji w Rijadzie, bądź w Dżeddzie. Sam pan wie.

– Nie zawsze i nie wszystkich.

– Pana szwagierkę – dyrektorka doskonale orientuje się w koligacjach – na pewno z wielką satysfakcją publicznie skróciłby o głowę nawet przed kamerami międzynarodowych stacji telewizyjnych.

– Dokąd zabrano tę kobietę?

– Do centralnego więzienia Dahban. – Pomimo złości i niechęci kobieta ujawnia szczegóły, bo widzi, że facet usiłuje służyć innym, choć jest przekonana, że to walka z wiatrakami.

– Dziękuję za współpracę. – Minister wyciąga rękę na pożegnanie, na co feministka ze zdziwieniem podnosi brwi i chwilę się waha, bo przecież taki damsko-męski uścisk dłoni w Saudii nie tyle należy do rzadkości, ile jest niewskazany, a wręcz zabroniony. – Oczekuję, że weźmie się pani do pracy. Dużo jest do zrobienia. – Miło zachęca Hamid, by załagodzić wzajemne animozje.

– Tej dziewczyny niech pan poszuka we wspomnianym Dar Alriaja – dorzuca nieoczekiwanie kobieta. – Ale nie w stolicy, bo ktoś bardzo skrzętnie usiłuje ją ukryć. Niech pan jedzie do Taif. W królewskim pałacu Szubra wcale nie mieści się już muzeum.

\*\*\*

Kamila Alsudi dokładnie wie, gdzie się znajduje, bo ojczyznę zna od podszewki. Szczególnie tutejszy wymiar sprawiedliwości oraz ośrodki penitencjarne. Spodziewała się nieprzyjemności, ale nigdy aż tak tragicznego scenariusza. Przecież od lat jest agentką saudyjskiego wywiadu, panią major, pupilką i uczennicą Muhammada al-Ridy, człowieka, który może w Saudii góry przenosić. Albo już nie.

– Co pani tutaj robi? – W dniu inauguracji książęcego pałacu tuż za progiem wpada na agenta Abu Ise, paskudnego z gęby typa, którego nigdy nie lubiła i zawsze usiłowała unikać. – Nie typowałem pani do ochrony dzisiejszej imprezy – burczy na nią wściekle.

– Zostałam zaproszona przez księżnę Darin – odparowuje atakowana i bezpardonowo przepycha się do środka. – Jestem tu prywatnie.

– Liczę, że nie będzie przeszkadzać innym w wykonywaniu obowiązków – mężczyzna zwraca się do niej bezosobowo, chcąc ją obrazić, lecz ona ma to w nosie, bo najważniejsze dla niej jest to, że Daria jej zaufała i zaprosiła na uroczystość.

– Jesteś już! – Pół-Polka zbiega z krętych marmurowych schodów w wydekolowanej jedwabnej krwistoczerwonej i długiej do ziemi sukni. – Przejdźmy się po ogrodzie, proszę.

– Może narzuc coś na siebie – proponuje Kamila, znając obyczajowość tutejszych mężczyzn. – Wokół aż się roi od ochroniarzy i agentów różnej maści. Po co mają się na ciebie lampić i ślinić? – Daria rzuca okiem na przyjaciółkę w rozchełstanej *abai*, spod której wзира odważna jak na tutejsze warunki kiecka na ramiączkach. – Rozneglizujemy się, jak zaczną się schodzić zagraniczni goście. Wtedy ci lokalni durnie będą mieli tyle gołych cycków, ramion, pleców i nóg, że może nie zawieszą na nas oka.

Panie – już obie w czarnych, długich do ziemi, ale rozpiętych płaszczach – wkraczają na



tereny zielone otaczające książęcy pałac. Kamila przyniosła ze sobą wykrywacz do ładunków wybuchowych i teraz długą końcówkę wtyka dosłownie w każdy zakamarek.

– Co wy wyprawiacie?! – Abu Isa błyskawicznie staje przy nich. – Nasi ludzie wszystko już sprawdzili za pomocą lepszych elektronicznych urządzeń i wyszkolonych psów.

– Nie wolno mi zweryfikować sytuacji we własnym zakresie? – Daria z łatwością nauczyła się bycia księżną, szczególnie wyniosłego obejścia, które, jak widać, miała we krwi. – Jestem chyba u siebie, nieprawdaż?

– Tak, księżno. – Facet spuszcza z tonu, jednak widać po zaciśniętej szczęce, że bardzo mu to nie w smak.

– Wolność, Tomku, w swoim domku – popiera przyjaciółkę Kamila i obie odchodzą, trzymając się pod rękę i chichrając.

– Kochana, tak po prawdzie, nie ma tu żadnego dynamitu ani plastikowych materiałów wybuchowych. Spójrz na setki sprawdzających teren ludzi. – Alsudi pokazuje na mężczyzn, którzy bardzo solidnie podchodzą do swojej pracy – co chwilę przystają, pochylają się, zaglądają w każdą dziurę, nawet mysią. – Nic złego się nie wydarzy.

– Wydarzy! – nieoczekiwanie krzyczy niestabilna emocjonalnie księżna, by zaraz, speszona, zasłonić dłonią usta. – Ja ciebie proszę, nie wierz ani jednemu słowu, ani jednemu oskarżeniu pod moim adresem. Ja nie mam z tym wszystkim nic wspólnego! – Rozgląda się na boki jak wariatka.

– Z czym, kochanie? – pyta ostrożnie Kamila, bo widzi, że rozdygotana Daria zupełnie nie nadaje się do uczestnictwa w przyjęciu, tym bardziej jako gospodyni.

– Nie wiem z czym... Nie wiem, co on zaplanował! W kogo uderzy! Co komu zrobi!

– Kto? Kto cię prześladowuje?

– On tu jest! Jasem Alzani tu jest!

– Dario, powinnaś była kontynuować leczenie. – Martwi się dawna terapeutka, widząc kiepski stan swojej byłej pacjentki. – Jesteś spanikowana, załamana, może trzeba było poddać się terapii farmakologicznej?

– Nie, kochana. – Daria kręci głową. – Nic by to nie dało... On i tak by mnie dopadł. Mnie i wszystkich tych, których kocham... – szlocha cicho.

Kamila, niewiele myśląc, prowadzi ją w ustronne miejsce, do altanki pokrytej wybujałą bugenwillą, żeby postronni nie zauważyli stanu księżnej. Tam Daria kontynuuje:

– Kiedyś w Rakce widziałam, jak zabijał ludzi przez komputer. – Ze strachu oczy o mało nie wychodzą jej z orbit. – Był elektronicznym żołnierzem, pilotem. Strzelał z dronów i mordował, siedząc w klapkach przed ekranem swojego laptopa i siorbiąc herbatę z kubka.

– Jeśli miałby przeprowadzić atak z powietrza, to my, dwie słabe niewiasty, nic na to nie poradzimy. Jednak obawiam się, że wysłanie na terytorium Arabii Saudyjskiej wojskowego, uzbrojonego drona nie jest takie proste. – Kamila znowu lekceważy wyimaginowane podejrzenia.

– Jakbyś zauważyła kogoś o takich oczach, to strzelaj. – Daria wciska przyjaciółce w dłoń fragment fotografii przedstawiający tylko jasne, zimne ślepie. – Tego sukinsyn nie był w stanie zmienić w swojej gębie.

– Jak mogę kogoś zamordować na podstawie kształtu, koloru czy wyrazu oczu?

– Możesz! Musisz!

– Darin, proszę... – Przyjaciółka obejmuje ramieniem roztrzęsioną kobietę.

– Jeśli tego nie zrobisz, będę musiała z nim pójść.

– Co ty bzdurzysz?

– To, co słyszysz. Pójdę za nim nawet do piekła, bo tylko ja potrafię go przyskrzynić. Różni już próbowali i nic im z tego nie wyszło. Ja zaś już bez wahania umiałabym go zabić.

– Nie ma bomb ani ładunków – spokojnie peroruje Kamila. – Nie ma wrogich dronów w powietrzu, a jedynie wojskowy saudyjski helikopter czuwający nad waszym bezpieczeństwem. Obserwują was nie tylko setki ludzi na ziemi, ale drugie tyle przez naszego satelitę. Zaraz przyjdą goście. Otworzycie swój nowy wspaniały dom. Anwar ma dla ciebie cudowną niespodziankę. Będziecie mieli gromadkę dzieci i długie szczęśliwe życie. Kochana, myśl pozytywnie. Tak będzie. Tamtego człowieka już nie ma. Zniknął. Zapadł się pod ziemię. Jest tylko tu i teraz i jest dobrze. – Uśmiecha się, zadowolona z wygłoszonej tyrady, w którą całym sercem wierzy.

Słowa przyjaciółki poniekąd pomagają uspokoić gospodynię, a że czas naglił, kobiety rozstają się, obiecując sobie być w zasięgu wzroku. Jednak Daria już Kamili podczas przyjęcia nie zobaczy. Ledwo udaje się na piętro, do swojej sypialni, by według instrukcji ściągnąć czerwoną, zwracającą uwagę suknię i nałożyć nijaki uniform kelnerki, perukę i inne detale, funkcjonariuszka saudyjskiego wywiadu, pani major Alsudi zostaje chwycona z obu stron pod pachy, odurzona chloroformem, wrzucona do czarnego służbowego samochodu służb wywiadowczych i wywieziona. Pierwszy przystanek następuje w więzieniu w Rijadzie, gdzie kobieta ląduje w podziemiach w izolatce. Przez wiele godzin siedzi na betonowej podłodze i bezmyślnie obserwuje zacieki na ścianach, czyta wyryte paznokciami imiona i slogany. Jest jej coraz zimniej, więc otula się cienką *abaja* i czeka na rozwój wypadków. Wieloletnia agentka jest doskonale przeszkolona na wypadek przechwycenia i uwięzienia, a także na wypadek tortur. Wie w teorii, jak to przetrwać, jak nie pisać słowa, nie poddać się rozpacz i panice. Będąc psychologiem i psychiatrą, umie też manipulować myślami i emocjami, jednak bardziej pacjentów niż swoimi własnymi. Teraz zapada w letarg, postanawia nie snuć domysłów, choć w głowie tłucze jej się jedna myśl: *Daria miała rację*. Zaraz za tym stwierdzeniem pojawia się kolejne, znacznie gorsze przeczucie: ona nie została schwytana przez wroga, nie dopadł jej terrorysta Jaseem Alzani, ale swoi. Już przed przyjęciem, w którym nie dane jej było uczestniczyć, widziała coś złego w oczach aktualnego szefa brygad antyterrorystycznych. Kolega po fachu Abu Isa nigdy nie wzbudzał jej zaufania, ale przecież nie każdego w pracy trzeba lubić. Zawsze wywoływał drżenie jej serca, lęk i głęboką niechęć. Uważała go za fundamentalistę i zagorzałego wahabite, lecz zarówno Hamid Binladen, jak i stary Al-Rida, którym zwierzyła się ze swoich obaw, twierdzili, że tylko takiego udaje, by wejść w ich szeregi. Ona jednak dżihadystę potrafi wyczuć na kilometr. Teraz największym jej problemem jest to, że nie wie, na co ma się przygotować. Była szkolona do oporu wobec wroga, a aktualnie ma do czynienia z rodakami. A jakby tego było mało – z kumplami z pracy. Co będą chcieli jej udowodnić? Do czego doszło w ciągu tych długich godzin, które spędziła w izolacji? Czy jednak coś się stało? Jeśli jest tutaj, to znaczy, że ktoś był doskonale poinformowany o mającym nastąpić kataklizmie. Tym kimś jest nielubiany funkcjonariusz Abu Isa. Z dużą satysfakcją mogłaby teraz powiedzieć: A nie mówiłam? Ale nie jest wcale zadowolona. Chciałaby się mylić co do niego i pragnie, by jej wizja szczęśliwej przyszłości Darii i jej męża się spełniła. Jednak nic z tego.

W nocy ktoś otwiera metalowe drzwi, mocne ramiona znów łapią ją pod pachy i wloką pustymi betonowymi schodami na piętro. Zostaje wrzucona do innego pomieszczenia, chyba lecznicy, bo widzi białe ściany, szafki z jakimiś medykamentami i metalową prycę. W kącie stoją stół i dwa krzesła. Jest też zlew. Dwóch osiłek wychodzi, a kobieta pozostaje z tym, na którego czekała. Jego twarz wręcz promienieje satysfakcją, jednak kiedy na nią spoziera, od razu wzrok mu twardnieje, a brzydką gębę okrywa wyraz pogardy i niezadowolenia.

– Ale żeś się wystroiła, ty *szarmuto!* – Pierwszy cios jest delikatny, jakby od niechcienia. Jednak po pacnięciu wierzchem dłoni Kamila od razu czuje smak krwi w ustach, bo mężczyzna ma krzepę. – Arabska dziwka! Jak ta twoja koleżaneczka, polskie kurewskie nasienie!

– Masz na myśli księżnę? – sonduje Kamila, niezrażona bólem, który jeszcze za bardzo

jej nie doskwiera.

– Już nie jest księżną. Skończyło się pańskie życie! Teraz znów stanie się arabską żoną. Gołe plecy będzie widział tylko jej mąż, kiedy będzie jej wymierzał karę. Wam wszystkim, rozpustnym babom, po dwieście batów się należy za striptiz w miejscu publicznym. Co za grzech! *Haram! Haram!* – Mężczyzna drze się jak obłąkany, wymachując ramionami. Ostatecznie chwytą kobietę w pól, rzuca na łożo twarzą do ziemi i sprawnie zapina pasy.

– Licząc, że na przyjęciu u księcia było z pięćset kobiet, a wszystkie według ciebie nieskromnie ubrane, to w sumie macie do wykonania karę stu tysięcy razy. – Kamila aż gulgotce z rozbawienia, choć jej sytuacja nie jest zabawna, a wręcz tragiczna. – Iluż ludzi dostanie pracę! Ho, ho! Ale z taką liczbą batów wiąże się pobyt w więzieniu od dwóch do czterech czy pięciu lat... – Zawiesza głos, jakby coś przeliczała w pamięci. – Oznacza to, że trzeba będzie wybudować w Rijadzie nowe więzienie tylko dla rozpustnic z jednej imprezy! – Wybuchu niepohamowanym śmiechem, na co dostaje różgą przez plecy. Ból jest potężny, bowiem narzędzie do wymierzania tak powszechnej w Saudii kary widać wykonano z najlepszych materiałów. To nie przelewki i głaskanie po plecach, w tym miejscu wyroki wykonuje się na serio.

– Czy miałś jakieś kontakty z Jasemem Alzanim? – pada pytanie.

– Ja?! Chyba żartujesz, kolego!

Na plecy Kamili spada kolejny cios. Kobieta czuje, jak pęka jej skóra i krew cienkim strumieniem ogrzewa jej boki.

– A Darin?

– Nic nie wiem.

– Co ci powiedziała? Z czego się zwierzała? Co planowała?!

– Planowała być szczęśliwą, ale wy chyba jej to uniemożliwiliście – podsumowuje, a w odpowiedzi najpierw przychodzi cierpienie, a potem dopiero słowa:

– Co wiesz o jej kontaktach z byłym mężem?

– Którym? – Kobieta znów igra z ogniem, choć czuje, że bardzo szybko słabnie i za chwilę kat już niczego od niej nie usłyszy, bo zapewne straci przytomność.

Abu Isa jest jednak wytrawnym oprawcą. Nabiera kubek zimnej wody z kranu i wylewa go na leżącą. W ten sposób sprawnie cuci przesłuchiwaną, aż ta podskakuje na metalowym łożu.

– Darin ujawniła ci jakieś informacje o służbach specjalnych?

– Żadnych! – Kamila łapczywie chwytą powietrze, bo każde pytanie pada równocześnie z ciosem. – Ja bym jej mogła coś powiedzieć, a nie ona mnie.

– Wspominała o ochronie pałacu? O monitoringu?

– Nic a nic.

– Jak się kontaktowała z Jasemem Alzanim?

– Nie wiem. Przebąkiwała kiedyś, że do niej dzwonił, ale ja brałam to za jej obsesję i strach przed nim.

– Czy nadmieniła, że Jasem coś dzisiaj planuje?

– Tak, spodziewała się tego. Była spanikowana.

– Podała jakieś szczegóły?

– Skądże! Nic konkretnego nie wiedziała. Miała jedynie przeczucia.

– Czy wskazała jakichś ludzi w Królestwie, którzy pomagali w dzisiejszym zamachu?

– A był jakiś zamach?

Pół-Saudyjka lekko się uśmiecha, bo dochodzi do wniosku, który przyprawia ją o dumę: jeszcze długo może się bawić w kotka i myszkę z tym sadystą. Jeszcze dużo wytrzyma. *Tortury nie są takie straszne, jak uprzedzali*, przekonuje samą siebie. *Wprawdzie to tylko baty, ale dobrze*

*mi idzie*, chwali się w duchu.

– Odpowiadaj! Odpowiadaj, dziwko, pókim dobry! – Funkcjonariusz musi się dowiedzieć, czy w Saudii jest spalony, czy jeszcze może działać na terenie Królestwa, więc unosi się gniewem do tego stopnia, że bez opamiętania leje kobietę raz za razem. – Kto zorganizował zamach? Kto zastrzelił księcia?! – drze się prosto do jej ucha, bo widzi, że torturowana odpływa i mało co już do niej dociera.

– Więc to jednak Anwar był celem... – ledwo słyszalnie kwituje zasmucona przyjaciółka.  
– Czy tylko on?

– Ja pytam, ty odpowiadasz! – Kolejne cięcie twardą, mocno plecioną różgą nie powoduje już szczególnego cierpienia, ale odczucie gorąca zalewające całe plecy, które wydaje się, że płoną żywym ogniem. – Kto pomagał księżnej Darin w przygotowaniach? Kto, oprócz niej, ponosi odpowiedzialność?!

– Nie wiem...

– Utajnianie takich wiadomości grozi karą śmierci – straszy kat, ale to już do agentki nie dociera. Ona wie, że skoro ten sadysta zaczął, to własnoręcznie dokona dzieła. Przed żadnym sądem ona już nie stanie. Finał tajnych śledztw przeważnie nie widzi światła dziennego.

*Dlaczego księżę i Hamid zlekceważyli fakt ucieczki Jasema z Libii?*, zastanawia się jeszcze między jawą a omdleniem. *Jak to możliwe? Binladena nic już nie interesowało z wyjątkiem własnego życia i nowego związku, ale Anwar? Znając mentalność Arabów, znając naturę naszej nacji, powinien był wiedzieć, że Jasem nigdy nie wybaczy mu podwójnej zdrady. Bo tu chodzi nie tylko o kobietę, ale przede wszystkim o władzę, o stółek prezydenta Libii, na którym księżę nie dał mu zasiąść. Czy Anwar sądził, że ten morderca i psychopata zrezygnował z wendety? Czy ktokolwiek z rodu Ibn Sauda by z niej zrezygnował?*

Kamila ostatecznie traci świadomość i nie docierają już do niej żadne indagacje Abu Isy, który aż się spocił z wysiłku. Mężczyzna jest usatysfakcjonowany i spokojny. Ta dociekliwa agentka i przyjaciółka obwinianej o wszystko Darii naprawdę nic nie wie. Nikogo z wywiadu nie łączy z zabójstwem księcia i nawet nie ma pojęcia o działaniach Jasema w Królestwie. Gdyby durna Daria została, a nie uciekła, mogłaby rzucić nieco światła na sprawę, a tak tylko sama siebie pograżała. Niewinny nie zbiega z miejsca zbrodni.

*Może Anwar dowiedział się, że Jasem wiezie nowe, spokojne życie gdzieś w świecie, nie chciał być typowym, mściwym Arabem i mu odpuścił?* Ból budzi skatowaną kobietę i powraca jej trzeźwość myślenia. *Jeśli tak, to był skończonym idiotą...*

\*\*\*

Hamid do czasu wyjazdu Marysi z Królestwa w zasadzie nie rozpoczął rutynowego rodzinnego życia ze swoją drugą żoną Salma. Pojawiał się u niej w domu na osiedlu Las Palmeras sporadycznie, czasami spędzał tam noc, ale w zasadzie każde z nich nadal żyło po swojemu. Obiecywali sobie, że wszystko się zmieni, kiedy wprowadzą się do swojego wymarzonego nowego domku w ekskluzywnej dzielnicy Rijadu Diplomatic Quarter, ale to nigdy nie nastąpiło. Wypadki potoczyły się tak szybko, że zanim się zorientowali, wylądowali na starych śmieciach w rezydencji w Mudżamma Nachil. Póki pierwsza żona mieszkała z nimi, ich życie jakoś się układało, bo dzieci miały matkę i ojca, gospodarstwo było zarządzane i kierowane po staremu – ale kiedy zniknęła ta prawdziwa pani domu, ta, do której ten dom należał i należy, powstała niewyobrażalna i odczuwalna przez wszystkich pozostałych w nim mieszkańców pustka. Nadia i Adil patrzą spode łba na nową partnerkę ojca, mając do niej uzasadnione

pretensje o rozbitcie rodziny. Od sympatii i pierwszego zauroczenia miłą, ciepłą kobietką, przez akceptację, doszli do niechęci, a w przypadku Nadii nawet do nienawiści.

– Ta kurwa zniszczyła związek naszych rodziców! – peroruje do nieszczęsnego młodego Adila, który sam nie potrafi sobie poradzić z emocjami, a co dopiero pomóc siostrze. – Może ich relacje były pokręcone, ale już tacy są. Niekonwencjonalni.

– Nasza mama przeginała. – Chłopak stara się być obiektywny. – Ostatnimi czasy w ogóle nie było jej w domu. Tylko praca i praca, uczelnia, jakaś tam durna działalność charytatywna... Po co jej to wszystko było?

– Ale gdyby nie ta wydra, ojcu by to nie przeszkadzało. Nie wpadłoby mu nawet do głowy, żeby się z mamą rozwieść. On nie szlajał się po emirackich burdelach, nie jeździł na dziwki do Azji. – Nadia mówi jak do dorosłego, a nastolatek tylko wstrzymuje oddech i ze wstydu czerwieni się aż po same uszy, czego siostra w ferworze oczywiście nie zauważa. – To ta Marokanka przed nim nogi rozłożyła!

– No tak – potwierdza nieśmiały chłopak, który na temat seksu nigdy z nikim nie rozmawiał i nie ma najmniejszej ochoty tego zmieniać.

– Wszystko nadal byłoby okej, bo oni we dwójkę ani nie nadawali się na rodziców, ani na typowego statecznego męża i potulną arabską żonę. Wierz mi, Adil, nasz tatuś i ta pinda bardzo szybko przekonają się, że instytucja małżeństwa to nie jest dziecinna igraszka. On myślał, że się na starość ustatkuje i będzie miał zwykły, spokojny dom, a ona, że chwyciła za jaja bogatego Adonisa, który teraz tylko będzie z nią siedział, wzdychał i wyznawał jej miłość.

– Czy ty masz ochotę uświadomić ich o popełnionym błędzie? – Adil trwoży się, bo wie, że jego siostra jest jeszcze gorsza od babci i mamy razem wziętych i potrafi dać do wiwatu.

– Nie! Absolutnie nie! – Dziewczyna podnosi w poddańczym geście ramiona. – Sam zobaczysz, co z tego wyniknie. Ona już teraz jak ten bezpieczny pies, a raczej skurwiona suka – dodaje, znów zawstydzając wyrostka – przesiaduje w salonie, czekając wieczorami na ukochanego mężusia. – Ironicznie modeluje głos. – Ile nocy tak wytrzyma do pierwszej awantury?

– Nie wiem...

– Obstawiaj. Ja dam im dwa miesiące.

– Nadiu, ona jest w ciąży. – Adil patrzy na siostrę błagalnym wzrokiem. – Tak nie można. To nieładnie...

– Co nieładnie?! Kradzione jaja nie tuczą!

– *Wallahi!* Co ty wygadujesz? – Chłopak aż chwyta się za głowę.

– Niedługo jakiś bękart będzie wrzeszczał po nocach w naszym domu! – wieszczy młoda, przerażona taką perspektywą. – Kto to wytrzyma? Bo ja nie! Niech to cholera weźmie!

Polsko-arabska dziewczyna ma temperament isticie kawaleryjski, cechują ją też nadwrażliwość i impulsywność, więc ciężko jej wysiedzieć spokojnie i tylko obserwować sytuację. Łudziła się, że przetrwa trudny okres w towarzystwie fajnych kolegów, lecz po ostatnim wspólnym wyjeździe zraziła się do nich. Ojciec wprawdzie przekonuje ją, że młodzi niczemu nie są winni i że teraz każdy mieszkaniec Królestwa roi sobie fantazje, że rozwiąże zagmatwaną tajemnicę zabójstwa saudyjskiego księcia, jednak dziewczynę postępowanie młokosów ugodziło do żywego. Tak jak boli ją codzienna niechęć w szkole. Czuje się osaczona, wykorzystana, ugodzona, po prostu – parszywie. Po ostatniej interwencji ojciec trochę zbliżył się do niej, znów odzyskał jej zaufanie, ale nie na długo. Geny arabskie przeważają w dziewczynie, więc nie jest w stanie zapomnieć o jego zdradzie i o tym, że porzucił matkę. Nic nie poradzi na zalewającą jej serce gorycz, choć z drugiej strony tak bardzo go kocha.

– Nadia! Adil! – W korytarzu prowadzącym do sypialni na pierwszym piętrze rozlega się

znajomy, nielubiany przez dzieci głos. – Może zjemy dzisiaj razem kolację? – Salma usiłuje wkupić się w ich łaski i nawiązać bliższy czy wręcz jakikolwiek kontakt. – Tata powiedział, że wcześniej wróci.

– Dobrze. – Spolegliwy Adil od razu staje przy macosze i zgodnie potakuje. – O której?

– Siódma?

– Tata zdąży wrócić?

– Tak obiecał. Poprosisz siostrę, żeby nam towarzyszyła? – Kobieta już wie, że dziewczyna to ciężki orzech do zgryzienia i nie ułatwi jej życia w ich domu.

Punktualnie o wyznaczonej godzinie rodzeństwo i ich przyszywana matka zasiadają do stołu. Macocha sama przygotowała marokańskie dania, które całkiem smakowicie pachną i stoją na ogniu w kuchni do przyjścia pana domu. Po godzinnym oczekiwaniu w milczeniu, kiedy dzieciaki siedzą z nosami w internecie, a gospodyni patrzy przed siebie martwym wzrokiem, smarkata beczelnie oznajmia:

– Albo zaraz zjemy to, co przygotowałaś, albo wysyłam kierowcę po szawormy.

– Tak, masz rację. – Lekceważona połowica połyka łzy. – Widocznie Hamida coś zatrzymało.

Dziewczyna patrzy na brata porozumiewawczo i puszcza do niego oko.

– Zaczyna się – szepcze z satysfakcją.

Kiedy załamana żona, która ostatkiem silnej woli hamuje płacz, idzie do kuchni, chłopak odpowiada:

– Jak im tak będziesz pomagać, to wszystko się zawali, i to bardzo szybko. Ona poroni albo się rozchoruje, może nawet popełni samobójstwo, a ojciec zejdzie na psy. – Snując tę tragiczną wizję, jest bardzo poważny, a krytyka zachowania siostry bije z jego uczciwej twarzy.

– Phi! Też mi coś! – Nadii robi się trochę głupio, ale wcale nie ma zamiaru przestać. Przecież nic złego nie robi, tylko obserwuje i czeka. A że nie wspiera tego związku, to trudno jej się dziwić.

Długo w nocy dzieci słyszą płacz i zawodzenie Salmy, która nie może sobie poradzić ze swoim losem. Dzieci męża jej nie akceptują, a pannica w swej niechęci jest wręcz groźna. Zaś ukochany mąż od czasu ich wspólnego zamieszkania sukcesywnie znika z jej życia. Kobieta nie jest w stanie tego pojąć. Co się stało? Czy to jej wina? Przecież kocha go całym sercem, całym swoim jestestwem, to właśnie on jest wymarzoną, wyśnioną przez nią mężczyzną, mężczyzną jej życia. Tak świetnie się dogadywali, w jej towarzystwie był taki zrelaksowany i pogodny, kochający i czuły, a teraz co? Co pocnie w tym wielkim domu z mającym się wkrótce narodzić dzieckiem bez fizycznie obecnego męża? Jak ma egzystować w obcym, nieprzychylnym i niełatwym kraju? Bez przyjaciół... Bez Miriam, która zawsze na wszystko znalazła radę. Nie ma tu nikogo, żadnej życzliwej duszy. Czy stanie się typową arabską żoną, jak Saudyjki spędzającą czas w czterech ścianach za wysokim na trzy metry murem i wychodzącą sporadycznie na zakupy do centrów handlowych? Nawet nie może niczego sama zrobić, ugotować, posprzątać, bo do wszystkiego jest służba, która zresztą również jest jej nieżyczliwa. *Wallahi!* Wzdycha boleściwie, zalewając łzami poduszkę. *Wallahi!*, jęczy, szlochając bez opamiętania.

Kiedy mąż o drugiej w nocy po wyczerpującym dniu w pracy, gdzie potajemnie rozpoczyna śledztwo mające na celu ujawnienie zdrajcy w ich wydziale, wchodzi do sypialni, żona już śpi, ale jej miękkim, bezbronnym ciałem nadal targają spazmy. Pełen wyrzutów sumienia mężczyzna przytula się do niej, odgarnia z jej spoconego czoła mokre włosy i delikatnie całuje.

– Przykro mi, Salmo... – szepcze jej do ucha. – Przepraszam.

– Hamid! – wykrzykuje obudzona kobietka. – Kochaj mnie, proszę...  
– *Habibti*158, przecież cię kocham – wyznaje mężczyzna, ale ona czuje, że żar, który kiedyś był w jego sercu, wygasł bezpowrotnie.

Binladen jest w kropce, nie ma pojęcia, co dalej będzie z jego małżeństwem. Widzi, że dzieci prędzej utopiłyby macochę w łyżce wody, szczególnie jego ukochana córka, niż wyciągnęły do niej pomocną dłoń. On jednak nie zrezygnuje przecież z pracy, żeby z romantyczną żoną siedzieć, obserwować gwiazdy i wyznawać jej miłość sto razy dziennie. To było sympatyczne z doskoku. Okazuje się jednak, że nudna rutyna, normalność i prozaiczność domowych pieleszy nie są dla niego, więc magiczny czar prysnął jak mydlana bańka w ferworze codziennego życia. Jego życia. Niebezpiecznego i ryzykownego. Jego obowiązki od rana do nocy, a także w nocy wpędzają Salmę w depresję, a co dopiero, kiedy będzie musiał wyjechać? Mężczyzna nie dość, że nadal jest ministrem sprawiedliwości, gdyż następca tronu tak jakby o nim zapomniał i jeszcze go nie zdegradował, to po ostatnim zamachu na członka rodziny królewskiej powrócił do aktywnej działalności w *secret service*. By dobrze wypełnić zadania na tych dwóch stanowiskach, dwadzieścia cztery godziny to mało, szczególnie kiedy organizuje podległą tylko sobie ściśle tajną wywiadowczą brygadę celem wykrycia i ukarania człowieka, który jak kret działał na szkodę nie tylko Królestwa, ale i rodziny Binladena.

– Witaj, Doroto. Jak się masz? – Hamid dzwoni do jedynej bratniej duszy, która w Saudii mu pozostała, do kobiety, która na wszystko znajdzie sposób i dobre rozwiązanie. – Co tam słysząc? Jak Ahmed? – zagaja grzecznościowo.

– Lepiej powiedz mi, co u ciebie? Jak twoja nowa, brzemienna żona? – Teściowa od razu przechodzi do sedna sprawy.

– No właśnie...

– Czyś ty myślał, że wszystko pójdzie jak z płatka? Czy sądziłeś, że zmienisz swoją naturę i charaktery dzieci? Rzucisz wszystko, nałożysz bambosze i będziesz oglądał familijne seriale?

– Pomożesz mi?

– Żartujesz? No jesteś bezczelny, naprawdę! – Dorota się denerwuje. – Zdradziłeś i porzuciłeś moją córkę, a ja mam ci pomagać skleić twój nowy związek? Oszalałeś!

– Myślałem... – Zagubiony facet ciężko wzdycha. – Przepraszam, masz rację.

– Zaczekaj. Mów, co miałabym dla ciebie zrobić, mój durny synku. – Dobre serce Polki bierze górę nad honorem. Były zięć jest w końcu człowiekiem, który wyciągnął ją i jej rodzinę z niejednego szamba. O tym nigdy nie zapomni.

Na linii zapada cisza. Zarówno Dorota, jak i Hamid wspominają dawne dni, wiele minionych dobrych i złych lat. Nie można powiedzieć, że się lubią – oni zwyczajnie się kochają, jak matka i syn, jak najlepsi przyjaciele.

– Niech to lichy... Podskoczę do was – decyduje teściowa. – Zwłaszcza że Aszraf jedzie w trasę, więc też będę siedzieć sama w domu.

– A co twój mąż planuje?

– Nadal, o dziwo, jest ministrem zdrowia i dostał za zadanie wizytację w domach opieki dla kobiet i poprawę ich warunków. Następca tronu chyba wreszcie trochę się opamiętał i przypomniał sobie o obiecanych reformach.

– No popatrz! Może jeszcze będą z niego ludzie, choć pewnych spraw mu nie przebaczę. To dokąd konkretnie twój mąż się wybiera?

– Najpierw ma odwiedzić Dar Alriaja w Taif. Pojechałabym nawet z nim, bo w tym

regionie Arabii ponoć jest niezwykle pięknie, ale mam teraz pod opieką małe zestresowane dziecko, dla którego podróże nie są wskazane.

– Aszraf jedzie do Taif? – Hamidowi coś dzwoni w głowie. – Do domu opieki dla dziewczynek, dziewcząt i kobiet do trzydziestego roku życia?

– No tak, przecież mówię. Ponoć przekazano na ten ośrodek pałac królewski Szubra. Świętej pamięci król Abdullah urzędował tam w okresie letnim, potem mieściło się w nim Ministerstwo Obrony i Lotnictwa, następnie jakieś nic niewarte muzeum, a teraz w tym wielkim, trzypiętrowym gmachu mieszkają bezdomne niewiastki. Trzeba im wszystko dobrze zorganizować, ponoć mają nawet uczęszczać do szkoły, a jeśli będą chciały, to na uniwersytet. Widział świat i Korona Polska! – Słysząc, że Dorota się cieszy. – Może nie trzeba będzie stąd uciekać? Jak Bóg da, jeszcze wszystko się ułoży i będę mogła zostać w nowej ojczyźnie do końca moich dni.

– *Sza'a Allah* – popiera Saudyjczyk i na koniec informuje: – Ja również wybieram się do Prowincji Zachodniej, więc niewykluczone, że polecimy z Aszrafem do Dżeddy razem.

– Szerokiej drogi. A ja postaram się ogarnąć sytuację w tym twoim domu.

Dorota stwierdza, że cokolwiek by się wydarzyło, z tym mężczyzną jest związana na dobre i na złe. Przecież to ojciec jej wnuków, a może i z Marysią jakoś jeszcze się zejdą? Matka zawsze żywi nadzieję na szczęście córki, nawet gdy bywa ona złudna.

\*\*\*

Kamila Alsudi w ekspresie jest przesłuchiwana, a później, w takim samym ekspresie usunięta ze stolicy i przewieziona karetką pogotowia do centralnego więzienia w Dahban w Dżeddzie. Na żaden inny środek transportu kobieta się nie nadaje, nie wiadomo nawet, czy przetrzyma trasę wynoszącą prawie tysiąc kilometrów w ambulansie. Wprawdzie podłączono jej kroplówki i dano antybiotyk, ale torturowana jest w malignie, a jej stan jest bardzo zły. Zmaltretowane plecy po co najmniej paruset batach, ustawowo wykonywanych po dziesięć dziennie, bo sto za jednym zamachem mogłoby zabić, są prawie całkiem pozbawione skóry, która gdzieniegdzie wisi na niej pasami. Nadgarstki i kostki u nóg są przypalone przez elektrowstrząsy, zaś twarz zmasakrowana od razów – zęby wybite, złamany nos i podsiniaczone oczy. Ładna kiedyś niewiasta wygląda jak żywy trup. W karetce jedzie z nią lekarka, która usiłuje utrzymać ją na tym świecie, ale obawia się, że nie będzie to możliwe. Ciągłe modli się, przerzucając *tasbih* 159 w palcach i mrużąc pod nosem błagania do Allaha, by jak najszybciej dotrzeć na miejsce i przekazać „przesyłkę” dyrekcji więzienia o zaostrzonym rygorze. W Dahban przebywają zarówno terroryści z Al-Kaidy i pseudo-Państwa Islamskiego, jak i dysydenci, w tym saudyjskie aktywistki broniące praw kobiet i dzieci w nadal zacofanym kraju. Ponoć w tym ośrodku penitencjarnym panują najlepsze warunki, gdyż na jego modernizację i remont w ostatnim czasie wydano ponad pół miliona riali, jednak więzienie jest bardziej znane z tego, że kiedy się w nim łąduje, już się nie wychodzi. Strażnicy wyrzucają klucz i po kłopotcie. Dlatego też major Kamila Alsudi zostaje tam umieszczona. Nie ma wyroku sądu, więc nie ma i terminu zwolnienia. Jej dane osobowe zostają całkowicie utajnione. W kartotece widnieje jako XY. Nikt nie może jej zidentyfikować, więc tym samym nikt jej nie pomoże. Na jej więziennej karcie przybito dużą czerwoną pieczęć: „Secret Service”, co tym razem bynajmniej nie oznacza jej miejsca zatrudnienia, ale tajnego, najgroźniejszego z możliwych więźnia, mającego przebywać w ciągłej izolacji, bez możliwości apelacji i wyjścia. Tego wszystkiego więźniarka nie wie, bo zapewne poddałaby się i załamała, więc póki co jej młody organizm walczy z zakażeniem o życie. Towarzysząca jej lekarka ma sumienie, więc postanawia zostać w Dżeddzie do momentu, aż powierzona jej opiece chora odzyska przytomność.



Po dwóch dniach bez tortur dzięki skutecznej terapii farmakologicznej stan zdrowia Kamili polepsza się na tyle, że kobieta uchyla jedną zapuchniętą powiekę. Jeszcze nie do końca świadomie obserwuje pomieszczenie i siedzącą koło niej Arabkę. Jest zdziwiona, widząc orientalny dywan w typowe bordowo-granatowe kwiatowe wzory rzucony na betonową podłogę. Poduszka i ciepły, miękki pled pachną jeszcze nowością, a ściany pomieszczenia wyraźnie odświeżono. Pod niewielkim, zakratowanym okienkiem stoją biurko i krzesło, a tuż obok wisi półka. Ostatecznie rekonwalescentka kieruje wzrok na swoją asystę, zastanawiając się, kto zacz.

– Jestem doktor Muna Magruli – przedstawia się jak na zawołanie medyczka i oddycha z ulgą, bowiem teraz już czuje się zwolniona z obowiązku i usatysfakcjonowana wypełnieniem przysięgi Hipokratesa. Studia kończyła w Wielkiej Brytanii i po dziś dzień pamięta, jakie to były ważne słowa, by zawsze służyć życiu i zdrowiu pacjenta, według najlepszej wiedzy przeciwdziałać cierpieniu i zapobiegać chorobom, a chorym nieść pomoc bez rozróżnienia rasy, religii, narodowości, poglądów politycznych, stanu majątkowego i innych, mając na celu wyłącznie ich dobro i okazując im należyty szacunek. Powierzono jej tę trudną misję tylko i wyłącznie przez męża, który zbłądził, zadając się z fundamentalistami, i którego Abu Isa od lat trzyma w szachu. – Cieszę się, że czuje się pani lepiej.

– Dziękuję. Dobra robota – niewyraźnie charczy Kamila przez wypalone gorączką gardło. – Pracuje pani w tym więzieniu? To Dahban, prawda?

– Jestem ze stolicy – niechętnie odpowiada lekarka, nie mając najmniejszej ochoty zadawać się z groźną więźniarką, zapewne morderczynią albo terrorystką. – Skąd pani wie, gdzie się znajduje? Powiedzieli, dokąd panią przetransportują?

– Nie. – Kamila chce się uśmiechnąć, zadowolona ze swojej spostrzegawczości, lecz zaraz krzywi twarz w bólu. – Zdjęcie tej celi było publikowane na wielu stronach internetowych, by pokazać, jakie superwarunczki tutaj panują. Nikomu nie chciało się w to wierzyć i robiliśmy sobie z tego kpinki.

– A jednak. Rząd nie kłamie, droga pani. – Lekarka przybiera poważny wyraz twarzy, po czym można wywnioskować, że to patriotka.

– Mało pani wie o naszym rządzie i o tych, którzy go reprezentują. Abu Isa panią wynajął? – Znów zaskakuje rozmówczynię, jednocześnie coraz bardziej przytomniejąc. Czuje, że to jedyny moment, żeby coś ugrać, jedyna szansa, by dać znać światu, gdzie się znajduje.

– Nie będę o tym rozmawiać! – Muna skacze na równe nogi.

– Moja droga! Niech mnie pani nie porzuca na pastwę losu! Błagam! Abu Isa pracuje w saudyjskim wywiadzie i zapewne ma na panią albo pani najbliższych jakiegoś haka. – Kobieta robi się purpurowa, lecz słowa Kamili osadzają ją w miejscu. – Ja też tam pracowałam. Jestem majorem, ale także medykiem i dlatego jestem w stanie docenić pani kunszt lekarski. Wyciągnęła mnie pani z krainy cieni.

– Taki zawód. – Saudyjce po fachu mięknie serce.

Rannej kręci się w głowie i z osłabienia język się płacze, lecz całą siłą woli usiłuje przekazać tej dobrej duszyczce swą prośbę.

– Jeśli teraz mnie pani zostawi, jeśli nie uwierzy, że jestem tu bezprawnie, jestem niewinną osobą, a złoczyńca i zdrajca odpowiedzialny za śmierć księcia Anwara al-Sauda nadal chodzi wolny po tym świecie, to tak jakby pochowała mnie pani za życia.

– Ale co ja mogę zrobić?! – panikuje Arabka. – Powinnam była wyjechać zaraz po przywiezieniu pani. Z łaski zgodzili się, żebym została jeszcze parę dni. Na co mi to było!

– By mogła pani spać snem sprawiedliwego i mieć czyste sumienie. Proszę pożyczyć mi na pięć sekund komórkę. Błagam. Na pewno nie zostanie w niej żaden ślad.

– Jakże tak? Oni mogą sprawdzić...

– To numer zastrzeżony. Nie wyświetli się. Napiszę tylko dwa słowa do mojego przyjaciela, kolegi z biura...

– Nie! Boję się! Niech mnie pani nie prosi o takie rzeczy, błagam...

– W pani rękach było i nadal jest moje życie. Na razie podarowała mi je pani tylko tymczasowo. Proszę dać mi je w całości. Muno...

Lekarka już dłużej nie jest w stanie się opierać. Czuje całym sercem, że to, co wyznała jej ta ledwo żywa nieszczęśnica, jest szczerą prawdą.

Skatowana kobieta nie potrafi utrzymać aparatu w zabandażowanych dłoniach, a co dopiero napisać SMS-a. Muna, trzęsąc się ze strachu, wykonuje to za nią. Kiedy wbija numer, ten rzeczywiście po chwili znika, a na ekranie pojawiają się tylko kropeczki.

– Coś tam jest?

– Tak. Tak to działa. Nie bój się.

– Dobrze sobie. Jestem przerażona. – Konspiratorki działają już ręka w rękę. – Co napiszemy? – Lekarka zaciska drżące wargi, żeby nie zacząć szczekać zębami.

– Dahban. Abu Isa. Kami-La.

– Okej. Wysłać?

– Wysyłaj, kobieto! Wysyłaj!

Kiedy tekst znika z ekranu, chora opada na poduszkę, oddychając ciężko.

– Masz na imię Kamila? – Medyczka jest ciekawa, dla kogo ryzykuje życie swoje i swojej rodziny.

– Kamila Alsudi. Major wywiadu. Doktor medycyny. Psycholog, psychiatra, psychoterapeutka i ratownik medyczny. Trenerka aerobiku. Nie wiem kto jeszcze...

– Muna Magruli – powtarza swoje nazwisko kobieta. – Jedynie doktor nauk medycznych. Internista. Chirurg.

– Wysłałyśmy właśnie informację do ministra sprawiedliwości, Hamida Binladena. Jeśli jeszcze żyje, to niezwłocznie się tutaj pojawi. A potem razem rozważujemy naszego wspólnego wroga Abu Isę. Twojego zapewne też.

– Czego wam z całego serca życzę.

– Jesteśmy umówione na kawę w Rijadzie, Muno. – Kamila odzyskuje wiarę, że wyjdzie cało z patowej sytuacji.

– Powodzenia. I oby Allah nad nami wszystkimi czuwał. Jest nam to teraz bardzo potrzebne.

\*\*\*

Wafa al-Saud rozplynęła się w powietrzu. Jakby w ogóle nigdy nie istniała. A przecież była kiedyś ładną nastolatką, zdolną uczennicą, kochaną córką i siostrą, a do tego pupilką księcia koronnego Mustafy bin Saliha. Może dlatego to wszystko tak się potoczyło. Im wyżej ktoś stoi w hierarchii władzy, tym bardziej jest bezkarny. A bezkarność arabskich mężczyzn jest nieograniczona, szczególnie w stosunku do płci pięknej, którą powinni się opiekować, a nie prześladować.

Dziewczyna jednak ma się dobrze i pod innym imieniem i nazwiskiem mieszka aktualnie w cudownym miejscu, jedynym takim w Arabii Saudyjskiej. To znany historyczny region na Półwyspie Arabskim, przez który już trzy tysiące lat temu wiodł szlak mirry i kadzidła oraz droga prowadząca do świątyni Al-Kaby, która była miejscem kultu jeszcze przed pojawieniem się islamu. Później corocznie na przestrzeni wieków przebywały ją miliony pielgrzymów. Półmilionowe, nowoczesne, ale i zielone miasto Taif znajduje się niespełna sześćdziesiąt kilometrów od świętego miejsca na wysokości ponad tysiąca ośmiuset metrów nad poziomem

morza, co gwarantuje mu specyficzny mikroklimat. Kiedy całą Arabię Saudyjską latem zalewają fale upałów, tutaj jest przyjemnie ciepło, a nocami nawet chłodno. Nikt nie jest w stanie sobie wyobrazić, że w tym upalnym regionie świata zdarzają się opady śniegu, a tutaj jest to możliwe. Taif zwane jest Ogrodem Hidżazu i znane z uprawy róż damasceńskich, które nad basenem Morza Śródziemnego pojawiły się już w czasach starożytnych. Rzymianie rozpowszechnili ten gatunek w ogrodach południowej i zachodniej Europy. Skąd przywędrował w górzyste regiony Półwyspu Arabskiego, tego nikt nie wie. Zatem ulice Taif nie pachną obecnie kadzidłem, lecz kwiatami, szczególnie w dniach festiwalu róż, który corocznie jest organizowany przez dumnych mieszkańców. Kwiaty te nie tylko dają cudowny zapach, unoszący się w czystym górskim powietrzu, ale także są wykorzystywane do produkcji olejku różanego, który jest składnikiem perfum najlepszych prestiżowych marek, takich jak Ormonde Jayne, Perris, Chanel czy Guerlain.

Organizację nowego Dar Alriaja wzięła na swoje barki odważna kobieta Anud al-Faiz, matka czterech córek króla Abdullaha. Ślad po nich zaginął po śmierci podlego władcy, który ponad trzynaście lat przetrzymywał je w złotej klatce w pałacu królewskim w Dzeddzie. Mówi się, że zostały zabite czy wręcz zagłodzone przez swoich podłych przyrodnych braci, którzy po śmierci ojca sprawowali nad nimi pieczę, lecz większość ludzi jest przekonana, że nieszczęsnice przebywają w nieznanym miejscu odosobnienia i wszyscy o nich zapomnieli. Matka długo walczyła o nie, przebywając za granicą, ale kiedy nie przyniosło to żadnych rezultatów, nierozważnie powróciła do kraju swoich cierpień i upokorzeń. Prosto z lotniska została przewieziona do jednego z domów opieki Dar Aldijafa i tam na dobre utknęła. Jakiś czas temu, zupełnie niespodziewanie, została stamtąd wypuszczona i zawieziona na audiencję do młodego władcy.

– Wyjechać z Arabii Saudyjskiej na razie nie możesz, ale możesz zrobić coś dobrego dla swojej drugiej ojczyzny – obwieszcza księżę z dumną pyszałkową miną.

– Co takiego? – pyta Jordanka. – Jak dotąd obierałam ziemniaki...

– Chcesz utyskiwać na swój los czy go odmienić? – ucina narzekania, spoglądając na swój złoty, wysadzany diamentami zegarek i dając tym do zrozumienia, że jego czas jest cenny.

– Chciałabym odnaleźć moje córki. Zapewne o nich słyszałeś.

– A kto nie słyszał. Nie mam pojęcia, gdzie się znajdują. Podpytywałem kuzynów, którzy się nimi zajmowali, ale zabili mnie śmiechem.

– Dranie! Łobuzy! – Kobieta głośno lamentuje, lecz nie widząc żadnej reakcji u władcy, spuszcza z tonu. – Zboczeńcy – podsumowuje ostatecznie.

– Tak więc – MBS uważnie patrzy kobiecie w oczy – możesz prowadzić duży, naprawdę duży i porządny dom opieki dla dziewcząt, jednocześnie czekając na odnalezienie córek. Kiedy odkopimy je spod ziemi – księżę wypowiada złowróżbne słowa – dołączą do ciebie i już razem będziecie tam działać. Chciałbym, żeby ten projekt miał ręce i nogi. Ty wprawdzie nie jesteś wykształcona, ale głupia też nie. Czasami spryt wystarczy.

– To poważne wyzwanie. – Anud nie spodziewała się już, że coś dobrego wydarzy się w jej życiu. – Poszukasz ich, panie? – prosi jeszcze na odchodnym z rozpaczą w oku, a Mustafie przypomina się wyraz twarzy jego ukochanej żony Sary, który codziennie ogląda po nie tak dawnym zniknięciu ich córki.

– Zajmę się tym. A ty, zanim udasz się w góry Hidżazu, weźmiesz z tutejszego więzienia pewną dziewczynę. Pojedzie z tobą do Taif. Pomoże ci. Jest mądra – stwierdza z ojcowską dumą, co całkowicie go dekonspiruje.

*Nie potrafisz jej zabić, skurwysynu, Anud już wszystko wie, bo rozdarcie i cierpienie biją*

teraz z całej sylwetki zagubionego władcy. *Czyli nie jesteś aż tak zły jak twoi krewniacy.* Kobieta ufa w sukces przedsięwzięcia, odnalezienie jej ukochanych dziewczynek, które w międzyczasie zdążyły się stać kobietami, i uratowanie nie tylko jednej księżęcej córki, ale jeszcze wielu saudyjskich niewiast.

Dzięki odgórnjej decyzji, która w ciągu jednej chwili odmienia życie dwóch arystokratek, Wafa al-Saud i Anud al-Faiz łądają w niezwyklej miejscowości Taif i z zapalem przystępują do dzieła swojego życia.

\*\*\*

Dorota, tak jak obiecała, jedzie do domu swojej córki. Tuż za progiem pociąga nosem. *Co za smród? Co za odór? Istna garkuchnia!* Nie czuje już tak typowego dla tego miejsca zapachu mocnych perfum Marysi, które owiewały nie tylko jej ciało, ale również otoczenie. Poza tym widać, że kucharz nie włącza pochłaniaczy, a woli otworzyć drzwi na salon, żeby wywołać przeciąg.

Bez skrępowania, czując się jak u siebie, Polka zrzuca *abaję* i rozsiada się na wygodnej sofie. Na kremowym skórzanym obiciu widzi tłuste plamy z jedzenia, a na meblach grubą warstwę kurzu. *Co za degrengolada!* Jeszcze bardziej się wścieka i rzuca na boki rozeźlonym błękitnym okiem. *Zasyfią dom mojej córki na amen.* Nikt się nią nie interesuje, służba nie pojawia się, zwyczajowo proponując kawę, herbatę i ciastka. Babcia usadawia cichego jak zawsze Ahmeda, wręcza mu do ręki samochodzik, którym ten bynajmniej nie jest zainteresowany, i usiłuje wyciągnąć z buzi kciuk, który dziecko ssie non stop. Potem bierze stojący na stole dzwonek i nerwowo nim potrząsa. Urządzenie wydaje głośny, przenikliwy dźwięk.

– Co to za zwyczaje?! – drze się na przerażonego jej widokiem starego majordomusa. – Nie witacie gościa w progu, nie oferujecie mu już poczęstunku?

– Przepraszam, jaśnie pani. – Starzec kłania się w pas, ledwo zginając swój stetryczwały grzbiet. – Nie słyszałem, jak wchodziłaś. Jestem już przygłuchy – tłumaczy się.

– Sami głusi tu pozostali? – Dorota mityguje się, bo żal jej człowieka. – Zrób mi tu zaraz *qahwę arabiję* i dawaj jakieś ciastka. Wnuk mi z głodu padnie.

– Zaraz kogoś wyślę do cukierni.

– Nie macie w domu kawy?! Nie macie jedzenia? – sonduje zjadliwie starsza pani. – Jest Fatima? – Szykuje się na zmycie głowy opuszczającej się w pracy gospodyni.

– Zawołać?

– Oczywiście! – Nadpobudliwa Polka z całych sił stara się nad sobą panować, bo przecież schorowany starzec powinien dawno iść na emeryturę i grzać kości na słońcu, a nie gonić po schodach i służyć innym. – Poproś także panią. Jest w domu?

– Pani Salma nigdzie już nie wychodzi. Cały czas siedzi w apartamencie na piętrze.

Dorota teraz już rozumie, czemu Hamid do niej zadzwonił. Jest jego ostatnią deską ratunku. Dobre dziesięć minut siedzi jeszcze w pustym, śmierdzącym, zaniedbanym salonie. Krew jej buzuje, podgrzewana menopauzalnymi szalonymi hormonami, i czuje, że za chwilę sama rzuci się do kuchni i wszystkich własnoręcznie ustawi do pionu. Nieszczęsną konkurentkę córki postanawia zostawić sobie na deser.

W końcu przychodzi Fatima, osobiście niosąc poczęstunek. Dorota tylko na to czeka i od razu na nią naskakuje.

– Co ty tu, do cholery, odstawiasz?! Nie podoba ci się twoja praca? Chcesz zrezygnować, to wypierdalaj, i to w podskokach! – drze się po polsku, nie chcąc robić kobiecie jeszcze większego wstydu przed pozostałą służbą.

– Bardzo lubiłam moją pracę...  
– Ale już ci się odwiedziało, co?  
– Teraz nie mogę... – Z oczu gosposi nieoczekiwanie spływają wielkie jak grochy łzy. –  
Bez pani Miriam...  
– Cieszę się, że kochasz moją córkę i się z nią solidaryzujesz. – Polka spuszcza z tonu i klepie ręką miejsce obok siebie, zapraszając kobietę, by usiadła.  
– Ona jest tutaj panią, to jej dom, jej mąż i jej dzieci... – szłocha wierna służka.  
– Niestety, już nie. Teraz twoją panią jest Salma, czy ci się to podoba czy nie.  
– Nie podoba – błyskawicznie ripostuje biedaczka i wyciera łzy.  
– Twoje uczucia nic nie znaczą. Jeśli będziesz źle i niechlujnie prowadziła gospodarstwo, twój pracodawca jak nic cię wyrzuci i zatrudni kogoś innego. Chcesz tego?  
– Nie, pani Doro... Nie!  
– Zatem weź się w garść. Czemu tutaj tak czadzi? Co wy gotujecie?  
– Marokańskie gówniane jedzenie – wyjaśnia, a Dorota uśmiecha się pod nosem. – Wyobraża sobie pani, żeby dawać cukier, miód, orzechy i rodzynki do mięsa? Obrzydlistwo! I ciągle te gulasze! Ciężkie i niezdrowe. Nie dziwię się, że *said* w ogóle nie jada z nią kolacji.  
– Dzieci zapewne też nie?  
– No oczywiście. Może raz się zdarzyło, ale to był wyjątek, który potwierdza regułę.  
– Jak tak wszyscy będziecie ją tępić, to się źle skończy. Chciałabys mieć ją na sumieniu? Jak byś się czuła, gdyby ta brzemienna nieszczęsna idiotka poroniła? – Ze słów bije negatywne nastawienie Doroty do nowej żony jej byłego zięcia, co nie zmienia faktu, że musi jej pomóc. – Co by było, gdyby popełniła samobójstwo?  
– Na Allaha! Niczego takiego nie chciałam! Pani Doro...  
– To ruszcie się i doprowadźcie ten dom do użytku. Pamiętaj, ma tu być tak, jakby moja córka miała jutro wrócić.  
– Chyba że tak...  
– Nie życzę Salmie źle, ale nigdy nic nie wiadomo. Choć na chwilę obecną jest totalnie przegwizdane.  
– Witaj, Doroto. – Gospodyni, w pomiętym nieświeżym ubraniu i z zapuchniętą od łez twarzą, staje u szczytu schodów. – Kto ma przegwizdane? Ja? Zgadzam się.  
– Przestań bzdurzyć! Ogarnij się, kobieto! – Polka otwiera ramiona i przytula do siebie kruchą, słabą istotkę. – Ty się po prostu nie nadajesz do tych harpagonów. – Śmieje się z niepokojem, widząc, w jak złym stanie jest Marokanka.  
– Dopiero teraz mi to mówisz? – Salma nie ma już siły ukrywać swojej rozpacz, więc składa głowę na ramieniu jedynej aktualnie powiernicy i rzewnie płacze.  
– Widzisz, do czego doprowadziłaś, idiotko! – Dorota wykrzykuje do speszzonej Fatimy, wytykając ją palcem. – Zabieraj się do roboty! Na obiad mają być pieczone mięso i sałatki. Do tego *mezze*, humus, *baba ghanusz*, *tabula* i *harissa*. Nie zapomnij o pomidorach i oliwkach. Dla dzieci dodatkowo frytki. A na deser domowa *bahlawa*160. Ruchy! – wydziera się już na pełny regulator. – Wszyscy mają się zabrać za porządki! Kiedy siądziemy do obiadu, ten dom ma się tak błyszczeć, żebyśmy z podłogi mogli jeść!  
– Ja tak nie umiem. – Salmę furiackie zachowanie starszej babki w końcu rozpogadza. – Nie jestem urodzoną jaśnie panią. Ja uprzejmie proszę i pewnie dlatego nikt mnie nie słuca.  
– Trzeba to towarzystwo wzajemnej adoracji chwycić za mordy. – Obie śmieją się rozbawione. – Każdy służący jest leniwy i jak go nie zmobilizujesz, najlepiej krzykiem, to będzie tylko odpoczywał. Musisz nauczyć się tu żyć, moja droga – poucza doświadczona Dorota.  
– Nie potrafię. Myślałam nawet, czyby nie wrócić do Polski...

– Co? Trochę poniewczasie. Teraz musisz wypić to piwko, którego sobie i nam nawarzyłaś – wrywa się kobiecie.

– Ty też mnie nie lubisz. – Znow zbiera się jej na płacz.

– To nie tak... Nie do końca. Nie lubię rywalki mojej córki, która odebrała jej męża i dom – wyznaje otwarcie Polka. – Ale ciebie, delikatną kobietkę, darzę sympatią. Poza tym istnieje coś takiego jak solidarność jajników. Przecież nie mogę pozwolić ci szczeznąć na obczyźnie!

– Dziękuję za szczerość. – Odsunięta żona potrzebuje takiego wsparcia. – Muszę się pozbierać i jakoś to wszystko ogarnąć.

– Zgadza się. Na jutro zapisuję cię do salonu kosmetycznego, bo wyglądasz jak siedem nieszczęść, a dzisiaj pójdziemy na zakupy. Popatrzymy na niemowlęce łaszki, to zaraz ci się humor poprawi i przypomnisz sobie, że masz po co i dla kogo żyć.

– Masz rację. Egoistka ze mnie.

– Czemu odeszłaś z pracy? Źle się czujesz? – wypytuje Dorota.

– Fizycznie jest wszystko okej, ale psychicznie nie dawałam już rady.

– Właśnie dla twojej psyche ważne jest, byś miała zajęcie i nie umartwiała się dniami i nocami, czekając na męża, który ma ciężką pracę i taki styl życia od lat. To się nie zmieni, kochanieńka. Hamid nie jest facetem udomowionym. Choćby tego pragnął, to nie umie. Nie miej złudzeń.

– Wyglądało, że właśnie wszystko chce odmienić, że chce normalności...

– Normalność to pojęcie względne – ucina dyskusję. – Szykuj się.

W tej chwili jak na zamówienie do domu wpada Hamid. Lustruje dwie poważne kobiety i całkiem nieobecne dziecko, siedzące obok nich jak worek kartofli.

– Witaj, Doroto. – Całuje teściową. – Dogadałem się z Aszrafem i lecimy razem. On bierze jeszcze lekarzkę, żeby przebadala pensjonariuszki.

– To dobrze. Cieszę się, bo ta młoda medyczka spędzała mi sen z powiek.

– Zazdrosna jesteś?

– Tak trochę...

– Coś ty! Twój ślubny nie z tych! Jest w tobie zakochany jak sztubak.

– Już takich znałam... – wrywa się Dorocie, co powoduje niezręczną sytuację.

– Zabieram ze sobą Nadię – zmienia temat mężczyzna. – Będziecie miały więcej czasu, żeby doprowadzić się do ładu. – Taksuje wzrokiem żonę, a ta, przewrażliwiona, od razu przygryza wargi, żeby nie wybuchnąć płaczem. – Chcę też, by zobaczyła, w jakich warunkach mogą żyć jej rówieśnice. Może wtedy doceni to, co ma.

– Bardzo dobry pomysł – popiera Polka.

– Nadia! – wydziera się ojciec, wbiegając po schodach. – Zapakuj parę łaszków. Za chwilę wyjeżdżamy.

– Dokąd? – Naburmuszona dziewczyna wyłania się z prywatnych rewirów.

– Lecimy do Dżeddy, a potem samochodem dostaniemy się do Taif. Mam dla ciebie niespodziankę, a zarazem dobrą lekcję. Zbieraj się. Obiad zjemy na mieście, bo zapewne w domu nic do jedzenia nie ma.

Krytyczny ton gospodarza powinien dać Dorocie satysfakcję, lecz ona ze strachem podsumowuje, że ich rodzinie nie jest potrzebna kolejna tragedia. Ale co zrobić? Widać złe fatum ich nie opuszcza.

\*\*\*

Wafa i Anud osobiście nadzorują ustawianie krzeseł i stołów w oddzielnym budynku na terenie ogrodów, szykując się na przyjazd pierwszej w Dar Alriaja wizytacji. Tak niewiele czasu

minęło od otwarcia domu opieki, jeszcze tyle rzeczy jest do zrobienia, a już mają się tłumaczyć jakimś nieznanym się na rzeczy facetom, dlaczego i po co to robią. Nie otrzymały nazwisk wizytatorów, a jedynie wiedzą, że będzie to najprawdopodobniej dwóch mężczyzn i lekarka. Ponoć ich opinia zadecyduje o przyznaniu im stałych środków finansowych. Kwotę dotacji określiły przy pomocy jednej z pensjonariuszek, byłej oszustki, i miejscowej księgowej, która nigdy w życiu nie miała do czynienia z tak wielką instytucją i bardziej umie ustalić budżet domowy, niż określić niezbędne fundusze dla ośrodka liczącego ponad dwieście pensjonariuszek.

– Muna! Aisza! – krzyczy przerażona Anud, widząc zażywe Saudyjki dźwigające po trzy krzesła na swoich obfitych biodrach. – Oberwiecie się!

– Nic nam nie będzie! – odkrzykują spocone, ale zadowolone dzierlatki. – Cięższe rzeczy się tachało!

– Dzięki za troskę, *chalati!*<sup>161</sup> – śmieje się inna siłaczka. – Spieszymy się do kuchni wypiekać ciastka. *Bahlawa* musi być palce lizać. Wiesz, cioteczko – wszystkie, naśladując Wafę, tak familiarnie nazywają szefową ośrodka – przez żołądek do serca.

– Pamiętasz, córuchna, jak tu przyjechałyśmy? – zagaduje kobieta, a jej twarz wyraża niedowierzanie, że udało im się dokonać czegoś wręcz niemożliwego.

– Jakżebym mogła zapomnieć, ciociu. – Wafa kłapie na wyściełane czerwonym aksamitem krzesło na widowni tuż przy podwyższeniu, na którym jutro Anud zabierze głos. – To było niesamowite!

– A my, jak te baby, pierwsze co zabrałyśmy się za fryzury zamiast za miotły! – Jordanka wybucha radosnym, beztroskim śmiechem. – I mam teraz takiego chłopaczka do asysty. – Czule przejeżdża palcami po krótkiej fryzurce Wafy i odgarnia jej z oczu niesforną grzywkę.

– Najważniejsze, że dałyśmy radę. – Wafa poważnieje. – Łatwiej nam się działało z nowym wyglądem. W końcu wszystko się w naszym życiu zmieniło, nieprawdaż?

– *As-salamu alejkum...* – Przeważona Anud ledwie przed dwoma miesiącami weszła do wielkiego, pustego gmachu, prawie stąpając na palcach.

– *Wa alejkum as-salam* – odpowiedział gburowato zezowaty, opasły i zapyziały cieć. – Oto klucze. – Wręczył jej brzęczącą plastikową torebkę. – Same se sprawdźcie, który do których drzwi – burknął niegrzecznie, po czym odwrócił się do nich plecami i skierował do wyjścia.

– Dokąd to, mój panie?! – Jordanka zawołała za nim zdecydowanym głosem, bo nie mogła pozwolić na to, że zostanie sama z tym całym bałaganem. Musiała tu wszystko ogarnąć, inaczej ona wróci do domu opieki dla starych bab, a biedna dziewczuszyna być może do więzienia. – Pracujesz tu, o ile się nie mylę!

– Dla bab nie pracuję – oznajmił stetryczały szowinista. – Tak nisko jeszcze nie upadłem.

– To instytucja państwowa. Następca tronu wydał mi polecenie, bym prowadziła tu ośrodek. – Anud podała poważne argumenty. – Uważasz, że nasz przyszły król podejmuje błędne decyzje? Że jest jakimś wariatem?! Głupcem?!

– A kto tak mówi? – Stary bał się władzy, bo doskonale wiedział, że z nią lepiej nie zadzierać. – Nic takiego nie powiedziałem. Idę po prostu do domu na noc, a jutro rano znów tu się zjawię.

– To się cieszę, bo chciałabym ci dać podwyżkę. – Kobieta okazała się urodzoną menedżerką. – Masz jakieś dziewczuchy w domu, co by chciały u mnie pracować?

– Arabska niewiasta miałaby harować?! To hańba dla mężczyzny, że nie potrafi jej utrzymać! – Góral wyglądał na przekłętą tradycjonalistę, który nie zdaje sobie sprawy, że czasy się zmieniają i jego krewniaczki wiele dałyby za dobrą fuchę. Możliwe jednak, że cieć

tylko na takiego się zgrywał, chcąc wynegocjować lepszą cenę.

– Nie wiem, jaka to hańba, że mielibyście więcej pieniędzy w gospodarstwie – skwitowała Anud. – Ale widać chcesz wspomóc ubogie Azjatki, Filipinki czy Indonezyjki, które z pocałowaniem ręki będą dla mnie robić.

– Czym konkretnie miałyby się zająć? – Pieniądze zawsze mają największą moc przekonywania i stary z zainteresowaniem łypał teraz na przybyłe, jednym zezowatym okiem na tę, a drugim na tamtą.

– Przyprowadź tu jutro baby z mopami i miotłami. I niech kupią po drodze proszek do prania i płyn do podłóg. – Szefowa wcisnęła swojemu pierwszemu pracownikowi dwieście riali, które dla biedaka były niebagatelną sumką. – Sama już się z nimi dogadam co do pensji. Gwarantuję ci, że będą zadowolone. Będę potrzebować kobiet do sprzątnięcia, kuchni, pralni, ochrony... – Zawiesiła głos, intensywnie myśląc, kogo jeszcze, bo na tę chwilę nie miała pojęcia, jak zorganizować pobyt setek pensjonariuszek w nieprzystosowanym do tego budynku, który służył pierwotnie za letni gabinet króla, potem za biura ministerstwa, a następnie za muzeum.

*Gdzie tu zrobić łaźnie? Gdzie kuchnie? Gdzie sypialnie?* Panikowała, bo bez zastanowienia wzięła na swoje barki taką ogromną odpowiedzialność. *Po co mi to było?*, zadrezczała się, obserwując chudziutką Wafę, która, jak to młoda ciekawska, już szła od drzwi do drzwi i wszędzie zaglądała.

– Ależ ogromne te pomieszczenia! – zachwycała się. – I nawet nie tak bardzo zniszczone. Niektórych bym wcale nie malowała. Patrz, ciociu, jest też klimatyzacja! – Ucieszyła się, bo przy saudyjskim klimacie to podstawa.

– Zepsuta – poinformował cię, który jednak został i otwierał jedne po drugich wielkie drewniane drzwi. – Centralne urządzenie padło. W niektórych gabinetach są zwykłe chłodzące panele i tam wszystko działa jak należy.

– To dobrze, że cokolwiek tu funkcjonuje. – Młódka była pełna pozytywnych emocji.

Tradycyjny Arab jak zawsze stawał okoniem i reagował niechęcią na babskie rządy, ale pod maślanym spojrzeniem niewiastek zmiękł jak plastelina. Od razu polubił tę młodą i uśmiechał się do niej, ukazując jednego żółtego kłęcka<sup>162</sup>.

Zahartowana przez życie kobieta, która liźnęła królewskiego splendoru i spadła na bruk z samego wierchuszka saudyjskiej drabiny, wydana za czterdziestoosmioletniego króla w wieku piętnastu lat, a potem haniebnie przez niego odrzucona, bogata Jordanka Anud al-Faiz oraz pokrzywdzona przez los nastolatka, księżna z urodzenia, potomkini założyciela dynastii Ibn Sauda, pupilka następcy tronu, uwięziona przez swego ojca, Wafa al-Saud, przemierzały w półmroku wielki budynek, każda oddając się własnym myślom. Co będzie, kiedy nie sprostają zadaniu? Co się stanie, kiedy książęce widzimisie się odmieni? Nie chcąc się wzajemnie straszyć ani dać ponieść hysterii, każda w milczeniu przeżuwała swój problem.

Na parterze pałacu Szubra odkryły przestronne, ponadtrzydziestometrowe sale dla petentów oraz mniejsze biura, każde z małą łazienką i prywatną salką do modłów. O domowy meczet nie musiały się martwić, bo oczywiście był w długiej parterowej dobudówce, z podłogą wyłożoną puszystą barwną wykładziną i obowiązkową *kiblą*<sup>163</sup>. Miejsca do ablucji były tak wielkie, że spokojnie mogłyby służyć za regularne łaźnie i umywalnie, ale obie wiedziały, że połączenie rytuału i codzienności byłoby odważnym posunięciem. Nagie kobiety tuż przy sali modłów mogłyby obrazić czyjeś uczucia religijne. Wahabita może się nie kąpać całymi tygodniami, ale obrzędowe ablucje wykonuje pięć razy dziennie. Pociuszający jest fakt, że to również swego rodzaju obmycie, choć nie obejmuje genitaliów, co w przypadku kobiet jest dość istotne.

Pierwsze piętro to ogromne przestrzenie wystawowe. Organizatorki oczyma wyobraźni



od razu widziały tam klasy lekcyjne, kółka zainteresowań, może jakiś mały fitness oraz świetlicę dla matek z dziećmi. Znajdowały się tam też przestronne królewskie sale audiencyjne, których ze względu na bogate wyposażenie postanowiły nie tykać.

Trzecie piętro było najlepiej zachowane i najnowocześnie wyposażone. To przeważnie apartamenty, składające się z salonu z aneksem, raczej barowym niż kuchennym, sypialni lub dwóch, łazienki i toalety, czasami też wanny z hydromasażem, oraz obowiązkowego pomieszczenia do modłów. Każdy lokal miał co najmniej osiemdziesiąt metrów, a było ich bez liku. Na tym poziomie mieściło się także prywatne kino, które mogło być wykorzystywane jako sala koncertowa, klubowa lub imprezowa. Przed wejściem bowiem stał klasyczny bar z ladą i wysokimi stołkami oraz klubowe fotele. Na wykładzinie widać jeszcze było ślady po stole bilardowym i prawdopodobnie po szafie grającej, a w powietrzu nadal unosił się smrodek papierosów i rozlanego piwa.

– Nieźle się tutaj mieli nasi możnowładcy – odezwała się była księżna. – Co za obłuda! Na naród narzucają prohibicję i skromność, a sami balują w takich oazach. – Wściekła zapaliła papierosa i głęboko się zaciągnęła. – Ja też mam swój nałóg, który zapewne zawiedzie mnie do grobu – tłumaczyła się dziewczynie, a ta tylko machnęła na to ręką. – Zresztą wszystkie drogi prowadzą wcale nie do Rzymu, ale na tamten świat.

– Bardzo optymistycznie – ironicznie podsumowała nastolatka, czując, że opanowuje ich coraz gorszy nastrój. – Co teraz? Pochlastamy się? Gdyby tu przynajmniej została jakaś flaszka, to mogłybyśmy się upić – niewesoło się podśmiechiwała, przeglądając puste szafki.

– Przestań gadać głupoty. – Anud usiłowała opanować apatię. – Dzisiaj mamy ostatni wolny wieczór, tylko dla siebie, więc chodźmy jeszcze rzucić okiem, co jest na dachu, i wracajmy na parter. Ja już wiem, który pokój wybiorę. Teraz kolej na ciebie. A potem jedziemy do sklepu.

– Poważnie? – Młoda ze zdziwieniem uniosła brwi.

– Jak najpoważniej! Kupimy sobie coś dobrego do jedzenia, a do picia piwo bezalkoholowe, zaś dla ciebie dziecięcy szampan o smaku truskawek. Zrobimy ucztę w nowym miejscu, żeby szczęście nam sprzyjało. Od jutra zaczniemy albo działać, albo się umartwiać. To już zależy od nas.

– Dostałaś jakieś pieniądze na rozruch tego interesu?

– Dwieście tysięcy.

– Dolarów?

– Nie, lokalnej waluty.

– Na co to ma starczyć?

– Na dzisiejszą kolację na pewno. Ja kupiłabym sobie też farbę do włosów, bo taka siwa stara baba nikogo nie przekona ani do siebie, ani do naszego projektu.

– Dobra, niech będzie – skapitulowała dziewczyna. – Choć nie wierzę, żeby jutro przyniosło coś lepszego i stał się jakiś cud. Raczej trzeba się szykować na powrót w dobrze nam znane rewiry – ty do domu opieki, a ja do pierdła.

– Wafa! Przestań! Ja tam nie wracam! Ani mi się waż nawet o tym myśleć!

Niewiastom w zupełności wystarczyło to, co zobaczyły, więc nie pchały się już na żaden dach. Zorganizowanie domu opieki w tym ogromnym pałacu przy minimalnych funduszach było nierealne. Obecnie już to wiedziały na sto procent. Widmo powrotu do poprzedniego życia zabrało im radość z tymczasowej wolności. Pojechały jednak do pobliskiego centrum handlowego.

- Weźmy też tę. – Wafa sięgnęła po opakowanie farby w kolorze blond.
- Poważnie? Nie wiem, czy chwyci na czarne włosy.
- I nożyczki – zdecydowała młoda. – Mam dość moich długich kłaków, które mają być moją ozdobą i chlubą mojej rodziny. W dupie mam ich chwałę i honor.
- Kochanie, nie zamartwiaj się – pocieszała ją Anud. – Po prostu obetniemy włosy i już. Nigdzie na całym świecie nie stanowią one dla dziewczyny tabu. Ma się długie, krótkie, za ucho, irokeza, a niektóre emancypantki golą się nawet na łyso! Tego ostatniego wariantu bym jednak nie polecała, bo liczę na twoją aktywną pomoc w organizacji naszego – podkreśliła to słowo – przedsięwzięcia. Głupio by było chodzić na spotkania z kimś, kto wygląda jak recydywa.
- Ależ ja jestem recydywą! – Księżniczka znów odzyskała humor. – Ty też, ciociu.

Po powrocie postanowiły resztę wieczoru spędzić na dachu pałacu. Kiedy w końcu udało im się sforsować zardzewiałe potężne drzwi, owiało je świeże, górskie powietrze.

– Ależ tu pachnie! – Wafa podbiegła do wysokiego na metr muru otaczającego ogromny taras i wychyliła się, chcąc jak najwięcej dojrzeć. – W Rijadzie takiego powietrza nie uświadczysz. A w moim więzieniu to już w ogóle. – Wspomnienia nie chciały jej opuścić.

– Widok też jest cudowny – potwierdziła księżna. – To Hidżaz, rolnicze zagłębie Saudii. Na niewidocznych teraz wzgórzach rosną zapewne winogrona, a gdzieś tam, w dolinach bartnicy zbierają miód. Ponoć ma właściwości lecznicze.

– Jutro musimy kupić! – Radosna smarkata aż klaskała w dłonie.

– Koniecznie.

– Czuję zapach kwiatów. – Podekscytowana, kręcąca się w kółko dziewczuszka zabawnie poruszała nozdrzami.

– Kochana, dookoła miasta hoduje się damasceńskie róże – uświadomiła ją znawczyni. – Na olejku różanym można zarobić krocie.

– Jak dobrze tu być... – Wafa nagle się zamyśliła. – Usiądźmy, ciociu. – Wskazała na plastikowe białe krzesła, ustawione wokół zakurzonego stołu. – Powiedzmy sobie najpierw całą prawdę, a potem już będzie można kłamać jak z nut.

Tego wieczoru dojrzała pani i nieletnia pannica, właściwie sobie obce, opowiadały jedna drugiej nieocenzurowaną historię swojego życia. Chciały wiedzieć na tyle dużo, by móc sobie zaufać i wzajemnie się wspierać.

– Czyli ja jestem teraz Aisza bint164 Mohammad, a ty Fatma bint Mohammad? – upewniała się młoda, spoglądając na ich fałszywe papiery, które organizatorka dostała w pałacu w zapieczętowanej kopercie razem z pieniędzmi i wszystkimi dokumentami dotyczącymi przekazania ośrodka. – Jako że u nas faceci albo noszą imię Mohammad, albo są synami Mohammada, to naszym ojcem może być co drugi Saudyjczyk. – Uśmiechała się kpiarsko.

– Niewykluczone, że mamy tego samego tatuńcia? Takiego zażywnego dziadka! – żartowała przyszywana ciocia. – Mnie zrobił, jak miał szesnaście lat, a ciebie w wieku siedemdziesięciu.

Obie rechotały jak smarkule, w ten sposób rozładowując nagromadzony stres. Pierwsza opanowała się nastolatka.

– Jeśli mój ojciec skąpi na ten ośrodek, to my będziemy musiały postarać się o dochody.

– Jak to sobie wyobrażasz?

– Pensjonariuszki, które tu zamieszkają, będą same dbać o siebie i dobytek, a my będziemy im za to płacić. Jakieś symboliczne grosze, ale dzięki temu każda już coś będzie miała, a my zaoszczędzimy. Kupimy ziemię z różami, postawimy ule, a apartamenty będziemy

wynajmować tym Saudyjkom, które na jakiś czas chcą się odseparować od swoich rodzin. Taki ośrodek wypoczynkowy tylko dla kobiet. Można nawet wymyślić im terapię pracą i będą płacić za pobyt i jeszcze dla nas harować. Na początek trzeba kupić dwa komputery, dla mnie i dla ciebie, telefony komórkowe oraz załatwić dobry internet. To w obecnych czasach podstawa.

– Tylko pamiętaj, Wafo, nie wolno ci kontaktować się z nikim z poprzedniego życia. Ani z koleżanką, ani z matką, po prostu z nikim – przestrzegająca księżna. – Nasza anonimowość pozwala nam być w miarę wolnymi. Żadnego Facebooka, Twittera czy Instagrama.

– Oczywiście, że to rozumiem. Nie jestem głupia!

– Tylko cię na to uczulam, kochanie.

– Trzeba będzie przede wszystkim naprawić klimę – pannica przeszła nad ograniczeniami bez mrugnięcia powieką – i kupić łóżka. Reszta sama się potoczy. Jak najszybciej musimy umówić spotkania z lokalnymi notablami i milionerami, których zapewne i tutaj nie brakuje, i przekonać ich do sponsoringu. Będę występowała jako twój syn, Tarik bin165 Mohammad, bo tak nam będzie łatwiej. Będę opiekunem nie tylko twoim, ale też tej nieszczęsnej trzódki, która niedługo się tu pojawi. Poza tym chcę na jakiś czas zapomnieć o mojej seksualności...

– Ile masz lat, kochanie? – Dojrzała kobieta była zadziwiona inteligencją i sprytem dziewczyny, która wyglądała góra na dwunastolatkę.

– Prawie piętnaście, ciociu. Jeśli tyle wystarczyło ci, by zostać żoną saudyjskiego księcia i późniejszego króla i rodzić dzieci, to mnie wystarczy, by klęskę przekuć na sukces.

– Teraz wiem, czemu twój ojciec tak beztrósco puścił nas w te dzikie góry. Masz łeb na karku, dziewczyno.

– Nigdy więcej, wspominając o następcy tronu, nie nazywaj go moim tatą. Mój ojciec umarł, bo człowiek skazujący swoją pokrzywdzoną, zgwałconą córkę na więzienie nie powinien chodzić po tej ziemi – oznajmiła bardzo poważnie Wafa, a Anud już wiedziała, że ta mała swojemu ukochanemu niegdyś *babie* nigdy nie wybaczy. – Kiedy coś tutaj ogarniemy, wyślemy do księcia koronnego dokumentację zdjęciową z dotychczasowego postępu prac i zażądamy ustalenia budżetu.

– Świetnie. Tak zrobimy.

– A teraz tnij. – Młoda wręczyła starszej towarzyszce niedoli fryzjerskie nożyczki. – Rozpoczynamy nowe życie.

Przyjazd pierwszej partii przetrzymywanych do tej pory w więzieniach kobiet i dzieci nastąpił niespełna miesiąc po osiedleniu się w Taif w pałacu Szubra dwóch nikomu nieznanym osobom: dyrektorki ośrodka opieki pani Fatmy oraz jej drobnego, ale wygadanego syna Tarika. Para ta posiadała glejt wydany przez samego księcia koronnego Mustafę bin Saliha, więc okoliczni potentaci finansowi i bogacze ziemscy nie wzbraniali się przed pomocą finansową, zwłaszcza że chłopiec na wszystko znajdował cytaty z Koranu, każdą darowiznę nazywając jałmużną, czyli spełnieniem jednego z pięciu filarów islamu<sup>166</sup>, i wychwalając darczyńców pod niebiosa. Nikt się nie burzył, że kobieta sama mieszka w pałacu, bo przecież opiekę nad matką roztacza nieletni syn, co uspokajało lokalną zaściankową ortodoksyjną mentalność.

– Cały autobus? Nie za dużo naraz? – Wafa niepokoiła się, gdyż ich piękny, spokojny do tej pory ośrodek miały zalać hordy recydywistów, może morderczyń czy sadystek, zapominając całkiem, że te kobiety przeważnie internowano bez żadnej winy – najczęściej po prostu dlatego, że były kobietami w ortodoksyjnym Królestwie Saudów. Większość ich wykroczeń nigdzie na świecie nie zostałaby uznana za przestępstwo, pomimo to lęk zalał serca oczekujących.

– A jak któraś się na mnie rzuci? – pytała ze strachem wnuczka ciecica, który ostatecznie

przyprowadził do pracy połowę kobiet ze swojej rodziny. – Nie mam broni!

– Nie szkolili cię ze sztuk walki? – zdziwiło to Wafę, bo ochroniarka pracowała do tej pory na tutejszym posterunku policji.

– Żartujesz? Oni po prostu realizowali państwowy program zatrudniania kobiet w urzędach. Albo przekładałam papiery, albo siedziałam w domu. Praca zdalna.

– Nie ma co się uprzedzać. – Anud, słysząc klakson autobusu przed wejściem do budynku, nabrała głęboko powietrza w płuca. – Musimy tylko wykazać się stanowczością, bo one mogą być trochę nieusłuchane i przestraszone. Nie wiedzą, czego się spodziewać. Zapewne nic im nie powiedziano.

– Ja pierdziulę... – wyszeptała Wafa.

– *Wallahi!* – dorzuciła spanikowana, ubrana w mundur moro, Isra, dzierżąca w dłoni grubą pałkę.

– Tylko ich nie bij na wejściu – napominała ją księżniczka.

– Na wejściu nie, ale za progiem... – Dziewczyny robiły kpinki, żeby dodać sobie animuszu.

Kiedy szerokie, dwuskrzydłowe odrzwia otworzyły się z hukiem, do środka wbiegł tłum kobiet. Wyglądały jak duchy, zawinięte w czarne szmaty od stóp do głów. Smród ciągnący się za nimi był odurzający.

– Nie pchać się! – gromko krzyczała Anud, ale nikt jej nie słuchał. – Stać! Ustawić się pod ścianą!

Przybyłe ewidentnie były ogarnięte paniką, wyły i jęczały donośnie. Jedna najbardziej odważna rzuciła się biegiem wzdłuż długiego korytarza i pędziła przed siebie jak obłąkana. *Abaję* trzymała w garści, żeby jej nie nadepnąć i się nie przewrócić. Była korpulentna i ruchy miała niezdarne, kiwała się z boku na bok jak kaczką.

– Dokąd to? – Góralka wyskoczyła za nią. – Gdzie leziesz?

Jej krzyki jednak nic nie dały. Wafa stała z boku, obserwując tę istną sodomę i gomorę. *Wallahi! Gdzie mi przyszło żyć?*, rozpaczła do niedawna rozpieszczana dziewczyna, która o nikczemności i ubóstwie nie miała zielonego pojęcia. Strażniczka dogoniła grubaskę i uderzyła ją pałą najpierw przez plecy, co nie poskutkowało, więc potem pod kolana. Ofiara padła na ziemię i darła się wniebogłosy:

– Nie zabijaj, panie! – A kiedy otworzyła z przerażenia zamknięte oczy i zobaczyła nad sobą dziewczynę, poprawiła się: – Pani, litości!

– Gdzieżeś gnała, babo? – Agresorze zrobiło się głupio i oblała się zarówno potem, jak i szkarłatnym rumieńcem. – Chodź, jak prosimy, do szeregu. Dobrze? – Podała jej rękę i pociągnęła do góry. – Przepraszam – wyszeptała na koniec, a przybyła patrzyła na nią jak na zjawisko, bo przez długie dziesięć lat więzienia nikt jej nie przeprosił ani za baty, których zebrała z pięćset, ani za bicie czy molestowanie, których się na niej dopuszczano.

– To ja bardzo przepraszam... – Kajała się, furcząc z wysiłku i ledwo idąc z odbitym krzyżem. – Bałam się. – Łzy powoli, acz skutecznie zalały jej twarz, czego można się było domyślić po tym, że materiał *nikabu* przykleił się do jej policzków.

– Wszystkie? – dopytywała dyrektorka ośrodka, bo wrzaski i krzyki w końcu ucichły, a więźniarki spięły się w sobie, czekając, która będzie kolejną ofiarą. – Czy to już wszystkie przyjezdne?

– Jedna została, bo się zesrała – rzucił jeden czarny duch rozbawionym głosem.

– Że jak?

– No zesrała się. I chyba też porzygała.

– Czemu? Nie robiliście postojów? – Szefowa zdziwiła się perfidii transportujących

penitencjariuszki mężczyzn. – Z Rijadu do Taif to aż osiemset kilometrów.

– Dwa razy stanęli przy meczecie. Ale tam, pani wie, dziura w kaflach, nie ma papieru, ręczników, nic.

– Bidula zjadła dzisiejsze śniadanko, które dali nam na pożegnanie.

– Chyba żeby nas otruć, łotry jedne.

– Tak im nie w smak było się nas pozbywać. Na kim teraz będą się wyżywać? Nad kim pastwić?

Kobiety się rozgadały i powoli stres zaczął z nich uchodzić, choć nadal nie wiedziały, co robią w tym miejscu i dlaczego się tu znalazły. Nie chciało im się w głowie pomieścić, że miałyby teraz zamieszkać w takim ogromnym, bogatym pałacu. To niemożliwe! Nie one. Przecież są największą zakałą tego kraju!

– Ściągajcie te czarne szmaty i wrzucajcie do kubła na śmieci. – Anud pokazała palcem na zielony kontener stojący w kącie. – Z toreb też proszę wszystko usunąć. – Spojrzała na potargane reklamówki. Serce jej się krajało, gdy pomyślała o biedzie i nędzy tych kobiet. – Pozostawcie tylko pamiątki rodzinne, jakieś zdjęcia, książkę czy, jak któraś ma, portfel. Koranów i modlitewników proszę nie wyrzucać, bo jeszcze nas oskarżą o bluźnierstwo i niewiarę. Stare czy uszkodzone oddacie mnie, a ja już się nimi zaopiekuję.

Organizatorka, trochę uspokojona i podbudowana posłuchem, zmierzała do wyjścia po biedaczkę z rozstrojem żołądka.

– Tylko proszę was, nie próbujcie stąd uciekać – wspomniała jeszcze o najważniejszym. – Jeśli któraś zwieje, na pewno zostanie odnaleziona, zaś reszta wróci do więzienia, a nasz ośrodek zamkną. Dajcie szansę sobie i innym na uczciwe, normalne życie. Pozwólcie sobie pomóc.

Kobiety zrobiły wielkie oczy, bo nikt nigdy do nich w taki elegancki i ciepły sposób nie przemawiał. Były w totalnym szoku.

– Mamy przy tym chłopaku się rozbierać? – Pierwsza odważna i skromna niewiasta wskazała na Wafę, która tylko utwierdziła się w przekonaniu, że jej przykrywka jest wiarygodna.

– Właśnie tak. Przecież nikt wam nie każe robić striptizu, tylko zdjąć wierzchnie okrycia. – Anud wiedziała, że to może stanowić problem. – To mój syn Tarik. Jest moim *mahramem*, a od teraz też waszym. Bez tego chłopaka ośrodek by nie powstał i nie funkcjonował. Traktujcie go jak własnego syna lub brata. Teraz, za zgodą jasnie nam panującego następcy tronu, niech mu Allah sprzyja, saudyjskie kobiety będą się coraz bardziej unowocześniać. – Starła się przemawiać klarownie i nabożnie, bo zorientowała się, że w tej partii dostała większość prostaczków. – Buziek absolutnie nie zaślaniamy, a z włosami to jak która chce. Tradycyjne czarne *abaje* również można zamienić na płaszcze o stonowanych kolorach, co szczerze polecam.

*Ten wieczór będzie długi*, stwierdziła wykończona sześćdziesięciolatka, wychodząc przed budynek i biorąc parę głębszych oddechów. *A ile takich jeszcze przed nami? Ile rezydentek przewidują wcisnąć do tego domu opieki? Na upartego weszłoby z tysiąc, a może i więcej? Mam nadzieję, że książkę chce namiastki komfortu dla swojej córki*, pocieszała się. *Gdyby tylko wiedział, jak świetnie Wafa daje sobie radę!* Anud była pełna podziwu dla małolaty, która do niedawna żyła w niewyobrażalnym luksusie, by potem spaść na samo dno nędzy i rozpacz. Jej jedynym buntem na zaistniałą sytuację było obcięcie włosów i odżegnanie się od swojej płci. To naprawdę łagodne objawy.

– Weźmie to coś z mojego busa! – Z rozmyślań wyrwał ją zniecierpliwiony męski głos. – Ja jej z powrotem nie biorę, a ona nie chce ruszyć swojej śmierdzącej dupy z fotela.

– Czemu częściej nie zatrzymywaliście się na postoje? Czemu nie dałeś jej jakiegoś środka przeciwbólowego czy na biegunkę? – Kobieta podniosła głos. – Dobrze ci tak, chamie!

Kierowca, zupełnie bez zastanowienia, odruchowo podniósł rękę na byłą księżnę, lecz na

jego szczęście na czas zauważył dumę i odwagę, które malują się w oku i na obliczu tylko dobrze urodzonych. Pohamował się więc i idiotycznie położył dłoń na głowie, udając, że poprawia kraciastą chustę.

Anud zaglądnęła do mercedesa, który po tej trasie chyba będzie się nadawał tylko i wyłącznie do zutylizowania. Gęsty fetor wisiał w powietrzu i zapewne był nie do usunięcia nawet przy użyciu środków chemicznych. Na usta Jordanki wypłynął złośliwy uśmiezek, bo przynajmniej tak, zupełnie bezwiednie i niechcący, zrewanżowały się wrednym facetom bezpodstawnie przetrzymywane więźniarki.

– Chodź, kochanie. – Wyciągnęła rękę do kolejnego czarnego kopczyka, a właściwie samych kości obleczonych w materię. – Nie prowokuj ich, żeby cię stąd wyrzucili na siłę, a może nawet pobili.

– Ale co ja zrobię? – Kobieta trzymała szczupłe dłonie na podolku, zasłaniając plamy na płaszczu. – Tak mi wstyd...

– Umyjemy się wstępnie na tyłach ogrodu. Jest tam szlauch, a kranówka u nas nigdy nie jest zbyt zimna. Potem dołączysz do reszty. Dostaniesz nowe, czyste ubranie i lekkostrawną kolację. Chodź ze mną, proszę.

Nieszczęsną zajął się cieć, który był prawie ślepy, więc zrobił jej prysznic od stóp do głów. Kobieta zabawnie popiskiwała, ale w sumie bawiło ją to i cieszyło, bo czuła, jak nieczystości spływały z jej ciała. Rozglądała się przy okazji ciekawie, bo teren był wielki i przepiękny, a powietrze ożywcze.

Kiedy Anud z ostatnią rezydentką wkroczyły do środka, okazało się, że reszta zdążyła już przejść do łaźni, którą organizatorki jednak zrobiły przy meczecie. Nie chciały zmarnować potencjału tego miejsca, a na nowe sanitariaty nie mogły wydawać pieniędzy, których ciągle miały za mało. Przyznane przez księcia dwieście tysięcy riali to kropla w morzu ich potrzeb, bo zebrały jeszcze drugie tyle i nadal brakowało im wielu rzeczy.

Wafa pociła się w naparowanej umywalni, przez co musiała ściągnąć szeroką szarą bluzę, z którą się nie rozstawała. Pozostała jedynie w równie dużym T-shircie i dżinsach.

– Jak stąd wyjdę, to swoją spodnią odzież wyrzucicie do tego śmietnika – dyrygowała, pokazując kolejny kontener. – Tutaj na półkach macie podkoszulki i legginsy – objaśniała zbitym w gromadkę, przestraszonym kobietom i dziewczynkom. – Wybierzcie odpowiedni rozmiar. Są S, M, L i najwięcej XL. – Wyglądało, jakby nawijała po chińsku, bo w żadnych oczach nie znalazła zrozumienia.

– Co to znaczy? – koniec końców dociekała pucułowata, rezolutna dziewczuszka.

– Nie wiesz, co to podkoszulek?

– To wiem, ale co to x, z, l... Co to takiego?

– Małe, średnie, duże i bardzo duże. Dla naszej kaczk-biegaczki w sam raz będzie XL – zażartowała Wafa, chcąc zrelaksować towarzystwo.

– Czemu masz cycki większe od moich? – znów odezwała się niepytana gadułka, na co Wafa odruchowo chwyciła się za biust.

– Cicho! Sza! Jak panicz mówi, że jest Tarik, to jest Tarik. – Matka strzeliła wścibską pannicę w ucho i pociągnęła w swoim kierunku. – Nie gadaj po próżnicy!

Tym niewiastom można wszystko zarzucić, sporo z nich to zapewne analfabetki, ale instynktu kobiecego nijak nie uśpisz. W szczupłej fizjonomii księżniczki, jej delikatnych dłoniach o długich palcach, wychudzonej sylwetce, a nawet zabawnej krótkiej fryzurce jak z kreskówek manga odkryły pod chłopięcym przebraniem dziewczynę. Ładną, subtelną i wrażliwą. Nie sposób tego zatuszować.

– Jak się tak miażdży piersi, to można nawet dostać raka – jedna życzliwa wyszeptła

Wafie na ucho, kiedy ta, spłoszona, skierowała się do wyjścia.

– Bierzcie szampony, mydła w płynie, a przede wszystkim środek na wszy i inne insekty i wyszorujcie się porządnie! – przybyła Anud ucięła ich dyskusję. – Za pół godziny widzę was na kolacji. Po jedzeniu obgadamy z grubsza moje oczekiwania w stosunku do was.

– Oczekiwania? Nie polecenia? – dziwiły się znowu i zrobiło im się ciepło na sercu, bo w dyrektorcie odnalazły nie tylko kulturę i klasę, ale przede wszystkim nadzieję, która została im brutalnie zabrana lub wręcz nigdy nie dana.

– Nie rozkazy?

– O której jest cisza nocna?

– Gdzie są cele? Gdzie kraty?

– Gdzie ochrona i kapo?

– Tego wszystkiego dowiecie się później, moje panie i pannice. – Z uśmiechem na ustach szefowa pochyliła się nad dociekliwą dziewczuszką i popchnęła ją pod przysnic. – A na razie tu są ciuchy, tu ręczniki, tu dezodoranty. Poważniejszą odnową biologiczną zajmiemy się później.

Kiedy księżna opuściła łaźnię, żadna z pensjonariuszek już się nie odezwała, nawet mała Aisza siedziała cicho. Na dobre słowa i życliwość wszystkie zareagowały w jednaki sposób. Pod strumieniami ciepłej wody wylewały z siebie strumienie łez, z którymi spłynęły z nich w równym stopniu zarówno brud i pasożyty, jak i złość i nienawiść.

– *Wallahi!* Jak ja dawno nie jadłam *lebnehu!*<sup>167</sup> – wykrzyknęła pierwsza całkiem ładna dwudziestoparoletnia dziewczyna. – Ze świeżuteńką *chobzq!*<sup>168</sup> to palce lizać!

– A jaki pyszny *leben!*<sup>169</sup> Zaś jajka zapewne od kury, która dziobie sobie robaczki z ziemi. No, smakują jajkami! – Podśmiewały się, coraz bardziej rozluźnione i szczęśliwe kobiety. – Warzywa... Boże, kiedy myśmy jadły świeże jarzynki?

Anud, przewidując, że za chwilę znów będzie płacz i rozczulanie się, postanowiła szybko postawić babki do pionu i przydzielić im zadania. Zanim do tego przeszła, dzisiejsza pseudosprinterka, która okazała się najbardziej przebojową kobitką, zabrała głos:

– Pani *mudira!*<sup>170</sup> – wzięła głęboki wdech i wyrzuciła z siebie jednym tchem: – Czy my za te wszystkie dobroci będziemy musiały ciałem kupczyć?

– Co?! – Jordanka i Wafa spojrzały najpierw skonfundowane na siebie, a potem wybuchnęły niepoohamowanym śmiechem. – Ale heca!

– Kto by cię chciał? Miałaś wielu konkurentów? Ktoś by się doszukał twojej muszelki w tym tłuszczu? – kpiły, a te, którym taka myśl też po głowie chodziła, uspokojone, aktualnie dostrzegły absurdalność swych podejrzeń.

– Z dniem dzisiejszym właśnie otworzyłyśmy... otworzyliśmy – poprawiła się Anud, a wszystkie zrobiły głupią minę, będąc już przekonane, że Tarik to dziewczyna – dom opieki Dar Alriaja w Taif. Jesteście pierwszymi pensjonariuszkami! – Nie kryła dumy, bo w życiu by się nie spodziewała, że im się to uda.

– Byłam w takim miejscu – zaraz wtrąciła jedna. – To zupełnie inna bajka. Tam było tak dobrze – na ustach wykwitł jej ironiczny półuśmieszek – że dziewczyny notorycznie samobójstwa popełniały, a i ja sobie żyły otworzyłam. – Pokazała pocięte nadgarstki. – Byłyśmy bite... – Podniosła podkoszulek i odsłoniła plecy z licznymi grubymi bliznami. – Po nocy albo przychodziły do więźniarek ochroniarki lesbijki, albo wynajmowały nas facetom. Za pieniądze. Tylko że to one brały te pieniądze, więc nie wiem, czy w końcu jesteśmy kurwami czy nie. Jedzenie w plastikowych miskach rzucono nam na klepisko do cel, bo inaczej nie można nazwać pomieszczeń, w których bytowałyśmy. Jedyne wyjście stamtąd było albo do Allaha, albo przez

aranżowane małżeństwo, na którym oczywiście ośrodek też zarabiał. Zwyczajnie nas sprzedawali. Dostać się w łapska jakiegoś bezkarnego zbrodźca to ja dziękuję. Tak tam narozrabiałam, że wrzucono mnie do więzienia. To już było lepsze niż ta pierdolona państwowa opieka.

– Co zrobiłaś? – zainteresowała się Wafa.

– Podpaliłam to siedlisko zła, kurew i rajfurek.

– Teraz trafiłaś do pałacu królewskiego i liczę, że go nie podpalisz. – Anud gula urosła w gardle, bo wiedziała, że niektóre mają na swoim sumieniu zbrodnię, i to nie tak błahą jak podpalenie czy pobicie. Parę z tych owieczek zamordowało swoich mężów lub braci, lecz czytając ich akta, doszła do wniosku, że dobrze zrobiły, a ofiarom się należało.

– Czy wy jesteście księżniczkami? – Którejś z przyjezdnych przebiegła przez głowę szalona myśl.

– Nigdy w tym temacie nie ciągnijcie nas za język. Nie dociekajcie. Powiem wam, że ja również byłam w domu opieki Dar Aldijafa, a... – Anud pokazała palcem na swoją asystentkę, pomijając imię lub zaimek – ...w rijadzkim więzieniu. Wszystkie mamy bardzo dużo do stracenia i mnóstwo do zyskania. Musimy za wszelką cenę utrzymać ten ośrodek, jakimś cudem zdobyć pieniądze, nie narozrabiać, to może nawet dziewczynki pójdą do szkoły, a chętne na uniwersytet. Teraz w kraju nastaje nowa era i zanoszą się na duże zmiany. Obyśmy się na nie załapały.

– Takiej starej idiotki to już chyba nikt nie nauczy czytać i pisać – wyznała swój wstyd jedna z kobiet.

– Otworzę u nas szkołkę dla takich osób jak pani – zaoferowała Wafa.

– Chcąc zminimalizować koszty, postanowiłyśmy zarabiać na sobie – ciągnęła szefowa.

– Dlatego też musimy wyłonić spośród was te, które coś potrafią, i je wykorzystać. Jednak nie tak, jak myślicie. – Na paru twarzach pojawił się łobuzerski uśmieszek. – Za swoją pracę będziecie dostawać wynagrodzenie i będą to wasze prywatne pieniądze.

– Poważnie?!

– Poważnie – potwierdziła *mudira*. – Isra już u nas pracuje, jej krewniaczki również. Z mężczyzn ograniczymy się do *szabbaniego*, z którym nasza boleściwa dama miała już na wstępie do czynienia. Jest niegroźny?

Zawstydzona kobieta zasłoniła ręką twarz.

– Niegroźny. Ten jego zez... – Chichrała w kułak.

– Proszę się nie wyśmiewać z mego dziadunia. – Ochroniarka świetnie się tutaj czuła i wcale nie miała zamiaru wracać do swojego domu. Z chęcią zamieszkałaby tu na stałe. – On nawet auto prowadzi, więc jest całkiem sprawny.

– Stary osioł też do domu trafi.

– Cóż... – Organizatorka chciała w końcu przejść do sedna. – Będziemy potrzebowały kucharki lub raczej tak zwanego szefa kuchni. Kto gotował kiedyś dla większej liczby ludzi?

– Więcej jak dla dwudziestu? Bo dwadzieścia to rodzina. Na wesela?

– Powiedzmy, że dla dwustu?

– Dobra! – Grubaska z obitymi plecami zgłosiła się pierwsza. – Zawsze u mnie zamawiano torty i ciastka oraz każde możliwe jadlo nie tylko na wesela, ale i stypy, obrzezania, święta *Eid al-Fitr*<sup>171</sup> i *Eid al-Adha*<sup>172</sup>. Jednak sama nie podołam...

– Nie chcesz wiedzieć, ile dostaniesz za swoją pracę?

– Co łaska, pani. Ja w życiu złamanego grosza nie zarobiłam ani z dobrym słowem się nie spotkałam. Bylebyśmy tu zostały i w spokoju mogły żyć.

– Do sprzątnięcia chyba też ktoś się znajdzie? – sondowała Anud, ale jakoś chętnych do



ciężkiej harówki nie było. – Jak będziecie taki syf jak teraz zostawiały, to za chwilę ten pałac rozniosą karaluchy, mrówki, myszy i szczury. Tak nie można! – Pokazała palcem na okruchy i rozmazane na stołach jedzenie. – Azjatek wam nie zatrudnię, moje wy księżniczki.

– Dobra! Ja mogę sprzątać – zgłosiła się pierwsza ochotniczka, a za nią następne, bo przecież nic innego nie potrafią.

– Ale w zamian za lekcje czytania i pisania – stawiały śmieszne warunki.

– Za każdą pracę należy się zapłata, więc nie myślcie, że zostaniecie pokrzywdzone.

– Która z was ma wyższe studia? I jakie? – Wafa zdawała sobie sprawę, że do prowadzenia takiej instytucji nie wystarczą fizyczni wyrobownicy. Tutaj potrzebny był mózg.

– Jestem nauczycielką przedszkolną. – Jak w szkole podniosła rękę ładna dziewczyna. – Oskarżono mnie o pedofilię, bo pomogłam małemu, niedorozwiniętemu chłopcu zrobić siku. – Zrobiła głupi grymas.

– Jestem anglistką, lecz nie wyszło mi to na zdrowie. Za dużo publikowałam anglojęzycznych postów o sytuacji kobiet w Saudii, które czytali międzynarodowi odbiorcy – zgłosiła się druga inteligentka. – Świat się o nas dowiedział i była klapa.

– Skończyłam szkołę pielęgniarstwa. Byłam położną. Na moim dyżurze urodził się całkiem zdeformowany płód. Nie miał nawet trzech apgarów. Nie chwycił powietrza. Był genetycznie uszkodzony. Jednak małżeństwo kuzynów w pierwszej linii, jego rodziców, oskarżyło mnie o zamordowanie dziecka. Ponoć powinnam się cieszyć, że nie zażądali kary śmierci...

– Zorganizujesz nam punkt medyczny – od razu planowała szefowa.

– Pomogę jej. Jestem farmaceutką. – Pani magister farmacji nie chciała nic więcej o sobie powiedzieć.

– I?

– Sprzedawałam opiaty narkomanom za trochę wyższą cenę niż apteczna – przyznała się bez bicia.

– Ja jestem finansistką – odkryła karty ostatnia kobieta, bo już nie miała możliwości wymigania się. – Księgowość i finanse.

– Rewelacja! To cudowna wiadomość! – Wafa ucieszyła się jak dziecko, lecz Anud zaglądnęła do swoich notatek i spoważniała.

– Sana? Sana Almani?

– Tak.

– Dobrze ci szło. – Dyrektorka ściągnęła usta i pokiwała głową, jeszcze raz zapoznając się z opisem przestępstwa popełnionego przez tę młodkę. – Tak zgrabnie prowadziłaś finanse ogromnej korporacji, że udało ci się niezauważenie oszwabić ich na dwa miliony dolarów. Wszystko byłoby okej, gdybyś nie miała żyłki do hazardu i nie postawiła tych pieniędzy w kasynie w Dubaju.

– *Nobody is perfect*173.

Wafa czuła się zawiedziona, bo przecież takiej oszustce nawet dziesięciu riali by nie powierzyła.

– Trzeba się jednak cieszyć, że nie zainwestowałaś w terroryzm – kpiła Anud, a reszta aż zeszywniała, bo tego słowa nikt w Saudii nie lubi.

– Popełniłam błąd – przyznała Sana. – Jednak kara za moje przestępstwo była nieadekwatnie wysoka.

– Dlaczego tak sądzisz? Dziesięć lat za dwa miliony to nie jest żadna przesada.

– Dziesięć lat plus dwa tysiące batów. Oto cały nasz system penitencjarny! Czy myślisz, że któryś z wrednych klawiszów mi uwierzył, że nie śmierdę już groszem? Nie! Ciągłe brali mnie na tortury, by wydobyć informacje, gdzie schowałam pieniądze. Czy jest w moich aktach

wzmianka, że prawie odgryzłam facetowi jaja?

– Nie...

– Wiesz dlaczego? Bo jak wytłumaczyć fakt, co te jaja robiły w moich ustach? Ja z tego pierdła nie powinnam wyjść i nie wiem, jakim cudem mnie wypuszczono. To wasza sprawka?

– Nie. Sądzisz, że chciałybyśmy mieć u siebie babę, która miała w gębie owłosione męskie genitalia? – ironizowała Anud, od razu domyślając się, kto wykopał dla nich tę ekonomistkę z otchłani saudyjskiego więzienia. Wafa natomiast zbladła, słysząc o gwałcie i o męskich narządach, bo trauma zniewolenia nadal ją prześladowała.

– W takim razie cieszę się, że tu trafiłam. Instytucji charytatywnych nie okradam – obiecała księgowa i hazardzistka w jednej osobie. – Nie jestem świnią.

– To się cieszę. – Jordanka odetchnęła z ulgą. – Parę innych pań również ma na sumieniu odrzycanie, obcinanie i masakrowanie tego, co wisi i powiewa między nogami naszych menów. Jednak większość z was wyroki ma odsiedziane, więc spokojnie powinnyśmy tutaj funkcjonować. Będę powoli kompletowała kadrę, która poprowadzi ze mną to ogromne przedsięwzięcie. Znosi się nieźle. Natomiast Tarik, mając ogromny dar przekonywania i obycie wśród wyższych sfer, zajmie się dalszym poszukiwaniem sponsorów.

– Potrzebujemy darmowego jadła, dziewczyno. Proszę cię, pojedź tam – namawiała przyszywana ciotka.

– To farma jakiegoś rozbisurmanionego księcia Al-Sauda! – Wafa była przerażona. – A jeśli go znam? Jeśli on mnie rozpozna i zdemaskuje?

– To młody wielmoża, a młody z młodym najlepiej się dogada. Jeśli tutaj mieszka, to może jest prostym farmerem i porządnym gościem, który nie chce nurzać się w rozpasaniu z krewnikami w stolicy i mieć z nimi do czynienia. Mogę jako obstawę dać ci Isrę. Zaczęła ponoć trenować sztuki walki, korzystając z filmików w internecie, więc będzie twoim *bodyguardem*.

– Żartujesz? Chłopak ma mieć ochroniarzkę babę?

– Nie żartuję. Byli tacy wielcy politycy na tym świecie, którzy otaczali się gwardią żołnierek, a one ich tak uwielbiały, że zasłaniały własną piersią, niejednokrotnie oddając za nich życie.

– To nie jest pocieszające. Pojadę z prawie ślepyim, zezowatym kierowcą, ale bez jego wnuczki. Jak mnie ktoś w takiej asyście zobaczy, to zabije śmiechem. Czemu nie chcesz mi towarzyszyć?

– Każdy ma swoje zadanie. Zapomniałaś, że dzisiaj przyjeżdża kolejnych czterdzieści kobiet? Chcesz się ze mną zamienić?

– Nie, nie! Dziękuję. Odwiedzę go, niech ci będzie. Czyli mówisz, że jest młody? – Mocno zaniepokojona ciągnęła za język jeszcze na odchodnym.

– Tak, jakieś dwadzieścia czy dwadzieścia parę lat. Hoduje konie arabskie, uprawia warzywa i owoce, róże damasceńskie i miód, ma swoje prywatne zoo i farmę przepiórek. A te jajka, które tak nam wszystkim smakują, to rzeczywiście od kur z wolnego wybiegu. Jak ich jakiś lew nie zeżre, to znoszą jajka ponoć na terenie całej farmy.

Anud udało się zainteresować Wafę, ale i przebiegle wysłać do człowieka, w którym młoda mogłaby znaleźć przyjaciela, a może i przyszłego męża. Ten Al-Saud był w okolicy ogromnie szanowany i lubiany, ponoć też zupełnie nietypowy. Niektórzy twierdzili, że to przez jego kalec-two, inni – że po prostu urodził się dobrym człowiekiem.

Księżniczka jednak stchórzyła i wzięła ze sobą Isrę, która od czasu zatrudnienia się w ośrodku zmieniła styl bycia i ubioru i stała się pewną siebie młodą kobietą. Nawet zaczęła

myśleć o studiach, które od zawsze wydawały jej się na nic. Pojechały zatem razem pod miasto, najpierw dobrą asfaltową dwupasmówką, a potem drogą wiejską otoczoną szpalerem wysokich eukaliptusów.

– Ależ pięknie! – zachwycała się Wafa.

– Nigdy tu nie byłam – przyznała się miejscowa. – Słyszało się tylko o istnieniu tej farmy, a w sklepach widywałam opakowania z jej logo.

– A jakie?

– Jak przystało na księcia – palmy, skrzyżowane szable i takie tam.

Księżniczka od razu przypomniała sobie identyczne sygnety ojca i matki, które nosili na oficjalne spotkania. Ponoć taki sam miała dostać na osiemnaste urodziny, ale to już nie nastąpi. Serce jej drżało nie ze względu na durną błyskotkę, ale dlatego, jak potraktowała ją ukochana rodzina, a szczególnie ojciec. *Muszę o tym zapomnieć*, nakazywała sobie, bo łyzy szczypały ją już pod powiekami. *Muszę się z tym pogodzić. Raz na zawsze.*

Prawie ślepy dziadek całkiem sprawnie i ostrożnie prowadził samochód po pustych drogach. Nawet udało mu się równo zaparkować przed głównym wejściem do wielkiego pałacu wykonanego z piaskowca. Rezydencja od frontu wyglądała imponująco, a księżniczka nie chciała sobie nawet wyobrazić, jakie luksusy muszą być w środku. Kiedy przekroczyła próg, zobaczyła niewielką fontannę w obszernym, strzelistym lobby, lecz – o dziwo – umeblowania mało, a jak już, to rustykalne, z litego drewna i surowej skóry. Bez złocen, przepychu i nikomu niepotrzebnych zdobień.

– Zapraszamy panicza na taras. Księżę oczekuje. – Służący ubrany w zwykły uniform, a nie liberię, uklonił się uprzejmie i wskazał drogę.

– A ja co? – wystraszyła się Isra, która z zachwytem lustrowała każdy detal.

– Chodź, siądziesz gdzieś z boku – poinstruowała ją Wafa. – Tylko się nie odzywaj.

Kiedy dziewczyny wyszły na wielki, może pięćdziesięciometrowy taras, stanęły jak wryte i z zachwytu aż otworzyły buzie.

– *Wallahi...* – wymamrotała wieśniaczka. – Nie wiedziałam, że u nas może być tak cudownie.

– Jakby ktoś ten pejzaż namalował, to powiedzieliby, że kicz. – Wafa nie zauważyła siedzącego w fotelu w pewnej odległości mężczyzny, który z zainteresowaniem przyglądał się przybyłym, a szczególnie chudemu chłopcu w *tobie*, bo coś mu w jego wyglądzie nie pasowało.

Szczyty Hidżazu zakrywała lekka różowa mgiełka, dając obraz niczym spod pędzla impresjonisty. Z frontu tarasu nie było ogrodu ani angielskiego, ani francuskiego, żadnych przyciętych fikuśnie żywopłotów czy klombów róż, lecz rosły tu różnorakie kolorowe rośliny, a z drabiniastego wozu, który służył za wielką donicę, zwisały wielkie kule hortensji, otoczone przez fiołki i bławatki. Wszystko rosło jakby samopas, widać jednak, że nie był to bałagan, lecz ktoś zasadził rośliny w swoistym porządku. Między chaszczami hibiskusów i pnących się po galerijkach bugenwilli stały drewniane zydle i ławeczki oraz duże drewniane kubły z chochlą w środku, by polewać wodą siebie czy ogród. Za tym sporym roślinnym miszmaszem biegła zwykła, bita droga, wiodąca w prawą i lewą stronę, zapewne na zwierzęcą farmę czy uprawne pola. Za nią na wprost znajdował się sad, z kwitnącymi o tej porze roku jabłoniemi, gruszkami i śliwami, a wśród drzew stała pasieka, przy której właśnie pracowali bartnicy. W tle tego sielskiego obrazka wyrastały wzniesienia, ale nie skaliste, zimne, nieprzychylne i martwe, lecz pokryte winną zieloną latoroślą, która pięła się w górę po ustawionych równymi rzędami stelażach.

– Witam, Tariku. Jestem Husni. Nazwiska nie musisz podawać. – Księżę wstał i wyciągnął dłoń do Wafy, a ta uściśniła ją, konstatując ze zdziwieniem, że ma szorstką

i spracowaną prawicę. – Słyszałem o waszej wspaniałej inicjatywie.

– Podjęliśmy się z mamą... – Młoda od razu się zdemaskowała i gryzła w język ponieważ, a gospodarz już był w domu, bo domyślił się, że ma przed sobą dziewczynę, a nie delikatnego saudyjskiego chłopaka, choć męska suknia miała mu zaćmić jasność oceny. – Nie lada wyzwanie przed nami – kontynuowała gąska, na domiar złego czerwieniąc się aż po samą grzywkę.

– Świetnie, że następcą tronu zdecydował się oddać ten pustostan na jakiś zbożny cel. Aż dziw bierze. – Wspomnienie ojca znów złapało księżniczkę za gardło. – Zapewne robi to tylko dla reklamy i polepszenia swojego wizerunku, a nie z dobroci serca. – Mężczyzna pogardliwie wydał wargi. – Ale dobre i to – ostatecznie skwitował, uśmiechając się wyrozumiale. – Pozwolisz, że zrzucę ten oficjalny strój? – Pokazał na białą szeroką *galabiję*, pod którą widać zwykłe, europejskie ciuchy, a Wafa tylko potaknęła, bo cała ta sytuacja, a szczególnie ten facet, wprawiała ją w nie lada zakłopotanie.

– Ja też się przebiorę – oświadczyła, po czym wzięła nogi za pas i pobiegła do auta *ściągnąć tobę* i nałożyć swoją ulubioną szeroką bluzę.

*On i tak już wie*, podsumowała z trzepoczącym w piersi sercem. *Będzie chciał, to z łatwością mnie wsypie. Sam ujawnia swoje negatywne podejście do władzy i mojego przekłętego ojca, więc może mogę sobie pozwolić na szczerość.*

Kiedy dziewczyna wróciła na taras, odkryła trochę przygarbionego farmera w wytartych dżinsach, kraciastej koszuli, narzuconej na szary podkoszulek, i szerokim kowbojskim skórzanym kapeluszu. Podobał jej się, pociągał ją swoją szczerością, pogodnym, ale i rozważnym spojrzeniem, a także podejściem do świata. Postanowiła się o nim jak najwięcej dowiedzieć.

– Twoją ochroniarcę wysłałem do kuchni, do jej dziadka, który aktualnie opycha się tam słodyczami – poinformował książe. – Może przejedziemy się po mojej farmie, to określisz, co ci potrzebne.

– Pierwsze widzę, żeby jakiś książe był prawdziwym farmerem – z niedowierzaniem stwierdziła młódka. – Sam tutaj mieszkasz? Bez rodziny? – dociekała, zanim gdziekolwiek się z tym mężczyzną ruszyła.

– Siadaj zatem. Pogadajmy. – Gospodarz wskazał na krzesło. – Czego się napijesz? Piwa czy coli?

– Proponujesz nieletniemu alkohol? – gwałtownie oburzyła się Wafa, na co Husni zareagował śmiechem.

Niezgrabnie, trochę utykając, książe podszedł do przeszklonej lodówki na napoje, wziął stamtąd dwie puszki, jedną podał jej, a potem siadł na swoim miejscu.

– Bardzo lubię piwo – przyznał się, przechylając duszkiem oszronionego heinekena. – Cieszę się, że u nas są tylko bezalkoholowe, bo inaczej pewnie zostałbym pijakiem.

Wafa spostrzegła, że się zbłąźniła, ale patrząc na jego figlarną, pogodną twarz, czuła, że się nie obraził.

– Ojciec z całą tą bandą książeńcych darmozjadów i dewiantów nigdy nie miał ochoty zbyt blisko się zadawać – zaczął wyznania młody Saudyjczyk. – Był którymś tam z rzędu synem, chyba trzydziestym, tego uhonorowanego międzynarodowymi medalami i orderami zboka, króla Abdullaha, więc mógł bezproblemowo zrezygnować z reprezentacji i życia w siedlisku zła i rozpusty, naszej wspaniałej stolicy Rijadzie. Na jego prośbę dali mu za friko ogromne połacie gruntu oszacowanego jako nieużytki. – Pokazał ręką dookoła na swój rajski ogród. – Dwadzieścia pięć hektarów ugoru.

Wafie aż dech zaparło od takich obelżywych słów pod adresem dumnego rodu Ibn Sauda, ale się nie odezwała. Za takie gadki od razu trafia się pod miecz kata. *Oby ściany nie miały uszu,*

modliła się, pocieszając, że wokół jest szczerze pole.

– Tata był według swoich braci nienormalny, bo miał tylko jedną żonę, na dokładkę nie księżniczkę, nie kuzynkę, ale zwykłą inteligentną dziewczynę. Nie uczestniczył w pijackich i narkotycznych imprezach, czy to u nas w Saudii, czy za granicą. Nie zaliczał się do takich księciuniów. – W głosie syna pobrzmiwała nieskrywana duma. – Był ogromnie zadowolony, kiedy pozwolono mu się z tego cyrku wypisać, a w momencie parafowania przez niego zrzeczenia się praw do sukcesji dostał jeszcze od króla i jego pozostałych zadowolonych syneczków górę kasy. Nie odmówił, bo wiedział, że ta ziemia, zanim zacznie dawać plony, pochłonie miliony. Niestety, nie było nam pisane szczęście rodzinne. Mama „złapała” – starał się zbagatelizować ciężar wyznania – raka i powoli tutaj dogorywała. Ojciec twierdził, że żadne chemie, radioterapie i inne wyniszczające metody jej nie pomogą, tylko hidżazański klimat, zdrowotny miód i naturalne jedzenie bez konserwantów. Może gdyby było to wczesne stadium... – Na wspomnienie tych odległych czasów smutek ogarnął młodego człowieka, a jego dobroć i wrażliwość rozczuliły księżniczkę. – Po roku gehenny, kiedy najukochańsza kobieta w naszym życiu była już tylko cieniem, kłębkim bólu i cierpienia i gdy wdrożono leczenie paliatywne, zachorowałem ja. Urodziłem się słabowity, a wtedy jeszcze doczepiła się mnie heine-medina. Ojciec najpierw wysłał mnie na leczenie do Europy, ale kiedy mi się nie polepszało i tylko nikałem w oczach, a kuracja zapowiadała się długoterminowa, znów postawił na świeże powietrze.

– Chyba miał obsesję na tym punkcie, co? – trochę niegrzecznie przerwała nowoczesna inteligentka. – Aktualnie medycyna jest na tak wysokim poziomie, że naprawdę trzeba korzystać z jej osiągnięć, a rekonwalescencję wspierać świeżym powietrzem. – Uśmiechnęła się półgębkiem, a młody stwierdził, że nigdy w życiu nie widział takiej cudnej arabskiej Giocondy.

– Poczekaj na ciąg dalszy, to dowiesz się czegoś o poziomie lecznictwa w naszym ukochanym kraju.

– No dobrze. Ale daj mi colę, proszę.

– Najpierw coś zjedz. Strasznie jesteś chuda, chłopczyku. – Księżę mrugnął porozumiewawczo, po czym podsunął Wafie pod nos wielką misę wypełnioną dojrzałymi owocami i półmisek z kruchymi ciastkami z miodem i bakaliami. Następnie snuł dalej swój wątek: – Tutaj, w szpitalu w Taif, kontynuowano terapię. Łamali, piłowali i kroili moje powykrzywiane kości w nodze, aż w końcu zarazili mnie sepsą.

– Co? Sprzedali ci gronkowca?!

– Dokładnie. Paroletnie leczenie i prostowanie mojej wygiętej nogi poszło się bujać. Doszło do komplikacji. Od kolana do stopy wystąpiły zmiany martwicze. Ledwo przeżyłem, jednak gicę trzeba było amputować.

– Przykro mi...

– Mnie tym bardziej. Kiedy wróciłem do domu, mama już nie żyła. Ojciec chciał stąd wyjechać, gdzie pieprz rośnie, i tak też zrobił. Nie zatrzymywałem go. Pozostałem tu z siostrą i naszym opiekunem, jego kuzynem, którego mój papa wyrwał z łapsk kata. Aktualnie jest u mnie szczęśliwym bartnikiem.

– Co takiego zrobił ten człowiek?

– Był i jest homoseksualistą. To wystarczy, by otrzymać w Saudii wyrok śmierci, nieprawdaż?

– A ty? Też jesteś gejem? – zaniepokoiła się zauroczona facetem młódka.

– Nie.

– Masz jakiś wyrok na sumieniu, że żyjesz na takim odludziu? – Dziewczyna wzięła księcia w krzyżowy ogień pytań. Nie poruszali miłych kwestii, ale oboje wyszli z założenia, że

trzeba sobie takie rzeczy powiedzieć raz i nigdy więcej do tego nie wracać.

– Mój wyrok to kiepskie zdrowie i proteza oraz przepełniająca mnie nienawiść do podłych ludzi, których niestety w naszym kraju jest od groma.

– Na całym świecie...

– Zgoda. Na całym świecie. Dlatego lepiej wybudować sobie swój własny, idealny świat i odseparować się od reszty, na ile to możliwe.

– Nie posądzałabym cię o takie podejście, gdyż oznacza to także ignorowanie innych, wszystkich biednych, poczciwych i uczciwych, a pokrzywdzonych. To cholerny egoizm! – wściekała się aktywistka, która ma zupełnie inne przekonania.

– Może nie... – Husni ze stoickim spokojem słuchał obraźliwych słów.

– Jeśli niczego z siebie się nie daje, to jest się większym żebrakiem niż ci, co siedzą w pyle ulic z wyciągniętą ręką. Człowiek bez serca jest najbiedniejszy pod słońcem.

– Nie zrobiłaś żadnego wywiadu? – sondował rozbawiony młodzian. – Nie przeprowadziłaś śledztwa?

– Na jaki temat?

– Mnie i mojej działalności.

– Nie mam tu żadnych wtyczek. Nie oceniam ludzi po plotkach krążących na ich temat.

– To dobrze. Jednak bezpodstawnie osądzać to trochę nie w porządku.

– Na podstawie twoich słów.

– To za mało. Gadamy ledwie chwilę...

– Powiem ci, że we dwójkę jesteśmy ułomni – wyznała podenerwowana księżniczka ze łzą w oku. – Wiele bym dała, żeby moja ułomność polegała na braku ręki czy nogi. Niechby mi je obcięli.

– To na czym ona polega? – ciągnął ją za język ciekawy mężczyzna, bo na temat prowadzących dom opieki niczego nie był w stanie się wywiedzieć.

– Zabrano mi duszę i honor. Zabrano mi rodzinę i przyjaciół. Pozbawiono mnie wszystkiego...

– Jeszcze powiesz, że cnoty – zażartował niczego nieświadomy młodzian.

Wafa na te słowa zaczęła trząść się jak osika. Teraz już jej nie zależało, czy ten mężczyzna ją zdemaskuje czy nie. Nie chciało jej się dłużej żyć w zakłamaniu i ukryciu.

– Przepraszam. – Gospodarz pokuśtykał w jej kierunku i delikatnie poklepał dwoma palcami po szczupłym ramieniu. – Przepraszam najmocniej. Nie chciałem cię urazić...

– Nie szkodzi. – Zgwałcona, pełna wstydu dziewczyna pochyliła głowę i unikała jego spojrzenia. – Pójdę już...

– Absolutnie nie! – wykrzyknął książę. – Błagam. Wesprę waszą inicjatywę. Z całego serca. – Ukląkł naprzeciwko siedzącej dziewczyny i chwycił ją za rękę. – Może widziałaś po drodze lub wiesz, że jest tutaj szkoła podstawowa imienia Umm Husni<sup>174</sup>. – Skromnie zaczął wymieniać: – Uniwersytet Umm Husni. Dom kultury. Teatr. Ośrodek zdrowia. Centrum rehabilitacji. Jestem ich fundatorem. Lubię pomagać, to całe moje życie. Niczego innego nie mam do zaoferowania.

– Ciotka coś o tym wspominała, ale wyleciało mi z głowy. – Młoda powoli dochodziła do siebie, lecz po nieoczekiwanych wyznaniach czuła się taka słaba, że nie miała siły nawet wstać. – To ja przepraszam, że tak ci nawrzucałam. Wszystko przez to twoje książęce pochodzenie. Generalizuję...

– Nie odciąłem się od mojego kraju, choć nie jestem zwolennikiem monarchii. Nie potępiam nawet mojego ojca, który żyje w Anglii i ożenił się z piegowatą Brytyjką. Wykichał się na to całe nasze saudyjskie bagienko.

– Może to jest jakieś rozwiązanie?

– Nie dla mnie.

– Dla mnie też nie...

Młodzi powoli się uspokoili, choć Wafa nadal była blada, jakby za chwilę miała zemdleć.

– Bardzo mi miło, że do mnie przyjechałaś – odezwał się Husni po dłuższej chwili. – Nie sądziłem, że będzie to takie burzliwe spotkanie. Chyba obojgu nam puściły nerwy. Dawno nie poruszaliśmy takich drażliwych tematów. Za dużo chcieliśmy sobie powiedzieć...

– Tak, zgadzam się.

– Proponuję zatem cotygodniowe dostawy warzyw, jaj, kurczaków czy przepiórek. – Darczyńca chciał pocieszyć młodą i znów tchnąć w nią życie. – Miodu zaraz zapakujemy ci do auta takie ilości, że starczy na rok.

– Dziękuję, ale nie przesadzajmy. Sama chciałabym zająć się jakimś dochodowym przedsięwzięciem. Naszym celem jest samowystarczalność. Może twój bartnik mógłby postawić u nas w ogrodzie parę uli? Są tam drzewa owocowe, choć zaniedbane. Chciałabym też hodować róże, ale nie mamy na tyle gruntu.

– Rozejrzyj się dookoła. Tu jest pełno ziemi. Za moimi polami są zaniedbane królewskie hektary. Jeśli książę koronny dał wam pałac, to chyba bez problemu odda wam w dzierżawę nieużytki?

– Mówisz?

– Jestem tego pewien! – Nagle i nieoczekiwanie Husni odnalazł w obliczu dziewczyny rysy ich władcy. Ten sam nos, brwi, rozstaw oczu... Bo Wafa to skóra zdarta z taty. – Twoja mamociocia na pewno poda dobre uzasadnienie w piśmie do jego wysokości.

Zmęczeni wyznaniem, jednak zdecydowali się na przejażdżkę po majątku księcia. Młodość dodawała im sił i energii, a także spowodowała, że zapomnieli o przykrych wspomnieniach. Kiedy sunęli po bezdrożach otwartym dżipem i czuli ciepły wiatr we włosach, powoli nerwy im się uspokajały i powracał dobry humor. Wafa zachwycała się zarówno farmą, jak i jej właścicielem. Doszła nawet do nieoczekiwanego wniosku, że ten facet mógłby zostać jej bratnią duszą.

Już następnego ranka pod Dar Alriaja podjechała półciężarówka Mitsubishi z logo farmy Umm Husni. Rzeczywiście charakteryzowały je symbole kraju i monarchii, ale nie w herbie, lecz jakby dziecko namalowało palmy i miecze na kolorowej karoserii i plandecie. Za transportowym wozem jechał odkryty dżip prowadzony przez właściciela gospodarstwa.

– *As-salamu alejkum*. – Husni z pudłem pomidorów w ręku wszedł głównym wejściem i z uśmiechem na ustach witał się ze zbaraniałymi kobietami. W domu, według zaleceń *mudiry*, pensjonariuszki chodziły w zwykłych strojach, najchętniej szerokich podkoszulkach czy obszernych bluzkach i czarnych legginsach. Włosów żadna nie obcięła na modłę Wafy, co to to nie, ale niektóre młode całkiem ich nie zasłaniały, a inne tradycjonalistki okrywały zwyczajną chustką, często związaną z tyłu na karku. Ich długie pukle, teraz błyszczące i zadbane, spływały im po plecach.

– *Alejkum as-salam*. – Pierwsza odważna, Isra, która już poznała księcia, wyszła mu naprzeciw, a reszta, jak stadko przerażonych gęsi, rozbiegła się po pokojach.

– Do twarzy ci w tym stroju – zauważył Husni, patrząc na jej paramilitarny uniform – portki moro z wieloma kieszeniami i koszulkę khaki. – Masz odpowiednią sylwetkę – dodał bez skrępowania, a góralka spiekła raka na taki komplement.

– *Szukran dżazilan*. – Uśmiech satysfakcji wykwitł na jej ustach, bo jako jedna

z nielicznych tutejszych kobiet jest wysoka, szczupła i wysportowana, a długie nogi i wąska kibić dopełniają całości.

– Zaprowadzisz mnie do pani dyrektorki? – poprosił księżę, bo po to tutaj przyjechał, choć nie tylko. Przede wszystkim pragnął zobaczyć Wafę, by zorientować się, jak się czuje i czy czasami się na niego nie gniewa.

– Pewnie! – odpowiedziała Isra, odbierając od niego ciężką pakę, którą chwyciła jak piórko. – Baby, do rozładunku! – udarła się w kierunku pokoi rozkazującym tonem. – Nie lenić się! Zanieść towary do kuchni! – poinstruowała, a następnie miło zwróciła się do darczyńcy: – Następnym razem wóz z dostawą niech podjedzie od zaplecza. Tam mamy garkuchnię.

– Witam panią. – Husni wszedł do przytulnego, urządzonego damską ręką gabinetu kierowniczkim i skłonił głowę. – *Ahlan wa sahlan* – pozdrowił siedzącą w fotelu Wafę, która po domu już nie nosiła spinających piersi sportowych biustonoszy, lecz zwykłe bawełniane, przez co doskonale widać było przez materiał podkoszulka ładne młodzieńcze piersiątko.

– Bardzo mi miło, księżę. – Anud stanęła przed biurkiem z wyciągniętą dłonią, którą mężczyzna delikatnie uściśnął. – Tarik powiedział mi, że zaoferowałeś nam ogromną pomoc. Jesteśmy ci bardzo, ale to bardzo wdzięczne... wdzięczni. Siądź, proszę.

– Przywiozłem umowę, którą przygotował mój księgowy i zarazem bartnik – zagaił miło Husni. – My też ograniczamy koszty i jeden człowiek pracuje na paru etatach.

– Wspomniałaś. Ponoć podsunąłeś... – Anud już całkiem nie wiedziała, jak ma nazywać swoją pomocnicę: Tarik, jak sobie ustaliły, Aisza, według lewych dokumentów, czy Wafa, prawdziwym imieniem. Jej podopieczna wyznała, że zaraz na początku wizyty u farmera wydało się, że jest dziewczyną. – Pasięka i produkcja olejku różanego mogłyby nas uratować – udało jej się wybrnąć. – Wiesz, budżety na tego typu państwowe instytucje są minimalne.

– Żebyście się za bardzo nie martwiły, dorzucam jeszcze czek. Tak na początek. – Księżę wyciągnął mały papierek z napisaną na nim sześciocyfrową kwotą. – Mój buchalter to łebski facet i jak mu tylko wspomniałem o waszej idei samowystarczalności, poddał mi milion pomysłów.

– Nasza kontystka też ma łeb na karku. – Wafie nie było w smak, by wyglądało, że u nich są same sieroty i idiotki. – Wspominałeś, że jesteś fundatorem szkoły, uniwersytetu, centrum medycznego... już nie pamiętam, czego jeszcze. Może znalazłoby się tam miejsce dla anglistki, ekonomistki, informatyczki czy przedszkolnej nauczycielki? Mamy jeszcze na składzie – zażartowała – położną i farmaceutkę. Nasze panie mogłyby zarabiać.

– A co z wyrokami? Przeważnie w takich domach są internowane kobiety...

– Bezprawnie – natychmiast ucięła Anud. – Wszystkie, które u nas mieszkają, albo odbyły karę, zresztą niewspółmiernie wysoką do przewiny, albo były przetrzymywane bez orzeczenia sądu. Może z czasem tak się zmieni w naszym kraju, że będą mogły opuścić mój ośrodek i żyć samodzielnie, niekoniecznie wychodząc na wolność dzięki aranżowanemu małżeństwu przeważnie z jakimś biedakiem, którego nie stać na normalny związek, a często ze zbrojnym i sadystą, który traktuje kobiety jak niewolnicę.

– Liczymy na nowatorskie posunięcia następcy tronu, jego księżęj mości Mustafy bin Saliha. – Księżę z zainteresowaniem rzucił okiem na Wafę, która za każdym razem, słysząc imię ojca, sztywniała. – W końcu dzięki niemu tu jesteście i otwieracie dom pomocy dla kobiet w całkiem nowej formule. W pierwszej kolejności wszystkie tego typu miejsca należałoby zreformować na wzór waszego.

– Co byś powiedział, księżę... – Anud wpadł pewien pomysł do głowy.

– Proszę już dać spokój z tym księciem – przerwał jej mężczyzna. – Husni jestem.

– Zatem, Husni, chciałybyśmy cię zaprosić na oficjalne otwarcie naszej placówki –



wypaliła *mudira*, a Wafa spojrzała na nią ze zdziwieniem. – Spodziewamy się delegacji z Rijadu. Jakichś dwóch ważniaków z lekarką. Może dobrze by było, by zobaczyli, że lokalna społeczność nas wspiera?

– Świetnie! Genialny pomysł! – Przyklasnął młody z euforią. – Przygotujcie zaproszenia dla gubernatora prowincji i naszego burmistrza. Prześlę wam też dane rektora uniwersytetu, dyrektorów firm i korporacji, właściciela tej paskudnej wieży w centrum miasta, lokalnych sieci handlowych i ze stu innych.

– To za dużo! – Księżna aż chwyciła się za głowę. – Nie chcemy się tak afiszować. Paru cichych, dyskretnych sponsorów nam wystarczy. To nie państwowa gala.

– Okej. Pozwólcie zatem, że to ja przyprowadzę kilku znanych mi, porządnych i uczciwych filantropów. Macie do mnie na tyle zaufania? – Husni spojrział na Wafę, a ta odetchnęła z ulgą.

– Tak już lepiej – po raz pierwszy tego ranka dziewczyna zabrała głos. – Chodź, sponsorze, pokażę ci pokoje na piętrze, które chciałabym zamienić w dyskretny babski hotel.

– Jedna prośba. – Anud jeszcze zatrzymała młodych w drzwiach. – Mógłbyś na inaugurację przyjść w *tobie*? – Obrzuciła księcia surowym wzrokiem od stóp do głów, dając do zrozumienia, że styl farmera jest dobry na co dzień.

– Oczywiście! Znam procedury i konwenanse – zaśmiał się młody. – Nawet założę mój książęcy sygnet. I brylantowe spinki!

\*\*\*

– Proszę cię, w środkach transportu publicznego musisz nosić tradycyjny strój. – Hamid ma urwanie głowy z tymi swoimi babami. – W samochodzie czy międzynarodowej szkole, a także po domu nikt nie wymaga od ciebie noszenia *abai*, ale w przestrzeni publicznej jest taki nakaz. Nic na to nie poradzę.

– Tato, mam chłopięcy strój, fryzurę, chód... – Nadię niełatwo przekonać do czegokolwiek, nawet jak jest to jasne jak słońce.

– Masz dziewczęcą urodę i nic tego nie zmieni. – Ojciec jest mocno podenerwowany, mięsień w policzku pulsuje mu rytmicznie. – Masz paszport i *iqamę*175 wystawione na dziewczynkę o imieniu Nadia, więc nie pierdol mi tutaj farmazonów! – Wygląda, jakby chciał córce spuścić manto.

– Po co mnie w ogóle ze sobą zabrałeś? – Nerwuska nie wytrzymuje zaraz po starcie samolotu. – Żebym się przeleciała?!

– Chcę, żebyś zobaczyła, jak żyją w Saudii inne dziewczyny i kobiety. Co może spotkać człowieka...

– Kobietę – przerywa córka. – To według was, Saudów, nie człowiek.

Na tę przycinkę nowoczesny ojciec ciężko wzdycha.

– Dobrze by było, żebyś była świadoma, jak bardzo może zostać skrzywdzona niewiasta w naszym kraju. Za nic może być aresztowana, uwięziona i przetrzymywana do końca życia w miejscu odosobnienia.

– To spotyka prymitywy ze wsi, biedaków, nieudaczników... – neguje młoda, bo dzisiaj w stosunku do ojca jest całkiem na „nie”.

– A Wafa? – strzela Hamid i trafia krnąbrną dziewczynę prosto w serce. – To też prymityw, biedota?

– Ona z kolei była za wysoko urodzona.

– Może nasz kraj jest specyficzny, ale to moja i twoja ojczyzna. Trzeba się nauczyć tu żyć.

– Nie. Trzeba stąd wypierdalać, tatuśku.

– Kiedy będziesz pełnoletnia, pojedziesz, dokąd zechcesz. Ale chciałbym, żebyś do tego czasu zrewidowała swoje postępowanie, moja pannico. Przemyślała sobie pewne rzeczy i do niektórych się dostosowała. Żebyś dożyła tej osiemnastki – straszy w końcu ojciec, bo już nie może wytrzymać z krnąbrną dziewczuchą.

– Też mi coś. – Nadia prycha, obraca się plecami i postanawia nie odzywać, choć przy jej temperamencie milczenie graniczy z cudem.

– Przeglądniej materiały, które dla ciebie skompletowałem. Dar Alriaja, domy opieki dla młodych, i Dar Aldijafa, domy gościnne dla starszych kobiet. Do jednego z nich właśnie się udajemy.

– Gównu mnie to obchodzi! – Odręca tablet, który podsuwa jej ojciec.

Hamid wstaje i postanawia się przejść, postać w strefie dla stewardes, napić się wody, żeby ochłonać. *Miriam powinna była zabrać córkę ze sobą*, podsumowuje, wściekły. *To chamstwo, że zostawiła mi tę rozpuszczoną pannicę, do której nic nie dociera. Ani groźbą, ani prośbą nie idzie jej przekonać.*

Kiedy po dobrej półgodzinie wraca na miejsce, widzi, jak przyszywany dziadek wertuje razem z dziewczyną materiały. Młoda ma twarz chmurną i zde gustowaną, ściągnięte brwi i zaciśnięte usta. *Terapia szokowa*, stwierdza ojciec, który nigdy nie był dobrym psychologiem. Zebrał w plikach zdjęcia z ośrodków, cele, korytarze, izolatki, ale także fotografie z przesłuchań, nagranie z wymierzania kary batów, a nawet ukamienowania. Uważa córkę za osobę stojącą na pograniczu młodzieńczej głupoty i dojrzałości, dlatego postanowił wprowadzić ją w świat dorosłych, do którego młoda tak pragnie wkroczyć, tyle że na swój sposób. Siada na miejscu Aszrafa przy lekarce, która ma beżowy, dopasowany do figury płaszcz i odsłoniętą, miłą twarz.

– Jest pani internistką czy ginekolożką? – zagaduje.

– Internistką. W zasadzie chirurgiem. Mam dwie specjalizacje.

– To znaczy, że potrafi pani opatrzyć rannego?

– Oczywiście. A przewiduje pan, że się skaleczymy?

– Zatrzymamy się na jedną noc w Dżeddzie w Sheratonie. – Binladen całą trasę ustawił pod swoim kątem. – Odpoczniemy, zjemy dobrą kolację, a potem można pójść nad basen lub na plażę – zachęca zaskoczonych towarzyszy.

– Ale po co? – Aszraf zwyczajnie jest ciekaw. – Zarezerwowaliśmy już przecież pokoje w Inter Continental w Taif. Nie jesteśmy jakoś szczególnie zmęczeni.

– Mam tutaj coś do załatwienia. Poczekacie na mnie.

– To przedłuży nam wyjazd – ostro oponuje lekarka. – Wie pan, panie ministrze – przybiera oficjalny ton – ja mam rodzinę, męża, dzieci. Nie chciałabym, żeby mieli do mnie pretensje. Jakies podejrzenia. Jutro miałam już być w domu.

– Wracamy pojutrze – decyduje Binladen głosem nieznośnym sprzeciwu. – Jak sobie to wyobrażaliście? Może te kobiety przygotowały się na nasz przyjazd. Przyrządziły poczęstunek, kolację.

– To w takich karcerach można zrobić jakąś imprezę? – ironizuje Nadia.

– Jedziemy do pałacu królewskiego Szubra. To pierwszy taki ośrodek, może pierwsza nadzieja na zmiany.

– Muszę zadzwonić do męża. – Lekarka nie jest zadowolona.

– Oczywiście. Nie widzę problemu.

Na tym Hamid kończy dyskusję, a wszyscy już wiedzą, że ich pobyt w Prowincji

Zachodniej będzie się odbywał pod dyktando tego faceta.

– Jutro rano proszę się nie oddalać z pokoi. – Wieczorem po kolacji zjedzonej w milczeniu minister wydaje kolejny rozkaz. – Proszę czekać na informację ode mnie, potem natychmiast zostawić klucze w recepcji i iść do samochodów. Będą czekały przed wejściem.

Nie spotyka się już z żadnym komentarzem, ale w oczach córki widzi niechęć i przekorę. Znowu żałuje, że ją zabrał, ale to już musztarda po obiedzie.

– Idę na plażę! – Nadia wparowuje do pokoju ojca z samego rana i staje w progu z otwartą buzią.

Hamid Binladen jest ubrany jak na akcję. Ma wprawdzie na sobie białą *tobę*, lecz przez cienki materiał prześwitują kamizelka kuloodporna i wojskowe portki. Glock wisi w kaburze na biodrze. Obok niego stoi dwóch osiłków, którzy kamizelki taktyczne mają założone na białe suknie, zaś przez ramię przerzucone karabiny maszynowe. Co rusz odruchowo poprawiają kraciaste biało-czerwone chusty. Ojciec dziewczyny narzuca na siebie elegancki satynowy płaszcz, zakrywając uzbrojenie, po czym stwierdza krótko:

– Raczej nigdzie nie pójdziesz, córko.

– Był jakiś zamach terrorystyczny? – Młoda jest nie na żarty wystraszona. – Kogoś odbijacie?

– Jedziemy do więzienia Dahban po pewną osobę i chciałbym, jak już wcześniej wspomniałem, byście byli gotowi do drogi, kiedy tylko do was zadzwonię.

– Oczywiście. Mogłeś szczerze powiedzieć, co jest grane. Będziemy czekać wszyscy w jednym pokoju. U dziadka. – Teraz nastolatka już pokornie poddaje się wszystkim dyrektywom.

Minister z duszą na ramieniu podjeżdża pod więzienie o zaostrozonym rygorze. Nie ma pojęcia, jak przebiegnie ta akcja. Czy jego przyjaciółkę wypuszczą dobrowolnie, czy będzie musiał użyć szantażu i straszenia następcą tronu? Na razie nie ma zamiaru informować go o swojej inicjatywie ani o przebiegu śledztwa, nie wiedząc, jaka będzie reakcja, gdyż wcześniej musi uwolnić przynajmniej tę kobietę. Wyrok na nią może zostać wydany w każdej chwili i na pewno będzie skazujący, więc nie może bawić się w procedury i tracić cennego czasu. Tu każda minuta jest na wagę życia.

– Przyjechaliśmy po więźnia numer 1409 T – ogłasza dyrektorowi Dahban, który nie jest zbytnio zadowolony, widząc ministra sprawiedliwości w swoich progach. – Kamila Alsudi – dorzuca Hamid, wiedząc, że jej imię najprawdopodobniej zostało utajnione.

– Nie ma takiej możliwości – od razu odparowuje, dobrze się orientując, o kogo chodzi. – Więzień jest zakwalifikowany jako ściśle tajny i tym samym nie ma opcji ani przeniesienia, ani zwolnienia. Jest do dyspozycji GID i wydziału antyterrorystycznego. Terrorysty panu nie wydam.

– Czyje to polecenie? – indaguje Binladen, wiedząc już, że ma przed sobą współpracownika parszywego zdrajcy. – Abu Isy?

– A jeśli? To dyrektor saudyjskiego wywiadu – odważnie pyskuje facet, sądząc, że jest bezkarny.

– To wyższe stanowisko niż minister sprawiedliwości? – indaguje członek rządu.

– Inny zakres działania. – Facet dalej się stawia.

– Pan Abu Isa nie ma już żadnego zakresu działania. Został zrzucony ze swego stołka

i aktualnie przebywa w jeszcze gorszym karcerze niż major Kamila Alsudi. – Saudyjczyk wybałusza na Binladena swoje wielkie, czarne oczyska, przewidując, co zaraz nastąpi. – Przekona się pan, że nie kłamię, bo niedługo sam do niego dołączy. Oto pana odwołanie.

Za drzwiami czeka już na nich zastępca dyrektora więzienia i od tej chwili nowy szef tej placówki. Obok niego stoi dwóch kapo z pękami kluczy i kartami magnetycznymi. Odbędą długą drogę do podziemi, gdzie mieszczą się izby tortur i kaźni oraz izolatki. W jednej z nich czeka na wybawcę niesłusznie uwięziona kobieta, funkcjonariuszka wywiadu, skatowany strzęp człowieka, w którym życie już ledwo się tli.

Kawalkada trzech czarnych, wielkich i wypasionych limuzyn w niespełna pół godziny pokonuje trasę z Dżeddy do Taif. Nadia jedzie z dziadkiem i lekarką, a Hamid z Kamilą. Na przednim siedzeniu każdego z aut obok kierowcy siedzi uzbrojony ochroniarz. W trzecim aucie, które służy za taran w razie drogowych korków, są tylko szofer i żołnierz. Jadą oni przodem, jedynie od czasu do czasu włączając policyjny sygnał, gdyż górskie drogi nie zaliczają się do szczególnie zatłoczonych. Organizatorowi niezwykle się spieszy. Transport rannej jest ogromnie ryzykowny dla jej zdrowia i przyjaciel jak najszybciej chce oddać ją w ręce asystujących im medyków, a potem po cichu załatwić miejsce w lokalnej klinice. Kiedy zatrzymują się przed hotelem, z samochodów wysiadają wszyscy z wyjątkiem Binladena i Alsudi, która sama nie jest w stanie wykonać ani kroku. Obsługa podjeżdża pod mercedesa wózkiem inwalidzkim. Sam minister razem z ochroniarzem przenoszą kobietę i delikatnie sadzają w fotelu, a ona stara się nie wydać z siebie żadnego dźwięku, ni jęku, ni krzyku, choć te cisną jej się na usta. Odziana jest w obszerną *abaję* i *nikab*, a podbite, wypełnione krwawymi wylewami oczy zasłania czarna siateczka. Towarzysząca ministrowi trójca ma wzrok skupiony i poważny, wszyscy wstrzymują oddech, zastanawiając się, czy zaraz nie zostaną wylegitymowani, a może nawet uwięzieni. Co ten człowiek wyprawia? Tego jeszcze nie wiedzą, ale liczą, że niebawem wszystko stanie się jasne. Lekarze trzymają w dłoniach torby medyczne, z którymi prawie nigdy się nie rozstają, a teraz mają pewność, że wykorzystają wszystkie środki, które się w nich znajdują. Nikt nie zatrzymuje grupy, konsjerże, recepcjoniści i menedżer hotelu kłaniają im się w pas, co chwilę życząc panom ministrom udanego pobytu w ich hotelu i mieście. Klucze i wszelkie formalności sprawnie załatwia ochrona. Błyskawicznie wjeżdżają windą na piąte piętro. Ochroniarz wskazuje apartament ministra sprawiedliwości, a ten bez słowa, pokazując jedynie palcem, każe wwieźć do niego również Kamilę. Lekarze i Binladenówna bez pardonu idą za nimi, zaś wojacy, znając swoje miejsce, lokują się po drugiej stronie drzwi.

– Hamid! – Kamila już nie wytrzymuje, zrywa z głowy nakrycie i wyciąga trzęsące się ramiona do przyjaciela. – Dziękuję ci... Ratujesz mi życie.

– Ciocia?! – wykrzykuje Nadia, którą poraża widok zmasakrowanej twarzy, skancerowanych dłoni i palców pozbawionych paznokci. Opatrunki i bandaże założone przez dobrą medyczkę Munę w większości już się podklejały, a nowych nikt chorej nie założył.

– Dziewczyno... Kamilciu... – Aszraf usiłuje zapanować nad rozpaczą.

Lekarka stwierdza, że niefortunnym zbiegiem okoliczności towarzyszy tej delegacji, lecz serce jej się kraje na widok ofiary, więc zrzuca płaszcz i sięga do swojej torby. *Miałam tu być tylko rutynowo, żeby kontrolować ich działania. Zastanawia się, co dalej począć. Muszę zadzwonić do Abu Isy, bo to jakaś grubsza, śmierdząca sprawa*, decyduje.

– Hamidzie! Zawołaj tych swoich mięśniaków. – Teraz stery przejmuje doświadczony medyk Aszraf. – Niech przeniosą naszą pacjentkę i położą do łóżka. A potem wynocha – stwierdza kolokwialnie, bo jak nigdy nerwy go ponoszą. – Doktor Gajda, jakie antybiotyki wzięła

pani ze sobą? Ma pani sole mineralne? Potas? Przeciwbólowe?

Nadia siedzi w salonie, patrząc niewidzącym wzrokiem przed siebie. Ojciec jest obok córki, której dzisiaj dał nieoczekiwaną lekcję dorosłości. W najgorszym scenariuszu nie przewidział, że jego towarzyszka będzie w aż tak opłakanym stanie. Lekarze próbują zatrzymać życie uchodzące ze zmalretowanej kobiety.

– Mam adrenalinę, jakby co – Gajda informuje starszego kolegę. – Nitroglicerynę też. – Boi się, że serce ofiary może się w każdej chwili zatrzymać.

– To silna babka, da radę – pociesza Aszraf. – Musimy ją naćpać. Jeszcze jedna fala bólu może ją zabić. Jakbym miał ją na oddziale, zdecydowałbym o wprowadzeniu jej w stan śpiączki farmakologicznej.

– Narkotyki obniżą ciśnienie. Ryzykowne.

– Mnie już nic nie przestraszy – ostatkiem sił szepcze Kamila, która jakimś cudem słyszy rozmowę. – Podejmijcie ryzyko... W razie czego Binladen pozbędzie się ciała. – Krzywo wygina usta w tragicznym uśmiechu.

– Nie ma takiej opcji – z przekonaniem oznajmia doktor. – Naszym powołaniem jest walka i wygramy ją – podbudowuje chorą, która ostatecznie odpływa w niebyt, zapadając w narkotyczny sen.

Do południa, kiedy z wszystkich minaretów rozlega się głos wzywającego na modlitwę muezina, pacjentka zostaje w miarę możliwości opatrzona, a jej stan ustabilizowany. Miarowo oddycha i spokojnie śpi. Do jej żył sączą się ożywcze sole mineralne, antybiotyk oraz oczywiście silne środki przeciwbólowe.

– Zostanę z nią. – Doktor Gajda bierze na siebie odpowiedzialność, ale przede wszystkim szuka sposobności swobodnego skontaktowania się ze swoim szefem i skonsultowania z nim dalszych poczynań. – Zaszczycie ośrodek obecnością dwóch ministrów, lekarz nie jest im tak bardzo potrzebny. Jeśli mają jakieś ostre przypadki, to niech idą do ośrodka – pokpiwa. – Jutro przed wyjazdem z samego rana do nich zajrzę.

– Dziękuję pani. – Hamid z wyrazem wdzięczności chyli czoło.

– Jestem lekarzem. Kobiety też składają przysięgę, więc nic takiego szczególnego nie zrobiłam. Mógł pan tylko mnie uprzedzić, ministrze. – Tytuł polityka wypowiada z nieskrywaną niechęcią.

– Nie mogłem – krótko kwituje Binladen, obracając się do niej plecami.

Nadia i Aszraf, niespotykane cisi, czekają już na niego.

– Może spotkacie w Dar Alriaia kogoś znajomego – ogłasza konspirator, niezadowolony z kolejnej, może równie traumatycznej niespodzianki. – Tylko proszę was o powstrzymanie się od żywiołowej reakcji. Najlepiej w ogóle nie reagujcie.

Czarne wielkie reprezentacyjne auta podjeżdżają pod główne wejście byłego królewskiego pałacu Szubra, a aktualnie domu opieki Dar Alriaia w Taif. Honorowi goście zostają wprowadzeni po czerwonym dywanie i powitani przez dyrektorkę obiektu, ubraną nowocześnie, w stonowanych barwach, z luźno zasłoniętymi włosami i odsłoniętą twarzą. Zaraz za nią stoi Isra, która uważa się tu za naczelnego *bodyguarda*, a obok reprezentacyjne wykształcone kobiety – anglistka, ekonomistka, farmaceutka i nauczycielka. Żadna nie ma na sobie czarnej *abai*, żadna nie ma *nikabu*. Takie reguły wprowadziła ich *mudira* i nikt tu nie ma zamiaru ich łamać. Księżna Anud dziś rano dostała krótkiego maila z nazwiskami i stanowiskami

gości, więc trzęsie się na myśl, że ten minister sprawiedliwości uzna, iż trzeba wprowadzić bardziej represyjne zasady, a może którąś z jej pensjonariuszek z powrotem wrzuci do więzienia? I czego szuka u niej ten doktorek? Zapewne konował, a nie lekarz, bo tacy zazwyczaj dostają fotel w rządzie. Może zamkną jej ośrodek, bo powiedzą, że nie spełnia wymogów sanitarnych? *Laska pańska na pstrym koniu jeździ*, boi się organizatorka. *Może następcy tronu już się odwiedziało? Może znów chce swą córkę widzieć za kratami?* Rozmyślania przestraszonej kobiety przerywa widok uśmiechniętego księcia farmera. Anud oddycha z ulgą. Jest dziś wysztyftowany jak stróż w Boże Ciało i wygląda na typowego możnowładcę. Jednak nie robi odpychającego, dumnego grymasu, jak większość z rodu Ibn Sauda, lecz z oczu biją mu dobroć i radość.

– Zapraszam panów do środka. – Księżna pokazuje kierunek oficjalnym gościom. – Panie usadowią was na vipowskich miejscach. – Potem chwyta młodego księcia za łokieć i szepcze błagalnie: – Sprawdź mi te nazwiska, kochany synku, bo nawet nie wiem, co mam powiedzieć w przemówieniu i jak wejść im do dupy.

Po chwili do środka wchodzi wściekła Binladenówna, potykając się podczas dopinania ostatnich zatrzasek swojej pięknej *abai*. Z naprzeciwka, zza pleców *mudiry*, wyłania się również spóźniona Wafa, która także miała problem ze strojem. Czy nałożyć *tobę*, jak saudyjski chłopiec, czy nowoczesny strój kobiety, jak jej towarzyszki, czy może swoją ulubioną bluzę i džinsy? Postawiła na czarną bluzę Nike i džinsy. Jak na komendę w tym samym momencie przyjaciółki podnoszą wzrok i nie mogą już oderwać od siebie oczu. Nie wiedzą, co począć. Chciałyby się sobie rzucić w ramiona, ale Nadii ojciec zabronił, a Wafa nie może się zdekonspirować.

– Płaszcz można zdjąć. – Księżna niczego nie zauważa i wyciąga rękę po okrycie nieznajomej. – Taki drogocenny zamkniemy w moim biurze pod kluczem. – Oczywiście błyskotki dostrzega od razu. – Pani z kim przyjechała? – Podśmiewuje się pod nosem, bo przybyła pod czarną materią ma prawie identyczne sportowe ciuchy jak jej protegowana. Spod kaszkietu z nadrukiem NY sterczą równie krótkie włosy. – To taki nowy rijadzki styl, nieprawdaż?

– Co się w tej stolicy wyprawia? – do kpinek dołącza Husni, który odrywa się od internetu, gdzie cały czas szuka informacji na temat przybyłych ministrów.

Nadia niepewnie wchodzi na wielką salę, a zauważając ojca i dziadka w pierwszym rzędzie, dosiada się do nich.

– Słuchajcie, dziewczyny – zaczyna młody książęcy poplecznik. – Nie jest dobrze. Ten minister zdrowia, choć prawdziwy lekarz i pracuje w największym i najlepszym szpitalu w Rijadzie, to także syn byłego ministra spraw wewnętrznych, czytaj: безпеki i szefa wywiadu.

– *Wallahi!* – Anud załamuje ręce, a uszczęśliwiona Wafa, słuchając jednym uchem, dyskretnie wychyla się przez próg i obserwuje swoich dawnych przyjaciół. – Czego on tu szuka?! – Księżna jest bliska płaczu. – Na pewno chcą nas ugotować. Mówię wam!

– Hamid Binladen to minister sprawiedliwości na ostatnich nogach – kontynuuje domorosły detektyw. – Na wielu portalach znalazłem informacje, że popadł w niełaskę. Jego dni, jako członka rządu, są policzone, więc może nam nie pomoże, ale i nie zaszkodzi. Piszą ponadto, że był odpowiedzialny za czystki w naszych ambasadach z fundamentalistycznego pomiotła. To chyba dobrze o nim świadczy?

– Nie ma co dłużej się ukrywać... – decyduje Wafa. – Nie macie czego się obawiać. Doktor Al-Rida to najwspanialszy człowiek pod słońcem. Uratował mi życie. – Husni i Anud są skonsternowani. – A pan Binladen, jeśli straci stanowisko, to tylko przeze mnie. Nadia zaś jest moją jedyną, najlepszą przyjaciółką. – Łzy pojawiają się w oczach dziewczyny i widać, że już dłużej nie wytrzyma i zaraz ryknie płaczem.

– Witam! Witam! – Zdyszany gubernator wbiega po czerwonym dywanie ze swoją

obstawą. – Przepraszam za spóźnienie, moi drodzy... – posapuje miły grubasek. – Ale kogo ja widzę! Nasz największy regionalny filantrop! – Familiarnie poklepuje księcia po ramieniu. – Co, już jesteś w zarządzie tej organizacji dobroczynnej? Ja też w to wchodzę – od razu deklaruje. – A ty, chłopczyku, czemuś taki smutny? – Bierze Wafę pod brodę i delikatnie tarmosi. – Nie przejmuj się. Będzie dobrze.

Po tych słowach wchodzi do wypełnionej po brzegi sali konferencyjnej i usadawia się zaraz przy ministrach, ściskając im dłonie.

Po wystąpieniach, które głównie skupiały się na promocji ośrodka, na stołach ustawionych wzdłuż ścian ładują domowe najlepsze arabskie przysmaki na zimno i na ciepło. Zostają też otwarte podwoje prowadzące do ogrodu, gdzie już stoją ule, profesjonalnie przycięte drzewa owocowe kwitną, a wszystko otulają swym słodkim zapachem róże damasceńskie. Na drewnianym tarasie pod ażurowym zadaszeniem, po którym nieśmiało pną się winna latorośl oraz bugenwille, ustawiono wielkie okrągłe ośmioosobowe stoły i wygodne krzesła z poduszkami. Lampiony ogrodowe oświetlają miejsce, które tchnie tajemniczością i magią. Zaproszeni goście świetnie się tu czują, wcinają, jakby tydzień nie jedli, a rijadzkie przyjaciółki, siedząc koło siebie, tylko się obserwują, spragnione bardziej opowieści niż delektowania się wykwintnym jedzeniem. Księżę Husni zajmuje miejsce przy stole z lokalnymi notablami i bawi ich rozmową, przy okazji delikatnie zobowiązując do przekazania dotacji na nietypowy, nowoczesny ośrodek opieki. Wśród pensjonariuszek znajduje się sporo wykształconych i elokwentnych kobiet, które zabierają głos w dyskusji. W końcu Wafa nie wytrzymuje i pochyla się nad swoją opiekunką.

– Daj mi klucze do twojego biura, bo u mnie straszny bałagan – prosi. – Nie spodziewałam się nikogo, a z chęcią pogadałabym z Nadią w cztery oczy.

– Najpierw coś zjedz, kochanie.

– Zdecydowanie – popiera przyjaciółka. – Schudłaś i wyglądasz jak kościotrup.

– Ale żyję. – Młoda uśmiecha się promiennie. – Wszystko dzięki cioci. – Wskazuje na skromną księżnę.

– Jeśli wolno zapytać, to jakie jest pani prawdziwe imię? – docieka gość z Rijadu. – Coś w tę Fatmę nie chce mi się wierzyć.

– Anud al-Faiz. Mówi to panu coś? – Księżna nie jest zadowolona, że ktoś chce ją zdemaskować.

– Myślałem, że mieszka pani w Londynie. – Takie nazwiska agentowi nie wietrzeją z pamięci.

– Od pięciu lat już nie.

Binladen się zamyśla i postanawia więcej nie ciągnąć jej za język. Wszystkiego dowie się ze swoich źródeł.

– Aszraf, a ty znasz tę lekarkę, która z nami przyjechała? – zmienia temat. – Od ciebie ze szpitala?

– Nie, została mi przydzielona. Odgórnie.

– Przez kogo?

– Dostałem maila z sekretariatu niegdysiejszego wydziału ojca. – Nie chce wspominać jakiego, bo większość przysłuchujących się rozmowie osób, w tym pensjonariuszki, na takie wieści mogłaby wpaść w panikę.

– A zagadnąłeś ją, co konkretnie robi i czemu do ciebie dołącza?

– Oczywiście, ale ciągle kręciła. Nie udzieliła mi żadnej odpowiedzi.

Kryptoagent wywiadu błyskawicznie chwytą aparat i gdzieś dzwoni. Raz, drugi, trzeci.

– Przygotujcie jakieś pakiety dla moich ludzi, dobrze? – zwraca się do rezydentek, chcąc usprawiedliwić swoje nieoczekiwane wyjście. – Biedacy umrą z głodu, kiedy my to brzuchy pasiemy.

Natychmiast wstaje, otula się czarnym satynowym płaszczem i opuszcza towarzystwo. Wraca do głównego budynku. Zatrzymuje się w długim korytarzu. Na lewo od razu ma drzwi prowadzące na podjazd przy głównej ulicy, zaś na prawo, na końcu długiego holu są drugie, wiodące na parking, znajdujący się na tyłach obiektu. *Żeby żaden z ochroniarzy nie odebrał telefonu ode mnie, to wręcz niemożliwe*, stwierdza w duchu. *Żebyśmy tylko nie przywieźli tutaj wojny. Żeby Abu Isa w zemście na nas nie wyciągnął swoich przeklętych łapsk również po te niewinne, pokrzywdzone kobiety. Jego ludzie są wszędzie! To ogromna siatka zdrajców, a nie jeden człowiek.*

– Ksz! Ksz! – Słyszcy wołanie dochodzące od tylnego wejścia i w półmroku zauważa skulony ludzki kształt. – Panie, trzeba wezwać gliny, albo jeszcze lepiej brygady specjalne – szepcze Isra, trzymając się za draśnięte i krwawiące ramię. – Już pan nie masz ani kierowcy, ani obstawy. Dwóch atakujących ustrzeliłam, bo zabrałam pięknego glocka pana martwemu pracownikowi. Gadaliśmy sobie, a tu nagle bum...

– Umiesz strzelać? – sonduje mężczyzna, bez namysłu zrzucając płaszcz, a w ślad za nim białą *tobę*. Pod spodem jego umięśnione ciało opinają czarny podkoszulek i kamizelka kuloodporna. Panna jest nieco zdziwiona, ale oczywiście nie komentuje.

– Pewnie. Jestem tutejsza, z dziadkiem, ojcem i braćmi na polowania w góry chodziliśmy. Mam oko najlepsze z wszystkich.

– Nie chcę cię narażać...

– Nie gadaj, panie, po próżnicy. Nie masz tu nikogo innego do pomocy, a ja do tego właśnie jestem stworzona.

Hamid powoli uchyla drzwi. Cisza. Nikogo nie widzi ani na parkingu, ani przy swoim samochodzie. Kiedy szerzej je otwiera, rozlegają się strzały. Wałą prosto w środek bramy. Nieoczekiwanie w korytarzu staje Husni. Widzi dwie znajome postaci i o dziwo niezwykle sprawnie do nich podbiega.

– Panie ministrze! – Nie może pojąć, co tu się dzieje.

– Uciekaj! – Wizytator odgania go rękami. – Weź mojego przyjaciela ministra i księżnę do jej biura! Tam, gdzie są dziewczyny. Zabarykadujcie się. Atak jest skierowany na mnie!

– Co z waszymi ochroniarzami? – indaguje młody, nie ruszając się z miejsca.

– Obawiam się, że nie żyją. Ci w hotelu również.

– *Ja sadiqi*. – Husni od razu dzwoni do swoich przyjaciół. – Potrzebuję najlepszych ludzi do ośrodka Dar Alriaja w pałacu Szubra. Drugi wóz policyjny pošlij do hotelu... – patrzy pytająco na Binladena.

– Inter Continental – podaje samotny bojownik. – Piąte piętro. Pokój 5001. Było tam dwóch moich ludzi i lekarka, najprawdopodobniej zdrażczyni, kolaborantka. Jest tam też chora kobieta. Obawiam się, że już nie żyje. – Z wściekłości gryzie wargi. – Kurwa! – krzyczy po polsku, chcąc ulżyć furii i nie zranić jednocześnie niczyich uszu.

– Podjedźcie bez sygnału, bez dyskoteki i od tyłu – wydaje rozkazy księżę, a przybysz zastanawia się, kto zacz. Jedno jest pewne, że przyzwoity człowiek. – Ma się obyć bez szumu. Postarajcie się schwytać, a nie od razu zabić.

– Ja strzelam górą, osłaniam cię, a ty idziesz dołem – zawodowiec komenderuje swoją jedyną poplecniczka. – Liczę na twoje sokole oko.

Partnerzy wychodzą prosto w grad kul, ale jako że zaraz stoi betonowy murek, błyskawicznie kryją się za nim. Binladen ma tylko jeden magazynek, waleczna dziewczoja parę



naboi. Kiedy mężczyzna, nie zważając na ostrzał, biegnie do kuloodpornego mercedesa, Isra zdejmuje napastników jednego po drugim. W końcu udaje im się dostać do auta. Agent wyciąga z bagażnika niezły arsenał i wrzuca go do środka wozu. Isra z potężną siłą, której nikt by się nie spodziewał po niewieście, chwytając jedną ręką za granatnik. Na koniec wskakuje do kabiny.

– Z tyłu są kamizelki – informuje Hamid. – Nałóż jedną.

– Okej.

– Wymień nam magazynki. Przygotuj i sprawdź broń.

– Dobrze, szefie.

– Weź hełm. Daj mi też.

– Się rozumie.

Kiedy odjeżdżają z parkingu, kierując się do pięcio-gwiazdkowego hotelu, widzą zbliżający się wóz policyjny. Wyskakujące z niego chłopaki wyglądają na komandosów – są w pełnym rynsztunku, nawet kominiarkach na twarzach. *Skąd tu tacy?*, nurtuje Hamida pytanie, ale zaraz wraca myślami do aktualnego problemu. *Czy doktor Gajda jest kolejną wtyczką? Fundamentalistką działającą pod przykrywką saudyjskiego wywiadu? Ilu ludzi Abu Isa zwerbował do pomocy Jasemowi przy zabiciu księcia Anwara? Na ilu znalazł haka, a ilu to idealisci? Tacy jak on sam. Czego chcą?* W głowie urodzonego analityka toczy się burza myśli. *Zamierzają obalić monarchię!*, nagle doznaje olśnienia. *Chcą drugiego Iranu, tylko w wydaniu wahabickim. A kto będzie naszym saudyjskim Chomeinim?*, zadaje sobie pytanie, na które odpowiedź już zna. *Ten popierdolony terrorysta, dżihadysta, morderca i zboczeniec. Sławny Jasem Alzani!*

Tajny agent i jego popleczniczka, silna jak tur góralka, cichutko wbiegają po schodach ewakuacyjnych na piąte piętro, nawet nie łapiąc zadyszki. Oboje są w świetnej kondycji. Na korytarzu wiodącym do apartamentu z ochroniarzami, doktor Gajdą i nieprzytomną Kamilą świecą się nieliczne kinkiety. Panuje miły półmrok. Rijadczyk od razu zauważa trzech lokalnych zamaskowanych mundurowych. Pokazują sobie na migi, że muszą porozmawiać. Ich dowódca podbiega jak kot, bezgłośnie i zgrabnie.

– Pan minister?

– Tak jakby. Binladen. Hamid Binladen.

– Cześć, Isra. – Po oczach widać, że facet się uśmiecha.

– Cześć, Hassan – odpowiada zagadnięta, która trzyma oburącz glocka, a na słowa komandosa spieka raka jak niewiniątko. – Byliście już w środku?

– Nie. Dopiero przyjechaliśmy.

– Moi ochroniarze najprawdopodobniej są martwi – snuje przypuszczenia minister. – Obawiam się, że funkcjonariuszka GID też. – Chmura gradowa pojawia się na jego czole. – Na wszelki wypadek wezwijcie saperów i zacznijcie ewakuację sąsiednich pięter.

– Jasna cholera...

– Terrorysty mogli dla nas zostawić niespodziankę. – Zabezpiecza się obeznany wywiadowca.

– Aż tak by się zasadzali na ministra zdrowia? Czy na ministra sprawiedliwości? – dziwi się lotny miejscowy policjant.

– Stołek w rządzie to moja druga fuszka...

Ostatnie słowa giną w huk. Wejście ewakuacyjne zostaje wysadzone. Drzwi razem z futryną lecą przez pół korytarza, rujnując elegancką wykładzinę i pastelowe tapety, zwalając drewniane komody i wrywając lampy ze ścian.

– Do środka! – wykrzykuje Binladen, osłaniając swoim ciałem niemal równą mu wzrostem bojowniczą towarzyszkę.

Wszyscy wpadają do apartamentu wraz z dwuskrzydłowymi wielkimi drzwiami, które wyważają umięśnionymi ramionami. Od razu rzucają się na podłogę i kryją za sprzętami.

Wewnątrz w salonie minister widzi to, czego się spodziewał. Jego ochroniarze leżą w nienaturalnych pozach na fotelu i sofie. Ich zakrwawione piersi się nie poruszają. Są martwi. Przez szczelinę do sypialni zauważa zabandażowaną, podłączoną do kroplówki przyjaciółkę. Okrywająca ją kołdra podnosi się od ciężkich gorączkowych wdechów i wydechów. *Ta malowana lekarka prawdopodobnie czeka tu na transport*, szybko konstatuje. *Zapewne liczyli, że coś z biednej Kamili jeszcze wyciągną, dlatego nie zabili jej od razu*. Pokazuje na migi trzem mundurowym, żeby obstawiali zdewastowane wejście. Na zewnątrz rozlega się strzelanina. Lokalni skutecznie zabezpieczają tyły.

– Dawajcie na wszelki wypadek saperów – słyszy polecenie wydawane przez walkie-talkie. – Potrzebny też lekarz i coroner.

Binladen bezszelestnie podchodzi do sypialni Kamili. Za plecami czuje oddech Isry, której nie rozproszyło ani spotkanie z adoratorem, ani rozmowa z nim. Jest w pełni skoncentrowana. Jej partner jeszcze czegoś się tu spodziewa, więc ona będzie go chronić do końca. Hamid wychyla się i błyskawicznie chowa za framugą. Doktor Gajda siedzi w kącie przy rozsuwanej wnękowej szafie i trzyma przed sobą wycelowaną w niego broń. Oblicze ma zacięte, zdesperowane, a spojrzenie skupione. Mężczyzna wie, że kulkę dostanie albo on, albo Kamila. Przyjaciółka tego nie przeżyje, jemu może się udać.

– Gajda, złóż oręż! – proponuje przeciwnicze, trzymając się zasad. – Już po wszystkim. Niczego nie zyskasz, mordując więcej ludzi. – Znów na sekundę wsuwa do środka głowę.

Dżihadystka bez słowa oddaje strzał. Kula tylko muska skroń Hamida, jednak błyskawicznie struga krwi zalewa mu policzek i spływa po szyi.

– Ty diabelskie nasienie! – Bojowa dziewczucha wyskakuje zza pleców agenta i leci przez pół pokoju jak strzała. – Dość tego, córko świni!

Góralka oddaje jeden strzał za drugim. Rozwala terrorystkę, czyniąc z niej posiekany kawał mięcha. Kiedy Hamid wstawia nogę za próg, w sypialni panują już cisza i bezruch. Po chwili Isra, dysząc, zbiera się z podłogi. Oboje zwracają twarze w stronę niczego nieświadomej Kamili. Krwi nie widać, ale życia w niej też nie.

– *Ja sadiqa*<sup>176</sup>. – Mężczyzna delikatnie potrząsa ją za ramię. – Kamila...

– Och... Mój drogi! – Kobieta z trudem otwiera nieprzytomne oczy. – Czym mnie ten doktorek nafaszerował? – Błogo się uśmiecha, a potem znów traci świadomość.

<sup>157</sup> *Kwef* (francuski – *coiffe*; czepek, nakrycie głowy) – zasłona na twarz noszona przez muzułmanki.

<sup>158</sup> *Habibti* (arabski) – Moja kochana.

<sup>159</sup> *Tasbih* (arabski) – muzułmański różaniec o 33 koralikach.

<sup>160</sup> *Bahlawa* (arabski) – orientalne ciastka z orzeszkami pistacjowymi lub ziemnymi zalane topionym masłem i miodem. Dziś produkuje się *bahlawę* w różnych smakach, nie tylko orzechowym, ale też np. czekoladowym.

<sup>161</sup> *Chalati* (arabski) – Moja ciotka.

<sup>162</sup> Kłęcek (slang krakowski) – ułamany lub zepsuty ząb.

<sup>163</sup> *Kibla* (arabski) – kierunek, w którym muzułmanie powinni się zwracać podczas modlitwy (więcej zob. słownik).

<sup>164</sup> *Bint* (arabski) – córka; człon tradycyjnych żeńskich nazwisk arabskich, np. Aisza bint Mohammad – Aisza córka Mohammada.

<sup>165</sup> *Bin* lub *ibn* (arabski) – syn; człon tradycyjnych męskich nazwisk arabskich, np. Tarik bin Mohammad – Tarik syn Mohammada.

166 *Pięć filarów islamu* – każdy muzułmanin ma pięć obowiązków. 1. Wyznanie wiary – *szahada*. 2. Modlitwa – *salat*. 3. Jałmużna – *zakat*. 4. Post – *saum*. 5. Pielgrzymka do Mekki – *hadżdż* (więcej – słownik).

167 *Lebneh* (arabski) – biały tradycyjny twaróg.

168 *Chobza* (arabski) – chleb, bagietka, bułka.

169 *Leben* (arabski) – kwaśne mleko, maślanka.

170 *Mudira* (arabski) – dyrektorka, kierowniczką, szefowa.

171 *Eid al-Fitr* (arabski) – święto na zakończenie miesiąca postu ramadanu.

172 *Eid al-Adha* (arabski) – święto ofiarowania. Jego początek wypada w trzeci lub czwarty dzień pielgrzymki do Mekki, ale obchodzone jest przez cały świat muzułmański, nie tylko przez pielgrzymów.

173 *Nobody is perfect* (angielski) – Nikt nie jest doskonały.

174 *Umm Husni* (arabski) – Matka Husniego; kiedy rodzi się pierworodny, jego matka dostaje ten tytuł i przestaje używać imienia nadanego jej przez rodziców.

175 *Iqama* (arabski) – legitymacja, dowód osobisty, ID.

176 *Ja sadiqa* (arabski) – Przyjaciółko (wołacz).

## IDOL PRAWORZĄDNOŚCI

Nic nie układa się po myśli saudyjskiego następcy tronu księcia Mustafy bin Saliha. Marzył o innej władzy, o innym sposobie rządzenia i o reformach. Wszystko jednak stopniowo trafia szlag, a sam władca jest strzępkim nerwów, zniesmaczonym frustratem, którego opanowuje coraz głębsza depresja.

Najpierw rozczarowała go głupia, ortodoksyjna córnia Farida, która tragicznie skończyła swój krótki żywot, zaczadzona podczas pożaru w szkole dla dziewcząt w Rijadzie. Potem ukochana córka Wafa zawiodła jego zaufanie, za co sromotnie ją ukarał. Po tej kolejnej tragedii całe jego prywatne życie legło w gruzach, bo ukochana żona Sara nie może już na niego patrzeć, a jedyna pozostała przy nim córka Latifa marzy tylko, aby jak najszybciej wyfrunąć z rodzinnego gniazda.

Do wszystkich jego tragedii przyczyniła się familia dawniej przez niego uwielbianego ministra sprawiedliwości, aktualnego antagonisty. Na przyjaźni z nim też się sparzył. Siostra jego rozpustnej, wyzwolonej żony, mianowana księżną prostaczka, uczestniczyła w zamachu na swojego dobrego męża, arystokratę Anwara al-Sauda. To się księciu w głowie nie chce pomieścić. Tak to jest, kiedy plebejuszy wpuszcza się na pałace, kiedy wysoko urodzeni się z nimi spoufalają i koligają. Darin Salimi, była małżonka terrorysty Jasema Alzaniego, powinna była bezapelacyjnie zostać skazana na karę śmierci – i takie rozwiązanie poniewczasie wydaje się następcy tronu najtrafniejsze. Ale już się stało i nijak nie można cofnąć przeszłości. A przyszłość MBS widzi w samych czarnych barwach.

Po zabiciu członka rodziny królewskiej, potomka protoplasty rodu Ibn Sauda, w Królestwie rozpętuje się burza. Wywiad, policja i wojsko przeprowadzają czystki. Znow rządzący dostali od swojego narodu *carte blanche*<sup>177</sup>, ale wyłapują ze społeczeństwa nie tylko zwolenników fundamentalizmu, niebezpiecznych i zagorzałych ortodoksów, lecz również stronników demokracji i antymonarchistów. Pod młotek, a raczej do więziennych lochów, idą wolnomyśliciele, propagatorzy wolnego słowa i zaprzysiężeni przeciwnicy cenzury razem z imamami i ulemami, którzy podczas swoich piątkowych kazań za bardzo skupiali się na dżihadzie i obiecywali terrorystom samobójcom rajskie przyjemności. Dziennikarze, publicyści, pisarze i historycy, którzy kiedykolwiek coś złego napisali o królewskim rodzie saudyjskim bądź jedynie pomyśleli o książętach krytycznie i pisnęli na ten temat słówko, teraz lądują w karczerach. Natomiast donosiciele i kolaboranci, łapówkarze i ludzkie kreatury kwitną, zarabiając krocie i szpiegując kogo popadnie, lecz przeważnie na niewinnych obywateli, a swoich antagonistów. W kraju wre. Każdy boi się każdego. Nikt nie jest pewien jutra.

– To jest nie do zniesienia! – stwierdza pewnego słonecznego popołudnia księżna Sara, wchodząc bez pukania do gabinetu coraz rzadziej widywanego męża. – Wyjeżdżam!

– Dokąd? O co ci znowu chodzi? Ty pytasz o pozwolenie...

– Nie, o nic nie pytam. Oznajmiam ci jedynie.

– Coś ci się chyba w głowie potęgowało, kobieto! – wykrzykuje Mustafa, z trudem zwlekając się zza biurka. – Nigdzie nie pojedziesz!

– A co, uwięzisz mnie? – Żona patrzy na niego z pogardą. – Skażesz na tortury? Tak jak tysiące ludzi w naszym kraju? A może wyślesz do jakiejś ukrytej złotej klatki?

– Co ty mi tu sugerujesz? Co to za insynuacje?! – drze się władca, w duchu jednak

stwierdza, że w sumie to nie jest głupi pomysł. *Tam mogłyby moje pyskate dzierlatki nabrać pokory. Pałac królewski w Dżeddzie jest odnowiony, a świeci pustkami. Ta morderczyni Darin już tam nie rezyduje, nawet ojca musiałem z niego wypuścić. A jak po pobycie w odosobnieniu pamięć mu się poprawiła!*, uśmiecha się półgębkiem. *Przypomniał sobie, kto rządzi naszym krajem, i zamknął swój brzydki ryj, nie komentując już tak odważnie moich poczynań.*

– Spójrz na siebie! – kontynuuje rozwścieczona Sara, rzucając okiem na sflaczałe ciało niegdyś uwielbianego małżonka, okryte zmiętą i nieświeżą *tobą*. – Nie jesteś już człowiekiem, którego pokochałam, z którym chciałam dzielić życie na dobre i na złe.

– Chyba dla ciebie przeważnie dobre. Złe ci się nie powodzi. Z nudów dostajesz pierdolca.

– Jak ty się do mnie odnosisz? Jak śmiesz w ten sposób odzywać się do arabskiej kobiety? Umyj sobie usta, chamie!

– Okej. Spakujcie się z Latifą. Jutro polecicie w piękne miejsce – decyduje władca, nie informując o szczegółach, po czym wychodzi z gabinetu.

Kobieta stoi na środku pomieszczenia jak zamurowana. Dopiero teraz wyrzuca sobie swoją zapalczywość. *Gdzie on nas wyśle?, rozpacza. Po co się odzywałam? Po co pyskowałam? Czyż nie wiedziałam, z kim mam do czynienia? Zalana łzami, pędem udaje się do córki.*

Następnego ranka pod komnatami Sary i Latify czekają służący, by zaopiekować się bagażami. Niewiasty nie mają z kim dyskutować ani po co protestować. Decyzja została podjęta i muszą się jej podporządkować. Nie mają pojęcia, dokąd się udają ani na jak długo. Żadne lamenty ani krzyki tutaj nie pomogą – zresztą kto je usłyszy w wielkim, pustym pałacu? Jedyne służba, a ta przecież jest na usługach ich i całego narodu władcy.

Obie ubrały się w tradycyjny ortodoksyjny sposób, czego nie czyniły od bardzo dawna. Teraz cieszą się, że mogą *nikabem* i *kwefem* zakryć zapuchniętą od płaczu twarz i podkrążone oczy. Każda bierze w dłoń markową, wartą co najmniej dwadzieścia tysięcy euro torebunię, chwytają się pod ramię i idą na spotkanie swemu przeznaczeniu. Mijają odludne korytarze, a kiedy wychodzą na zewnątrz, uderza je jak obuchem niewyobrażalny gorąc. Lecz one przecież są do tego przyzwyczajone, tu urodzone i wychowane, więc tylko trochę odsuwają się od siebie i biorą płytsze oddechy. Zresztą po paru krokach już siedzą w wielkiej czarnej limuzynie schłodzonej do plus szesnastu stopni Celsjusza. Nikt się do nich nie odzywa, bo jakżeby śmiał. Żadna z ich prywatnych służek do nich nie dołącza, co jasno świadczy o tym, że tam, dokąd się udają, służba nie będzie im potrzebna. Teraz tylko mogą się głowić, czy będzie to więzienie, dom opieki czy jakaś ukryta złota klatka. Sara, wiedząc co nieco o poczynaniach swojego męża, modli się o to ostatnie rozwiązanie. Może uda się wylądować tam, gdzie teść, król Salih, bo wspomniał synowej po cichu, że w sumie warunki miał luksusowe.

– Po coś się stawiała? – Latifa zaczyna ciosać matce kołki na głowie. – Po co się z nim kłóciłaś? Przecież mogłyśmy, tak jak wiele innych księżniczek, wyjechać zwyczajnie i rutynowo na wakacje, a potem uciec. Poprosić o azyl.

– Czyś ty oszalała? – szepcze jej matka na ucho. – Której się to udało? No której? Wymień mi choćby jedną! – Podenerwowana na chwilę podnosi głos, by zaraz przycichnąć. – Patrz, co zrobił ze swoimi córkami emir Dubaju Ibn Raszid al-Maktum. Swoją żonę zaś sterroryzował. Co inni wyczyniali i wyczyniają? A nasz jaśnie miłościwy król Abdullah? Aż cztery jego córki rozmyły się we mgle, jedynie dlatego że były nieposłuszne i miały nowoczesne podejście do życia. Chciały się normalnie zachowywać, spotykać z chłopakami, czasami zapalić papierosa...

– Mamo, nie strasz mnie. – Latifa znów pochlipuje.  
– Nie straszę, ale uświadamiam. Czas najwyższy. Patrz, jak skończyły twoje siostry. Jedna idiotka sama sobie była winna, a drugiej, w sumie też kretynce, wydawało się, że emancypacja naszych saudyjskich kobiet jest możliwa.

– A nie jest? Przecież tata mówił...

– Jest, a jakże! – szydzi Sara. – Jak się mężczyźni zgodzą.

Zaraz po wejściu do prywatnego odrzutowca kobiety rozsiadają się i wyciągają rękę po wodę. Jako że w samolocie są z nimi niespokrewnieni mężczyźni z obsługi, przezornie nie ściągają nakryć; siedzą jak biedne, czarne gawrony, dumając nad tragicznym losem arabskich kobiet.

– Kapitanie – Sara nie wytrzymuje i zagaduje pilota przemykającego z opuszczonym wzrokiem do kokpitu – dokąd lecimy?

– Do Dżeddy, jaśnie pani.

– Dziękuję. – Księżna oddycha z ulgą, bo może faktycznie oznacza to królewski pałac i komfortowe warunki internowania. – Cieszę się.

– Lot będzie krótki. Życzę udanej podróży i miłego pobytu. – Biały mężczyzna, pracujący za gigantyczne pieniądze dla rodziny królewskiej, trzyma się starych, dobrych wahabickich zasad i manier. Nie zawiesza oka na kobiecie, a niewidzący wzrok wbija w przestrzeń, tak jakby nikogo tu nie było, jakby rozmawiał z duchem.

\*\*\*

Księżę koronny ma wiele spraw do przemyślenia, wiele do zrobienia. Nie wie wprawdzie, jak miałby się do tego wszystkiego zabrać, lecz albo ze sobą skończy, co wśród arabskich książąt królewskiego rodu bynajmniej nie należy do rzadkości, albo jakimś cudem weźmie się w garść. Oprócz wszystkich innych zmartwień nęka go własny haniebny czyn i możliwe konsekwencje. Ktoś wykorzystał jego słabość, załamanie, niestabilność emocjonalną i brak oparcia w rodzinie oraz doradcach. Było to zaraz po tym, jak jego pupilka Wafa zgrzeszyła, po tym, jak dostał od nieznanego nadawcy pornograficzny film z nią w roli głównej. Po wielokrotnym obejrzeniu nagrania nie mógł znaleźć sobie miejsca. Najchętniej rzuciłby się na ukochaną córeczkę z pięściami i własnoręcznie wymierzył jej karę. Musiał sam siebie przekonywać, że przecież jest przeciwny takim metodom, zawsze chciał być inny, nowoczesny, a nie zacofany. Wszystkie reformatorskie teorie pięknie wyglądały, kiedy to nie jego dotyczył problem, ale gdy został osobiście dotknięty, wahabickie wychowanie i wpajane mu od dziecka ortodoksyjne przekonania wróciły z całą mocą. Na początku postanowił zamknąć grzesznicę w więzieniu, żeby nie widzieć jej fałszywej, zakłamaniej buźki. Po zniknięciu Wafy jej matka z rozpacz prawie oszalała, a siostra poddała się notorycznej histerii, więc najlepszym, a właściwie jedynym rozwiązaniem było przynajmniej czasowo oddalić je z pałacu, bo nie dawały spokoju ni dniem, ni nocą. I wtedy właśnie to się zdarzyło, wtedy tak tragicznie zblądził...

– Co tam, krewniaku? Jak się masz? – Jakby na zawołanie odezwał się do zdruzgotanego MBS kuzyn, syn wuja, zmarłego króla Abdullaha. – Nie nudzisz się tak, siedząc non stop w Rijadzie?

– Nie siedzę na zmysłach – odburknął, bo zawsze miał mnóstwo zajęć i obowiązków w odróżnieniu od tej bananowej młodzieży. – Mam cały kraj na głowie.

– Pomyśleliśmy z bratem, że może wyciągnęlibyśmy cię na pustynię? – zaproponował niewinnie rozmówca. – Słyszałem, że dawno nie polowałeś z sokołem. – Widać, ktoś mu

powiedział, że to ulubiona rozrywka księcia.

– Masz rację! – Mustafa nagle tak bardzo zapragnął wsiąść na swego ukochanego arabskiego konia i pomknąć po piaskach przed siebie, że aż chwycił go ból w piersiach. – Wiesz, mam pustynny pałac...

– Oczywiście, że wiem o twoim Qasr al-Sahra. Krążą o nim legendy, ale jakoś nas nigdy jeszcze tam nie zaprosiłeś.

– Możemy to teraz nadrobić! – błyskawicznie zdecydował, choć o Madzidzie i Idrisie nie miał najlepszego zdania, a plotki na ich temat krążyły od lat zarówno w kularach pałaców, jak i po wiejskich chatach. Wszyscy w Saudii wiedzieli, że to para najpodlejszych zwyrodnialców, lecz teraz wydali się następcy tronu mniejszym złem niż ciągle pretensje jego kobiet, samotność i frustracja.

– To co? W czwartek wieczorem? – powinnyaty kuł żelazo póki gorące. – Masz tam lądowisko dla helikopterów?

– Oczywiście. Będę na was czekał.

– Może zrobimy małą imprezkę? – zaproponował niewinnie. – Wszystko dostarczymy. Podaj tylko namiary GPS, to z wyprzedzeniem wyślemy specjalistyczne zaopatrzenie.

– Nie ma sprawy. – Władca nawet się ucieszył na myśl o zabawie. – Czemu nie!

Nic nie zaniepokoiło księcia koronnego, nic nie dało mu do myślenia. A powinien był się zastanowić, co za towar kuzyni chcą mu dostarczyć. Stwierdził jednak, że w końcu księżęta są przyzwyczajeni podróżować z własną służbą, nieraz także z własnymi ukochanymi zwierzętami. Słyszał, że jeden z nich ma ulubionego lwa, więc możliwe, że jego też chce wziąć. Poza tym każdy trzyma swoją własną dietę, ma ulubione potrawy i napoje, więc zapewne zapakują także kucharzy, bo jakżeby się bez nich obyć? Nie wziął pod uwagę, że przyjadą tam transporty najlepszych francuskich szampanów i koniaków, pudła z haszyszowymi ciasteczkami prosto z Amsterdamu, kokaina najlepszego sortu z Indii, a przede wszystkim autobus dziwek ściągniętych do Rijadu odrzutowcem prosto spod wieży Eiffla.

Księżę już od rana w czwartek relaksował się w swoim ogromnym namiocie o łącznej powierzchni paru tysięcy metrów kwadratowych. On także wziął ze trzydzieści osób służby z rezydencji w Rijadzie, a dwudziestu sprzątaczy wysłał na miejsce dzień wcześniej, by pod troskliwym okiem majordomusa przygotowali wszystkie sypialnie, odkurzyli kuchnie i salony oraz zaplecze SPA. Pomimo całego luksusu w końcu to środek pustyni Rub al-Chali i trudno zapobiec wdzieraniu się drobin piasku pod pałatkę.

Rano MBS kłusował na swoim ukochanym wierzchowcu, czując, jak siły i werwa wracają do jego osłabionych członków. Cieszył się jak dziecko w wielkiej piaskownicy. Z prawie zamęczonego na śmierć konia przesiadł się na quada, którym zdobywał czerwone wydmy i ryzykownie przeskakiwał nad małymi *wadi*. Wykończył też trzech służących, jeżdżących i goniących za swoim panem, aż wreszcie wrócił pod dach i oddał się przyjemnościom w saunie i jacuzzi. Po krótkiej drzemce, podczas której wszyscy chodzili na paluszkach, by jaśnie pana nie obudzić, w końcu dołączyli do niego kuzyni. Kiedy do tej pory cnotliwy i wierny swej żonie gospodarz zobaczył prawie gołe ulicznice wszelakiej maści, ale wszystkie niezwyklej urody, zaparło mu dech w piersiach. Nie odezwał się. Nie odmówił. Nie wysłał nieproszonych gości do wszystkich diabłów. Z kolejnego auta, których cała kawalkada podjechała pod księżęcą oazę spokoju, wyskoczyli mundurowi, co jeszcze bardziej zdziwiło wielmożę. *Po co oni tutaj? Na jaką cholere? Mam przecież swoją Gwardię Narodową. Nawet podczas obrad rządu nie było tu tylu wojskowych.* Jednak żadnego z tych słów, które cisnęły mu się na usta, nie wypowiedział. Zauważył dowódcę Abu Isę, niedawno przez siebie mianowanego szefa brygad antyterrorystycznych w służbach specjalnych, który mu zasalutował, i to go uspokoiło. *Niech nas*

*pilnuje*, podsumował. *Niech tej imprezki światło dzienne nie ujrzy.*

Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Prawie tak szybko, jak księżęta Madżid i Idris potrafiały wypić butelkę szampana. Tak szybko jak wciągają jedną kreskę koki za drugą i jak potrafiały się spuścić w kolejnej i kolejnej paniencie lekkich obyczajów. Księżę używek nigdy nie stosował, czasami jedynie napił się wina, a od narkotyków, których pełno w Królestwie, stronił już jako nastolatek. prostytutkę zaś zaliczył tylko raz, jako prawiczek, również sprowadzony na złą drogę przez rozpustnego krewniaka za granicami swojego ortodoksyjnego kraju.

Podczas imprezki niespodzianki na początku siedział jak sztywniak w swoim wielkim królewskim fotelu i nijak nie szło go rozkrochmalić. Co i rusz jakaś ślicznotka podawała mu kielich z najlepszym trunkiem, ocierała się o niego, uśmiechała, pokazując modne brylantowe kolczyki w języku i naklejki z diamentami na zębach. Wszystkie były naprawdę z najwyższej kurewskiej półki, ale w tamtym momencie tego akurat najmniej potrzebował. Zbyt wiele zmartwień i problemów miał na głowie.

– Spróbujesz, księżę, babeczkę? – zaproponowała jedna z pięknotek. – Pyszne, czekoladowe!

Mustafa zawsze był łasuchem i postanowił się skusić.

– Jeszcze jedną?

– Tak, poproszę.

Po zjedzeniu pięciu haszyszowych ciasteczek i popiciu ich butelką Dom Perignon władca odzyskał humor, a nawet więcej – miał luzacki nastrój jak jeszcze nigdy w życiu. Po niespełna godzinie impreza rozkręciła się na dobre. Księżę swawolił jak rozbrykany żrebak. Wciągał kokę z pięknych, młodych i jędrnych pośladek pań do towarzystwa, wylizywał ją z ich łechtaczek, zajadał narkotyczny proszek z obfitych dekolców. Apetyt na perwersję rósł w siłę. Wyuzdani bracia we dwójkę spółkowali z jedną dzierlatką, a na nich wisały jeszcze po dwie panienki, dogadzając im palcami i językiem w każdym erotycznie wrażliwym miejscu. Pieściły ich obrzezane, potężne prącia, miażdżyły jądra, wciskały się do wąskich odbyćców. Do erotycznej gry dołączyło paru młodzieńców, którzy zupełnie nie wyglądali na facetów. Obecny trend na *unisex178* odbija się w każdej dziedzinie życia, poczynając od mody, a na współżyciu seksualnym kończąc. Jeden ze zniewieściałych chłopaków wszedł w następcę tronu pokaznym, nasmarowanym jakimś specyfikiem kutasem, aż władca ryknął, jednak po chwili po jego ciele rozszedł się gorąc i opanowała go ekstazyjna przyjemność. Gwoździem patologicznego wieczoru była sadystyczno-masochistyczna zabawa, w której przodował MBS. Wybrana przez niego dziewczyna została specjalnie przygotowana, namaszczona, wyperfumowana i obwieszona girlandami z kwiatów jak bydło ofiarne, a na koniec roześmiana i zadowolona położona na brzegu stołu z nogami na książęcych ramionach. Za jej głową stanął Madżid. Kiedy księżę wszedł w nią najpierw niepewnie i powoli, bo już ledwo trzymał się na nogach, jego kuzyn założył niczego nieświadomej nieszczęsnicy plastikowy worek na głowę. Potem zaciskał go przy jej szyi, tamując dopływ powietrza, a kiedy kobieta zaczynała się dusić, zwalniał uścisk i pozwalał jej złapać parę oddechów. Przerazenie, ale też orgazm falami zalewały śniadą Francuzkę, a podekscytowany zaliczający ją mężczyzna kończył i zaraz zaczynał ponownie. Wydawał się być niezniszczalny, a jego potencja niewyczerpana. Ostatnie tchnienie duszonej niewiasty dało jej spełnienie życia i zaprowadziło prosto na tamten świat. Kiedy uwiędła mężczyznom w rękach, odepchnęli ją i zrzucili ze stołu na ziemię jak zbędny, zużyty i niepotrzebny przedmiot i zabrali się za następne, które pomimo narkotycznego transu były coraz bardziej spanikowane i przerażone. Biedaczki nie wiedziały, na jaką imprezkę się piszą. Zaoferowana ogromna kwota przesłoniła im trzeźwość myślenia. Teraz powoli dochodził do nich tragiczny fakt, że najprawdopodobniej zostaną na tej przeklętej saudyjskiej pustyni. Reakcją była



różna, tak jak różni są ludzie. Trzy z nich zbiły się w gromadkę w kącie salonu i trzaskały dziobami jak te kury tuż przed ukręceniem im karku przez gospodarza. Dwie inne postanowiły z honorem i humorem przenieść się na pola elizejskie, do krainy wiecznej szczęśliwości i wiecznej wiosny, więc nadal piły i ćpały, tańczyły i oddawały swe młode ciała komu popadnie. Parę prostytutek od razu zostało „podarowanych” specjalnej brygadzie, żeby – jako współwinowajcy – trzymali buzie na kłódkę. Biseksualni młodzieńcy zaś tak przypadli kuzynowi Idrisowi do gustu, że postanowił nie tylko zachować ich przy życiu, ale zabrać do siebie do pałacu i korzystać z ich apetytu na seks do woli i do wyczerpania zapasów sił i chęci.

Kiedy książę koronny obudził się następnego dnia koło południa, po imprezowych krewniakach Madżidzie i Idrisie nie było już ani śladu. Pozostawili jednak cały bajzel i pobojowisko w ulubionym pustynnym pałacu kuzyna. Mustafa z trudem otworzył najpierw jedno, a zaraz potem drugie oko. Przerazone wytrzeszczone gały wbijał z niedowierzaniem w to, co go otaczało. Jego sala narad, jego ukochane ustronne miejsce zostało całkowicie zbrukane, skażone i zbezczeszczone. Obok niego na szerokiej sofie leżały dwie kobiety. Jedna z rozrzuconymi na boki nogami broczyła jeszcze z krocza, które zostało przebite kryształowym wazonem z wąską szyjką. Druga, drobniejsza, wyglądała jak jeź: z jej klatki piersiowej i brzucha sterczały noże i nożyki, kindżały i sztylety. Wszystkie należące do gospodarza. Trzy kobiety, które najwcześniej zorientowały się, na co się zanosi, leżały pod ścianą ze skręconymi karkami. Po dwóch przebojowych imprezowiczkach pozostały tylko korpusy – prawdopodobnie ich głowy i kończyny pożarł lew, którego Madżid rzeczywiście przywiózł ze sobą. Długą chwilę książę nie słyszał żadnych innych dźwięków oprócz szumu w uszach i łupania w czaszce. Nikt ze służby nie odważył się wejść do środka. Wszyscy byli w szoku. To, co słyszeli o złych książętach i podłych królach, dzisiaj spełniło się w stosunku do ich pana. Nie chciało im się to w głowach pomieścić – ich pan zawsze był inny, był normalny. MBS czuł za drzwiami czyjąś obecność. Liczył, że to jego prywatny, zaufany sekretarz.

– Rahman? – wychrypiał z trudem.

– Tak, jasnie panie. – Mężczyzna podbiegł do niego z wielkim kąpielowym ręcznikiem, zauważając od razu zadrapania, sińce i otarcia, szczególnie w okolicach krocza i samego długiego, aż fioletowego dziś penisa. Ciało i ręce następcy tronu były pokryte plamami zaschniętej krwi. – Panie... – Uczciwy Pakistańczyk aż zalał się łzami.

– Odpraw wszystkich. – Książę błyskawicznie musiał podjąć życiowe decyzje. – Szczególnie Gwardię Narodową.

– Tak jest, panie mój...

– Czy jest tu jeszcze ta brygada specjalna?

– Pułkownik Abu Isa powiedział, że jedzie do domu. Że go głowa boli.

– Wchodził do środka? Widział mnie?! – Pomimo straszliwego bólu rozsadzającego czaszkę książę wydarł się na całe gardło.

– Nie wpuszczałem, ale on wczoraj co chwilę tu zaglądał. Wpychał się na siłę.

– Jestem zgubiony! Nie wypłacę się tej hienie. – Los księcia był łatwy do przewidzenia, jednak władca postanowił działać. – Odeślij wszystkich, zostaw jedynie z pięciu ludzi. Najbardziej ci oddanych. Niech wykopią dół...

– Już wykopany.

– Niech wrzuca... te... no... – Pokazał z niesmakiem na ludzkie szczątki, jakby wskazywał śmieci po imprezie.

– Książę pójdzie do łaźni, a my wszystkim się zajmujemy – wymamrotał służący, jakby wyznawał jakąś tajemnicę. – O nic się nie martw, panie. – Pakistańczyk w tym momencie zaczął się zastanawiać, jaką kwotę zażądać za swoją niecodzienną usługę. Już kupował dom dla rodziny,

już wybierał auto dla syna i jedwabne sari<sup>179</sup> dla córki.

Po niespełna godzinie odezwała się książęca komórka. Niechętnie po nią sięgnął, sądząc, że to kuzyni się o niego martwią lub raczej niepokoją, czy udało mu się ukryć dowody ich zbrodni. Zobaczył jednak powiadomienie o nowym mailu. Otworzył wiadomość. Niewielu ludzi znało jego prywatny adres. Nadawca był anonimowy. W załączeniu znajdował się plik z filmem. Kiedy go uruchomił, ze zdumienia otworzył gębę. Siedział tak, aż poczuł, że ślina zalewa mu podrapaną i posiniaczoną klatkę piersiową. *Jeśli nagranie wyjdzie na jaw, to nie tyle mnie zdetrонizują, bo oficjalnie na tronie jeszcze nie siedzę, ile wywleką na plac Ścięć i poszatkują na kawałki. Samo obcięcie głowy byłoby wybawieniem i zaszczytem*, podsumował.

\*\*\*

Książę koronny, a zarazem główny bohater nagrania, jest skończony. To ma być prawowity władca Saudii, Strażnik Dwóch Świętych Meczetów? To przecież jakiś psychopata, seksoholik, zboczeniec i zwyrodnialec! Na dokładkę morderca, lecz to w mentalności tego narodu będzie najmniej istotne, bo ofiarami były kobiety, co więcej – prostytutki, a takie mniej są warte od paprocha. Co będzie, jak dowiedzą się o skrzywionej mentalności saudyjskiego władcy Stany Zjednoczone, główny poplecznik roponośnego kraju i największy importer saudyjskiej ropy? Co w takim wypadku zrobią? Nadal będą chcieli kooperować, wprowadzać w tym zacofanym państwie demokrację czy zaatakują, z łatwością burząc mało stabilny ład i porządek? Zaingerują czy nabiorą wody w usta? A drugie niebezpieczne imperium? Rosja tylko czeka, ale od lat wielki drapieżny niedźwiedź szykuje się do skoku. Na szczęście rozsądni przywódcy pamiętają jeszcze nauczkę, jaką dostali podczas interwencji w Afganistanie, więc raczej nie będą pakować się w niekończący konflikt.

Cały świat uzmysławia sobie, że jeśli ktoś nie pomoże Arabii Saudyjskiej, jeśli nie wprowadzi się w tym kraju świeckiej i stabilnej władzy, to za chwilę będzie tam drugi Iran. Marionetkowy, ale laicki rząd byłby lepszy od szaleńców opętanych przez Allaha. Mocarstwa kooperują, odbywają dziesiątki tajnych narad i posiedzeń, a saudyjscy obywatele po prostu trzęsą się ze strachu. Przeraża ich codzienność, trwoży przyszłość. Zwykły człowiek zawsze najmocniej dostaje w skórę. A najbardziej bojącym się o swą skórę Saudyjczykiem jest obecnie Mustafa bin Salih, ten, w którym tak wielu pokładało nadzieje. Jedno książę wie – nie wolno dopuścić, by film ujrzał światło dzienne. Kto może pomóc młodemu, zagubionemu i zmanipulowanemu władcy? Czy znajdzie się jakaś odważna dusza?

\*\*\*

– Jaśnie panie, czy moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy? – Jeszcze w samolocie, wracając z udanej misji do Dżeddy i Taif, Hamid Binladen decyduje się na bezzwłoczne spotkanie z księciem koronnym. – Mam sprawę niecierpiącą zwłoki. Odkryłem w naszym kraju spisek.

– Przyjacielu! – słyszy po drugiej stronie trzęsący się głos i wydaje mu się, że rozmówca płacze. – Ja jestem jedną z ofiar tej zmywy...

177 *Carte blanche* (francuski) – czysta karta, wolna ręka, nieograniczone pełnomocnictwo.

178 *Unisex* (angielski) – odnosi się do rzeczy, które nie są specyficzne dla żadnej płci, a zarazem są odpowiednie dla każdej. Termin określa także ślepotę płciową lub neutralność płciową. Powstał w latach 60. XX wieku.

179 Sari – tradycyjna część garderoby noszona przez kobiety na subkontynencie indyjskim.

**WENDETA**

## SIOSTRY

Nadia nie może się doczekać, kiedy zostanie z ojcem sam na sam. Gdy siedzą już w samolocie do Rijadu, a pilot podnosi maszynę do startu, dziewczyna aż podskakuje na swoim siedzeniu i przebiera nogami.

– Tatusiu! – wykrzykuje. – Dziękuję, że zabrałeś mnie ze sobą! Dziękuję! Dziękuję! Dziękuję! – Zarzuca ojcu ramiona na szyję, a ten promienieje radością. – To najwspanialsza niespodzianka, jaką kiedykolwiek ktoś mi w życiu zrobił.

– Cieszę się. – Hamid śmieje się z żywiołowości córki, bo całkiem mu to przypomina niegdysiejsze zachowanie Marysi. – Zarówno ze względu na ciebie, jak i na to, że Wafa jest cała i zdrowa.

– Ale ją ten ojciec ugotował. – Młoda z niedowierzaniem kręci głową. – Co za menda! Co za szuja! Nie człowiek, po prostu zwykła szmata.

– Kochanie, trzeba starać się zrozumieć innych – studzi jej złość. – Najpierw należy zbadać przyczyny...

– Jakie przyczyny, tatku?! No kurde, jakie? Wrzucić własną córkę do więzienia? To mi się w pale nie chce pomieścić!

– Ale...

– Ty byś tak zrobił?

– Nie.

– Więc o czym ty gadasz?

– To człowiek wychowany w innych warunkach niż ja. W innej rodzinie. Ja miałem nowoczesnych rodziców, wyemancypowaną matkę, światowego ojca. On został skazony ortodoksją, która wzięła górę nad dobrą częścią jego osobowości.

– Pierdziulisz...

– Też usiłuję to jakoś rozgryźć. W jego rodzinie taka bezkarność i bezprawie są na porządku dziennym. Wyzwolić się z tego jest bardzo trudno.

– Nie bierzesz pod uwagę, że to zwykły skurwysyn? – Wściekła córka odsuwa się od ojca, którego teraz nie potrafi zrozumieć.

– Biorę. Okaze się. Nie jestem alfą i omegą, nie wiem, co o nim sądzić. Jakby ktoś żył w normalnym otoczeniu, był zwyczajnym człowiekiem, to może dałby dziecku szlaban, nie wypuszczał z domu za karę, a że on ma nieograniczoną władzę, zamiast aresztu domowego zasądził jej więzienny.

– To chore...

– Rozważ też fakt, że mógł ją od razu zabić.

– Tak bezkarnie?

– Chyba słyszałeś o zbrodniach honorowych?

– U nas? W Saudii? Czy gdzieś u Buszmenów?

– W krajach muzułmańskich, wśród środowisk ortodoksów. Postuduj sobie, choć nie będzie to miła lektura.

– Kolejna uświadamiająca lekcja?

– Taka jest młodość – ciężka i frustrująca.

– Żebyś wiedział!

– Dobrze, że ostatecznie oddał ją pod opiekę księżnej Anud al-Faiz. To oznacza, że nie chce jej skrzywdzić.

– Ta przyszywana ciocia Wafy to księżna? – Dziewczyna wyciąga swojego samsunga i sprawdza w sieci imię i nazwisko. Im dłużej studiuje, tym bardziej skupia się na tekście, a z podekscytowania aż ręce jej się pocą. – Tatuś... Tato... *Wallahi!*

– Wiem, że to straszne. – Ojciec gładzi ją po głowie, czując pod palcami mokre od potu włosy. – Przepraszam, że tyle za jednym zamachem ci przekazuję. Już dajmy temu spokój...

– Zaraz. Nie tak prędko! – Nadia jest podekscytowana do granic możliwości. – Co z tymi jej córkami? Wspominała coś?

– Skądże. Zniknęły. Jedni twierdzą, że nadal są gdzieś ukryte, ale większość skłania się ku temu, że zostały zagłodzone na śmierć przez swoich wrednych kuzynów.

– Mogę zadzwonić? – Nieoczekiwanie córka wskazuje na wiszący przed jej siedzeniem aparat.

– Pewnie.

Błyskawicznie wybiera z pamięci numer. Po paru sygnałach słyszy niewyraźny głos babci.

– *Ahlan wa sahlan, zida*180 – wita się i od razu przechodzi do sedna sprawy: – Czy nadal pracujesz w tym hospicjum?

– Mnie też miło cię słyszeć, wnusiu. – Dorota nie odpuści sobie złośliwości. – Jak tam wycieczka? Udana?

– Babciu, odpowiedz, proszę! Nie mam czasu na bzdurzenie trzy po trzy – przechodzi na polski, a ojciec, przysłuchujący się rozmowie, nadstawia uszu. – Pracujesz czy nie? Hospicjum nadal istnieje czy już je zlikwidowali?

– Czemu mieliby likwidować? Działa, ale ja nie mam już czasu na dodatkowe zajęcia. Przecież biednego zagubionego Ahmeda nie zostawię z byle jaką filipińską opiekunką!

– Doskonale cię rozumiem... – Zastanawia się chwilę. – Mogłabyś tam podskoczyć na chwilkę, nawet z dzieckiem, i sprawdzić stan swoich byłych kuracjuszek?

– Nadiu, czemu ty mi chcesz dzień ustawiać? – irytuje się babka. – Czemu rządysz się całkiem jak twoja mama?

– Ja cię tylko proszę, babuniu... – przymila się dziewczyna. – Pamiętasz, co ciocia Daria mówiła o tych obłożnie chorych i nieszczęsnych paniach?

– Daria... – Dorota wzdycha, bo do tej pory nie może się pogodzić z ponownym zniknięciem córki. – Oczywiście, że pamiętam. Nie mam jeszcze amnezji. – Jak zawsze jest kaśliwa.

– Możliwe, że wiem, gdzie znajduje się ich matka – szepcze Nadia do słuchawki, a Hamid, nadal kojarząc piąte przez dziesiąte w tym szeleszczącym języku, skupia całą swoją uwagę na konspiracyjnej wymianie zdań. – Zanim podejmiemy jakieś kroki, a trzeba to zrobić jak najszybciej, by znowu gdzieś się nie zagubiły w saudyjskim wszechświecie, muszę potwierdzić tę informację. Tylko ty możesz to zrobić dyskretnie i nie wzbudzając niczyich podejrzeń.

– Gdzie jest Anud al-Faiz? – Dorota zna chyba wszystkie saudyjskie afery i niegodziwości.

– Razem z księżniczką Wafą w Dar Alriaja w Taif.

Na tym rozmowa się kończy, bo Dorota rzuca słuchawkę bez pożegnania.

Zaferowana Polka chwyta Ahmeda za rękę i leci na złamanie karku do hospicjum. Wchodzi tam jak do siebie, wita się z pielęgniarkami i przedstawia im swojego wnusia.

– Jaki piękny chłopiec! – zachwycają się kobiety. – Jak malowanie!

– I jaki fotogeniczny – wyrywa się jednej, a Dorota już sama nie wie, co ma ze sobą począć, bo media nie zostawiły na nich suchej nitki. Twarz chłopca obiegła cały świat wraz z relacją o zabiciu saudyjskiego księcia Anwara al-Sauda przez jego żonę Darin Salimi. Maluch, trzymany przez zamordowanego na ręce, był ostatnią osobą, którą księżę w swoim życiu przytulił.

– Ahmed miał przeciąć wstęgę honorową podczas otwarcia pałacu – tłumaczy, speszona.  
– Ale się nie udało...

– *Lilasif*181. – Kobiety robią ponure miny. – Allah tak chciał – wzdychają, składając wszystko na karb siły wyższej. – A poza tym jak się pani ma? *Kullu quejs?*182 *Kullu tamam?*183

– *Mi'a-mi'a*184 – odpowiada, zmęczona tymi przedłużającymi się grzecznościami. – A jak tam moje pacjentki? – przechodzi do sedna. – Jak się czują? Trzymają się jakoś?

– Wszystko w porządku, ale co chwilę nudzą o panią. Szczególnie Dżawair. Brakuje jej pani domowej kuchni. Już wychudła na śmierć.

– O mój Boże! Jutro do niej zajrzę, dobrze?

– Ależ oczywiście, *ma'am*185. – Cieszą się na każdą pomoc.

– Nikt nie wspominał, że będą je gdzieś przenosić? – prowadzi dyskretne śledztwo Dorota.

– Nie – personel medyczny zdecydowanie zaprzecza. – Skądże!

– To do jutra, moje panie. – Blondyna obraca się na pięcie, bo jak najszybciej chce poinformować wnuczkę o wynikach dochodzenia.

*Teraz my je ukryjemy tak, że już nikt podły im krzywdy nie zrobi*, obiecuje sobie dobrodziejka.

Po udanej akcji Binladen postanawia wziąć Isrę pod swoje skrzydła. Takiego materiału na funkcjonariuszkę nie można zmarnować. W głowie tli mu się pomysł, że jesienią kobieta pójdzie na Uniwersytet do spraw Bezpieczeństwa imienia Księcia Naifa zwany NAUSS186.

– Dziękuję ci, koleżanko. – Wyciąga rękę do dwudziestoletniej dziewczyny, a ta mocno odwzajemnia uścisk. – Uratowałaś mi życie. Major Kamili również.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Wieśniaczka skądś przypomina sobie grzecznościowy zwrot.

– Chcesz spędzić życie na pielenu ogródka i uprawie róż czy zdziałać coś więcej?

– Chcę robić to, co umiem najlepiej.

– To znaczy?

– Dbać o ludzkie bezpieczeństwo i zapobiegać złym uczynom... Ale nie jak *mutawwa*187. – Wybuchą głośnym śmiechem. – Nie mam zamiaru ścigać niewinnych kobiet i zakochanych. Chcę walczyć z takimi synami i córkami świń jak dzisiaj.

– Pojechałabyś do stolicy? Rodzina cię puści?

– Jak ma pan dar przekonywania, to puści. – Tego wcale nie jest taka pewna, bo z wszystkich jej męskich krewniaków najfajniejszy i najbardziej nowoczesny jest stary i prawie ślepy dziadek. To z nim chodziła na polowania, z nim, jeszcze jako dziecko, jeździła konno i na wielbłądzie. Także on konstruował dla niej prowizoryczne strzelnice z tarczami z arbuzów i melonów. On namawiał ją na dalsze studia i twierdził, że na małżeństwo ma jeszcze czas. Mężczyzna jest tradycjonalistą, bo kocha stare, dobre zwyczaje, podobają mu się bogate stroje i dawna muzyka, ale nigdy nie był ortodoksem.

Zaraz tego samego wieczoru, bo przecież wizytatorów czas nagli i następnego dnia już wracają do Rijadu, Hamid składa wizytę ojcu i braciom Isry. Matka nie zostaje nawet

wpuszczona do salonu, gdzie powitano gościa. Dobrze to nie wróży.

– Panie ministrze... *Szabbani* wspomniał nam, że Isra znowu dała występ. Przepraszam, jeśli czymś uraziła... – Tatuś wojowniczkę nie wygląda na zadowolonego i wbija w córkę rozeźlony wzrok.

– Pana córka uratowała mi życie – zaprzecza niesłusznym oskarżeniom Hamid. – Za to mnie pan przeprasza? Że jeszcze chodzę po tym świecie?

– Strzelała, biła się... Kolejny raz! – Ojciec jest wściekły nie na żarty.

– Widać tak Bóg chce. – Miastowy zauważa, że rodzina jest tradycyjna, i stwierdza, że weźmie ich na Allaha. – To Bóg kierował czynami i ręką pana niezwyklej córki.

W salonie zapada cisza. Ojciec i dwóch braci dziewczyny, wyjątkowych głupków, zamyślają się nad wolą Najwyższego i mruczą pod nosem jakieś wersety Koranu. Hamid nie ma czasu. Spoziera na zezowatego dziadka, którego wzroku nie jest w stanie uchwycić, bo jedno oko patrzy w tę, a drugie w tę, lecz po zdecydowanym zaciśnięciu ust i grymasie twarzy widzi, że ma w nim poplecznika.

– Proponuję waszej krewniaczkę wyjazd do Rijadu i studia na uniwersytecie. Do jesieni zrobiłaby parę kursów uzupełniających, bo poziom w Taif może się różnić od tego w stolicy.

– Stolica?! W życiu! – Ojciec aż zrywa się na równe nogi. – Z kim niby miałyby pojechać? Ani ja, ani synowie nie mamy na babskie dyrdymały czasu!

– Słyszeliście, że następca tronu zniósł nakaz podróżowania kobiet z *mahramem*? – Słowa ministra nie działają, a tylko zaogniają sprawę.

– Gdzie by zamieszkała? Kto sprawdzałby jej cnotliwe zachowanie? Po takim wyjeździe w życiu męża nie znajdzie. Teraz już jest trudno...

– Mam wyjść za jakiegoś wybranego przez ciebie byle pastucha kóz, bo dorobił się na serach? Nie, tatuśku! – Isra nie wytrzymuje.

Wtedy cichym głosem do rozmowy włącza się dziadunio:

– Moja wnuczka ma adoratora i jak tylko chłopak zbierze trochę pieniędzy, to się z nią ożeni. Tak będzie, bo młodzi się kochają.

– Kochają?! Ojciec! Chyba cię Bóg na starość opuścił! – Syn podśmiewuje się nieprzyjemnie, a głupi syneczkowie mu wtórują. – Jego wcześniej tu ustrzelał, niż coś z tego będzie. Taki sam idiota i waleczny rycerz jak ona.

– Hassan jest wyróżniającym się funkcjonariuszem i niedługo dostanie podwyżkę. – Hamid już był w domu. Chytrusom można tylko do ręki, a nie do rozumu przemówić. – W Rijadzie ja, minister sprawiedliwości, będę *mahramem* twojej córki. Do jesieni będzie mieszkała u mnie...

– Może w jednym pokoju? – wrywa się jeden z syneczków, a reszta tradycjonalistów aż się trzęsie na takie podejrzenie.

– Będzie mieszkać w mojej rezydencji. Będzie ochroniarką mojej córki i żony. Miesięcznie zapłacę jej pięć tysięcy riali pensji.

Na te słowa obecnym opadają szczęki, bo oni naprawdę muszą się nieźle narobić, żeby dostać za płody ziemi tyle gotówki.

– Potem przyznają jej stypendium rządowe i miejsce w żeńskim hotelu na kampusie księżniczki Nury, gdzie mieszka czterdzieści tysięcy studentek z całej Arabii Saudyjskiej. Wszystkie bez *mahrama*, pod oficjalną opieką rządu. Jak dobrze pójdzie, to po studiach może dostać etat pracownika ochrony osobistej królowej i jej córek.

– Ech, nie za wysoko to? – martwi się ojciec, lecz już nie oponuje. – Niech jej tam będzie...

Isra rzuca się w ramiona uśmiechniętego od ucha do ucha wspierającego ją dziadunia

i miażdży go w uścisku, swemu nowemu sponsorowi w ramach podziękowania daje parę nieśmiałych kuksańców, a potem biegnie na pole, by zadzwonić do ukochanego Hassana. Teraz ich małżeństwo stało się całkiem realne, a przyszłość rysuje się w jasnych barwach.

Kiedy Isra przekracza próg rezydencji Binladena, jest w takim szoku, że nie może wykonać ani kroku dalej. Stoi w salonie i rozgląda się dookoła, jakby była w lunaparku. *Inny świat*, stwierdza w myślach. *Cudowny świat!* Ma pietra, że przez swoje spore gabaryty porozbija drogocenne sprzęty i dekoracje, jakich w życiu nie widziała. Z trudem udaje się ją zaprowadzić do pokoju gościnnego, który ostatnimi czasy zajmowała Marysia. Gospodyni Fatima obrusza się, ale po ostatniej reprimendzie Doroty słucha już pana bez szemrania. Samej Dorocie też jest przykro, bo ciągle liczyła na powrót córki i żony marnotrawnej. *Jakby miała wrócić, to nie do pokoju gościnnego, tylko do małżeńskiej sypialni*, pociesza się. *Na to jednak trzeba jeszcze trochę poczekać.*

– Tu jest nasz domowy fitness. – Nadia oprowadza wieśniaczkę, która wszystkiemu się dziwi i wszystko ją zachwyca. – Telewizor masz w pokoju, ale jak chcesz oglądać na większym ekranie, to w salonie jest sto cali i *home studio*. Jakość też lepsza.

– Och! Jak wspaniale! – Isra nie może wyjść z podziwu.

– Kiedy poczujesz głód, to nic się nie krępuj, tylko zażycz sobie u służby, na co masz apetyt – sugeruje młoda. – Jak chcesz coś z miasta, McDonalda czy KFC albo kebaby, to też zgłoś. Kierowca ci przywiezie. Jeśli masz ochotę na sok, mleko, owoce czy kawałek mięcha, możesz też zwyczajnie iść do kuchni, otworzyć lodówkę i brać, co ci wpadnie w oko. Nic się nie bój. – Widzi, że odważna dziewczyna, która służyła wsparciem jej ojcu, w nowych, luksusowych warunkach jest całkiem zagubiona. Ma nadzieję, że ten stan szybko minie, bo w nowoczesnym świecie takie ofiary skazane są na zagładę. – Chodź, pokażę ci jeszcze ogród. Mamy prywatny całkiem spory basen, więc pływać też możesz, kiedy tylko dusza zapagnie.

– A co miałabym na sobie włożyć? *Abaję?* Czy na golasa?

– Nie na golasa, tylko w kostiumie kąpielowym – zaśmiewa się do rozpuku Nadia.

– A jak sąsiedzi zobaczą? Zadenuncjują...

– Dookoła mamy czterometrowy mur. – Młoda gospodyni pokazuje palcem. – Zbiornik jest dodatkowo ogrodzony drewnianym parkanem, po którym pną się bugenwille, i zadaszony. Poza tym nad całym ogrodem wisi specjalna mikrosiateczka. Żaden dron już nas nie podejrzy. – Po wypadku z Wafą i podłym nagraniu z ukrycia Binladen, za radą starego Al-Ridy, wykorzystał wszystkie nowinki techniczne, by strzec prywatności swojej rodziny.

– Nie umiem pływać – przyznaje ze wstydem Isra. – A wydaje mi się, że bardzo bym to polubiła. Wiesz, u nas, na wsi, baseny były dostępne tylko dla chłopów.

– Ładna mi wieś! Taif liczy prawie pół miliona mieszkańców!

– Ja z wiochy na obrzeżach jestem. To co innego. Dopiero do liceum dziadunio zaczął mnie wozić do miasta.

– Chyba że tak.

– Ale nawet tam dziewczuchy na wuef nie chodziły. Całkowity zakaz. Ponoć podczas ćwiczeń mogłybyśmy cnotę stracić.

– Co za głupota! – Nadia nie rozumie takiej zaściankowości.

– Zgadza się. Trzeba się cieszyć, że my, gąski, możemy się uczyć. To już dużo.

– Wiesz co? Jeśli masz ze mną jeździć do szkoły, co będzie dla mnie nie lada obciachem, to zapiszemy cię na zajęcia pływania. Już trener cię nauczy!

– Facet?! – wykrzykuje przerażona wieśniaczka, chwytając się za głowę. – Nie gadaj!



Goły?! – Aby się uspokoić, wachluje się rękami i bierze parę głębszych oddechów. – W tajemnicy oglądałam w internecie mistrzostwa świata w sportach wodnych – szepcze, jakby wyjawiała jakąś straszną tajemnicę. – Pływacy występowali jedynie w obciśniętych gatkach! – Straszliwy wstyd i przerażenie ma wymalowane na sympatycznej, szczerzej buźce, bo dla niej to okropna nieprzyzwoitość.

– No i co z tego? – Miastowa całkiem nie rozumie podejścia dziewczyny. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, że jest wychowywana w niezwykłym jak na tutejsze warunki, ultranowoczesnym arabskim domu. – Poza tym to nie facet, tylko trener. Tak jak i nauczyciel. Ja w ogóle nie widzę ich seksualności. Może dlatego, że mamy samych brzydali, bo gdyby pojawił się jakiś model... – Mruga porozumiewawczo do nowej koleżanki, chcąc ją rozkrochmalić.

– Ależ z siebie zbereźnica! – po przyjacielsku grzmoci szczupłą dziewczynę po plecach, a ta prawie się przewraca. – Gdyby ktoś dostał moje zdjęcie w kostiumie kąpielowym z facetem w samych szortach, to nie tyle, że nigdy bym już za męża nie wyszła, ile rodzina by mnie zamordowała!

– Kupimy ci specjalny strój: legginsy, bluzkę z lycry z długim rękawem, a na to dopiero nałożysz kostium. Pasi?

– Pasi. A co z trenerem?

– Poproszę go, żeby nakładał kombinezon do nurkowania.

– I maskę na twarz. – Stłamszona przez ortodoksów też ma wyobraźnię i swoiste poczucie humoru i teraz już obie chichrają jak kozy.

– Nie wiem, czy cokolwiek mu pomoże przeżyć kontakt z taką superheroiną jak ty. Uratować go może jedynie podwójna dawka tlenu. – Nadia kończy wygłupy, w sumie przeszczęśliwa, że ma przyjazną duszę w domu, ma się do kogo odezwać i pożartować. Po wyjeździe mamy była tu taka samotna.

\*\*\*

Hamid Binladen zaraz po powrocie udaje się do księcia koronnego. Duszę ma na ramieniu, bo nie wie, jak ta rozmowa przebiegnie. O młodym władcy nie najlepiej świadczą jego obecne poczynania, a plotki głoszą o jeszcze gorszych postępach. Uwięzienie ojca i matki w złotych klatkach to nic w porównaniu z osadzeniem pierworodnej w więzieniu i aktualnym zniknięciem z pałacu jego żony i najmłodszej córki. Obecnie książę pozostał całkowicie sam i nikt rozsądny nie wpływa na jego posunięcia. Minister postanawia tę sytuację zmienić. Chce go usilnie prosić, by zaprzestał czystek w kraju, i uzmysłowić mu, że w złym kierunku zwraca karzące ramię sprawiedliwości. Musi mu uświadomić, że w Saudii zawiązał się spisek, który ma na celu obalenie nie tylko jego osoby, ale całej monarchii. Członkowie tej organizacji są dosłownie wszędzie, manipulowani i finansowani prawdopodobnie z zagranicy, możliwe, że przez byłego szwagra Saudyjczyka, Jasema Alzaniego, który najprawdopodobniej wyszedł z katastrofy helikoptera cało. Jak przedstawić tę sytuację Mustafie bin Salihowi, by ten zechciał wysłuchać i uwierzył? Jak przebić się ze słowami prawdy przez jego tradycjonalistyczną skorupę? Minister wierzy, że w głębi serca książę koronny jest dobrą osobą i chce jak najlepiej. Zwyczajnie powinęła mu się noga, zbłądził, więc trzeba naprowadzić go na właściwe tory. I to jak najszybciej.

– *As-salamu alejkum* – wita się gość, o dziwo, dzisiaj przyjęty nie w oficjalnej sali tronowej, lecz w prywatnym gabinecie władcy.

– *Wa alejkum as-salam* – odpowiada MBS, który wygląda jak wrak człowieka. – Dawno nie zaszczycłaś mnie swoją obecnością – stwierdza z lekkim przekąsem. – Dużo się u ciebie działo... Nowa żona, dziecko w drodze, rozwód.

– Zgadza się, jasnie panie. – Dumny mężczyzna nie jest zadowolony z włożenia z butami w jego prywatne życie, ale też wie, że to nie nowość. – W międzyczasie nie zaniedbywałem jednak swoich obowiązków.

– Ciekawe. Opowiedz mi o tym, bo mnie nic o twoich czynnościach zawodowych nie wiadomo – kłanie władca, chcąc jedynie dopiec, bo nadal ma głęboki żal do człowieka, którego sam wybrał na bardzo ważne stanowisko w rządzie. – Mojego krewniaka ustrzelili jak kaczkę, więc nie wiem, jak ty tam działasz? Na dokładkę maczała w tym paluchy twoja szwagierka i tylko z tego względu już dawno powinienem cię zdymisjonować. Nie rozumiem, czemu jeszcze tego nie zrobiłem? – teatralnie zastanawia się z głupim grymasem na twarzy. – Chyba mam do ciebie słabość. Niedobrze...

Binladenowi skóra cierpnie na grzbiecie, bo wie, że prosto z tego gabinetu może zostać przetransportowany do więzienia, a stamtąd na plac Ścięć. To dla tutejszej władzy żaden problem. *Co ja sobie myślałem?*, żałuje, że tu przyszedł, że nie uciekł, kiedy był czas po temu. *Że też jeszcze wierzyłem w uczciwość tego indywidualium.*

– Wracając do zbrodni stulecia dokonanej na członku rodziny królewskiej... – zaczyna szybko, bo teraz dla niego czas to nie tyle pieniądź, ile życie. – Daria nie mogła zabić Anwara, bo zrobił to strzelec wyborowy. To jakiś nonsens oskarżać ją o to.

– Współdział, dostarczenie planów pałacu, podanie miejsca pobytu ofiary to wina taka sama, jakby osobiście pociągnęła za cyngiel.

– A gdzie w tym feralnym dniu była ochrona, gdzie służby wywiadowcze i Gwardia Królewska?

– Widać nikt się takiej bezczelności nie spodziewał.

– Spodziewał. Prawdziwy organizator terrorystycznego ataku był wśród ochrony pałacu. To Abu Isa, mianowany przez pana szef brygad antyterrorystycznych we własnej osobie.

Księżę marszczy czoło i głęboko nad czymś duma.

– Proszę kontynuować – łagodnie zachęca.

– To on wszystko koordynował. Jeszcze przed samym przyjęciem aresztował major Kamilę Alsudi, która pomagała księżnej Darin w poszukiwaniu ładunków wybuchowych, bo ta myślała, że w ten sposób dokonają zamachu. Kojarzy księżę Kamilę? – Jasnie pan tylko niemo potakuje. – Była torturowana i na koniec osadzona w więzieniu Dahban w Dżeddzie. – Słuchacz ściska zęby i ciężko dyszy, bo nic mu o tym nie wiadomo. – Uwolniłem ją przy okazji wizytacji ośrodka opieki w Taif. – Hamid milknie, a MBS patrzy na niego ponurym wzrokiem, ale już bez śladu złości, za to z ogromną rozpaczą. – Jeśli zaś idzie o Darin... Pierwsza autopsja po wysadzeniu helikoptera, w którym mieli się znajdować zbiegowie, dała niewiarygodne, jedynie przypuszczalne wyniki. Sekcja zwłok lub raczej marnych szczątków, które pozostały po ziemskich powłokach pasażerów śmigłowca, ujawniła wątpliwe DNA podejrzanych. Resztki, takie jak włosy czy krew o kodzie zgodnym z podejrzаныmi, całkowicie nie współgrają z DNA większych partii pozostałości. Uzębienie kobiety ponoć należało do Darin, co potwierdza dokumentacja znaleziona u jej stomatologa, lecz bynajmniej nie potwierdza tego jej dentysta. Bez wahania stwierdził, że księżna miała może niezbyt równe i białe zęby, ale na pewno mocne i w komplecie. Zaś dane w komputerze, do którego najpewniej ktoś się włamał, mówią co innego. Denatka nie miała pięciu zębów, a resztę zgnitą. Czy wyobraża sobie księżę taką sytuację u jasnie pani? Ja osobiście nie pamiętam, żeby była szczerbata! – Hamid śmieje się kpiarsko. – U denatki nie znaleziono też śladu implantów piersi, z których Darin była znana. Wyparowały? Trochę silikonu by chyba zostało? To i wszystkie już wymienione przekręty stanowią kluczowy dowód, że najprawdopodobniej Jasem zapłacił biedakom, żeby wsiedli do przeznaczonej do zniszczenia maszyny. Zapewne namieszał im w głowach džihadem i służbą Allahowi. Może

przedstawił też jakieś obiecanki cacanki dotyczące raję.

– Jednakowoż nie zaprzecza pan minister, że najprawdopodobniej winnym zabójstwa księcia Anwara al-Sauda jest terrorysta Jasem Alzani. Teraz już wiemy, że we współpracy z naszą rodzimą dżihadystyczną organizacją. Zgadza się?

– Zgadza się – potwierdza Binladen.

– Z miejsca zbrodni zabrał on ze sobą swoją byłą żonę, która gdyby nie była winna, to siedziałaby na dupie i płakała rzewnymi łzami u boku wykrwawiającego się męża. Zgadza się?

– Nie zgadza się – nieoczekiwanie odpięra zarzuty. – Darin spodziewała się, że wszystko zostanie zatuszowane, a złoczyńca Jasem rozplynie się w powietrzu. Jak zawsze. Nasza skorumpowana dochodzeniówka zwracała sobie głowę tylko nic niewartymi, durnymi detalami. Po ponad miesiącu markowanych poszukiwań, przejrzeniu wszystkich, to znaczy tych zachowanych filmów z satelity oraz wojskowych dronów, śledztwo nie ruszyło z miejsca. Po dwóch miesiącach zostało umorzane. Widział pan tajne akta sprawy?

– Nie. Nikt mi ich nie przedstawił. Co w nich jest?

– Raport jednoznacznie stwierdza, że Jasem Alzani i Darin Salimi, ktoś celowo ominął jej nazwisko po mężu księciu, zginęli w eksplozji. Ich biometria zostaje potwierdzona. Grupy krwi i DNA uznano za zgodne z danymi denatów. Sprawa została zamknięta na cztery spusty i utajniona do tego stopnia, że nawet mnie nie chcieli udostępnić dokumentacji. Dostałem się do niej dopiero po tym, jak aresztowałem tego psubrata Abu Isę, pluskwę w naszym do tej pory wspaniałym i niezawodnym saudyjskim wywiadzie.

– *Mabruk!* – Księżę szczerze się cieszy. Teraz widzi, że tylko Binladen może mu pomóc. Ale jak wyznać temu uczciwemu człowiekowi swój paskudny grzech i tym samym ujawnić, że miecz Damoklesa wisi tuż nad jego głową.

– Darin nie chciała zabić swojego męża Anwara – przedstawia swój wniosek Hamid. – Kochała go ponad wszystko. My, rodzina, najlepiej to wiemy, ale świadczy o tym również to. – Wyciąga z aktówki plastikowy woreczek z zipem, a z niego królewski pierścień rodu Ibn Sauda.

– Znalaziono taki na terenie katastrofy helikoptera – zauważa MBS.

– Ale to ten jest prawdziwy. Ktoś zainwestował kupę kasy i zamówił drugi egzemplarz.

– Skąd pan wie?

– Moja córka ma ten sam rozmiar palca co Darin. Ciotka dała jej kiedyś zmierzyć swój sygnet, z którego była bardzo dumna.

– I? – Księżę jest tak podekscytowany, że nie może usiedzieć spokojnie na miejscu i kręci się z boku na bok.

– Denatka miała małe łapki. Jej pierścioneczka moja Nadia nawet na mały palec nie wcisnęła.

– A ten tutaj?

– Pasuje idealnie.

– Skąd pan go ma?

– Został znaleziony w tunelu, którym uciekli zbiegowie. Wciśnięty między kręgi kanalizacyjne. Znak zostawiony specjalnie dla nas, dla mnie i Miriam, mojej żony.

– Dowód, że uciekła, że jest winna i dołącza do zbrodniarza! – Impulsywny księżę znów się wścieka.

– To sygnał, że spełni swoją obietnicę i przysięgę, którą złożyła.

– Jakąż to?

– Żaden wymiar sprawiedliwości nie potrafił ukarać zbrodniarza, który Darin Salimi i wielu innym zmarnował albo odebrał życie, dlatego ona osobiście chce zabić swojego prześladowcę, najgorszego terrorystę naszych czasów Jasema Alzaniego. A ja wierzę, że jej się to

uda.

\*\*\*

Pierwszy dzień wspólnego wyjścia Nadii i Isry do międzynarodowej szkoły nie jest łatwy dla nikogo. Binladen musi przeforsować obecność ochroniarki córki podczas każdej lekcji oraz zdobyć zgodę na wniesienie krótkiej broni na teren placówki edukacyjnej. Nie jest to proste zadanie.

– Pani dyrektor – naciska zdesperowany ojciec – byłem w ostatni weekend z ministrem zdrowia w Prowincji Zachodniej, w wydawałoby się, spokojnym i leniwym miasteczku Taif i tam nas zaatakowano. Obstawę zabito, a ja najpewniej nie uszedłbym z życiem, gdyby nie ta dziewczyna, która teraz jest *bodyguardem* mojej córki.

– Panie Binladen, nawet książęta saudyjscy nie mają prywatnej ochrony na terenie szkoły. Nie zrobię dla pana wyjątku. Żadnych goryli, żadnej broni. Nie ma mowy! – wykrzykuje wściekła dyrektorka. – Za nic! Co za nienormalny kraj!

– Niestety, nastąpiły czasy kryzysu i załamania władzy i powinniśmy zaostrzyć kryteria bezpieczeństwa.

– Uczą się u nas dzieci ambasadorów oraz dyplomatów niższego szczebla i w ich wypadku też się nie ugjęłam. Nie ma sensu naciskać. Mamy swoją straż, na zewnątrz jest Gwardia Narodowa i zawsze co najmniej jeden wóz policyjny. Zdaję sobie też sprawę, że nad nami latają amerykańskie, australijskie, niemieckie i saudyjskie drony. Wystarczy! Niech pan nie przesadza!

Na krótką chwilę zapada niezręczna cisza. Gość nie ma zamiaru wyjść, a dyrektorka dłużej go słuchać. Siedząc naprzeciwko siebie, toczą walkę na spojrzenia.

– Isra ma dopiero dwadzieścia lat. – Spryciarz na wszystko znajdzie sposób. – Nie ma jednak ukończonej szkoły na odpowiednim poziomie, by dać sobie radę na uniwersytecie NAUSS, gdzie wybiera się jesienią. Słabo zna angielski. Zapisalbym ją do państwa...

– Mamy już drugie półrocze, drogi panie. – Belferka aż prychnęła ze złości.

– Nie szkodzi. Lepsze to niż nic. Zapłacę za cały rok szkolny. Pierwszy semestr oblała, ale może w drugim coś zaliczy. Proszę o zapisanie jej do klasy Nadii.

– Wyrzuci pan pięćdziesiąt tysięcy riali w błoto?

– Bezpieczeństwo najważniejsze, szanowna pani. – Binladen uśmiecha się chytrze i mocno ściska rękę pedagoga, która na taką intratną dla szkoły propozycję musi przystać.

– Ale żadnej broni! – zastrzega jeszcze.

– Oczywiście!

Isra, tak jak przewidywała, nie tyle polubiła pływanie, ile pokochała i ma do tego sportu taki sam dryg jak do strzelectwa. Trener – w pianie do nurkowania i dodatkowo szerokich szortach – nie musiał jej długo instruować i od razu został przez dziewczynę wyrzucony z wody. Pokonała dwie długości basenu stylem klasycznym i kraulem, podkładając styropianową deskę pod brzuch, a już trzecią przepłynęła jak zawodowa pływaczka. Pod względem czasu bije wszystkie rekordy szkoły, i to nie tylko w pływaniu dziewcząt, ale i chłopców. Mierzy się z nią parokrotnie Sasza Cohen, ale nawet jego, wysportowanego i długo-nogiego chłopaka, Isra prześciga o długość ramienia.

– Nie gniewasz się już na mnie? – Amerykanin zagaduje Nadię, którą nieładnie chciał wykorzystać, by samodzielnie poprowadzić pasjonujące śledztwo w sprawie zabójstwa księcia Anwara. – Źle to rozegrałem...

Dziewczyna milczy, lecz też nie wyrzuca chłopaka od stołu, przy którym spożywają lunch razem z Isrą. W zasadzie miastowa panienska spożywa, a wiejska baba z wielką zachłannością pożera. W swoim plastikowym śniadaniowym pudle ma całego pieczonego kurczaka z chrupiącą skórką i z pół kilograma ryżu *biryani*<sup>188</sup>, a w drugim, mniejszym pojemniku – ulubioną sałatkę ze świeżych warzyw. Nie jada słodczy, nie pije gazowanych napojów i w sumie młodzież mogłaby się od niej uczyć zdrowego odżywiania, gdyby tylko ilości były dla nastolatków. Jednak ona jest *strong woman*<sup>189</sup> i każdą kalorię spali, uprawiając sporty, żadna nie odkłada się w formie tłuszczu, a każda wartość energetyczna idzie młódce w mięśnie i wzrost.

– Ten *Jehudi* to dla ciebie jak dla mnie Hassan? – podpytuje Nadie, a ta spieka raka.

– Czemu uważasz, że Żyd?

– Przecież widać gołym okiem!

– Ja tam nie zauważam takich rzeczy.

– Nie przejmuj się, nikt nie jest doskonały. A z niego jest niezłe ciacho. – Prowincjuszka bardzo szybko łapie młodzieżowy slang, modę i zwyczaje i coraz mniej spraw w tym wielkim świecie ją krępuje czy peszy. Wiejska natura wyparowuje z niej z szybkością światła.

Czworo kumpli – Sasza, Moha, Nadia i Isra – włóczy się po szkolnym kampusie. Gadają, wygłupiają się jak typowa młodzież na całym świecie. Ale nikt z nich nie jest przeciętny. Isra jest waleczną dziewczyną, która na swoich rękach ma krew nie tylko łownych zwierząt, a Moha to potomek Ibn Sauda, lecz z matki syryjskiej Żydówki, co dla Saudyjczyków stanowi jedną z najgorszych, wręcz niedopuszczalną mieszankę genów. Nadia to nieodrodna pierworodna bojownika z terroryzmem, a także ministra sprawiedliwości, który raz za razem podsuwa następcy tronu niepopularne reformatorskie edykty. Natomiast Sasza Cohen... Z Saszą to jeszcze gorsza śpiewka. Jego ojciec, ambasador Stanów Zjednoczonych w Arabii Saudyjskiej, którego brat, Abram Cohen, jest aktualnym dyrektorem Mosadu, aktywnie pracuje na rzecz Izraela na Bliskim Wschodzie. Przy Ambasadzie USA w Rijadzie działa Sekcja Interesów Izraelskich. Wielu się to nie podoba, bo większość krajów arabskich nie uznaje Państwa Izrael. Wszystkie te dzieciaki powinny być pilnie strzeżone i mieć własnych aniołów stróżów na terenie szkoły, na co nierozważna dyrektorka nie chce się zgodzić. Zatem jedyna ich bezpośrednia kuratela spoczywa na wiejskiej dziewczusze, która cały czas ma oczy dookoła głowy. Jeśli jej ukochanego ministra i dobrodzieja zaatakowano na takiej prowincji jak Taif, to co dopiero w Rijadzie, gdzie on i jego rodzina są na świeczniku. Ochroniarka spodziewa się najgorszego. Dlatego też w szkolnym plecaku przemyca najpierw kamizelki kuloodporne, a później dwa Glocki rozebrane na części pierwsze. Trzyma je w swojej szkolnej szafce. Nie zwierza się z tego nikomu, nawet Nadii, by dziewczyny nie stresować.

Podczas kolejnego niczym niewyróżniającego się dnia, gdy Isra męczy się z angielskim, Nadia i Sasza nieśmiało romansują, a Moha dla relaksu rozwiązuje kolejne zadania ze zbiorów matematycznych, pod wielką, dwuskrzydłową metalową szkolną bramę podjeżdżają dwa wojskowe hummery. Za nimi zatrzymuje się mała tankietka. Cały konwój prowadzi opancerzony samochód policyjny z zamontowanymi na przednim zderzaku masywnymi belkami, tworzącymi taran. Mieszkańcy Saudii nieraz widują ten pojazd na drogach swych miast, gdyż w godzinach szczytu eskortuje on wysoko postawionych książąt, członków rządu lub międzynarodowe delegacje. Kiedy jakiś zwykły użytkownik saudyjskich szos nie chce zjechać rządowej kawalkadzie z drogi, to po słownym ostrzeżeniu, wykrzykiwanym przez głośniki znajdujące się na dachu tarana, jest spychany przy jego pomocy na pobocze.

Z hummerów wyskakuje pięciu wojskowych w pełnym stroju bojowym i w kominiarkach na twarzach. Wejścia do szkoły bronią swoją pierś zarówno policjanci, jak i gwardia. Za nic nie

chęć wpuścić uzbrojonych na teren placówki. Nie pomogą ani prośby, ani groźby, ani ministerialny glejt. Ochroniarka, kiedy tylko słyszy zamieszanie, chwyta Nadię za rękę i ciągnie bez pardonu do wnętrza budynku. Za dziewczynami biegną Sasza i Moha. Wszyscy jak na komendę zmierzają do swoich szafek. W korytarzu zaczyna się tumult, dzieciaki wpadają w panikę, bo przecież wszyscy, począwszy od uczniów podstawówki, wiedzą, w jakim kraju żyją. Z większością rodzice odbyli poważne rozmowy, a na apelach odbywały się pogadanki na temat terroryzmu. Najważniejsze, żeby nie zgrywać bohatera. Podczas ataku trzeba uciekać i się ukryć. Ale gdzie znaleźć bezpieczne miejsce w szkole, w której większość ścian jest z gipsu, a pozostałe ze szkła? Nikt nie pomyślał, żeby tutaj również wybudować *safe room*.

– Trzymaj kamizelkę! – Isra szybko otwiera swoją szafkę i wciska w ręce zbaraniałej Nadii ochronny strój. – Macie jakąś broń? – pyta chłopców, bo swoją przecież bezprawnie tu przeszmurowała.

– Oczywiście! – Sasza i Moha są już gotowi. Oprócz krótkich pistoletów mają nawet hełmy i gogle.

– Jest tu jedno bezpieczne małe pomieszczenie, ale trzeba tam dobiec, kierując się na tyły obiektu. Powinniśmy przemknąć tam bez uszczerbku.

Koledzy obserwują dziewczyny, a nie widząc w nich strachu, stwierdzają, że dadzą sobie radę.

– Może to mój tata przyjechał ze swoją brygadą? – zastanawia się Nadia, która nie znając sytuacji, nie ma ochoty nigdzie uciekać. – Zapewne chce nas stąd zabrać.

– Twój ojciec wszedłby tu bezproblemowo – tłumaczy jej Amerykanin. – Mój również.

– Chyba że zewnętrzna ochrona jest przekupiona – podsuwa myśl góralka, najsprytniejsza z towarzystwa. – Będą wszystkich trzymać w zamknięciu tak długo, aż nas z dronów nie wystrzelają jak kaczkę.

Na potwierdzenie jej słów podwórze, gdzie zazwyczaj bawią się dzieciaczki w wieku przedszkolnym i uczniowie zerówki, zostaje zryte bronią maszynową. Ktoś oddaje strzały z powietrza, ale ani samolotu, ani helikoptera nie widać. To oznacza tylko jedno. Walka odbędzie się na zdalnie sterowane drony.

– To latające nad nami cholerstwo jest na wyposażeniu armii Izraela i Stanów Zjednoczonych – uświadamia kolegów Sasza. – Dron TIKAD to konstrukcja przypominająca do złudzenia drony filmowe, z tą różnicą, że zamiast kamery wyposażonej w stabilizator sprzęt został uzbrojony w bezodrzutowy karabin maszynowy. Albo granatnik.

– Byle nie granatnik! – wykrzykuje Isra pędząca za Nadią i osłaniająca ją swoim ciałem jak tarczą. Co słyszy serię, to rozpościera ramiona na boki i przyciąga dziewczynę do siebie. – Granaty już są! – Przy głównym wejściu słyszą ogłuszający huk, co oznacza, że brama została sforsowana.

– Tato! Gdzie jesteście?! – Kiedy tylko dostają się do budki ratownika, a faktycznie betonowego naziemnego schronu, od którego Sasza ma klucz, Nadia od razu dzwoni do ojca. – My przy basenie!

– Dobrze! – na tle wystrzałów słychać zdyszany głos. – Sasza cię tam zabrał?

– Tak.

– Okej. Razem się ewakuujemy. Pojedziemy do ambasady amerykańskiej. To twierdza.

– Czy wybuchła otwarta wojna? – Dziewczyna ma ogromnego stracha, ale stara się nie okazać lęku.

– Na razie walki toczą się między skorumpowanym i owładniętym fundamentalizmem wydziałem sił specjalnych a reformatorami. Wojsko amerykańskie już do nas jedzie z bazy w Katarze, część płynie też na lotniskowcu z Bahrajnu. Za dwie godziny załatwimy sprawę.

– Wojsko amerykańskie?! Obca interwencja na terenie suwerennego kraju? – młoda patriotka wygłasza tyradę jak polityk. – A gdzie nasza niezawisłość? Gdzie niezależność? Saudyjczycy się wściekną!

– To nie lata osiemdziesiąte ani dziewięćdziesiąte, córeczko. Społeczeństwo jest z nami. Jest za modernizacją i postępem.

Po tych słowach nastaje cisza na łączach. W tym samym momencie niewidoczną blaszaną bramę, ukrytą na tyłach placówki edukacyjnej pod pnączem dzikiego wina, taranuje specjalny wóz. Do środka dostają się zamaskowani komandosi. Jednym z nich jest Binladen, którego córka poznaje tylko po chodzie. Potem wszyscy razem biegną na złamanie karku do hummerów i odjeżdżają z piskiem opon. Tym razem vipowskiej młodzieży się udaje, a ultraortodoksi zostają rozbici. Jednak kiedy walki przenoszą się na ulice miast i dosięgają cywilów, do akcji musi wkroczyć wojsko.

\*\*\*

Marysia, będąc tysiące kilometrów od domu w Arabii Saudyjskiej, ma ciągły kontakt z matką, która się o nią straszliwie niepokoi. Dlatego nie dziwi się, gdy przychodzi kolejna wiadomość, lecz kiedy rzuca okiem na ekran komórki, okazuje się, że nadawca jest anonimowy. Nie chce otwierać, bo czy mało teraz hakerów, którzy włamują się i potem publikują prywatne materiały na portalach społecznościowych i stronach internetowych? Jednak ciekawość zwycięża. *Co ja mam w tej mojej komórce? Nic. Dziesięć numerów telefonicznych, bo te ważne tylko w głowie.* Życie u boku męża agenta nauczyło ją ostrożności. Kiedy otwiera wiadomość i wgrzywa załącznik, baranieje. Film, który jej przesłano, jest czystą, wyuzdaną, sado-masochistyczną pornografią. A najgorsze jest to, że głównym bohaterem obrzydliwych występów jest następca tronu największego mocarstwa na Bliskim Wschodzie. Podpis brzmi: „Zrób z tego dobry użytek. Było na BlackBerry Jasema. Kocham cię. Daria”.

Marysia natychmiast przesyła maila do swojego byłego męża.

\*\*\*

– Panie! Nie masz żadnej innej możliwości uratowania swojej skóry, jak wydawać jeden nowoczesny reformatorski edykt za drugim – doradza przerażonemu władcy Hamid.

– To znaczy?

Binladen otwiera czarną aktówkę i wyciąga z niej plik dokumentów przygotowanych na firmowym królewskim papierze z kolorową obwolutą i herbem Ibn Sauda w nagłówku.

– Zniesienie kary chłosty i kary śmierci. – Podsuwa pierwszy dekret władcy siedzącemu za wielkim mahoniowym biurkiem i odkręcającemu już piękne złote pióro.

– Już to ustanowiłem! – obrusza się. – Dla nieletnich.

– Co?! – Minister nie panuje nad nerwami i obrzydzeniem do swojego pracodawcy. – Dla nieletnich?! Żartujesz, panie?!

– Co w tym złego?

– Dla wszystkich! Począwszy od niemowląt, a skończywszy na stuletnich starcach. – Ze złością fuczy przez nos i zaciska usta, a na jego zazwyczaj białych policzkach wykwitła bordowy rumieniec.

– Dobrze, już dobrze... – Na kredowym czerpanym papierze ląduje pierwszy zawijas.

– Zakaz stosowania tortur wobec wszystkich obywateli Królestwa oraz przyjezdnych, w tym azjatyckich pracowników, a także zakaz dopuszczania się przemocy domowej. Pod karą dwudziestu lat więzienia lub ciężkich robót.

– Zakaz tortur? Wiesz, że jestem im przeciwny. Niejeden raz wypowiadałem się w tej

kwestii.

– Pustosłowie.

– A ty ich nie stosujesz, jaśnie panie funkcjonariuszu o czystych rączkach? – kpi władca, bo doskonale wie, jakie są metody przesłuchań.

– Nawet jeśli kiedyś, w ekstremalnych warunkach, się ich dopuścimy, to tylko wtedy, kiedy nie będzie innego wyjścia. Broniąc naszej niezawisłości i naszego państwa. Nie mogą być powszechne.

– Nie żartuj.

– Nie żartuję.

Prawdziwy reformator jest przygotowany na opór i wyciąga z szarej koperty plik zdjęć. Kładzie je przed władcą. Jest na nich zmasakrowana Kamila Alsudi. Zgodziła się pokazać swoje ciało w imię wyższych celów.

Księżę patrzy najpierw z niedowierzaniem, a potem z przerażeniem. Cała paleta uczuć pojawia się na jego zazwyczaj beznamiętnej fizys. Kiedy rozpoznaje niegdyś ładną kobietę, zamyka oczy, potem mruga i otwiera je całkiem załamane. Sięga po fotografie. Widać na nich drobne damskie dłonie pogruchotane jakimś narzędziem. Paznokci oczywiście brak, a w ich miejscu pozostały żywe, krwawe rany. Niewielkie stopy również zostały zmiażdżone i pozbawione paznokci. Twarz trzydziestolatki jest cała w sińcach i wylewach, nos złamany i spuchnięty, usta zaś czarne od licznych razów. Z zębów pozostała miazga, a pocięty, nabrzmiały język niemal szczelnie wypełnia jamę ustną. Brzuch jest ciemnofioletowy, wylewy wewnętrzne usunięto z wielkim trudem dopiero operacyjnie. Z tego wszystkiego jednak najgorzej wyglądają plecy, z których zwisają płaty skóry i naderwane mięśnie. MBS zasłania oczy, nie chcąc dłużej na to patrzeć. Przełyka ślinę, żeby odegnać mdłości. W głowie mu szumi i oblewa się lodowatym potem, a po chwili ukrop ogarnia jego mózg. Wpada w trzęsawkę. *Może nie jest to taki do końca zły gość?*, przelatuje przez myśl Hamidowi, który na widok Kamili podobnie zareagował.

– Czy nadal uważasz, panie, że z dorosłych można drzeć pasy? – naciska, choć reakcja księcia jest najlepszą odpowiedzią.

– Co tam jeszcze masz, przyjacielu? – Władca jest twardym człowiekiem, a przynajmniej stara się na takiego wyglądać, więc niepostrzeżenie ociera pot z czoła, chwilkę trze oczy, nawykowo skubie brodę, a następnie delikatnie zbiera zdjęcia i wsadza je z powrotem do koperty. – Podpisujemy. – Wyciąga trzęsącą się rękę po kolejny dokument.

– Uwolnienie z więzień dysydentów oraz tych, którzy odsiedzieli wyroki, a nadal są bezprawnie przetrzymywani.

– Odważnie. To lista z więzienia w Dahban? – MBS powoli odyskuje werwę. – Sto pięćdziesiąt osób? Czyś ty oszalał?!

– Nic na to nie poradzę, że głównie tam osadzani są przeciwnicy nie tyle monarchii, ile łamania przez nasz dotychczasowy rząd praw człowieka. A że gwałcimy godność ludzką, sam się dzisiaj naocznie przekonałeś, panie.

– Dobrze. To pomoże?

– Albo pomoże, albo nas tam od razu zlinczują.

– Gdzie?! – niepokoi się podszyty tchórzem człowiek.

– Pojedziemy z rządowną delegacją do Dżeddy i ty, jaśnie panie, własnoręcznie wręczysz ułaskawienia bezprawnie więzionym obywatelom. Potem przeprowadzisz wizytację więzienia, bo jedynie tam jest co pokazać, i obiecasz, że wszystkie saudyjskie placówki penitencjarne niedługo będą tak wyglądały.

– W Dżeddzie?



– Tak, właśnie tam. Zwołamy konferencję prasową z udziałem ułaskawionych, na której będą międzynarodowe media. To szansa, że nie rozedrą nas na strzępy. Oczywiście całe miasto i okolica zostaną obstawione przez wojsko. Taka ta nasza demokracja – szydzi zawiedziony Hamid.

– Lepsza taka niż to, co było do tej pory.

– Też tak uważam.

Książę już bez szemrania podpisuje edykt jeden za drugim, to podnosząc brwi, to ściągając usta, to nawet się uśmiechając. Kiedy jest już tego cały plik i dokumenty zostają wręczone sekretarzowi, by odcisnął na nich lakową pieczęć królewską z symbolami kraju, opada na oparcie i zamyka oczy. Minister nadal stoi przed nim, jakby na coś czekał. Książę jest podminowany, co widać po kurczących się mięśniach zaciskanej nerwowo szczęki. Czoło znów ma zroszone, a dłonie rozedrgane.

– Gdzie znajdują się żona waszej wysokości i najmłodsza córka Latifa? – beczelnie interesuje się nie swoimi sprawami Binladen.

Władca spoziera na niego z oburzeniem i dezaprobatą.

– Właśnie w Dzeddzie. W królewskim pałacu – cedzi przez zęby.

Rozmówca już to wie, jednak chciał usłyszeć te słowa bezpośrednio z ust księcia.

– Na długo je tam zamknąłeś?

– Widzisz, co się dzieje. Tam przynajmniej są bezpieczne. Żadna krzywda ich nie spotyka. Mój ojciec chwalił sobie warunki i nadal twierdzi, że dobrze tam odpoczął.

– Na zawsze je internowałeś? Będą tam pięć, dziesięć czy piętnaście lat? Jak córki króla Abdullaha?

– Nie, mój ty sprawiedliwy ministrze! – Władca aż się zaplucza na takie oskarżenie. – Przewidziałem obecną sytuację i w każdej chwili spodziewam się jeszcze gorszego załamania władzy.

Współpracownicy mierzą się nawzajem wzrokiem. Książę zbiera się na odwagę, by wyznać coś jeszcze, a agent tej odwagi ma aż nadto.

– Pijesz jeszcze czasami swoje ulubione francuskie czerwone wino? – pyta w końcu władca mniej oficjalnym tonem.

– Ostatnio nie mam czasu, ale nadal je lubię. – Po raz pierwszy od wejścia Hamid delikatnie się uśmiecha.

– Ja nigdy szczególnie nie gustowałem w używkach... – MBS zawiesza głos, bierze parę głębszych wdechów, a następnie, wyraźnie zdeterminowany, chwyta za swój BlackBerry. – Zobacz, a potem zapraszam do mojego prywatnego salonu. Pogadamy... Jeśli nadal będziesz mógł na mnie patrzeć i mi służyć. – Spuszcza wzrok, wręczając Hamidowi komórkę z ustawionym filmem.

Godny zaufania poplecznik przyciska „play” i po kilku sekundach wyznaje:

– Już widziałem to nagranie.

– Co?! Jest w internecie?! – Następca tronu skacze na nogi i zaczyna biegać po gabinecie, jakby zwariował. Ma się wrażenie, że chce wyskoczyć przez okno, bo co chwilę do niego podbiega.

– Nie, dostałem od kogoś – wyjaśnia Binladen. – Wiemy, kto zlecił nagranie i kto je wykonał. Mogę cię uspokoić, że prawdopodobnie wszystkie nośniki, na których znajdował się film, są już w naszych rękach. Albo w innych pewnych.

– Naprawdę? – Władca zatrzymuje się tuż przy swoim rozmówcy. – Czyich? – Patrzy na niego, wytrzeszczając oczy.

– Mamy cały sprzęt Abu Isy, a Darin ma urzędzenia Jasema. To ona przesłała mi ten film.

– Och! Ach! – Księżę chaotycznie macha rękami jak obłąkany.  
– Jednak zawsze coś mogło wyciec i dlatego dobrze byłoby pojechać do Dżeddy i odwiedzić rodzinę. Może nawet Wafa dołączy na kolację do matki i siostry. No i do ojca...  
– *Wallahi!* – Oszałały ze strachu i rozpaczony mężczyzna nieoczekiwanie rzuca się na przykrytą perskim dywanem podłogę. Tarza się, to bijąc się pięściami po głowie, to po twarzy, szarpiąc za włosy i brodę. Na koniec siada, dygocąc jak osika, i obejmując swoje kolana. – Sądziysz, że Wafa przyjedzie? – Wybucha spazmatycznym płaczem.  
– Tego nie obiecuję.  
Minister sprawiedliwości wychodzi z audiencji u władcy zdeglustowany. Z tym człowiekiem nie ma ochoty prywatnie się zadawać, a jedynie musi stykać się z nim, wykonując służbowe obowiązki. Wszystko, co robi, nie czyni dla niego, lecz dla swojego kraju.

\*\*\*

– Hamidku! Jak ja bym chciała z nimi pojechać! – płaczliwym głosem wyznaje Dorota, patrząc na swojego wymizierowanego byłego zięcia stojącego w drzwiach jej domu.  
– Dorcia, wiem, ale...  
– Rozumiem doskonale. – Kobieta akceptuje spodziewaną odmowę. – To niebezpieczne, a w dodatku mam przecież Ahmeda, którego nie wolno mi narażać na ryzyko ani dostarczać mu nadmiernych przeżyć. Jednak pragnęłabym zobaczyć księżnę, kiedy po tylu latach spełni się jej marzenie.  
– Chyba nie będzie tak szczęśliwa, jak mogłaby.  
– Żadnej matce nie życzę, by znalazła się w takiej sytuacji, jednak zawsze lepiej odnaleźć dziecko i móc się nim opiekować, niż żyć w niepewności i myśleć o najgorszym. Przecież może się im polepszyć.  
– Jesteś niepoprawną optymistką. – Saudyjczyk obejmuje teściową, bo kocha ją jak własną matkę i traktuje jak najlepszą przyjaciółkę.  
– Straszne rzeczy się u nas dzieją ostatnimi czasy – stwierdza gospodyni, sadzając gościa w wygodnym fotelu i wręczając mu filiżankę aromatycznej kawy oraz wielki kawał swojego popisowego sernika. – Jedz – nakazuje. – Schudłeś, synku, że dosłownie skóra i kości.  
– Nie jest wesoło. Ale próbujemy z tego jakoś wybrnąć – pociesza ogólnikowo mężczyzna, bo nie chce straszyć wrażliwej Polki. Zastanawia się tylko, czy wylewna wnuczka czasami nie opowiedziała babci o ostatnich przeżyciach w szkole. – Nadia coś wspominała?  
– Nie! A co?  
– Że będzie lepiej. Wszystko ku temu zmierza.  
– Bajki opowiadasz. – Dorota nie jest aż tak łatwowierna. – Nawet Aszraf ostatnio wspomniał, że może byśmy się przenieśli do Emiratów Arabskich. Aplikował tam o pracę, i to na stanowisku ordynatora dobrej kliniki. Mam się już pakować?  
– Nie wiem, Dorciu. – Nawet będąc ministrem, nie zna jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Nie chce też egoistycznie zatrzymywać w niebezpiecznym kraju tych, których kocha. – Może dobrze by było mieć przygotowaną pod ręką jedną walizkę. I oczywiście paszporty.

\*\*\*

Doktor Al-Rida dostał za zadanie delikatne wybadanie Anud al-Faiz w związku z niezapowiedzianym przybyciem nowych pensjonariuszek. Z chęcią się tego podejmuje, bo bardzo ceni kobietę i życzy powodzenia jej misji. Nie zwleka zatem z telefonem do niej.  
– Księżno, mam małe pytanko.  
– Proszę mnie tak nie tytułować – zastrzega dyrektorka Dar Alriaja. – Nie chciałabym

stracić mojej anonimowości. Taka nic niewarta kurtuazja może być dla mnie dość niebezpieczna, panie ministrze.

– Kiedy pani przestanie mnie nazywać ministrem, ja zacznę się do pani zwracać Anud. Mogę? – pyta sympatycznie Al-Rida, a jasnie pani od razu się rozpogadza. – Przepijamy brudzia? Aszraf jestem.

– Z chęcią. – Słysząc śmiech na linii. – Och, ale aromatycznym czerwonym winem, dobrze?

– Już wiem zatem, jaki *bakszysz* ci wyślę, moja droga.

– Jak chcesz mi dawać łapówkę, to znaczy, że twoje pytanko nie jest takie malutkie. Wal. Jakby co, to odmówię.

– Czy znajdzie się u ciebie miejsce dla paru nowych kobiet i dzieci?

– Mój drogi! Pękamy w szwach. Za chwilę będziemy mieć taką samą sytuację jak w całym kraju – kobiety zamiast w domu opieki będą tu mieszkać jak w przytułku, spać na podłodze i przymierać głodem. Mam już jakieś dwieście nieszczęśnic. Pałac jest prawie pełen!

– Muszę opróżnić jeden budynek znajdujący się przy Szpitalu Gwardii Narodowej. Będzie spełniał inne przeznaczenie.

– Jakie? SPA? Odnowa biologiczna czy gabinet chirurgii plastycznej?

– Chyba coś mniej przyjemnego. Zostanie tu otwarty oddział zakaźny. Nie mamy takiego, a chyba niedługo może nam się przydać.

Anud nie zważa na treść słów, bo wcale doktorowi nie wierzy.

– To ile tych bab? – sonduje, zrezygnowana.

– Trzydzieści osiem. I dzieci – informuje lekarz, zdając sobie sprawę, że to bardzo dużo.

– Ile dzieci? Chłopcy? Dziewczynki? – Dyrektorka już się denerwuje.

– Siedmiu chłopców do lat dziesięciu i pięć dziewczynek. Też małe. Wszyscy urodzeni w aresztach lub więzieniach. Ich matki przeważnie zostały zgwałcone lub dopuściły się seksu przed- lub pozamałżeńskiego. One i ich potomstwo są wyklęte nie tylko przez rodziny, ale także przez nasze cudowne społeczeństwo.

– To jest chore, ale tak to odbieramy my oraz garstka nowoczesnych ludzi. Reszta Saudyjczyków takie postępowanie uważa za normalne. Jak ja nie znoszę tego kraju! – wyznaje zbulwersowana księżna. – Cóż... U mnie zrobiło się już małe przedszkole. W sumie nie takie małe, bo mam piętnastoro maluchów, a do opieki nad nimi tylko jedną wykwalifikowaną nauczycielkę, reszta to ochotniczki. Jeśli te kobiety i ich pociechy miałyby się tu zjawić, to nie mogą żyć jak w jakiejś przechowalni, ale normalnie, jak w domu, a dzieci powinny chodzić do przedszkola i szkoły. Taki miałam plan.

– Moja droga Anud, jest rozwiązanie – pociesza rozmówca, bo dokładnie wszystko już sobie przemyślał. – Na dniach przyjedzie do ciebie znany ci już minister, a mój przyjaciel. Jest z zawodu inżynierem architektem. Kiedyś, w młodości, nawet rekonstruował starożytne domy – wieże w Sanie w Jemenie. To i twój ośrodek dostosuje do wymogów i liczby pensjonariuszy.

– Na drugim piętrze znajdują się ogromne królewskie sale audiencyjne. – Zastanawia się już na spokojnie *mudira*. – Boję się ich tknąć. Tam są takie cuda! Połączane krzesła, stół obity połączaną grawerowaną blachą, a perski dywan ma rozmiary piętnaście na dwadzieścia metrów! Co z nim zrobić? Nikt go nawet nie podniesie.

– Pociąć, moja droga. Pociąć. Hamid ma rodzinę w Dzeddzie, która prowadzi filię ich budowlanej firmy Binladen Group. Oni ci to wszystko zaadaptują w ciągu miesiąca.

– To może coś jeszcze naprawią? – Anud kuje żelazo póki gorące, bo ma wiele potrzeb, i to nie tylko finansowych. – Potrzebujemy więcej umywalni i łazienek.

– Oczywiście!

– Cieszę się zatem na przyjazd, jak mniemam, już ostatniej grupy.

Na łączach zapada cisza. Kobieta czeka, aż rozmówca się rozłączy, a on dywaguje, jak delikatnie przekazać jej najważniejszą sprawę.

– Wysyłamy też trzy duszyczki... Trochę chore... W zasadzie niechodzące...

– No nie! Nie mam się nimi jak zająć! U mnie jest jedna pielęgniarka, która ledwo co wyrabia, opiekując się dwustoma kobietami. W większości przyjeżdżają straszliwie schorowane.

– Grupa ode mnie, z Rijadu, będzie przebadana, a jeśli któraś powinna się leczyć, zostanie jej ustawiona terapia. A te trzy słabeuszki ulokujemy u Husniego, tam, gdzie przebywa na rekonwalescencji nasza Kamila. Księżę prowadzi wspaniały ośrodek dla osób niepełnosprawnych, z pełną opieką medyczną i rehabilitacją. Ten młody człowiek jest zupełnie jak nie z naszej saudyjskiej bajki.

– Zgadza się. To prawdziwy skarb.

– Twój dom opieki też jest wyjątkowy. To perełka i następne, które otworzymy, będziemy na nim wzorować.

– To kiedy przyślesz ten transport? Muszę się przynajmniej prowizorycznie przygotować.

– Do dwóch–trzech dni.

– Ekspres jakiś?

– Żebyś wiedziała, kobieto!

– Cóż, po tym, co wyprawia się w naszym kraju, nic mnie już nic nie zdziwi.

Oczywiście nic nie wychodzi tak, jak by wszyscy pragnęli. Doktor koniecznie chce przebadać wszystkie internowane w hospicjum, by nie przesłać Anud konia trojańskiego w formie zaraźliwych schorzeń i nie zakazić jej podopiecznych. Jeśli idzie o obłożnie chore córki króla Abdullaha, w końcu chce wykonać kompleksową diagnostykę i zasugerować prawidłowe, skuteczne leczenie. Kobiety z plebsu jednak nie dają się dotknąć mężczyźnie lekarzowi i trzeba znaleźć medyczkę, która zechciałaby się nimi zająć. Żadna z nielicznych lekarek ze szpitala nie ma na tyle wolnego czasu, by od ręki przyjąć prawie czterdzieści nowych pacjentek. Sytuacja staje się patowa. Ostatecznie Aszraf składa propozycję Salmie, która za namową Doroty wróciła do pracy i wydaje się być z tego zadowolona.

– Wy uważacie, że te zdechlaki z pseudovipowskiego oddziału do czegoś się nadają? – Marokanka niezbyt miło określa kuracjuszek. – Kobieta po lobotomii 190 jest rośliną i rośliną pozostanie.

Hamid, asystujący doktorowi przy procedurze kompletowania dokumentów, nie poznaje własnej żony. Pokochał lekarkę z powołania, niepoddającą się zniechęceniu nawet w beznadziejnych przypadkach, a teraz wychodzi szydło z worka.

– Fajna diagnoza – stwierdza sceptycznie.

– Przecież u niej jak na dłoni widać wszystkie możliwe katastrofalne skutki uboczne – tłumaczy kobieta. – Jest totalnie otepiała, ma zaburzenia osobowości, inicjatywy, zahamowań, empatii oraz zdolności do samodzielnego funkcjonowania.

– A co z twoją empatią, żono? – dogryza zawiedziony mężczyzna.

– Jest adekwatna do mojej tragicznej sytuacji.

Zanosi się na pierwszą w małżeństwie poważną kłótnię. Jednak mężczyzna nie ma zamiaru publicznie prać swoich brudów, więc już nie ripostuje.

– A ta anorektyczka?! – kontynuuje niezrażona nerwuska. – Jej na pewno nie dowieziecie żywej na miejsce, jeśli planujecie prawie osiemset kilometrów pokonać na kołach. Jest zagłodzona! – chrypi Salma, co chwilę obrzydliwie wycierając nos wierzchem dłoni. – Dorocie

się wydaje, że jak ją nakarmi przed drogą ze dwa razy rosółem, to jej się poprawi.

Aszraf stoi z boku i pakuje leki do torby medycznej, przysłuchując się rozmowie. Takiego pomówienia pod adresem swojej ukochanej nawet ten zrównoważony facet już nie może zdzierżyć.

– Dorota, moja droga – stwierdza spokojnie – nie przychodzi tu od wczoraj. Opiekuje się tymi obłożnie chorymi prawie trzy lata. Dlatego jeszcze żyją, szczególnie ta chudzina.

Na te słowa furiatka połyka język, a Hamid zastanawia się, czy jako ostatecznego argumentu użyje łez. Już od jakiegoś czasu niefortunna wybranka jego serca niepomnie go denerwuje. Czuje się napastowany i osaczony, bo Salma nie daje mu swobody działania ani wolności, którą ofiarowywała mu Marysia. Przy pierwszej żonie mógł pracować, mógł się realizować, a nie tylko tłumaczyć i kajać. Teraz ciągle czuje się winny.

– Czy ty nie jesteś chora? – interesuje się, patrząc na jej wymizеровaną twarz i czerwone oczy. – Nie masz gorączki? – Ordynarne maniere nie są dla kruchej kobietki typowe, więc usiłuje wytłumaczyć je czymś innym niż tylko rozczarowaniem nim i kolejnym niefortunnym związkiem.

– Mam, ale co ciebie to może obchodzić? Jakaś głupia grypa fruwa teraz po świecie, więc może ją złapałam w tym zawszonym saudyjskim szpitalu. – Dalej atakuje, a do tego opowiada bzdury, bo leczenie w Arabii Saudyjskiej, a szczególnie w tej klinice, jest na najwyższym światowym poziomie.

– Idź do domu, moje dziecko. – Aszraf, trzymający rękę na pulsie, podchodzi do skłóconej pary. – Połóż się do łóżka, wygrzej, zażyj aspirynę i panadol, wypij gorącą herbatę z cytryną. Jak ci nie przejdzie w ciągu trzech dni, to niedługo powinniśmy dostać obiecaną partię testów. Będziesz pierwszą przebadaną.

– Tak? Najpierw twierdziliście, że dobrze mi robi praca, a teraz chcecie, żebym się wyniosła. To może się zdecydować? – Wściekła Salma, kichając na prawo i lewo, zmierza do wyjścia.

– Zaczekaj! – Doktor puszcza się za nią biegiem. – Załóż maseczkę! I nie zdejmuj jej, żeby nie zarazić domowników.

– Świetnie! Mam się w gorączce dusić, nie mogąc przez tę ścierę złapać oddechu?

– Hamid, ty też osłaniaj usta. – Przyjaciel wciska Binladenowi ochronny pakiet pod pachę. – To chińskie dziadostwo jest cholernie zaraźliwe.

– Gdzie ono do nas? – Mężczyzna lekceważy ostrzeżenie. – Gdzie Rzym, gdzie Krym, a gdzie Wuhan?

– Lepiej dmuchać na zimne, mój drogi. – Aszraf poklepuje druha po ramieniu, bo widzi, że ten będzie potrzebował wsparcia. – Salmo, dziękujemy za radę – dodaje jeszcze na odchodnym. – Rzeczywiście bez sensu byłoby te nieszczęsne, słabe kobiety wieźć transportem naziemnym. Załatwię dla nich samolot medyczny – dodaje z radosnym uśmiechem, bo przecież dla ministra zdrowia nie stanowi to żadnego problemu.

Wszystkim najbardziej zależy na jak najszybszym przetransportowaniu księżniczek. Cała reszta może jeszcze chwilę poczekać. Organizatorzy intrygi boją się, że któryś z oprawców przypomni sobie o ich istnieniu i a nuż zechce się z nimi ostatecznie rozprawić. Decydują do trzech kobiet dołączyć jeszcze Lamię, bo serce im krwawi na samą myśl, jak okrutnie została ukarana. Aż tak jej się nie należało. Hamid, największy filantrop, postanawia nawet osobiście zapłacić za operacje plastyczne, które pomogą kobiecie godnie żyć. Liczy, że po tych wszystkich przejściach i wieloletnim internowaniu zmieniła się i teraz może nawet zechce pomóc, czy to

w ośrodku dla niepełnosprawnych, gdzie Hamid planuje ulokować siostry, czy w domu opieki prowadzonym przez Anud.

– Mogłabym z panem polecieć? – Isra już tęskni za swoim domem i rodzinnymi stronami, a najbardziej za Hassanem. – Przecież to tylko dwa dni. Może tydzień?

– Obowiązki zawsze muszą stać na pierwszym miejscu – poucza dobry nauczyciel. – Jak chcesz być cenioną funkcjonariuszką, pamiętaj, że życie prywatne będziesz musiała odsunąć na drugi plan.

– Albo i trzeci, czwarty, piąty... – kpi Nadia, która też by się przeleciała, zwłaszcza że szkoła została zamknięta aż do odwołania i śmiertelnie się w Rijadzie nudzi. Ileż można gadać na WhatsAppie z Saszą albo biegać na bieżni? – W zasadzie, droga koleżanko, w ogóle zapomnij o domu, mężu, dzieciach... – żartuje, strasząc jednak młodkę.

– Uspokój się! – Hamid karci córkę. – Nie zniechęcaj dziewczyny.

– No co? Spójrz na swoje życie, tatku. Miałaś żonę, jak ty, wariatkę, to zachciało ci się zwykłego związku. Nadajesz się do tego?

– Nie za bardzo, córuś... Twojej mamy zresztą nigdy nie przestałem kochać – nieoczekiwanie wyznaje ojciec.

Słyszac to, nadpobudliwa Nadia od razu życzy macosze śmierci. *Niech ją piekło pochłonie! Znikaj, babo!*

Ojciec wrywa ją z ponurych rozmyślań:

– Słowo się rzekło, kobyłka u płotu. Jest, jak jest. – Wzdycha, załamany, ale zaraz zapanowuje nad słabością i zamyka temat: – Lecę do Dżeddy jutro rano. Wolałbym, żebyście pod moją nieobecność przeniosły się do babci Doroty.

– Co znowu?! – Córka nigdy nie posłucha od razu i zawsze, ale to zawsze każdą propozycję trzeba forsować. – Dlaczego, tato?

– Oczywiście, proszę pana – Prywatna strażniczka krnąbrnej gąski bez szemrania się zgadza, bo jeśli jej dobrodziej mówi, że nie jedzie do domu w górach, to nie jedzie, a jeśli każe zamieszkać u tej pięknej blond starowiny, która piecze takie pyszne serniki, to ona z chęcią się tam przeprowadzi.

– Salma jest chora. Ma grypę – informuje Hamid, a Nadia patrzy na niego ze zdziwieniem, bo właśnie w tej sytuacji powinien ją namawiać do pozostania i pomocy cierpiącej. Zwłaszcza że macocha jest w zaawansowanej ciąży. – Ma się nią kto zająć. Poproszę Fatimę, żeby u nas nocowała, a kucharz będzie jej codziennie gotował rosół. – Mężczyzna uśmiecha się ponuro, bo od dziś ta polska zupa będzie mu się kojarzyła tylko z obelżywymi słowami żony skierowanymi pod adresem poczciwej Doroty.

Na lotnisku w Dżeddzie czekają na kuracjuszeki, które przyleciały nowoczesnym samolotem medycznym, cztery karetki pogotowia, dwie suki policyjne z funkcjonariuszami z Taif, do których Hamid ma pełne zaufanie, oraz ogromny mercedes maybach dla dwóch ważnych ministrów – zdrowia i sprawiedliwości. Panowie są podekscytowani jak mali chłopcy. Ściskają spocone dłonie, wyłamując sobie palce, wzdychają i sapią, trzępią nogami, aż wielki samochód się kolebie, gryzą wargi i masują czoła i brody.

– Jechać! Szybciej! Szybciej! – poganiają jeden przez drugiego.

– Myślisz, że księżna Anud jest już na miejscu? – Aszraf męczy przyjaciela, tak jakby ten był wszystkowiedzący. – Husni miał po nią przyjechać do domu opieki z samego rana, ale zakazałeś ich nękać telefonami, więc...

– Kolego! – Towarzysz składa wargi w uroczym uśmiechu. – Nie dajmy się zwariować.

Wszystko będzie dobrze, a nawet jak nie będzie, to na pewno wszystko dobrze się skończy – cytuje słowa ze swojego ulubionego oscarowego filmu. Tak pasują one do arabskiej mentalności, że od jakiegoś czasu stały się jego dewizą. Bo czy cokolwiek da się w stu procentach przewidzieć? Czy wszystko można zaplanować?

Kiedy zostaje im jedynie dwadzieścia kilometrów, Binladen dzwoni do Wafy, z którą jest w kontakcie.

– Jak tam? Jesteście na miejscu?

– *Ajla* – potwierdza zduszonym głosem nastolatka, bo kto dzisiaj nie jest podekscytowany i wzruszony. Chyba tylko główne zainteresowane, matka i trzy siostry, które są całkowicie nieświadome mającego nastąpić spotkania. – Kiedy będziecie?

– Za dziesięć minut.

Suhur, która lata temu, niedługo po lobotomii, popadła w depresję i otępienie, dzisiaj co chwila rzuca okiem przez szybę samochodu, zaciekawiona, co szykuje im los. Kiedy wylądowali w Dżeddzie, była przerażona, że wracają do królewskiego pałacu i złotej klatki, teraz jednak prują na złamanie karku górską drogą, wspinając się serpentynami na kolejne wzniesienia. Podoba jej się tutaj. Wie, gdzie się znajduje. *Taif. Spędzałam tu wakacje w dzieciństwie. Piękne miejsce, choć matka nudziła się jak mops.* Dwaj nieznajomi mężczyźni wyglądają sympatycznie, więc w sercu kobiety pojawia się nikła iskierka nadziei. *Dobrze im z oczu patrzy, stwierdza. Nie wiozą nas na śmierć.*

Alija, której ciało już dawno temu pod wpływem nieleczonego dziecięcego wirusowego zapalenia opon mózgowych przestało być sprawne, nadal może się uśmiechać jedną połową ust i siedzieć wykrzywiona jak paragraf w fotelu, ale wyartykułowanie jakiegoś zrozumiałego dźwięku przychodzi jej z wielkim trudem. Teraz też obserwuje krajobraz. Jej mózg został uszkodzony, lecz nie na tyle, by całkiem nie zdawała sobie sprawy, co się dzieje dookoła niej. *Ladnie tu. I jak fajnie pachnie. Co to takiego?*, usiłuje sobie przypomnieć. *Pinie! Szyszki! Będę znów zbierać szyszki!* Ekscytacja powoduje jeszcze większy przykurcz w ręce i drżenie mięśni.

Dżawair, najśłabsza z sióstr, ciężko znosi podróż. Cały czas w samolocie siedział przy niej miły starszy doktor, który podłączył jej kroplówkę i raz za razem podtykał pod usta gorzką czekoladę. Teraz w karetce jest już z lokalnym lekarzem, który także sprawdza jej puls, dotyka czoła i ręki. Anorektyczka, o dziwo, czuje lekki głód, bo świeże górskie powietrze wpadające podczas drogi przez uchylone okno błyskawicznie odżywia jej osłabiony organizm. Zamknięcie przez ostatnie długie pięć lat w hospicjum spowodowało całkowitą utratę apetytu i niechęć do podłego, szpitalnego jedzenia. Przez cały ten okres nigdy nie wyszła na dwór, nie opuściła pokoju, a pod koniec nawet własnego zniechęconego łóżka. Cały czas oddychała zatęchłym powietrzem, płynącym z centralnej klimatyzacji, której filtry rzadko czyszczono z grzybów, pleśni i wirusów, a smród detergentów, przede wszystkim ostry zapach chloru, atakował jej zmysł węchu i wysuszał skórę. Jakże można tam było czuć smak na cokolwiek, kiedy w ustach miała posmak chemii. *Tutaj może jeszcze dojdę do siebie?*, młoda kobieta po raz pierwszy od niepamiętnych czasów widzi światelko w tunelu. *Na wsi klimat jest zdrowszy i produkty spożywcze znakomite. Będzie mi tylko brakowało pani Dory i jej rosółku. A może mnie odwiedzi?*, snuje plany na przyszłość, a na jej bledziutkich, zapadniętych policzkach pierwszy raz od lat wykwitła rumieniec.

Lamia czuje, że zabrała się na tę przejażdżkę jedynie przy okazji. Od lat wie, z kim jest przetrzymywana, i zna prawdziwe imiona swych towarzyszek niedoli. Pierwszy szok przeżyła, widząc w hospicjum Miriam i Nadię, bo Dorotę poznała od razu. Polka nie miała pojęcia, z kim ma do czynienia, a księżniczka teraz już wie, że nie zmieniłoby to podejścia do niej dobrej filantropki. Na widok Hamida Lamii zmiękły kolana. Jakże ona go kiedyś kochała! Był jedynym

mężczyzną, do którego czuła taką miłość. Wariowała na jego punkcie i szalała z zazdrości o Miriam. Przez to zauroczenie popełniła wiele błędów i złych uczynków. Jednak czy zasłużyła aż na taką karę? Od lat dręczy ją ta myśl. Ma przeczucie, że jej były nadal jest prawym człowiekiem i nie pozwoli jej trwać w bólu, cierpieniu i brzydocie. Szybko się o tym przekonuje.

– Pojedziesz do kliniki w Dżeddzie – dawny kochanek informuje ją jeszcze w samolocie.  
– Jeśli masz jakoś funkcjonować i nie straszyć ludzi – trochę grubiańsko żartuje – to trzeba cię naprawić.

– Dziękuję – niewyraźnie szepcze zaskoczona Lamia. – Dziękuję ci...

– Wierzę, że stamtąd nie uciekniesz i nie narobisz sobie i mnie kłopotów – sonduje przezornie, pamiętając jej charakter i haniebne poczynania za młodu.

– Nie obawiaj się. Przysięgam...

Rozmówca musi się domyślać treści jej wypowiedzi, bo kobieta ma wypalone kwasem solnym język i podniebienie, co utrudnia jej komunikację.

Trzy karetki pogotowia z trzema księżniczkami – Suhur, Dżawair i Aliją – podjeżdżają pod ośrodek dla osób niepełnosprawnych znajdujący się na ogromnej posesji księcia Husniego al-Sauda. Wybudowano go w odległości paru kilometrów od pałacu, w odosobnieniu, tuż u podnóża wzniesienia porośniętego sosnowym lasem. Trzypiętrowy budynek przypomina luksusowy szpital lub sieciowy hotel. Jest biały, przestronny i posiada wszystkie udogodnienia dla osób dotkniętych kalectwem. Są więc podjazdy dla wózków inwalidzkich, poręcze, co krok czerwone guziki z alarmem, dwie duże windy, a w pokojach wszystkie możliwe ułatwienia. Księżniczki dostają wspólny apartament z trzema sypialniami, każda z łazienką i toaletą, salonem oraz kącikiem jadalnym, a przede wszystkim z własnym tarasem, który wychodzi na spory różany ogród. Rozpościerający się z niego widok na zamglone góry Hidżazu jest oszałamiający.

Kuracjuszki z karetek zostają delikatnie wyniesione przy pomocy pielęgniarzy i lekarzy i usadowione w fotelach na kółkach.

– Witam. Jestem Husni al-Saud. – Młody człowiek uśmiecha się do nich sympatycznie, a one ze zdziwieniem gapią się na niego, po raz pierwszy widząc Al-Sauda w stroju farmera i w westernowym kapeluszu na głowie. – Zapraszam panie do mojego ośrodka rehabilitacyjnego i życzę miłego pobytu.

Szczupła dziewczyna ostrzyżona jak chłopak, ubrana w dżinsy i popielatą bluzę, stoi za gospodarzem i wręcz podskakuje z ekscytacji.

– Dzień dobry! – Podbiega do kobiet i wyciąga rękę do każdej z nich. – Jestem Wafa al-Saud – po raz pierwszy przedstawia się swoim prawdziwym imieniem i nazwiskiem. – Mieszkam w Taif po sąsiedzku i będę u was częstym gościem.

– Jesteś żoną pana Husniego? – pyta zaintrygowana Dżawair. – Taka młoda?

– Nie, skądże! – Wafa czerwieni się aż po linię włosów i ucieka jak młoda gaska, a Husni myśli sobie, że jeszcze nie, ale w przyszłości to kto wie.

Po krótkich formalnościach kobiety zostają zawiezione do swojego apartamentu i od razu życzą sobie, by wózki ustawić na tarasie. Pielęgniarze spełniają ich prośbę i usuwają się w cień, odchodząc do swoich zajęć. Przy stole stoi tylko jedno krzesło, a przyjezdne zostają w towarzystwie trzech mężczyzn, dwóch ministrów i księcia.

– Siadźcie gdzieś, panowie. – Suhur bezradnie rozgląda się dookoła. – Powiecie nam, co nas tu sprowadza? – Chrypnie, gdyż nieużywane od lat struny głosowe odmawiają posłuszeństwa.

– Zaraz przyjdzie wasz pierwszy gość. – Naczelny organizator raduje się, że cała akcja kończy się happy endem191. – Nie będziemy dziś wam przeszkadzać.

– Chodź, ciociu! – z salonu dochodzi głos Wafy. – Mamy dla ciebie niespodziankę.



Księżna Anud al-Faiz staje przed swoimi córkami, które pozostawiła w Arabii Saudyjskiej prawie osiemnaście lat temu. Wtedy były młodymi dziewczynami, a teraz to dojrzałe, schorowane kobiety. Jednak matka zawsze rozpozna swoje dziecko. Kobieta wpierv nieruchomieje, by już po chwili dygotać na całym ciele. Ściska zęby, by nie zacząć krzyczeć. Wbijają zszokowany wzrok w siedzące na fotelach nieszczęśniczki. Powoli łączy równym strumieniem wypływają jej z oczu.

– Alija! Dżawair! Suhur! Córeczki moje! – krzyczy, jednak nadal nie ruszając się z miejsca.

Alija otwiera buzię, lecz wydaje z siebie jedynie jęk skrzywdzonego zwierzątka. Z warg spływa jej ślina, z nosa katar. Suhur, najbardziej otępiała z wszystkich, siedzi tylko i okrągłymi oczyma patrzy na postarzałą postać niegdyś pięknej matki. Dżawair gryzie wargi i język aż do krwi, swe wychudzone i cienkie jak patyki palce zaplata i ściska tak mocno, aż słychać chrzęszczenie kości.

– Mamo! – Niepełnosprawne wyciągają ramiona do swojej rodzicielki. – Mamo! Mamusiu!

Anud w końcu rzuca się do nich i po kolei każdą czule ściska, całuje, delikatnie obejmuje i głaska po twarzy i włosach. Co chwilę wymawiają swoje imiona, co rusz dotykiem upewniają się, że to nie sen.

Wzruszeni mężczyźni i płacząca z radości Wafa opuszczają taras, oddając matce i córkom ich odzyskaną prywatność.

\*\*\*

Po burzliwym przywitaniu, zagospodarowaniu księżniczek w ośrodku i jakim takim odzyskaniu równowagi Anud w towarzystwie Wafy i Hamida jedzie do Taif do domu opieki, by pokazać ministrowi, jak bardzo ośrodek jest już przepełniony, i uzyskać poradę, w jaki sposób zaadaptować królewski pałac na potrzeby mieszkających w nim kobiet.

– Dążę do tego, by mój Dar Alriaja był bardziej hotelem dla kobiet niż przytułkiem czy jednostką penitencjarną.

– Popieram całym sercem i wesprę ze wszystkich sił – deklaruje mężczyzna.

– Kobiety nie mogą mieszkać w trzydziestoosobowych salach, bo to nie pierdel ani obóz pracy. Mam matki z dziećmi i szczególnie one powinny dostać schludny pokój tylko do ich dyspozycji. Są u mnie też pracownice naukowe, mam anglistkę, informatyczkę, ekonomistkę czy farmaceutkę, które rozpoczęły już pracę na tutejszej uczelni. Muszą mieć miejsce, by się przygotowywać do zajęć czy poprawiać prace studentów.

– A co z osobami niewykształconymi czy wręcz analfabetkami? Jak chce je pani usamodzielnąć?

– Bogu dzięki mieszkamy na wsi, daleko od ortodoksyjnego Rijadu, i tutaj coraz częściej zatrudniają się kobiety w zakładach pracy. Nawet na linii produkcyjnej czy w rolnictwie.

– Brawo! Może jeszcze unowocześnimy nasz kraj.

– Wafa chce otworzyć naszą własną fabryczkę olejku różanego, choć na dzień dzisiejszy mamy jedynie dwadzieścia hektarów ugoru i ani jednej róży.

– Za rok ruszają pierwsze zbiory. – Młodość zawsze ma więcej optymizmu, bo złe doświadczenia jej nie zniechęcają, więc Wafa szczerze wierzy w powodzenie projektu. – Już teraz nasze panie pracują na tym ugorze, karczując chaszczę i sadząc róże damasceńskie.

– Niepomierne mnie to cieszy. – W rześkim powietrzu i przy tyłu pozytywnych emocjach przyjezdny czuje, że żyje. Jego też Rijad przytłacza. – Z pałacem pomożemy. Zrobimy z tego pracowniczy hotel. Obiecuję.

– Jeszcze ci powiem, wujku, że my już z naszą pensjonariuszką chemiczką komponujemy nową linię perfum – chwali się młoda, kiedy wchodzi po schodach na drugie piętro, gdzie znajdują się ogromne sale audiencyjne pełne niewyobrażalnego bogactwa. – Chcemy połączyć naszą rodzimą linię ciężkiego zapachu *oud* z lekką różaną nutką.

– Brzmi ciekawie – chwali Hamid, choć nie wie, czy to nie zbyt poważne przedsięwzięcie dla nastolatki i farmaceutki, która do tej pory handlowała w aptece opiatami. Nie chce jednak zniechęcać młódki. – Kupię od was pierwszy flakonik.

– Za rok dostaniesz wspaniały orzeźwiający zapach w pięknym jajku! – wygłasza uroczyście Wafa.

– W jajku? Takim od kury? – chichocze minister. – Wydmuszcze?

– Niekoniecznie. Boski nektar zamknijemy w zdobionym szlachetnymi kamieniami pojemniczku imitującym jajo Fabergé192. A dla uboższych zrobimy wersję plastikową.

– Wiesz co? – Przyszywany wujaszek obejmuje dziewczynę. – Ty to masz łeb! – Całuje ją w czoło, bo Wafa jest dla niego jak córka.

Kiedy docierają do celu, przyjacielskie pogaduszki przerywa konkretna księżna Anud:

– Oto i największa sala audiencyjna. Mamy tu z trzysta metrów kwadratowych pustostanu, a moje dziewczyny gnieźdzą się już po dwadzieścia–trzydzieści w jednym pokoju. I to z dzieciakami i całym babskim bajzlem na głowie.

– Czemu się pani martwi? Ile jest takich komnat?

– Trzy. Prawie całe piętro nam blokują.

– Moja droga! To dla mojej firmy kaszka z mleczkiem. Nie ma ścian działowych, które trzeba burzyć, jest mnóstwo okien, dużo powietrza, bo sale mają z trzy i pół metra wysokości. Z jednej zrobię dziesięć eleganckich pokoi. Czyli na piętrze będziesz miała trzydzieści sporych pomieszczeń dla kobiet z dzieckiem lub fachem w ręku. Czegóż chcieć więcej?

– A reszta?

– Nie przesadzajmy. W żadnym hotelu pracowniczym rezydenci nie mieszkają w pojedynkę. To zresztą nie leży w arabskiej naturze. Mamy wielopokoleniowe domy, w których żyją dziadek i babcia, ich dzieci, wnuki, nieraz i dwadzieścia osób. Nie mierz tych prostych kobiet swoją miarą, księżno.

– Oczywiście masz rację. – Twarz Anud się rozpogadza. – Przesadziłam w drugą stronę.

– A co z tymi drogocennymi krzesłami, stołami, zasłonami, obrazami i rzeźbami? – dopytuje Wafa. – Nie możemy przecież wyrzucić na śmietnik.

– To, czego nie potrzebujecie, wystawcie na eBayu lub Allegro. Dostałyście nieruchomość Szubra z wszystkimi jej ruchomościami. Jakby nie chcieli wam tego dać, toby nie dali.

– Kolejny dobry pomysł. – Organizatorki patrzą na pomyslowego faceta jak na wybawiciela.

– Nic się wam nie przyda? – dziwi się zaradny gość. – Nie otwieracie czasami kawiarni czy restauracji? Na budynku, gdzie ostatnio odbywała się inauguracja ośrodka, widziałem szyld „Wafa Café”. To miejsce idealnie się do tego nadaje, a te oto meble i dekoracje dodadzą mu niewyobrażalnego splendoru. Wszyscy goście będą się chwalić, że idą do książęcej kawiarni, będą siedzieć przy królewskich stołach na królewskich zydlach i lampić się na królewskie obrazy – żartuje Binladen. – Od razu możecie podnieść ceny w menu o sto procent!

Anud i Wafa aż klaszczą w ręce, a dyrektorka wybiega na korytarz i jak zwykła baba drze się na całe gardło:

– Aisza! Fatima! Chodźcież na górę! Robimy przemeblowanie!

\*\*\*

– Szkoda, że musisz już wyjechać. – Wafie jest smutno, bo brakuje jej ojca, jednak nie własnego, tylko właśnie takiego jak Hamid, którego zawsze Nadii zazdrościła.

– Mam dla ciebie propozycję.

– Nie wróćę do Rijadu. – Młoda nawet nie słucha, o co chodzi. – W życiu! Nigdy w życiu!

– Nie zaproponowałem ci tego.

– No tak... – spuszcza z tonu.

– Nie wściekaj się. Podziwiam cię za to, że tak świetnie dajesz sobie radę i działasz jak dorosła osoba, więc nie zachowuj się teraz jak rozwydrzony dzieciak – udziela jej delikatnej, acz stanowczej reprimendy. – Chcę zaproponować ci wyjazd na jedno albo dwa popołudnia.

– Dokąd? Po co? Dlaczego?!

– Panuj nad emocjami, Wafo – znów ją napomina. – Chcesz być jak typowa Arabka, która zanim usłyszysz, już się awanturuje?

– Przepraszam, ale mam lekkie skrzywienie...

– To je wyprostuj. Temu właśnie ma służyć ten wyjazd.

– Słucham zatem. Bez słowa i wrzasków.

– Chciałbym, żebyś pojechała ze mną do Dżeddy odwiedzić kogoś w pałacu królewskim.

– Mój ojciec dla mnie umarł. Ja dla niego również...

– A matka i Latifa, które są tam przetrzymywane?

– Przez niego? – Dziewczynie aż dech zapiera. – Ten drań je też zamknął?

– Ponoć ze względów bezpieczeństwa. Aktualnie w naszym kraju nie jest najspokojniej.

Nadia nie chodzi do szkoły, bo ostatnio miał tam miejsce atak terrorystyczny.

– Z mamą i siostrą z chęcią się spotkam. Ale tam nie zostanę, dobrze?

– Oczywiście, że nie. Nie mam zamiaru cię tam ulokować ani też nie dostałem takiego rozkazu. Dla twojej rodziny twój przyjazd będzie niespodzianką, tobie jednak musiałem wszystko wyjaśnić, przez co siurpryzę szlag trafił.

– To wcale nie będzie przyjemna wizyta. Ale jedźmy. Chciałabym jak najszybciej mieć to z głowy.

– Za trzy dni będziemy z twoim ojcem uczestniczyć w konferencji, która ma się odbyć przed więzieniem Dahban w Dżeddzie. Mogą nas tam rozszarpać gołymi rękami albo zwyczajnie zastrzelić. Może pogodzilibyście się przedtem? – Już w samochodzie mknącym serpentynami do nadmorskiego kurortu Hamid nieśmiało proponuje milczącej dziewczynie.

– Nie ma mowy! Taka już moja pamiętliwa natura, taka moja zimna krew i ostateczna decyzja – oznajmia oschle Wafa z książęcą miną i dumnie podniesionym czołem.

Księżniczka Wafa, widząc królewski pałac, jest pełna zachwytu, ale usiłuje to ukryć. Przyobleka obojętny grymas i podąża niepewnie za swoim opiekunem. Musi mu wierzyć na słowo, że jej tutaj nie zostawi, choć przecież zdaje sobie sprawę, że jeśli ojciec tego będzie chciał, to samotny obrońca nic na to nie poradzi. Przemierzają za służącym w szykownym uniformie puste korytarze, krążą po zasnutych martwą ciszą salach, by w końcu dojść do miejsca, które imituje luksusową restaurację. Na skórzanych fotelach przy niskim stoliku siedzą już wezwane wcześniej Sara i Latifa. Niemrawo obracają głowy, słysząc odgłos kroków, a następnie zrywają się z rozpostartymi ramionami na powitanie zaginionej krewniaczki.

– Wafo, córuniu! – Matka oczywiście zalewa się łzami.

– Siostrzyczko! Ciebie też uwięził w tym ogromnym pałacu? Można się tu zgubić

i z łatwością odizolować od siebie nawet sto osób! – Zszokowana Latifa wbija wzrok w wychudłą, zmienioną postać. – Zostaniesz już z nami?

– Nie, kochane... – Wafa ukradkiem ociera oczy. – Przyjechałam was tylko odwiedzić, prawda? – Zerka niepewnie na Binladena, a ten tylko niemo potakuje.

– Gdzie byłaś, jak cię nie było? – zagaduje młodsza siostra. – Gdzie cię osadził? Obawiałam się, że wykonał na tobie zbrodnię honorową.

– Upiekło mi się. Tylko przebywałam w więzieniu – ironicznie modeluje głos. – W izolatce. O wodzie i zapleśniałych sucharach. Kiedy już mnie prawie całkiem zagłodzili, dawali mi stare, zeschnięte ciastka.

– *Wallahi!* – lamentują matka i siostra. – Co za potwór!

Niewiasty nie zauważają wejścia swego pana i władcy, który staje w pewnej odległości przy restauracyjnym stole i przysłuchuje się ich rozmowie. Opanowuje go ogromna złość, a niezdrowy rumieniec wypływa na zazwyczaj blade policzki. Hamid stoi obok, postanawiając nie odstąpić Wafy na krok, bo nigdy nie wiadomo, co księciu wpadnie do głowy. Jako jego minister już wie, że władca jest niezrównoważony emocjonalnie.

– Dziwicie mi się?!

Kobiety aż skaczą na dźwięk jego głosu, żadna jednak nie odpowiada.

Sfrustrowany odrzuceniem najbliższych księżę koronny dygoce z nerwów.

– Krytykujecie? To spójrzcie sobie na ten filmik! Pooglądajcie, co wyprawia ta mała ladacznica.

Wręcza swój telefon głównej zainteresowanej, a ona wytrzeszcza oczy, wbijając je w ekran. Płoni się niewinnym rumieńcem, lecz po chwili niebezpiecznie blednie, jakby miała zemdleć. Ledwo trzyma komórkę w ręce. Podbiega do niej matka i siostra i obie w szoku śledzą akcję. Każda robi dziwne miny. Latifa, która marzy o miłości, lecz tej cielesnej nigdy nie zaznała i nigdy nie widziała, jest speszona i cicha jak trusia. Co chwilę przenosi wzrok z ekranu na siostrę, jakby chciała się upewnić, że to ta sama osoba. Matka zaś po pierwszym zaskoczeniu robi coraz groźniejszą minę, a gorycz zalewa jej serce.

– Widział pan? – Głowa rodziny zwraca się do Hamida. Jest załamany i wściekły zarazem. – Niech pan popatrzy, co tam się wyprawia. Może niedługo nagranie obiegnie cały nasz kraj.

– Widziałem – głucho odpowiada Binladen.

– Co?! Skąd pan to wziął? Już jest w sieci?!

– Z tego samego źródła co nagranie z panem w roli głównej – ripostuje, zezłoszczony obłudą Saudyjczyka. – I nie sądzę, żeby upublicznienie tego materiału mogło mieć jakiś straszliwie dramatyczny wydźwięk.

– Dla mnie ma ogromne znaczenie! Ciekaw jestem, co by pan zrobił, gdyby pierwszoplanową aktorką takiego pornola była pańska córka.

– Na pewno nie to co pan – szczerze odpowiada minister, choć o takiej ewentualności nie chce nawet myśleć.

– Gdyby ją ktoś zgwałcił, dopadł w ciemnej uliczce, a ona cnotliwie i odważnie by się broniła, to żałowałbym jej jak nikogo innego na świecie. Kochałbym nadal całym swoim sercem. Ale sam pan widzi, że wyszła z niej mała puszczalska, prowokująca i zachęcająca mężczyznę. Zachowuje się jak marokańska prostytutka w burdelu w Tangerze! – Ojciec jest załamany.

Ostatnie słowa dochodzą do Wafy, która zmusza się, by obejrzeć cały film i przypomnieć sobie, co takiego niewybaczalnego zrobiła – co doprowadziło jej ojca do tego, że osadził ją w więzieniu, a może nawet chciał zabić. Przekazuje aparat matce, która odgania się od niego, jakby był zainfekowany, i rzuca na stół ekranem do góry, więc dalej mogą z Latifą śledzić

poczynania zdeprawowanej córki i siostry.

– Kochałam tego chłopaka, ojciec – śmiało obwieszcza nieletnia księżniczka. – Kochałam go całym sercem. To nie podryw jakiegoś tam obcego faceta, lecz spełnienie miłości.

– Co?! – MBS przyskakuje do córki i nieoczekiwanie wyciąga spod czarnego płaszcza mały lśniący sztylet. – Spełnienie? Miłość? A co to takiego?!

W tej samej chwili Hamid chwytą władcę za nadgarstek i miażdży go w uścisku. Nóż wylatuje z ręki agresora, z metalicznym dźwiękiem upadając na marmurową podłogę.

– Ty nie masz o tym pojęcia – syczy wściekła Wafa. – Kiedyś zupełnie inaczej cię oceniałam. A ta twoja żona, pusta lala, marionetka w łapskach systemu, również jest wyzuta z wszelkich uczuć.

– *Wallahi!* Ty coś o mnie masz do powiedzenia?! Ładaczniczo jedna! Coś ty narobiła?! Ty bezwartościowa dziwko! Hańba! Hańba! Po trzykroć hańba! – Do wymiany zdań włącza się Sara. Wrzeszcząc, bije się pięściami po głowie, drapie do krwi upudrowane liczko, szarpie za upięte w modny kok, polakierowane włosy.

– Jak ty się zachowujesz? – Pierworodna chwytą matkę za ramię. – Jak małpa w cyrku! Co za prymitywizm! Co za zakłamanie i obłuda! Ty nigdy nikogo nie kochałaś? Tylko graliście z ojcem wyznaczone wam role?

– Co ty mi tu insynuujesz?! – Sara od razu zmienia front, a jej wcześniej zrozpaczona mina błyskawicznie niknie i wyraża zwykłą złość. – Byliśmy nad wyraz udanym małżeństwem!

– Gówno prawda! Mielicie wygodny kontrakt, ot co. Jedyne, co ciebie i twoją nieodrodną córeczkę interesuje – Wafa pokazuje palcem na młodszą siostrę – to forsa. Zakupy, zakupy i jeszcze raz zakupy! Idiotyczne, niepotrzebne wam rzeczy, setna torebka od Prady, pięćsetna para butów od najmodniejszego projektanta, tony ciuchów! Większość leży w twoich garderobach z ciągle nieodciętymi metkami. Nigdy nienoszone. Czy kiedykolwiek coś komuś podarowałaś, tak sama od siebie, od serca? Dałaś żebrakowi do ręki sto riali?

– Jakże to! Ileż instytucji charytatywnych otworzyłam! Ile fet i bazarów zorganizowałam! Wszystkie zebrane tam pieniądze szły na zbrożny cel.

– Jaki, matko? Oprócz radochy z imprez zainteresowałaś się, na jaki cel te zebrane przez ciebie miliony zostały przeznaczone? Na więzienia dla kobiet? Na domy opieki? Byłaś w takim kiedyś? Wizytowałaś te wspaniałe miejsca?

– Nie jestem ani zbrodniarką, ani taką rozpustnicą jak ty, żebym miała się płatać po takich przybytkach. – Księżna ukazuje swoje błagierskie oblicze.

– Jesteś płytką, pustą, wyfiokowaną saudyjską gadzeciarą bez serca – wygłasza obrazoburczą litanię córka. – Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

– Popieprzyło cię po tym więzieniu – kwituje Latifa. – Może ci elektrowstrząsy robili?

Nikt jednak nie zwraca uwagi na głupią odzywkę nastolatki, bo starcie przebiega między dorosłymi: Wafą, dojrzałą nad wiek i doświadczoną przez życie dziewczyną, jej ojcem, księciem, zakłamanym i obłudnym tradycjonalistą, i matką – rozpuszczoną bogaczką, tworem zgrzybiałej saudyjskiej monarchii. Hamid ma nerwy napięte jak postronki, bo wziął sobie ciężkie zadanie na barki: chronić zarówno córkę, jak i ojca, którzy teraz sami z chęcią by się pozabijali. Nienawiść dosłownie tryska z ich czarnych jak noc oczu.

– Gdybym nie była taką zatwardziałą dziewicą i Adam dokonałby defloracji bez wysiłku i bólu, to zapewne zupełnie inaczej potoczyłyby się nasze losy – zjadliwie wyznaje Wafa, doskonale wiedząc, jak uderzyć w moralność zaściankowych rodziców. – Może byłabym już w ciąży, ucieklibyśmy i zaszyli się w jakimś azjatyckim buszu i tyle byście nas widzieli. Może znalazłabym w ramionach tego pięknego, kochającego mnie chłopaka szczęście. On nie jest niczemu winien, pamiętaj o tym. – Pokazuje palcem na ojca, bo zdaje sobie sprawę, że zemsta

jest kwintesencją życia arabskiego mężczyzny. – Kobieta zawsze może powiedzieć „nie”, a mężczyzna powinien usłuchać... – zawieszając głos. – Niemniej jednak bywa, że nie da się zatrzymać biegu rzeczy. Wszystko sobie przemyślałam. Teraz to rozumiem i jestem w stanie wytłumaczyć. Przecież on dla mnie nawet przeszedł na islam! – Na te wieści zszokowanym słuchaczom rzedną miny. – Myślałam, że jesteś na tyle postępowym człowiekiem, co tak pięknie głosiłeś wszem wobec, że będziesz skłonny własnej córce dać dyspensę na poślubienie tego, kogo kocha. Nie Araba, nie Sauda, ale muzułmanina. Nie udało się. Los tak chciał – kończy zupełnie nie jak muzułmanka, powołując się na przeznaczenie, a nie na Boga.

– *Insz Allah* – potwierdza z udawaną religijną estymą matka.

– *Insz Allah* – dołącza ojciec.

W pomieszczeniu robi się cicho jak makiem zasiał. Może coś ze słów nowoczesnej córki dochodzi do ograniczonych mózdków jej rodziców, choć i tak nie poprawi to już ich wzajemnych stosunków. Arabska zawziętość i ich własne pamiętliwe charaktery im na to nie pozwolą. Wybaczenie nie leży w ich naturze.

– Nie nienawidzę już Adama – wyznaje jeszcze Wafa. – Czuję tylko ogromną niechęć. Gardzę nim, tak jak większością samczego gatunku. Choć zdarzają się pewne wyjątki, takie jak minister Hamid Binladen czy książę Husni al-Saud – tych mężczyzn cenię i bardzo szanuję. To wspaniali ludzie. Jednak numer jeden na mojej liście afektów zajmujesz ty, *baba*. Ciebie nienawidzę całym sercem.

Po tych słowach młoda kobietka obraca się plecami do swojej skrzywionej rodzinie i szybkim krokiem kieruje do wyjścia.

Hamid – *bodyguard* odważnej panny – rusza za nią. Obejmuje ją ramieniem, osłaniając swoim ciałem, na wypadek gdyby niestabilny uczuciowo ojciec jednak zechciał ją zabić.

\*\*\*

Konferencja w Dżeddzie i wystąpienia następcy tronu Mustafy bin Saliha, o dziwo, spotkały się z pozytywną reakcją nie tylko społeczeństwa saudyjskiego, ale i międzynarodowych elit. Wszyscy się cieszą, że Arabia Saudyjska wraca na drogę, którą książę chciał podążać od samego początku. Liczne zdjęcia MBS wraz z zadowolonym ojcem, królem Salihem i uśmiechniętą matką obiegają świat, który oddycha z ulgą, że rodzice księcia się odnaleźli i nie są przetrzymywani w złotych klatkach. Wszyscy tłumaczą sobie podejrzenia fałszywymi plotkami, które tak uwielbiają szerzyć podłe media. Fotografie uwolnionych dysydentów i ich uniżone podziękowania pod adresem łaskawego i tolerancyjnego władcy chwytają za serce. Najbardziej jednak wzruszające są portrety zapłakanych ze szczęścia młodych saudyjskich aktywistek, które obiecują zakasać rękawy i razem z rządem zabrać się za poprawę sytuacji kobiet i dzieci w Królestwie. Takiej radości w tym kraju dawno nie było. Jakby nastąpiło święto narodowe. Wystarczy ludziom zabrać wolność i swobody obywatelskie, a potem popuścić smyczy, by wydawało im się, że zostali obdarowani czymś niezwykłym. A oni dostają tylko to, co im się prawnie należy.

– Wygląda na to, że jesteśmy szczęściarzami, gdyż przynajmniej czasowo uratowaliśmy własną skórę – zadowolony książę koronny wznosi toast na prywatnym spotkaniu ze swoimi ulubionymi ministrami i starym doradcą Al-Ridą, który wraca do łask. – Lecz nie wiem, czy zdajecie sobie panowie sprawę, że wiszą nad nami kolejne czarne chmury. Doktor Aszraf na pewno wie, o czym mówię.

– Tak, jasnie panie. – Minister zdrowia wyciąga plik dokumentów, bo oczywiście przygotował się do tej rozmowy. – Właśnie chciałem dzisiaj poruszyć ten temat.

– Co znowu? – Hamid ma już dość, bo ledwo odesłał amerykańskie wojsko, z którego

pomocy na szczęście nie musieli skorzystać.

– Słyszałeś, mój drogi, o pewnym małym chińskim miasteczku? – zaczyna MBS. – Liczy sobie zaledwie jedenaście milionów ludzi.

– Chiny? To daleko. Mało nas obchodziły do tej pory. Nie dość, że komuna, to jeszcze na tyle zamożna, że pracować u nas nie mają zamiaru. My zatrudniamy tylko Pakistan, Indie, Bangladesz czy Indonezję. Biedacy dają się wykorzystywać do granic możliwości. Z tym też coś trzeba będzie zrobić. – Minister sprawiedliwości już snuje plany.

– A ten tylko o swojej działce. – Książę załamuje ręce. – Czy obrońcy praw człowieka płacą ci więcej od saudyjskiej korony?

– Więc o co chodzi? – Hamid puszcza przycinek mimo uszu, bo jest człowiekiem czystych rąk. – Co z tymi skośnookimi żółtkami?

– Wyszedł z ciebie rasista! – śmieje się *szabbani*.

– Wyciekła im broń biologiczna – w końcu wyjaśnia książę. – Na wielką skalę. Znosi się na dużo większą epidemię niż SARS czy MERS. COVID-19 to wyjątkowa zaraza, którą wywołuje koronawirus z Wuhan.

– Ach, o to chodzi. – Binladen lekceważąco macha ręką. – Doktor wspominał coś o tym, ale tyle się dookoła dzieje, że już nie wiadomo, na czym się skupić. – Pociera ze zmęczenia skronie, bo chciałby już wrócić do Rijadu, a nie asystować księciu w Prowincji Zachodniej.

– Niektórzy porównują tę pandemię do grypy hiszpanki i ja ich popieram. – Aszraf jest wyraźnie zaniepokojony.

– To kolejna broń, którą mogą przeciwko nam wykorzystać znane nam przyjemniaczki, fundamentaliści, jako biologiczny dżihad.

– Jaki dżihad?! Słyszałem, że grypa trochę się rozpanoszyła we Włoszech i w Hiszpanii. Trudno się dziwić, bo to wyjątkowe brudasy, gorsi chyba od Egipcjan.

– Widzę, że masz dobry dzień na szkalowanie innych narodów – dziwi się stary Al-Rida, bo nie znał Hamida od tej strony.

– Jestem wykończony – przyznaje Binladen. – Muszę odpocząć. Na domiar złego moja żona złapała jakieś przeziębienie, więc nie jest mi do śmiechu, a wy mnie jeszcze straszycie.

– Zatem wracaj do domu i zrelaksuj się. Oczekuję, że niedługo do nas dołączysz w Rijadzie – decyduje książę, tymczasowo zwalnając swego zasłużonego ministra ze służby. – Rzeczywiście emocji mieliśmy ostatnio co niemiara, a znosi się na jeszcze więcej.

Hamid od razu wstaje i kieruje się do wyjścia.

– Przyjacielu! Pamiętaj o maseczce i jednorazowych rękawiczkach, proszę! – krzyczy za wychodzącym Aszraf. – Mamy już sporo przypadków zachorowań. Zarazę przywlekli do nas saudyjscy szyici z Prowincji Wschodniej, którzy pielgrzymowali do świętych miejsc w Iranie. Przywieźli ją także irańscy muzułmanie sunnici, którzy nie mieli kiedy przybyć do Mekki na *umrę*<sup>193</sup>. W tym świętym mieście jest epicentrum choroby. Jutro tam jadę.

Hamid odwraca się w progę.

– Co? Niemożliwe! Przecież jesteśmy tak schludnym, wręcz septycznym narodem! – Teraz dopiero niepokoi się o żonę, bo a nuż właśnie ten wirus złapała.

– Niestety. Mamy koronę w Królestwie – ogłasza wyrok MBS.

180 *Żida* (arabski) – babcia.

181 *Lilasif* (arabski) – szkoda.

182 *Kullu quejs* (arabski, dialekt) – Wszystko dobrze.

183 *Kullu tamam* (arabski, dialekt) – Wszystko w porządku.

184 *Mi'a-mi'a* (arabski) – świetnie, wspaniale.

185 *Ma'am* (angielski potoczny) – skrót od *madam* (forma oficjalna) – pani.

186 NAUSS – Naif Arab University for Security Sciences – uczelnia w Rijadzie sprofilowana na sprawy bezpieczeństwa.

187 *Mutawwa* (arabski) – funkcjonariusz policji obyczajowo-religijnej.

188 *Biriani, biryani* (perski) – dosł. pieczony; klasyczne danie kuchni indyjskiej; zapiekanka z aromatycznymi ziołami orientalnymi.

189 *Strong woman* (angielski) – silna kobieta; nawiązanie do *strong man* – określenie zawodnika oraz dyscypliny sportu siłowego polegającej na podnoszeniu, podrzucaniu lub przemieszczaniu bloku o dużej masie.

190 Lobotomia – jedna z najbardziej kontrowersyjnych procedur neurochirurgicznych w historii medycyny, mimo że jej wynalezienie zostało uhonorowane Nagrodą Nobla (więcej – słownik).

191 *Happy end* (angielski) – szczęśliwe zakończenie.

192 Jaja Fabergé – dzieła sztuki złotniczej z czasów Aleksandra III Romanowa i Mikołaja II. Nazwa dzieł pochodzi od nazwiska ich twórcy – złotnika Petera Carla Fabergé.

193 *Umra* (arabski) – tzw. mała pielgrzymka do Mekki możliwa przez cały rok, poza Świętem Ofiarowania. Wtedy odbywa się *hadż* (pełna, duża pielgrzymka).



## KORONA W KRÓLESTWIE

Salmie się nie polepsza, wręcz przeciwnie – paskudną grypę przechodzi bardzo ciężko. Niczego nieświadomy Hamid najpierw kończy udaną akcję połączenia trzech sióstr, królewskich córek, z matką, a następnie po raz kolejny ratuje głowę następcy tronu. Nie za bardzo spieszy się do domu, bo nic miłego go tam nie czeka. Zupełnie stracił serce do kobietki, która widać udawała ideał, by go usidlić i rozbić jego małżeństwo, a teraz ukazała prawdziwe oblicze. Nieprzyjemnego babsztyla, jakim się okazała, już nie lubi, nie ceni i nie szanuje. Nie bierze pod uwagę, że gdyby kobieta wiedziała, jakim jest indywidualistą, wiecznie wolnym i swobodnym facetem, jak mało ceni sobie zwyczajne ciepło rodzinne, to w życiu nawet by o nim nie pomyślała. Urok osobisty, uroda i aparycja to nie wszystko. Teraz chora w malignie mruczy co chwilę: *Są siebie warci. Co za psubraty. Gdzie ja do takich twardzieli? Co za idiotka ze mnie?*

Fatima dostała za zadanie całodobową opiekę nad chorą i pakiet maseczek ochronnych, ale nie rwie się do tej roboty. Za to odkurza cały dom, przeciera nawet szuflady i zakamarki, ciesząc się na powrót swej prawdziwej pani. Saudyjka postawiła krzyżyk na Marokance, wypowiadając tradycyjne muzułmańskie *szā'a Allah*.

– *Habibti*, co z tobą? – Hamid po powrocie pierwsze kroki kieruje do sypialni, gdzie leży niezdrowa żona. – Pogorszyło ci się.

– Tak trochę... – Salma już ledwo chrypi.

– Zgłosiłaś się na testy? Aszraf coś o tym wspominał.

– Nie było ani ciebie, ani Aszrafa. A Fatima czeka tylko na moją śmierć.

– Co ty opowiadasz?! Nie opiekowała się tobą? – Mężczyzna jest oburzony, bo takie zachowanie nie godzi się nawet przy największej animozji. – Nie przychodziła do ciebie? Nie karmiła cię, nie przebierała pościeli, nie pomagała w myciu?

Mężczyzna sprawdza pomieszczenie i od razu zauważa, że apartament nie widział środków czystości od co najmniej tygodnia. Pościel, w której leży ciężarna, jest zmięta i aż czadzi skisłym potem. Na poszwie są ślady płynów fizjologicznych, wydobywających się z chorej, zaschnięty, ropny katar i ślina podbarwiona krwią. W okolicy spoconych nóg i stóp materiał aż się klei. Koszula też długo nie była zmieniana, bo śmierdzi słodkim zapachem chorego oraz damskimi przegrzаныmi narządami płciowymi. W łazience zaś pełno jest włosów osłabionej na podłodze, w wannie i w umywalce. Porcelanową misę oklejają zielonożółte plwociny i na wpół rozpuszczona pasta do zębów. Ręczniki są zatęchnięte i poszarzałe, a nie jak zawsze śnieżnobiałe. Okna całe wieki nikt nie otwierał, nie tyle, żeby wpuścić chłodne, świeże powietrze, bo w upalnym Rijadzie to niemożliwe, ile wypuścić wirusy, które wydaje się, że wiszą w gęstym powietrzu.

– Wstawaj. Idziemy się umyć. – Bez deka empatii dyryguje zdrowy, silny człowiek, choć chora dosłownie leci mu przez ręce. – Potem zmierzmy gorączkę. Jak trzeba będzie, to zawołam pogotowie.

– Nie dam rady... Już nie... – cichutko pochlipuje Salma. Kiedy mąż bezwzględnie zrywa z niej pościel, ogarniają ją dreszcze, pomimo że temperatura w sypialni sięga trzydziestu stopni Celsjusza.

Zbulwersowany Hamid bierze wychudłą kobietę z opadniętym ciężowym brzuszkiem, który zamiast urosnąć, jakby się zapadł, i zanosí do łazienki. Szybko napuszcza gorącej wody do

wanny i na chwilę zostawia w niej rozkoszującą się ciepłem cierpiącą, na której policzki wykwitają bordowe rumieńce – nie wiadomo, czy z gorączki, ekscytacji czy z jeszcze większego upału.

– Zaraz wracam – obiecuje mąż, po czym wybiega z pomieszczenia. – Fatima! – drze się na całe gardło już ze szczytu schodów. – Fatima al-Harbi!

– Tak, panie? – Głupia gosposia dopiero teraz zdaje sobie sprawę, jak wrednie postępowała i jakie może to nieść konsekwencje.

– Jak mogłaś?! Co z ciebie za kobieta? Pozostawić brzemienną na śmierć? Jeść jej też nie dawałaś?

– Jakże, panie... Wszystko dawałam... – tłumaczy się kornie wystraszona nie na żarty, bo minister sprawiedliwości, pomimo całej swojej nowoczesności, może z nią, arabską służką, zrobić wszystko. – Pani jeść nie chciała, myć się też nie. Wyrzucała mnie z pokoju. Krzyczała na mnie. Co miałam zrobić?

– Każę z ciebie pasy drzeć! – Arab wymachuje rękami nad jej głową, zupełnie tracąc panowanie. – Ty chadro!

– Już leczę! Wszystko posprzątam... – Służąca przemyka obok niego zgięta w pół, chwytając ze składziku środki czystości, mopa i szmaty i wbiega do sypialni jaśnie państwa.

Kiedy Hamid wyprowadza Salmę z łazienki, pokój niemal lśni, a na pewno pachnie dużo przyjemniej niż przed chwilą.

– Zmierz gorączkę, proszę – zwraca się do żony. – Fatima zaraz przyniesie ci lemoniadę, a na obiad rosół. W Polsce tę zupę traktuje się jak lekarstwo – dodaje sympatycznie, starając się uśmiechnąć do kobiety, którą kładzie w pachnącej lawendą pościeli.

*To moja wina, oskarża sam siebie, z rozpaczą obserwując tę, której zmarnował życie. Cieszyłem się nią, kiedy było mi przyjemnie i wygodnie, a gdy sytuacja się skomplikowała, odtrąciłem. Jestem typowym Arabusem, męskim szowinistą. Spieprzyłem wszystko. Nie tylko unieszczęśliwiłem Salmę, niewinną i delikatną, ale także kochającą mnie Miriam, dzieci, nawet poczciwą Dorotę, a na koniec siebie. Wallahi!, wzdycha, a kiedy słyszy ciężki, przerywany oddech zakażonej, jemu samemu aż brak tchu.*

Wyczerpana wizytą w łazience, chora zapada w płytki sen. Oddycha z wysiłkiem i widać, że powietrze nie wzmacnia jej osłabionego organizmu. Policzki i skronie jakby się zapadły, przykleiły do czaszki. Cienka niczym papier skóra przybrała szary, niezdrowy kolor, a bordowe rumieńce, jak namalowane farbami, barwią tylko okolice kości policzkowych. Termometr błyskawicznie daje sygnał zakończenia pomiaru. Kiedy Hamid wyciąga po niego rękę, nie musi nawet patrzeć na elektroniczny odczyt. Ciało Salmy jest rozgrzane jak piec. Mężczyzna delikatnie gładzi jej ręce złożone na brzuszku, w którym śpi sześciomiesięczny płód. *Czy on także złapie to paskudztwo? Czy umrze, nie zobaczywszy światła dziennego?* Mąż i przyszły ojciec jest tak wstrząśnięty, że traci całą swoją werwę. Siedzi i gapi się na dotkniętą straszną chorobą kobietę, z której uchodzi życie. Czuje się w pełni odpowiedzialny za tę katastrofę.

Z letargu wyrывa go dźwięk telefonu.

– Jak tam? – słyszy po drugiej stronie głos Aszrafa. – Jak Salma? Przy tej całej zawierusze z dala od naszej zakurzonej stolicy ja też całkiem zapomniałem o jej przeziębieniu. – Lekarz jak zawsze jest sympatyczny. – Wszystko w porządku? Przeszło? Ponoć z nikim w szpitalu się nie kontaktowała, do mnie też nie dzwoniła, nie wspominając o Dorocie, więc...

– Przyjacielu... Macie już te testy?

– Wiesz, ci Chińczycy są niepoważni. – Zaaferowanego doktora nie niepokoi ton rozmówcy. – Za grube miliony gównem w kolorowym papierku nam przysłali. Na razie maseczki i rękawiczki, a testy bez żadnych atestów i jak na lekarstwo, bo ponoć brak. Cała Europa

i Ameryka błagają ich o to samo. Ale nic się nie martw, już zamówiliśmy duży transport w Korei. Ujarzmimy tę pandemię.

– Czyli w ogóle nie robimy badań?

– Są zarezerwowane dla ścisłej wierchuszki Królestwa. – Krytyka aż bije z jego wypowiedzi. – Mamy około pięciuset próbek dla elit rządzących. Potrzebujesz jakichś...? Salma?! – Dopiero teraz do niego dochodzi.

– Chyba jest bardzo źle...

– Nie zbliżaj się do niej! To jest tragicznie zaraźliwe. Masz na sobie maseczkę? Rękawiczki? Swobodnie oddycha czy już pojawiły się problemy z respiracją?

– Wszystko stracone... – Mąż poniewczasie wylewa krokodyle łzy. – Ona jest w ciąży!

– Wysyłam do ciebie ambulans i specjalnych ratowników medycznych. Nic się nie martw, wszystko będzie dobrze – Aszraf rzuca typowo lekarski slogan, ale Hamid wie już, że nic nie będzie tak, jak powinno.

Epidemia nie tylko w Arabii Saudyjskiej, ale na całym świecie, rozprzestrzenia się bardzo szybko. Najgorsza, gorsza niż przy SARS i MERS, jest zaraźliwość wirusa. Dlatego też medycy absolutnie nie zgadzają się, by Hamid jechał wraz z żoną karetką. Nic nie wskóra ani groźbą, ani prośbą. Teraz nie liczy się jego wysoka pozycja w państwie.

Binladen jak wariat pruje swoim samochodem do szpitala w centrum Rijadu, gdzie znajduje się oddział zakaźny. Tam jednak też nie chcą go wpuścić. Nie pomaga wciskany na bramie *bakszysz*. Dopiero dyspensa od ministra Aszrafa al-Ridy otwiera przed nim drzwi. Mąż chorej, który sam może już być zakażony, dostaje się na oddział po uprzednim pobraniu wymazu z gardła i nosa oraz nałożeniu plastikowego kombinezonu, rękawiczek, gogli, maseczki i przyłbicy. Kiedy jest już gotów, zastanawia się, jak lekarze mogą w tym stroju wytrzymać przez osiem albo nawet więcej godzin. Dopiero teraz, w strachu i panice, dochodzi do niego własna bezmyślność, kiedy lekceważył tę groźną chorobę. Gdyby przed swoim wyjazdem umieścił brzemiennej w klinice, przekazał ją pod opiekę troskliwych lekarzy i pielęgniarek, możliwe, że byłaby już zdrowa, a na pewno w dużo lepszym stanie. Ostatecznie stwierdza, że zachował się bezwzględnie, tak jakby osobiście skazał ją na śmierć.

– Kochany, taki los... – Salma odsuwa maskę tlenową od sinych ust i usiłuje się uśmiechnąć. – Nie miej wyrzutów sumienia... – Pomimo palącej gorączki i ochronnego stroju szczelnie zakrywającego męża dostrzega bezdenną rozpacz w jego oczach. – Nie zamieniłabym mojej krótkiej ziemskiej wędrówki na żadną inną, nawet trwającą sto lat. Przeżyłam z tobą prawdziwą, wielką miłość. Czekałam na ciebie przez całe moje nieciekawe życie... – Chorej brak tchu, charczy, a świst dobywa się z jej gardła. Znow musi założyć maskę, by odciążyć swoje zaatakowane wirusem płuca. Wręcz sparaliżowany całkowicie nieoczekiwaną sytuacją słuchacz siedzi bez ruchu i milczy jak zamurowany. – Zróbmy jeszcze dzisiaj cesarskie cięcie – prosi po chwili, dotykając dłoni męża w lateksowej rękawiczce.

Dopiero na te słowa Hamid budzi się do życia.

– Jakże to? Jesteś dopiero w szóstym miesiącu ciąży! Jeśli będziesz zbyt słaba, by urodzić siłami natury, to gdy nadejdzie odpowiednia pora, położnik zadecyduje o cesarce.

– Ja nie doczekam tego momentu... – szepcze brzemienista ostatkiem sił. Czuje, że niedługo podłączą ją do respiratora i wtedy z mężem już nie porozmawia. Nie wierzy w swoje wyzdrowienie, zresztą nie ma już ochoty walczyć. Sytuacja ją przerosła, poddała się. Nikt nie jest w stanie obudzić w niej chęci do życia. – *Habibi*, dziecko porusza się we mnie... Jeszcze żyje... Nie będziecie go wyciągać z umarlaka. Wtedy może ode mnie złapać jakąś zgniliznę, a teraz ma

szansę być zdrowe, nawet może nie być zakażone koronawirusem.

– Co ty opowiadasz? Salmo! – Binladen nie chce uwierzyć w ten tragiczny, ostateczny scenariusz. – Kochana... – Pochyla głowę i przytyka przyłbicę do dłoni ukochanej. Chciałby ściągnąć te wszystkie plastiki, by móc ją pocałować, dotknąć jej chłodnej, wręcz lodowatej teraz skóry.

– Na pewno dobrze zaopiekujecie się moim synkiem... – Kobieta ledwo koncentruje wzrok na wybranku swego serca, a obraz coraz bardziej jej się rozmywa. – Wierzę w to i odchodzę spokojna – wyznaje na pożegnanie. – Miriam będzie dobrą matką dla naszego Jusufa.

## OSTATNIE TCHNIENIE

Kiedy Daria z Julią wchodzi do wielkiego pielgrzymkowego namiotu, w którym zazwyczaj zatrzymywało się z siedemdziesięciu wiernych podczas *hadżu* do Mekki, staje osłupiała. Zamiast materaców rzuconych na podłogę i plastikowych toreb z rzeczami biedaków widzi klasyczny szpital polowy. Ustawiono tu metalowe łóżka z komputerowym sprzętem medycznym nad wezłowiem, są też stoliki i taborety, a każde miejsce pacjenta oddzielone jest od drugiego białą silikonową zasłoną. Oczywiście nie zapomniano o pomieszczeniach dla lekarzy i pielęgniarek. Chodzący po tym wielkim, może stumetrowym namiocie medycy są dziwnie ubrani, a niektórzy wręcz przypominają kosmonautów. Ci ostatni snują się za czerwoną linią, gdzie widnieje wielki napis: „NIE WCHODZIĆ. SEKCJA 0”.

Kobieta zarzuciła na siebie *abaję*, a w wejściu dano jej maseczkę, którą natychmiast musiała założyć. Słyszała coś o nowej epidemii, ale jej epicentrum było przecież daleko stąd, gdzieś w Chinach. Kilka przypadków pojawiło się w Europie, jednak skąd to dziadostwo tutaj?

– Zapraszam panią z córką. – Daria zostaje wprowadzona do części oznaczonej zielonym kolorem. – Testy zrobimy najszybciej, jak się da.

– Jak to? Nie od razu? – dziwi się, bo przecież w Arabii Saudyjskiej służba zdrowia zawsze była na znakomitym poziomie i wszelakich testów, szczepionek czy leków, nawet tych najbardziej deficytowych, tutaj było w bród.

– Na razie nie wystarczy dla wszystkich. Pani i córka nie jesteście z grupy ryzyka. Zdrowe albo bezobjawowe. Nie macie gorączki. Proszę wypełnić te dwie karty. – Pielęgniarka wręcza jej ankietę. – Do siedmiu dni będziemy wiedzieć, jaka jest wasza sytuacja. Wirus albo się wylęgnie, albo nie.

– Ja mam służyć za wylęgarnię wirusa? – Niedawną księżnę oburza takie podejście. – Jestem tu dobrowolnie! Przyjechałam z mężem.

– No to wszystko jasne. – Kobieta wygląda na uspokojoną, bo teraz wie, co ta zdrowa roszczeniowa paniusia tutaj robi. – Pani wpisze imię i nazwisko zakażonego. Jeśli mąż jest chory, musi pani odbyć dwutygodniową kwarantannę. Tutaj albo w hotelu.

– Co to za zwyczaje? Od kiedy istnieją te durne przepisy? – Daria czuje się tak, jakby znów była internowana.

– Od niedawna. I na pewno ulegną zaostrzeniu, więc proszę się ich trzymać. Ten, kto złamie nakaz kwarantanny, będzie płacił równowartość stu tysięcy dolarów. Zobacz pani, co się niedługo będzie działo.

– Zatem zostanę tutaj, ale póki jeszcze nie ma tych kar, muszę pojechać do hotelu, gdzie linie lotnicze zarezerwowały nam pokój i zawiozły bagaże.

– Nie rozumiem. Nie byłoby pani wygodniej tam odbyć tę kwarantannę? – dziwi się medyczka, bo nie wyobraża sobie, że można zamienić komfort na polowe warunki.

– Mój ukochany mąż... Och, nie mogę go zostawić. – Daria na poczekaniu wymyśla romantyczną śpiewkę, a pielęgniarka już się nie upiera. Od razu mięknie na myśl, że ktoś może z takim zaangażowaniem i zaparciem kierować się porywem serca.

– Wypełnię te kwity – konspiruje przyciszonym głosem Daria, widząc, że w pozornie oschłej pigule może znaleźć poplecznikę. – Potem na dwie–trzy godziny wyskoczę na miasto. Proszę dać mi jakiś identyfikator, żebym mogła tu wrócić, dobrze? – błaga zagraniczną pracownicę, ciesząc się, że na nią trafiła, bo muzulmanka zapewne nie byłaby taka wyrozumiała. One nie wierzą w miłość.

– Jest pani szalona. – Kobieta z niedowierzaniem kręci głową i uśmiecha się, co widać tylko po oczach, gdyż usta oczywiście zakrywa maseczka.

– Jestem – przyznaje Daria, a w myślach dodaje: *Nawet nie wiesz, jak bardzo.*

W pięciogwiazdkowym hotelu, do którego trafiają wszyscy podróżni wracający z krajów, gdzie odkryto ogniska koronawirusa – z Chin, Włoch, Hiszpanii i Korei – by komfortowo odbyli kwarantannę, luksusowy apartament królewski już czeka na państwa Rodriguez. To pasażerowie pierwszej klasy, więc zapewne nieziemsko bogaci i nieźle sytuowani, dlatego zaoferowano im najwyższy pakiet, włącznie z posiłkami *all inclusive* dostarczonymi pod drzwi pokoju. Na stole w salonie przygotowano półmisek z tropikalnymi owocami oraz paterę z belgijskimi czekoladkami i arabskimi ciastkami. Pobyt tutaj jest kuszący i kiedy Daria widzi opychającą się delicjami, szczęśliwą Julię, aż serce jej się kraje, że nie może zostać. Jednak nie jest na wakacjach. Ten potwór Jasem zaplanował zabicie jej męża i po raz kolejny odebrał synka Ahmeda, którego tylko przez chwilę widziała na rękach ukochanego Anwara. Nie poszła za terrorystą, by opływać w luksusy, bo przepych nie jest jej obcy – miała go aż nadto u boku Al-Sauda. Uciekła z tym parszywym mordercą, by osobiście pomścić wszystkie krzywdy, bo jak widać, wendeta na nim nikomu od lat się nie udaje. Żaden wywiad nie jest w stanie go dopaść, nikt nie potrafi zbliżyć się na tyle, by uspić jego czujność i go zlikwidować.

– Julia, do wanny – zarządza, a mała bez szemrania zostawia smakołyki i słucha nowej cioci. – Pospiesz się. Świeże ubrania będą na ciebie czekały w sypialni.

Dziewczynka jest nad wiek samodzielna. W przyspieszonym tempie uczy się dojrzałości od momentu, kiedy z jej życia zniknęła ukochana mama. Daria rzuca się na walizki i torby, bo wie, że dużo w nich znajdzie. Składa na stosik wszystkie piękne, markowe ubrania i przystępuje do ważniejszych czynności. Nożykiem do owoców rozcina materiał we wnętrzu plastikowych walizek. Gdy nic nie znajduje pod spodem, butem z twardym koturnem zaczyna tłuc w rurki stelażu. Z łatwością pękają, co oznacza, że są tylko sklezione, a nie zespawane. Z tulei wysuwają się zrolowane stu- i pięćdziesięciodolarowe banknoty. W sumie jest chyba milion. Daria nie ma czasu liczyć. Upycha je w swojej torebce, plecaczku Julii i aktówce Jasema, w której znajdują się jego ulubione gadżety: laptop, tablet, parę telefonów komórkowych, dyski zewnętrzne, pendrive oraz kable i małe urządzenia mobilne. Zanim wyjdzie, musi jeszcze sprawdzić ubrania, torebki i buty. Pod palcami czuje w szwach czy zakładkach materiału kamienie szlachetne i niezwykle wyroby jubilerskie. Brylantów zbiera cały woreczek, biżuterii torbę. Po zakończeniu poszukiwań jest roztrzęsiona i zszokowana. Jest teraz właścicielką bogactwa należącego tylko i wyłącznie do niej – nie do męża, nie do rodziny. Te miliony są jej i tylko jej. Sięga do teczki, którą Jasem zdążył jej wcisnąć, zanim zabrała go karetka pogotowia. Przegląda bilety. Każdy wystawiony oddzielnie – na nią, Julię i Jasema. Może stąd bezproblemowo wylecieć. Jest też umowa zakupu domu w Buenos Aires i numer komórkowy z dopiskiem: doktor Adam. *Bulandi*194. Kto to taki? Polak, lekarz, może zaopiekowałby się Darią i małą dziewczynką? Taka perspektywa jest nad wyraz kusząca. Wezwać taksówkę, zamówić kurs na lotnisko, odebrać bilet do Dubaju, a stamtąd bezproblemowo wylecieć do Ameryki Południowej albo dokądkolwiek będzie chciała. Pasażerów pierwszej klasy się nie sprawdza, nie grzebie im w torbach, bo książęta i biznesmeni saudyjscy lubią wozic setki tysięcy dolarów w gotówce. Wszystko przewiezie. Ucieknie przed wymiarem saudyjskiej sprawiedliwości. Zacznie nowe życie.

– Julia, idziemy. Weź swój plecak i torbę.

Europejka i mała Mulatka wsiadają do taksówki. Pakistański kierowca czeka na podanie adresu.

– Mekka – decyduje Daria. – Konkretnie Mina, proszę. – Ostatecznie postanawia spełnić swą misję.

– Pani nie muzułmanka. Nie wolno pani tam jechać – wyrokuje kierowca.

Daria baranieje. Zupełnie jej to obostrzenie wypadło z głowy.

– Pracuję w szpitalu zakaźnym w Minie – stwierdza, wyciągając identyfikator. – A ta mała jest chodzącą szczepionką dla chorych na COVID-19 – zmyśla na poczekaniu, nie wiedząc, jak blisko jest prawdy. – Zajmujemy się tym w tamtejszych laboratoriach. Jeszcze mi pan podziękuje. – Gra va banque, na co przestraszony Pakol opuszcza zasłonę z pleksi, oddzielając od siebie niebezpieczne pasażerki.

– To tam, gdzie jest to pole namiotowe? – pyta jeszcze.

– Zgadza się. – Konspiratorka oddycha z ulgą. – Miasteczko może pomieścić miliony osób, a zamieszkane jest jedynie przez pięć dni w roku podczas pielgrzymki do Mekki. Teraz będzie wykorzystane dłużej, i to w wyższym celu.

– Cóż, jeśli tak postanowiono... *Sza'a Allah*. – Muzułmanin uważa, że nie ma wyższego celu niż modlitwa, *hadż* i Allah, ale jeśli rząd zdecydował inaczej, nie ma zamiaru się sprzeciwiać. – Mina to zaledwie osiem kilometrów od świętego miasta, Mekki – informuje tubylec.

– Zgadza się. – Daria nie jest zadowolona, że trafiła na gadułę, ale musi udawać zwykłego, uprzejmego pasażera.

– Wie pani, że kiedyś pielgrzymi przywozili na *hadż* własne pałatki, które rozstawiali dookoła Miny? Po ukończeniu rytuałów rozbierali je i zabierali ze sobą. Dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych saudyjskie władze zbudowały stały namiotowy kompleks na powierzchni chyba dwudziestu kilometrów kwadratowych, który przyniósł ulgę pielgrzymom, dał wygodę i bezpieczeństwo. Wprawdzie pierwszy postawiono po tanioci, bo materiał namiotów był bawełniany, ale po pożarze, który wybuchł w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym i zabił prawie trzysta pięćdziesiąt osób, zamieniono je na ognioodporne. Moi klienci pielgrzymi opowiadali, że to ponoć bardziej namiotowe hotele niż obozowe baraki. Wszystkie są klimatyzowane i zrobione z włókna szklanego pokrytego teflonem, co czyni je odpornymi na ogień.

– To dobrze – podtrzymuje rozmowę kobieta, ciekawa tego niezwykłego miejsca, w którym Jasem ma zakończyć swą ziemską wędrówkę.

– Dziś miasteczko Mina to nie tylko miejsca do spania – ciągnie z dumą lokalny patriota.

– Kompleks podzielono na obozy, a w każdym są także wielkie kuchnie i obszerne łaźnie.

– Teraz to wszystko się zmieni. Trzeba będzie część przerobić na kostnice, bo ciał zmarłych będzie coraz więcej – ucina pasażerka, a kierowca, dokumentnie wystraszony, już więcej się nie odzywa.

Daria bardzo szybko adaptuje się do nowych warunków. Udaje jej się to przy wsparciu uczynnej brytyjskiej pielęgniarki i jej koleżanek, które z wypiekami na twarzach myślą o wielkiej miłości i dramacie, który rozgrywa się pod ich bokiem. Przede wszystkim załatwiają dla ślepo zakochanej małżonki solidną metalową szafkę na zamek, gdzie chowa swoje skarby. Zastanawia się, co zrobiłyby te naiwniaczki, gdyby dowiedziały się o utrzymanym w niej ogromnym bogactwie. Zapewne nie byłyby już takie miłe, może nawet któraś dla forsy poderżnęłaby jej gardło.

Julka jest ulubienicą wszystkich i ostatecznie łąduje w przyszpitalnym całodobowym przedszkolu, które musiano tutaj stworzyć, gdyż sporo leczonych matek czy wręcz całych

zakażonych rodzin nie ma z kim zostawić dzieci. Zresztą maluchy wyglądają na okazy zdrowia. Co testy wykażą, to się dopiero okaże, bo kiedy pojawiają się ich minimalne ilości, od razu są robione tym, którzy najbardziej ich potrzebują. Przebiegła Daria podstępem dostaje się do strefy czerwonej, bo Jasem nie ma zwykłego przeziębienia, nie choruje na grypę, jaką tysiące osób przechodzi co roku. On ma COVID-19 w najgroźniejszej postaci. Każdego dnia, z godziny na godzinę, jest z nim gorzej i gorzej. Daria siedzi przy jego łóżku w pełnym ochronnym stroju i nie odstępuje go na krok. Czeka na okazję, by go zabić, choć szybko się orientuje, że to wcale nie będzie konieczne. Widmo śmierci nieuchronnie wisi nad draniem, który zamordował tysiące osób. Kobiecie nie daje to satysfakcji. Ona pragnie dokonać wendety własnoręcznie. Chce poczuć słodki smak zemsty.

– Dziwi mnie, że siedzisz tu ze mną – całkiem przytomnie stwierdza chory, choć wygląda, jakby już był jedną nogą w zaświatach. – Powiedziałaś, że nie dołączyłaś do mnie z miłości, ze strachu czy z uzależnienia...

– Zgadza się, kochanie – ironizuje Daria, paląc byłego nienawistnym wzrokiem.

– Nie musisz się już trudzić. Ręka Allaha wisi nade mną.

– Z tobą nigdy nic nie wiadomo. Posiedzę sobie tutaj do końca.

– Twarda jesteś. I za to zawsze cię kochałem. – Alzani uśmiecha się krzywo, sięgając po tlen. – Nie martw się, tym razem się nie wywinę... – ledwo rzęzi.

– Nie wierzę ci, Jasem. Muszę mieć pewność. Za dużo postawiłam na jedną kartę. Nie odpuszczę ci.

– Zatem cieszę się, że będę mieć towarzystwo. Najgorzej umierać samotnie.

Zakażony zapada w krótką płytką drzemkę. Z takiego snu już wielokrotnie nie powinien był się wybudzić, lecz ma stalowy organizm i każda regeneracja go wzmacnia. Jakby mieli jakąkolwiek szczepionkę lub antidotum, na pewno wyszedłby z tej zarazy. Tego Daria boi się najbardziej. Postanawia jeszcze coś z niego wyciągnąć, a potem nie czekać na pomoc lekarzy i samodzielnie go załatwić. Bynajmniej nie po to, by skrócić jego cierpienia, ale by w końcu przenieść go do piekła, które od lat na niego czeka.

– Masz coś ciekawego w komórce? – pyta Daria po ponad miesiącu, kiedy życie w umierającym mężczyźnie już ledwo się kołatze. – Może chcesz mi przekazać jakieś kontakty? W końcu ty mnie w to gównu wpakowałeś i teraz siedzę w nim po szyję. Jak ktoś wpadnie na mój trop, to z Królestwa już nie wyjadę. Życia też nie uratuję.

– Racja. – Chory zastanawia się tylko chwilę, a potem trzęsącą się dłonią bierze z ręki żony aparat BlackBerry, loguje się za pomocą linii papilarnych i PIN-u, następnie skanuje siatkówkę i dopiero wtedy system się otwiera. – Masz. Może jeszcze na coś ci się przydam. Znajdziesz tam faceta o imieniu Abu Isa. On wiele może, gra na nosie saudyjskiemu wywiadowi już od lat. Uprzedzę go, że nawiądziesz z nim łączność... – Z trudem pisze wiadomość. Po dłuższej chwili udaje mu się przekazać parę słów do koleśki fundamentalisty.

– Jak miło. Dzięki. – Daria szybko przejmuje aparat, chłonąc informacje, którymi teraz Jasem sypie jak z rękawa. Możliwe, że robi to nie ze względu na nią, lecz by ugotować swoich współników. Zawsze był wredny i nieprzewidywalny. – Fajne filmy masz tutaj. Jeden z nich już mi przesłałeś.

– Ta mała lubieżna księżniczka jest niezła... – śmieje się Jasem, co wywołuje kaszel i ponowne duszności. – Ciekaw jestem, jak tatuś, książę koronny, wykonał na niej zbrodnię honorową. Może ją jeszcze przed tym zerznął, bo on też jest niezłe ziółko.

– Widzę. – Kobiecie skóra cierpnie, kiedy ogląda nagranie z sadystycznymi seksualnymi



poczynaniami władcy. – Po co ci to było? Po coś to nagrywał?!

Kiedy Darii w końcu udaje się coś od terrorysty wyciągnąć, stan zdrowia chorego gwałtownie się pogarsza.

– Taka polityczna rozgrywka... – Jasem zamyśla się, odpływając w letarg. – Nic osobistego... – szepcze nieprzytomnie. A potem milknie. O dziwo, z jego gardła nie wydobywa się świst ani chrypienie. Zapada cisza jak makiem zasiał.

Mężczyzna jeszcze bardziej blednie, oczy zapadają mu się głęboko w czaszkę, a usta całkiem sinieją. Organizm przestaje się bronić. Nie chce nawet walczyć o ostatni oddech. Aparatura monitorująca parametry życiowe piszczy, więc zaraz pojawiają się lekarze.

Daria odchodzi na bok i przesyła do siostry tyle plików, ile się da. Wie, że kiedy zabezpieczona na wszystkie sposoby komórka wygaśnie, już jej nie uruchomi. W ogóle jej nie obchodzi, co dzieje się w boksie, gdzie umiera Jasem. Otaczający ją podły świat niknie, a ona ciągle wierzy, że jeszcze coś uda jej się uratować.

– Przykro mi. Pani mąż nie żyje – beznamytnie informuje ją przemęczony lekarz, po czym błyskawicznie odchodzi.

– Kochana! Tak ci współczuję! – Brytyjska przyjaciółka już jest przy niej. – Tak straszliwie mi przykro...

– Dziękuję. – Daria pociąga nosem, bo musi trochę poudawać rozpacz, jeśli nie chce zostać zdemaskowana.

– Mamy już wyniki waszych testów – informuje medyczka.

– I co?

– Nie dość, że jesteście zdrowe, to mała Julia ma niezwykle genotyp! W jej osoczu są przeciwciała, które nasi lekarze chcieliby wykorzystać do leczenia chorych. Proszą cię, byś pozostała jeszcze z nami jakiś czas.

– W porządku. Popracuję z tobą – oznajmia Daria. – Kiedyś studiowałam pielęgniarstwo i mam sporą praktykę.

– Wspaniale! Jakże się cieszę! Jaki z ciebie dobry człowiek...

Daria nie odpowiada, choć wie, że jest inaczej. Ona po prostu musi zyskać na czasie, żeby zrealizować drugą część swojego planu. Wyłuskać i zdekonspirować współpracowników dżihadysty Jasema Alzaniego najpierw na terenie Królestwa Arabii Saudyjskiej, a potem w szerokim świecie. Gdziekolwiek by się zaszyli, musi ich odnaleźć. Jej wendeta jeszcze się nie skończyła.

Daria Salimi jeszcze długo w nocy siedzi z telefonem Jasema w ręce. Kiedy już wysłała to, co wydało jej się najważniejsze, na spokojnie, podłączając aparat do ładowarki, przegląda całą jego zawartość. SMS-y, których prawie nie ma. Messenger. WhatsApp. Oczywiście już jej się zamykają, lecz jeszcze klika na parę wiadomości. Czyta tekst od A.al-S.:

„Zostaw w spokoju Darin i mnie, to pozwolę ci cieszyć się twoim małym szczęściem”.

Pod tekstem widnieje zdjęcie pięknej Afrykanki z maleńkim dzieckiem na ręku. Emanująca szczęściem kobieta wygląda na młodą mamę, a dziecko na parodniowego noworodka.

Kolejna wiadomość od A.al-S. jest jeszcze bardziej szokująca:

„Nie chcę budować mojej przyszłości na przelanej krwi. Obyśmy się nigdy nie spotkali”.

Na pierwszej załączonej fotografii uchwycono przy kawiarnianym stoliku białego mężczyznę z piękną jak modelka czarnulką i małą dziewczuszką o skórze jak kawa z mlekiem. Szyld wskazuje na Café Zaitun w Marrakeszu. Kadr tętni życiem. Kolejny to zbliżenie: kilkulatka obejmuje za szyję mężczyznę o przydługich włosach spiętych na karku w kitkę. Ma usteczka

złożone w serduszko i chce pocałować tatę w nos. Mężczyzna jest wniebowzięty. Śmieje się od ucha do ucha. Takiego szczęśliwego Jasema Daria nigdy nie widziała. Już wie, czemu jej dobry, kochany Anwar nie ścigał zbrodniarza. Może z tego wyciągnąć jeden wniosek: szlachetność nie popłaca. Przynajmniej nie w tym wypadku.

194 *Bulandi* (arabski) – Polak; polski.

## EPILOG

Pewnej ciemnej, bezgwiazdnej saudyjskiej nocy, gdy od pustyni Rub al-Chali wieje piachem bardziej niż zwykle, Marysia wymyka się do ogrodu. Siedząc przy basenie, pali jednego papierosa za drugim. Cały Rijad śpi. Noc jest cicha, nie słychać żadnych dźwięków poza odgłosami przyrody. Cykady grają wręcz ogłuszająco, co jakiś czas zerwie się z piskiem przebudzony ptak, a wiejący ciepły wiatr szumi w gałęziach rozłożystych palm. Krzewy bugenwilli szeleszczą, a dzikie psy zawodzą całkiem niedaleko, na odludnych terenach otaczających Szpital Gwardii Narodowej.

Zupełnie nieoczekiwanie kobieta słyszy po drugiej stronie muru czyjś cichy głos nuący polską kołysankę:

Aaa, aaa  
Były sobie kotki dwa,  
Aaa, aaa  
Szaro-bure, szaro-bure obydwu.  
Ach, śpij kochanie.  
Jeśli gwiazdkę z nieba chcesz – dostaniesz.  
Czego pragniesz, daj mi znać.  
Ja ci wszystko mogę dać.  
Więc dlaczego nie chcesz spać?

– Daria? – Marysia chciałaby krzyknąć, lecz zaraz chwyta się za usta.

Rzuca się do tylnego wyjścia, którym można się wydostać z willi matki. Jest zamknięte. Stara przerdzewiała furka to jednak żadna przeszkoda dla rozgorączkowanej kobiety. Zapiera się nogami, naciska na klamkę i uderza bramkę biodrem. Zamek puszcza. Po prawej stronie widzi kobietę jak zjawa, całą zasłoniętą czarnymi zwojami materiału. Zrywa jej zasłonę z twarzy. Tak. To ona. Jej siostra. Daria. Ta niepokorna pseudozbrodniarka i terrorystka poszukiwana przez wszystkie siły wywiadowcze Królestwa.

– Siostrzyczko!

Kobiety padają sobie w ramiona.

– Przyszłam, żeby ci powiedzieć, że ten skurwysyn nie żyje.

– Zabiłaś go?

– Nie, nie udało się. Tego drania żaden człowiek nie mógłby zlikwidować.

– Więc?

– Natura nas wyręczyła. Jego ciało znajdziecie niedaleko Mekki, w domach pielgrzyma przerobionych na polowy szpital zakaźny w Minie. Po DNA powinniście go zidentyfikować. Przed śmiercią nazywał się Gomez Rodriguez.

Daria sięga do torebki i wyciąga pomięty kartonik. Marysia kieruje fotografię pod światło księżycy. Widzi na niej mężczyznę z urody przypominającego Latynosa. W życiu nie domyśliłaby się, że to tak dobrze jej znany džihadysta.

– Byłam tam z nim przez cały czas – mówi Daria, a siostra odruchowo odsuwa się od niej, obawiając się zarażenia. – Nie bój się. Wyniki testów mam negatywne.

- I co teraz?
- Muszę się jakoś zrehabilitować za moje czyny i odwdzięczyć Saudii. Na razie wracam do świętego miasta, by pracować w tej umieralni jako wolontariuszka.
- Nie rób tego! To niebezpieczne...
- Mam tylko jedną i ostatnią prośbę. Do was. Do ciebie i mamy.
- Co takiego? Co możemy dla ciebie zrobić?

W tej samej chwili zupełnie bezszelestnie pojawia się pięciu całkowicie zamaskowanych mężczyzn. To brygady specjalne odrodzonego saudyjskiego wywiadu. Komandosi podchodzą do kobiet, mierząc do nich z maszynowej broni z laserowym celownikiem. Obie spoglądają nawzajem na swoje czoła, na których tańczą czerwone światełka. Nie ruszają się, nie biorą nawet głębszego oddechu. Przed szereg wychodzi jeden funkcjonariusz. Ściąga kominiarkę i poważnie patrzy w oczy byłej żonie terrorysty.

- Darin Salimi, pójdziesz z nami – oschle rozkazuje Hamid Binladen.
- Pozwolisz? – pyta błagalnie osaczona.

Powoli i ostrożnie wysuwa rękę w stronę cienia i wyciąga stamtąd śliczną dziewczuszkę. Po kolorze skóry widać, że to Mulatka, bo rysy ma isticie europejskie. I bardzo kogoś przypomina.

– Dziecko Jasema? – Marysia od razu się domyśla, bo podobieństwo jest uderzające. – Z Afrykanką?!

- Na to wygląda – odpowiada siostra. – Nie wiem, gdzie jest jej matka. Może ją zabił...
- Biedaczka!

– Marysiu, weź ją. – Daria popycha kruszynkę w kierunku siostry.

– Kochana, żądasz zbyt wiele...

– Mama jest tak wielką filantropką, że i tę bezdomną przygarnie. Proszę cię. Bądź człowiekiem! Oni oddadzą ją do sierocińca albo zamkną razem ze mną w więziennej celi.

- Jak ta mała ma na imię?
- Julia.

Mulatka, słysząc pierwszy wyraz, który rozumie z polskiej konwersacji, uśmiecha się promiennie.

– Julka, mówisz? – Marysia czuje, że ta sierota podbije jej serce. – *Imszi195*, Julka. – Wyciąga dłoń, którą dziewczuska chwyta jak tonący brzytwę i mocno ścisną, wyłamując nowej opiekunce palce.

– Ma przeciwciała na koronawirusa. Jej osocze to lekarstwo. Aszraf na pewno będzie umiał to wykorzystać – rzuca na koniec Daria, a łzy zalewają jej twarz. Boi się, że ani jednej, ani drugiej już więcej w swoim życiu nie zobaczy.

- Żegnaj, siostrzyczko... – Marysia ma rozdartą duszę. – Kochana!

Uspokojeni pokorą schwytej, funkcjonariusze spuszczaają broń i robią krok w tył, dając krewniaczkom się pożegnać.

Daria rzuca się Marysi na szyję. Zbliży usta do jej ucha i szepcze:

– Jestem w ciąży... Z Anwarem. Nie pozwól skrzywdzić mojego dziecka. Nie pozwól go zabić.

195 *Imszi* (arabski, dialekt) – Chodź.



## **GENEZA POSTACI SERII ARABSKA i AZJATYCKA SAGA**

*2010 – Arabska żona*

*2011 – Arabska córka*

*2012 – Arabska krew*

*2013 – Arabska księżniczka*

*2014 – Okruchy raju*

*2015 – Miłość na Bali*

*2016 – Arabska kruczata*

*2017 – Arabski mąż*

*2018 – Arabski syn*

*2019 – Arabski raj*

*2020 – Arabski książę*

*2020 – Arabska wendeta*

**POSTAĆ**

**WYDARZENIA/KOLIGACJE**

**Dorota**

- Urodzona w drobnomieszczańskiej biednej rodzinie

- Mąż – Libijczyk, Ahmed Salimi, doktorant polskiej uczelni
- Wyjazd do Libii na wakacje z Ahmedem i córeczką Marysią
- Życie w Libii
- Internowanie na Saharze, ucieczka i wybawienie przez turystów
- Ewakuacja z Libii z młodszą córką Darią, starsza Marysia pozostaje z libijską rodziną Salimich
- Mąż – Polak, Łukasz Nowicki, jeden z wybawicieli Doroty
- Narodziny syna Adasia
- Pobyt w KAS podyktowany pracą Łukasza
- Odnalezienie Marysi w Rijadzie
- Podróż sentymentalna z Marysią do Libii podczas arabskiej wiosny
- Tragedia w rodzinie Binladenów, wyjazd Marysi z KAS
- Wyjazd Nowickich do Indonezji na ślub Marysi
- Rozwód z Łukaszem Nowickim
- Życie na Bali – kochankowie: Balijszyk Ari, Australijczyk Brendan
- Pobyt w więzieniu Kerobokan na Bali; uniewinnienie
- Odniesienie ran podczas zamachu terrorystycznego w resorcie Meila na Bali
- Powrót do Polski, do Gdańska, z Łukaszem i Adasiem
- Ponowny ślub z Łukaszem
- Wspólny wyjazd do Królestwa Arabii Saudyjskiej
- Rozwód z Łukaszem Nowickim
- Pozostanie w KAS pod opieką zięcia Hamida Binladena
- Ślub z Saudyjczykiem doktorem Aszrafem al-Ridą. Jego ojciec Muhammad był szefem saudyjskiego *secret service* i brygad antyterrorystycznych oraz szefem Hamida Binladena

- Powrót córki marnotrawnej – Darii
- Odzyskanie wnuka Ahmeda, syna Darii, i przejęcie nad nim opieki

### **Ahmed Salimi**

- Mąż Doroty
- Libijczyk, urodzony w Trypolisie w bogatej, wpływowej rodzinie; zabity przez Dorotę podczas arabskiej wiosny
  - Muaid – syn Maliki z nieślubnego łoża z pułkownikiem Muammarem Kaddafim; samobójca zamachowiec, który targnął się na życie swoje i biologicznego ojca
  - Chadidża – siostra, popełnia samobójstwo po utracie dzieci podczas arabskiej wiosny
  - Miriam – siostra, po romansie z trenerem aerobiku popełnia domniemane samobójstwo
  - Samira – najmłodsza siostra, jedyna ocalała spośród rodzeństwa Salimich, lekarka, mąż Syryjczyk, również lekarz, Mustafa Szukri, pracują razem w szpitalu w Rakce podczas panowania kalifatu; kiedy upada kalifat, Samira przenosi się do obozu dla uchodźców w Zaatari w Jordanii, gdzie spotyka Marysię

### **Łukasz Nowicki**

- Drugi mąż Doroty
- Wysokiej rangi specjalista, dobrze płatny pracownik eksportowy
- Kontrakt w Arabii Saudyjskiej, pobyt z żoną Dorotą, pasierbicą Darią i synem Adasiem
- Wyjazd do Indonezji, gdzie zakochuje się w Indonezyjce
- Pobyt z synem Adasiem w Dżakarcie
- Rozwód z Dorotą
- Zdradzony przez indonezyjską kochankę wraca do Doroty
- Krótkotrwały pobyt w Polsce
- Ponowny kontrakt w Rijadzie w KAS
- Drugi rozwód z Dorotą, kontynuacja kontraktu w Arabii Saudyjskiej

### **Marysia Salimi**



- Urodzona pod Poznaniem, najstarsza córka Doroty

### **Miriam Ahmed Salimi Binladen**

- Po utracie matki i wyjeździe ojca wiezie życie z kobietami z rodziny Salimich na libijskiej placówce dyplomatycznej w Ghanie
- Mieszka z babcią Nadią w Trypolisie
- Ucieczka przed ojcem do Jemenu; szkoła brytyjska
- Ślub z Hamidem Binladenem
- Śmierć babci w zamachu terrorystycznym w Jemenie
- Wyjazd Binladenów do Rijadu, rodzinnego miasta Hamida
- Odnalezienie matki, Doroty
- Podróż do Libii z matką i romans z kuzynem Raszidem, ojcem jej dziecka
- Narodziny nieślubnej Nadii, którą Hamid uznaje za swoją córkę
- Porwanie Nadii przez księżniczkę Lamię
- Rozwód z Hamidem Binladenem
- Poszukiwanie dziecka w Tajlandii
- Narodziny Adila, biologicznego syna Hamida
- Oddanie dziecka ojcu
- Ślub z Karimem ibn Fajsalem al-Nadżdım, pół Indonezyjczykiem, pół Saudyjczykiem
- Przeprowadzka do Dżakarty, Indonezja
- Pojawienie się Hamida w Dżakarcie, powrót dawnej miłości
- Wyjazd do KAS
- Rozwód z Karimem
- Ponowny ślub z Hamidem Binladenem
- Wyjazd po Darię do stolicy samozwańczego kalifatu Rakki w Syrii

- Porwanie przez Beduina, dżihadystę Haszima, wymuszony ślub
- Niechciana ciąża
- Pobyt w obozie dla uchodźców w Zaatari w Jordanii, utrata dziecka
- Powrót do KAS i Hamida Binladena
- Studia ratownictwa medycznego w Polsce
- Platoniczny romans ze studentem Markiem
- Ukończenie studiów i powrót do KAS do męża
- Pełne poświęcenie się pracy ratowniczej i organizacji kursu na uniwersytecie – zaniedbanie rodziny
- Zdrada męża
- Planowany rozwód z Hamidem

### **Daria Nowicka**

### **Darin Salimi**

### **Darin Alzani**

### **Darina O'Sullivan**

### **Darin Arabi**

### **Darin al-Saud**

- Urodzona w Libii, córka Doroty i Ahmeda, siostra
- Wychowana w polskiej rodzinie
- Ojczym Łukasza
- W okresie nastoletnim wyjazd z rodziną do KAS,
- Studia w Wielkiej Brytanii, w High Wycombe
- Praca u Pakistańczyka, przyszłego dżihadysty *shahida*
- Niepowodzenia w dorosłym, samodzielnym życiu

- Odwiedziny u Marysi w Indonezji
- Decyzja o powrocie do KAS z Marysią i jej mężem Karimem
- Romans z pseudo-Brytyjczykiem Johnem Smithem vel Jasemem Alzanim
- Podróż po Bliskim Wschodzie i Europie
- Ślub z Jasemem w egipskiej Hurghadzie
- Porwanie przez dżihadystę
- Pobyt w niewoli – w Damaszku, Palmirze i Rakce
- Zmiana wyglądu i ucieczka z kalifatu do Bejrutu z Jasemem
- Dostatnie życie w Katarze
- Narodziny dwóch synów, braci syjamskich: Ahmeda i Abdula
- Śmierć Abdula (zabity z rąk brata)
- Wyjazd do Kliniki Gwardii Narodowej w Rijadzie w celu rozdzielenia syjamskich braci
- Ucieczka z Rijadu z mężem Jasemem i synem Ahmedem
- Przyłot do Bengazi w Libii
- Spokojne, szczęśliwe życie w Gharianie, w libijskich górach
- Romans z Sajfem al-Islam Kaddafim, synem zabitego pułkownika Muammara Kaddafiego
- Zaangażowanie w kampanię wyborczą Jasema
- Odbicie przez brygady antyterrorystyczne w Trypolisie
- Zranienie syna Ahmeda i pozostawienie dziecka w Libii
- Uwięzienie męża Jasema Alzaniego w więzieniu Abu Salim
- Lot w nieznanym kierunku z wybawcą, saudyjskim księciem
- Zamieszkanie w złotej klatce w królewskim pałacu w Dżeddzie
- Ślub z księciem Anwarem al-Saudem

- Miłość do księcia
- Ponowny kontakt Jasema z byłą żoną i manipulowanie nią
- Zamach na księcia Anwara i jego śmierć
- Przyjazd Ahmeda, syna Darii i Jasema, do Arabii Saudyjskiej
- Przejęcie opieki nad synem Darii przez jej matkę
- Po zamachu ucieczka Darii z miejsca zbrodni z terrorystą

### **Adaś Nowicki**

- Urodzony w Gdańsku
- Żyje w KAS, Indonezji, Polsce i znów w KAS
- Uczeń liceum w międzynarodowej szkole w Rijadzie
- Nawiązanie romansu z księżniczką Wafą al-Saud
- Gwałt na odpornej kochance
- Ucieczka w nieznanym kierunku

### **Hamid Binladen**

- Urodzony w saudyjskiej rodzinie milionerów, ojciec Saudyjczyk, matka wyemancypowana Jemienka
- Afganistan z Osamą
- Studia w Stanach Zjednoczonych
- Zamach na WTC i podjęcie decyzji o działalności antyterrorystycznej
- Śmierć ojca (zawał serca)
- Śmierć siostry Amiry (wypadek samochodowy)
- Samobójstwo matki
- Wyjazd do Jemenu i praca w rodzinnej korporacji Binladen Group
- Ślub z Marysią i ich burzliwe dzieje

- Porwanie córki, Nadii, przez saudyjską księżniczkę
- Rozwód z Marysią
- Szybki ślub z Zajnab
- Śmierć Zajnab w zamachu terrorystycznym na Bali
- Ponowny, cichy ślub z Marysią
- Wyjazd do kalifatu w poszukiwaniu Darii
- Otrucie przez Beduinkę na Pustyni Syryjskiej i rozdzielenie z żoną
- Długa rekonwalescencja, depresja
- Odnalezienie ukochanej żony i ponowne połączenie małżonków
- Namówienie Marysi na wyjazd do Polski i realizację marzeń
- Kontynuacja działalności w wywiadzie – już jako analityk, a nie żołnierz
- Spotkanie z Sajfem al-Islam Kaddafim w Libii i obiecane wsparcie
- Spotkanie z Marysią w Dubaju, w połowie drogi między Saudią a Polską
- Romans Hamida z lekarką Salmą Larmani, przyjaciółką żony
- Ślub z Salmą i życie w poligamii

### **Nadia Binladen**

- Córka Marysi Salimi i jej kuzyna Raszida wychowywana jak własna przez Hamida Binladena
- Uczennica liceum w międzynarodowej szkole w Rijadzie
- Przyjaciółka księżniczki Wafy al-Saud
- Zauroczenie księciem Safim bin Talalem, który pilotując ultralekki samolot, ginie tragicznie w katastrofie

### **John Smith**

### **Dżihadi John**

### **Jasem Alzani**

## **Sean O'Sullivan**

### **Muhamad Arabi Muntasir**

- Urodzony w Syrii – z matki Syryjki i ojca Brytyjczyka
- Wyjazd do ojca do Wielkiej Brytanii
- Studia w Quintin Kynaston Community Academy St John's Wood, w Londynie
- Uniwersytet Westminsterski – dyplom z informatyki
- Zaangażowanie w działalność fundamentalistycznych grup islamskich w Brytanii
- Akcje w Jemenie, Afganistanie, Egipcie, Indonezji, Tajlandii, Tunezji i Iraku
- Paryż – zamach na klub Brazilian Tropical
- Hurghada – zamach na turystów w resorcie Marhaba
- Porwanie Darii do rodzinnego Damaszku
- Wspólne życie z matką Munirą Alzani, słynną syryjską śpiewaczką, i ojczymem Ibrahimem Elkurdim, profesorem filozofii i historykiem wykładającym na Uniwersytecie Damasceńskim
- Zatrucie ojczyma arszenikiem
- Podróż przez Palmirę do Rakki, stolicy samozwańczego kalifatu
- Życie zwycięzcy w Rakce
- Zamordowanie matki (ukamienowanie)
- Wywołanie poronienia u brzemiennej Darii
- Długoletnia kochanka i druga żona, Jasmin Rime, psycholog i lingwistka, agitatorka do PI, pół-Arabka – matka Belgijka, ojciec Algierczyk; zabita przez Darię w Rakce
- Zmiana wyglądu i tożsamości przed upadkiem pseudo-Państwa Islamskiego
- Wyjazd w szeroki świat z ciężarną Darią
- Życie w ekskluzywnych warunkach w stolicy Kataru, Dosze
- Namierzenie dżihadysty i błyskawiczna ucieczka do Arabii Saudyjskiej

- Wyjazd z Darią i synem Ahmedem do Libii
- Związek z Dżamilą Muntasir, Libijką z gór Gharianu
- Kandydowanie na prezydenta Libii
- Dekonspiracja i uwięzienie w Abu Salim, więzieniu w Libii
- Udana ucieczka z libijskiego więzienia
- Kontakt z byłą żoną Darią i przygotowanie krwawej wendety

### **Fatima al-Harbi**

• Mąż Mohamed al-Harbi, konsularny pracownik Ambasady Arabii Saudyjskiej w Warszawie, córka Zajnab, stypendystka i lekarka – zabici przez władze saudyjskie reprezentowane przez ambasadę KAS w Polsce

• Córki: Maha (10 l., urodzona w Polsce), Mina (16 l.), Sulejma (21 l., studentka medycyny)

- Przymusowa ekstradycja przez władze saudyjskie z Polski do Arabii Saudyjskiej
- Gospoia w rezydencji Binladenów
- Ślub z Syryjczykiem Walidem, wdowcem po Arubie, przyjaciółce Marysi

### **Salma Larmani**

- Marokanka
- Ukończyła Akademię Medyczną w Warszawie
- Lekarz ginekolog, ratownik medyczny, pracownik akademicki
- Obywatelstwo marokańskie i polskie
- Były mąż Polak, córka zmarła w wieku niemowlęcym
- Przyjaciółka Marysi ze studiów w Polsce
- Zaproszenie do KAS przez Marysię
- Romans z Hamidem Binladenem zakończony ślubem

## SŁOWNICZEK OBCYCH SŁÓW, ZWROTÓW I NAZW

**A** *Abaja* (arabski) – wierzchnie tradycyjne okrycie w krajach muzułmańskich; szeroki, luźny płaszcz noszony przez kobiety i mężczyzn

*Ablucja* – rytualne i symboliczne obmycie ciała (rąk, stóp, twarzy) lub przedmiotu kultu

*Ahlan wa sahlán* (arabski) – Witam, cześć

*Ajla* (arabski, dialekt) – Tak, halo

*Al-Kaida* (arabski) – dosł. baza; sunnicka organizacja terrorystyczna posługująca się metodami partyzanckimi, początkowo miała się przeciwstawiać radzieckiej inwazji na Afganistan, z czasem przekształciła się w panislamskie ugrupowanie, którego głównym celem stało się zwalczanie wpływów Izraela, USA i szeroko pojętego Zachodu w krajach muzułmańskich

*Allahu akbar!* (arabski) – Allah jest największy! Bóg jest wielki! Zwrot ten stanowi *takbir* – muzułmańskie wyznanie wiary. Często powtarzany w wielu codziennych sytuacjach życiowych, a przez dżihadystów i fundamentalistów przy wszystkich niegodnych zbrodniczych czynach

*Apartheid* – totalitarna ideologia głosząca konieczność osobnego rozwoju społeczności różnych ras, a także bazujący na tej teorii system polityczny panujący w Republice Południowej Afryki do połowy lat 90. XX w., oparty na segregacji rasowej

*As-salamu alejkum* (arabski) – Pokój z tobą; Dzień dobry, witaj

*Wa alejkum as-salam* (arabski) – Z tobą także (pokój); odpowiedź na powitanie

**B** *Baba* (arabski) – tata, tatuś, papa. *Ja baba* (wołacz) – tato, papo

*Baba ghanusz* (arabski) – pasta z grillowanych bakłażanów z tahiną i oliwą

*Bahlawa* (arabski) – orientalne ciastka z orzeszkami pistacjowymi lub ziemnymi zalane topionym masłem i miodem. Dziś produkuje się *bahlawę* w różnych smakach, nie tylko orzechowym, ale też np. czekoladowym

*Bakszysz* (arabski) – łapówka

*Bin* lub *ibn* (arabski) – syn; człon tradycyjnych męskich nazwisk arabskich, np. Tarik bin Mohammad – Tarik syn Mohammada

*Bint* (arabski) – córka; człon tradycyjnych żeńskich nazwisk arabskich, np. Aisza bint Mohammad – Aisza córka Mohammada

*Biriani*, *biryani* (perski) – pieczony; klasyczne danie kuchni indyjskiej; zapiekanka z aromatycznymi ziołami orientalnymi

*Bismilla* (arabski) – krótka formuła modlitewna wypowiedziana przez muzułmanów przy wielu ważnych okolicznościach, takich jak narodziny, śmierć, ślub

*Bismillahi* (arabski) – Na Boga; W imię Boga

*Bodyguard* (angielski) – ochroniarz, ochrona osobista, straż

*Boko Haram* – jedna z najbardziej okrutnych organizacji terrorystycznych na świecie. Na jej czele stoi Abubakar Shekau. Sekta walczy o utworzenie w Nigerii kalifatu, współpracuje z Al-Kaidą oraz Państwem Islamskim. Boko Haram zamordowała więcej ludzi niż PI

*Brygada Al-Chansa* – złożona wyłącznie z kobiet policja obyczajowa we współczesnym kalifacie na terenie Syrii i Iraku, istniejąca od 2014 do 2017 r. Nazwę swą oddział zawdzięczał poetce, która żyła w czasach rozprzestrzeniającego się islamu w VI–VII w. i jest uważana za



najwybitniejszą poetkę w historii literatury arabskiej. Brygada była zaprzeczeniem powszechnie funkcjonującego wizerunku kobiet w Państwie Islamskim, z reguły przedstawianych jako stojące w cieniu swoich poślubionych bojowników Allaha, pasywne i pozbawione ambicji politycznych. Policjantki Al-Chansy miały prawo nawet do noszenia karabinu. Zarabiały około 150 euro miesięcznie. Wcześniej przechodziły trzydziestodniowy trening obchodzenia się z bronią

*Bulandi* (arabski) – Polak; polski

*Burik, brik* (arabski) – paszteciki pieczone lub smażone na głębokim oleju, najpopularniejsze z mięsem mielonym, ale także z serem feta, szpinakiem lub mieszanymi warzywami

**C** *Carte blanche* (francuski) – czysta karta, wolna ręka, nieograniczone pełnomocnictwo

**CD** (*corps diplomatique* – francuski) – korpus dyplomatyczny; litery na tablicach rejestracyjnych mówiące, że pojazd należy do placówki dyplomatycznej (ambasady lub konsulatu)

*Chalati* (arabski) – moja ciotka

*Chobza* (arabski) – chleb, bagietka, bułka.

**D** *Depka* (arabski) – taniec arabskich mężczyzn przypominający deptanego

*Diplomatic Quarter* (angielski) – Dzielnica Dyplomatyczna; nazwa dzielnicy w Rijadzie; mieszkają tam głównie dyplomaci, znajdują się ambasady, konsulaty i rezydencje korpusu dyplomatycznego

*Dossier* (francuski) – zbiór dokumentów i akt dotyczących jakiejś osoby lub sprawy; też: teczka zawierająca takie dokumenty i akta

*Duty free* (angielski) – sklep wolnocłowy

*Dżamahirijja* (arabski) – państwo ludu. Termin polityczny, neologizm stworzony przez Muammara Kaddafiego. Pełna nazwa to Wielka Arabska Libijska Dżamahirijja Ludowo-Socjalistyczna. Do czasu obalenia rządu Kaddafiego była to oficjalna nazwa państwa. Ustrój polityczny Libii miał charakter republikański. Rządy należały do junty kierowanej przez pułkownika Kaddafiego, który w 1975 r. wydał *Zieloną księżkę*, w której sformułował zasady swego ustroju jako alternatywy wobec komunizmu i kapitalizmu. Było to połączenie arabskiego socjalizmu i politycznego islamu (tzw. trzecia teoria świata)

*Dżenna* (arabski) – dosł. ogród; raj

*Dżihad* (arabski) – pierwotnie oznaczał walkę w imię propagowania islamu zarówno poprzez akcję zbrojną, nawracanie niewiernych, pokojowe działania, jak i wewnętrzne zmagania wyznawcy; często rozumiany tylko jako święta wojna; fundamentaliści twierdzą, że jest to szósty filar islamu i obowiązek każdego muzułmanina

*Dżihadysta* (arabski) – zwolennik dżihadu. Ma za zadanie unicestwienie wszystkich innowierców na kuli ziemskiej

*Dżihadi* (arabski) – przymiotnik od słowa dżihad – zwolennik dżihadu, dżihadysta

**E** *Eid al-Fitr* (arabski) – święto na zakończenie miesiąca postu ramadanu

*Eid al-Adha* (arabski) – Święto Ofiarowania. Jego początek wypada w trzeci lub czwarty dzień pielgrzymki do Mekki, ale obchodzone jest przez cały świat muzułmański, nie tylko przez pielgrzymów

*Ekspat* (angielski) – ekspatriant, emigrant. W Arabii Saudyjskiej i na Bliskim Wschodzie nazywa się tak cudzoziemców pracujących na kontraktach, czyli czasowych emigrantów

*Erec Israel* (hebrajski) – Ziemia (kraj) Izrael; nazwa Palestyny, ziemi, z którą Żydzi kojarzyli swą przeszłość i kulturowe korzenie, oraz przedmiot ich tęsknoty w okresie diaspory; termin biblijny, który odnosił się zarówno do ziem zajmowanych przez Izraelitów, jak i do Królestwa Północnego; Ziemia Obiecana

**F** *Faluka* – rodzaj tradycyjnej łodzi żaglowej używanej na osłoniętych wodach Morza Czerwonego, na wschodniej części Morza Śródziemnego, a w szczególności na Nilu w Egipcie. Ożaglowanie faluki składa się z jednego bądź dwóch żagli łacińskich

*Fatwa* (arabski) – opinia teologa muzułmańskiego mająca charakter zalecenia; ma znaczenie też jako klątwa, nakaz czy wypowiedzenie świętej wojny; fatwą wydaje się też wyroki skazujące, np. wyrok śmierci

**G** *Gafir* (arabski, dialekt) – stróż

*Gafirówka* (arabski, dialekt, spolszczone) od *gafir* (stróż) – stróżówka

*Gahba* (arabski, dialekt) – kurwa

*Galabija/dżalabija* (arabski) – męski lub damski strój w formie długiej sukni/płaszczka z rozcięciem pod szyją

*Gehenna* – koraniczne piekło

*Ghutra* (arabski) – chusta na głowę dla mężczyzn, biała, w biało-czerwona lub biało-czarną kratę

**H** *Habibi* (arabski) – mój kochany

*Habibti* (arabski) – moja kochana

*Hadis* (arabski) – opowieść przytaczająca wypowiedź proroka Muhammada, jego czyn lub milczącą aprobatę. Każdy *hadis* składa się z tekstu i łańcucha przekazicieli. *Hadisy* tworzą *sunnę* (Tradycję). Jest to najważniejsze po Koranie źródło muzułmańskiego prawa szariatu

*Hadżdż*, *hadż* (arabski) – pielgrzymka do świątyni Al-Kaba w Mekce. Odbycie pielgrzymki przynajmniej raz w życiu jest obowiązkiem religijnym każdego dorosłego muzułmanina płci męskiej, który jest do niej zdolny fizycznie i finansowo. Jest jednym z pięciu filarów islamu. Uważana jest za najliczniejsze coroczne zgromadzenie ludzi na świecie (w 2018 r. zgromadziło ok. 2 mln osób). *Hadż* jest demonstracją solidarności muzułmanów oraz ich oddania wierze w Allaha. Pielgrzymi wchodzą w stan uświęcenia, a zbliżając się do świętego terytorium Mekki, przywdziewają białą szatę. Pielgrzymka rozpoczyna się kazaniem w meczecie i siedmiokrotnym okrążeniem Al-Kaby. Przez kolejne trzy dni wyznawcy wędrują po okolicy, docierając do różnych symbolicznych miejsc, m.in. doliny Mina, góry Arafat, wzgórze Al-Muzdalifa. W tym czasie odmawiają wiele modlitw i sprawują liczne symboliczne obrzędy, jak np. kamienowanie szatana. Przez kolejne trzy dni pielgrzymi odpoczywają. *Hadż* gromadzi corocznie kilka milionów wyznawców islamu, nazywanych *hadżdżi* (pielgrzymi, *hadżdż* – mężczyzna, *hadżdża* – kobieta). Udział wyznawców innych religii jest zabroniony

*Halal* (arabski) – dosł. to, co nakazane; dozwolone według muzułmańskiego prawa szariatu

*Haram* (arabski) – zakazane, grzeszne

*Hello* (angielski) – cześć

*Hidżab* (arabski) – noszona przez muzułmańskie kobiety kwadratowa chusta, zakrywająca włosy, uszy i szyję; może być kolorowa

*Hurysa* (arabski) – wolna; ta, która ma czarne oczy. To wiecznie młode i piękne dziewice w koranicznym raju, kobiety idealne, mające po 33 lata, duchowo i cieleśnie nieskazitelne, które stanowią jedną z nagród dla zbawionych wiernych. Każdy muzułmanin w ogrodzie *Dżenna* może mieć 72 hurysy

**I** *Ila liqa'* (arabski) – Do zobaczenia

*Imam* (arabski) – w tradycyjnym znaczeniu słowem tym określa się osobę, która przewodniczy rytualnej modlitwie muzułmańskiej, czyli *salatowi*. W ogólności może to być osoba świecka bądź przełożony meczetu

*Image* (angielski) – wizerunek, sposób postrzegania danej osoby

*Imszi* (arabski, dialekt) – Chodź

*Incognito* (łacina) – tajnie, niejawnie, anonimowo, konspiracyjnie

*Indżlizija* (arabski) – Brytyjka, Angielka; brytyjska, angielska

*Insz Allah* (arabski) – Jak Bóg zechce; jak Bóg da

*Integryzm* (łacina) – od *integer* – nietknięty, nienaruszony, nieskażony; postawa zachowawcza, ultrakonserwatywna i przeciwna wszelkim zmianom; skrajna postać fundamentalizmu

*Iqama* (arabski) – legitymacja, ID, dowód osobisty

*ISIS* – skrót od nazwy Islamic State of Iraq and Syria (Państwo Islamskie w Iraku i Syrii)

**J** *Ja achi* (arabski) – Mój bracie (wołacz)

*Ja sadiqa* (arabski) – Przyjaciółko (wołacz)

*Ja sadiqi* (arabski) – Przyjacielu (wołacz)

*Jalla* (arabski) – pierwotnie: zawołanie na wielbłądy; kolokwialnie: ruchy, chodź, wychodź, w drogę

*Ja said* (arabski) – Panie, O panie (wołacz)

*Ja ustaz* (arabski) – Profesorze; nauczycielu (wołacz); *Ustaz* w przenośni oznacza kogoś mądrego, wykształconego, jest wyrazem szacunku

*Jazydyzm, jezydyzm* (perski) – bóg. Religia utworzona w XII w., wyznawana głównie przez Kurdów mieszkających w Iraku, Iranie, Turcji, Syrii, Armenii, Gruzji oraz na emigracji, zwłaszcza w Niemczech. Wywodzi się z nałożenia się szyizmu na zaratusztrianizm. Jazydyzm łączy elementy islamu, chrześcijaństwa nestoriańskiego, pierwotnych wierzeń indoirañskich, kurdyjskich oraz judaistycznych. Wyznawcy tej religii zostali eksterminowani przez Państwo Islamskie

*Jehudi* (arabski) – Żyd; (hebrajski) imię własne

*Joint* (amerykański) – slangowy termin używany do określania wyrobu przypominającego wyglądem papierosa, wypełnionego suszem z marihuaną, zwykle pomieszaną z tytoniem. Czasami marihuanę zastępuje się haszyszem

**K** *Karawanseraj* (arabski) – dom zajezdny dla karawan lub miejsce postoju karawany z pomieszczeniami dla podróżnych, niszami chroniącymi przed słońcem, magazynem do

przechowania towarów, często o charakterze obronnym, budowany w krajach arabskich, Persji i Azji Środkowej

*Kibla* (arabski) – kierunek, w którym muzułmanie powinni się zwracać podczas modlitwy. Obowiązek ten został wyznaczony przez Koran. W pierwszych latach islamu muzułmanie modlili się w stronę Jerozolimy. Kierunek ten został przejęty od Żydów i nakazany przez proroka Muhammada z wprowadzeniem obowiązku modlitwy. Wraz ze zmianą poglądów przez proroka wyznaczył on nowy kierunek, którym została Mekka. Kierunek w meczetach wyznacza *mihrab*. *Kibla* jest również zachowywana w przypadku grzebania zmarłych. Ciała chowanych muzułmanów układane są na prawym boku i skierowane twarzami w kierunku Mekki

*Kibuc* (hebrajski) – spółdzielcze gospodarstwo rolne w Izraelu, w którym ziemia i środki produkcji były własnością wspólną. Odegrały znaczącą rolę przy tworzeniu Państwa Izrael i w narodowej gospodarce. Zasady życia w kibucach przypominały w pewnym stopniu niektóre postulaty utopijnego komunizmu. Obecnie większość kibuców zbankrutowała albo uległa sprywatyzowaniu. Ideowym podłożem powstawania kibucu było połączenie syjonizmu z socjalizmem; wśród celów funkcjonowania ważne było przekształcenie świadomości Żydów poprzez nauczenie ich pracy fizycznej na roli oraz walki w obronie wspólnoty. Mieszkańcy kibucu nie mieli własnego majątku, posiadali równe prawa i obowiązki; decyzje dotyczące strategii gospodarczej i podziału dochodów podejmowało walne zebranie kibucników; ono też wybiera komitet kierujący życiem kibucu między walnymi zebraniem. Dzieci były wychowywane w internatach. Przynależność do wspólnoty była dobrowolna

*Kif halek?* (arabski) – Jak się masz?

*Kif sahha?* (arabski) – Jak zdrowie?

*Kofta* (arabski) – szaszłyk z mielonego mięsa

*Kohl* (arabski) – barwnik do oczu zawierający wyselekcjonowane mieszanki ziół, dobrane tak, że nie tylko służą do upiększania oczu, ale również naturalnie je pielęgnują. Działa leczniczo na zapalenie spojówek, jęczmień czy jaglicę

*Koroner* – urzędnik sądowy, zobowiązany do wyjaśnienia przyczyn gwałtownej śmierci, ale tylko wtedy, gdy zostało znalezione ciało. Instytucja koronera została powołana w Anglii w 1194 r. przez Ryszarda Lwie Serce; nadal istnieje w systemie prawnym Wielkiej Brytanii i USA; koronerem może być tylko adwokat lub lekarz mający co najmniej 5-letnią praktykę; koroner prowadzący śledztwo powołuje ławę przysięgłych (7–11 członków), która większością głosów (na podstawie wyników śledztwa) decyduje o oddaniu oskarżonego pod sąd małej ławy przysięgłych; werdykt ten zastępuje akt oskarżenia i wstępną kontrolę oskarżenia przez sąd pokoju

*Kubba* (arabski) – kulki nadziewane farszem mięsnym oklejone masą z kaszy w kształcie cytryny

*Kullu quejs* (arabski, dialekt) – Wszystko dobrze

*Kullu tamam* (arabski, dialekt) – Wszystko w porządku

*Kwef* (francuski – *coiffe*; czepek, nakrycie głowy) – zasłona na twarz noszona przez muzułmanki

**L** *Leben* (arabski) – kwaśne mleko, maślanka

*Lebneh* (arabski) – biały tradycyjny twaróg

*Lobotomia* – jedna z najbardziej kontrowersyjnych procedur neurochirurgicznych w historii medycyny, mimo że jej wynalezienie zostało uhonorowane Nagrodą Nobla. Wykonywana głównie w latach 40. i 50. XX w. Metoda, która miała leczyć pacjentów z depresją,

schizofrenią, zaburzeniami afektywnymi dwubiegunowymi, depresją maniacką, stanami lękowymi, psychozą, halucynacjami, nadmierną pobudliwością oraz innymi zaburzeniami psychicznymi lub zachowaniami uznanymi za odbiegające od normy, wielu z pacjentów doprowadzała do kalectwa, a nawet śmierci. Na lobotomię byli kierowani również homoseksualiści, których orientację uznawano za chorobę na tle seksualnym. Obecnie lobotomię stosuje się w bardzo rzadkich przypadkach, jeśli u danego pacjenta zawiodą wszystkie inne formy leczenia

*Lunch* (angielski) – obiad

**M** *Ma'am* (angielski potoczny) – skrót od *madam* (forma oficjalna) – pani

*Mabruk* (arabski) – Na szczęście; Niech będzie błogosławiony

*Mahram* (arabski) – męski opiekun muzułmańskich kobiet; ojciec, brat, kuzyn, dziadek, także szwagier, ale też nieletni syn

*Majdan* (arabski) – plac

*Medina* (arabski) – miasto; stare miasto

*Medresa lub madrasa* (arabski) – szkoła; teologiczna szkoła muzułmańska, początkowo mieszcząca się przy meczecie, w której nauczano Koranu, prawa muzułmańskiego oraz języka arabskiego. Później medresy uzyskały pewną samodzielność i zaczęto wykładać w nich także nauki ścisłe. Zwykle na medresę składa się kompleks zabudowań skupionych wokół dziedzińca. Znajdują się tam sale wykładowe, biblioteka, często także pokoje dla uczniów i nauczycieli. W świecie islamu edukacja i religia są nierozłączne. Od momentu osiągnięcia wieku szkolnego dzieci muzułmanów spędzają zazwyczaj kilka lat na studiowaniu Koranu i uczeniu się jego fragmentów na pamięć w szkole działającej przy lokalnym meczecie. Następnie uczęszczają na zajęcia prowadzone przez uczonego, po czym najzdolniejsi z nich trafiają do medresy. Dziś w wielu częściach muzułmańskiego świata uczelnie te zostały usunięte w cień przez świeckie uniwersytety prowadzące nauczanie w zachodnim stylu, jednak w krajach takich jak Arabia Saudyjska, Indonezja, Algieria, Pakistan czy Iran medresy nadal cieszą się powodzeniem

*Mezze* (arabski) – arabskie przystawki, składające się przeważnie z pasty humus i *baba ghanusz*, oliwek, serka *lebneh*, pomidorów w oliwie i pity. W zależności od restauracji może być tego dużo więcej

*Mi'a – mi'a* (arabski) – świetnie, wspaniale; *mi'a* (arabski) – sto

*Mosad* – Instytut do spraw Wywiadu i Zadań Specjalnych – izraelska agencja wywiadowcza odpowiedzialna m.in. za gromadzenie politycznych, technicznych, gospodarczych danych wywiadowczych poza granicami kraju; odpowiednik amerykańskiego CIA

*Mudira* (arabski) – dyrektorka, kierowniczka, szefowa

*Must see* (angielski) – musisz zobaczyć

*Mutawwa* (arabski) – funkcjonariusz policji obyczajowo-religijnej

**N** *Na'an szaj achdar* (arabski) – herbata zielona z miętą

*Nikab* (arabski) – tradycyjna muzułmańska zasłona twarzy kobiety, odsłaniająca jedynie oczy, czasami kawałek czoła; używany głównie w Arabii Saudyjskiej i Jemenie oraz Państwie Islamskim

**O** *Oud* (arabski) – drewno agarowe, warte półtora raza tyle co złoto; od wieków

znajdowało zastosowanie w wysokiej jakości kadzidłach. Chińczycy wykorzystują go podczas uroczystości religijnych i świec-kich, podobnie jak Arabowie, mieszkańcy Indii oraz Japonii. Olejek ekstrahowany z drewna agarowego stosowany jest w krajach arabskich jako perfumy

**P** *Państwo Islamskie* – 2006–2013 Islamskie Państwo w Iraku, 2013–2015 Islamskie Państwo w Iraku i Lewancie – salaficka organizacja terrorystyczna oraz samozwańczy kalifat ogłoszony w 2014 r. na terytorium państwowym Iraku i Syrii. Rozbity w 2017 r. Państwo Islamskie to również organizacja pozarządowa, wyspecjalizowana w przemocy, zdecentralizowana, ponad-narodowa, zdolna działać zarówno lokalnie, jak i globalnie

*Persona non grata* (łacina) – intruz, osoba niepożądana; w dyplomacji termin oznaczający członka personelu dyplomatycznego lub konsularnego, który otrzymał nakaz natychmiastowego opuszczenia terytorium kraju, w którym przebywa

*Pięć filarów islamu* – każdy muzułmanin ma pięć obowiązków, arkanów, które nakreślają podstawowe obowiązki całej islamskiej społeczności, *ummy*. Są one traktowane bardzo poważnie przez wyznawców głównego nurtu tej religii, natomiast wiele ugrupowań religijnych uważa je tylko za zalecenia, symbole i niekoniecznie się do nich stosuje. Należą do nich:

Wyznanie wiary – *szahada*. Należy trzykrotnie, świadomie i celowo, publicznie wypowiedzieć: *Aszszahadu la ilaha illa 'llah, Muhammad rasulu 'llah* – *Zaświadczam, że nie ma Boga prócz Allaha, a Muhammad jest jego prorokiem*, a zadecyduje to o przyjęciu islamu przez daną osobę.

Modlitwa – *salat*. Muzułmanie powinni się modlić pięć razy dziennie. Nie muszą codziennie uczęszczać do meczetu, po prostu każdego dnia pięciokrotnie mają odmawiać *salat*. Mogą modlić się wszędzie, lecz zawsze twarzą w kierunku Mekki.

Jałmużna – *zakat*. Każdy muzułmanin, biedny czy bogaty, powinien dzielić się tym, co posiada, ze swoimi współ-wyznawcami.

Post – *saum*. Podczas dziewiątego miesiąca kalendarza islamskiego – ramadanu muzułmanie winni pościć od świtu do zmierzchu. Z wyjątkiem chorych, starszych i kobiet w ciąży wszyscy powstrzymują się wtedy od jedzenia i picia.

Pielgrzymka do Mekki – *hadżdż*. Wszyscy zdolni do tego muzułmanie są zobowiązani co najmniej raz w życiu odbyć pielgrzymkę do Mekki i tamtejszych świętych miejsc. Skupia się ona na odwiedzeniu sanktuarium Al-Kaba i obejściu go siedem razy dookoła

Prawo *talionu*, kara *talionu* (łac. *talio* – odwet) – historyczna zasada wyrażająca sprawiedliwość, według której każdy zostaje ukarany za swoje grzechy. Znana ze starożytnej sentencji: Oko za oko, ząb za ząb

**Q** *Qahwa arabijja* (arabski) – arabska kawa

*Quasi* (łacina) – niby

**R** *Riad* (arabski) – dosł. gościna; hotel, pensjonat

**S** *Sabija* (arabski) – niewolnica, branka; dziewczyny i kobiety porywane przez Państwo Islamskie podczas ich panowania na Bliskim Wschodzie w Iraku i Syrii w latach 2014–2017. Wykorzystywane głównie jako niewolnice seksualne

*Sadiq* (arabski) – przyjaciel; *sadiqi* (arabski) – mój przyjaciel

*Sadżdżada* (arabski) – dywanik modlitewny

*Safe room* (angielski) – bezpieczny pokój

*Sah* (arabski) – racja, zgoda

*Sahib dżalala* (arabski) – jego wysokość (do króla)

*Said* (arabski) – pan

*Salafita* (arabski) to zwolennik *salafizmu* – ruch reformatorski i religijno-polityczny w łonie islamu sunnickiego postulujący odrodzenie islamu przez powrót do jego pierwotnych źródeł, czyli religii przodków. Fundamentalisci aktywnie działający na terenie Maroka, ale też w Europie (głównie w Niemczech)

*Sari* (hindi) – tradycyjna część garderoby wkładana przez kobiety na subkontynencie indyjskim

*Sauté* (francuski) – metoda przyrządzania potraw polegająca na smażeniu w małej ilości silnie rozgrzanego tłuszczu, bez panierki, tylko przyprawionych solą, pieprzem lub ziołami, tzw. smażenie w sosie własnym. Przenośnie – naturalny

*Secret service* (angielski) – wywiad; agencja wywiadowcza

*Show* (angielski) – pokaz, występ

*Sorry* (angielski) – Przepraszam

*Suk, suq* (arabski) – targ, market z różnorodnymi towarami

*Sura* (arabski) – nazwa rozdziału Koranu, który składa się ze 114 sur

*Sza'a Allah* (arabski) – Allah tak chce; Jak Bóg da

*Szabbani* (arabski, dialekt) – starzec, staruszek

*Szahada* (arabski) – muzułmańskie wyznanie wiary będące jednym z pięciu filarów islamu. *Aszszahadu la ilaha illa'llah, Muhammad rasulu'llah* – *Zaświadczam, że nie ma Boga prócz Allaha, a Muhammad jest jego prorokiem*. Słowa wyznania wiary znajdują się w każdej muzułmańskiej modlitwie i stanowią podstawowy dogmat wiary

*Szahid* (arabski) – męczennik

*Szaria* (arabski) – ulica; droga

*Szariat* (arabski) – dosłownie: droga prowadząca do wodopoju; surowe tradycyjne prawo kierujące życiem wyznawców sunnickiej, jak i szyickiej odmiany islamu. Islam nie uznaje rozdziału życia świeckiego i religijnego, dlatego reguluje zarówno zwyczaje religijne, organizację władzy religijnej, jak i codzienne życie muzułmanina. Podstawą jest ściśle stosowanie się do pięciu filarów islamu

*Szarmuta* (arabski) – dziwka, prostytutka

*Szejtan* (arabski) – diabeł

*Szukran dżazilan* (arabski) – Bardzo dziękuję

*Szukran* (arabski) – Dziękuję

**T** *Tabule* (arabski) – sałatka z natki pietruszki, mięty i kuskusu lub kaszy bulgur z dużą ilością cytryny

*Tadżine* (arabski) – gulasz jagnięcy z dynią i ciecierzycą przygotowywany w specjalnym glinianym naczyniu

*Tasbih* (arabski) – muzułmański różaniec o 33 koralikach, niejednokrotnie wykonany z kamieni półszlachetnych lub szlachetnych

*Toba (thoba)* (arabski) – rodzaj długiej do ziemi męskiej koszuli, z tradycyjnym kołnierzykiem lub stójką i manszetami, do pasa zapinanej na guziki

**U** *Ud* (arabski) – lutnia

*Uhibuke* (arabski) – Kocham cię

*Ulem* (arabski) – muzułmański teolog i uczony

*Ummi* (arabski) – moja matka

*Umra* (arabski) – tzw. mała pielgrzymka do Mekki możliwa przez cały rok, poza Świętem Ofiarowania. Wtedy odbywa się *hadż* (pełna, duża pielgrzymka)

*Unisex* (angielski) – odnosi się do rzeczy, które nie są specyficzne dla żadnej płci i są odpowiednie dla każdej płci. Termin określa także ślepotę płciową lub neutralność płciową. Powstał w latach 60. XX w.

*Ustaz* (arabski) – nauczyciel, profesor; w przenośni oznacza kogoś mądrego, wykształconego; *ja ustaz* – profesorze, nauczycielu (wołacz)

**V** *Vel* (łacina) – lub, albo, raczej; często stosowane pomiędzy nazwiskami, co oznacza, że dana osoba znana była pod dwoma nazwiskami lub przezwiskami

*VIP* (Very Important Person) (angielski) – bardzo ważna osobistość

**W** *Wadi* (arabski) – koryto wyschniętej rzeki

*Wahabizm* (arabski) – islamski ruch religijny i polityczny powstały w XVIII w. na terenie Arabii. Jest określany jako ultrakonserwatywny, surowy, fundamentalistyczny czy purytański. Głosi powrót do źródeł: pierwotnej czystości islamu, prostoty i surowości obyczajów. Za podstawy wiary wahabici uznają Koran i hadisy, interpretowane dosłownie. Nazwa *wahabizm* pochodzi od imienia twórcy tego ruchu, muzułmańskiego teologa Muhammada Ibn Abd al-Wahhaba. Wahabizm jest szczególnie popularny w Arabii Saudyjskiej, najbardziej konserwatywnym państwie muzułmańskim

*Wahabita* (arabski) – kierujący się zasadami wahabizmu

*Wallahi* (arabski) – Na Boga! Na Allaha!

**Z** *Za'atar* (arabski) – pochodzi z krajów arabskich i jest popularny głównie w Maroku, Egipcie, Iranie, Turcji, Libanie, Izraelu i Armenii. Jest mieszanką przypraw, zawierającą zmielony sumak, prażone ziarna sezamu i zielone zioła (tymianek, majeranek, oregano). Używa się go do marynat, sałatek oraz jako dodatek do wielu dań

**Ż** *Żida* (arabski) – babcia



## INDEKS NAZWISK

### **A Abd Allah ibn Abd al-Aziz Al Saud; król Abdallah (1924–2015)**

Król Królestwa Arabii Saudyjskiej w latach 2005–2015.

Był dziewiątym z 37 synów twórcy współczesnej Arabii Saudyjskiej, króla Ibn Sauda. Otrzymał wykształcenie na dworze królewskim. Od 1962 r. pełnił funkcję dowódcy Gwardii Królewskiej. W latach 1975–1982 pełnił funkcję II wicepremiera. Po śmierci króla Chalida w 1982 r. i wstąpieniu na tron Fahda został wyznaczony na następcę tronu, wicepremiera i szefa polityki zagranicznej. Od 1996 r., ze względu na zły stan zdrowia króla Fahda, pełnił obowiązki regenta. Wstąpił na tron po śmierci brata w 2005 r. Był uważany za zwolennika współpracy ze Stanami Zjednoczonymi. Wielokrotnie tam przebywał i miał dobre kontakty z byłym prezydentem George'em Bushem (podobnie jak z jego poprzednikami). Miał opinię pobożnego muzułmanina, ufundował dwie islamskie biblioteki – w Rijadzie i Casablance. Z czterema małżonkami doczekał się siedmiu synów i piętnastu córek, mówi się też o wielu nieślubnych oraz niezarejestrowanych oficjalnie potomkach. W Polsce stał się znany jako fundator operacji rozdzielania bliźniaczków syjamskich z Janikowa – Darii i Olgi Kołacz w 2005 r. Ówczesny następca tronu zaprosił siostry wraz z ich matką do Arabii Saudyjskiej i pokrył koszty operacji. Władze Janikowa nadały mu w związku z tym tytuł honorowego obywatela miasta. Na wniosek polskich dzieci Międzynarodowa Kapituła Orderu Uśmiechu przyznała mu Order Uśmiechu, który odebrał z rąk Kanclerza Kapituły Marka Michalaka w Belwederze w Warszawie w 2007 r. Król otrzymał legitymację Kawalera Orderu Uśmiechu. W 2007 r. odebrał z rąk prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego Order Orła Białego.

### **Abu Bakr al-Bagdadi (pseudonim) (1971–2019)**

Był przywódca sunnickiej organizacji terrorystycznej Państwo Islamskie w Iraku i Lewancie (ISIL) oraz samozwańczy kalif Państwa Islamskiego, które objęło okupowane przez tę organizację terytoria północno-wschodniej Syrii oraz zachodniego Iraku. Jeden z ośmiu kandydatów do tytułu „Człowiek Roku” 2015 magazynu „Time”. W momencie inwazji amerykańskiej na Irak był imamem w jednym z meczetów w Iraku. Ukończył studia na Uniwersytecie Bagdadzkim. Za rządów Saddama Husajna należał do radykalnej organizacji islamskiej. Amerykańscy żołnierze przetrzymywali go przez cztery lata w Camp Bucca (do 2009) i to tam jego poglądy religijne silnie się zradyzalizowały. Został członkiem Al-Kaidy krótko po wybuchu wojny amerykańsko-irackiej. Zasłynął z brutalności jako przewodniczący założonego przez siebie sądu szariackiego i inicjator publicznych egzekucji osób podejrzewanych o wspieranie wojsk amerykańskich. Nauczał w różnych meczetach w Iraku i kierował mniejszymi bojówkami sunnickimi, po czym wszedł do Rady Konsultacyjnej Państwa Islamskiego w Iraku i Lewancie, a następnie w 2010 r. został jego przywódcą. Dopuszczał się szeregu zamachów bombowych na cywilów szyickich, jak również zabójstw lokalnych przywódców sunnickich. W 2011 r. Stany Zjednoczone oficjalnie uznały Bagdadiego za terrorystę i wyznaczyły nagrodę w wysokości 10 mln USD za informacje, które pozwolą pojmać go – żywego lub martwego. Podczas rozmów występował w masce, nie publikował również żadnych nagrań z przesłaniami dla zwolenników. Do lipca 2014 r. znane były jedynie jego dwa zdjęcia. W 2014 r. ogłosił się władcą Państwa Islamskiego, obejmującego okupowane przez jego organizację terytoria Syrii oraz Iraku. Według jego zwolenników pochodził

z plemienia Kurajszytów, tak jak prorok Muhammad, co predestynować go miało do objęcia tytułu kalifa. W 2016 r. związana z Państwem Islamskim agencja informacyjna podała, że Bagdadi zginął podczas amerykańskiego nalotu. Jako miejsce śmierci wskazywano Rakkę lub Mosul. Śmierć terrorysty nie została oficjalnie potwierdzona. W listopadzie 2016 r., podczas bitwy o Mosul, opublikowane zostało wezwanie Bagdadiego do kontynuowania wojny przeciwko niewiernym, do organizacji zamachów w Arabii Saudyjskiej oraz do ataku na Turcję. Według Iraqi News zginął 10 czerwca 2017 r. w Rakce. W 2019 r. Państwo Islamskie opublikowało w internecie materiał filmowy, w którym Bagdadi opowiada o niedawno przeprowadzonych zamachach na Sri Lance, co oznaczało, że pogłoski o jego śmierci nie były prawdziwe. 27 października 2019 r. prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump poinformował o śmierci Bagdadiego w operacji Kayla Mueller przeprowadzonej przez siły specjalne USA Delta Force w Syrii. Doniesienia o śmierci Bagdadiego zostały potwierdzone przez badania DNA przeprowadzone przez Pentagon. Siły amerykańskie tuż po północy przeprowadziły nalot przy pomocy ośmiu helikopterów. Sam przywódca ISIS, zapędzony do ślepego tunelu, popełnił samobójstwo, wysadzając się w powietrze.

**I Idris I (As-Sajjid Muhammad Idris al-Mahdi as-Sanusi) (1890–1983)** Emir Cyrenajki (1917–1951) i Trypolitanii (1929–1951), pierwszy i jedyny król Libii. Jego dziadek Muhammad ibn Ali as-Sanusi był założycielem islamskiego sufickiego ruchu religijno-politycznego Sanusijja. W 1951 r. został ogłoszony królem uzyskującej niepodległość Libii. Zaprowadził monarchię absolutną, zakazał istnienia partii politycznych, rządu oparł na izolacjonizmie. Na czas jego rządów przypadło odkrycie złóż ropy naftowej i szybki przyrost dochodów kraju dzięki jej sprzedaży. Monarcha był głównym beneficjentem handlu tym surowcem. Pod koniec lat 60. rząd króla zaczął tracić uznanie. Scentralizowany system Libii pogłębiał tradycyjne podziały regionalne i plemienne. Kraj trawiła korupcja. Na skutek popularnych w Libii nacjonalistycznych poglądów jego rząd postrzegany był przez wielu mieszkańców jako proizraelski. Wywołało to nastroje antykrólewskie i doprowadziło do antyzachodnich protestów, które nasiliły się po porażce sąsiedniego Egiptu w wojnie sześciodniowej. W 1969 r. abdykował na rzecz swojego bratanka Hasana as-Sanusiego, który miał przejąć stery władzy. Tymczasem dzień wcześniej, 1 września 1969 r., podczas pobytu Idrisa I na leczeniu w Turcji został on obalony w wyniku wojskowego puczu Muammara Kaddafiego. W 1971 r. został skazany *in absentia* przez Libijski Sąd Ludowy na karę śmierci. Z Turcji udał się do Grecji, a stamtąd do Egiptu, gdzie przebywał na wygnaniu aż do śmierci w 1983 r. Zmarł w wieku 93 lat i został pochowany w Medynie w Arabii Saudyjskiej.

**M Muhammad ibn Salman ibn Abd al-Aziz Al Saud** ang. *Mohammad bin Salman*, zwany także **MBS (ur. 1985)**

Książę koronny i następca tronu Arabii Saudyjskiej. Jest synem króla Salmana ibn Abd al-Aziza Al Sauda. Mimo że oficjalnym władcą Arabii Saudyjskiej jest król Salman ibn Abd al-Aziz Al Saud, Muhammad bin Salman sprawuje faktyczną władzę w państwie. Ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie Króla Sauda w Rijadzie. Uzyskał tytuł odpowiadający polskiemu tytułowi licencjata. Swoją działalność polityczną rozpoczął w wieku 24 lat.

### **Wizja 2030**

Książę Muhammad bin Salman podjął działania w sferze restrukturyzacji saudyjskiej gospodarki. W 2016 r. oficjalnie zapowiedział utworzenie programu Wizja 2030, którego cele to

ekonomiczna dywersyfikacja i prywatyzacja. Przedstawił on szczegółowe działania, które w perspektywie 15 lat mają doprowadzić m.in. do uniezależnienia od ropy naftowej, cyfryzacji państwa (tzw. e-państwo), a także zrównoważonego rozwoju.

### **Reformy wewnętrzne**

Podczas swoich rządów Muhammad bin Salman znacząco ograniczył władzę policji religijnej – Komitetu Krzewienia Cnót i Zapobiegania Występkom. W 2017 r. Arabia Saudyjska pod rządami księcia Muhammada po raz pierwszy w historii powołała kobietę na stanowisko szefa saudyjskiej giełdy papierów wartościowych. W 2017 r. w Arabii Saudyjskiej zniesiono przepisy zakazujące kobietom prowadzenia samochodów. Była to jedna z najgłośniejszych zmian wprowadzonych przez księcia Muhammada, ponieważ Arabia Saudyjska była ostatnim krajem na świecie, w którym obowiązywało tego typu restrykcyjne prawo. W lutym 2018 r. w Arabii Saudyjskiej oficjalnie zezwolono kobietom na zakładanie i prowadzenie przedsiębiorstw bez zgody mężczyzn.

### **Polityczne czystki w 2017 r.**

W 2017 r. Muhammad bin Salman zlecił aresztowanie 200 wpływowych biznesmenów i książąt oraz przymusowe umieszczenie ich w hotelu The Ritz-Carlton w Rijadzie. Oficjalną przyczyną tych działań była walka z korupcją. Aresztowanych uwolniono, dopiero gdy przekazali miliardy dolarów na nowo utworzoną przez księcia instytucję, powołaną w celu walki z korupcją. Istnieją trzy hipotezy dotyczące faktycznych motywacji działań Muhammada bin Salmana: rzeczywista walka z korupcją, chęć pozyskania środków finansowych lub przygotowanie do przejścia władzy w kraju. Majątek MBS wyceniany jest na 3 mld USD. Jest wnukiem pierwszego króla Arabii Saudyjskiej Abd al-Aziza ibn Sauda. Od 2008 r. żonaty z kuzynką Sarah bint Mashhoor bin Abdulaziz al-Saud. Mają czwórkę dzieci. Poglądy księcia Muhammada określa się jako nacjonalistyczne i populistyczne. Łączą one w sobie konserwatywne podejście do polityki oraz liberalny stosunek do spraw ekonomicznych i socjalnych. Muhammad bin Salman stwierdził, że przez ostatnie 30 lat ultrakonserwatywna saudyjska monarchia „nie była normalna”. Zapowiedział przekształcenie Arabii Saudyjskiej w państwo oparte na umiarkowanym islamie i „otwarte na wszystkie religie, tradycje i ludzi całego świata”. Muhammad bin Salman oświadczył, że „Izraelczycy mają prawo do pokojowego życia w swoim kraju”. Opinia została odebrana przez światowe media jako kontrowersyjna, bowiem Arabia Saudyjska oficjalnie nie uznaje Izraela. Był to pierwszy raz, gdy członek dynastii Saudów publicznie wyraził tego typu przekonanie.

### **Muhammad VI (Muhammad as-Sadis ibn al-Hasan) (ur. 1963)**

Pochodzi z ugrupowania Alawitów. Król i faktyczny przywódca Maroka. Wstąpił na tron w 1999 r. po śmierci swojego ojca, króla Hassana II. Zajmuje 25. miejsce na liście 50 najbogatszych polityków świata sporządzonej przez tygodnik „Angora” jako posiadacz wartego 2,5 mld USD majątku osobistego. Muhammad VI mówi po arabsku, angielsku, francusku i hiszpańsku. Posiada licencjat z prawa, magisterium nauk politycznych i doktorat z prawa na Uniwersytecie w Rabacie, a także doktorat z prawa na Uniwersytecie Sophia Antipolis w Nicei. W 2002 r. król poślubił Salmę Bennani, będącą z wykształcenia inżynierem informatykiem, która otrzymała tytuł księżniczki – najwyższy, jaki kiedykolwiek nosiła żona władcy Maroka. Jednym z głównych celów Muhammada VI stała się poprawa sytuacji marokańskich kobiet. Mimo sprzeciwu fundamentalistów kobiety w Maroku posiadają obecnie prawa, jakimi nie mogą się pochwalić obywatelki żadnego innego państwa arabskiego. Podniesiono wiek konieczny do zawarcia małżeństwa, o rozwodzie musi orzec sąd, a mężczyzna po rozstaniu z żoną nie ma już

wyłączonego prawa do opieki nad dziećmi. Co więcej, praktycznie zakazane zostały i tak rzadkie w Maroku małżeństwa poligamiczne. Zabronione jest też noszenie burek i zasłanianie twarzy – zakaz obejmuje produkcję tego stroju na miejscu, a nawet jego import. W Maroku dopuszcza się aborcję, nie wykonuje kary chłosty ani kary śmierci.

### **Musa Muhammad Kusa (ur. 1949)**

Libijski polityk i dyplomata. Studiował socjologię na Uniwersytecie w Michigan. Pracował jako przedstawiciel służb bezpieczeństwa w kilku libijskich placówkach dyplomatycznych w Europie. W 1980 r. został mianowany ambasadorem w Wielkiej Brytanii. W latach 1992–1994 był zastępcą ministra spraw zagranicznych, a następnie (1994–2009) stał na czele wywiadu. W 2009 r. został ministrem spraw zagranicznych. W 2011 r. podczas arabskiej wiosny grupa opozycjonistów libijskich przebywających w Wielkiej Brytanii zaapelowała o postawienie Muammara Kaddafiego, Sajfa al-Islam Kaddafiego i innych osób blisko związanych z reżimem (w tym Musy Kusy) przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym w Hadze. W marcu 2011 r. władze USA zamroziły jego aktywa na obszarze Stanów Zjednoczonych. Pod koniec marca 2011 r., korzystając z prywatnego odrzutowca, Kusa przyleciał do Londynu. Poinformował tam media, że nie reprezentuje już rządu Muammara Kaddafiego, zrzeka się stanowiska w jego administracji i zamierza na stałe osiąść w Wielkiej Brytanii. Wciąż nagabywany przez media i obawiający się o swoje życie, udał się do Kataru, gdzie wysledziło go CNN. Tam mieszkał i żył w ukryciu do czasu wydostania się na wolność syna Muammara Kaddafiego, jego następcy.

### **Muammar al-Kaddafi (1942–2011)**

Libijski pułkownik, polityk i ideolog, w latach 1969–2011 sprawował władzę autorytarną jako Przywódca Rewolucji 1 września. W 1969 r. przeprowadził zamach stanu, w którym obalił monarchię. Proklamował utworzenie Libijskiej Republiki Arabskiej, a władzę objęła Rada Dowódcza Rewolucji. W 1970 r. desygnowany na premiera i dowódcę sił zbrojnych, urzędy te formalnie sprawował do 1972 r. Znacjonalizował niearabską własność i zachodnie towarzystwa naftowe. Zlikwidował też amerykańskie i brytyjskie bazy wojskowe. W 1977 r. państwo zmieniło nazwę na Wielka Arabska Libijska Dżamahirijja Ludowo-Socjalistyczna. Zmiana ta była efektem jego programu ideowego zawartego w *Zielonej księżce*, w której połączył tradycje islamskie z socjalizmem arabskim. W latach 1977–1979 sprawował urząd sekretarza generalnego Powszechnego Kongresu Ludowego. W marcu 1979 r. zrezygnował ze wszystkich funkcji państwowych; w rzeczywistości sprawował dyktatorską władzę jako tzw. Przywódca Rewolucji 1 września i zwierzchnik sił zbrojnych. W polityce międzynarodowej entuzjastycznie odnosił się do zjednoczenia świata arabskiego. Głównym celem jego polityki była likwidacja Izraela. Utrzymywał bliskie relacje ze Związkiem Radzieckim. Prowadził agresywną politykę i angażował się w konflikty między innymi w Czadzie, Ugandzie i Sudanie. Środki na prowadzenie wojen czerpał z eksploatacji złóż naftowych. W latach 80. oskarżany przez Zachód o sponsorowanie terroryzmu. Po atakach lotnictwa amerykańskiego w 1986 r. złagodził nieco swoją politykę. W 2011 r. nie zgodził się oddać władzy w następstwie społecznych protestów. Doprowadziło to do wybuchu wojny domowej. Zginął w wyniku linczu, którego dokonano na nim podczas próby ucieczki. Z pierwszą żoną Fatihą al-Nuri (1969–1970) miał jednego syna – Muhammada Kaddafiego (ur. 1970). Druga żona – Safia Farkash, pielęgniarka (1970–2011); miłość od pierwszego wejrzenia, urodziła mu siedmioro dzieci: Sajf al-Islam (ur. 1972), Al-Saadi

(ur. 1973), Mutassim (1974–2011), Hannibal Muammar (ur. 1975), Aisza (ur. 1976), Saif al-Arab (1982–2011) i Chamis (1983–2011). Kaddafi adoptował ponadto dwoje dzieci – Hannę i Milada. Podczas oficjalnego związku małżeńskiego miał setki nałożnic i kochanek oraz dziesiątki nieślubnych dzieci.

### **S Sajf al-Islam (dosłownie: *miecz islamu*) Muammar Kaddafi (ur. 1972)**

Syn libijskiego przywódcy Muammara Kaddafiego i jego niepisany następca. Ukończył malarstwo na Uniwersytecie Al-Fatah w Trypolisie, następnie studiował na prywatnym IMADEC University w Wiedniu i w London School of Economics. W 1997 r. założył charytatywną Międzynarodową Fundację Kaddafiego na rzecz Rozwoju. W 2000 r. wziął udział w negocjacjach mających doprowadzić do uwolnienia zakładników wziętych do niewoli przez islamskich bojowników na Filipinach. W 2003 r. opublikował krytyczny raport na temat przestrzegania praw człowieka w Libii. W 2004 r. był negocjatorem w sprawie odszkodowań dla rodzin ofiar zamachu nad Lockerbie (1988). W 2007 r. pomógł rozwiązać patową sytuację skazanych przez libijski sąd bułgarskich pielęgniarek i palestyńskiego lekarza na karę śmierci za rzekome zarażenie kilkuset dzieci wirusem HIV. W rezultacie międzynarodowych mediacji karę śmierci zamieniono na dożywotnie więzienie z możliwością odbywania jej w Bułgarii, gdzie oskarżonym natychmiast udzielono amnestii. Sajf al-Islam zabierał również głos w sprawach Bliskiego Wschodu, proponując rozwiązanie konfliktu palestyńsko-izraelskiego poprzez stworzenie jednego wspólnego państwa przez dwa narody. Po zabiciu Muammara Kaddafiego Sajf al-Islam zapowiedział zemstę na mordercach ojca i przejęcie po nim przywództwa nad ludźmi wiernymi dyktaturze. Był poszukiwany listem gończym przez Interpol za zbrodnie przeciwko ludzkości. W listopadzie 2011 r. został schwytany, kiedy usiłował przedostać się do Nigru, za co miał zapłacić milion euro. Konwój z Sajfem al-Islam zaatakowali bojownicy Zintani, plemię nienawidzące rodziny Kaddafich. Pojmani zostali następnie przetransportowani do miejscowości Zintan. Ogłoszono, że schwytany będzie sądzony w kraju i będzie miał sprawiedliwy proces. W 2015 r. na Sajfa al-Islam wydano wyrok śmierci, choć nie stawiał się on przed sądem, gdyż nadal był przetrzymywany przez plemię Zintani. W czerwcu 2017 r., po sześciu latach odizolowania, został zwolniony z więzienia. Plemię Zintani podało wtedy, że Sajf al-Islam nie był przez nich więziony, ale chroniony. Mówi się o ogromnym okupie, który otrzymali. Miejsce aktualnego pobytu Kaddafiego ze względów bezpieczeństwa nie jest znane, ale przypuszcza się, że nadal przebywa on na terenie Libii. Jest kandydatem Partii Pojednania na prezydenta Libii, jednak wybory w ogarniętym chaosem kraju od 2018 r. nie mogą się odbyć. Poza tym, żeby mógł kandydować, jego imię musiałoby zostać oczyszczone na arenie międzynarodowej, a oskarżenie o ludobójstwo i kara śmierci – cofnięte.

### **Salman ibn Abd al-Aziz Al Saud (ur. 1935)**

Król Arabii Saudyjskiej od 2015 r., gubernator prowincji Rijad (1963–2011), minister obrony (2011–2015), następca tronu (2012–2015).

Jest jednym z synów króla Abd al-Aziza Ibn Sauda i jednej z jego wielu żon – Hasy bint as-Sudajri. Nauki pobierał u islamskich ulemów i szejków. W 1963 r. objął urząd gubernatora prowincji Rijad. Jako gubernator przyczynił się do rozwoju stolicy i przekształcenia miasta w nowoczesną metropolię. Zaangażował się również w działalność dobroczynną i charytatywną, stanął na czele Towarzystwa Dobroczynnego. Przewodniczył wielu komitetom zajmującym się niesieniem pomocy ofiarom trzęsień ziemi i powodzi w krajach muzułmańskich, w tym

w Somalii, Egipcie, Bośni i Hercegowinie, Afganistanie oraz Palestynie. W 2012 r. został następcą tronu, zastępując swojego zmarłego brata, księcia Najifa. Wraz z rodziną jest właścicielem grupy medialnej wydającej m.in. panarabski dziennik „Asharq Al-Awsat” oraz „Al Eqtisadiah”. Jest jednym z członków klanu Sudajri. W 2015 r., po śmierci brata, króla Abdallaha, Salman rozpoczął panowanie jako siódmy władca Arabii Saudyjskiej.

#### **W Al-Waleed bin Talal bin Abdulaziz al-Saud (ur. 1955)**

Książę należący do królewskiej rodziny Saudów. Przedsiębiorca, inwestor giełdowy i filantrop. Według magazynu „Forbes” posiada majątek wyceniany na ponad 20 mld USD, co czyni go dwudziestym najbogatszym człowiekiem na świecie. Jego była żona, piękna Amira bint Ajdan ibn Najif at-Tawil, działała na rzecz praw kobiet. Jest twórcą i głównym udziałowcem spółki holdingowej Kingdom Holding Company. Jest to zróżnicowana firma inwestycyjna, działająca głównie w zakresie usług finansowych, nieruchomości, turystyki, mediów, rozrywki, lotnictwa i technologii. Walid bin Talal posiada udziały w Citigroup i wytwórni 20th Century Fox. Jest znany na Bliskim Wschodzie jako właściciel największej na świecie firmy rozrywkowej Rotana działającej w obszarze mediów. Wiele udziałów zainwestował w nieruchomości takie jak londyński Savoy, paryski Four Seasons Hotel czy George V oraz Hotel Plaza na Manhattanie. Niedawno najbogatszy mieszkaniec świata arabskiego zapowiedział, że swój majątek przekaze na cele charytatywne, jednak wiele milionów dolarów musiał oddać w procesie korupcyjnym, w którym został posadzony na ławie oskarżonych razem z paruset innymi winnymi lub niewinnymi saudyjskimi biznesmenami i członkami rodziny królewskiej. Ma wyjątkowo profesjonalne, jak na członków rodu Ibn Sauda, wykształcenie: Maxwell School of Citizenship and Public Affairs (1985), Menlo College (1979), University of Exeter.

## ARABIA SAUDYJSKA 196

**Arabia Saudyjska** (arab. *As-Saudijja*), **Królestwo Arabii Saudyjskiej** (arab. *Al-Mamlaka al-Arabijja as-Saudijja*) – państwo położone w zachodniej Azji, na Półwyspie Arabskim. Graniczy z Irakiem, Jordanią, Kuwejtem, Omanem, Katar, Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi i Jemenem. Stolica znajduje się w centralnej części, w Rijadzie. Arabia Saudyjska jest jednym z państw założycielskich Ligi Państw Arabskich. Ponadto należy do Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej, Międzynarodowej Organizacji Pracy, Międzynarodowego Banku Odbudowy i Rozwoju, Międzynarodowego Funduszu Walutowego, Organizacji Arabskich Krajów Eksportujących Ropę Naftową, Organizacji Narodów Zjednoczonych, Rady Współpracy Zatoki Perskiej i Światowej Organizacji Handlu.

### HISTORIA

VIII i VII w. p.n.e. – powstały pierwsze organizmy państwowe na Półwyspie Arabskim (m.in. królestwo Saby).

Ok. IV w. p.n.e. – cywilizacja południowych Arabów zaczęła podupadać z powodu zmiany szlaków handlowych i przejęcia monopolu na handel z Indiami przez Rzym. Rzymianom jednak, pomimo prób, nie udało się przejąć kontroli nad Arabią Felix (zakończona klęską wyprawa Aeliusza Gallusa, 24 r. p.n.e.).

I w. n.e. – w Arabii Północnej powstało królestwo Nabatejczyków.

III w. – powstało królestwo Palmyry.

V–VI w. – powstało królestwo Ghassanidów (obecna Syria, wpływy bizantyńskie) i Lachmidów (obecny Irak, wasal Persji). Religią panującą było chrześcijaństwo nestoriańskie.

Oslabienie i późniejszy upadek państw południowej Arabii spowodowały powrót znacznej części ludności do koczowniczego trybu życia.

Do VII w. w Arabii Centralnej (okres przedmuzułmański) nie pojawiły się żadne formy państwowości. Panował ustrój plemienny oparty na więzach krwi i poczuciu solidarności plemiennych, wybuchały liczne konflikty międzyplemienne. Rozwijały się nieliczne miasta: Mekka, Jasrib (późniejsza Medyna), At-Taif jako centra handlowe i religijne (Mekka). Większość ludności wyznawała religie politeistyczne, część judaizm i chrześcijaństwo. W tym okresie Półwysep Arabski był oderwany od szerszych kontaktów ze światem zewnętrznym, pozostając na marginesie historii.

VII w. – pojawienie się najmłodszej religii monoteistycznej – islamu. Arabowie z ludu o marginalnym znaczeniu w historii stali się jej aktywnymi współtwórcami.

Ok. 610 – prorok Muhammad doznał pierwszych objawień *Koranu*. Nowa religia znalazła niewielu wyznawców wśród mieszkańców Mekki.

622 r. (tzw. *hidżra*) – prorokowi Muhammadowi udało się zawrzeć przymierze z mieszkańcami Jasribu, dokąd udał się wraz z grupą swoich zwolenników. Miasto zmieniło nazwę na Madinat an-Nabi (miasto proroka). W Medynie prorok Muhammad przystąpił do organizowania nowej gminy i teokratycznego państwa, którego stał się przywódcą.

630 r. – prorok wyruszył na Mekkę i odniósł ostateczne zwycięstwo nad rządzącymi tam Kurajszytami.

632 r. – śmierć proroka Muhammada. Półwysep Arabski był zjednoczony pod sztandarem nowej religii. Arabowie wykorzystali moment słabości sąsiadujących imperiów bizantyńskiego i perskiego, z łatwością wnikając na ich tereny. Jednocześnie toczyły się ostre walki o władzę, połączone z dawnymi waściami rodowymi i plemiennymi.

661–750 r. – rządy nowej dynastii Umajjadów, stolicę kalifatu przeniesiono z Medyny do Damaszku.

750–1258 r. – rządy Abbasydów, stolicę przeniesiono do Bagdadu.

Od X w. – plemiona Półwyspu Arabskiego zaczęły się uwalniać od zależności od centralnej władzy kalifatu i tracących wpływy Abbasydów. W ciągu następnych wieków powstały liczne księstwa (emiraty), m.in. Al-Hidżaz (ze świętymi miastami islamu Mekką i Medyną), Asir, Al-Hasa, Dżabal Szammar, kontrolowane od XIV w. przez sułtanów tureckich.

XVIII w. – proces jednoczenia plemion arabskich zapoczątkował Muhammad Ibn Saud (ok. 1726–1765). Był on uczniem reformatora religijnego Muhammada Ibn Abd al-Wahhaba. Przewodząc jego zwolennikom, utworzył państwo wahabitów w Nadżdzie i stał się założycielem panującej do dziś dynastii saudyjskiej.

Ok. 1887 r. – państwo przestało istnieć, a Saudowie, osłabieni walkami wewnętrznymi i sąsiedzkimi, stracili władzę na rzecz dynastii Raszydów z Dżabal Szammar.

Władzę dynastii saudyjskiej przywrócił Abd al-Aziz II Al Saud (znany jako Ibn Saud). To on został twórcą państwa Arabia Saudyjska.

1902 r. – Ibn Saud odzyskał dawną stolicę Saudów, Rijad, odbił Nadżd oraz Kasim i zdobył Al-Hasę (1913).

W czasie I wojny światowej pozostał neutralny (pomimo nacisków Wielkiej Brytanii i Turcji), po jej zakończeniu kontynuował podboje.

1921 r. – ostatecznie pokonał Raszydów i przyjął tytuł sułtana Nadżd i Krajów Zależnych.

1922 r. – w Al-Ukajr zawarł umowę o granicach z Irakiem i Kuwejtem (mandatami brytyjskimi).

1924–1925 r. – Ibn Saud zawarł ugodę z Haszymidami z Mekki, popieranymi przez Wielką Brytanię, i przyłączył do swego państwa Al-Hidżaz.

1927 r. – został wybrany na króla Al-Hidżazu, Nadżd i Krajów Zależnych, uzyskując międzynarodowe uznanie.

1929–1930 r. – uśmierzył bunty plemienne i rozwiązał bractwa wahabitów, a także powiększył swoje terytorium o jemeński Asir.

1932 r. – zmienił nazwę państwa na Królestwo Arabii Saudyjskiej. Po zjednoczeniu podbitych ziem, mając władzę polityczną, religijną i sądowniczą, rozpoczął budowę państwa na podstawach określonych przez islamskie prawo szariat. Stworzył też regularną armię i aparat administracji państwowej.

1933 r. – amerykańskie koncerny uzyskały koncesję (do 1999 roku) na poszukiwania i eksploatację złóż ropy naftowej, tworząc w tym celu koncern Aramco (1947).

Arabia Saudyjska nie brała udziału w II wojnie światowej, zerwała jednak stosunki dyplomatyczne z Niemcami (1941) i Włochami (1942).

1945 r. – KAS zostało członkiem ONZ.

Największe wpływy w Arabii Saudyjskiej miały od początku Stany Zjednoczone, uważane za sojusznika w sporach z innymi krajami arabskimi zależnymi od Wielkiej Brytanii.

1953 r. – śmierć Ibn Sauda, na tron wstąpił jego syn Saud Ibn Abd al-Aziz.

1956 r. – po agresji Wielkiej Brytanii, Francji i Izraela na Egipt Królestwo zerwało stosunki dyplomatyczne z Wielką Brytanią i Francją, wstrzymując eksport ropy naftowej do tych krajów (do 1957 roku), ogłosiło zatokę Akaba własnymi wodami terytorialnymi i udzieliło Egiptowi pomocy materialnej.

1962 r. – doszło do zbrojnej interwencji Arabii Saudyjskiej w Jemenie po stronie monarchistów i pojawiły się napięcia w stosunkach z Egiptem (popierającym republikanów).



Ustąpiły one po podpisaniu porozumienia o zakończeniu wojny w Jemenie (1967).

1964 r. – po abdykacji króla Sauda Fajsal II objął tron; udzielił pomocy finansowej Egipcjom i Jordanii jako ofiarom III wojny izraelsko-arabskiej (1967).

Pozycja Arabii Saudyjskiej w świecie arabskim umocniła się, co pozwoliło jej na odgrywanie roli mediatora w konfliktach bliskowschodnich.

1974 r. – KAS zawarło z emiratem Abu Dhabi porozumienie kończące spór graniczny o oazę Al-Burajmi.

Arabia Saudyjska uznała OWP za jedyne przedstawiciela Arabów palestyńskich, wspomagając ją finansowo.

1975 r. – został zamordowany król Fajsal II, rządy objął Chalid Ibn Abd al-Aziz.

1979 r. – zerwanie stosunków z Egipcjami po zawarciu pokojowego układu egipsko-izraelskiego.

1982 r. – po śmierci Chalida tron objął Fahd Ibn Abd al-Aziz.

1980–1988 r. – Arabia Saudyjska udzielała wsparcia i pomocy finansowej Irakowi w wojnie z Iranem, doprowadziła też do utworzenia Rady Współpracy Zatoki (ma w niej decydujący głos).

Wykorzystując dochody z ropy naftowej i obcą siłę roboczą, rozwinęła i unowocześniła strukturę gospodarczą, co wpłynęło na ogromne podniesienie poziomu życia ludności.

Jednocześnie Arabia Saudyjska była uznawana za jeden z najbardziej konserwatywnych (w polityce wewnętrznej i obyczajach) krajów muzułmańskich.

1990 r. – Arabia Saudyjska potępiła aneksję Kuwejtu przez Irak i udzieliła schronienia emirowi. Sama zagrożona atakiem, zezwoliła na koncentrację wojsk państw sprzymierzonych na swoim terytorium i przyłączyła się do działań zbrojnych przeciwko Irakowi, dostarczając wojska, sprzętu i funduszy. Zawiesiła pomoc finansową dla państw, które poparły agresję (także dla OWP).

III 1992 r. – utworzono Radę Konsultacyjną i uchwalono ustawę zbliżoną do konstytucji opartą na muzułmańskim prawie szariat. W Arabii Saudyjskiej nasiliła się opozycja wobec rządów dynastii saudyjskiej, wspierana przez działania fundamentalistów muzułmańskich.

Po zamachach z 11 września 2001 roku utworzono specjalny urząd do zbierania informacji o obywatelach podejrzanych o terroryzm.

Wiosną 2003 roku Arabia Saudyjska nie poparła interwencji zbrojnej koalicji antyterrorystycznej w Iraku.

2005 r. – odbyły się pierwsze wybory lokalne, a po śmierci króla Fahda tron objął jego przyrodni brat Abd Allah (Abdallah).

W trakcie arabskiej wiosny w 2011 roku w Arabii Saudyjskiej wybuchły protesty społeczne, podczas których anonimowy 65-latek dokonał samospalenia. Był to pierwszy taki przypadek w historii Królestwa. Poza tym nie doszło do większych rozruchów.

2015 r. – po śmierci króla Abdallaha tron objął Salman, rodzony brat Fahda.

2015 r. – przeprowadzono wybory samorządowe, do których po raz pierwszy w historii dopuszczono kobiety.

2 stycznia 2016 r. – Arabia Saudyjska przeprowadziła masowe egzekucje (47 osób), podczas których stracono Nimr an-Nimra, saudyjskiego szyickiego duchownego. Jego egzekucję jako kolejny przypadek łamania praw człowieka w Arabii Saudyjskiej potępiły Unia Europejska, Stany Zjednoczone oraz władze Iranu. Placówki dyplomatyczne Arabii Saudyjskiej w Iranie zostały zaatakowane przez demonstrantów. W konsekwencji tych wydarzeń 3 stycznia 2016 roku Arabia Saudyjska zerwała stosunki dyplomatyczne z Iranem.

2017 r. – faktycznie rządzący krajem następca tronu Muhammad bin Salman zlecił

aresztowanie 200 wpływowych biznesmenów i książąt oraz przymusowe umieszczenie ich w hotelu The Ritz-Carlton w Rijadzie. Oficjalną przyczyną tych działań była walka z korupcją. Aresztowanych uwolniono, dopiero gdy przekazali miliardy dolarów na nowo utworzoną przez księcia instytucję, powołaną w celu walki z korupcją. Istnieją trzy hipotezy dotyczące faktycznych motywacji działań Muhammada bin Salmana: rzeczywista walka z korupcją, chęć pozyskania środków finansowych lub przygotowanie do przejęcia władzy w kraju.

Od 2017 r. przeprowadza się w KAS liczne reformy prawno-społeczno-obyczajowe. Otworzono kina i sale koncertowe, kobiety mogą prowadzić samochody, ograniczono segregację płciową w miejscach publicznych, takich jak kawiarnie, restauracje czy komunikacja. Kraj otworzył się na turystykę i złagodził swoje restrykcyjne zasady dotyczące turystów.

## **GEOGRAFIA**

W Arabii Saudyjskiej panuje gorący i suchy klimat pustynny zwrotnikowo-kontynentalny. Roślinność występuje tylko w oazach. Na zachodzie znajdują się góry Dżabal al-Hidżaz z najwyższym szczytem Arabii Saudyjskiej – Dżabal Sauda mierzącym do 3132 m. Część centralna jest wzniesiona do 1000–1400 m i łagodnie opada ku Zatoce Perskiej. Na obszarze całego kraju przeważają pustynie kamieniste i piaszczyste, poprzecinane wyschniętymi korytami rzek (tzw. wadi). Największymi pustyniami są: Wielki Nefud, Mały Nefud, Rub al-Chali (największa pustynia piaszczysta na Ziemi). Wybrzeże Morza Czerwonego jest skaliste ze stromymi urwiskami ograniczającymi pas nadbrzeżnej równiny Tihama. Wzdłuż wybrzeża znajduje się rafa koralowa. Wybrzeże Zatoki Perskiej jest płaskie, zabagnione i piaszczyste. Znajdują się przy nim liczne przybrzeżne wysepki i rafy koralowe.

Temperatura w styczniu wynosi od 10°C (północ) do 18°C (południe), a w lipcu od 30°C do 50°C. Na północy pojawiają się przygruntowe przymrozki, a nawet mróz. Opady są sporadyczne, głównie w okresie zimowym. Średnia roczna suma opadów nie przekracza 100 mm. Często pojawiają się burze piaskowe.

W Arabii Saudyjskiej nie ma stałych wód powierzchniowych, w kraju występują liczne pozostałości starych koryt rzecznych (tzw. wadi). Na zachodzie znajdują się nieliczne rzeki okresowe. Ważniejszymi miastami w Królestwie są: Rijad (5 188 286 mieszkańców), Dżedda (3 430 697 mieszkańców), Mekka (1 534 731 mieszkańców) i Medyna (1 110 093 mieszkańców).

## **POLITYKA I PRAWO**

Arabia Saudyjska jest jedną z nielicznych na świecie monarchii absolutnych. Krajem rządzi król i premier Salman ibn Abd al-Aziz Al Saud, noszący też tytuł Strażnika Dwóch Świętych Meczetów (Mekki i Medyny). Od 2017 roku faktycznie krajem rządzi syn Salmana, książę koronny i następca tronu Muhammad bin Salman.

W państwie nie ma konstytucji, choć istnieje ustawa zasadnicza wydana przez króla Fahda w 1992 roku, określająca uprawnienia rządu oraz obowiązki króla. Organem doradczym króla jest 150-osobowa Rada Konsultacyjna, a organem władzy wykonawczej jest rząd, na czele którego stoi król. Kobiety według założeń mają stanowić 20% rady. Obowiązuje kilka kodeksów cywilnych opartych na sunnickim prawie szariatu. Działalność partii politycznych jest zakazana.

W Arabii Saudyjskiej nadal stosuje się karę śmierci, chłostę i tortury. Organizacja Freedom House zaliczyła ten kraj do grupy państw, w których systematycznie łamie się prawa człowieka. Kara śmierci grozi za zabójstwo, uczestnictwo w proteście politycznym, gwałt, apostazję, rozbój, przestępstwa narkotykowe, przejawianie skłonności homoseksualnych

i uprawianie czarnej magii.

## **LUDNOŚĆ**

Pierwotną i dominującą ludność Arabii Saudyjskiej stanowią Arabowie. W 2014 roku mieszkało tu 30,8 miliona osób (w tym 10,1 miliona obcokrajowców). Religią państwową jest islam (93%). Wyznawanie innej religii poza islamem jest zazwyczaj karane.

Najwięcej ludności zamieszkuje wybrzeża Zatoki Perskiej i Morza Czerwonego (81% ogółu ludności). Gęstość zaludnienia wynosi 14 mieszkańców na 1 km<sup>2</sup>. Przyrost naturalny wynosi 2,69%. Społeczeństwo jest bardzo młode, 38,2% ludności ma mniej niż 15 lat. Oprócz rdzennych mieszkańców Półwyspu Arabskiego kraj zamieszkuje ponad 10 milionów cudzoziemców. Są to liczni przybysze z Pakistanu, Etiopii czy Filipin. Liczba Filipińczyków sięga około miliona.

## **RELIGIA I OBYCZAJE**

Zdecydowana większość mieszkańców Arabii Saudyjskiej wyznaje islam, 75–85% sunnizm, 15–25% szyizm. Mieszkają tu także chrześcijanie (głównie przyjezdni). Ustawa zasadnicza nie zapewnia wolności religijnej. W kraju działa Komisja do spraw Krzewienia Cnoty i Zapobiegania Występkom (pot. *muttaw*) odpowiedzialna za walkę z innymi religiami (uwzględniając niewahabickie interpretacje islamu jak sufizm czy szyizm). Działalność *muttawy* jest krytykowana przez wiele organizacji międzynarodowych. Przepięstwa przeciwko islamowi sunnickiemu karze się chłostą, obcinaniem kończyn lub ścięciem.

## **GOSPODARKA**

Gospodarka Arabii Saudyjskiej opiera się głównie na wydobywaniu i przetwórstwie ropy naftowej. Dochody ze sprzedaży ropy służą do rozwoju przemysłu, rolnictwa, infrastruktury komunikacyjnej, budownictwa miejskiego, infrastruktury społecznej (służba zdrowia, oświata). W 2007 roku udział przemysłu i budownictwa w budżecie wyniósł 61,8%, rolnictwa – 3%, usług – 35,2%. PKB na osobę wyniosło 20,7 tys. USD.

Największe złoża ropy naftowej znajdują się na wybrzeżu i w szelfie Zatoki Perskiej. Szacuje się, że Arabia Saudyjska posiada ok. 1/3 światowych zasobów ropy. Kraj ten zajmuje pierwsze miejsce w świecie w wydobywaniu ropy naftowej. W latach 80. ograniczono wydobywanie w celu stabilizacji cen tego surowca na światowych rynkach. W Arabii Saudyjskiej eksploruje się także gaz ziemny, sól kamienną, złoto oraz surowce skalne. Metale, uran i fosforyty nie są wydobywane. Silnie rozwinął się przemysł rafineryjny i petrochemiczny. Po 1975 roku przeznaczono duże nakłady finansowe na hutnictwo żelaza i aluminium, przemysł maszynowy, sektor materiałów budowlanych, nawozów sztucznych i spożywczy. W Al-Dżubajl znajduje się największa na świecie odsalarnia wody morskiej. Duże zakłady przemysłowe należą do państwa.

Niecałe 2% powierzchni kraju stanowią obszary uprawne. Do nawadniania gruntów wykorzystuje się odsoloną wodę morską oraz nowoczesne metody produkcji. Arabia Saudyjska jest samowystarczalna w produkcji pszenicy (nadwyżki eksportuje), drobiu, warzyw i mleka. Uprawia się ponadto proso, sorgo, jęczmień, palmę daktylową, owoce cytrusowe. Hoduje się kozy, owce, wielbłądy (największy producent na świecie), drób i bydło. Na Morzu Czerwonym poławia się ryby, wydobywa korale i perły. W wyniku skażenia Zatoki Perskiej w 1991 roku zaniechano tam połowów.

Książę Muhammad bin Salman podjął działania w sferze restrukturyzacji saudyjskiej gospodarki. W 2016 roku oficjalnie zapowiedział utworzenie programu *Wizja 2030*, którego celem ma być ekonomiczna dywersyfikacja i prywatyzacja. Przedstawił on szczegółowe działania, które w perspektywie 15 lat mają doprowadzić m.in. do uniezależnienia od ropy naftowej, cyfryzacji państwa (tzw. e-państwo), a także zrównoważonego rozwoju.

Sieć dróg jest bardzo dobrze rozwinięta. W kraju znajdują się trzy międzynarodowe lotniska. Ogromne znaczenie mają porty wywozowe ropy naftowej.

## **EDUKACJA**

Ustawa zasadnicza z 1992 roku zapewnia mieszkańcom Arabii Saudyjskiej bezpłatną edukację. Dziewczynki i kobiety mają obowiązek kształcenia i pełny dostęp do nauki. 80% saudyjskich studentów to kobiety. W Rijadzie powstał żeński Uniwersytet Księżniczki Nury – najnowocześniejsza i największa tego typu placówka edukacyjna na świecie. Kampus liczy 45 tys. miejsc.

## **SŁUŻBA ZDROWIA**

Wkrótce po powstaniu Królestwa Arabii Saudyjskiej – w 1932 roku – jedną z pierwszych inicjatyw króla Abdul Aziza Bin Abdul Rahmana al-Sauda było poprawienie stanu opieki zdrowotnej zarówno obywateli saudyjskich, jak i pielgrzymów, którzy przybywają do Arabii Saudyjskiej, by odwiedzić święte miejsca islamu. W kraju istnieje bezpłatna służba zdrowia. Prym wiodą jednak zagraniczne placówki medyczne z najlepszymi zagranicznymi specjalistami oraz nowoczesnym sprzętem.

W 2005 r. w Szpitalu Gwardii Narodowej w Rijadzie przeprowadzono operację rozdzielenia polskich bliźniaczek syjamskich z Janikowa – Darii i Olgi Kołacz. Ówczesny następca tronu książę Abdallah zaprosił do Arabii Saudyjskiej siostry wraz z matką i zasponsorował operację, która kosztowała ok. miliona dolarów. Arabia Saudyjska specjalizuje się w tego typu operacjach i w tym zakresie ma najlepsze placówki medyczne na świecie.

## **TURYSTYKA**

Do tej pory turystyka na terytorium Arabii Saudyjskiej była w dużym stopniu ograniczona. Przyczyniały się do tego m.in. wahabickie ograniczenia obyczajowe, szczególnie dotyczące kobiet (niemożliwość korzystania z kąpieli na plażach i basenach, wymóg posiadania opiekuna, tzw. *mahrama*, brak możliwości zatrzymania się w hotelu bez *mahrama* lub w jednym pokoju z niespokrewnionym mężczyzną oraz konieczność noszenia czarnego stroju – *abai* i *hidżabu*), służby policyjne, szczególnie policja obyczajowo-religijna (*mutawwa*) i bardzo restrykcyjna polityka wizowa. W zasadzie wiz turystycznych nie wydawano. Większość turystów stanowili pielgrzymi odwiedzający Mekkę. Jest to tzw. turystyka religijna.

W 2019 roku sytuacja diametralnie się zmieniła. Większość zakazów została zniesiona, wizę można uzyskać w ciągu pięciu minut on-line, a turystów – także płci żeńskiej – nie obowiązuje wahabicka doktryna. Dopuszcza się nawet możliwość zameldowania pary będącej w związku partnerskim w jednym pokoju hotelowym.

Jednak Arabia Saudyjska nadal jest krajem prohibicji. Alkohol można dostać jedynie na czarnym rynku i w horrendalnych cenach. Nie ma go nawet w pięciogwiazdkowych hotelach. Za to na osiedlach, gdzie mieszkają ekspaci, domowe wino i piwo leją się strumieniami.

Powstał projekt budowy jednego z największych miast-centrów kultury, sportu i rozrywki. Ma się ono mieścić na południowy zachód od stolicy kraju – Rijadu i nosić nazwę Al-Qidiya. Tam będą nawet kasyna, zakazane w całej Arabii Saudyjskiej.

### **SIŁY ZBROJNE**

Arabia Saudyjska dysponuje trzema rodzajami sił zbrojnych: siłami lądowymi, marynarką wojenną oraz siłami powietrznymi. Wojska saudyjskie liczą 231 tys. żołnierzy zawodowych oraz 25 tys. rezerwistów. Według rankingu Global Firepower (2017) saudyjskie siły zbrojne stanowią 24. militarną siłę na świecie, z rocznym budżetem na cele obronne w wysokości 56,73 miliarda USD.

196 [https://pl.wikipedia.org/wiki/Arabia\\_Saudyjska](https://pl.wikipedia.org/wiki/Arabia_Saudyjska) oraz materiały prywatne autorki.

## **ALMANACH WIEDZY O KORONAWIRUSACH COVID-19 NA BLISKIM WSCHODZIE I W AFRYCE<sup>197</sup>**

### **PIERWSZE ZNANE KORONAWIRUSY**

#### **SARS**

Wirus SARS pojawił się na skutek transmisji od nietoperzy, chociaż mogły to być również jenoty. Najbardziej zagrożonym rejonem, gdzie występuje SARS, jest południowo-wschodnia Azja. Jednak wciąż aktualne pozostaje przypuszczenie, że źródłem koronawirusów występujących u ludzi są wielbłądy. Wirusy mogą być zlokalizowane w moczu, kale, a nawet w wydzielinie dróg oddechowych i mleku zakażonego zwierzęcia. Bezpośredni kontakt z wymienionymi wydzielinami może skutkować przeniesieniem zakażenia. W niektórych sytuacjach możliwe jest zakażenie człowieka przez człowieka, chociażby wskutek bliskiego kontaktu z chorymi osobami czy wśród pracowników służby zdrowia.

Szczep koronawirusa MERS-CoV występuje najczęściej na Bliskim Wschodzie w następujących krajach: Katar, Jordania, Kuwejt, Arabia Saudyjska, Liban, Jemen, Egipt, Oman, Zjednoczone Emiraty Arabskie i Iran.

#### **Jakie są objawy infekcji koronawirusami?**

Zakażenie szczepami koronawirusów charakteryzuje się niegroźną infekcją, w przebiegu której pojawiają się typowe objawy przeziębienia w postaci kataru oraz niekiedy kaszlu. Zazwyczaj stan ten utrzymuje się maksymalnie siedem dni, po czym samoistnie znika. Patogeny te powodują znacznie cięższy przebieg u małych dzieci oraz osób w podeszłym wieku, które mają osłabioną odporność. Wówczas koronawirusy powodują zapalenie płuc, oskrzeli lub podgłośniowe zapalenie krtani.

Inne objawy chorobowe występują u osób zarażonych SARS-CoV. Infekcja rozpoczyna się wysoką temperaturą, której na ogół towarzyszą biegunka, suchy kaszel, bóle mięśni i stawów, bóle głowy oraz duszności (kłopoty z oddychaniem). U pewnej grupy pacjentów kłopoty z oddychaniem mogą rozwinąć się w kierunku niewydolności oddechowej, której konsekwencją może być nawet śmierć pacjenta.

#### **MERS**

Infekcja spowodowana wirusem MERS-CoV daje na początku mało charakterystyczne objawy w postaci bólu głowy, kaszlu, wysokiej temperatury, duszności oraz bólów mięśni. Czasem dołączają się nudności, wymioty, biegunka oraz ból brzucha. Wraz z rozwojem infekcji rozwija się zapalenie płuc, które może skutkować nawet śmiercią pacjenta. Nierzadko można zaobserwować również upośledzone funkcjonowanie nerek.

W badaniach laboratoryjnych widoczny jest wysoki poziom dehydrogenazy mleczanowej, natomiast w badaniu radiologicznym zmiany jedno- lub dwustronne i nacieki w jamie opłucnej. Obecność wirusa stwierdzana jest również w krwi, kale, moczu oraz wydzielinach układu oddechowego.

## **Leczenie koronawirusów SARS i MERS**

Do tej pory nie wynaleziono jedyne skutecznego lekarstwa zwalczającego te groźne wirusy. W leczeniu zakażenia wirusem MERS-CoV wykorzystuje się preparaty o niepotwierdzonym działaniu, które do tej pory używane były w innych dolegliwościach. Mowa o interferonie, który w skojarzeniu z lopinawirem oraz rytonawirem stanowi preparat zatwierdzony do przyjmowania przez zarażonych wirusem HIV. Wybór tego leku wynika z doświadczeń w przebiegu epidemii SARS-CoV.

Niestety, szczepionki skuteczne w zakażeniach ludzkimi koronawirusami są niedostępne, jednak badania nad opracowaniem szczepionek przeciwko SARS-CoV (inaktywowany wirus, białka wirusowe, szczepionki DNA, chimeryczne wirusy, cząstki VLP) przeprowadzane były w warunkach in vitro i in vivo. Podobne badania zostały już rozpoczęte dla wirusa MERS-CoV.

## **PANDEMIA 2020 – COVID-19**

Nie do końca zdajemy sobie sprawę z różnicy między koronawirusem a COVID-19. O ile doskonale rozumiemy konieczność społecznego dystansowania się, noszenia maseczek i stosowania dezynfektantów, o tyle wspomniane pojęcia są często mylone nawet przez poważne portale informacyjne. Mówiąc krótko, koronawirus jest czynnikiem wywołującym chorobę zwaną COVID-19, która z kolei stanowi zespół objawów spowodowanych przez ten czynnik.

Być może Polacy nie zdają sobie sprawy, jak wygląda pandemia w odległych krajach na Bliskim Wschodzie czy też w ubogiej i gęsto zaludnionej Afryce. Ten artykuł ma na celu ukazać całą prawdę o pandemii w miejscach odległych od Polski geograficznie i kulturowo.

## **KRÓLESTWO ARABII SAUDYJSKIEJ**

Nie ulega wątpliwości, że pacjent „zero”, u którego wykryto chorobę COVID-19, został zainfekowany w Iranie, dokąd wirus dotarł oczywiście z Chin. Arabia Saudyjska oskarżała Iran o to, że o ile nie była to celowa transmisja, którą traktowano by na równi z użyciem broni biologicznej, o tyle z pewnością ukrywanie listy Saudyjczyków, którzy przebywali w Iranie w czasie epidemii, stanowi celowe utrudnianie saudyjskim służbom walki z wirusem.

Władze saudyjskie z dużym wyprzedzeniem przystąpiły do zwalczania pandemii. Z uwagi na wysoki poziom ochrony zdrowia państwo to, które jest jednym ze światowych potentatów produkcji ropy naftowej, nie szczędzi nakładów finansowych na niezwykle istotny sektor medyczny. Dlatego tutaj to nie służba zdrowia była słabym ogniwem, jak to miało miejsce w przypadku niektórych, nawet wysoko rozwiniętych krajów europejskich. Tym, co zaważyło na przebiegu epidemii i galopującym wzroście zachorowań, był absolutny brak samokontroli mieszkańców i niedostosowanie się do wymogów społecznego dystansowania się, które niestety absolutnie nie leży w arabskiej kulturze. Pomimo wprowadzenia surowych ograniczeń w poruszaniu się monitoring służb drogowych wskazał, że natężenie ruchu spadło zaledwie do 46%. Dlatego Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wprowadziło bardzo wysokie kary finansowe dla osób łamiących wytyczne Ministerstwa Zdrowia. Przeciętny mandat wynosił średnio 2633 USD i był nakładany za złamanie nakazu godziny policyjnej, za brak maseczki ochronnej czy uczestniczenie w spotkaniu ze znajomymi lub rodziną.

Należy z uznaniem podkreślić, że władze, które pomimo nadejścia wyjątkowego dla muzułmanów miesiąca postu ramadan oraz następującego po nim święta Eid al-Fitr, będącego

synonimem rodzinnych spotkań i biesiad, wprowadziły całkowity zakaz organizacji spotkań, ograniczając je wyłącznie do członków rodziny żyjących w tym samym gospodarstwie domowym. Wszystkie meczety zostały zamknięte, a autorytety religijne promowały przeprowadzanie rytualnych modłów w domach. Z kolei typowy dla tego święta obowiązek dawania datku na biednych – tak zwanego *zakatu* – przeniesiono w strefę on-line, zalecając przekazywanie go wiarygodnym organizacjom charytatywnym w formie przelewów. Wyjątkiem od tej reguły pozostał Wielki Mecz w Mekce i Mecz Proroka w Medynie. Te najświętsze dla każdego muzułmanina miejsca kultu działały jednak na specjalnych warunkach. Wejścia ograniczono wyłącznie do bram głównych, do których prowadziły specjalne śluzy, gdzie każda osoba, po zamknięciu się szczelnych, pleksiglasowych drzwi, była poddawana pełnej dezynfekcji za pomocą rozpylanej przez dozowniki substancji antyseptycznej. Jeśli do tego dodamy specjalne kamery termiczne, które mogły mierzyć temperaturę jednocześnie u 25 osób, da to nam obraz, który raczej może się kojarzyć z filmem fantastycznym niż z tradycyjnym miejscem kultu.

Okazało się, że walka z pandemią nie jest łatwa i wymaga wielu starań ze strony królewskiej rodziny panującej, która do tej pory nie zetknęła się z koniecznością tak ścisłej współpracy z poddanymi. Wszystko po to, by opanować kryzysową sytuację. Dodatkowo zrozumiano, że koronawirus nie rozróżnia klas społecznych i dotknął nawet wysokiej rangi członków rodziny królewskiej. Wyznaczono miejsca zarezerwowane wyłącznie dla VIP-ów w specjalistycznych szpitalach. Król Salman schronił się w swoim pałacu na wysepce na Morzu Czerwonym w pobliżu Dżeddy, zaś sprawujący faktyczną władzę następca tronu Muhammad bin Salman (MBS) wraz ze swoimi ministrami udał się w odosobnione miejsce na wybrzeżu Morza Czerwonego, gdzie planuje wybudowanie futurystycznego miasteczka Neom.

Należy docenić wszelkie działania podjęte przez MBS celem pokonania pandemii, które prowadzą się nie tylko do Królestwa, lecz wspierają także międzynarodowe organizacje. Znamienne jest, że w przeciwieństwie do prezydenta USA, który zamroził wsparcie finansowe dla Międzynarodowej Organizacji Zdrowia (WHO), saudyjski następca tronu przekazał jej kwotę 10 mln USD. Arabia Saudyjska sprawująca obecnie prezydencję G20, organizacji skupiającej państwa będące najbardziej rozwiniętymi gospodarkami na świecie, wezwała członków do zebrania dotacji wynoszącej 8 mld USD, która ma zostać przeznaczona na badania naukowe nad koronawirusem oraz wynalezienie szczepionki przeciwko SARS-CoV-2, deklarując jednocześnie na ten cel 500 mln USD. Arabia Saudyjska postanowiła także przekazać znaczne wsparcie finansowe poprzez Organizację Współpracy Islamskiej (OIC), której siedziba znajduje się w Dżeddzie, na pomoc Bangladeszowi, Afganistanowi i Dżibuti. Jednocześnie rząd zaoferował znaczne wsparcie rodzimej przedsiębiorczości, aktywując pakiet pomocowy w wysokości 61 mld USD w formie różnego rodzaju zwolnień podatkowych, dopłat do pensji pracowników oraz amnestii kredytowej.

Wzorem innych krajów regionu Ministerstwo Spraw Wewnętrznych KAS wydało decyzję o wypuszczeniu z więzień, gdzie również zaczął się szerzyć koronawirus, wielu skazanych za drobne przestępstwa kryminalne, finansowe czy wykroczenia emigracyjne. W oparciu o porozumienia dwustronne zostało uwolnionych około 1400 Etiopczyków, 1000 Hindusów oraz 2500 Pakistańczyków, którym umożliwiono powrót do ich ojczyzn. Decyzja o amnestii nie objęła jednak obrońców praw człowieka oraz innych więźniów sumienia, o których upominają się światowe organizacje takie jak Human Rights Watch. Bez odzewu pozostaje także apel księżniczki Basmı bint Saud, najmłodszego dziecka króla Sauda bin Abdulaziza, będącego drugim władcą Arabii Saudyjskiej. Głos Basmı nieoczekiwanie rozległ się na Twitterze, by po chwili znów zamilknąć, prawdopodobnie na zawsze. Będąca oddaną orędowniczką na rzecz praw kobiet saudyjskich, a także roszcząca sobie prawa do niewyobrażalnego majątku swojego ojca,



przebywa w ściśle strzeżonym więzieniu Al-Hair w Rijadzie, gdzie są internowane przede wszystkim osoby skazane za działalność terrorystyczną i dysydenci polityczni. Księżniczka złożyła prośbę o ułaskawienie z uwagi na pogarszający się stan zdrowia oraz rosnącą liczbę zachorowań więźniów na COVID-19, jednak jej apel pozostał bez odpowiedzi.

Reasumując, sytuacja w Arabii Saudyjskiej związana z walką z pandemią nie różni się znacznie od tej panującej w innych rozwiniętych krajach. Jedynie krnąbrność mieszkańców, którzy odmawiają przestrzegania zasad sanitarnych, w tym głównie społecznego dystansowania się, stanowi problem, z którym borykają się władze. W tym względzie obwinia się głównie młodzież, która często przechodzi COVID-19 bezobjawowo, przyczyniając się jednocześnie do intensywnej transmisji wirusa w Królestwie. Na 15 czerwca 2020 roku dobową liczbą zachorowań wyniosła 4233 przypadki, odnotowano też 40 zgonów. Łączna liczba zarażeń stanowi 127 541 osób, w tym 972 przypadki śmiertelne. Należy jednak przyznać, że w przeliczeniu na milion mieszkańców liczba zgonów w porównaniu z innymi krajami Półwyspu Arabskiego jest stosunkowo niska. Liczba przeprowadzanych testów na obecność koronawirusa to średnio około 27 000 dziennie na 34,7 mln mieszkańców.

### **Kalendarium przebiegu epidemii koronawirusa w Arabii Saudyjskiej**

#### **27 lutego 2020 r.**

Arabia Saudyjska nie odnotowała jeszcze żadnego przypadku zakażenia koronawirusem, jednak wprowadziła zakaz wjazdu dla cudzoziemców w celu odwiedzenia miejsc świętych, zakaz wjazdu turystów z krajów zagrożonych koronawirusem oraz wstrzymała możliwość przepływu ludzi z ościennych krajów Zatoki, którzy mogli do tej pory podróżować w oparciu o dowody osobiste Rady Państw Zatoki.

#### **29 lutego 2020 r.**

Nadal brak przypadków zarażenia, jednak doniesienia z krajów sąsiednich wskazują, że u ośmiu obywateli saudyjskich stwierdzono pozytywny wynik testu na obecność wirusa (siedem na terenie Bahrajnu, jeden w Kuwejcie). Wszyscy odbyli niedawno podróż do Iranu.

#### **3 marca 2020 r.**

Pierwszy przypadek zakażenia w Arabii Saudyjskiej. Chory wrócił z Iranu przez Bahrajn i ukrył fakt pobytu w Iranie. W związku z powyższym Ministerstwo Zdrowia przygotowało 8000 miejsc w szpitalach na ewentualność przyszłych zachorowań.

#### **5 marca 2020 r.**

Drugi zdiagnozowany przypadek zarażenia koronawirusem. To osoba towarzysząca pacjentowi „0” w podróży do Iranu.

#### **6 marca 2020 r.**

Kolejne trzy przypadki – również powiązane z podróżą do Iranu. Sytuacja staje się niezwykle trudna, gdyż szyicka społeczność Arabii Saudyjskiej w tajemnicy odwiedza święte dla nich miejsca w Iranie, jadąc tam przez kraje trzecie. Głównie podróżują przez Bahrajn albo

Kuwejt. Ministerstwo Zdrowia ogłasza, że wobec osób, które do 48 godzin ujawnią fakt niedawnej podróży do Iranu, nie zostaną wyciągnięte żadne konsekwencje. Jednocześnie Arabia Saudyjska składa skargę na Iran, który odmawia udostępnienia listy Saudyjczyków, którzy odwiedzili ten kraj.

#### **7 marca 2020 r.**

Arabia Saudyjska zamyka przejścia lądowe ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi, Kuwejtem i Bahrajnem dla wszystkich pojazdów, z wyjątkiem transportu towarów handlowych. Połączenia lotnicze z tymi krajami zostają ograniczone wyłącznie do trzech lotnisk – w Dżeddzie, Rijadzie i Dammam.

#### **8 marca 2020 r.**

Odnotowuje się kolejnych 128 przypadków zarażenia koronawirusem, z czego 95 jest związanych z podróżą do Iranu, a 26 to zarażenia już na terenie Arabii Saudyjskiej. Ministerstwo Zdrowia wciąż ma problem z ustaleniem personaliów osób wracających z Iranu, gdyż władze irańskie nie stemplują paszportów Saudyjczyków.

#### **9 marca 2020 r.**

Arabia Saudyjska nakłada blokadę na prowincję Qatif, którą zamieszkują głównie szyici. Zamknięcie Qatif zostało wymuszone przez fakt, że większość przypadków zarażenia koronawirusem pochodzi właśnie z tego regionu. Decyzja ta jednak wywołuje ogromne niezadowolenie wśród szyickiej mniejszości. Władze zapewniają, że pomimo zamknięcia Qatif dostawy żywności oraz wszelkich koniecznych produktów będą się odbywać bez przeszkód. Wyznaczają również karę w wysokości 133 USD dla osób, które będą ukrywać fakt podróży do Iranu.

#### **11 marca 2020 r.**

Arabia Saudyjska wzorem Kataru wprowadza zakaz palenia fajek wodnych w kawiarniach i restauracjach.

#### **16 marca 2020 r.**

Ministerstwo Zdrowia ogłasza ośmiopunktowe zarządzenie:

Praca urzędników sektora państwowego zostaje zawieszona – z wyjątkiem wojskowych, urzędników służb bezpieczeństwa i nauczycieli pracujących zdalnie.

Galerie handlowe zostają zamknięte – z wyjątkiem marketów spożywczych i aptek. Placówki poza galeriami mogą być otwarte z wyłączeniem usług fryzjerskich i salonów urody. Wózki zakupowe powinny być dezynfekowane każdorazowo po użyciu przez klienta.

Punkty sprzedaży żywności na wynos mogą działać przez 24 godziny na dobę, jednak klienci w oczekiwaniu na realizację zamówienia nie mogą przebywać w restauracji.

Parki i plaże zostają zamknięte.

Zawiesza się działalność aukcji.

Celem zminimalizowania bezpośredniego kontaktu fizycznego należy w miarę

możliwości stosować środki łączności telefonicznej i internetowej.

Firmy i przedsiębiorstwa prywatne powinny w miarę możliwości zezwolić swoim pracownikom na wykonywanie pracy zdalnej bez konieczności opuszczania domu. Wytyczne te dotyczą głównie osób będących w grupie ryzyka.

Pracownicy zagraniczni powracający do Arabii Saudyjskiej muszą przebyć 14-dniową kwarantannę w domu.

### **22 marca 2020 r.**

Wzrost liczby chorych do 392 osób. Rada autorytetów religijnych ogłasza, że naruszenie zaleceń epidemicznych stanowi ciężki grzech, gdyż działania takie zagrażają nie tylko życiu chorego, lecz również osób postronnych.

### **23 marca 2020 r.**

Ponieważ obywatele KAS zdecydowanie nie zdają sobie sprawy z powagi sytuacji i nie stosują się do zaleceń Ministerstwa Zdrowia, w tym głównie społecznego dystansowania się, Arabia Saudyjska ogłasza godzinę policyjną od 19:00 do 6:00 rano. Obostrzenie to nie dotyczy osób wykonujących niezbędną dla społeczeństwa pracę, np. muezzinów, którzy wzywają do modlitwy z minaretów.

### **25 marca 2020 r.**

Wśród rosnącej liczby zachorowań odnotowano dwa pierwsze przypadki zgonów. Arabia Saudyjska zamyka Rijad, Mekkę i Medynę, a także zamraża możliwość komunikacji między wszystkimi trzynastoma prowincjami. Początek godziny policyjnej zostaje przesunięty na 15:00.

### **2 kwietnia 2020 r.**

W Arabii Saudyjskiej rosną obawy, że tegoroczna pielgrzymka *hadżdż*, która wstępnie planowana jest na 28 lipca, może zostać odwołana. W historii muzułmańskiej *hadżdż* był odwoływany 40 razy, z czego ostatni raz w 1798 r. w czasie inwazji wojsk napoleońskich. Jednak znacznie większe obawy Ministerstwo Zdrowia ma w związku ze zbliżającym się ramadanem. Dotyczą one głównie konieczności zachowania dystansu społecznego.

### **8 kwietnia 2020 r.**

Władze ogłaszają całodobową godzinę policyjną na większości obszaru kraju, w tym w głównych miastach królestwa. W odludnych regionach nadal obowiązuje godzina policyjna od 19:00 do 6:00 rano. Rząd saudyjski promuje hasło: „Wszyscy jesteśmy odpowiedzialni”, a autokratyczni przywódcy zaczynają rozumieć, że zagrożenia nie da się usunąć dekretem i należy wejść w znaczną interakcję ze społeczeństwem, czego od lat pragnęli uniknąć.

Ministerstwo Zdrowia apeluje do rozsądku obywateli i ostrzega, że jeżeli nie zostaną zastosowane konieczne normy bezpieczeństwa, w tym głównie obowiązek dystansowania się społecznego, saudyjski system opieki zdrowotnej się załamie i państwu grozi katastrofa. Zwłaszcza że mimo wszelkich apeli ruch na drogach spadł zaledwie do 46%.

### **10 kwietnia 2020 r.**

Król Salman dobrowolnie poddał się izolacji w swoim pałacu na wysepce na Morzu Czerwonym w pobliżu Dżeddy. Niektórzy członkowie rodziny królewskiej zostali zainfekowani koronawirusem i administracja Specjalistycznego Szpitala im. Króla Fajsala w Rijadzie otrzymała polecenie przygotowania 500 miejsc dla pacjentów VIP.

### **14 kwietnia 2020 r.**

W Arabii Saudyjskiej, podobnie jak w innych krajach Półwyspu Arabskiego, największą zachorowalność odnotowuje się wśród pracowników imigrantów, którzy stanowią blisko 30% populacji państwa. Są oni szczególnie zagrożoną grupą, gdyż z reguły mieszkają w zamkniętych osiedlach i nocują w zatłoczonych pomieszczeniach, gdzie praktycznie nie ma możliwości stosowania się do zaleceń Ministerstwa Zdrowia.

### **20 kwietnia 2020 r.**

Podobnie jak na całym świecie korupcja i oszustwa są nieodłącznym elementem towarzyszącym pandemii. Urząd ds. Zwalczenia Korupcji w Arabii Saudyjskiej odkrywa oszustwa dokonywane przez urzędników państwowych, którzy wystawiali fałszywe przepustki zwalniające z obowiązku przestrzegania godziny policyjnej, za które pobierali opłaty w wysokości 800 USD za sztukę. Inni brali łapówki od właścicieli hoteli, którym umożliwiali zawyżanie liczby osób przebywających tam na kwarantannie, których pobyt był opłacany przez państwo.

### **23 kwietnia 2020 r.**

W weekend liczba dobowych zachorowań podwoiła się i całkowita liczba zakażonych wynosi już 12 772 osoby, przekraczając tym samym próg 10 000. Przyczyną jest przede wszystkim brak możliwości stosowania środków bezpieczeństwa zalecanych przez Ministerstwo Zdrowia wśród pracowników imigrantów, na których taniej sile roboczej państwo opiera się od lat. Dodatkowo na szeroką skalę wydaje się fałszywe zezwolenia na przemieszczanie się. Nie bez znaczenia jest także rosnąca liczba przeprowadzanych testów, które coraz częściej wykonuje się w środowiskach pracowników imigrantów celem ustalenia ogniska zakażeń.

### **26 kwietnia 2020 r.**

Arabia Saudyjska ogłasza pewne złagodzenie restrykcji związanych z koronawirusem celem umożliwienia stopniowego odmrażania gospodarki. Posunięcie jest ryzykowne, gdyż wirus wciąż się rozprzestrzenia, a liczba zachorowań nadal rośnie (osiągnęła już 16 299 przypadków).

Zgodnie z nowymi zaleceniami mieszkańcy mogą się przemieszczać między godziną 9:00 a 17:00. Zarządzenie to nie obejmuje Mekki, gdzie odnotowano ponad 4000 zachorowań, oraz innych rejonów, w których występują ogniska zapalne.

Wszystkie sklepy, galerie handlowe oraz salony samochodowe zostają otwarte, jednak w dalszym ciągu należy przestrzegać wszelkich środków bezpieczeństwa ustalonych w zarządzeniu Ministerstwa Zdrowia. Kluby fitness, kawiarnie, restauracje, kina oraz salony urody pozostają zamknięte. Należy przypomnieć, że właśnie zaczął się ramadan, w czasie

którego muzułmanie w ciągu dnia raczej starają się oszczędzać energię. Z tego względu interesująca może się wydawać próba przeniesienia szału zakupowego, który podczas ramadanu ma miejsce w nocy, na godziny dzienne.

Powyższe złagodzenie obostrzeń zostaje wprowadzone próbnie do 13 maja, a Ministerstwo Zdrowia zastrzega sobie prawo zmiany tej daty w zależności od tego, jak będzie się kształtował krzywa zachorowań.

### **5 maja 2020 r.**

Arabia Saudyjska ogłasza, że saudyjskie firmy, które ze względu na problemy związane z rozprzestrzenianiem się wirusa tracą płynność finansową i znajdują się w trudnej sytuacji ekonomicznej, będą mogły obniżyć pracownikom pensje o 40%, a po sześciu miesiącach ich zwolnić. Z prawnego punktu widzenia będzie się to odbywało po zmianie umowy o pracę i dodaniu klauzuli, która jako przyczynę zwolnienia poda „siły wyższe”. Takie posunięcie uderzy głównie w pracowników imigrantów, gdyż Saudyjczycy będą mogli domagać się rekompensaty od państwa.

### **14 maja 2020 r.**

Liczba zachorowań rośnie w zastraszającym tempie. Łączna liczba zarażeń przekroczyła już 45 000, jednak ostrożne prognozy wskazują, że być może Arabia Saudyjska zbliża się do szczytu pandemii, gdyż po raz pierwszy liczba ozdrowieńców przewyższyła liczbę dobowych zakażeń. Saudyjskie Ministerstwo Zdrowia podaje statystyki z podziałem na przypadki COVID-19, ukazujące procentowe wartości: zakażonych Saudyjczyków – 42%, zaś pracowników imigrantów – 58%.

Pomimo złagodzenia restrykcji w czasie ramadanu podczas święta Eid al-Fitr, tj. od 23 do 27 maja, wprowadzona zostaje całodobowa godzina policyjna, a przecież jest to święto, kiedy najważniejsze są spotkania rodzinne.

### **31 maja 2020 r.**

Zostają wznowione krajowe połączenia lotnicze, jednak obowiązują podobne obostrzenia sanitarne jak w Polsce. Lotniska, oprócz urządzeń kontrolujących temperaturę podróźnych, zostają wyposażone w automaty do sprzedaży maseczek ochronnych i środków dezynfekcyjnych.

### **12 czerwca 2020 r.**

Statystyki dotyczące zachorowania na COVID-19 w Arabii Saudyjskiej przekraczają dwie niezwykle niebezpieczne granice. Po pierwsze, dobową liczbę nowych przypadków osiąga 3921, znacznie przewyższając dotychczasowy próg w granicach 3000. Po drugie, liczba wszystkich zachorowań wzrosła do 119 942 przypadków, przekraczając próg 100 000 i niebezpiecznie zbliżając się do rokowań Ministerstwa Zdrowia, przewidującego wzrost zarażeń nawet powyżej 200 000.

### **15 czerwca 2020 r.**

Dalszy wzrost dobowych zachorowań, który wynosi już 4233 przypadki, 40 kolejnych

osób umiera. Ogólna liczba zakażonych wynosi 127 541 osób, a bilans ofiar wzrósł do 972.

Należy odnotować, że po wstępnym nagłym wzroście liczby zachorowań w połowie maja pod koniec tego miesiąca odnotowano ich spadek. Niestety, początek czerwca to kolejny wzrost liczby zakażonych. Nawet jeśli uznamy ten trend za chwilowy, Arabia Saudyjska jest jeszcze daleko przed końcem epidemii.

Optymistyczna jest jednak stosunkowo mała liczba zgonów, która do połowy czerwca wyniosła poniżej tysiąca osób. Dodatkowo należy zauważyć, że Arabia Saudyjska jest najliczniejszym krajem na Półwyspie Arabskim. Liczba mieszkańców wynosi tu około 34,7 mln, a w przeliczeniu na milion odnotowano 2937 przypadków zachorowań. Dla porównania Zjednoczone Emiraty Arabskie liczą 9,9 mln ludzi, a liczba zachorowań na milion mieszkańców wynosi tam 3920 przypadków. Jednak porównując liczbę przeprowadzonych testów – w ZEA 252 525, a w KAS 27 608 – należy liczyć się z faktem, że wielu chorych na COVID-19 w Arabii Saudyjskiej może przechodzić zakażenie bezobjawowo, przez co nie są uwzględnieni w tych danych.

## **IRAN**

Iran należy uznać za ognisko zapalne pandemii na Bliskim Wschodzie. Rozprzestrzenianie się zachorowań w tym kraju spowodowane jest nieodpowiedzialną postawą nie tylko władz świeckich, które zatajają informacje o koronawirusie bądź lekceważą zalecenia WHO, lecz także duchownych, którzy wyśmiewając zalecenia sanitarne, nawet w dobie szczytu pandemii, nadal umożliwiali szyitom z całego świata pielgrzymowanie do miejsc kultu znajdujących się na terenie Iranu. Dodatkowo w czasie, gdy wszystkie kraje wstrzymały połączenia lotnicze z Chinami, irańskie linie lotnicze Mahan Air, powiązane z władzami rewolucyjnymi kraju, w tajemnicy realizowały loty do i z Chin, przewożąc zaopatrzenie lub pasażerów. Wszystko to spowodowało dynamiczne rozprzestrzenienie się pandemii koronawirusa w Iranie, gdzie na dzień 15 czerwca odnotowano 189 876 przypadków chorych na COVID-19 oraz zarejestrowano 8950 zgonów. Oczywiście dane te mogą być znacznie zaniżone, gdyż Iran przekazuje opinii publicznej tylko to, co uzna za stosowne. Dodatkowo należy się liczyć z faktem, że liczba osób zarażonych może być znacznie zaniżona ze względu na minimalną liczbę przeprowadzanych testów – zgodnie z danymi WHO jest to 1269 testów na milion mieszkańców. Chociaż na pozór może wydawać się dziwne, dlaczego wbrew zaleceniom WHO Iran utrzymywał stały kontakt z Chinami, należy pamiętać, że Iran ponosi olbrzymie straty gospodarcze w związku z drastycznymi sankcjami gospodarczymi narzuconymi na ten kraj nie tylko przez USA, ale również przez UE i ONZ. Chiny natomiast są obecnie ich jedynym partnerem gospodarczym, który kupuje irańską ropę i gaz, a także – wraz z Rosją – jest wyłącznym orędownikiem spraw irańskich na forum Rady Bezpieczeństwa. Ten przykład najlepiej wskazuje, że stosowanie sankcji gospodarczych uderza głównie w niewinnych mieszkańców danego kraju, a nie w ich rząd.

## **JEMEN**

W Jemenie, który jest od pięciu lat nękany działaniami wojennymi prowadzonymi przez koalicję pod przywództwem Królestwa Arabii Saudyjskiej przeciwko szyickiemu plemieniu Huti, wspieranemu przez Iran, sytuacja jest najtrudniejsza. Kraj ten został całkowicie zdewastowany przez działania zbrojne, a infrastruktura szpitalna jest tu w kompletnej ruinie. Brakuje lekarzy, pielęgniarek, sprzętu ochrony osobistej, nie mówiąc już o koniecznych do walki z COVID-19

respiratorach. Zgodnie z danymi międzynarodowej organizacji humanitarnej Ratujmy Dzieci w Jemenie – liczącym blisko 30 mln mieszkańców – jest dostępnych zaledwie 400 respiratorów. Brakuje także generatorów prądotwórczych, które są niezbędne dla funkcjonowania sprzętu medycznego, gdyż brak dostaw prądu paraliżuje działalność całego kraju. Do tego Jemen został uznany za jeden z pięciu krajów na świecie, któremu grozi klęska głodu. Społeczeństwo jest niedożywione i w związku z tym bardziej podatne na działanie wirusa. Zgodnie z danymi WHO na chwilę obecną w Jemenie odnotowano 728 zachorowań na COVID-19 oraz 164 zgony. Biorąc jednak pod uwagę, że liczba przeprowadzonych testów jest tu znikoma (źródła podają, że wykonuje się cztery testy na milion mieszkańców), dane te mogą być zdecydowanie zaniżone. Kraj ten dysponuje zaledwie czterema laboratoriami mogącymi przeprowadzać tego typu badania.

Istnieje jednak nadzieja dla tego nieszczęsnego kraju. W połowie kwietnia Arabia Saudyjska, w odpowiedzi na apel sekretarza generalnego ONZ, ogłosiła jednostronne zawieszenie broni. Zatem pomimo dewastacji, jaką niesie ze sobą pandemia, możliwość dyplomatycznego zakończenia działań zbrojnych w Jemenie, z których Arabia Saudyjska chce się już od dłuższego czasu wycofać, może być nieoczekiwaną korzyścią i salomonowym rozwiązaniem tragicznej sytuacji, w jakiej znajdują się mieszkańcy tego kraju.

### **ZJEDNOCZONE EMIRATY ARABSKIE (ZEA)**

Zupełnym przeciwieństwem sytuacji w Jemenie jest sukces odniesiony w walce z koronawirusem w ZEA, którego powszechnym symbolem jest opływający w bogactwa Dubaj. Już 15 czerwca Emiraty mogły się pochwalić spadkiem liczby zachorowań na dobę, a chorych na COVID-19 w sumie było tu 42 294, przy czym odnotowano jedynie 289 zgonów. Dlatego kraj ten wprowadza już stopniowe odmrażanie gospodarki, a oprócz znacznego wsparcia finansowego dla firm inwestujących w ZEA władze przeznaczyły dodatkowe – i niemałe – środki na ochronę służby zdrowia. W uznaniu zasług za poświęcenie w walce z koronawirusem szejkh Mohammed bin Raszid al-Maktum, władca Dubaju, przyznał 210 lekarzom tzw. złote wizy ważne przez najbliższe 10 lat oraz znaczne premie. Podobnie jak w przypadku Korei Południowej tajemnicą sukcesu ZEA w walce z pandemią jest ściśle przestrzeganie społecznego dystansu, noszenie środków osobistej ochrony oraz przestrzeganie zaleceń dotyczących domowej kwarantanny w czasie szczytu zachorowań. Najważniejszym czynnikiem przyspieszającym wyjście z pandemii była tu jednak olbrzymia liczba przeprowadzanych testów genetycznych – w przeliczeniu na milion mieszkańców wykonuje się ich tu 265 661, co w przypadku blisko 10-milionowego kraju stanowi prawdziwy rekord i daje możliwość błyskawicznego wykrycia potencjalnych ognisk wirusa. Dodatkowo od początku na każdym kroku wykorzystywano tu najnowsze osiągnięcia techniki celem usprawnienia monitoringu obywateli. Oprócz stosowanych na szeroką skalę kamer termowizyjnych mierzących temperaturę policja dodatkowo została wyposażona w inteligentne hełmy, które umożliwiają nie tylko identyfikację na odległość potencjalnie zakażonych, lecz również rejestrację twarzy przechodniów oraz osób znajdujących się w samochodach. Policjanci, wyglądający trochę jak żołnierze z *Gwiezdnych wojen*, mogli kierować ruchem i w razie potrzeby błyskawicznie odizolować osoby chore od zdrowych, maksymalnie ograniczając w ten sposób transmisję wirusa.

### **AFRYKA**

Zgodnie z danymi WHO w połowie czerwca 2020 r. na całym kontynencie afrykańskim

odnotowano 251 408 przypadków zachorowań oraz 6763 zgony, jednak liczby te wydają się zdecydowanie zaniżone, zwłaszcza że w najbiedniejszych krajach afrykańskich praktycznie nie ma laboratoriów, które spełniałyby wymagania umożliwiające przeprowadzenie testów.

Z uwagi na olbrzymie zróżnicowanie pod względem gęstości zaludnienia i stopnia rozwoju gospodarczego poszczególnych państw trudno jest w sposób jednoznaczny scharakteryzować panującą tam sytuację spowodowaną pandemią SARS-CoV-2. Zupełnie inaczej wygląda to w rozwiniętych, a inaczej w biednych regionach Afryki.

**Królestwo Maroka** doskonale poradziło sobie z pandemią. Już w połowie marca władze marokańskie zarządziły całkowitą izolację kraju, który zamknął wszelki ruch turystyczny, nie zważając na to, że turystyka stanowi jedno z najważniejszych źródeł dochodu. Zamknięto też szkoły, uczelnie, zakłady pracy, kluby sportowe i plaże. Marokańskie społeczeństwo doskonale zdało obywatelski egzamin dojrzałości. Przestrzegano wszelkich zarządzeń i nakazów dotyczących ochrony przed rozprzestrzenianiem się wirusa. Aktywnie pomagano osobom starszym i ubogim. Na efekty nie trzeba było długo czekać. 15 czerwca 2020 r. zarejestrowano tu 8885 przypadków zachorowań, z czego, co warto odnotować, aż 7370 ozdrowień i tylko 212 przypadków śmiertelnych. Taki wynik dla tego blisko 36-milionowego państwa stanowi nie lada osiągnięcie, zwłaszcza jeśli porównamy go chociażby z Polską. Nie należy więc się dziwić, że Maroko zaczęło już wprowadzać stopniowe odmrożenie gospodarki, a król Mohammed VI wyasygnował kwotę 1 mld dolarów na wsparcie rodzimego biznesu.

Najgorzej wygląda sytuacja w **Rogu Afryki**, który obejmuje Erytreę, Dżibuti i Somalię. Zwłaszcza w przypadku niestabilnej politycznie Somalii COVID-19 zbiera największe żniwo, gdyż nawet 70% testów daje tu wynik pozytywny. Na domiar złego brakuje choćby podstawowej opieki zdrowotnej. Jedyne specjalistyczny szpital do walki z koronawirusem znajduje się w stolicy kraju – Mogadiszu – i posiada tylko 76 stanowisk przystosowanych do intensywnej terapii przy blisko 15 milionach mieszkańców kraju. Brakuje tu wszystkiego, począwszy od lekarzy, sprzętu medycznego, po indywidualne środki ochrony. Dodatkowo Somalia jest wciąż nękana kolejnymi klęskami żywiołowymi, suszą na przemian z powodziami, a ostatnio kraj został zdewastowany przez inwazję szarańczy. Z uwagi na gęstość zaludnienia niemożliwe jest zachowanie dystansu społecznego. Brakuje podstawowych środków sanitarnych, takich jak mydło czy choćby bieżąca woda. Skrajne ubóstwo oraz powszechny głód (7 na 10 mieszkańców żyje na skraju nędzy) sprawiają, że Somalijczycy są całkiem bezbronni wobec COVID-19. Transmisja wirusa objęła już znaczną część populacji, a liczba zarażeń i przypadków śmiertelnych wymknęła się spod kontroli. Sytuację wykorzystuje terrorystyczna grupa Asz-Szabab, stanowiąca radykalny odłam muzułmański, która głosi, że koronawirus to kara boska za odstępstwo od ortodoksyjnej fundamentalistycznej wiary. Przez ostatnie pięć lat w wyniku aktów terroru dokonywanych przez tę grupę zginęło ponad 3000 osób. Należy mieć świadomość, że COVID-19 może pochłonąć znacznie więcej ofiar.

Koronawirus z Wuhan SARS-CoV-2, który opanował blisko 180 państw, zmienił na zawsze nasze życie. Przyspieszył zmiany polityczne w wielu krajach i spowodował, że na horyzoncie zaczęło majaczyć widmo największej klęski gospodarczej na świecie, przy której wielki kryzys z początków ubiegłego wieku wydaje się niczym szczególnym.

Zostaliśmy zmuszeni do zachowania dystansu społecznego i wprowadzenia norm obyczajowych, które czasami wydają się nam śmieszne.



Zwalczany przez ekologów na całym świecie plastik nagle zaczął ratować nasze życie, bo bez przemysłu petrochemicznego nie byłoby mowy o produkcji indywidualnych środków ochrony czy sterylnych, jednorazowych pojemników na żywność.

Na szeroką skalę rozwinęło się zdalne nauczanie. Zdaniem niektórych nigdy nie zastąpi ono tradycyjnego kontaktu nauczyciela z uczniem, lecz w obecnej sytuacji trudno nie dostrzec jego pozytywnych aspektów.

Z uwagi na konieczność ograniczenia transmisji wirusa tam, gdzie to tylko możliwe, człowieka zaczęły zastępować roboty. Praca ludzkich rąk w wielu dziedzinach nie będzie już niezbędna.

Oczywiście nadal nie wiemy, z czym faktycznie mamy do czynienia. Czy to wirus, czy może – jak niektórzy głoszą – bakteria? Czy choroba została przeniesiona ze zwierząt na człowieka, czy też sztucznie wyprodukowana w tajnym laboratorium? Czy szczepionka będzie kiedykolwiek dostępna i jakie mogą być jej skutki uboczne? Czy będziemy zmuszani się zaszczepić, czy może będzie to dobrowolne?

Wszystko to pozostaje jedynie w sferze naszych domysłów i przypuszczeń, a odpowiedzi na te pytania możemy nigdy nie poznać, jeśli nie będzie to podyktowane korzyściami politycznymi. W tym momencie sprawdzają się słowa Tanyi Valko, która twierdzi, że życie pisze najciekawsze, ale czasami też najtragiczniejsze scenariusze. Tym razem napisało scenariusz koronny.

197 Opracował Igor Kaczmarczyk, arabista i politolog, na podstawie: Al Arabiya News, Foreign Policy, World Health Organization, BBC, The World Bank, Woldometers Coronavirus, African News, The Arab Weekly, Al-Bab, Arab News, Emirates News Agency, Brazil-Arab News Agency oraz internetowych poradników medycznych, tj. poradnikzdrowie.pl.

## PODZIĘKOWANIA

Nie chciałam co roku dziękować tym samym osobom, bo byłoby to nudne i pewnie nikt nawet by tego nie przeczytał. Lecz teraz, po dziesięciu latach istnienia *Arabskiej i Azjatyckiej sagi*, muszę już pochylić czoło przed moimi współpracownikami i nie tylko.

Przede wszystkim należałoby podziękować rodzinie. W pierwszej kolejności mojemu kochanemu mężowi Igorowi Kaczmarczykowi, dzięki któremu jestem Tanya Valko, a nie dziewczyną z Dębnik, bizneswoman czy handlowcem. Żyłka do biznesu we mnie pozostała, ale to tylko dodatek w moim życiu. Dzięki temu facetowi wieki temu zmieniłam kierunek studiów ze slawistyki na arabistykę i od tego wszystko się zaczęło. Igor wyciągnął mnie za uszy z krakowskiego zaścianka i wywiózł w szeroki świat. W dniu, gdy po raz pierwszy postawiłam stopę na libijskiej ziemi, a było to w latach 80. zeszłego stulecia, połączyłam bakcyła Orientu, który siedzi we mnie do dziś. Ten mężczyzna wprowadził mnie na światowe salony, zapoznał z niezwykle ludźmi, wprowadził za kulisy wielkiej dyplomacji. Tam poznałam moich wysoko sytuowanych przyjaciół – Libijczyków, Saudyjczyków czy Indonezyjczyków, miałam nawet okazję zetknąć się osobiście z pułkownikiem Muammarem Kaddafim. Nie wspomnę o kontaktach z zagranicznymi dyplomatami czy członkami polskich rządów, premierami, posłami, marszałkami i innymi politykami, którzy tłumnie odwiedzali ambasady, w których przyszło nam pracować. Teraz zaś – przy „dobrej zmianie” – mąż służy mi jeszcze większą pomocą jako konsultant arabista, redaktor i doradca podczas tworzenia moich kolejnych powieści. Jest też najlepszym moderatorem moich spotkań, bo kto lepiej poprowadzi mityng niż arabista i politolog z ponaddwudziestoletnim stażem, który żył i odwiedził większość krajów arabskich w Afryce Północnej i na Bliskim Wschodzie.

Dziękuję moim dzieciom. Kochana Ania Marysia zawsze we wszystkim mnie wspierała – bez niej nie potrafię sobie palcem do nosa trafić. Zaś syn Michał na każdym kroku wierzył w mamę i czegokolwiek bym się podjęła, uważał, że dam radę.

Teraz czas na oficjalne podziękowania dla moich współpracowników z Wydawnictwa Prószyński. Największe wyrazy wdzięczności należą się mojej redaktor prowadzącej Annie Derengowskiej. Rozumiemy się doskonale i pomimo że mam dość nieugięty charakter, obie jesteśmy surowe i stanowcze, zawsze dochodzimy do konsensusu. Najbardziej jestem jej wdzięczna, że nie tyle pozwala, ile namawia mnie, bym pisała to, co chcę i jak chcę. „Bądź sobą, Taniu”, mówi – i za to ją kocham.

Następną na liście do podziękowań jest Ela Kwiatkowska, silna mała kobietka, która całe wydawnictwo trzyma twardą ręką i z którą ustalenie konkretów jest czystą przyjemnością.

Kształt moich książek jest od ośmiu lat poprawny dzięki redaktor Annie Płaskoń-Sokołowskiej. Za wszelką cenę usiłuje mnie nauczyć polskiej składni, stylistyki i interpunkcji – nie ma łatwego zadania, bo ja, uparta jak oślica, często nie chcę zrezygnować z moich slangowych powiedzonek i ulubionych niestylistycznych zwrotów. Jednak jeśli do tej pory się nie pozabijałyśmy, to przez następne dziesięć lat damy radę.

Największe podziękowania należą się moim czytelnikom – bez Waszego zainteresowania i wsparcia oraz ogromnej poczytności moich książek nie byłoby Tanyi Valko!

